

KRONIKI / ATOPII

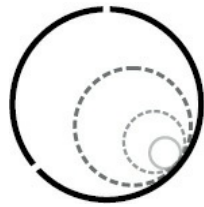


MATTHEW
MATHER

MATTHEW
MATHER



Kroniki Atopii



Matthew Mather

Kroniki Atopii

Przełożył Jędrzej Polak



Copyright © © Matthew Mather 2012, 2013
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2015

Redaktor prowadząca: Dominika Kuczyńska
Redakcja: Karolina Borowiec
Korekta: Aleksandra Powalska-Mugaj
Projekt okładki: Dark Crayon / Piotr Cieśliński

Wydanie elektroniczne 2015

ISBN 978-83-7976-272-9

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej
Dariusz Nowacki

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

*Pamięci mojego wuja Michaela Knuckeya.
Dziękuję za ukazanie gwiazd moim oczom.*

Od Autora

Kroniki Atopii mają wyjątkową strukturę: składają się z pięciu powiązanych ze sobą opowiadań i ostatniej księgi o długości powieści, łączącej wcześniejsze wątki w jedną całość. Każda z pierwszych pięciu opowieści podąża za jedną postacią wędrującą przez Atopię, każda historia przeplata się z pozostałymi, tworząc świat.

Należy pamiętać, że opowiadania ze świata Atopii są dla siebie „wątkami pobocznymi”, wszystkie zaczynają się w tym samym czasie i rozgrywają jednocześnie w tym samym świecie.

Zatem czytając tę książkę, pamiętajcie, że każda nowa historia zaczyna się w tym samym punkcie w czasie, a szósta i ostatnia księga domyka całość. Przyjemnej lektury.

– Matthew Mather

Prolog

– Jesteś pewna?

W Atopii nie chodzi tylko o udoskonalanie rozszerzonej rzeczywistości. Jako starsza pracownica naukowa miałam własną pasję, którą były głębokie wiązki neutrino. Wyłożyliśmy nieckę Oceanu Spokojnego gęstym dywanem sieci fotoreceptorów, utkanej z sensoropyłków, szukając w mroku głębin rozbłysków promieniowania Czerenkowa, które sygnalizuje poruszające się neutrino. DNO – Detektor Neutrino Oceanów – jest naszym wkładem w weryfikowanie prognoz, że neutrino z równoległych wszechświatów przemieszczają się przez nasz własny.

– Mamy sygnał, doktor Killiam – odpowiedziała moja współpracownica.

– Nie waż się publikować żadnych rezultatów. Jeszcze nie teraz. Przeprowadź ponownie wszystkie testy i zweryfikuj je. Ani słowa nikomu, zrozumiano?

Neutrino są irytująco trudne do uchwycenia. Nawet gdy ma się teleskop o skali planetarnej, taki jak DNO, nie byłby to pierwszy nieudany eksperyment.

Moja współpracownica kiwnęła posłusznie głową, nie spuszczając ze mnie wzroku. Lepiej będzie, jeśli oddeleguję agenta, żeby ją pilnował. Najmniejszy przeciek do prasy o wydarzeniu tej miary zdestabilizowałby oś czasową, którą staramy się podążać.

– Jesteś pewna, że to nie pochodzi z ziemskiego źródła?

– Jesteśmy pewni.

– Nie mówcie nikomu – powtórzyłam. – To absolutna tajemnica między nami trojgiem.

– Nawet panu Kesselringowi?

– Szczególnie panu Kesselringowi!

Jak to możliwe, że to wydarza się akurat teraz? Wzdrygnęłam się na myśl, co mógłby zrobić Cognix, gdyby Kesselring o tym usłyszał. – Kiedy przeprowadzicie testy po raz drugi, zamknijcie wszystko.

– Tak jest.

Miałam zamiar przenieść swoją pierwotną podmiotowość z tego pomieszczenia, kiedy współpracownica chwyciła mnie za ramię.

– Jest jeszcze coś – powiedziała.

Czekałam, dostrzegając w jej oczach strach.

– Przepuściliśmy przez sygnał cały zestaw memów komunikacyjnych, żeby sprawdzić, czy zdołamy coś odszyfrować...

– I?

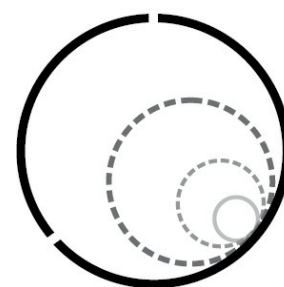
– To nie jest całkiem jasne...

– Mów dalej – zachęciłam ją.

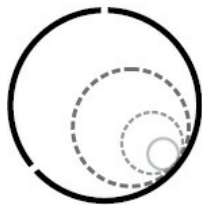
Wzięła głęboki oddech.

– To wygląda jak ostrzeżenie.

BŁĘKITNE NIEBO



Część I:
Olympia Onassis



1

Tożsamość: Olympia Onassis

– Nie! Nie! Po pańskiej drugiej lewej stronie – rzuciłam gniewnie, wskazując paczkę papierosów, którą miałam zamiar kupić. Serce wciąż waliło mi jak młotem po straszliwej awanturze, którą Alex zrobił mi na ulicy. Chciał, żebyśmy zamieszkali razem, a raczej próbował wprowadzić się do mnie. Nie byłam na to gotowa – w gruncie rzeczy, nie byłam pewna, czy kiedykolwiek będę. Właśnie ze sobą zerwaliśmy, tym razem na dobre.

Od tygodni niemal nie sypiałam, co w niczym nie pomagało.

Wpatrujący się we mnie zza lady farmaceuta powiedział coś w jakimś obcym języku. Języki wymierają ponoć szybciej od żab, ale czytałam gdzieś, że w tym mieście i jego dzielnicach nadal używa się niemal tysiąca różnych dialektów. Co za bajzel!

Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „I co teraz?”.

Pomruk zniecierpliwienia ludzi stojących za mną w kolejce o mało nie pokonał mojego głodu nikotyny. O mało, ale nie całkiem. Kupienie głupiej paczki papierosów wymagało, żeby farmaceuta osobiście zweryfikował zaświadczenie o moich nanouprawieniach, a ja nie miałam zamiaru przechodzić przez to wszystko jeszcze raz.

– Chwila! – Uniosłam jedną rękę, grzebiąc drugą w torebce; szukałam słuchawki sieci komórkowej. Czułam niechęć do chirurgicznych implantów, więc nadal używałam staromodnych gadżetów. Boleśnie zdawałam sobie sprawę z wpatrzonych we mnie zniecierpliwionych oczu, ale wsunęłam słuchawkę do ucha.

– Camele lighty! – powtórzyłam, pokazując palcem przeszkloną gablotę.

Język, którym się posługiwał, natychmiast przetłumaczono w słuchawce.

– Jak już pani mówiłem, to nie są camele. Paczka wygląda tak samo, ale będzie pani musiała przejść na drugą stronę ulicy, żeby dostać camele. – Z nadzieją w oczach wskazał drzwi wyjściowe.

Westchnęłam.

– W porządku, niech będzie, cokolwiek pan ma.

Sięgnął do gabloty i podał mi paczkę. Chwyciłam ją i zaczęłam się przepychać przez tłum ku wyjściu, a kiedy otworzyłam paczkę, natychmiast obciążono mój kredyt za tę transakcję. Kopnęłam w drzwi i wypadłam na zewnątrz, płosząc wchodzących klientów.

Palenie to zły nawyk, którego nauczyłam się od matki. Nie rozmawiałyśmy ze sobą od lat, a nawet jeśli dochodziło między nami do jakiegokolwiek wymiany zdań, i tak się mną nie interesowała. Podobnie jak nie interesowała się ojcem, co ostatecznie doprowadziło do tego, że przeniósł się z resztą rodziny do jakiejś komuny technofobów w Montanie. Nie byłam w stanie skontaktować się z nim niemal od tak dawna, jak nie rozmawiałam z matką, i tego też nie miałam zamiaru jej wybaczyć w najbliższym czasie.

Stałam tuż przed drzwiami do apteki, żeby zapalić, przymknęłam oczy i zaciągnęłam się głęboko.

Śródmieście pulsowało wokół światłami reklam. Niemal każdy cal kwadratowy przestrzeni od latarni do chodnika wypełniały ruchome afisze zapowiadające nowe przedstawienie na Broadwayu albo zapraszające do wielowszechświata. Tuż nade mną tańczyła holograficzna głowa, skrząc się i chybcząc w zasnuwającym ją papierosowym dymie. „Odwiedzajcie Tytana, kąpcie się w metanowych deszczach!”

Zaciągając się po raz drugi, zerknęłam na uśmiechniętą głowę. „Kąpcie się w metanowych deszczach?” To nie brzmi sexy. Powinni byli raczej zaproponować coś takiego: „Unieś ją na wyżyny – Kochajcie się na węglowodorowej pustyni”. Uśmiechnęłam się posępnie pod nosem. „Kochajcie się” – to coś zupełnie mi obcego, nie tylko na Tytanie.

Metaliczny, zrobotyzowany surogat, którego kątem oka widziałam za sobą w kolejce w aptece, wpadł na mnie zupełnie bez ostrzeżenia i przycisnął mnie mocno do muru. Z przejęcia krew odpłynęła mi z twarzy, ale strach

i zdumienie ustąpiły szybko miejsca wściekłości. Odepchnęłam go, wrzeszcząc i wymachując rękoma.

– Złaż ze mnie!

Odepchnęłam się od muru znacznie łatwiej niż się spodziewałam. Staliśmy naprzeciw, wpatrując się w siebie przez chwilę, moje gniewne spojrzenie napotykało martwe spizowo-szare gałki. Obdarzył mnie, jak mogłam się domyślać, przelotnym spojrzeniem, poruszył rękoma w przedziwnym mechanicznym geście, jakby chciał wzruszyć ramionami, i zniknął w strumieniu pieszych. Rzuciłam się za nim w pościg, ale niemal natychmiast się poddałam.

Trzęsłam się.

Oddychając nierówno, wytarłam ślinę z kącików ust. Opuściłam głowę i przekonałam się, że ukradł mi papierosy. Ręce drżały mi w takt chybotania się holograficznej głowy zachwalającej nade mną Tytana. Między palcami prawej dłoni wciąż tlił się obojętnie papieros.

Nikt z przechodniów niczego nie zauważył, a raczej nie chciał zauważyć. Domyśliłam się, że syntetykowi chodziło o papierosy, choć nie miałam pojęcia, że roboty palą.

Cholerne miasto.

Przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić do Alexa, ale przypomniałam sobie niedawną awanturę, a poza tym byłam już spóźniona na prezentację. Roztrzęsiona, rzuciłam niedopałek na chodnik, zmiażdżyłam go stopą i wyszłam spod markizy, żeby przyłączyć się do płynącego Zachodnią Pięćdziesiątą Siódmą morza pieszych.

Wbijając się w tłum, wypatrywałam nurtu, który zaniósłby mnie do krawężnika. Daleko przede mną ktoś zaklął głośno i przystanął. Powstrzymany na chwilę pęd zmusił falę ludzi do rozwidlenia się wokół przeszkody.

To była moja szansa.

Podpłynęłam do stojącego, wykonałam zwód za plecami mężczyzny i zgodnie z oczekiwaniami pochwyił mnie przeciwny nurt, płynący w pożądanym przeze mnie kierunku. Potem wpadłam na jakąś absurdalnie wyglądającą kobietę, pomalowaną błyszczącą czerwoną farbą, z wystającymi skądś tam pawimi piórami.

– Z drogi! – warknęłam. Odepchnęłam ją na bok, skręciłam ku krawędzi ulicy i przepchnęłam się łokciami do krawężnika, gdzie wyciągnęłam rękę wśród lasu innych wyciągniętych rąk.

– Dziesięć! Dziesięć! – krzyknęłam na cały głos, oferując dziesięciokrotność zwykłej taryfy. Byłam zmęczona i przestraszona, i chciałam się stąd wydostać.

Od strumienia aut oderwała się taksówka i przystanęła przede mną, a moja hojność naraziła mnie na wściekłe spojrzenia zgromadzonych wokół ludzi, także polujących na taryfę. Kiedy uniosły się maleńkie skrzydlate drzwi taksówki, pokazałam im środkowy palec.

Wsiadłam do pojazdu. Owiało mnie chłodne, przefiltrowane powietrze, zatrzasnęły się drzwi. Odczekałam chwilę, żeby się opanować, przymknęłam powieki, powoli odetchnęłam, starając się pozbyć napięcia.

– Dokąd, proszę pani? – rozdzwonił się metaliczny głos. Było to samoprowadzące się elektryczne auto, jeden z tych hondasoftów z silnikami w kołach; niewiele więcej od plastikowej rury na deskorolkach, gdyby ktoś chciał znać moje zdanie, ale taksówka tak czy inaczej.

Nabrałam powietrza w płuca.

– A... – Jaki jest do cholery adres mojego biura? Wyprostowałam się w panice. Co się ze mną dzieje? Pracuję tam od ponad dziesięciu lat!

– Dokąd, proszę pani?

– Jedną sekundę – rzuciłam. Przypomniawszy sobie, że wciąż mam słuchawkę w uchu, zadzwoniłam do mojego asystenta technicznego. – Kenny, podaj mi adres naszego biura.

– Piąta Aleja 555 – zakłopotany Kenny odpowiedział niemal natychmiast, a ja powtórzyłam adres taksówkarzowi.

Zaczerwieniłam się. Jak mogłam zapomnieć? Potrzebowałam drinka. Taksówka natychmiast przyspieszyła i włączyła się do ruchu. Oparłam się w fotelu i znów zrobiłam kilka głębokich wdechów, starając się pozbyć ucisku w piersi, kiedy pędziliśmy przez miasto.

2

Podniosłam ostrożnie jasną papierową serwetkę z czarnego blatu stołu konferencyjnego i otarłam pot z karku. Byłam zdenerwowana. Patricia Killiam, słynna matka chrzestna rozszerzonej rzeczywistości, postanowiła pojawić się osobiście na zaplanowanym na dziś zebraniu marketingu – a jeśli nie osobiście, to w postaci biostymulowanej prokury.

Co dla mieszkańców Atopii było jednym i tym samym.

Nowe konto Cognixa było największym przedsięwzięciem, jakim mieliśmy zajmować się w firmie, a mnie wyznaczono do kierowania ostatnimi negocjacjami. Po takim awansie mogłam wreszcie wyjść z cienia i grać pierwsze skrzypce. Napięcie było ogromne.

Musiałam się spieszyć, przebiegłam sprintem kilka ostatnich jardów do windy, ale zdążyłam na czas. Natychmiast rzucili mnie wraz z przygotowaną przeze mnie prezentacją na pożarcie ludziom z Cognixa. Mój pokaz nie był dobry – atak robota i zanik pamięci w taksówce dały mi się we znaki – nie zmieściłam się w czasie.

Ale zrobiłam, co do mnie należało. Oparłam się wygodniej na krześle i przyglądałam się, jak mój współpracownik Bertram kończy prezentację.

Myślałam o kłótni z Alexem. Nie chodziło tylko o zamieszkanie razem. Alex zawsze się czepiał, że spędzam za mało czasu z jego rodziną, jego braćmi i siostrami, którzy nieustannie mnie krytykowali. Właśnie to było źródłem ciągłych napięć między nami, a on tylko pogarszał sytuację, upierając się, że przemawia przeze mnie mój własny brak poczucia bezpieczeństwa. Wychował się w dużej rodzinie, pragnął mieć dzieci, a ja nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek przy zdrowych zmysłach chciał sprowadzać potomstwo na ten świat. Rozpadający się świat.

Kątem oka zauważyłam, że nadszedł email z sierocińca Washington Heights, w którym pracowałam jako wolontariuszka. Nie chciałam mieć dzieci

z Alexem, ale to nie oznaczało, że los dzieci w ogóle mnie nie obchodził. Wiedziałam, czym jest porzucenie przez rodziców. Ale to była wyłącznie moja sprawa. Skasowałam wiadomość, zanim ją zauważono.

Przeniosłam wzrok z powrotem na Bertrama. Po tylu nadgodzinach, które poświęciłam na pracę nad projektem, nie mogłam uwierzyć, że mój szef chciał początkowo oddać Bertramowi (niesforna grzywa kasztanowych włosów, absurdalna pantomima w groteskowym, multifazowym garniturze, wybuchy śmiechu z własnych żartów) kierowanie ostatnimi negocjacjami. Ale wnosząc z tego, jak reagowano na pokazywaną przez niego końcówkę MOJEJ prezentacji, to, co robił, przynosiło efekty. Czułam, że kariera wymyka mi się z rąk.

Chciało mi się palić.

Może już jestem na to za stara? W dzisiejszych czasach wszystkie dzieciaki używają sztucznej inteligencji do wykonywania większości zadań. Było mi trudno nadążyć za tym pędem. Na myśl o dzieciakach znów przypomniałam sobie Alexa. Czy popełniłam największy życiowy błąd? Kłuło mnie w brzuchu.

– Cognix: jutro zaczyna się dziś! – rzucił na zakończenie Bertram, wskazując z rozmachem przyszłość.

Rozległ się cichy aplauz.

Chwila! To mój slogan! Co on sobie myśli, prezentując go dzisiaj? Miałam przedstawić to hasło reklamowe dopiero jutro. Myślałam, że doszliśmy do porozumienia.

Szef zerknął na mnie.

– Coś nie tak, Olympio? – Roger, uosobienie średniej kadry menadżerskiej, zawsze trzymał w dłoni filiżankę kawy, a w szafie nieskończony zapas źle skrojonych garniturów i tandetnych krawatów. – Chciałabyś coś dodać? – Podniósł filiżankę do ust i upił łyk kawy. Wszyscy wpatrywali się we mnie.

Chryste, ależ tu duszno.

– Ja... ee... ja... – wyjąkałam, ale nie zdołałam niczego wykrztusić.

Wydawało mi się, że w sali brakuje powietrza, znów czułam ucisk w piersiach, jakby ściskanych imadłem. Zerwałam się od stołu i wybiegłam z sali, musiałam odetchnąć.

– Niech ktoś wezwie lekarza! – usłyszałam krzyżącego za moimi plecami

Rogera. Oczy zaszły mi mgłą, ogarnęła mnie ciemność.

3

– To tylko zwykły atak paniki. – W łysinie doktora odbijał się wiszący wysoko panel lamp, tworząc ponad nieskazitelnie czystym kitlem lśniąca od potu aureolę. Wokół jego szyi wisiał nieprzydatny stetoskop. Pochylił się nad biurkiem i złożył dłonie, którymi podparł brodę, przyjmując, jak przypuszczam, zamyśloną pozę. – Ciągłe pani pali?

Głupie pytanie. Wiedział, oczywiście, że palę.

– Tak, ale dbam o kondycję.

Kiwnął głową i zajrzał do notatek, wyczuwając, że lepiej nie rozpoczynać dyskusji na ten temat.

– To da się wyleczyć...

– Utrzymuję organiczną dietę farmaceutyczną – przerwałam mu. – Muszę ograniczyć przyjmowanie leków.

Coś w tym człowieku przypominało mi nigdy niekończący się korowód mężczyzn, z którymi po odejściu ojca spotykała się moja matka. Małżeństwo moich rodziców od samego początku było skazane na porażkę – grecko-szkocki melanz to najlepsza recepta na katastrofę.

Doktor spojrzał na mnie, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Stres i lęk często prowadzą w tych czasach do zgonów. Naprawdę musi pani o siebie zadbać.

Spłodzili mnie jako usprawiedliwienie dla przepojonego złością związku. Miałam być spoiwem, które nie zadziało, choć kłócili się o to bez przerwy, zupełnie nie zwracając przy tym uwagi na mnie. Jako dorosła przyjąłam nazwisko matki, Onassis. To była jedyna rzecz, jakiej od niej chciałam.

– Dobrze się pani czuje? – Doktor zauważył, że błędzę gdzieś myślami.

– Tak, tak. – Marzyłam, żeby się stąd wydostać. – Na pewno jest jakaś inna droga niż leki. Może nanoboty?

– Ale one i tak wykorzystują lekarstwa – tłumaczył. – Służą tylko za

przekazniki.

– Więc muszę sama dać sobie z tym radę. – Przewróciłam oczami. – Medytacja, techniki relaksacyjne...

Co za gówno... Tego nie musiałam dodawać.

– To z całą pewnością dobrze się pani przysłuży na dłuższą metę, ale doraźnie...

– Więc co pan proponuje? – Dlaczego od razu nie może przejść do rzeczy?

Odetchnął.

– Myślę, że dysponujemy czymś, co byłoby dla pani idealne, ale nadal rozważam opcje.

– I? – Czekałam na objawienie. Przyjął kolejną irytującą zamyśloną pozę.

– Stres i lęk to problemy głęboko zakorzenione w naszym społeczeństwie – odpowiedział spokojnie. – Choć da się je leczyć objawowo lekami, medykamenty nie rozwiązują kryjących się za nimi przyczyn. Medycyna uporała się z większością poważnych chorób, ale ludzki umysł to wciąż zagadka...

Poprawił się na krześle.

– Powstał nowy system rozszerzonej rzeczywistości, który testujemy na wybranych klientach – zaczął i podniósł ręce, bo chciałam zaprotestować. – Zanim pani coś powie, mogę zapewnić, że nie mam na myśli żadnych implantów w sensie chirurgicznym. Korzystała już pani z dostarczających lekarstwa nanobotów, a to, o czym mówię, jest krokiem dalej.

Pokiwałam głową.

– Okay.

– Połyka pani tabletkę i popija ją szklanką wody. W tabletkce znajdują się urządzenia w skali nano, nazywane „sprytocytami”, które rozprzestrzeniają się w pani organizmie i podłączają do układu nerwowego. Są w stanie modyfikować sygnały przepływające przez neurony...

Znów nie byłam w stanie skupić uwagi, a doktor to zauważył. Nienawidziłam technicznego bełkotu.

Przerwał i spojrzał na mnie uważnie, zanim zaczął mówić dalej.

– Jeśli kiedykolwiek doszłaby pani do wniosku, że działanie systemu wywołuje dyskomfort czy też chciałaby się go pani pozbyć, prosta komenda

dezaktywuje wszystko, a sprytocyty są wypłukiwane z pani ciała i wydalane. To bardzo łatwe.

Uśmiechnął się, na co odpowiedziałam uśmiechem. Wiedziałam już, co takiego opisuje.

– To zostało już przetestowane? – zapytałam.

Mówił o nowym atopijnym systemie Cognixa, którym zajmowaliśmy się w firmie. System nie był jeszcze dostępny na rynku, ale wiedziałam, że przeprowadzają testy na wybranej grupie klientów. Rozchmurzyłam się. Wyglądało na to, że ktoś z samej góry zwrócił na mnie uwagę. Może w końcu dostanę jednak to konto.

– System był testowany klinicznie od lat i jest w pełni dopracowany. Nie mogę podać pani nazwy handlowej, ale to nie powinno mieć znaczenia, prawda?

Byłam pewna, że wiedział, że wiem, o czym mówi, ale musiał trzymać się procedury. Grałam w tę grę, zdając sobie sprawę, że wszystko zostanie poddane ocenie kogoś z Cognixa, kiedy tylko wyrażę zgodę.

– Nie, raczej nie, jeśli uważa pan, że to pomoże... – odpowiedziałam, usiłując ukryć radość. Zastanawiałam się, czy będzie mnie karmił moimi własnymi sloganami marketingowymi.

– Jedną z głównych przyczyn stresu i lęku są reklamy. – Przerwał, wiedząc, że jestem specjalistką od reklam. – Moje zalecenie brzmi tak: powinna pani wykorzystać system do usunięcia ich na jakiś czas ze środowiska, w którym pani przebywa, i przekonać się, jak się pani poczuje.

– Jasne, brzmi zachęcająco.

Nie był pewien, czy to nie sarkazm, ale wyczuł poprawę mojego nastroju.

– Czy mam wypisać receptę?

Kiwnęłam głową.

– Będę miała nad tym całkowitą kontrolę?

– Oczywiście.

Chwila ciszy, podczas której patrzyliśmy sobie w oczy.

– Jest pani gotowa?

– Na co?

– Jeśli jest pani gotowa...

Kolejna pauza, po której kiwnęłam głową. Słuchawka, którą wciąż miałam w uchu, zadzwoniła cicho, odbierając elektroniczną receptę od automatycznej asystentki doktora.

Lekarz nalał z butelki, którą trzymał w szafce za biurkiem, wody do papierowego kubeczka – i podał mi kubek wraz z białą tabletką.

– Proszę to połknąć. To środek nasenny, który uspi panią podczas wstępnej fazy zbierania danych.

Odebrałam od niego tabletkę i kubek. Spojrzał mi prosto w oczy.

– Olympio, czy wyraża pani zgodę na przekazywanie danych osobowych programowi?

Kiwnęłam głową po raz drugi.

– To obejmuje również pani prywatne dane z przeszłości, rozumiemy się?

– Tak – odpowiedziałam.

– Nie będziemy w stanie aktywować systemu dzisiaj. Musi pani wrócić do mnie pod koniec tygodnia, ale wszystko zainstalujemy już dziś.

Przyjrzałam się z roztargnieniem pigułce, wrzuciłam ją do ust i popiłam wodą, a potem oddałam mu pusty kubek.

– Proszę za mną. – Wstał i wyprowadził mnie z gabinetu do mniejszego pomieszczenia, w którym stała kapsuła – łóżko dopasowane do ludzkich kształtów. Przypominało to stare łóżka z solariów. – Musi się pani rozebrać.

Wykonałam polecenie bez pośpiechu. Środek nasenny zaczynał działać, a mój mózg pływał w oceanie spokoju. Położyłam się w kapsule, a zaraz potem oblepił mnie kleisty żel.

– A teraz proszę się odprężyć. – Opuścił górną część kapsuły. Zamknęła się z sykiem, całkowicie izolując mnie od otoczenia. W półśnie czułam dotykające mnie i łaskoczące drobne paluszki, jakieś świetliste wzory migotały mi pod powiekami, a w uszach słyszałam piski jak podczas badania słuchu. Czułam łagodne skurcze mięśni, wzdłuż całego ciała przebiegały słabe wyładowania elektryczne. Słodkawe i słonawe płyny przepłukiwały mi usta, nozdrza wypełniał gryzący dym, robiło mi się na przemian zimno i gorąco.

Zasnęłam i śniło mi się, że lecę nad polami złocistych stokrotek, a na pięknym złocistym niebie świeci słońce. Śniłam o żywych, choć nieżyjących dzieciach o błękitnych oczach, wypełnionych niebieskimi oceanami bólu.

4

– Olympio...

– Olympio – odezwał się znowu głos.

Pływałam sama, całkiem spokojna, i tylko ten natrętny głos przerywał mój dobrostan. Mózg starał się go zignorować, ale...

– Olympio?

Otworzyłam z ociąganiem oczy i ujrzałam pochylającego się nade mną anioła, który przypominał trochę mojego kota, Pana Tweedlesa. Nie, chwila, to nie był anioł, to była pielęgniarka. Tak jest. Przed kilkoma dniami zainstalowałam system i znów byłam w gabinecie lekarskim, żeby go aktywować. Kolejny raz mnie uśpili. Zamknęłam oczy i podniosłam rękę, żeby dotknąć policzka, a potem podniosłam powieki i westchnęłam poirytowana.

– Słucham?

– Komuś przydałaby się jeszcze drzemka – uśmiechnęła się pielęgniarka. – Proszę, pomogę pani wstać i ubrać się.

Oparłam się na łokciach i zmarszczyłam brwi.

– Jak długo spałam?

– Hm... – zastanawiała się. – Powiedziałabym, że jakieś dwie godziny. Wszystko powiodło się idealnie. Właśnie aktywowaliśmy system. Pani prokura wyjaśni szczegóły, kiedy znajdziecie się w domu. Obudziłabym panią wcześniej, ale spała pani tak słodko...

Pokręciłam głową, opuściłam nogi ponad krawędzią kapsuły i usiadłam, nie pozwalając sobie pomóc.

– Dam sobie radę, wielkie dzięki.

Spojrzała na mnie, mrużąc oczy, a na jej twarzy znów pojawił się uśmiech. Odwróciła się, żeby wyjść.

– Zadbam o to, żeby mogła pani porozmawiać z doktorem, chce zamienić z panią dwa słowa – dodała, wychodząc i zamykając za sobą drzwi.

Ubrałam się i po minucie czy dwóch otworzyłam drzwi na korytarz. Pielęgniarka przyglądała mi się bacznie z pewnej odległości. Zatrzymałam się przy gabinecie lekarskim i wsunęłam głowę do środka.

– Jak się pani czuje? – zapytał natychmiast doktor, odrywając się od jakiejś papierkowej roboty. – Proszę wejść.

– Nie, nie, nic mi nie jest. To znaczy, chcę się rozruszać. Mam sprawy do załatwienia. Proszę tylko powiedzieć mi szybko to, co powinnam wiedzieć.

Milczał przez chwilę.

– Dostała pani do dyspozycji bardzo potężne narzędzie. Proszę na nie uważać i nie aktywować żadnej z funkcji rozszczepiania świadomości.

– Rozszczepiona świadomość! – parsknęłam, odwracając się ku pielęgniarce, która stanęła za mną w korytarzu. – Skąd im się biorą te pomysły?

– Jeśli zechce pani porozmawiać ze mną – ciągnął cierpliwie doktor – wystarczy tylko wypowiedzieć moje nazwisko o dowolnej porze dnia i nocy, a natychmiast zostanie pani przekierowana do mnie.

– Świetnie – odpowiedziałam. – Kapuję.

– Kiedy dojedzie pani do domu, proszę wypowiedzieć hasło „Instrukcje psis”, a otrzyma pani wszelkie potrzebne informacje od nowej prokury.

– Doskonale. – Było mi lekko na duchu na myśl, że zaraz stąd wyjdę. – Będę w kontakcie.

Pożegnałam się z nim leciutkim skinieniem głowy i pomaszerowałam korytarzem ku drzwiom, celowo ignorując pielęgniarkę, która odprowadzała mnie wzrokiem.

Na dworze było rześko i odświeżająco, po raz pierwszy od wieków czułam przyływ optymizmu. „Przespaceruję się do domu, przyda mi się łyk świeżego powietrza”.

Przystanąłam, żeby zapalić papierosa.

Doszłam do wniosku, że nie popełniłam błędu z Alexem. Muszę pobyć sama przez jakiś czas.

Upał późnego lata zelżał, powietrze miało odświeżającą moc. Maszerowałam energicznie chodnikiem, bardzo z siebie zadowolona, i rozglądałam się wokół.

Nie czułam się inaczej, i po trosze wątpiłam, czy to, co mi zrobili, zadziała zgodnie ze specyfikacją, choć przecież to ja wprowadzałam ten produkt na

rynek. Na Upper East Side jak zawsze roiło się od ludzi, ale dało się jakoś przejść. Krajobraz miasta przesłaniały billboardy i hologramy, lecz spacer i tak był przyjemny. W końcu znalazłam się przed moją pozbawioną windy oazą z piaskowca.

Pan Tweedles skoczył na mnie, kiedy tylko otworzyłam drzwi, mrucał głośno, ocierając się o nogawki spodni. Zamknęłam drzwi i opróżniłam kieszenie. Kot był pomysłem mojej przyjaciółki Mary. „Żeby zapewnić ci towarzystwo”, powiedziała. Psiknęłam na niego, nie mogąc znieść myśli o sierści, którą na mnie zostawia podczas każdej pełnej pomruków pieśzcoty.

Od razu sięgnęłam po butelkę wina, stojącą na kuchennej ladzie, i nalałam sobie kieliszek. Padłam na sofę i wzięłam potężny łyk, delektując się smakiem. Przekopawszy się przez zawartość torebki, znalazłam w paczce ostatniego papierosa. Mają do dyspozycji te technologiczne czary-mary, więc mogliby wynaleźć prawdziwego, nigdy się niewypalającego, bo te e-papierosy nie dawały mi najmniejszej satysfakcji. Zgniotłam w dłoni puste kartonowe pudełko i rzuciłam je na stół.

Do roboty, pomyślałam.

– Instrukcje psis! – zawołałam, zapalając papierosa.

– System aktywowany – usłyszałam w głowie. – Pojawię się teraz na fotelu obok ciebie. Proszę, zachowaj spokój.

Po tych słowach rzeczywiście coś zmaterializowało się obok mnie i usiadło na drugim fotelu – wyglądało trochę jak ja. W gruncie rzeczy wyglądało zupełnie jak ja.

– Jestem twoim nowym polisyntetycznym interfejsem sensorycznym, czyli psis, a mówiąc inaczej prokurą – powiedziało to coś. – Wyjaśnię ci teraz właściwości systemu. Możesz mi przerwać w dowolnym momencie.

– Czekaj, czekaj, czekaj – zaprotestowałam, odganiając sprzed twarzy dym. – Jedna chwila.

Chciałam pokazać to coś Kenny’emu z pracy. Szukałam w torebce komórkowej słuchawki.

– Komórka nie będzie ci już potrzebna – poinformowała mnie moja nowa prokura, domyślając się najwyraźniej, o co mi chodzi. Przestałam szperać w torebce.

– Kenny? – zawołałam na próbę. Na środku salonu natychmiast pojawiła się jego dryfująca projekcja. Kenny zawsze przychodził do pracy w podkoszulku i dżinsach, miał wiecznie potargane włosy i nigdy nie wypełniał moich poleceń dotyczących bardziej urzędowego stroju. Był jednak oddanym i znającym się na rzeczy technologicznym maniakiem, więc jakoś z nim wytrzymałam.

– Tak, szefowo? – rzucił zza kwadratowych okularów. – Uau, chodzi u ciebie jakiś super wyświetlacz soczewkowy, nie?

Pominęłam milczeniem jego technokomplement i odczekałam, aż się opanuje.

– Posłuchaj, proszę, co mówi ta... eee... kobieta – powiedziałam, wskazując moją nową prokurę. – Ten interfejs psis czy prokura, czy cokolwiek... Mów dalej – zwróciłam się do niej.

Kenny zrobił wielkie oczy, kiedy prokura zaczęła opisywać sterowanie systemem. Usiadłam i delektowałam się kieliszkiem wina, a potem następnym.

Po jakimś czasie postać zniknęła, a ja z nadzieją w oczach spojrzałam na Kenny'ego.

– Czy mogę przekazać ci dostęp do kodu źródłowego systemu, żebyś zajął się ustawieniami i negocjacjami z tą prokurą? Nie chcę mieć z nią nic wspólnego, bo mówiąc szczerze, to coś, ta ona czy cokolwiek, wyprowadza mnie z równowagi.

– Nie jestem pewien, szefowo. Z tego, co zrozumiałem, nie możesz przekazać wszystkich funkcji źródłowych, ale daj mi dzień albo dwa, żebym się w to wgryzł.

Aż się do tego rwał. Technomaniak!

– Tylko nie zmarnuj na to zbyt dużo czasu, dobrze? – Gdybym mu pozwoliła, wykorzystałby to do wymigiwania się od innych obowiązków.

Kiwnął głową.

– Jasne.

– Jeślibym miała jakieś problemy, wystarczy, że cię zawołam, a ty się pojawisz, tak?

– Dokładnie. Zawsze i wszędzie.

– Świetnie.

Miałam zamiar uwolnić się od jego towarzystwa, ale wpatrywał się we mnie

intensywnie.

– Czego?

– Zwróciłaś uwagę na zabezpieczenia, nie? – zapytał. – Gdybyś musiała zresetować system, wbudowali w niego na stałe rozpoznawanie gestów. – Zaczął się poruszać w powietrzu, sięgając do piersi, przekręcając coś i wyciągając. Wyglądało to idiotycznie.

– Posłuchaj, Kenny, mam ciebie, tak? Albo doktora Simmonsa, a gdyby wszystko zawiodło, wezwę tę prokurę, zgadza się?

Przerwał w połowie to, co robił.

– Jasne, oczywiście.

– Tylko zajmij się wszystkim, okay?

– Okay, szefowo.

– A teraz nastaw to, proszę, na usuwanie wszystkich reklam, tak jak przepisał mi lekarz.

Na chwilę zapadła cisza, bo Kenny rozmawiał z prokurą po swojej stronie.

– Wszystko załatwione – rzucił szybko. Uśmiechnął się i uniósł brwi.

Faktycznie szybko. Musiałam przyznać, że spodobał mi się pomysł niekorzystania już nigdy więcej z komórkowej słuchawki, a nowa technologia wyglądała imponująco, nawet po jednej sesji z prokurą.

Pożegnałam się machnięciem ręki z Kennym i usiadłam z powrotem na sofie, pozwalając Panu Tweedlesowi zwinąć się w kłębek na kolanach. Drapałam go za uchem i czułam, jak mruczy, a potem boleśnie zdałam sobie sprawę, że Alex już nigdy nie przyjdzie. *Zostaliśmy sami Panie Tweedles.*

5

Następnego ranka obudziłam się wcześniej, dziwnie wypoczęta. O tej porze roku wschodzące słońce wciskało się w zaułek między sąsiednimi budynkami i rzucało radosne promienie w okno sypialni. Wpatrywałam się sennie w drobinki kurzu obracające się i opadające w słońcu wlewającym się przez szpary w roletach. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czułam się odprężona. Coś się zmieniło, ale co?

A potem powoli, bardzo powoli zaczęły docierać do mnie coraz głośniejsze odgłosy świata, wypełniając tę przestrzeń mojej świadomości, którą wypełniały wcześniej. Domyśliłam się, że interfejs psis ściszył je, kiedy spałam.

Rozbudzona, zrzuciłam z siebie pościel. Czas stawić czoło wyzwaniom dnia! Opuściłam nogi na podłogę i zawołałam Pana Tweedlesa, który przydreptał, żeby się pocierać. Pochyliłam się i pogłaskałam kota, a potem przeciągnęłam się i ziewnęłam, siedząc przez chwilę na krawędzi łóżka, zbierając się do rozpoczęcia dnia, wkładając pantofle i szlafrok. Podniosłam Pana Tweedlesa, wstałam i poszłam do kuchni, chwytając po drodze czekającą już filiżankę kawy.

Kiedy szukałam holograficznego pilota w półmisku śmieci stojącym na środku kuchennej lady, poranne wiadomości Phuture News Network włączyły się same z siebie na przeciwległej ścianie salonu. Mrugnęłam zaskoczona i doszłam do wniosku, że to kolejna właściwość nowego system psis.

Na ekranie migotała wiadomość. Znów dzwoniła Mary. Zwykle niezbyt szybko zawieram przyjaźnie, ale kiedy przed kilkoma miesiącami poznałam w kawiarni Mary, natychmiast przypadłyśmy sobie do gustu. Zaprzyjaźniłyśmy się w dość krótkim czasie, niestety później, kiedy poznałyśmy się lepiej, Mary zaczęła mnie irytować. Uznałam, że jest małą hipokrytką. Zignorowałam wiadomość.

Usiadłam na stołku przy blacie, przesunęłam miseczkę rozpuszczalnych

płatków pod kran, z którego trysnął na krótko wrzątek, wypełniając naczynie do pożądanego poziomu. Mieszałam nieuważnie płatki, oglądając w Phuture News zapowiedzi wydarzeń dnia.

Ten nowy ekran psis był olśniewający! Wszystko wyświetlało się na nim tak realistycznie, że wydawało mi się, że mogę wstać i wejść wprost z salonu w to, co akurat oglądałam. W tej chwili był to wirujący nad Atlantykiem układ burzowy, podążający z niszczycielską siłą ku jakiejś nieszczęsnej karaibskiej wysepce. Obraz był znacznie lepszy niż na starym ekranie holograficznym i znacznie lepszy od systemów wymagających szkieł kontaktowych, które mnie uwierały i wywoływały ból głowy.

„Pod koniec tygodnia”, przewidywał meteorolog Phuture News, dryfujący z boku ekranu, „tropikalna burza Ignacia zamieni się w huragan i stanie się trzecim co do wielkości kataklizmem bieżącej pory roku”. Przewidywali, że Ignacia dotrze aż do naszego wybrzeża i zagrozi Nowemu Jorkowi.

Nic nadzwyczajnego w tych czasach.

Na nakładce ekranu stacja Phuture News przedstawiała rychłe konflikty, do jakich dojdzie w wojnach klimatycznych, wraz z listą przewidywanych plag głodu i innych katastrof. Tylko o tym mówili. Nic dziwnego, że wszyscy cierpieli na lęki i depresje – pominąwszy nawet nieustanny krzyk reklam. Kiedy przedstawiano szczegóły dotyczące liczby ofiar i zniszczeń, jadłam obojętnie płatki.

– Dzień dobry. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że wyłączyłam w nocy uliczny hałas? Doszłam do wniosku, że dzięki temu będziesz lepiej spała.

Podniosłam głowę znad miseczki z płatkami. Moja prokura siedziała po drugiej stronie blatu, uderzająco opanowana w obcisłym, modnym, urzędowym kostiumie, z włosami upiętymi w ciasny kok. Wyglądała wspaniale! Płatki skapywały z łyżeczki, kiedy pożerałam ją wzrokiem, zdając sobie nagle sprawę z tego, że jestem zupełnie potargana.

– Pozwoliłam sobie również sporządzić podsumowanie wydarzeń na świecie, które miały miejsce, kiedy spałaś – dodała pogodnie.

Wbiłam w nią wzrok. Chciałam w spokoju zjeść płatki.

– Uważam, że wydarzenia te będą miały kluczowe znaczenie dla

wykonywanej przez ciebie pracy – ciągnęła, a przede mną na powiększonej przestrzeni ekranowej migotały jakieś obrazy. Odłożyłam łyżeczkę. – Przypuszczam, że zamiast rozmawiać, byłoby nam o wiele łatwiej, gdybyśmy połączyły moją subiektywną rzeczywistość z twoją...

– Posłuchaj! – przerwałam jej. – Zdecydowałam się na wypróbowanie tego systemu tylko po to, żeby zablokować reklamy. Domyślam się, że jesteś głównym interfejsem systemu, ale gadaj, proszę, z Kennym, okay? – Tak czy inaczej, doktor zabronił mi rozszczepiania świadomości, do czego prawdopodobnie sprowadzało się proponowane przez nią połączenie subiektywnych rzeczywistości.

Uśmiechnęła się.

– Oczywiście, Olympio. Przepraszam. Od tej pory będę łączyła się z Kennym, o ile nie polecisz mi inaczej.

Z tymi słowami zniknęła. Ta prokura działała mi na nerwy, ale przynajmniej ze mną nie dyskutowała. Wróciłam do płatków i Phuture News.

– Wyłącz wiadomości! – oznajmiłam, zastanawiając się, jak zareaguje na to system psis.

Ekran zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i znów pojawiła się moja ściana, ale system zostawił po sobie trwałą wizualną nakładkę, która była jednocześnie widzialna i niewidzialna. Na tym nowym nałożonym na ścianę ekranie podawano informacje o jakiejś nieuniknionej wojnie w Afryce.

– Może nie powinnam rozpoczynać dnia od Phuture News – mruknęłam głośno, a na pasku Phuture News u dołu ekranu natychmiast pojawiła się wiadomość, że z dziewięćdziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem będę rozpoczynała dzień od oglądania Phuture News. Roześmiałam się. System miał też poczucie humoru.

Podniosłam z lady nowe wydanie „Marketing Miracles”, jednego z niewielu wydawanych jeszcze w wersji papierowej czasopism, i zaczęłam je przeglądać. To dziwne. Coś mi się nie zgadzało.

W końcu zrozumiałam.

– Kenny! – rzuciłam w powietrze. – Mógłbyś wyłączyć blokowanie reklam?

Strony magazynu zaczęły się zmieniać na moich oczach, przesuwały się i rozpraszały, by ukazać mi się na nowo, tym razem z reklamami.

– Kenny, włącz jeszcze raz, proszę, blokowanie reklam.

Ilustracje i teksty na stronie szybko zmieniły kształt, a reklamy się rozplynęły.

Zdumiewające.

Kiedy się nad tym zastanawiałam, przypomniałam sobie, że podczas porannych wiadomości również nie widziałam sunących poprzez ekran reklam, nie było też przerw na bloki. Siedziałam wyprostowana i nasłuchiwałam odgłosów z zewnątrz. Słyszałam ruch i ludzki zgiełk, ale zniknęło gdzieś basowe dudnienie ulicznych szczekaczy i holoreklam.

Naprawdę zdumiewające.

6

– Gratuluję zwycięstwa, Olympio!

– Dziękuję, pani Mitchell – odpowiedziałam cicho. Wygraliśmy pierwszą fazę walki o konto Cognixa, a ja siedziałam obok jednej ze starszych współpracownic firmy, Antonii Mitchell.

Był to największy kontrakt, jaki kiedykolwiek zdobyła nasza firma, a ja stałam się w biurze kimś w rodzaju bohaterki. Nawet Bertram stał się ostatnio całkiem znośny.

Antonia uśmiechnęła się do mnie.

– Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać. Kontynuuj, proszę.

Głównym wydarzeniem dnia była transmitowana online konferencja prasowa Patricii Killiam, najślynniejszej i najczęściej udzielającej się w mediach uczonej z Cognixa. Konferencja odbywała się w którejś z sal posiedzeń na Atopii. Wielu dziennikarzy znajdowało się na wyspie wraz z Patricią, ale większość zainteresowanych, na przykład Antonia i ja, uczestniczyła w konferencji poprzez sieć.

Atopia to jedno z pływających państw-miast, położonych fizycznie na otwartym Oceanie Spokojnym, niezbyt daleko od wybrzeży Kalifornii. Opracowana przez Atopię technologia – którą my sprzedawaliśmy – miała zapewnić ludziom doskonałą rozszerzoną rzeczywistość. Oznaczało to, że dla mieszkańców Atopii odległość i przestrzeń już dawno przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Antonia uczestniczyła w konferencji za pomocą starszego, soczewkowego systemu wirtualnej rzeczywistości, ja natomiast korzystałam z nowego systemu psis.

Żeby zacząć przedstawienie, włączyłam dla dziennikarzy holograficzny promień światła.

„Wyobraź sobie”, zaczęła atrakcyjna młoda kobieta albo atrakcyjny młody mężczyzna – w zależności od preferencji widza – „że rano wspinasz się

w Himalajach, a kończysz dzień, plażując na Bahamach...”

Spacerowała po egzotycznej anonimowej plaży, uśmiechając się kojąco i przekonując nas, że to nie tylko możliwe, ale wręcz niezbędne, i to natychmiast. „Psisonika umożliwia podróżowanie w nieskończoność bez negatywnego wpływu na środowisko. Czeka cię największa zabawa bez zbędnego oprzyrządowania. Nikt z twojej chmury społecznej jeszcze czegoś takiego nie doświadczył!”

„I już nigdy niczego nie zapomnisz”, roześmiała się, przypominając nam o tym, co zdołaliśmy zapomnieć. „Nikt nigdy nie będzie się musiał kłócić o to, kiedy coś powiedziano, kto to powiedział i dlaczego!”

Oddaliśmy się kontemplacji wszystkich nagromadzonych przez lata nieporozumień ze znajomymi, a jej twarz nagle spoważniała.

„Wyobraź sobie, że pracujesz wydajniej, nie chodząc tak często do pracy. Chcesz wrócić do formy? Twoja nowa prokura zabierze cię na przebieżkę, a ty w tym czasie będziesz się opalał przy basenie!”, dodała z emfazą, zatrzymując się, żeby spojrzeć wszystkim widzom w oczy. „Wyglądaj, jak chcesz, kiedy chcesz i gdzie chcesz, i żyj przy tym dłużej. Stwórz potrzebną ci rzeczywistość z atopijną psisoniką. Zapisz się od razu, za darmo!”

Kobieta zniknęła w obracającym się wolno logo Atopii, przedstawiającym piramidę z kulą na czubku. Zapadła krótka cisza, a Patricia pozwoliła widzom przetrwać to, co ujrzeli. Miała psisonikę w małym palcu, co nie powinno dziwić, bo poświęciła jej niemal całe życie.

– Więc jak dokładnie psisonika przysłuży się światu, czyniąc z niego lepsze miejsce? – zapytała atrakcyjna jasnowłosa reporterka z jakiejś rozrywkowej franszyzy.

Zauważyłam, że Patricia przewróciła oczami. Nie lubiła terminu psisonika, uważała go za niepotrzebny wygłup. Na moim ekranie pojawiło się imię jasnowłosej reporterki: Ginny.

– No cóż, Ginny, osobiście wolę używać terminu „polisyntetyczny interfejs sensoryczny” czy też po prostu „psis” – odpowiedziała Patricia, oddzielając się od własnego ciała.

Komputerowy obraz Patricii dryfował nad nią samą i odpowiadał na pytanie reporterki, a jej prokura wędrowała pod projekcją. Nikt nawet nie mrugnął

okiem. W tych czasach trudno ich było czymkolwiek zadziwić.

– Tutaj na Atopii udowodniliśmy, że ludzi uszczęśliwiają nie tylko dobra materialne: dobra wirtualne sprawiają im równie wielką radość. Wystarczy zadbać o odpowiedni... odpowiednio rzeczywisty poziom stymulacji.

Wszyscy kiwali głowami. Słyszeli to już wcześniej – podobnie jak ja – dziesiątki razy i być może dlatego właśnie zastanawiałam się, jak psis zmienił moje życie. Z pewnością byłam bardziej wypoczęta i rozważałam nawet skontaktowanie się z Alexem, choćby po to, żeby porozmawiać.

– A teraz, jeśli pozwolicie – kontynuowała Patricia – chciałbym zabrać wszystkich, którzy się na to zgodzili, na test naszej nowej katapulty.

To „jeśli pozwolicie” było czystą formalnością, bo wszyscy podpisali wcześniej stosowne oświadczenie, ale teraz i tak kiwali głowami. Patricia przejęła kontrolę nad naszym wspólnym punktem widzenia i z oszałamiającą prędkością wystrzeliła nas przez sufit sali konferencyjnej ponad wyspę. Pędziliśmy ku niebu, a zielona kropka Atopii uciekała pod naszymi stopami pośród błękitu Pacyfiku.

– By odpowiedzieć na pytanie postawione przez Ginny: psis zmieni świat, uwalniając go od destrukcyjnej, wiodącej w dół spirali konsumpcji materialnej i wprowadzając ludzkość do czystego świata konsumpcji syntetycznej.

Nasz wspólny punkt widzenia zaczął zwalniać, gdyż zbliżaliśmy się do krawędzi kosmosu. Daleko rozpościerał się zakrzywiony horyzont Ziemi, a za nim oceany. Właśnie wschodziło słońce.

– Tę planetę niszczy dziesięć miliardów ludzi wydzierających sobie skrawek materialnego marzenia. Psis jest rozwiązaniem, które zatrzyma nas nad krawędzią przepaści!

Jej konkluzji towarzyszył narastający ryk piekielnej pożogi, którą katapulta wypełniła przestrzeń wokół nas. W tle rozległy się głośne oklaski dziennikarzy.

Nigdy nie mieli dość.

7

To był długi dzień. Kiedy dobiegł końca, zapadała już noc, a ja czułam obezwładniający ból głowy, który właśnie odgrywał grzmiący finał. Po kilku tygodniach bezproblemowej żeglugi po koncie Cognixa trafiliśmy na pierwszy poważny wybój w postaci katastrofalnego debiutu powiązanego z Cognixem projektu o nazwie Infinixx.

Działaliśmy w trybie kryzysowym, a jakby tego było mało, Bertram znów zrobił z siebie pośmiewisko, pojawiając się w którymś z tych swoich absurdalnych kostiumów. Kiedy pociłam się nad rozwiązaniem kolejnego problemu, ten jak gdyby nigdy nic przechadzał się po biurze sekretarek i wybierał sobie nową słodką idiotkę do poderwania.

Między mną a Bertramem doszło do poważnej kłótni na temat tego, kogo wykorzystywać w mediach w celach marketingowych: Patricię czy młodego chłopaka z Atopii o imieniu Jimmy. Trwałam niewzruszenie przy Patricii, natomiast Bertram był przekonany, że powinniśmy skorzystać z nowej, młodszej twarzy. Antonia stała po mojej stronie, ale Bertram znalazł sprzymierzeńców wśród innych starszych wspólników.

Wszyscy i wszystko w biurze działało mi na nerwy, więc co godzinę wymykałam się na dwór na papierosa, żeby od tego uciec.

Alex zaczął spotykać się z moją niby-przyjaciółką Mary. Czy przyjaciółki tak postępują? Nie potrafiłam przestać o nich myśleć, choć zablokowałam przychodzące od obojga wiadomości i usunęłam ich z mojej społecznej chmury. Wyjęłam z szuflady biurka garść środków przeciwbólowych i wstałam, żeby w końcu stąd wyjść. Połknęłam tabletki bez popicia i przez olbrzymie mosiężno-szklane drzwi naszego biurowca wyszłam na Piątą Aleję.

Rozmyślając, jak wykaraskać się z bałaganu po Infinixxie, przystanąłam nagle, podziwiając nowy obraz miasta. Mrugnęłam powiekami i uniosłam wzrok ponad falujące wokół mnie ludzkie morze. Wszystko wyglądało tak,

jakby warstwa hałaśliwych jarzeniowych brudów została starta ręką Boga – reklamy zniknęły, jakby nigdy ich tutaj nie było.

Widziałam wreszcie otaczające mnie budynki.

Z zadartą głową zanurzyłam się w strumień pieszych i rozglądałam ze zdumieniem, podziwiając nieznane wcześniej widoki, przesłonięte od zawsze billboardami i hologramami. Nurt niósł mnie Piątą Aleją do Central Parku, powędrowałam rozmarzona wokół jego obrzeży, patrząc na miasto, jakbym odzyskała wzrok.

Korzystałam z psis już od jakiegoś czasu, ale Nowy Jork bez reklam nie przestawał mnie zdumiewać. Czułam się odprężona, ból głowy ustępował, postanowiłam więc zrobić coś dla zdrowia i wrócić do domu piechotą.

Zapadające ciemności okazały się czymś, do czego również nie byłam przyzwyczajona. Jeszcze niedawno ulice i chodniki jarzyły się od reklam. Zbliżałam się do domu, rozglądając się i zadzierając głowę, i mało się nie przewróciłam, potknąwszy się o rozciągniętego wzdłuż chodnika włóczkę. Smród, jaki wokół siebie roztaczał, powinien był mnie ostrzec, ale zwiódł mnie ciemności i rozbiegane oczy.

– Paniusiu, paniusiu! Uważaj!

Spojrzałam w dół w samą porę i zatańczyłam niezdarnie nad brudnym mężczyzną u mych stóp, przewracając jego miseczkę na datki. Nikt z mijających nas przechodniów nawet nie zwrócił na to uwagi.

Skulił się, kiedy go przesłakiwałam, a potem rzucił się na czworakach, żeby zbierać porozrzucane przeze mnie banknoty, miotając się to w jedną, to w drugą stronę między nogami rozpędzonych ludzi.

Niepowodzenia całego dnia i czający się gdzieś z tyłu głowy ból wzięły górę. Założę się, że jest tu nielegalnie! Co on tu robi, zaśmiecając moją okolicę?

– Z drogi!

Spojrzał na mnie. Spodziewałam się, że łypnie na mnie wilkiem, ale tylko popatrzył ze smutkiem.

– Myślisz, że jesteś ważna, paniusiu, co nie? Ja też kiedyś byłem maklerem giełdowym.

Ludzie mknęli przed siebie, kiedy mierzyliśmy się wzrokiem. Przyglądał mi się bez złości. Chyba nie miał zamiaru się rozpłakać? Litość i odraza toczyły we

mnie bój, sięgnęłam więc do kieszeni, ale nie miałam drobnych. Kto w tych czasach nosi przy sobie pieniądze? Chciałam zwyczajnie uciec, więc odwróciłam się na pięcie i włączyłam do ruchu pieszych.

– Powinnaś bardziej uważać, paniusiu! Życie lubi rzucać podkręcone piłki! – słyszałam za sobą jego cichnący głos.

Zadrzałam. W tej samej chwili usłyszałam sygnał od Kenny'ego.

– Tak? – zapytałam głośno, uszczęśliwiona, że będę mogła zająć się czymś innym.

Kenny pojawił się obok i teraz maszerował ze mną krok w krok.

– Niewiele brakowało.

– Do czego niewiele brakowało? – Czy on mnie szpiegował?

– Żeby ten włóczęga złamał ci nogę w kolanie.

– Skąd wiesz, co się stało? – To spotkanie z włóczęgą rozdrażniło mnie, napełniło nieokreślonym lękiem, którego nie potrafiłam zidentyfikować.

– Twój system psis automatycznie wykrywa zagrożenia, a ponieważ mam dostęp do kodu źródłowego, na moim ekranie pojawiło się ostrzeżenie – odpowiedział pojednawczo. – Wiesz, że masz automatyczny system unikania kolizji, który możesz aktywować...

– Nie szpiegujesz mnie za pomocą tego czegoś, nie?

– To był tylko alert! – zaprotestował Kenny, którego projekcja wykonywała uniki i omijała pieszych, żeby dotrzymać mi kroku. – Jako administrator kodu źródłowego dostaję od systemu ostrzeżenia i pomyślałem, będzie ci potrzebna pomoc.

Spojrzałam na niego uważnie.

– Więc zostałeś administratorem? Mówiłeś, zdaje się, że to niemożliwe?

To była dobra wiadomość. Miałam mnóstwo poważniejszych spraw na głowie.

– Ktoś autoryzował to w ramach testów systemu i dał nam obejście.

Prawdopodobnie dlatego, że Kenny trzyma z nimi sztamę.

– To dobrze.

Przynajmniej coś się udało. Kenny mierzył mnie wzrokiem, a ja, mrużąc oczy, wpatrywałam się w ciemność. Domyślałam się, że ma coś jeszcze do powiedzenia.

– Co?

– Chcesz, żebym ulepszył ci zdolność widzenia? – zapytał. – Za pomocą psis mogę wyregulować ci postrzeganie jasności, a nawet zoptymalizować kontrast. Nie byłam zachwycona tym czymś, co kontrolowało moje ciało, ale propozycja wydała mi się rozsądna.

– Jasne.

Sceneria wokół mnie natychmiast pojaśniała, wyostrzyły się krawędzie. Wiedziałam, że na dworze jest ciemno, ale ujrzałam wszystko doskonale, a nawet ostrzej niż w świetle dnia.

– Kenny... to naprawdę świetne! – mruknęłam po chwili. – Dobrze się spisałeś.

Ucieszył się z moich pochwał jak dziecko.

– Możesz mi wierzyć lub nie, ale system pozwala również na filtrowanie włóczęgów – dodał. – Mogę także usunąć ci śmieci i brud z ulicy albo pozbyć się graffiti ze ścian. System ma wiele „skórek”, które można nakładać na rzeczywistość. Musielibyśmy jednak włączyć pewne funkcje kinestetyczne.

Skręciliśmy w Siedemdziesiątą Piątą, moją ulicę. Przy rogu kawałek dalej kręciło się kilku żebrzących o pieniądze bezdomnych. Natychmiast przypomniałam sobie włóczęgę, przez którego niemal się przewróciłam, i poczułam ucisk w piersi.

– Dobra, spróbujmy.

Prawie w tej samej chwili żebracy rozplynęli się w powietrzu, a ze ścian budynków zniknęło graffiti. Chodnik pod moimi stopami zaśnił czystością, jakby niedawno polano go wodą.

– Jak ci się to podoba? – zapytał Kenny.

Przystanęłam.

– Zdumiewające.

To rzeczywiście było zdumiewające. Moja okolica! Tylko w lepszej wersji, wysprzątana do czysta!

Ale jeśli ich nie widzę, to...

– Co się stanie, jeśli na nich wpadnę?

– Włączyłem funkcję kinestetyczną, która nie pozwoli ci na nich wpaść – wyjaśnił Kenny. – Kierujesz swoim ciałem, ale system stawia za ciebie kroki.

Modyfikuje to, co widzisz, żebyś nie zauważyła, że idziesz okrężną drogą, którą wytycza funkcja kinestetyczna.

Kiwnęłam głową. Oczywiście czytałam o tym wszystkim, ale doświadczanie tego na własnej skórze było czymś zupełnie innym.

Kątem oka dostrzegłam przechodzącego nieco dalej robota.

– Czy mógłbyś również usunąć mi z oczu wszystkie roboty, o ile, rzecz jasna, nie będą zwracać się wprost do mnie? – Roboty wciąż mnie irytowały. Przyszedł mi do głowy jeszcze jeden pomysł. – Usuń też, proszę, wszystkie pary trzymające się za ręce.

Być może nie powinnam wspominać o tym właśnie jemu, ale palnęłam to niemal bez zastanowienia. Kenny kiwnął głową, a ja zdałam sobie sprawę, że jest prawdopodobnie jedyną osobą, którą mogę uznać za przyjaciela.

– Załatwione – powiedział po paru sekundach. – Więc tak wygląda nowy system psis, który chce sprzedawać Cognix, hm?

Byłam zajęta sobą i podziwianiem nowego wyglądu mojego sąsiedztwa, ale niewinna uwaga Kenny'ego o Cognixie sprowadziła mnie boleśnie na ziemię. Miałam nerwy w strzępach.

– Nie wiem, Kenny, choć z pewnością będą wkrótce rozdawać system za darmo, więc pobawisz się psis, ile dusza zapragnie. Zadbam o to, żebyś znalazł się na pierwszym miejscu na liście uprawnionych.

– Klawo. – Ujrzałam ekranową nakładkę, na której włączał przekaz medialny od Patricii Killiam.

8

W Nowym Jorku można oszaleć, szczególnie kiedy ma się w pracy zły dzień, a ten był najgorszy. Przez cały poprzedni tydzień niemal spałam w biurze, przygotowując sterty nowych materiałów do premiery Cognixa. Debiut systemu miał nastąpić jednocześnie na całym świecie i towarzyszyła mu największa kampania medialna w dziejach, a nas ogarnęła gorączka przygotowań.

Do Atopii zbliżały się sztormy szalejące nad wschodnim Pacyfikiem. W tych czasach huragany nie były same w sobie niczym niezwykłym i nie mogły zagrozić w żaden sposób wyspiarskiemu państwu, ale Atopia z niewyjaśnionych przyczyn zbliżała się coraz bardziej do Ameryki. Za bardzo, jak mówili niektórzy. Sami Atopijczycy nie przedstawiali żadnych wyjaśnień, dlaczego tak się dzieje.

Musieliśmy zmienić to w jakiś pozytywny przekaz, nie mówiąc już o wszystkim innym, co się działo.

Kenny włączył w moim psis takie filtry, że nie musiałam oglądać Bertrama i tych ździr z działu sekretarek, o ile któreś z nich nie zwróciło się do mnie bezpośrednio. Na początku działało to świetnie, ale z każdym dniem i narastającym napięciem coraz bardziej wściekałam się dosłownie na wszystkich.

Najgorsze wydarzyło się pod koniec tygodnia.

– Olympio – zwrócił się do mnie zdalnie Roger. – Czy mogłabyś do mnie przyjść?

Zapadały ostateczne decyzje w sprawie konta Cognixa i byłam podenerwowana. Stara szkoła i nowa szkoła ścierały się w bitwie, która rozgorzała między Bertramem a mną, a od tego, kto odniesie zwycięstwo, zależały, jak mi się wydawało, dalsze losy mojej kariery.

Wyłączyłam kanał plotkarski Phuture News, zebrałam materiały Cognixa

i wysłałam je do sali konferencyjnej, zamknęłam moje miejsce pracy i zbierałam się do wyjścia. Poprawiłam fryzurę, obojętnie strzepnęłam jakiś pyłek z ramienia i spojrzałam na ścianę budynku oddalonego od mojego okna o jakieś dziesięć stóp.

Ujrzałam własne odbicie w szybie na tle starych obtłuczonych cegieł. *Mój Boże, czy to ja? Naprawdę jestem taka stara?* Długie jasne włosy – duma młodości – sięgały mi postrzępione i potargane do ramion. Nawet stąd widziałam zmarszczki na twarzy. Zawsze byłam szczupła, ale moje odbicie wyglądało na zagłodzone. Serce załomotało mi w piersi, a każdy jego skurcz posyłał krew przez arterie aż do najmniejszych naczyń – skoczyło mi ciśnienie.

Spróbowałam odetchnąć głębiej, ale nie mogłam wciągnąć powietrza, czując ucisk w żebrach. Na czole pojawiły się kropelki potu.

Otrząśnij się z tego, idź z nimi walczyć. Przed oczami stanął mi ten włóczęga z ulicy i opuściłam głowę.

Jesteś menadżerką najwyższej klasy, królową Nowego Jorku. Masz oszczędności, ważnych przyjaciół, własny dom. Masz nawet Pana Tweedlesa. Uśmiechnęłam się na tę myśl. Doktor miał rację. Stres mnie dobija.

Westchnęłam ciężko, opanowałam się i ruszyłam ku drzwiom. Wszystko będzie dobrze.

Przeszłam korytarzem do sali konferencyjnej i ku memu zaskoczeniu nie ujrzałam na ścianie holograficznej projekcji naszych klientów z Cognixa – Patricii Killiam i innych. Roger i Bertram siedzieli po drugiej stronie długiego stołu i wbijali we mnie wzrok.

Wysunęłam krzesło naprzeciw nich, a następnie oparłam się o stół, czując narastającą złość – dobrze znaną przyjaciółkę.

– O co chodzi, chłopaki? – rzuciłam wyzywająco.

– Olympio, cieszymy się, że z nami jesteś – zaczął Roger, rozpościerając dłonie, którymi podpierał podbródek.

Jęknęłam głośno.

– O co chodzi? Przestań pieprzyć. Przegraliśmy ostatnią fazę?

– Nie – oznajmił z wyraźnym brakiem entuzjazmu. – W zasadzie wygraliśmy.

– Więc w czym problem?

– Nie ma żadnego problemu. W gruncie rzeczy chcemy wykorzystać

wszystkie przygotowane przez ciebie materiały. Świetnie się spisałaś!

– No dobrze... – odpowiedziałam ostrożnie, opuszczając ramiona.

– Ale...

– Ale co?

– Postanowiliśmy... eee... a w zasadzie nasz klient chce... – Roger odkaszlnął i przetarł dłonią twarz. – Chcemy, żeby Bertram kierował tym kontem. Będziesz mu podlegała. Wprowadzisz go w kulisy, no wiesz, jesteś w tym ekspertką.

Uśmiechnął się do mnie kwaśno, a Bertram się rozpromienił. Bomba zegarowa, którą w sobie nosiłam, wybuchła.

– Oszaleliście! – ryknęłam do nich obu.

Bertram poruszył się na krześle, wyraźnie usatysfakcjonowany tym widowiskiem, jego szeroki uśmiech dryfował obojętnie w mojej nabiegłej krwi wizji. Czułam, że się duszę. Ścisnęłam blat pobielającymi palcami, wszystko pływało mi przed oczyma.

– Czy to ma coś wspólnego z moją niezgodą na wykorzystanie tego dzieciaka, Jimmy’ego, zamiast Patricii?

– Absolutnie nie – odparł z uśmiechem Bertram. Nie wierzyłam mu.

– Olympio, posłuchaj, wiem, jak się czujesz – odezwał się błagalnie mój szef.

– Ale możesz się wiele nauczyć od Bertrama. Spójrz, jaki jest spokojny i opanowany. – Odwrócił ku niemu głowę. – Nie ma pośpiechu. Weź sobie wolne w przyszłym tygodniu, płatny urlop, i przemyśl wszystko.

Wbiłam wzrok w blat stołu, usiłując się opanować.

– W porządku – mruknęłam bez tchu. Tego starcia już nie wygram. – Cieszę się, że mamy kontrakt, panie dyrektorze. A mnie rzeczywiście przyda się krótki urlop.

– Widzisz! – Roger rozpromienił się. – O takiego ducha nam chodzi! Weź tyle urlopu, ile ci będzie trzeba, Olympio, i wróć do nas w szczytowej formie. Czeka nas poważna robota.

Tak, pomyślałam, czeka nas poważna robota.



Wyszłam wcześniej i wróciłam szybko do domu. Kiedy zaczynał zapadać zmrok, zwinięta na sofie kończyłam właśnie z Panem Tweedlesem drugą butelkę wina. Na dworze się rozpadało i przez duże wykuszowe okno widziałam, jak wiatr miotał ulewą po ulicach.

Po wypiciu wina nie mogłam się skoncentrować na pisaniu nowego romansu, który właśnie zaczęłam. Nieustannie wracałam myślami do spiskowania przeciw Bertramowi.

Pan Tweedles zaczął mrużyć i ocierać się o mnie. Lubiłam, kiedy się do mnie przytulał, ale przewrócił się na grzbiet, prosząc o drapanie po brzuchu. Posłuchałam kocura, który za moje wysiłki wynagrodził mnie pazurami. Skopałam niewdzięczne puchate stworzenie z sofy.

Westchnąwszy, zażyłam tabletkę na sen i popiłam ją winem. Zapaliłam ostatniego papierosa i przywołałam Kenny'ego.

– Tak, psze pani? – odpowiedział natychmiast, ukazując się z dyplomatycznym uśmiechem na moim podstawowym ekranie. Byłam pewna, że usłyszał już o moim drobnym incydencie z Rogerem i Bertramem. Założę się, że plotkowano o mnie w biurze.

Ja im jeszcze pokażę!

– Kenny, posłuchaj, czy mógłbyś ustawić mój psis w taki sposób, żeby filtrował wszystko, co mnie irytuje? Dopóki nie każę ci tego zmienić? – Mam wolne, myślałam, dlaczego nie wykorzystać w całej pełni narzędzi, które oddano mi do dyspozycji?

– Jasne – rzucił. – Chyba mogę to zrobić.

– Dam ci znać, gdybym czegoś potrzebowała, okay?

– W porządku, nie ma problemu – odparł, a potem dodał: – Hej, miłych wakacji!

Czy to sarkazm?

Wyłączyłam go bez słowa z przestrzeni sensorycznej, wstałam z sofy – rety, pomyślałam, jestem bardziej pijana niż mi się wydawało – i poszłam do sypialni, by paść.

9

Oj, ależ boli mnie głowa!

Wstałam z łóżka, słaniając się na nogach, i odczekałam chwilę, aż mój zamglony wzrok przywyknie do półmroku w sypialni. Było jeszcze wczesnie. Chwila... jest sobota... nie muszę iść do pracy... Odzyskiwałam pamięć i uprzytomniłam sobie, że mam wolne przez cały następny tydzień, a może nawet dłużej. Położyłam się z powrotem. Przywołałam cicho Pana Tweedlesa.

– Kici, kici...

Nie przyszedł. Zasnęłam.

Wydawało mi się, że minęła tylko chwila, kiedy jednak otworzyłam oczy, pokój zalewało jaskrawe światło. Wskoczyłam z łóżka i pobiegłam do kuchni po szklanek wody.

Pan Tweedles gdzieś się zapodział. W nagłym ataku paniki usiłowałam sobie przypomnieć, czy nie wypuściłam go przypadkiem poprzedniego wieczoru na dwór. Zazwyczaj tego nie robię, ale byłam trochę wstawiona. Wyjrzałam przez frontowe drzwi i okna; kota nigdzie nie było. Może się obraził i gdzieś zaszył? Przypomniałam sobie z poczuciem winy, że wykopałam go z sofy.

Może powinnam pójść pobiegać?

Ta myśl przywróciła mi chęć do życia. Nic tak nie rozpała wyobraźni jak dobra przebieżka, a w głowie roilo mi się już od pomysłów, jak zemścić się na Bertramie. Jeśli Pan Tweedles jest na dworze, wróci, kiedy skończę biegać, a jeśli się obraził i ukrył, wybacz mi do tego czasu.

Powędrowałam z powrotem do sypialni i włożyłam strój do biegania. Po paru chwilach zeszkakiwałam już frontowymi schodami. Wciągnęłam w płuca chłodne poranne powietrze, delektując się rześką wilgocią po wczorajszym deszczu, którego pozostałości wysychały w przedpołudniowym słońcu.

Podziwiałam okolicę bez jakichkolwiek reklam, lśniące ulice, czyste ściany domów. Żaden włóczęga nie psuł mi widoku i nie wzbudzał wyrzutów

sumienia. Było idealnie. Biegłam Siedemdziesiątą Piątą w stronę Central Parku.

Ale stopniowo zaczęłam zdawać sobie sprawę, że coś jest nie tak.

Na ulicach w ogóle nie było ludzi, a nawet samochodów! Było co prawda sobotnie przedpołudnie, ale mimo wszystko... Kiedy dobiegłam do narożnika parku, doszłam do wniosku, że powinnam skontaktować się z Kennym, żeby sprawdził, czy mój system psis działa poprawnie.

– Kenny, czy mógłbyś sprawdzić mój psis?

Cisza. Zwolniłam. Może Kenny też ma kaca?

– Kenny! – przywołałam go ponownie, zatrzymując się i czekając, aż się pojawi. – Kenny! – krzyknęłam, a zaraz potem wrzasnęłam na całe gardło: – Kenny!

Mój głos odbijał się echem po pustym parku.

Wszędzie panowała cisza, jeśli nie liczyć skrzeczących gdzieś mew. Obróciłam się na pięcie i puściłam sprintem z powrotem do domu, wywołując po drodze znajomych.

– Interfejs psis! – krzyknęłam wreszcie w biegu.

Żadnej reakcji.

– Doktorze Simmons! – zawołałam błagalnie, ale bez rezultatu.

Może mój psis się zepsuł? *Skorzystam z komórki!* Wpadłam do domu, chwyciłam torebkę i zaczęłam szukać słuchawki. Włożyłam ją do ucha i zaczęłam dzwonić. Wciąż nic.

Poczułam w trzewiach strach i w panice wybiegłam na dwór z torebką w ręku.

Przy krawężniku stały samochody, ale nikt nimi nie jeździł – nigdzie nie było ludzi. Ani śladu po Panu Tweedlesie! Jak to możliwe, że idę środkiem Siedemdziesiątej Piątej Ulicy i nikogo nie widzę, nigdzie!?

Biłam się z myślami. Wczoraj wieczorem kazałam Kenny’emu ustawić system w taki sposób, żeby kasował wszystko, co mnie irytuje. Wcześniej oddałam mu jako administratorowi kontrolę nad kodem źródłowym, a ostatnio Kenny mnie denerwował, podobnie zresztą jak doktor.

Mój Boże, co ja zrobiłam!

Biegłam ulicą, z oczu płynęły mi łzy, ból między żebrami narastał.

Do biura, pomyślałam. Ktoś musi tam być, mimo weekendu. Wpuszczą mnie, naprawią to wszystko. Rozbolały mnie nogi, więc zwolniłam. To jakiś absurd! Nie panikuj. Zachowaj spokój, mówiłam sobie.

W końcu przeszłam ostatnią przecnicę przed naszym biurem i skręciłam za róg, usiłując sobie wmówić, że za chwilę wszyscy będziemy się z tego śmiali. A potem stanęło mi serce. Wieżowiec, w którym mieściła się nasza firma, zniknął, a na jego miejscu wznosiła się jakaś inna sztuczna budowla – podobna i jednocześnie niepodobna do naszego drapacza chmur.

Rozpłakałam się. Praca mnie irytowała – to oczywiste. W zasadzie wszystko i wszyscy mnie irytowali.

– Błagam, niech mi ktoś pomoże! Utknęłam w psis! Proszę, pomóżcie mi! – wołałam na pustej ulicy, zupełnie sama w najgęściej zaludnionym mieście świata.

10

Początkowo wędrowałam pustymi ulicami Nowego Jorku. Z rozpaczy wsiadłam do Nowojorskiej Pasażerskiej Lukstorki – która jeździła zgodnie z rozkładem, ale bez pasażerów – i pojechałam do San Francisco. Ale zamglone miasto było tak wyludnione jak Nowy Jork.

Przez kilka pierwszych dni usiłowałam przypomnieć sobie gest dezaktywacyjny, który chciał mi pokazać Kenny, wbudowany w system reset, ale nie zapamiętałam go, nie zwróciłam nań uwagi. Jak wyglądała ta sekwencja? Jak wyglądały ruchy?

Wędrując po ulicach, wyciągałam coś z piersi i drapałam się po nich, przekręcałam coś, obracałam czymś, wypowiadając przypadkowe słowa, mając nadzieję, że system się dezaktywuje. Ale nic się nie zmieniało. Z narastającym przerażeniem uświadamiałam sobie, że jestem być może jedyną żyjącą osobą – ostatnim człowiekiem na Ziemi, a przynajmniej ostatnim człowiekiem w tej wersji Ziemi, w jakiej się na własną prośbę znalazłam.

Przystanęłam na końcu mola Fisherman's Wharf. Na molo zawsze było pełno turystów, ale teraz i ono stało puste.

Otworzyłam torebkę i spojrzałam na leżącą w niej paczkę papierosów. Papierosy nigdy się nie kończyły. Bez względu na to, ile wypalałam, paczka zawsze była pełna, kiedy otwierałam torebkę. Próbowałam w złości wyrzucić papierosy, wszystko na nic, paczka leżała na swoim miejscu, kiedy znów dopadał mnie głód nikotyny. Drżącymi dłońmi wyjęłam papierosa i zapaliłam, zdając sobie sprawę, że palę jakieś wirtualne nic – ale i tak nie mogłam przestać.

Zagłębiałam w każdy kąt, próbowałam wszystkiego. Nie musiałam mieć żadnego bagażu w podróży, bo wybierałam ubrania – jakie tylko chciałam – prosto z półek pustych domów towarowych. Sklepy i restauracje były zawsze otwarte, dokądkolwiek poszłam, ale zupełnie wyludnione. Początkowo, kiedy

zaczynał doskwierać mi głód, chwytalam jedzenie z półek w sklepach na rogach ulic. Potem przekonałam się, że gdy tylko miałam na coś ochotę, mogłam wejść do restauracji, gdzie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki czekał na mnie posiłek, wystarczyło usiąść i jeść w samotności.

Wszystkie media wciąż nadawały, ale wiadomości wypełniały rodzinne historie – o spotkaniach po latach, o odnalezionych zaginionych dzieciach. Popołudniami siadałam sama w kinie, oglądając niekończące się powtórki starych filmów o miłości.

Czy te sprytocyty nie miały przypadkiem wypłukać się z mojego organizmu po jakimś czasie? Ktoś w końcu domyśli się, że coś jest ze mną nie tak, ktoś mnie ocali, a wtedy wszystko skończy się tak nagle, jak się zaczęło.

Czyżby?

Coś było nie tak z tym systemem psis – nie działał tak, jak powinien. Poszłam do sierocińca w Nowym Jorku, gdzie pracowałam jako wolontariuszka, ale sierocińca nie było. Przecież dzieci mnie nie irytowały, prawda? Nie byłam pewna... Może byłam wściekła na wszystkich, wściekła na świat? Tyle że teraz już nie, więc dlaczego ludzie nie pojawiali się na powrót w mojej sensorycznej przestrzeni? Byłam przerażona samotnością, rozpaczliwie chciałam zobaczyć kogokolwiek, obojętnie kogo.

11

Minęły tygodnie czy miesiące?

Nie miałam pojęcia. Moja psychika rozpadła się.

Jak długo to może trwać? Wracałam myślami do własnej kampanii marketingowej, w której podkreślałam, że główną zaletą rynkową psis jest to, że system obejmuje całe ludzkie życie. Czy to możliwe, że będę włączyła się po tym świecie sama przez całe lata i dziesięciolecia? Albo i dłużej?

Moje myśli obracały się gorączkowo wokół tej kwestii, nie mogąc jej zgłębić, rozdrapując krawędzie więzienia bez murów. Podejrzywałam, że system nie pozwoli mi nawet popełnić samobójstwa. Nie było ucieczki.

Moje wędrówki po świecie zawiodły mnie do Madrytu. Spacerowałam po parku Buen Retiro. Był tak samo pusty jak każde miejsce, w którym się znalazłam. Szłam między rzędami bezlistnych drzew po dywanie ze złocistego listowia spadającego z gałęzi jak łzy, jakby drzewa płakały nade mną. Był piękny dzień pod bezchmurnym niebem, początek jesieni.

Oczywiście byłby to piękny dzień, gdybym mogła się nim z kimś podzielić.

Wiele myślałam o Panu Tweedlesie. Wyobrażałam sobie, że widzę go wszędzie tam, gdzie akurat byłam – parę kroków przed sobą, mijającego latarnię. Czułam, jak ociera się o moje nogi, a potem się budziłam, uświadamiając sobie, że ciągle tkwię w koszmarze. Myślę, że ten kot był jedyną istotą, która mnie kochała. Miałam nadzieję, że ktoś się nim zaopiekował.

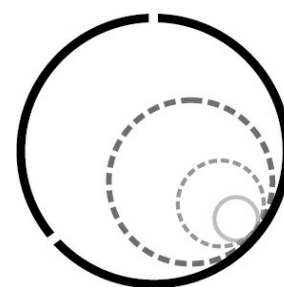
Moje życie nie dobiegło końca, ale pozbawione innych, przestało mieć jakikolwiek sens.

Przystanąłam pod Kryształowym Pałacem na środku parku i otworzyłam torebkę, żeby wyjąć z niej kolejnego papierosa. Zapaliłam, pochyliłam się, by podnieść liść ze żwirowej ścieżki. Przyjrzałam mu się uważnie i wybuchłam śmiechem, a potem się rozplakałam.

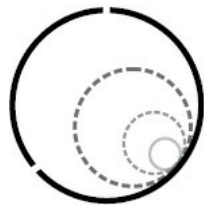
Wszędzie panował taki spokój. Czyż nie o tym zawsze marzyłam – żeby

zostać sama, żeby móc winić tylko siebie za wszystko i za wszystko tylko sobie dziękować? Mój płaczliwy śmiech odbijał się echem w pustce, oświetlonej porannym słońcem pod bezchmurnym, opustoszałym, błękitnym niebem.

DZIECIĘCE ZABAWY



Część II:
Komandor Rick Strong



1

Tożsamość: komandor Rick Strong

Na tej wysokości gwiazdy zaczynały przekłuwać igłami światła ciemnofioletowe niebo. Kiedy wzeszło słońce i poranek nastał w całej pełni, mglista warstwa ziemskiej atmosfery zabieliła mleczną krawędź zakrzywionego horyzontu.

Spoglądając w dół, rozpoznawałem Atopię migoczącą niczym odległy zielony klejnot pod postrzępionymi stratosferycznymi chmurami – opływały ją nieskończone oceany. Z tej wysokości Atopia przypomina lesistą wyspę o średnicy jednej mili, okoloną białymi plażami. Jedynymi widocznymi na powierzchni strukturami są pierścień okrążających wyspę torów elektromagnetycznych katapult oraz cztery lśniące wieże farm, wznoszące się na samym środku.

Wróciłem do pracy i jeszcze raz przeczesalem wzrokiem okolicę. Ciągle nic. Skierowałem spojrzenie na jeden z naszych dronów – gigantyczne stworzenie o pajęczynowatych skrzydłach, którego baterie słoneczne lśniły i odbijały poranne promienie gwiazdy w pustą przestrzeń. Podążyłem za nim teleportowanym punktem widzenia, przyglądając się potężnemu przezroczystemu śmigłu obracającemu się powoli raz za razem, popychającemu drona ku krawędzi kosmosu.

– Wystarczy? – zapytałem.

– Taa, myślę, że jest wystarczająco daleko – odpowiedział Echo, moja prokura.

– Bez pośpiechu. Upewnijmy się, że nic tam nie ma.

Delektowałem się leniwym lotem w dronie ponad szczytem świata. Wziąłem

głęboki oddech, przyglądając się refleksom słońca na morzach. Cisza i spokój. Powinienem tak latać częściej.

I właśnie wtedy mój nowo zainstalowany metazmysł uszczypnął mnie w kark.

Odwróciłem wzrok i ujrzałem Patricię Killiam oraz towarzyszącą jej podczas marketingowej prezentacji zgraję reporterów, unoszących się ponad Atopią. W powiększonej przestrzeni ekranowej każdy punkt widzenia mrugał i rozjaśniał się do stałej poświaty, gdy gromadzili się wokół poligonu. Wyglądali jak aureola maleńkich gwiazdeczek wiszących wraz ze mną dziewięćdziesiąt tysięcy stóp nad ziemią.

Czekali na rozpoczęcie testu.

– Ok, Adriana, oświetlmy im to – powiedziałem do operatorki systemu, przenosząc punkt widzenia z powrotem na kropkę Atopii i pozwalając odlecieć dronowi.

Plamka Atopii niemal natychmiast zaczęła pulsować intensywnymi rozbłyskami, a ja czekałem na rozpoczęcie przedstawienia. Odliczałem – jeden... dwa... trzy... cztery – i wtedy pierwsze wybuchy rozjarzyły się w bliskiej odległości.

Maleńkie koncentryczne fale uderzeniowe rozbiegały się coraz dalej na zewnątrz. Pusta przestrzeń żarzyła się, wypełniała setkami, tysiącami, wreszcie dziesiątkami tysięcy rozpalonych do białości strumieni, które rozrastały się niczym naleśniki i grzyby w ścianę płomieni. Piekło rozprzestrzeniało się i ogarnęło mnie z dudniącym rykiem. Cofnąłem się, opadłem niżej i wpatrywałem się w zalewające niebo morze ognia.

– Bardzo ładne – oznajmiłem, wracając do własnego ciała w Dowództwie Sił Obrony Atopii.

Wszyscy przyglądali się trójwymiarowemu pokazowi burzy ogniowej unoszącej się na środku sali, otoczonej dryfującymi panelami systemu kontroli baterii katapult.

– Przydałoby nam się coś takiego podczas misji w Nanda Devi, co nie? – zadumał się głośno Echo, stojąc ze skrzyżowanymi ramionami obok mnie i podziwiając pokaz wraz z resztą zespołu dowodzenia SOA.

Szybko wciągnąłem powietrze.

– Dokładnie to samo przyszło mi do głowy.

Jimmy, mój dobrze się zapowiadający protegowany, roześmiał się i wskazał własną skroń.

– Wojny przyszłości będą toczyły się tutaj!

– Wojny zawsze toczyły się tutaj – zachichotałem. – Ale mimo wszystko te maleństwa sprawiają, że czuję się różniej.

Baterie katapult są obracającymi się platformami, które mogą wystrzeliwać w niebo dziesiątki tysięcy małych ładunków wybuchowych z szybkością do siedmiu mil na sekundę. Ładunki rozpadają się w wyznaczonym momencie i rozsmarowują swoją zapalającą zawartość po wyznaczonej przestrzeni, tworząc tarczę – broń niemal nieprzenikalną, składającą się z rozgrzanego do najwyższych temperatur płaszcza plazmy o obszarze stu lub więcej mil. Plazma o takiej temperaturze bez trudu niszczy nadlatujące rakiety balistyczne, pociski manewrujące, samoloty i w zasadzie wszystko, co chciałoby się do nas zbliżyć.

Cholera, pomyślałem, gdyby mi przyszła ochota, mógłbym strącić nawet stado złośliwych mew z odległości dwustu kilometrów.

Do tej pory tylko mewy ośmiały się do nas zbliżyć.

Atopia jest najeżona arsenałem najgroźniejszej broni, a katapulty stanowią zaledwie jej część. Miałem i inne zabawki: katapulty elektromagnetyczne, napowietrzne i podwodne drony, nie wspominając już o ofensywnej i defensywnej broni cybernetycznej. Wszystko jest tak gęsto pokryte sprytkułami sensoropyłków, że bez mojej wiedzy nie wskoczy tu nawet pchła. Wślizgnąć się do nas było trudniej niż między uda zakonnicy, i to mi się podobało.

Cała ta neohippisowska fanfaronada, w jakiej płaowała się Atopia w mętnych wodach światowych mediów, nie oznacza, że nie ma na świecie wielu złych ludzi, którzy wpatrują się w nasz kawałek rajy bardzo groźnym wzrokiem. Pływająca po wodach międzynarodowych Atopia jest jednym z pierwszych suwerennych morskich państw-miast, zatem musi być zdolna do obrony przed wszystkimi. W pewnym momencie atopijni mistrzowie rozszerzonej rzeczywistości nie mogli nie przyjrzeć się miejscu, w którym w tym brudnym rzeczywistym świecie ideał sięga bruku, i wówczas na scenie pojawiłem się ja.

Jesteśmy, oczywiście, blisko sprzymierzeni z Ameryką, ale Stany Zjednoczone mają dosyć własnych kłopotów z kurczącą się nieustannie sferą wpływów. Coś o tym wiem, bo poświęciłem początek kariery na nurzanie się w bitewnych bagnach wojen klimatycznych.

Wszystko zaczęło się od tego, że Chiny odwróciły bieg rzek wypływających z Himalajów, co zamieniło dach świata w globalny punkt zapalny. Po zatamowaniu niemal wszystkich wód wypływających z gór Chiny uderzyły po raz drugi, rozpylając substancje chemiczne nad deszczowymi chmurami i zawłaszczając opady, zanim te dotarły do Indii, co przelało czarę goryczy. Chińskie zabiegi doprowadziły do fali nieurodzajów, masowej epidemii głodu, a w ostateczności do nieprzyjemnej konfrontacji między dwoma prężącymi od niedawna muskuły supermocarstwami.

Choć pierwszy konflikt dawno się zakończył, rozgorzały regionalne wojny o kurczące się zasoby naturalne; walki ogarnęły większą część Afryki i Azji. Świat chwiejący się nad przepaścią globalnej zagłady nie był rzeczą jasną niczym nowym.

A ja znajdowałem się teraz w centrum cyberwszechświata.

Rozejrzałem się z dumą po obliczach sztabowców. Docierali się w pracy zespołowej. I właśnie wtedy nadeszła wiadomość od Patricii Killiam, która zapraszała mnie na szybką pogawędkę.

Powietrze obok mnie zaczęło się jarzyć, powoli materializował się jej obraz. Zapalała papierosa i uśmiechała się do mnie, ubrana w staromodny, ciemny, urzędowy kostium; siwe włosy spięła w ciasny kok. Była odprężona, ale jak zawsze uważna.

Lubiłem Patricję.

– Skończyłeś już zabawę, Rick? – zapytała, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą i zaciągając się dymem. Zerknęła kątem oka na pożogę rozplywającą się na głównym ekranie i uniosła brwi.

Po raz pierwszy przetestowaliśmy katapulty. Efekt przerósł wszelkie oczekiwania.

Sprawdziłem ostatnie dane.

– Wszystko w największym porządku.

– To dobrze, bo napędziłeś strachu wszystkim zwierzątkom, które udało mi

się wyhodować w tej puszczy po konserwach – skarciła mnie pogodnie i znów się zaciągnęła. – No, a turyści chcą w spokoju zażywać morskich kąpiel... Co nie znaczy, że nie podobał im się twój pokaz. Dałeś prawdziwie wstrząsający popis!

– Od czasu do czasu trzeba obudzić sąsiadów – roześmiałem się.

Celowo postanowiliśmy nie blokować w psis niczego, żeby zmierzyć reakcje emocjonalne na przeprowadzony test nowej broni. Rozmawiałem z doktorem Grangerem, w jaki sposób zrobić największe *bum* za najmniejszą cenę – jak przetestować naszą broń, żeby cały świat nabrał przekonania, że nie warto z nami zadzierać.

– To twoja robota, Rick: straszenie świata, żeby nabrał do nas szacunku. Moim zadaniem jest straszenie świata, żeby zechciał się uratować – powiedziała Patricia bez cienia ironii. – Świetnie się spisałeś.

– Widziałaś tę nadciągającą burzę? Śledzimy ten niż od tygodni, ale nie da się uniknąć każdego. I tak podleje ci roślinki po same czubki.

Uśmiechnęła się.

– Zrób sobie już dzisiaj wolne.

Bawiłem się systemem kontrolnym katapulty, ale jej słowa zwróciły moją uwagę. Posłałem jej uważne spojrzenie.

– Mówiąc szczerze – powiedziałem powoli – to świetny pomysł. Nie będziesz miała nic przeciwko temu? – Cindy, moja żona, przeżywa ciężkie chwile, aklimatyzując się na Atopii. Przyda nam się trochę spędzonego wspólnie czasu.

– Naprawdę uważasz, że sztuczne dziecko to dobry pomysł?

Patricia zawahała się przed udzieleniem odpowiedzi.

– Tak, jeśli oboje będziecie uważni.

– Porozmawiam z nią o tym. Zatem do zobaczenia, zatem! – Uśmiechnąłem się do niej, a ona znów mi podziękowała i odeszła, rozpluwając się w powietrzu bez zbędnego słowa.

Patricia należała do grona ojców założycieli – jeśli można się tak wyrazić – Atopii. Kiedy cały świat pogrążył się w chaosie, jego najlepsi i najwybitniejsi mieszkańcy wyemigrowali do nowego Nowego Świata, tworząc Bensalem^[1] na Oceanie Spokojnym – grupę morskich siedzib, których klejnotem koronnym stała się Atopia. Atopia miała być – przynajmniej marketingowo –

ucieleśnieniem libertariańskich ideałów. Była z całą pewnością największą ze zbiorowiska oceanicznych platform nieopodal wybrzeży Kalifornii i jeszcze czymś w rodzaju nowej Krzemowej Doliny, która rozwiązywała problemy świata za pomocą technologicznej czarodziejskiej różdżki.

Przybywajcie do morskich kolonii, mówili, gdzie jest najbezpieczniej, gdzie oddycha się świeżym powietrzem, spożywa zdrowe jedzenie, gdzie jest słońce i woda, a także dostęp do wymarzonych technicznych nowinek: cybergadżetów. Przybywajcie, by uciec od zgiełku, zanieczyszczeń, sporów i konfliktów. Cóż, na Atopii taka ucieczka rzeczywiście była możliwa, więc bogaci osiedlali się tutaj i na podobnych wyspach, podczas gdy reszta ludzkości przyglądała się nam z chciwą zawiścią.

Moim zadaniem było ich ochraniać – bogatych Atopijczyków, rzecz jasna, a nie resztę ludzkości.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Twardy facet, co? Kogo chcę oszukać? Chyba nie siebie, bo jestem wypranym ze wszystkiego psychicznym wrakiem człowieka, któremu nie zdarza się przespać spokojnie choćby jednej nocy i nie budzić się obłany potem z przerażenia. Jedyнным powodem, dla którego tu jestem, stało się pragnienie przywrócenia normalnych relacji z żoną. Bez Cindy zdychałbym teraz w jakimś zapluty zakamarku świata, odgrywając życiowy finał „jądra ciemności” w psychotycznym rozbłysku sławy i chwały.

Nie, to byłoby zbyt piękne.

Prawdopodobnie topiłbym smutki w butelce, siedząc za jakimś biurkiem w Waszyngtonie. To wydaje się bardziej prawdopodobne. Uśmiechnąłem się i przebiegłem wzrokiem listę procedur dezaktywacji katapulty, lecz przerwałem to zadanie, czując wzbierającą zadawnioną winę, czającą się gdzieś na obrzeżach sumienia.

– Chcesz, żebym poszedł do Vince’a i przyniósł jej kwiaty? – zapytał Echo.

Zawsze wiedział, co mi chodzi po głowie, szczególnie jeśli dotyczyło to Cindy.

– Tak, proszę – odpowiedziałem, nie podnosząc wzroku znad procedur. Zauważyłem niepokojący meldunek od Jimmy’ego i dodałem: – I czy mógłbyś sprawdzić, co stało się z tym dronem? Cholerna kupa złomu zawróciła w powietrzu i spaliła się po wybuchu plazmy.

Echo kiwnął głową i odszedł bez słowa po kwiaty. Posłusznie wykonywał

rozkazy.



Gdy maszerowałem zwawym krokiem do domu, podniecenie wywołane testem katapulty jeszcze nie opadło. Kwiaty, które Echo przyniósł od Vince'a, były piękne.

– Hej, najdroższa! Jestem w domu!

Dumnie dzierżąc przed sobą bukiet, przeszedłem przez próg. Przemknąłem z kwiatami wzdłuż korytarzy, żeby uniknąć wścibskich oczu i złorzeczenia sąsiadów, dla których prawdziwe kwiaty były marnotrawstwem.

Cindy spojrzała na nie bez entuzjazmu.

Nie zadała sobie trudu, żeby wziąć dzisiaj prysznic i siedziała na sofie z podkrążonymi oczami niczym kupka nieszczęścia, oglądając jakąś projekcję w systemie ograniczonej samostymulacji. Na środku naszego salonu dryfowała wielka głowa, wykrzywając się w połowie opowiadanego dowcipu, w tle słychać było nagrany śmiech. Cindy nie uśmiechała się, a od jej twarzy odbijało się matowo światło ekranu.

Znów będziemy mieli ciężki wieczór.

– Nie musiałeś kupować mi kwiatów – poskarżyła się. – Co sąsiedzi o tym pomyślą?

– Wybacz, najdroższa. – Zawsze ją przeproszałem.

Kiedy podszedłem bliżej, przekonałem się, że przestrzeń ekranową na środku pokoju wypełnia „EmoShow” doktora Hala Grangera.

– Czy moglibyśmy, proszę, wyłączyć doktora Emo? – zapytałem z narastającą złością, choć wcale nie chciałem być zły. – Mam go dosyć w ciągu dnia.

Czułem się głupio, stojąc w pokoju z kwiatami.

– Oczywiście. Tylko on pomaga mi przetrwać te wszystkie dni tutaj, ale to bez znaczenia. – Głowa Hala zniknęła ze środka pokoju, w którym zapadła posępna cisza.

Cindy westchnęła ciężko, spojrzała na mnie przelotnie i oznajmiła:

– Chyba pójde po jakiś wazon czy coś... – Po czym podniosła się z trudem

z sofy i przeszła do kuchni.

– Jak minął ci dzień? – zapytałem radośnie, próbując rozpocząć rozmowę na nowo.

Szukała czegoś po szufladach w kuchni.

– Dobrze – odpowiedziała, rozchmurzając się nieco. – Ale to miejsce jest takie przygnębiające. Brakuje mi tu powietrza. A to mieszkanie... jest jak piwniczna izba.

Według atopijnych standardów zajmowaliśmy pałac. Nasze mieszkanie znajdowało się jakieś osiemdziesiąt stóp od krawędzi podwodnego szelfu. Duże łukowate okno wychodziło na lasy wodorostów, w których tańczyły promienie słońca znad powierzchni, oświetlając jaskrawo ubarwione ryby, pływające pomiędzy roślinami.

Większość ludzi nie miała nawet okien, nie mówiąc już o tak dużej przestrzeni i umeblowaniu. Z drugiej strony o to chodziło na Atopii: każdy miał niczym nieograniczony dostęp do doskonałej sztucznej rzeczywistości, dlatego nie potrzebował wiele przestrzeni oraz rzeczy materialnych w świecie fizycznym.

– Jesteśmy pod wodą, a nie pod ziemią w piwnicy – poprawiłem ją bezsensownie. – Pod wodą.

– Nieważne. Jest ciemno i klaustrofobicznie. – Znalazła wazon i napełniła go, a potem podeszła z nim do mnie i sięgnęła po kwiaty.

– Kochanie... – zacząłem i przerwałem, szukając właściwych słów. – Powinnaś spróbować systemu psis. Dzięki niemu możesz być wszędzie i robić to, na co masz ochotę.

Okazało się, że powiedziałem nie to, co trzeba.

– Nienawidzę tego psis! – krzyknęła, a potem wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy. Cofnęła się o krok, opuściła ramiona i uniosła powieki.

Milczałem.

– Przepraszam, miałam zły dzień. – Przerwała. – Psis jest okay do oglądania programów i surfowania po sieci, ale nie lubię tego... tego... – zająknęła się, zataczając ręką krąg w powietrzu – tego fruwania, tych zmian w samostymulacji. To mnie irytuje.

– Wiem – przyznałem. Oglądałem wystarczająco dużo „EmoShow” doktora

Hala, by wiedzieć, że przyznawanie racji odczuciom partnera jest bardzo ważne. – Wiem, że to nie działa tak, jak sobie wymarzyliśmy, ale wziąłem na siebie pewne zobowiązania. Nie mogę wrócić do Waszyngtonu z podkulonym ogonem. Daj nam szansę.

– Masz rację. – Westchnęła raz jeszcze i postawiła kwiaty na stoliczku do kawy, cofając się o krok, żeby je podziwiać. – Spróbuję. Dam nam szansę.

Poczułem odrobinę nadziei w sercu.

– Dziękuję ci, ukochana. Spodoba ci się tu, jeśli tylko spróbujesz.

– Psis jest okay, żeby spotkać się z moją siostrą u niej w domu – przyznała. – Ma wspaniałe dzieci.

Wiedziałem, co teraz nastąpi, i straciłem serce do tej rozmowy.

– Myślałeś o tym, o czym rozmawialiśmy? O przyczynie, dla której jakoby tu przyjechaliśmy?

Teraz nadeszła moja kolej na ciężkie westchnienie.

– Myślałem o tym, ale nie jestem pewien, czy oboje tego chcemy. Może za jakiś czas, okay?

– Okay – odpowiedziała cicho.

Chyba nadeszła pora, żeby porozmawiać o pomysle Patricii.

[1] Nazwa wyspy z *Nowej Atlantydy* – niedokończonej, opublikowanej po raz pierwszy w roku 1627, powieści utopijnej sir Francisa Bacona [przyp. tłum.].

2

Nic tak nie stawiało mnie rano na nogi jak gorąca filiżanka jamokki. Siedziałem już w Dowództwie, rozpoczynając wcześniej radosny, wypełniony robotą dzień. Patricia zadała mi pracę domową i właśnie czytałem o systemie rozszerzonej rzeczywistości, od którego na Atopii zależało wszystko.

Psis – polisyntetyczny interfejs sensoryczny – powstał podczas badań nad poruszaniem sztucznymi kończynami przy wykorzystaniu sprytocytów w skali nano, wbudowanych w układ nerwowy i kontrolujących przepływające przez ten układ sygnały. Bardzo szybko poznano sztuczkę modyfikowania sygnałów docierających do naszych oczu, uszu i innych zmysłów, co umożliwiło ich doskonałą stymulację. Stworzenie zupełnie sztucznych światów było kolejnym krokiem. To był ich największy sukces. Dla większości Atopijczyków rozszerzona rzeczywistość jest bardziej realna od prawdziwego świata.

Żeby używać psis, wcale nie trzeba rozumieć zasad działania systemu. Program prokur – cyfrowych alter ego użytkowników – pomagał nawigować w przestrzeni psis i był niemal tak zdumiewający jak sama platforma. Po roku korzystania z pomocy prokury Echo stał się niemal częścią mnie. Trudno mi było wyobrazić sobie życie bez niego.

Włączyłem przekaz kolejnej konferencji prasowej Patricii Killiam, promującej zbliżającą się światową premierę psis.

– Czy mogłaby pani jeszcze raz opisać prokurę? – zapytał jakiś reporter.

– Prokury są jak biologiczno-cyfrowe istoty symbiotyczne przytwierdzone do układu nerwowego. Współdzielą nasze wspomnienia, odbierają bodźce zmysłowe, kontrolują naszą motorykę. Można je traktować jako cyfrowe bliźniaki.

– Ale po co mi taki bliźniak?

– To dobre pytanie – odpowiedziała Patricia, uśmiechając się z aprobatą. – Czy zdaje pan sobie sprawę, że w dzisiejszych czasach więcej ludzi odnosi

rany, przebywając w światach wirtualnych i korzystając z gier niż w wypadkach samochodowych czy lotniczych? Prokury rozwiązują ten problem, kontrolując i chroniąc ludzkie ciała przebywające, by tak rzec, w innych miejscach...

Zamyśliłem się, konferencja prasowa trwała dalej. Choć miałem przed sobą całą listę projektów, którymi musiałem się zająć, nieustannie wracałem myślami do Cindy. Wyłączyłem wizualną nakładkę konferencji Patricii i skierowałem uwagę na listę zadań Dowództwa. Reszta sztabu zjawiała się powoli w pracy. Pierwszym zadaniem dnia – każdego dnia – było przyjrzenie się układowi pogodowemu zmierzającym w naszą stronę.

Patricia niedawno załadowała najświeższe prognozy i zaskoczyła nas, podwyższając stopień zagrożenia tropikalnej burzy Ignacia, szalejącej na Północnym Atlantyku. Nasz własny system meteorologiczny nie prognozował takiej zmiany, ale kiedy przeglądaliśmy zestawy danych Patricii, wszystko się zgadzało. Zmartwiło mnie to, że mimo całej technologii, jaką mieliśmy do dyspozycji, przeoczyliśmy coś takiego – nawet jeśli to zjawisko pogodowe znajdowało się na innym oceanie i poza ekranami naszych radarów.

Matka Natura stanowiła znacznie poważniejsze zagrożenie dla Atopii niż potencjalny atak ze strony obcych państw i robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by trzymać się od niej z daleka. Rekordowo wysokie globalne temperatury prognozowały w tym roku bardzo intensywny sezon huraganów, co wymagało odtańczenia przez nas sezonowych tańców – unikania tego, co się do nas zbliżało.

Tutaj, na wschodnim Pacyfiku, u wybrzeży Półwyspu Baja, nie stanowiło to zazwyczaj poważniejszego problemu. Większość gwałtownych huraganów i cyklonów powstawała w basenach pływowych północnego Atlantyku i zachodniego Pacyfiku. Mimo to, Atopia miała zanurzenie wynoszące ponad pięćset stóp, a myśl o tym, że rdzeń reaktora termojądrowego mógłby wbić się w grzbiet jakiegoś podmorskiego górskiego pasma, napawała mnie strachem.

Graficzna symulacja wypełniała niemal całą przestrzeń sali dowodzenia, a pewien operujący w psis kadet z Domu Salomona[2] kierował naszym wspólnym punktem widzenia z oszałamiającą prędkością. Była to miesięczna prognoza wiatrów, sztormów, pływów i temperatur, umożliwiająca nam

wytyczenie optymalnego kursu poprzez wszystkie przeszkody.

– Moim zdaniem wszystko jest okay – oznajmiłem.

Atopia nie jest statkiem w dosłownym sensie, przypomina raczej platformę, ale z łatwością pływa po morzu, osiągając szybkość kilku mil na godzinę. A nawet więcej, gdyby zaszła taka konieczność. Unikanie złej pogody skutkowało również tym, że nasze plaże były zazwyczaj nasłonecznione, co stanowi duży plus nawet tutaj, na wyspie, której większość mieszkańców przebywa przez większość czasu w sztucznej rzeczywistości. Prognozy długofalowe zapowiadały gromadzenie się w naszej okolicy serii frontów niskiego ciśnienia, więc rozpoczęliśmy wycofywanie się na północ i wschód ku odległym wybrzeżom Ameryki.

– Świetnie! Więc mamy to z głowy! – ucieszył się kadet, chłopak psis o imieniu Eddy.

Siedział w pozycji lotosu pośrodku graficznej symulacji, bawiąc się nią. Sztab czekał na mój rozkaz zakończenia projekcji, wydałem go niemal natychmiast, bo widzieli, że myślę o czymś zupełnie innym. Zabawiali mnie szczegółowymi meldunkami. Eddy sunął na znikającej projekcji jak na latającym dywanie, aż zamienił się w mikroskopijny punkt na środku sali.

Przewróciłem oczami i upiłem łyk kawy.

– Więc twoim zdaniem powinienem sprowadzić Jimmy’ego, hm? – zapytałem, czytając umieszczoną w raporcie notatkę Patricii Killiam. Jej prokura, młoda kobieta o imieniu Marie, stanęła przede mną, opierając się o reling i prostując długie nogi.

– Tak, absolutnie – odpowiedziała Marie. – Wszystkie ręce na pokład, a on się na tym zna.

– Nie przeczę, ale to jeszcze dzieciak.

Patricia wzięła Jimmy’ego pod swoje skrzydła i traktowała jak syna, odkąd jego rodzice opuścili nagle Atopię, więc pominąwszy jego niewątpliwe kwalifikacje, w grę wchodziły również inne czynniki. Jego sytuacja dotyczyła mnie osobiście.

– Ten dzieciak wie więcej o świadomych systemach bezpieczeństwa niż cała reszta twojego sztabu – argumentowała, a po chwili dodała jeszcze: – i o wiele więcej od kogokolwiek innego, jeśli już o tym mowa. Musimy zawsze być krok

przed zagrożeniem ze strony Terra Nova.

Nie kupowałem tego wszystkiego, co mówiono o Terra Nova. Nie stanowili dla nas żadnego zagrożenia taktycznego, co nie przeszkadzało Atopijczykom przejmować się nimi aż nadto. W świecie zewnętrznym Atopia i Terra Nova stanowiły dwie strony jednej monety, ale rywalizację między dwoma współzawodniczącymi koloniami rozdmuchano do niebotycznych rozmiarów. Co moim zdaniem nie było dla nas dobre.

– Masz rację. – W tej chwili nie byłem w stanie powiedzieć nic więcej. – Ta łajba to twój cyrk i twoje małpy. Jeśli chcesz, żeby w Radzie Bezpieczeństwa zasiadał chłopak, który się jeszcze nie goli, nie mam nic przeciwko temu.

– Jimmy to wyjątkowy chłopiec – powiedziała cicho Marie. – Tak czy inaczej, wybrałyśmy go.

Odnotowałem ton zamykający dyskusję.

– Doskonale.

– Świetnie. – Uśmiechnęła się do mnie triumfalnie i zniknęła.



To był długi dzień i przez cały czas martwiłem się o Cindy. Stojąc samotnie w nijakim korytarzu przed naszymi drzwiami, biłem się z myślami. Czy naprawdę tego chcę? Drzwi odsunęły się i wszedłem do środka.

– Hej, skarbie, wróciłem do domu! – krzyknąłem i aż mnie zamurowało, kiedy ujrzałem to, co miałem przed sobą.

Nasze mieszkanie znikło – to znaczy niezupełnie; zastąpiła je projekcja psis.

Wokół obniżonej na środku pokoju podłogi wznosiły się marmurowe kolumny, a za nimi znajdował się szeroki taras. Na niskim stole czekała uczta, a wokół leżały czerwone i złote poduchy. Cały pokój wypełniał zapach kadzidła, a w moją stronę ruszyły szybko i bez słowa dwie służące, które ukłoniły się przede mną. Łagodny wietrzyk wydymał jedwabne zasłony, za którymi rozpościerał się widok na bezładną egzotyczną zabudowę Bombaju.

Przez boczne drzwi weszła tanecznym krokiem Cindy w przezroczystej, lśniącej, wirującej wokół nóg spódnicy i rzuciła mi się w ramiona.

– Czy to nie wygląda jak sen? – Objęła mnie i pocałowała namiętnie. – Dziękuję ci za wczorajsze kwiaty. Jesteś kochany!

– Wygląda fantastycznie – mruknąłem spod jej ust. Epizody depresyjne Cindy zamieniały się niekiedy w manię. Uśmiechnąłem się dyplomatycznie.

– Chodźmy, posilimy się. – Ujęła mnie za rękę i sprowadziła schodkami na dół ku niskiemu stołowi, przy którym zgromadziła poduchy i kołdry. Znowu mnie pocałowała i usadziła nas oboje. Wyciągnęła rękę po kiść winogron, którymi zaczęła mnie karmić, grono za gronem.

– Jak było dzisiaj w pracy? – zapytała, wkładając mi owoc do ust.

– To był długi dzień – odpowiedziałem z uśmiechem. – Nominowaliśmy Jimmy’ego do Rady Bezpieczeństwa jako naszego specjalistę od świadomych zabezpieczeń. Bardzo nam pomoże.

– Jimmy’ego? Adoptowanego brata Boba?

– Ta, chyba tak.

Jimmy i Bob jak na braci – nawet adoptowanych – niewiele ze sobą rozmawiali. Z drugiej strony ja też nieczęsto rozmawiałem ze swoim bratem...

Otoczyliśmy się poduchami. Słońce chyliło się ku zachodowi, a my gawędziliśmy i jedliśmy. Cindy przygotowała prawdziwą ucztę na ten wieczór, moje ulubione potrawy – smażone krewetki, stek bez kości, a na deser czekoladowe ciastka z kremem. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czułem się przy niej zupełnie swobodnie. Kiedy się napchałem, znowu mnie zaskoczyła.

– A zatem, panie Ricku Strong, kim mam dzisiaj dla pana zostać? – zapytała, kiedy służące wycofały się w głąb mieszkania.

– Jak to: kim?

– Wiesz, co mam na myśli. – Opuściła skromnie wzrok, a potem znowu na mnie spojrzała z uśmiechem.

– Naprawdę?

Pokiwała wstydliwie głową.

– Czy ja też... mam się przebrać?

– Jasne... – zachichotała. – Ty pierwszy! – Nie kochaliśmy się od miesiący. Rozpinała mi koszulę i głaskała po piersiach.

Szturchnęła mnie fantomem, nakłaniając do wspólnej samostymulacji.

Zaskoczony tym, że używa fantomu, spojrzałem jej w oczy, a ona mrugnęła do mnie łobuzersko. Szybko zaakceptowałem warunki i przyglądałem się jej, gdy zadrżała – moje zmysłowe dane wypełniły jej zmysły.

Nie spodziewałem się tego, wracając do domu. Nie za bardzo kręcą mnie takie zabawy, ale lubię czasem poeksperymentować – tym bardziej, że to ja prosiłem, żeby tego spróbowała.

– No dobrze, ja pierwszy. W czyją skórkę mam się dla ciebie przebrać? – zapytałem.

Spojrzała na mnie nieśmiało.

– Tego Latynosa z kryminałów, no wiesz, tego Julio...

Roześmiałem się.

– Jesteś pewna?

Kiwnęła głową.

Echo przysłał mi umowę licencyjną w nakładce ekranowej w tej samej chwili, w której sprecyzowała oczekiwania. Skórka tego Julio była dosyć droga. Facet musi być popularny.

A co mi tam!

Fantomalną dłonią przycisnąłem klawisze „kup” i „skórka”, po czym wyszedłem z siebie i przyjrzałem się jakiemuś Latynosowi, który siedział na poduchach i pieścił moją żonę. Trudno jest się do tego przyzwyczaić. Wróciłem do swojego ciała.

– Co o tym myślisz? – Usiadłem wyprostowany i włączyłem zakupioną projekcję, unosząc brwi i puszczając do niej oko.

– Wygląda pan bardzo seksownie, komandorze – roześmiała się. – Teraz pańska kolej.

– Eee... co powiesz na tę celebrytkę prowadzącą wiadomości w Phuture News Network?

– Co takiego!?! – wykrzyknęła, wciąż roześmiana, klepiąc mnie lekko w ramię.

– No tak, tak... ta dziewczyna... z tymi... no wiesz... tymi... – uśmiechnąłem się bezradnie. Byłem tak zaskoczony tym wszystkim, że do głowy przysłała mi tylko prezenterka z Phuture News z dużymi cyckami.

– Okay – zgodziła się z uśmiechem od ucha do ucha. – Jeśli to lubisz...

Objąłem ją, a Cindy zamieniła się w prowadzącą wiadomości Phuture News.

Przyglądałem się zafascynowany, jak pod przezroczystą tkaniną orientalnej bluzki rosła jej piersi. Spojrzała na mnie zawstydzona.

Mógłbym się do tego przyzwyczaić.

Poczułem w sobie zwierzęce pożądanie. Zdjąłem jej bluzkę i wziąłem ją w ramiona.

Z całą pewnością mógłbym się do tego przyzwyczaić.



Już po wszystkim odpoczywaliśmy w naszych własnych skórkach na poduchach obok stołu. Cindy wtuliła się we mnie, a ja obejmowałem ją ramieniem. Czułem lekkie mrowienie w głowie. Spróbowała – może nadszedł czas, żebym i ja spróbował?

Dziecięcy tupot, dziecięcy tupot. Uśmiechnąłem się.

Cindy zadrżała lekko, zasypiając przy mnie. Potem zadrżała mocniej i jeszcze jeden raz. Chwileczkę, czyżby płakała?

– Cindy... – odezwałem się łagodnie, walcząc z mgłą zasnuwającą mi mózg. Załkała. – Wszystko w porządku?

Odwróciła się do mnie zapłakanymi oczami. Wytarła łzy wierzchem dłoni i znów odwróciła głowę.

– Co się stało?

– Nie wiem – odpowiedziała cicho.

– Nie wygłupiaj się, maleńka, powiedz, co się stało?

Zapadła się w siebie.

– Nie podobało mi się to. To, jak na mnie patrzyłeś. Byłeś uszczęśliwiony tym, że jestem kimś innym.

Mgła w moim mózgu rozwiła się do reszty, wyczułem niebezpieczeństwo.

– Kochanie, to nieprawda! – Oparłem się na łokciu, żeby na nią spojrzeć. – Zrobiłem to tylko dlatego, że sama tego chciałaś.

Tak to mniej więcej wyglądało.

– A ja zrobiłam to dlatego, bo myślałam, że ty tego pragniesz. – Otarła napływające do oczu łzy. – Wiem, że ostatnio nie byłam dla ciebie zbyt miła.

– Och, kochanie... – zacząłem, szukając sposobu na wydobyć się z tego bez szwanku. – Kocham cię. Jesteś jedyną osobą, z którą pragnę być. – To była najprawdziwsza prawda. – To ja chciałbym cię uszczęśliwić, naprawdę. Chciałbym, żeby znów było między nami dobrze. To moja wina, to wszystko... wiesz, o co mi chodzi.

– Ja też cię kocham – odpowiedziała. – Ale nie czuję się najlepiej w tym psis. Chociaż się staram.

Nadeszła chyba właściwa chwila.

– Posłuchaj, przyszło mi do głowy...

– Co? Co? – Pociągała nosem.

Nabrałem powietrza w płuca.

– Nie jestem pewny, czy jesteśmy już gotowi na dziecko, ale może powinniśmy się wypróbować? Może warto skorzystać z półśrodków i jednocześnie przekonać cię do korzystania z systemu psis?

– Słucham...? – Wyciągnęła rękę i głaskała mnie po podbródku.

– Co myślisz o symulaku?

Zmarszczyła nos.

– Sztucznym dziecku?

– Rozmawiałem o tym z Jimmym i Patricią. Uważam, że byłoby to dla nas idealne rozwiązanie.

Zapadła cisza, a potem:

– Nadal cię słucham.

– To nie są „sztuczne dzieci”. Wcześniej zbadają nasze kody DNA, mieszają je ze sobą jak podczas zapłodnienia i symulują proces rozwoju zarodka, by stworzyć prokurę wyglądającą jak nasze prawdziwe dziecko.

Wzięłem głęboki oddech i przyjrzałem się jej uważnie, zanim zacząłem mówić dalej.

– Można oczywiście wybrać pewne cechy jak kolor oczu czy nawet subtelniejsze rzeczy, jeśli chcesz... i o to mniej więcej chodzi – tłumaczyłem. – To jakby wersja próbna naszych prawdziwych dzieci... ich wyglądu i zachowań.

– Aha... – mruknęła sceptycznie. – To może od razu poproś ich o małe awatary? Przypniemy je sobie do ściany i wybierzemy model, który nam się

spodoba.

To była próbka jej ciętego dowcipu, który pamiętałem z czasów, kiedy się poznaliśmy. Może zaczyna się przejaśniać?

– To nie tak – odpowiedziałem. – Te symulaki... trzeba się nimi opiekować jak prawdziwymi dziećmi... Trzeba je karmić, pilnować, żeby im się odbiło, kłaść je spać. Pełna opieka! I o to chodzi. Możesz się przekonać, jak będzie się zachowywało twoje dziecko w różnych stadiach rozwoju, zanim zdecydujesz się na prawdziwe. Możesz się upewnić, że czujesz się dobrze z tym, co cię czeka.

– A do czego mi to jest potrzebne?

– Pomyślałem, że jeśli zajmiemy się symulakiem przez kilka tygodni czy miesięcy... – tłumaczyłem dalej, patrząc jej prosto w oczy – ...dowiemy się, czy poradzimy sobie z prawdziwym rozwrzeszczanym bachorem.

– A potem?

– A potem, jeśli będzie nam to odpowiadało, sprawimy sobie prawdziwe dziecko. Co o tym myślisz?

Wtuliła się we mnie i uniosła ku mnie oczy.

– Okay, panie Ricku Strong, chcę tego spróbować.

Kamień spadł mi z serca.

[2] Nawiązanie do szkoły na wyspie Bensalem z *Nowej Atlantydy* sir Francisca Bacona [przyp. tłum.].

3

„Bociankowe” – nigdy nie rozumiałem tego słowa. Dlaczego tak to nazywają? Że niby bociany przynoszą przyszłej matce prezenty? I czy te przyjęcia nie powinny być organizowane przed narodzinami dziecka? Cóż, nie miało to większego znaczenia. Muszę przyznać, że sprawiliśmy sobie słodkiego przystojniaka.

Nasz mały Ricky miał jasnoniebieskie oczy – po ojcu.

„Bociankowe” stało się powitalnym przyjęciem rodziny Strongów na Atopii. Zwaliło się pełno ludzi, kręcili się po naszym mieszkaniu z drinkami w dłoniach i gawędzili sobie miło w bawialni, którą poleciłem Echu dla nas zaprojektować. Gwiazdą wieczoru był rzecz jasna Ricky, nasz tryskający zdrowiem symubobas, który gaworzył i trajkotał na rękach mamy.

Cindy prawdziwie rozkwitała.

Kątem oka dostrzegłem w tłumie jasne dredy Bobby’ego Baxtera, brata Jimmy’ego. Nawet w projekcji psis emanował luzem surfera i podgrzewał atmosferę w pokoju. Szedł ku nam, ciągnąc ze sobą atrakcyjną brunetkę.

– Gratuluję, komandorze Strong! – wymamrotał, wyciągając do mnie rękę.

Ująłem jego dłoń i potrząsnąłem nią z uśmiechem.

– Dzięki, Bob. – Nie wiem, czy wszystkie powinszowania były szczere i czy przypadkiem dobrodusznie nie żartowano sobie nas: z naszego sztucznego życia i nieistniejącego naprawdę dziecka.

– Jimmy wpadnie do nas? – zapytałem.

Bob pokręcił głową.

– Wie pan więcej ode mnie, komandorze.

Zapadło niezręczne milczenie.

– I oczywiście gratulacje dla cudownej matki nowego symulaka! – Bob uśmiechnął się od ucha do ucha, puszczając moją dłoń i pochylając się, żeby pocałować Cindy w policzek.

Przeniosłem wzrok na jego towarzyszkę, która przestępowała nerwowo z nogi na nogę, czekając, aż zostanie przedstawiona. Po Atopii krążyły niezliczone plotki o tym, jak Bob marnuje sobie życie, ale z pewnością nie brakowało mu gustu w doborze partnerek.

– A ta młoda dama to...? – zapytałem, uśmiechając się do dziewczyny. Odwzajemniła uśmiech.

– Och, ach... – wymamrotał Bob. – To Nicky.

– Miło mi cię poznać – powiedziałem, wyciągając do niej rękę.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedziała, uśmiechając się promiennie.

Bob odszedł po drinki, a ja i Cindy wymienialiśmy uprzejmości z jego dziewczyną. Dołączyło do nas kilka innych kobiet, które otoczyły wianuszkiem moją żonę, żeby przyjrzeć się symulakowi.

Cindy podała mi Ricky'ego.

– Czy mógłbyś go chwilę potrzymać, kochanie?

– Oczywiście.

Kobiety uśmiechały się wyrozumiale, przyglądając się, jak dosyć niezdarnie biorę dziecko na ręce. Takie maleństwo! Ciepłe i kruche! Rozbroił mnie, kiedy spojrzałem na jego buzię i zobaczyłem wpatrzony we mnie moje własne oczy. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– Wróć za sekundę – powiedziała Cindy, zostawiając mnie z dzieckiem. – Tylko przyniosę sok.

Niemowlę pisnęło głośno, kiedy odeszła i zaczęło się wić w moich ramionach. W wilgotnych oczkach odbijało się górne światło. Ale już po chwili Ricky obdarzył mnie bezzębnym uśmiechem.

Kiedy zamawialiśmy symulaka, przedstawiono nam całą listę warunków i ostrzeżeń, ale nie mogłem pojąć, dlaczego wyimaginowane dziecko miałyby okazać się niebezpieczne. Cindy naprawdę przy nim rozkwitała.

Stała obok mnie Adriana, moja operatorka katapulty z Dowództwa. Połaskotała Ricky'ego w brzuszki, a potem jeszcze gdzieś, co wywołało radosne piski i chichot.

– Słodki bobas – szepnęła.

– Jasne! Zupełnie jak tatuś! – Rozpierała mnie duma.

Chłopakiem Adriany był artysta od sensorgii. Dla mnie była to zwykła pornografia, ale dla nich, cóż... Byłem już stary.

– Ma piękne niebieskie oczy. Mam nadzieję, że wasze prawdziwe dziecko też je odziedziczy po tatusiu! Jest taki śliczny... Wyrośnie z niego podrywacz! – zachwycała się Adriana, łaskocząc Ricky’ego pod żebrami i wywołując kolejną serię pisków. – Szczęśliwy chłopak!

Roześmiałem się i zacząłem podrzucać Ricky’ego na rękach, wyobrażając sobie, że właśnie tak postępuje się z niemowlętami. Pewnie naprawdę lepiej mieć najpierw symubobasa, zanim człowiek zdecyduje się na prawdziwe dziecko.

Wróciła Cindy i klepnęła mnie w ramię, przyglądając się z ukosa mojej rozmówczyni.

– Oddaj mi go, tygrysie. – Wskazała brodą drzwi, w których stanął właśnie Vince Indigo, słynny założyciel Phuture News Network. Kiedy przybyliśmy na Atopię, to on powitał nas jako pierwszy.

Teraz wyglądał strasznie, jakby nie spał od wielu dni, ale uśmiechnął się do mnie, kiedy na niego spojrzałem.

Pomachałem do niego, a potem zaćwierkałem do Ricky’ego po raz ostatni przed oddaniem go matce. Odszedłem przywitać się z Vince’em i wziąć sobie drinka. Potrzebowałem czegoś mocniejszego, a wiedziałem z doświadczenia, że Vince nie pogardzi szklaneczką czy dwoma.

– Gratuluję, Rick! – krzyknął do mnie, kiedy znalazłem się bliżej, i wyciągnął rękę na powitanie.

Ująłem mocno jego dłoń i pociągnąłem go w stronę baru. Znowu czułem się trochę głupio.

– Dzięki, Vince. Aha, i dziękuję za te kwiaty dla Cindy. Bardzo jej się podobały.

– Nic wielkiego.

Stanęliśmy przy barze.

– Czego się napijesz? – zapytałem.

Vince przyjrzał się butelkom, ale pokręcił głową.

– Nie dzisiaj, dziękuję.

Dziwne.

– Na pewno? – Wrzuciłem lód do kryształowej szklanki i nalałem whiskey.

– Jestem trochę zajęty... – Umilkł i wbił wzrok w podłogę.

To nie był Vince, którego znałem. Co się dzieje? Może stara się być uprzejmy, choć uważa to wszystko za absurd?

– To tylko taka zabawa – roześmiałem się lekceważąco, zerkając ku żonie i symulacji dziecka. – Robię to tylko po to, żeby czuła się szczęśliwa. Wiesz, jak to jest.

Na te słowa Vince skupił na mnie uwagę.

– Nie, nie, to najlepsze, co mogło was spotkać – odpowiedział przyjaźnie. – Trzeba tak robić, bo to droga, którą podążymy w przyszłości!

Klepnął mnie entuzjastycznie po plecach. Parsknąłem i napiłem się, nie wstydząc się już tak bardzo.

– Mówię poważnie – ciągnął. – Powinniście mieć tyle symulaków, ile tylko się da, zanim zmajstrujecie prawdziwe.

Mówił, zdaje się, szczerze.

– Naprawdę tak uważasz?

– Naprawdę, przyjacielu. – Położył mi dłoń na barku i ścisnął. – Ale muszę biec dalej, wybacz. Ucałuj ode mnie Cindy, okay?

– Oczywiście. – Kiwnąłem głową z uśmiechem. – Pędź! Powodzenia!

Vince pokiwał głową i pomachał mi na pożegnanie, a potem zniknął z tej rzeczywistości.

Upiłem ze szklanki spory łyk i rozejrzałem się.

Bob siedział nadąsany na sofie w rogu, pstrykając kulkami ognia w coś, co przypominało małe króliczki. On chyba też nie rozumiał idei „bociankowego”. Nalałem sobie kolejnego odświeżającego drinka. Serce rosło mi z dumy.

Symubobas to najlepszy pomysł, jaki kiedykolwiek przyszedł mi do głowy.

4

Może jednak nie był to najlepszy pomysł... z tymi symulakami. Wszystko zaczęło się wspaniale przed kilkoma tygodniami, ale Cindy uparła się na pełną opiekę, z pieluchami, wrzaskami i całą resztą. Przypominała mi przy tym, kto był pomysłodawcą dzieciaka.

Od tygodni nie mogłem zmrużyć oka.

Miałem długi i ciężki dzień, odpierałem przeróżne zagrożenia testujące nasz system obronny. Cyberataki nieustannie sprawdzały szczelność naszych granic, szukały słabych punktów, furtek. Duży sztorm sunący po Wschodnim Pacyfiku wzdłuż wybrzeży Ameryki Środkowej uzyskał wyższy stopień zagrożenia i został przemianowany na tropikalną burzę Newton. Tuż za nim podążał kolejny front niskiego ciśnienia.

Miałem mnóstwo roboty, ale jednocześnie chciałem spędzać jak najwięcej czasu z Cindy i chłopcami. Wracałem najwcześniej, jak mogłem, ale kiedy tylko przestępowałem próg, zaczynałem gorzko tego żałować.

Mój dom zamienił się w chlew z zabawkami. Przy czym „dom” od wielu tygodni nie przypominał naszego starego mieszkania. Cindy zamieniła je w coś w rodzaju podmiejskiej rezydencji gdzieś w Connecticut, wyposażonej w olbrzymie podwórko na tyłach, z basenem i trampoliną. Tak chyba wyglądało miejsce, w którym się wychowała.

Kiedy przestąpiłem przez próg, w domu było z pół tuzina symulowanych dzieciaków, które przyszły bawić się z małym Rickym, wrzeszczały i biegały wokół mnie, gdy tylko znalazłem się w środku.

– Cześć, tatusiu! – pisnął Ricky, śmigając obok mnie i goniąc za pozostałymi do salonu.

To zdumiewające, jak szybko one rosły. Naprawdę zdumiewające. Symulaki projektowano w taki sposób, żeby dać rodzicom pełen przegląd dziecięcego wyglądu i zachowań; mówiąc inaczej, dorastały w tempie wykładowym.

Podczas pierwszego miesiąca z nami Ricky osiągnął rok, a podczas trzech kolejnych tygodni dorósł o kolejne pięć lat.

Trudno było pamiętać o tym, że to tylko symulacje, także same symulaki tego nie zauważały, ponieważ wbudowano im poznawcze martwe punkty. Większość rodziców przeprowadzała je tylko przez kilka wybranych lat, żeby wyrobić sobie ogólną koncepcję, ale Cindy cieszyła się całym bolesnym procesem rozwojowym, przebiegającym z prędkością warp[3].

– Hej, Ricky! – zawołałem za chłopcem.

Mimo zrzędlivosti, nie potrafiłem opanować uśmiechu, widząc radość na jego buzi. W tej samej chwili pojawił się wielki czarny labrador. Wybiegł z tego samego kąta, z którego przybiegły dzieci, jako ostatni w pościgu. I podobnie jak one śmignął obok moich nóg do salonu, gdzie wywołał kolejną falę entuzjazmu. Uniosłem brwi.

– Biffy to nowy członek rodziny – oznajmiła Cindy.

Siedziała w jadalni, karmiąc Dereka, naszego drugiego symulaka. Zauważyła, że przyglądam się psu.

– Biffy, hm... Myślałem, że nowym członkiem rodziny jest Derek.

– Tak było w zeszłym tygodniu, kochanie.

Nawet na mnie nie spojrzała. Myślałem, że żartuje, ale mówiła całkiem poważnie.

Po brodzie Dereka spływała marchewka, którą Cindy podawała mu łyżeczką. Derek spojrzał na mnie i zapiszczał głośno, waląc przy tym rączkami w tackę i posyłając marchewkę na ściany jadalni i na siedzącą obok Cindy. Uśmiechnęła się do niego wyrozumiale, jak matka, i pochyliła nad nim z łyżeczką.

– Dobrze wiedzieć, jak nasze dzieci będą reagowały na zwierzęta, prawda? – Wolną ręką szczywała marchewkowe purée z włosów. – Czy nie o to właśnie chodzi? Żeby wypróbować różne rzeczy w różnych okolicznościach?

– Masz rację – przyznałem. Mój plan się sprawdzał.

Odkąd w naszym życiu pojawiły się symulaki, Cindy prawie nie wychodziła z psis. Na początku dodawała pokoje do naszego mieszkania, potem zaczęła zmieniać coraz bardziej pomysłowo i według własnych potrzeb całą mieszkalną konfigurację oraz położenie naszego domu. Teraz niemal każdego dnia pojawiała się coś nowego i nie było już tak spartańsko jak niegdyś.

Traktowała to jako część swoich codziennych obowiązków.

Była w tym naprawdę dobra.

Doświadczała całego macierzyństwa, karmiła i przebierała nasze symulaki, sprowadzała inne do zabawy, słowem, robiła przy nich wszystko. Doskonale się w tym odnalazła.

Podniosła Dereka i posadziła go sobie na kolanach, przyglądając mu się uważnie.

– Co sądzisz o piwnych oczach?

Podszedłem do nich.

– Podobają mi się piwne – odpowiedziałem. Namacalność tych symulowanych dzieci nadal wyprowadzała mnie nieco z równowagi i być może dlatego miałem ostatnio nerwy w strzępach.

Dla Cindy to udawane macierzyństwo stało się czymś zupełnie naturalnym, ja natomiast musiałem równoważyć udawane ojcostwo całkiem rzeczywistymi obowiązkami. Cindy przerywała mi pracę ze sto razy w ciągu dnia, żeby pochwalić się czymś, co akurat zrobiło któreś z dzieci, aby wytłumaczyć mi, dlaczego to takie wspaniałe i jak łączy się z taką czy inną cechą genetyczną.

– Wszystko ci się „podoba” – powiedziała po chwili i postawiła ostrożnie Dereka na podłodze. – Idź, pobaw się z bratem – dodała, a Derek pisnął i ruszył na czworakach do salonu. Spojrzała na mnie. – To ty tego chciałeś. Byłoby mi miło, gdybyś zechciał też uczestniczyć w tym wszystkim.

Zmęczony i poirytowany wyjąkałem:

– Ja... to znaczy... próbuję... – Ale przerwała mi kakofonia wrzasków.

Chłopcy wypadli z salonu i zaczęli biegać wokół stołu, przy którym siedzieliśmy, śmiejąc się i ścigając stadko maleńkich latających smoków. Przerwałem i podrapałem się po zaroście, czekając aż im się znudzi i odejdą.

– Czy naprawdę musimy mieć w domu pół tuzina biegających w tę i z powrotem symulowanych bachorów? – zapytałem głośniejszym głosem niż zamierzałem. Wracając do domu, zastanawiałem się nad tym wszystkim i doszedłem do wniosku, że powiem Cindy, że chcę mieć prawdziwe dzieci. Ale z tymi rozwrzeszczanymi dzieciakami na karku nie potrafiłem znaleźć właściwych słów.

Łypnęła na mnie ze złością i zwróciła się do dzieci:

- Chłopcy, chłopcy, dorośli chcą porozmawiać – odezwała się cicho i przegoniła stadko smoków z powrotem do salonu. – Prosimy o spokój.

Kiedy na nich nie patrzyłem, wszyscy zmienili skórki, zamieniając się w miniaturowe fioletowe tyranozaurowie z niewinnymi minkami. Ricky był jednak posłuszny i zaprowadził rozwrzeszczaną bandę dinozaurów z powrotem do salonu.

Cindy uśmiechnęła się i spojrzała na mnie.

- Widziałeś, jak objął przywództwo? Powinniśmy wiedzieć, jak nasz syn będzie się socjalizował, prawda? No wiesz, wybraliśmy określony zestaw genów kształtujących jego osobowość, a ja chcę się przekonać, co to naprawdę oznacza. Markery zachowań na papierze to jedno, a...

Poziom hałas w sąsiednim pokoju znów stał się nieznośny, uniemożliwiając jej kontynuowanie wywodu.

- Czy nie moglibyśmy wyłączyć tej symulacji na minutę? – Zaczynała boleć mnie głowa.

- Dzieci nie da się wyłączyć, nie sądzisz, Rick?

- Nie, ale takie dzieci z całą pewnością da się i trzeba wyłączyć.

Na moim osobistym ekranie zmaterializował się Echo, wyczuwając coś niepokojącego. Cindy spojrzała na niego gniewnie.

- Zajmij się sobą, koleś! – rzuciła do niego, grożąc mu palcem. Jeśli prokurę można zbić z tropu, to Echo właśnie tego doświadczył i natychmiast zniknął.

Zwróciła się do mnie.

- O tym właśnie mówię. Jeśli uważasz, że Ricky jest zbyt niesforny, może powinniśmy wybrać dla niego bardziej introwertyczne cechy charakteru? Cały ten proces polega po części na zrozumieniu, w jaki sposób dzieci wpływają na nas samych i na nasz związek.

Wiedziałem, o co jej chodzi, ale zagotowało się we mnie.

- Nie chcę mieć introwertycznego syna. A tak przy okazji, chciałem powiedzieć ci dziś coś ważnego...

- Ja też chciałam powiedzieć ci coś ważnego! – wyrzuciła z siebie niemal bez tchu, zanim zdążyłem dokończyć. – Chcę trzeciego symulaka.

Zaniemówiłem. Za tydzień Ricky skończy dziesięć lat, a Derek wejdzie w straszny drugi rok życia. A ona chce trzecie dziecko?

– Ale pozbędziemy się tych dwóch pierwszych symulacji, tak? – zapytałem z niedowierzeniem.

– Pozbędziemy się? – Zrobiła wielkie, spanikowane oczy. – Przecież jeszcze ich nie wychowaliśmy! Chcesz się zatrzymać w połowie drogi i powiedzieć, że to była strata czasu? Że zmarnowałam wszystkie te dni?

– Strata czasu? Powiem ci, czym jest strata czasu! Przez cały dzień dbam o to, żeby ta cholerna łajba, na której pływamy, nie wyleciała w powietrze po jakimś akcie sabotażu albo nie rozbiła się o skały po jakimś sztormie. Nie mogę myśleć normalnie, bo łykam prochy Obudź-Się, bo każdej nocy wstaję z dziesięć razy, żeby kołysać te durne symulowane bachory do snu!

Nie zauważyłem, że podniosłem głos. Nagle zrobiło się bardzo cicho. Do jadalni wtoczył się wianuszek chłopców wpatrujących się we mnie maleńkimi drapieźnymi oczkami dinozaurów. W tych drapieźnych oczkach zaczęły wzbierać łzy. Derek rozplakał się najgłośniejsze.

Cindy spojrzała na mnie i powiedziała cicho.

– Chciałam mieć małą symulaczkę, żeby przekonać się, jak to jest.

Ująłem dwoma palcami mostek na nosie i zacisnąłem oczy.

– Muszę wrócić do pracy, okay? Mam jeszcze mnóstwo roboty. Porozmawiamy później. Przepraszam.

Cindy chciała mnie dotknąć, ale odsunąłem się i wyszedłem szybko z domu.



Pod gęstym tropikalnym baldachimem panował mrok. Puściłem się sprintem, omijając pnie drzew. Początkowo wróciłem do Dowództwa i zakopałem się w pracy. Echo nic nie mówił, pracował ze mną przy plikach. Po jakiejś godzinie postanowiłem wyjść na górę i pobiegać w dżungli porastającej powierzchnię Atopii. Większość mieszkańców wyspy nie miała nieograniczonego dostępu do powierzchni, ja, jako Dowódca, cieszyłem się przywilejami.

System psis potrafił wiele rzeczy, ale naprawdę przydawał się w nocy. Dla nieuzbrojonego oka na powierzchni panowały egipskie ciemności, ale moja wizja była wzbogacona o podczerwień i podbicie kolorów, więc z łatwością

poruszałem się nawet najczarniejszą nocą.

Oczywiście sam kierowałem swoimi ruchami, a Echo bardzo subtelnie dbał o to, żebym właściwie stawiał kroki, utrzymywał równowagę czy pochylał głowę tu i tam, by uzyskać najlepszą trajektorię biegu przez dżunglę.

Dla rozrywki sprowadził dla nas stado dzikich koni pędzących obok poprzez poszycie, a nawet kilka małych skaczących z krzykiem równo z nami po koronach drzew. W rezultacie powstał euforyczny obraz szaleńczego pędu w gęstym tropikalnym lesie.

Był to najlepszy ze znanych mi sposobów pozbywania się złości.

Kłótnia z Cindy przypomniała mi o kłótniach moich rodziców i o tym, jak traktował nas ojciec. Wróciły wspomnienia z dzieciństwa. A przecież chciałem jej tylko powiedzieć, że jestem gotów na następny krok. Nie wiem, dlaczego przerodziło się to w ponurą kłótnię. Znak ostrzegawczy? Walczyłem z tą myślą.

Coś uderzyło mnie w policzek, straciłem równowagę i wpadłem w zagajnik karłowatych palm. Poczułem wilgoć na twarzy. Towarzysząca mi horda stanęła, a galop zastąpiła nagła cisza.

– Może powinieneś pozwolić mi kierować – mruknął Echo.

Czekał, aż się pozbieram. Musiałem uderzyć w gałąź. Au! Zwierzęta rozeszły się po cichu, wyczuwając koniec zabawy.

– Wiesz, że lubię mieć kontrolę nad własnym ciałem. – Im częściej używało się prokury do sterowania, tym prędzej traciło się orientację neuronową, co prowadziło po równi pochyłej ku inwalidztwu.

Kiedy podczas wojen klimatycznych używaliśmy prototypów psis, zawsze dbałem o to, żeby mój oddział ze mną na czele zachowywał neuronową spójność między symulowanymi a rzeczywistymi ciałami. Psis idealnie nadawał się do celowania z broni czy wychodzenia z szoku pourazowego, ale na co dzień nadal wierzyłem w sprawność starego, dobrego mózgu i tyle.

– Trochę za mało cię boli jak na faceta, który lubi mieć kontrolę nad własnym ciałem – skomentował to zgryźliwie Echo, pojawiając się obok mnie. – Rano będziesz miał bliznę.

To prawda, niemal maksymalnie ograniczyłem neuronowe odczuwanie bólu – takiego bólu, który pochodził z mojego układu nerwowego. Serce bolało

mnie strasznie, ale nic na to nie mogłem poradzić. Odczuwanie bólu emocjonalnego to zabawna rzecz: im bardziej człowiek chce się go pozbyć, tym głębiej taki ból zapuszcza korzenie.

To trening na polu walki, chciałem mu odpowiedzieć, ale znał mnie lepiej niż ja sam.

Dostroilem filtry bólu do normalnego poziomu i poczułem rwanie na policzku oraz w kostce. Chodzenie ze zwichniętą kostką przy działających receptorach bólu to nie jest fajna rzecz.

– Nie jesteśmy na poligonie, żołnierzu – roześmiał się Echo.

Pokuśtykałem do krawędzi lasu, a Echo szedł obok mnie. Tuż za linią drzew ujrzałem fale rozbijające się o brzeg.

– Nie da się wyłączyć bólu i nie da się pokonać samego siebie – ciągnęła moja prokura, kiedy dotarliśmy do pustej, piaszczystej plaży. – Nie jesteś swoim ojcem, Rick.

– Wiem.

– Mówiąc szczerze, nie jestem tego pewny.

Zapadła między nami cisza.

– Ładnie tu dzisiaj, co? – odezwałem się po chwili, zmieniając temat.

Echo spojrzał na mnie i kiwnął głową.

– Jasne.

Położyliśmy się na piasku obok siebie i wpatrywaliśmy się w roziskrzone, milczące gwiazdy. Zmieniłem wizję na ultrafiolet i promieniowanie rentgenowskie, a niebo rozjarzyło się neonowym błękitem i upiorną bielą.

– Pięknie jest żyć, prawda?

Niemal nie zauważyłem, że Echo nie odpowiedział.



Nie wróciłem do domu przez resztę wieczoru. Nie chciałem znów kłócić się z Cindy czy tłumaczyć w środku nocy, dlaczego mam zakrwawiony i przecięty policzek. Czując się jak tchórz, kazałem Echu zostawić jej wiadomość, że jest mi przykro, ale że wszystko jest w porządku, choć muszę zostać w pracy na

całą noc.



Prawie zupełnie nie spałem, więc rano widziałem wszystko jak przez mgłę. Łykałem tabletki Obudź-Się jak cukierki i próbowałem wziąć się w garść.

Moi sztabowcy z Dowództwa przyglądali się z rozbawieniem i współczuciem spuchniętej, fioletowej twarzy. Choć założyłem na nią filtr ukrywający rzeczywistość, większość z nich wyłączała go dla ubawu. Zajmowałem się głównie oczekiwaniem na koniec dnia, żeby porozmawiać z Cindy.

– Trochę się nam zużyłeś – powiedział Jimmy, kiedy po lunchu zajęliśmy się raportami z codziennym zestawem grózb. Uśmiechnął się.

– Jasne, jasne – odpowiedziałem, szczerząc zęby. – Ale nie zapominaj, że to ja jestem bojową szpicą tego oddziału.

– Oczywiście. – Mina mu trochę zrzędała. – Wiesz co, może sam skończę przeglądanie tych raportów? – zaproponował. – Widzę, że masz sporo na głowie.

Raporty i diagramy dryfujące w naszej wspólnej przestrzeni ekranowej ciągnęły się w nieskończoność. Od samego patrzenia na nie rozboleła mnie głowa.

– Mówiąc szczerze, Jimmy, byłbym ci wdzięczny.

– Żaden problem.

– Weź wolne na resztę dnia. Jimmy ma rację – dodał Echo. – Sprawdziłem, co u Cindy. Ma wolne popołudnie.

Obrzuciłem go uważnym spojrzeniem.

– Rozmawiałeś z Cindy?

– To ona chciała z tobą pomówić, ale byłeś zajęty rozmową z Jimmym.

– Dzięki, chłopaki – powiedziałem, patrząc na nich obu. – Naprawdę to doceniam.

– A tak przy okazji, Rick... – zwrócił się do mnie Jimmy, kiedy wstałem, by odejść – ...twoja żona prosiła mnie, żebym pomógł jej z czymś przy symulakach. Nie masz nic przeciwko temu?

– Absolutnie nie – mruknąłem, zbywając to gestem. – Czegokolwiek jej trzeba.

Przesłałem mu część moich uprawnień do symulaków i odmeldowałem się.



Echo kierował moim ciałem po drodze do domu, a ja kończyłem papierkową robotę. Kiedy stanąłem przed drzwiami, zapisałem pracę w wirtualnym biurze i przejąłem z powrotem stery. Odczekałem chwilę, zastanawiając się, co chcę powiedzieć Cindy. Wzięłem głęboki oddech i otworzyłem drzwi, spodziewając się ataku rozwrzeszczanych bachorów. Ale w domu panowała zupełna cisza, więc z miejsca zacząłem się martwić.

Rozejrzałem się ostrożnie.

Cindy siedziała sama na małej sofie stojącej pośrodku pokoju. Nasze mieszkanie, w dziwnej, pozbawionej wszelkich charakterystycznych cech, cichej i spokojnej symulacji, było nieskazitelnie białe.

Poczułem się w nim dosyć upiornie.

– Och, Rick! – zawołała, wstając z sofy i podchodząc do mnie. – Co ci się stało?

– To nie twoja wina. To moja wina. – Uniosłem ręce. – Nic mi nie jest, to tylko zadrapanie. Przeprowadzałem nocne ćwiczenia.

Nie wydawała się przekonana.

– Wracając do naszej wczorajszej rozmowy... Wiem, że chciałeś powiedzieć mi coś ważnego...

– I nadal chcę – przerwałem jej. – Posłuchaj, wiem, że dojście do tego zabrało mi sporo czasu, ale jestem już gotów i wiem, że ty też.

Uśmiechnęła się, zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała mnie.

– To cudowna wiadomość, najdroższy!

Spodziewałem się czegoś więcej, więc powtórzyłem to samo innymi słowami:

– Chcę mieć z tobą prawdziwe dziecko, rozumiesz?

Kiwnęła głową.

– Oczywiście, że rozumiem i uważam, że to cudowne. Zrobimy wszystko jak należy.

Odetchnąłem, czując wielką ulgę.

– A gdzie chłopcy?

– Och, już ich nie ma – odpowiedziała beztroskim tonem, co mnie zaskoczyło. Jeśli było jej z tym dobrze, a wydawało się, że tak, nie miałem nic przeciwko, choć nie ukrywam, że poczułem ukłucie żalu.

– Ale... – kontynuowała – ...chcę, żebyś kogoś poznał.

Na gładkiej, białej ścianie za sofą pojawiła się szczelina. Cindy ujęła mnie za rękę i poprowadziła ku niej, a ściana rozsunęła się, ukazując następny pokój. Usłyszałem ciche gaworzenie. Podeszliśmy do kołyski, a Cindy pochyliła się i wyjęła z niej niemowlę, dziewczynkę.

Podawała mi ją, a ja wziąłem maleństwo ostrożnie na rękę.

– Rick, poznaj Briannę – przedstawiła mi cicho dziecko.

Spojrzałem na buzię mojej córki. Była prześliczna.

Może zawsze chciałem mieć małą dziewczynkę?

[3] Szybkość statku kosmicznego w serialu *Star Trek*. 1 warp równa się prędkości światła [przyp. tłum.].

5

Cindy przeprowadziła naszą rodzinę do scenerii jak z obrazów Normana Rockwella. Byliśmy na dworze, siedzieliśmy razem przy starym drewnianym stole na krawędzi sadu z jabłonią, za krytym szarym gontem wiejskim domkiem, na którym łuszczyła się farba i w którym pachniało stęchlizną, a na kominku stały pożółkłe rodzinne fotografie.

Było ciepło, nawet gorąco, a na bezchmurnym niebie leniwie zachodziło słońce. Znajdowaliśmy się na wyspie Martha's Vineyard około roku 1940 wiksziata. Dzień kończył się spokojnie, a nawet ospale, co było miłe po szaleństwie ścigania cyberzagrożeń. Morska bryza szeleściła w wysokiej niekoszonej trawie na pobliskich wydmach.

Nasza pierwsza symurka wpuściła powiew świeżego powietrza do mojego związku z Cindy, a dni i tygodnie mijały nam w poczuciu wzmożonego oczekiwania. Jimmy i Echo wyczuli pismo nosem i obaj dobrowolnie przejęli część moich zadań dowódczych, dając mi czas na dogadywanie się z Cindy.

Zwieńczeniem każdego dnia stał się zrytualizowany powrót do domu, gdzie odkrywałem nowe metaświaty tworzone dla nas przez Cindy i oczywiście bawiłem się z najnowszym symulakiem. Wraz z upływem czasu przeszliśmy od Brianny – naszej pierwszej symureczki – do Georginii, Paula, Pauli, a w końcu do naszego nowego ulubieńca, Ricky'ego Dwa.

– Adriana miała rację – powiedziała Cindy, wpatrzona w oblicze synka. – Niebieskie oczy są najlepsze. Jak u małego Ricky'ego.

– Hm?

Byłem zajęty studiowaniem raportu Phuture News, zapowiadającego nasilenie wojen klimatycznych. Przerzucałem też tabloidowe odłamki, usiłujące powiązać to z jakimiś paranormalnymi doniesieniami. Rozwój wypadków w wojnach klimatycznych śledziło oczywiście wielu ludzi, a gdy masy dowiadują się z wyprzedzeniem o wydarzeniach tej skali, istnieje duże

prawdopodobieństwo, że wydarzenia te w ogóle nie będą miały miejsca.

Kiedy się nad tym zastanawiałem, nadeszła najnowsza wiadomość o opóźnieniu, a potem szybkim odwołaniu ofensywy. Nagle pojawił się raport o prawdopodobnym ataku taktyczną bronią nuklearną jakiegoś celu w Kaszmirze, ale atak ten został wstrzymany w ostatniej chwili. Wszystkie strony zasiadły już do negocjacji.

Precyzyjna technologia futurologiczna doprowadzała do niespodziewanych zachowań – prognozowanie przyszłości oznaczało, że wszyscy wiedzieli, co zamierza rywal, zatem bycie nieprzewidywalnym i nieobliczalnym miało swoje dobre strony – zazwyczaj kosztem braku zamiarów strategicznych. Nie traciłem z oczu paradoksu, że „wiedza o przyszłości” sprawia, że wszystko staje się jeszcze mniej przewidywalne. Poważni stratedzy zajmujący się tym tematem twierdzili, że takie postrzeganie jest spowodowane tym, iż nasze pierwotne podmiotowości są uwięzione na zawsze na pojedynczej osi czasu.

Westchnąłem.

Zespoły operacyjne donosiły, że huragan Ignacia zupełnie zmienił kierunek i obecnie wszystko wskazuje na to, że uderzy w Kostarykę, przenosząc się z Karaibów na Wschodni Pacyfik. Ignacia rozrosła się do potwora 4 Kategorii!

Uciekaliśmy już od huraganu Newton o stabilnej 2 Kategorii, który zmierzał ku wybrzeżom Meksyku i ni z tego, ni z owego znaleźliśmy się w naszej niecce oceanicznej oko w oko z dwoma dużymi huraganami, nie mówiąc już o kilku innych frontach niżowych obracających się na zapleczu. Takie zjawiska pogodowe zdarzały się już wcześniej, ale z pewnością rzadko.

Przed moimi oczyma zawisł niepewnie komar, odpędziłem go, machając głową.

– Pamiętasz oczy naszego pierwszego Ricky’ego? – powtórzyła Cindy. – Odtworzyłam je w cechach Ricky’ego Dwa. Uwielbiam je!

Zachłysnęła się łzami, wypowiadając te słowa, choć minęło już sześć tygodni, odkąd zrezygnowaliśmy z naszego pierwotnego symulaka. Wyczuwając łzawą chwilę, oderwałem się od Phuture News i skupiłem uwagę na Cindy.

– Tak, ja też je uwielbiam – powiedziałem.

Bardzo lubiliśmy omawiać i porównywać wygląd każdego z naszych symulaków. Przyszło mi do głowy, że spróbuję tego, żeby zapobiec temu, co się

zbliża.

– Bardzo podobają mi się rysy Ricky’ego Dwa – podpowiedziałem, idąc na pomoc Cindy.

Cindy zupełnie znieruchomiała. W nagłej ciszy usłyszałem tykanie wiszącego, drewnianego zegara, odmierzającego sekundy w korytarzu domku. Cindy wpatrywała się w twarz Ricky’ego Dwa. Wyglądało na to, że zaraz się rozpłacze.

– Mnie też – powiedziała, opanowując się. Powoli nabrała powietrza w płuca, dochodząc do siebie po tym, co jej było.

– Kto jest moim śliczniutkim chłopczykiem? – szepnęła do dziecka, podrzucając je delikatnie, a potem przytulając do siebie. Zagruchał z rozkoszy i wtulił główkę w jej szyję.

Coś z całą pewnością było nie tak.

– Nic ci nie jest?

– Nie, dlaczego? – Jeszcze mocniej przytuliła do siebie sztuczne dziecko.

Gdzieś daleko rozpoczęły koncert cykady. Zmrużyłem oczy w słońcu przeświecającym przez jabłonie i przyglądałem się żonie pieszczącej symulaka. Wyglądało to bardzo ładnie, ale niepokój rozszarpywał moją cierpliwość na strzępy. Byłbym bardziej niż uszczęśliwiony, gdyby niedługo przydarzyło nam się prawdziwe dziecko.

Uniosłem dłoń, żeby osłonić oczy.

– Co powiesz na szybką zmianę profilu wiekowego i przekonanie się już jutro, jak będzie wyglądał jako pięciolatek?

Nic nie odpowiedziała.

– Więc może pojutrze zrobimy z niego dwudziestolatka?

Cindy spojrzała na mnie nienawistnie i przytuliła mocniej dziecko.

– Nie musimy tego robić. Wiem dobrze, jaki będzie.

Poirytowany opuściłem głowę, żeby przyjrzeć się palusznikom wyrastającym odważnie spod jednej nogi stołu. Wiatr zakołysał walczącą z meblem trawą, przynosząc na podwórko odurzający zapach psujących się jabłek.

– Co to znaczy, że wiesz dobrze, jaki będzie? – zapytałem. – Pozwoliliśmy pierwszemu Ricky’emu dorosnąć do pięciu lat, a Derek był niemowlęciem, kiedy z nim skończyliśmy. Nie chcesz się przekonać, jacy będą inni, kiedy

wydorośleją?

– Takie rzeczy się wie, kiedy jest się matką – odpowiedziała z przekonaniem.

– Możesz sprawdzić sobie starsze symulacje, jeśli chcesz, ale mnie one nie są potrzebne.

Podniosła dziecko przed sobą i zaczęła do niego gaworzyć.

Dyskusja niewątpliwie dobiegła końca. Czułem zarówno dyskomfort, jak i poirytowanie.

– Czy nie do tego służą symulaki?

– Kochanie – zaczęła, nie odwracając wzroku od dziecka – nie chcę wszczynać kolejnej kłótni, okay? Przyjmij, że nie chcę tego zrobić, i już.

Usiadłem na chwilę, porządkując emocje przed kolejnym zabraniem głosu.

– Cindy, proszę, zostaw na chwilę Ricky’ego.

– Okay, panie Duży Ricku – odpowiedziała wreszcie. Odwróciła się i posadziła dziecko na podołku, osłaniając je defensywnie. Podniosła głowę, żeby coś powiedzieć, ale nie pozwoliłem na to.

– Czy możemy na chwilę wyłączyć tę symulację? – zapytałem. – Nie czuję się tu dobrze.

Widziałem ból w jej oczach, opierała się przez chwilę, patrząc to na domek, to znów na mnie. Wyczuwając jednak moje rozdrażnienie, pozwoliła, by sad i domek rozplynęły się.

Nadal trzymała na rękach Ricky’ego Dwa, ale siedzieliśmy przy naszym stole w jadalni, w przestrzeni rzeczywistej. Za jej plecami światło tańczyło w lasach alg, iluminując ławicę skalarów przepływającą za szklanymi ścianami naszego mieszkania.

Pochyliłem się i położyłem dłoń na jej kolanie.

– Kocham cię, najdroższa.

– Ja ciebie też kocham. – Poszła w moje ślady i dotknęła moją dłoń swoją, tą, którą miała wolną, bo drugą ręką wciąż przytulała symulaka.

– Wiem, że to był mój pomysł – tłumaczyłem – i podobał mi się początkowo, ale uważam, że już wystarczy. Czas pomyśleć o prawdziwym dziecku, nie sądzisz?

Czekałem, spodziewając się najgorszego.

Ale uśmiechnęła się tylko.

- Masz rację, już wystarczy.
- Naprawdę tak uważasz? – zapytałem zaskoczony. – Naprawdę postaramy się o prawdziwe dziecko?
- Kołysała Ricky'ego Dwa na kolanie.
- Daj mi jeszcze trochę czasu, dobrze?



Wszystko skończyło się tak nagle, jak się zaczęło.

Kiedy następnego dnia wróciłem po pracy do domu, nie było już symulaków. Zostaliśmy bezdzietni po raz pierwszy od wielu miesięcy, jak rodzice symulaków, które opuściły już rodzinny dom. Nie ma co ukrywać, że przeżyłem wstrząs, gdy wróciłem z pracy i znalazłem w mieszkaniu tylko czekającą na mnie Cindy – bez nowego symulaka, z którym mogłaby się bawić – ale byłem szczęśliwy, że mamy to już za sobą. Patrząc na to wstecz, dochodziłem do wniosku, że podobał mi się proces wybierania dla nas najlepszego dziecka, ale teraz, kiedy zostawiliśmy to już za sobą, odniosłem wrażenie, że rozpoczęliśmy nowy, ważny rozdział.

Byłem w końcu gotowy na prawdziwe dziecko.

Minione doświadczenia przywróciły Cindy do życia, rozwiały się chmury jej chronicznej depresji. Doszedłem do wniosku, że przyczyniła się do tego perspektywa posiadania dziecka i to wszystko, przez co razem przeszliśmy. Każdego dnia po moim powrocie z pracy Cindy wydawała się ożywiona i energiczna, kochaliśmy się często i długo.

Po jednej z takich miłosnych sesji, kiedy leżeliśmy na porozrzucanych poduchach, zapytałem ją, czy może nie nadeszła pora, by przestała brać środki antykoncepcyjne.

- Bo wiesz, moglibyśmy postarać się o dziecko już teraz.
- Głuptasie – odpowiedziała, głaszcząc mnie palcem po nosie. – Daj mi jeszcze trochę czasu. Świetnie się bawię.

Trudno mi było z tym dyskutować. Była niesamowita.

- Nie chcę sztucznego zapłodnienia – rozmarzyłem się. – Wolę, kiedy się

inseminujemy, to znaczy, kiedy ja zapładniam ciebie. – Laboratorium ze swoimi genetycznymi sztuczkami może dołączyć później, żeby dać nam żywy odpowiednik symulaka Ricky’ego, który był naszym zdecydowanym faworytem.

Zachichotała, a ja wziąłem ją w ramiona.

– Czy to ci odpowiada? – przekomarzałem się z nią.

– Tak jest, komandorze.

– Zostaniemy dziś w łóżku i rozszczepimy się na odłamki na przyjęcie z okazji premiery Infinixa – powiedziałem z uśmiechem. – Nie będziemy poprawiać fryzur, nic nie będziemy robić. Zostaniemy tutaj, będziemy się przytulać i projektować naszą obecność na przyjęciu w strojach wieczorowych. Co ty na to?

Znów zachichotała.

– Cokolwiek rozkażesz, panie komandorze.

6

– Dzieje się tu coś bardzo nienaturalnego.

Z tymi słowy nasz mandroidalny gość opuścił szczupłą, metaliczne ramię, żeby poprawić obcisły kombinezon na szczupłych, lśniących nogach. Nie mogłem opanować obrzydzenia, patrząc na nią, choć miałem wielu przyjaciół, którzy wracali z wojny w kawałkach i byli odbudowywani robotycznie.

Był wczesny sobotni poranek, wszyscy zostaliśmy wezwani do Dowództwa, aby dokonać przeglądu scenariuszy związanych z zagrożeniem sztormami, które spychały Atopię ku wybrzeżu. Choć nie mieliśmy jeszcze pojęcia, jak to możliwe, żywiliśmy przeświadczenie, że sztormy te nie są naturalnymi zjawiskami pogodowymi, a nasz mandroidalny gość przedstawiał prawdopodobne wyjaśnienia tego, co się dzieje.

Jakby tego było mało, Patricia Killiam znalazła się pod opieką medyczną po katastrofalnej premierze Infinixxu sprzed kilku tygodni. Twierdziła, że nic jej nie dolega, ale od tamtej pory zachowywała się dziwnie.

– Myślisz, że jest w to zaangażowana Terra Nova!? – zapytałem to, czy ją, czy czymkolwiek jest. Wszystkie teorie mówiące o tym, jak mogło dojść do katastrofy pogodowej, były interesujące z czysto akademickiego punktu widzenia, ja jednak musiałem wiedzieć KTO i, co ważniejsze, DLACZEGO.

– Nie jesteśmy pewni – odpowiedziało.

Zupełnie jak ja. Coś było nie tak z tym mandroidem, nie potrafiłem tego nazwać, ale zgodziłem się, żeby Patricia sprowadziła go jako eksperta z zewnątrz. To, co mu się przydarzyło, musiało być niewiarygodnie traumatyczne. Był zaledwie kikutem ciała zawieszonym pomiędzy wrzecionowatymi, zrobotyzowanymi kończynami.

– A wiecie, skąd się to bierze? – zapytałem tonem żądającym natychmiastowej odpowiedzi.

– Niczego nie możemy przesądzać, ale oba te układy burzowe są zbyt

zdyscyplinowane.

„Zbyt zdyscyplinowane?” Zbyt zdyscyplinowane przez kogo? *To strata czasu.* Spojrzałem na Jimmy’ego, żeby przekonać się, czy ma coś do dodania. Nie miał. *Wspaniale.* Przetarłem oczy, starając się pozbyć bólu głowy.

Cindy znów popadała w depresję, a ja z trudem koncentrowałem się na pracy. Parę drinków, które wypilem poprzedniego wieczoru, również nie pomagało. Nastroje Cindy stały się trudniejsze do zniesienia niż poprzednio, a przecież tak niedawno wszystko było dobrze. Teraz nie chciała nawet słyszeć o dzieciach.

– Jimmy, czy mógłbyś się tym dalej zająć? Muszę coś załatwić w domu. – Mówiąc szczerze, chciałem wrócić tam, żeby się po prostu położyć.

– Żaden problem – odpowiedział od razu.

Kiwnąłem mu głową w podziękę i już miałem się odmeldować, gdy chłopak zwrócił się do mnie.

– Och, zapomniałbym! Mam dzisiaj randkę, mówiłem ci, pamiętasz?

Wbiłem wzrok w sufit.

– Z Susie, tak? – Roześmiałem się. – Więc sprawy podążają w dobrą stronę.

– Ale mogę ją odwołać – zaoferował Jimmy.

– Nie, nie, nie odwołuj. Wiem, że zostawisz mi parę odłamków, jeśli będę cię potrzebował. Wrócę.



Kiedy wszedłem do mieszkania, ogarnął mnie złowieszczy mrok. W środku było ciemno, a na ścianach migotały odbite refleksy holoprojektora.

– Kochanie? – Rozejrzałem się ostrożnie za drzwiami, kiedy wszedłem.

Cindy leżała jak kłoda na sofie, w takim samym stanie, w jakim ją zostawiłem przed kilkoma godzinami, a w domu panował bałagan. Pokój tonął w ciemnościach, a na środku odtwarzał się w kółko „EmoShow” Hala. Czułem narastający niepokój, podszedłem do sofy i usiadłem przy Cindy.

Położyłem rękę na jej kolanie.

– Wszystko dobrze?

Położyła dłoń na mojej dłoni i podniosła się trochę. Głowa Hala zniknęła, moja żona wyłączyła „EmoShow”, w pokoju zapaliły się światła. Przynajmniej się starała.

– Nic mi nie jest – odpowiedziała, choć nie wyglądało na to. – Co u ciebie?

– Pytam poważnie, kochana, co się dzieje? Porozmawiaj ze mną.

– Mam lekkiego doła. Jest mi trudno, sam wiesz.

– Dlaczego jest ci trudno?

Nie odpowiedziała, spojrzała tylko na mnie smutnym wzrokiem.

– Czy chcesz z kimś porozmawiać? Z kimś innym, nie ze mną. Próbowełaś?

Może to ja byłem powodem tego wszystkiego?

– Mam z kim porozmawiać – mruknęła. – Wszystko w porządku, najdroższy, ale dziękuję, że się starasz.

– A co z naszymi planami? – zapytałem łagodnie. – Myślałem, że chcesz mieć dziecko, że to cię uszczęśliwi. Spisywałeś się tak dzielnie z symulakami. Nie chcesz, żebyśmy się postarali o własne? Jesteśmy już gotowi.

Cindy spojrzała na mnie i uśmiechnęła się oczami oddalonymi o tysiące mil.

– Wiem, że ty jesteś, kochany.

7

Wezwanie przyszło następnego dnia, w niedzielę rano.

Znów stawiliśmy się wszyscy w Dowództwie, przeglądając prognozy sztormowe po raz nie wiadomo który, a huragany wirowały w idealnie złą stronę, spychając Atopię ku wybrzeżu. Postanowiliśmy, że konieczne są środki nadzwyczajne i właśnie mieliśmy rozpocząć proces ich eskalacji, kiedy zadzwonił doktor.

Echo przełączył mnie do niego natychmiast i bezzwłocznie zażądał przejęcia wszystkich moich zadań dowódczych. Spojrzałem na niego ze zdziwieniem, ale odebrałem połączenie bez zbędnych pytań.

– Coś się stało pańskiej żonie, komandorze Strong – oznajmił doktor, którego obraz pojawił się w przestrzeni wyświetlacza, gdy siedziałem przy stacji roboczej.

– Co to znaczy „coś się stało”?

– Lepiej, żeby pan tu przyszedł.

Przeniosłem się tam bez dalszej zwłoki i w następnej chwili stanąłem obok niego w infirmerii, patrząc na Cindy, która leżała przed nami na wysokim łóżku. Infirmeria przypominała coś nie z tego świata, z rozjarzonymi różowawo ścianami i sufitami, których w rzeczywistości nie było, lecz które miały, zdaje się, koić i znieczulać na swój sposób. Doktor był jedyną obecną tu osobą. Spojrzał na mnie z profesjonalną troską. Wpatrywałem się w Cindy. Wyglądała jak pogrążona w głębokim śnie.

– Mamy do czynienia z przypadkiem, który nazywamy odrzeczywistnionym samobójstwem – wyjaśnił doktor.

– Co to oznacza?

– To stan, w którym pacjent – w tym wypadku pańska żona – zupełnie wycofuje się z rzeczywistości i na stałe zamyka umysł w jakimś stworzonym przez siebie fantastycznym metaświecie.

- Można to powstrzymać? Mogę z nią porozmawiać?
- Przykro mi, ale nie jesteśmy w stanie do niej dotrzeć – tłumaczył doktor. – Jej psis i inVerse znajdują się w jej organizmie i stanowią swoiste rozszerzenie jej umysłu. Możemy kontrolować technologię, ale nie jej umysł, a ona sama postanowiła to sobie zrobić.
- Co postanowiła sobie zrobić? – zapytałem.
- Zdaje się, że nie był pewny.
- Możemy fizjologicznie usunąć sieć psis, wypłukując wszystkie sprytoocyty, ale to może doprowadzić do pętli niestabilnego sprzężenia zwrotnego, które zniszczy jej psychikę.
- Wpatrywałem się w niego.
- Więc co pan może zrobić?
- Komandorze Strong, bardzo by nam pomogło, gdybyśmy wiedzieli dlaczego. Czy coś się ostatnio wydarzyło? Wiem, że eksperymentowaliście z symulakami.
- Tak – odpowiedziałem, czując narastające przerażenie. – Tak było. Przecież temu służy to miejsce, czyż nie?
- Komandorze Strong – ciągnął cicho doktor. – Symulaki mogą wywierać potężne emocjonalne efekty uboczne, jeśli nie postępuje się z nimi właściwie. Czy czytał pan ostrzeżenia, zanim zamówiliście aż tyle symulacji? Proszę mi odpowiedzieć, co zrobiliście z symulakami, kiedy już z nimi skończyliście?

8

Śledztwo wykazało, że Cindy nie kończyła naszych symulacji. Zamiast tego ukrywała je jedną po drugiej w swoich prywatnych metaświatach. Kiedy poznała lepiej system psis, zaczęła konstruować coraz bardziej skomplikowane rzeczywistości. Chowala je coraz dalej ode mnie, używając prywatnych sieci i zasłon bezpieczeństwa, by zacierać ślady i chronić nieustannie rozrastającą się rodzinę.

To nie było aż takie trudne, tym bardziej, że zupełnie nie zwracałem na to uwagi. Była wówczas w tak doskonałym nastroju, że nie dociekałem, czym się zajmuje, kiedy mnie nie ma.

Teraz przypomniałem sobie wszystkie zadawane przez nią pytania o długość życia symulaków. Kiedy je płodziliśmy, żądała coraz większej elastyczności w tym zakresie dla każdego z nich. Zawsze jej odmawiałem, chcąc trzymać je jak najkrócej i iść dalej.

Ponieważ symulacje wykorzystywały połączenie naszego DNA, do którego każde z nas ma prawa autorskie, musieliśmy oboje wyrazić zgodę na format symulaka przed jego spłodzeniem. Po rozpoczęciu procesu można je było zmienić tylko poprzez zresetowanie systemu, co w efekcie kończyło każdą symulację. Nie mogła ich modyfikować, nie niszczyć ich.

Mimo narastających zagrożeń, w obliczu których stanęła Atopia, brakowało mi sił na pracę w Dowództwie, szczególnie po tym, jak Jimmy włamał się do jej prywatnych światów i dostarczył mi ich kopie.

Jimmy i Echo doskonale dawali sobie radę z tym, co się działo, beze mnie. Atopia przebija się przez sztormy, a nawet jeśli nie, czy ma to dla mnie jakieś znaczenie? Byłem zajęty walką o odzyskanie spokoju ducha pośród ruin, które niegdyś były moim życiem.

Istniały specjalne zabezpieczenia, by chronić użytkowników przed pewnymi niebezpieczeństwami psychologicznymi związanymi z wychowywaniem

symulaków, ale Cindy obeszła je, używając moich uprawnień. Zrozpaczona matka pokona każdą trudność, by chronić własne dzieci.

Kiedy wszedłem do kopii światów, które stworzyła, rozpocząłem dziwną podróż. Przyglądałem się, jak wszystkie symulaki wychowują się razem w małym, pobielonym domku na Martha's Vineyard. Kiedyś odwiedziłem go wraz z nią. Przypominało to oglądanie powtórki starego serialu telewizyjnego o życiu na wsi – białe, rozwieszane na sznurku prześcieradła łopotały na wietrze niczym białe flagi, poddające rok za rokiem.

Przez całe dni siedziałem i oglądałem małego Ricky'ego, Dereka, Briannę, Georginę, Paula, Paulę i Ricky'ego Dwa bawiących się razem, dorastających razem, przeżywających razem życie. Uśmiechałem się, widząc ich wszystkich, wspominałem je jako niemowlęta, które nosiłem na rękach.

Mechanika symulacji dzieci, do której przekonałem Cindy, tworzyła surrealistycznie przyspieszony obraz życia, w którym niemowlęta stawały się dorosłymi, a w końcu starymi kobietami i mężczyznami w różnym, ale nieprzekraczającym trzech miesięcy tempie, co tworzyło szalone, zupełnie nieliniarne zakrzywienie czasu.

Symulaki niczego nie zauważały i nic je nie dziwiło ze względu na wbudowane poznawcze martwe punkty. A może także dlatego, że jako dzieci przeżywały jedyne życie, jakie znały, i nie potrafiły wyobrazić sobie niczego innego? Trudno orzec.

Przyprowadziła mnie tam tylko jeden raz. Jak się okazało, było to tuż po pogrzebie pierwszego Ricky'ego. Kiedy tamtego popołudnia zjawiłem się w domku, wyjęta spod prawa banda symulaków, moich dzieci, ukrywała się na górze. Polecono im zachowywać się jak najciszej. Większość z nich była wtedy jeszcze bardzo mała.

Powtarzałem tę scenę wiele razy, stojąc wraz z nimi na ciemnym strychu, gdzie chichotały i chowały się, patrząc z wysoka na Cindy i na mnie rozmawiających na podwórku. Myślę, że chciała mi wówczas o nich powiedzieć i sprowadzić je wszystkie na dół jako wielką niespodziankę.

Pogrzeb Ricky'ego był dla niej najboleśniejszym przeżyciem i zdaje się, że usiłowała mi o tym powiedzieć, ale nie pozwoliłem jej na to. Chciała, żebym jej pomógł przedłużyć ich życie, ale nie pozwoliłem jej mówić, zanim zdołała

poprosić mnie o cokolwiek.

Moja złość pokrzyżowała jej plany, jak zawsze.

Powtarzałem też bez przerwy inną scenę, wracałem do niej nieustannie – była to scena sprzed śmierci pierwszego Ricky’ego. Był wtedy pomarszczonym starcem, zgiętym przez lata, podpierającym się laską, akurat wychodził na tylną werandę domku. Skrzypiały nienaoliwione zawiasy drzwi. Kiedy je zamykał, przebiegły obok niego dwie małe dziewczynki – Georginia piszczała, bo goniła ją Brianna.

Ricky zachwiał się niepewnie, kiedy go mijaly, ale uśmiechnął się do nich. Ja też się do nich uśmiechnąłem.

„Chodź, Ricky, usiądź”, powiedziała Cindy, wstając od wielkiego, dębowego stołu, przy którym siedzieliśmy razem nie tak znów dawno temu.

Czas to zabawna rzecz – choć przemieszczałem się w nim swobodnie w tę i z powrotem, by obejrzeć to, co się stało, stanął w miejscu, a moje życie znieruchomiało jak komar zatopiony w bursztynie.

Gdy powtarzałem tę scenę, siedząc z nimi przy stole, obok, bzyząc złowrogo, przeleciała osa, wracająca do gniazda pod okapem. Cindy ujęła Ricky’ego pod rękę i posadziła go ostrożnie na fotelu. Sama usiadła naprzeciw, składając ręce na stole i patrząc mu prosto w oczy.

„Nie mam pojęcia, mam, jak długo wytrzyma jeszcze to moje stare ciało”, powiedział całkiem rzeczowo Ricky. Po policzkach Cindy spływały łzy.

„Nie płacz mam. Nie ma się czym smucić. Jest taki piękny dzień”. Odrzucił do tyłu starą głowę i spojrzał w idealnie błękitne niebo. Uśmiechnął się. „Piękny dzień, by żyć!”

9

Dowiedziałem się, że spłodziliśmy Ricky'ego Dwa tuż po śmierci pierwszego Ricky'ego. Myślę, że w ten sposób chciała wypełnić pustkę, jaka powstała w jej życiu. Pozostałe dzieci też wkrótce umarły, a tego nie potrafiła już znieść.

Oglądanie powtórek z życia rodziny, którą miałem i której nigdy mieć nie mogłem, było nieopisanie smutne. Choć być może... być może Cindy dostała to, czego pragnęła? Czy przeżywanie całego życia przez kilka krótkich miesięcy czyni to życie gorszym? Czy moje straciło na znaczeniu i przestało mieć sens, dlatego że oglądałem dzieci rosnące, starzejące się i umierające tak szybko na moich oczach?

Bardzo trudno orzec.

Wiem jedynie z całą pewnością, że rodzina Cindy odmówiła mi dostępu do jej DNA w celu spłodzenia dzieci, o co prosiłem na wypadek, gdyby coś jeszcze się stało.

– Rick – zwrócił się do mnie jej ojciec – wiem, że Cindy cię kochała, czego nie potrafiliśmy pojąć, bo często zostawiałeś ją samą, wyjeżdżając na kolejne misje bojowe. To ją zabijało...

– Wiem, proszę pana.

– Błagała cię o dziecko, a teraz ty chcesz... – Usiłował zachować spokój, ale głos drżał mu z oburzenia. – To woła o pomstę do nieba, człowieku! Co wy tam robicie z ludźmi!

Nie poprosili o przeniesienie Cindy z Atopii do domu, bo tylko tutaj można było mieć jeszcze nadzieję. Przyszłość jest dwa kroki stąd i może wkrótce da się naprawić to, co się stało.



– Więc nie ma pan żadnych innych pomysłów, doktorze?

– Komandorze Strong, będziemy musieli odmówić kolejnych spotkań z panem, dopóki nie wydarzy się coś nowego – odpowiedziała prokura doktora. – Zabawa z tym, co wchodzi i wychodzi z mózgu to jedno, ale miejsce, w którym tworzy się umysł... to bardzo ryzykowne.

Towarzyszył mi Jimmy, który starał się być pomocny.

– Spokojnie, komandorze. Dam panu znać, jeśli coś wymyślimy.

Więc zostawiłem to w ich rękach. Oprócz oglądania powtórek z życia mojej rodziny spędzałem dużo czasu, dryfując na krawędzi kosmosu, latając z dronami po ich leniwych, stratosferycznych orbitach wokół Atopii, przyglądając się z góry sztormom, które mogły ją zmiażdżyć i zniszczyć.

Wymyślą coś beze mnie. Miałem inne rzeczy na głowie.



Siedziałem niemal na szczycie trybun, a przede mną rozgrywał się meczowy dramat szkolnej ligi. Na początku dziewiątej rundy napięcie sięgnęło zenitu i wszyscy wstrzymali oddech, kiedy do bazy domowej zbliżał się ostatni pałkarz.

Daleko w zapolu poruszały się nerwowo sylwetki graczy, rzucające długie cienie w ostatnich promieniach letniego słońca. Zmrużyłem przed nim oczy, starając się rozpoznać, które dziecko jest które, a potem znów przeniosłem wzrok na pałkarza.

Odbił pierwszy rzut. Potem odbił drugi. Kiedy miotacz rozkręcał się, zapadła cisza.

– Trzecie odbicie! – zagrzemiał sędzia, a na boisku wybuchło pandemonium.

– Wspaniały mecz! – krzyknął stojący obok mnie mężczyzna. – Ma pan dziecko w drużynie?

– Oczywiście – odpowiedziałem, kiedy mój syn wspinał się po schodach pośród rozchodzących się tłumów.

Rzucił mi się w ramiona i zawołał podekscytowany:

– Wygraliśmy, tato! – Spojrzał na mnie. – Dlaczego płaczesz, tatku?

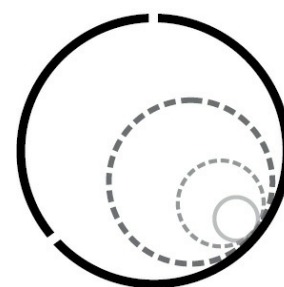
Wygraliśmy!

Wytarłem oczy.

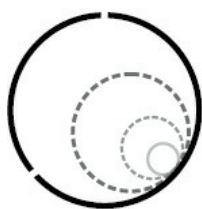
– Masz takie oczy jak twoja mama, wiesz?

Ricky uśmiechnął się, choć nic nie rozumiał. Ocierając łzy, ująłem go za rękę i zeszliśmy z trybun, by pomaszerować przez całe zapole ku niknącemu za horyzontem słońcu.

KROPLE CZASU



Część III:
Vince Indigo



1

Tożsamość: Vince Indigo

W rozrzedzonym powietrzu na krawędzi kosmosu bardziej czułem, niż słyszałem miarowe uderzenia potężnego śmigła drona ciągnącego mnie ku śmierci.

Od dawna wiedziałem, że ta chwila nadejdzie. Ciasnego przedziału ładunkowego na pokładzie drona nie przewidziano dla ludzi. Z trudem zmieniłem pozycję, czując zimny metal wrzynający się w moje ciało przez cienki kombinezon ciśnieniowy prowizorycznego systemu podtrzymywania życia, który sam skleciłem.

Nie powinienem był próbować ucieczki.

Sygnaly alarmowe dające znak do rozpoczęcia testu bojowego katapulty rozbrzmiewały w wielu wszechświatach. Gdyby wiedzieli, że siedzę schowany w tym samolociku, natychmiast wstrzymaliby test, ale w rozpaczliwej próbie zatarcia za sobą śladów odciąłem się całkowicie od sieci komunikacyjnych, ukrywając to, co robiłem, a nawet przyczyny moich działań.

To ryzyko nie bardzo się opłacało, bo system kontrolny drona zasygnalizował awarię, czego zresztą się spodziewałem. Maszyna przechyliła się gwałtownie na lewe skrzydło, tnąc lotem ślizgowym pustą przestrzeń, zawracając nieubłaganie ku zagładzie.

W niezbyt dalekiej odległości zagrzmiała katapulta, demonstrując światu swą straszliwą, niszczycielską moc. Serce waliło mi jak młotem, oddychałem płytko, chwytając nieregularnie hausty powietrza. Od wielu dni, a nawet tygodni wiedziałem, że ta chwila nadejdzie, a teraz nie mogłem już niczemu zapobiec.

Straszliwy ryk katapulty narastał, wstrząsając delikatną klatką obudowy drona. Wrzynający się we mnie chłodny metal ogrzewał się, a potem zrobił się gorący, czułem w płucach kwaśny smród topiącego się plastiku. Krztusiłem się, kurcząc się w sobie przerażony.

Ogarnięty rykiem płomieni dron przekoziółkował, jego metalowa i plastikowa powłoka odpadały w wielkich, ognistych kulach, a kiedy się ostatecznie rozpadł, wyrzucił mnie w pustkę – obracałem się, spadałem i płonąłem, odpadły mi skrzydła. W ostatniej sekundzie życia ujrzałem odległą Atopię, jasnozieloną plamkę pomiędzy płomieniami. Jej syreni śpiew wzywał mnie ku nieskończonym morzom.

2

Ostatni osad nocy spłynął bezsennie gdzieś w dal, a mimo wysiłków świata, moje życie wypełniał kolejny nowy dzień. Kolejny sen o śmierci, choć z drugiej strony to nie były tylko sny.

Czyżby?

Zrobiło mi się niedobrze.

Było wciąż wcześnie rano. Spod pościeli widziałem jaśniejące świtem niebo, które wraz z zamieraniem ryku i płomieni katapulty odzyskiwało pierwotny kształt. Poczułem przerażenie, widząc nogi na szpilkach i w siatkowych pończochach, zmierzające ku mnie z przestrzeni mieszkalnej.

Zapaliły się światła, a Gorące Ciało zdarła ze mnie pościel.

– Oj, przestań! – zaskomlałem, sięgając bez przekonania po kołdrę.

Gorące Ciało ubrała się dziś jak niegrzeczna uczennica, w kraciastą minispódniczkę i wykrochmaloną męską koszulę. Poły koszuli związała na dole, by ukazać kolczyk w pępku, i rozpięła ją na tyle nisko, by dało się pod nią zauważyć coś niesfornego. Wiedziała, że jestem przygnębiony i odgrywała swoją rolę, by postawić mnie na nogi i przywrócić do gry.

Nie od razu zauważyłem szpicrutę w jej ręku.

– Au!

Zachichotała i uniosła bacik, żeby znów mnie skarcić.

– Hej! – wrzasnąłem, chwytając prześcieradło, aby się zasłonić, i wyskakując z łóżka, by rzucić się za nią w pościg przez pokój.

Pisnęła, uciekając przede mną, a sypialnia zamieniła się w pokój sztabowy, który stworzyliśmy po to, by nie zapomnieć o wiszących nade mną groźbach przyszłej śmierci. Gorące Ciało miała już na sobie dopasowany połowy mundur. Pogroziła mi szpicrutą, kiedy przystanąłem, żeby jedną ręką podrapać się po porannym zaroście, a drugą osłaniać przed atakiem.

Zmieniłem mój punkt widzenia i spojrzałem na siebie oczami Gorącego Ciała.

Rozczochrany i broniący się przed narzędziem kary, wyglądałem śmiesznie. Wyprostowałem się i puściłem prześcieradło. Po terapii genowej wyglądałem ledwie na czterdziestolatka, choć oboje wiedzieliśmy, że niedługo będę miał dwa razy tyle. Gęsta czupryna siwiejących włosów opadała zabawnie, nawet jeśli niezbyt elegancko, na zapuchnięte, wpatrzone we mnie oczy. Wróciłem do własnego ciała.

– Dwie sprawy, zanim zaczniemy dzień, proszę pana – oznajmiła Gorące Ciało, stając zgrabnie na baczność i salutując mi szpicrutą. – Prokura komandora Stronga prosiła o kwiaty dla żony, przesłałam je z naszego prywatnego ogrodu, a przed chwilą odezwał się Bob z propozycją popływania na desce. – Uniosła brwi.

– Połącz mnie z Bobem – wymamrotałem zaspany. Wyczuwając, że się waha, dodałem: – Natychmiast!

I od razu stanął przede mną Bob z ironicznym uśmiechem na twarzy, trzymając pod pachą długą żółtą deskę. Był już prawdopodobnie naćpany.

Wspaniały chłopak. Jaka szkoda, że tak się marnuje.

– Więc... idziemy popływać? – zapytał ospale. Wyszczrzył zęby, widząc mundur Gorącego Ciała.

Ta, jest na haju.

– Wybacz, Bob, ale nie dam rady. Coś mi wypadło.

– Wypadło, co? – roześmiał się głośno, patrząc wymownie na Gorące Ciało. W mojej przestrzeni ekranowej pojawiły się za jego sprawą spienione grzywacze. – Nie wygłupiaj się, koleś! Dzisiaj będą prawdziwe potwory!

– Naprawdę nie mogę.

Z zalem przyglądałem się falom. Miałem nerwy w strzępach i nie pływałem na desce od tygodni.

– Co takiego masz do roboty? Wydawało mi się, że jesteś najbogatszym gościem na świecie...?

– Żałuję, ale nie mogę...

Spojrzałem błagalnie na Gorące Ciało. Przewróciła oczami i pogroziła mi szpicrutą.

– To pańskie życie, nie moje – skarciła mnie, wyczuwając, że mam zamiar się ugiąć. – Z drugiej strony godzina nikogo nie zbawi. Nie czeka nas nic pilnego,

z czym nie dałabym sobie rady. Ale tylko godzina, nie dłużej. Później może zrobić się nieprzyjemnie.

Nim skończyła mówić, byłem już w drodze do drzwi, zakładając piankę. Bob żartobliwie podniósł do góry kciuk i wrócił do swojego ciała, by rozejrzeć się za morderczymi falami. Dołączę do niego za chwilę.



Siedzieliśmy z Bobem na deskach i czekaliśmy na przyzwoite fale tuż przed krawędzią lasu glonów obok Zachodniej Zatoczki, niedaleko mojej rezydencji.

Atopijne glony z gatunku listownic, podstawa naszego łańcucha ekologicznego, rosły za sprawą bioinżynierii do góry nogami. Ich chwytniki stały się wypełnionymi gazem pęcherzami pływającymi na powierzchni wody, podczas gdy liście rozprzestrzeniały się na setki stóp w głębinach, ku dołowi. Płóżyły się niczym wodne namorzyny w fantastycznym tempie, rosnąc tuż przy podwodnej krawędzi Atopii i ciągnąc się przez dwie mile w okolicznych wodach.

Z tego miejsca widziałem moją rezydencję, kołyszącą się na falach. Majątek pozwalał mi na luksus własnej przestrzeni mieszkalnej – pływającego domu zacumowanego przy prześle pasażerskiej lukstorpedy, wyrastającej z wody i strzelającej ku słońcu. Większość z ponad miliona mieszkańców wyspy mieszkała pod powierzchnią, w drapaczach mórz sięgających w głębiny. Atopia proponowała najnowsze rozwiązania w dziedzinie zagęszczonego, urbanistycznego planowania.

Nawróciłem się na atopijny program marketingowy jako jeden z pierwszych, porzucając życie wędrowca wokół Zatoki San Francisco i przenosząc się przed ponad trzydziestu laty na pierwszą platformę Atopii. Twórcami programu byli moi najbliżsi znajomi, nikogo więc nie zaskoczył ten krok.

Ameryka nie była już tym, czym niegdyś, nieustanne cyberataki spychały ją po izolacjonistycznej spirali w dół, a Środkowy Zachód przed ponad stu laty znów zamienił się w nieckę pyłowych burz. Przewidywalna przyszłość nie gwarantowała pomysłów na dobre rozwiązania, a nasze zaangażowanie

w wojny klimatyczne wyciskało ostatnie krople krwi z wysychającego kraju.

Surfowanie dawało mi kopa. Dryfująca swobodnie po Pacyfiku Atopia była wystawiona na olbrzymie fale otwartego oceanu. Przy odpowiednim wietrze łamały się one i zwijały w rury ciągnące się przez wiele mil, nim rozbiły się o idealnie okrągłe brzegi wyspy. Atopia działała jak magnes na najlepszych surferów na świecie, ale trudno im było współzawodniczyć z rezydentami wyspy, którzy wykorzystywali system psis. Ludzie z zewnątrz uważali, że psis to igraszki z bogami, a bogowie bywają zazdrośni.

W tych czasach bogowie mieli osobiste porachunki ze mną.

Bob czekał na najlepszą falę, ale ja – choć chwytałem całkiem niezłe – nie miałem jego wodnego wyczucia i często trudno było mi dosiąść prawdziwego grzywacza. Poza tym ścigałem się z czasem.

– Bob! – krzyknąłem poprzez wodę, przerywając mu rozmowę z Martinem, kimś w rodzaju jego brata. – Muszę spadać!

– Tak wcześnie?

– Tak, muszę się za coś zabrać. Gorące Ciało nie daje mi spokoju.

Obiecana godzina jeszcze nie minęła, ale już zarzuciła mnie sprawami, które trzeba załatwić. Nie dało się surfować w taki sposób, było to nawet niebezpieczne.

Lepiej się tym zajmę.

– Trudno mi wyobrazić sobie, żeby ktoś mówił ci, co masz robić – oznajmił Bob. – Tak czy inaczej, daj mi znać, gdybyś zmienił zdanie.

Pomachałem mu na pożegnanie i przeniosłem się do swojej rezydencji, pozwalając kierować się Gorącemu Ciału.

3

Wróciwszy na górny pokład rezydencji, sprawdziłem niektóre doniesienia przysłane przez Boba. Poprzedniej nocy na Środkowym Zachodzie widziano mnóstwo UFO – Bob wiedział, że jestem fanem zjawisk paranormalnych. Ale tego dnia w rozkładzie zajęć miałem ważniejsze rzeczy.

Krążyłem w tę i z powrotem jak zwierzę w klatce, bijąc się z własnymi myślami, aż w końcu podjąłem decyzję. Spojrzałem na łamiące się fale. Naprawdę nie było wyboru.

– Gotowy do pracy? – Gorące Ciało czekała na mnie na stołku przy pokładowym barze, pijąc latte i przeglądając poranne wiadomości, przytupując przy tym szpilkami po wypolerowanej posadzce z błękitnego marmuru. Za jej plecami iskrzyła się w przedpołudniowym słońcu staranie przeze mnie wyselekcjonowana kolekcja najrzadszych na świecie whiskey i koniaków. O tej porze zazwyczaj wstawałem z łóżka, ale dziś nie spałem od świtu.

– Czy musimy? – zapytałem bezsensownie. Miałem ochotę na szklaneczkę aberlour.

– Trzeba podjąć jakieś działania – zauważyła Gorące Ciało. – Brak działań też jest działaniem. Jedynym rodzajem działania, jakie podejmujesz ostatnimi czasy. – Uniosła pogardliwie brwi, przeglądając europejskie doniesienia finansowe.

– Wezwij radę – westchnąłem, drapiąc się po zaroście.

Portale do mojego domowego świata wychodziły na pokład. Wszedłem do głównej sali konferencyjnej, zmieniając strój na granatową marynarkę ze sztywno wykrochmalonym kołnierzykiem białej koszuli. Gorące Ciało maszerowała za mną, z włosami upiętymi w schludny kok i w nienagannym kostiumie emanującym skutecznością i profesjonalizmem.

Członkinie Rady materializowały się jedna po drugiej przy długim

wiśniowym stole konferencyjnym, którego blat lśnił pod bioluminescencyjnym sufitem. Połowa z nich przecierała oczy, obudzona ze snu w różnych strefach czasowych – tam, gdzie zastało ich wezwanie na to niezapowiedziane posiedzenie. Druga połowa nie była ludźmi, ale zaufanymi syntetykami – te były radosne i w pełni sił, odprowadzały mnie uśmiechami do miejsca u szczytu stołu.

Z drugiej strony mogłem się mylić. Może te zaspane były syntetykami, kto wie? Nie potrafiłem już ich odróżnić.

Nie były to zwykłe, przeciętne kobiety i symulacje, ale – podobnie jak Gorące Ciało – coś w rodzaju fantazji dwunastolatka. Przybierały najdziwniejsze pozy w sali, jakby za chwilę miała się rozpocząć modowa sesja zdjęciowa, a długi konferencyjny stół miał im posłużyć za wybieg.

Zwołanie przeze mnie nagłego posiedzenia było, mówiąc najostrożniej, czymś bardzo niezwykłym, więc przyglądały mi się z uwagą. Rozdzielono pakiety informacyjne, które pojawiły się przed nimi na blacie, kiedy zająłem miejsce.

– Pominiemy uprzejmości. – To nie było spotkanie towarzyskie. – Zajrzyjcie do instrukcji. Mamy zamiar wszystko zlikwidować.

Cisza, podczas której przyswajały sobie załadowane dane.

– Pytania?

– Nie mam pytań dotyczących szczegółów, proszę pana – odezwała się śpiewnie jedna z nich, Alessandria. – Ale pewną pomocą może się okazać poznanie pańskich motywacji. Niektóre aktywa, które chce pan zlikwidować, są... hm... Powiem inaczej, z pewnością nie zależy panu, aby inni dowiedzieli się, że sprzedaje je pan w pośpiechu.

Moja motywacja... Tak, to było dobre pytanie. Po pierwsze, nie miałem pojęcia, przed czym uciekam, wiedziałem tylko, że czymkolwiek to jest, chce mnie zabić. Po drugie, dzielenie się informacją, że coś mnie ściga, pogarszało tylko moją sytuację. Aby zminimalizować ryzyko, musiałem udawać, że nic się nie dzieje.

– Nie ma żadnego konkretnego powodu – odpowiedziałem tak obojętnie, jak tylko mogłem. – Ot, kaprys znudzonego trylionera. Nie chcę wzbudzać podejrzeń, więc potraktujcie tę wiadomość jako bardzo poufną, dobrze?

Może źle dobrałem słowa.

– Bardzo poufną? – Roxanne, zarządzająca aktywami w pacyficznym rejonie Azji, uniosła brwi. – Chce pan, żebym tak zwyczajnie, bez wzbudzania podejrzeń, pozbyła się wszystkich jachtów, wysp i torów wyścigowych...?

– Owszem.

Poczułem ukłucie żalu. Skarby Indigo Entertainment, mojej ostatniej, skazanej na porażkę próby zaistnienia w świecie interesów, wciąż przyprawiały mnie o szybsze bicie serca.

Choć mogłem uważać się za kogoś superzamożnego, nie mogłem rościć sobie praw do bycia osobą superinteligentną. Powodzenie w interesach zawdzięczałem w dużej mierze szczęściu, a szczęścia nie da się powielić w nieskończoność. Moim pierwszym promykiem pomyślności, dzięki któremu zbiłem fortunę, była moja przyjaciółka i dawna mentorka Patricia Killiam oraz zespół niewiarygodnie mądrych ludzi. Promyk ten zrodził się z pełnej determinacji obsesji na temat przyszłości, bardzo konkretnej przyszłości, należy dodać.

– Nie masz się niczego pozbywać – wyjaśniła Gorące Ciało. – Nie wolno ci zwracać na siebie uwagi. Musisz działać roztropnie. Wrócisz do siebie i będziesz robiła to, za co ci płacimy. Choć prawdę mówiąc, większość tego Indigo Entertainment to strata czasu. – Gorące Ciało zerknęła na mnie. – Nie sądzę, żebyśmy musieli się komukolwiek tłumaczyć.

Roxanne zastanawiała się nad tym, wiercąc się na krześle.

– Być może mam kogoś, kto byłby zainteresowany.

Dopadła mnie paranoja. A jeśli tych aktywów chce ten, kto mnie prześladowuje? Czy Roxanne bierze udział w spisku? Spojrzałem na nią uważnie. Gorące Ciało wyczuła, co mi chodzi po głowie, i uprzedziła mnie, zanim otworzyłem usta.

– Świetnie – zwróciła się do Roxanne. – Jeśli nie ma więcej pytań, proszę, żeby wszyscy wrócili do pracy.

Nikt się nie sprzeciwił i członkinie rady zniknęły jedna po drugiej z sali konferencyjnej tak, jak się pojawiły.

Kiedy zostaliśmy sami, Gorące Ciało popatrzyła na mnie ze współczuciem.

– Będziesz musiał zaufać temu zespołowi – powiedziała, cedząc słowa. Po chwili dodała jeszcze: – I będziesz musiał zaufać mnie.

Ni z tego, ni z owego przypomniał mi się Kurt Gödel, słynny austriacki matematyk. Cierpiał na zaawansowaną paranoję i jadł tylko to, co ugotowała mu żona. Któregoś dnia zachorowała i zabrano ją do szpitala, a on nie przyjmował jedzenia od innych. Zmarł z głodu tuż przed jej powrotem.

– Mam tylko nadzieję, że nic ci się nie stanie – odpowiedziałem. – Nie jestem pewien, czy potrafiłbym się zagłodzić.

Choć prokury mają pełen dostęp do naszej pamięci oraz wrażeń zmysłowych i zazwyczaj potrafią domyślić się, co nam chodzi po głowie, nie umieją jeszcze czytać nam w myślach. Jeszcze nie.

Gorące Ciało spojrzała na mnie dziwnie.

Wzruszyłem ramionami. Nie chciało mi się tego wyjaśniać.

4

Następnego ranka znów obudziłem się o świcie po nocy pełnej koszmarów, które coraz częściej wylewały się z krainy snów do rzeczywistości. Ciemność rozmazywała się w jasność, nieświadomość w świadomość, sny w jawę, a jedno coraz trudniej dawało się odróżnić od drugiego. Gorące Ciało czekała cierpliwie w naszym pokoju sztabowym, a ja powlokłem się do łazienki, żeby wziąć prysznic i rozbudzić się do reszty.

Spojrzałem w lustro, w głąb przekrwionych oczu. Para z gorącego prysznica zasnuwała moje odbicie mgłą, gdy wpatrywałem się w pulsujące gniewnie naczynia krwionośne w tęczówkach.

– Czy możemy zrobić sobie dziś krótką, poranną przerwę na surfowanie? – zapytałem, sięgając do szuflady po krople do oczu.

– To nie jest najlepszy pomysł – odpowiedziała, przekrzykując prysznic. – Mamy mnóstwo pracy. Robi się coraz niebezpieczniej.

Westchnąłem, odkręcając buteleczkę zębami. Odchyliłem głowę, odciągnąłem powiekę lewego oka i zakropiłem je. Potarłem powiekę palcem, rozprowadzając krople, i przeszedłem do oka prawego.

– Nie wygłupiaj się – wymamrotałem, zaciskając w zębach nakrętkę i unosząc zakraplacz nad prawym okiem. – Pół godziny na...

Zachłysnąłem się. Zakrętka wyskoczyła spomiędzy zębów jak korek i utkwiła mi w tchawicy. Krztusiłem się w konwulsjach, próbując wciągnąć powietrze. Gorące Ciało była tuż obok mnie i wzywała służby ratownicze. Wpadłem panikę. Drapałem paznokciami ściany łazienki, upadłem zgięty w pół na posadzkę, nie mogąc złapać tchu...



– Widzisz, o co mi chodzi?

Znów stałem przed umywalką, wpatrując się w nabiegłe krwią oczy, ale Gorące Ciało stała przy mnie i wyciągała rękę po nakrętkę od kropli do oczu.

Niewiele brakowało.

Ledwo uniknąłem tego wydarzenia, oddalonego o pięć sekund w przyszłość na alternatywnej osi czasu. Podałem jej nakrętkę, a potem – po ułamku sekundy wahania – oddałem jej także buteleczkę. Nie miałem aż tak przekrwionych oczu.

– Surfowanie może poczekać.

Czymkolwiek było to, co mnie prześladowało, zainfekowało moją osobistą, by nie rzec intymną, rzeczywistość.

– Dam sobie spokój z prysznicem – dodałem. – Zabierzmy się do pracy.

Fizycznie brałem prysznic, Gorące Ciało kontrolowała wszystkie ruchy, natomiast mój punkt widzenia przeskoczył do ciała wirtualnego. Łazienka natychmiast zamieniła się w pokój sztabowy. Gorące Ciało rozszczepiła się na odłamki w przestrzeni wyświetlacza, zmieniła się w hiperwymiarową grafikę przedstawiającą kilka tysięcy alternatywnych światów mojego życia. Wiele linii życia kończyło się gwałtownie. Na tym polegał problem z surfowaniem – dziś musiałem ocalić własne życie i to nie jeden raz, ale dziesiątki razy.

Poprzedniego dnia widzieliśmy ponad sto moich przypadkowych śmierci w milionach symulacji przyszłości, które przeprowadzaliśmy, wybierając bezpieczną ścieżkę dla podstawowej linii życia. Mój plan, żeby uciec w dronie – tym samym, który spłonął podczas wczorajszego testu katapulty – był jedną z dróg przyszłości, której uniknąłem.

Wybierałem i oglądałem co bardziej potworne prognozy kończące moje życie. Oglądałem je w trójwymiarowej projekcji, wyświetlanej przede mną na środku pokoju, poczynawszy od tej, w której przecinano mnie na pół, poprzez tę, w której paliłem się na grzankę podczas jakiegoś przypadkowego wypadku pasażerskiej lukstorki. Przyglądałem się temu z ponurym zacięciem. Planowana przeze mnie podróż lukstorką z całą pewnością nie dojdzie do skutku.

Problem pojawił się po raz pierwszy przed kilkoma miesiącami i narastał w niepokojącym tempie.

Któregoś ranka Gorące Ciało wspomniała mimochodem, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż zginę podczas zaplanowanego skoku ze stratosferycznego HALO. Tamtego ranka mój system prognozowania przyszłości obliczył, że ze względu na niesprzyjające warunki pogodowe oraz duże prawdopodobieństwo upicia się poprzedniego wieczoru przez partnera od skoków (wskutek wielce prawdopodobnej kłótni z żoną) zaistniała bardzo duża szansa nieszczęśliwego wypadku. Trudno, oznajmiłem radośnie przy porannej kawie, odwołać skok.

Po kilku dniach otrzymałem kolejną prognozę, informującą o kilkunastu prawdopodobnych scenariuszach mojej śmierci. Obejście ich było stosunkowo proste, ale od tamtej pory unikanie śmierci stało się coraz bardziej skomplikowane. Co gorsza, z nikim nie mogłem podzielić się tym, co się dzieje – znajdowanie rozwiązań stawało się mniej stabilne z każdą kolejną zmienną.

Wszystko to doprowadziło do tego, że biegałem po Atopii, prosząc ludzi, by wykonywali za mnie różne codzienne zadania, a sam czmychałem w cztery kąty wielowszechświata z obłąkanymi misjami, których celem było zachowanie mnie przy życiu. Sprawy wymykały się spod kontroli jak w surrealistycznym żarcie, którego puenta wydawała się zupełnie poza zasięgiem.

Poprzedniego dnia zdołaliśmy zażegnać zbliżające się niebezpieczeństwa, wysyłając boty lub syntetyków – a w krytycznych wypadkach mnie samego – by skierować przyszłą oś czasu mojego świata w tę czy inną stronę.

Jednak od wydarzeń prowadzących do śmierci oddzielały nas coraz częściej zaledwie godziny bądź minuty. To, co przed kilkoma miesiącami zaczęło się jako przypadkowe ostrzeżenie przed wydarzeniem o małym prawdopodobieństwie, przed czymś, czego z łatwością dało się uniknąć, zamieniło się w nieustanny strumień wypadków sygnalizujących moje nieuchronne zejście. Nie mieliśmy pojęcia, dlaczego ani jak to się działo.

– Dzisiaj w większości wypadków jesteśmy kryci – oznajmiła Gorące Ciało, kreśląc siatkę rozrzutu prawdopodobieństwa, rozrastającą się z jakiegoś krytycznego ogniwa. – Jest tylko kilka spraw, którymi musisz zająć się osobiście, począwszy od tej w Nowym Jorku.

Wskazała najbliższe ogniwo i natychmiast znaleźliśmy się w przyszłej

rzeczywistości tego wydarzenia. Kiwnąłem głową, przyglądając się uważnie wszystkiemu.

Ktoś o zasobach mniejszych od moich dawno by już zginął bez żadnych fajerwerków i byłoby po wszystkim. Ja wszakże, jako właściciel Phuture News z niemal nieograniczonym potencjałem finansowym, znajdowałem się na wyjątkowej pozycji – całkiem dosłownie znałem i widziałem przyszłość, i mogłem unikać tego, co mi w niej zagrażało, a przynajmniej lawirować między niebezpieczeństwami. Każdy, kto przekroczył siedemdziesiątkę, powinien przystać na ewentualność własnej śmierci z nieco większą godnością, ale tu na Atopii nadal byłem nieopierzonym kurczęciem. W każdym razie nie byłem jeszcze gotów wyruszyć w ostatnią podróż.

Gorące Ciało, widząc, że ulatuję myślami nie wiadomo gdzie, postanowiła przedstawić mi obraz jakiejś kolejnej potworności kończącej mój żywot. Warknęła z rozbawieniem komendę i trzepnęła mnie szpicrutą, a ja wpatrywałem się we własne ciało rozpuszczające się w bioszlamie oczyszczalni ścieków. Czułem się tak, jakby prześladowały mnie armie ciemności, a moją jedyną towarzyszką była Betty Boop[4].

Na ile sposobów można umrzeć?

Taktyka Gorącego Ciała okazała się jednak skuteczna, więc skupiłem się na nowojorskim projekcie.

– Wystarczy, że ukradniesz paczkę papierosów – tłumaczyła, kiedy oglądałem symulację.

– Brzmi nieźle – westchnąłem. – Czas zabrać się do pracy.

Siedząc na górnym pokładzie rezydencji, spojrzałem tęsknie na łamiące się fale, a potem wstałem z ponurą miną z fotela, by zabrać się za odfajkowywanie zadań z listy, która miała utrzymać mnie przy życiu. Nie pojmowałem, w jaki sposób kradzież paczki papierosów jakiejś mieszkanke Nowego Jorku mogła przedłużyć moją egzystencję... ale tak właśnie było.

Czułem niemal fizyczną potrzebę, żeby odłożyć to wszystko na później, oparłem się jednak dzielnie i usłyszałem własne słowa:

– Okay, Gorące Ciało, zacznijmy przedstawienie.

Pokład rezydencji rozpląnął się w powietrzu, a w jego miejscu pojawiły się obskurne ściany jakiejś apteki w Nowym Jorku. Moja świadomość została -

zaimplantowana w przygotowany przez Gorące Ciało zrobotyzowany surogat. Z moich sensorów zniknął nieskazitelny krajobraz Atopii. Choć odbierane przeze mnie obecnie wrażenia były dosyć niewyraźne, wszechogarniający smród i nieporządek panujący w okolicy uderzyły mnie jak fala odoru z wirtualnego ścieku.

Mimo że przebywałem zdalnie w zrobotyzowanym ciele, czułem się brudny i musiałem opanować pokusę umycia rąk. Jako młody człowiek przeżyłem straszne chwile w Nowym Jorku, a wspomnienia z tego miasta nadal mnie prześladowały. Byłem tu po raz pierwszy od czterdziestu lat.

Mój cel wydierał się na stojącego za ladą farmaceutę. Wydawało się, że zaraz go uderzy.

– Paniusiu! – zawołałem, przekrzykując ją i unosząc wrzecionowate, metalowe ramiona w obronie sprzedawcy. – Paniusiu, spokojnie!

Nie usłyszała mnie, całkowicie pochłonięta szukaniem czegoś w torebce. Na jej twarzy malował się niesmak, przeżywała, zdaje się, gorszy dzień od mojego.

Ostatecznie jej przedstawienie dobiegło końca i dokonała zakupu. Cofnąłem się, a następnie ruszyłem za nią ku drzwiom, trzymając się w pewnej odległości.

Zatrzymała się na zewnątrz, stanęła pod chwiejącą się holograficzną reklamą, żeby zapalić. Teraz albo nigdy! Ruszyłem na nią i atakując z zaskoczenia, przygniotłem ją do ściany. Znieruchomiła przerażona, a ja obmacywałem ją, szukając paczki papierosów. Wyrwałem ją szybko z dłoni kobiety.

– Złaż ze mnie! – wrzasnęła.

Odskakując od niej ze zdobyczą, zastanawiałem się, czy nie przeprosić i wpatrywałem się przez chwilę w jej zielone oczy. Wyglądała jak ktoś, kto stoi nad krawędzią przepaści. Żadne tłumaczenia nic by nie pomogły, więc wtopiłem się w strumień pieszych, zostawiając ją samą, drżącą. To absurdalne, ale kradzież tej paczki papierosów zmieniała bieg groźnej dla mnie przyszłości.

[4] Postać z filmów rysunkowych z lat 30. XX w. [przyp. tłum.].

5

Czas, jak powiedział Einstein, jest czystą iluzją, wytworem świadomego umysłu. Zgrabne sformułowanie, ale spróbujcie to powtórzyć komuś, kto stoi nad grobem. Czas jest wszystkim, czego rozpaczliwie pragniemy, kiedy dobiega końca, choć marnowaliśmy go nieroztropnie, gdy wydawało się, że wciąż mamy go dosyć.

Po całym dniu ocalania własnego życia dziesiątki razy byłem w kiepskim nastroju. Zbliżała się północ i właśnie skończyłem ostatnie zadanie. Usiadłem na górnym pokładzie rezydencji. Wokół panował spokój, a na niebie świecił księżyc w pełni. Przyglądałem się roziskrzonym falom, wzbierającym nad lasem alg. Rozsiadłem się wygodnie w fotelu i rozważałem przez chwilę mój problem.

Przydałby mi się spacer, żeby ochłonać.

– Gorące Ciało, czy mogłabyś przenieść mnie do Parku Retiro, obok Kryształowego Pałacu?

Falujący ocean i pokład zniknęły, a w ich miejsce pojawiło się popołudniowe słońce i złocisto-zielony park Buen Retiro w Madrycie. Stałem – zgodnie z żądaniem – na żwirowej ścieżce obok Kryształowego Pałacu. Było to jedno z moich ulubionych miejsc do przechadzek, kiedy miałem masę problemów na głowie.

Spojrzałem na własne dłonie, podziwiając ich pozorną rzeczywistość, a potem rozejrzałem się po parku. Nigdy nie przestało mnie zdumiewać, jak wspaniale działała ta technologia. Czułem zapach trawy koszonej gdzieś daleko kosiarką. Obok przechodziła kobieta z dziecięcym wózkiem, spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Słyszałem, jak żwir trzeszczał pod kołami wózka, słyszałem ciche gaworzenie dziecka.

Większość ludzi traktuje wikiświat – zebrany audiowizualny i zmysłowy wkład wszystkich mieszkańców planety, sieci i kamer oplatających ziemię –

jako coś oczywistego. Lecz dla tych spośród nas, którzy trudzili się, by uczynić z niego rzeczywistość, nadal jest godny podziwu.

Zrobiłem głęboki wdech, wyprostowałem się i ruszyłem przed siebie ścieżką.

Wikiświat jest wspaniały, ale tym, co uczyniło mnie naprawdę sławnym, była przyszłość – całkiem dosłownie.

Nauka jest u swych podstaw galimatiasem praw prognozujących przyszłość. Do niedawna niemożliwe wydawało się przeniesienie sukcesów nauki z domeny fizycznej i wykorzystanie ich w prognozowaniu codziennego ludzkiego życia – to ja wpadłem na to, od czego trzeba zacząć.

Mój największy pomysł objawił mi się nagle – tak jak to bywa z wielkimi pomysłami – podczas porannej drzemki i początkowo dotyczył plotek o celebrytach. Ludzie jako zwierzęta społeczne nie mogą się obejść bez plotek.

Studiowałem historię i doszedłem do wniosku, że wraz z rozwojem każdej cywilizacji jej przedstawiciele coraz bardziej interesują się najdrobniejszymi szczegółami z życia sław. Rzymianie byli pod tym względem wielkimi innowatorami, ale to Amerykanie udoskonalili to zajęcie i wprowadzili je na wyżyny sztuki.

Kiedy startuje się z nowym przedsięwzięciem technologicznym, należy zdobyć przyczółek, niszę, którą można uznać za własną. Ja starałem się znaleźć niszę dla syntetycznego prognozowania przyszłości świata – phuturingu, jak to nazwałem. „Phuturologia” stała się alternatywną przyszłą rzeczywistością wyrastającą z teraźniejszej chwili czasu. Łacińskie *futurum*, pisane przez „f”, to rzeczywista przyszłość, przebiegająca wzdłuż pojedynczej osi czasu. Ale to *futurum* jest tylko jedną z wielu możliwych przyszłości phuturingu.

Prognozowanie pogody i kursów akcji było już zajęte przez znane, zatrudniające fachowców firmy. Tego rodzaju przepowiednie przyszłości mnie jednak nie interesowały. Chciałem znać przyszłość poszczególnych ludzi. W detalach.

Problem z przepowiadaniem przyszłości w odniesieniu do pojedynczych osób polega na tym, że kiedy tylko dowiedzą się one o prognozie, usiłują ją zdyskredytować, a im więcej ludzi ją zna, tym mniej staje się ona wiarygodna. Moje odkrycie polegało na tym, że celebryci zachowują się wręcz odwrotnie. Gdy przedstawi im się prognozę dotyczącą ich własnej przyszłości, nie

interesują ich przyszłe wydarzenia, a uwaga, jaką im się poświęca, w związku z czym prognoza nabiera cech samospełniającej się przepowiedni.

Wkrótce zyskaliśmy sławę, zalewając główne agencje informacyjne wiadomościami o wydarzeniach, które jeszcze nie miały miejsca, bijąc na głowę plotkarskie i rozrywkowe media nagłówkami o przyszłości celebrytów, zanim ta się ziściła.

Plotki o przyszłości znanych i lubianych pozwoliły rozwinąć żagle Phuture News Network i odnieść komercyjny sukces. Później stopniowo rozciągnęliśmy nasz system prognozowania na niemal wszystkie aspekty codziennego życia. Zyski z reklam stały się niebotyczne, gdyż sprzedawaliśmy czas reklamowy twórcom produktów, które według naszych ustaleń ludzie będą kupowali jutro. Dochody z tej działalności były jednak niczym w porównaniu z pieniędzmi, które ludzie płacili nam za same prognozy. Niemal z dnia na dzień staliśmy się jedną z najbogatszych firm na świecie, mieliśmy największe zyski i sprzedaż w przemyśle nowych technologii.

Kopnąłem żwir na ścieżce, wznosząc tuman pyłu, na który nałożyłem wizualną prognozę. Oglądałem ją, zanim rozwiął ją wiatr, zanim sama stała się przyszłością, która rozplynęła się i znikła.

Na Atopii doprowadziliśmy Phuture News do perfekcji i zaczęliśmy konstruować doskonałe, zmysłowo realistyczne przyszłe światy. Niektórzy uczeni twierdzili, że to już nie są prognozy, ale portale do alternatywnych, równoległych wszechświatów, położonych dalej na naszej osi czasu, i w ten sposób zdefiniowali technicznie „phuture”.

Niezupełnie o to mi chodziło, kiedy rozkręcałem to przedsięwzięcie, które na początku prognozowało suknie koktajlowe na nadchodzące przyjęcia. Tak czy inaczej ludzie coraz częściej żyli w światach jutra.

Choć spersonalizowane prognozy, które tworzyliśmy dla naszych klientów, były absolutnie poufne, jako właściciel Phuture News miałem prawnie zagwarantowaną przewagę nad innymi: mogłem dyskretnie zdobyć dostęp do każdej z generowanych przez nas przyszłości po to, by stworzyć własne, osobiste i bardzo szczegółowe przyszłe światy.

Łączenie wszystkiego w całość, zagłądanie do wspólnej przyszłości świata, było zaiste fascynujące! Przynajmniej na początku, dopóki nie zajrzałem

w bardziej odległą przyszłość. Ta okazała się niestety przygnębiająca.

We wszystkich przypadkach okazywało się, że najbardziej zabójczą aplikacją przyszłości jest sama przyszłość. Siedząc na szczycie największej komputerowej instalacji na świecie, stałem się jedyną osobą na Ziemi, która całkiem dosłownie widziała świat jutra...

Wielkiej potędze, jak powiadają, towarzyszy przedziwna odpowiedzialność. I na tym polegał problem, bo choć znałem przyszłość, przyszłość uparcie odmawiała poznania mnie.

A przynajmniej ujrzenia mnie w sobie.

Gorące Ciało ułożyła mnie już do łóżka, kiedy moja pierwotna podmiotowość opuściła Park Retiro i wróciła do domu. Westchnąłem i otuliłem się kołdrą. Czas na sen.

Bardzo go potrzebowałem.

6

– Pochłonie was wszystkich wielkie zło! – Brudna, pokryta plamami twarz mężczyzny sprawiała, że wydawał się on na skraju apopleksji, kiedy tak kołysał się chwiejnie na ustawionej do góry nogami czterogalonowej puszcze po farbie.

Świszczał astmatycznie. Podniósł oczy ku zapłakanemu niebu, po czym opuścił wzrok na ziemię, przeczesując nim tłum. Wbił oczy we mnie, a ja nie odwróciłem głowy. Głowa mu drżała, gdy świdrował mnie rozszerzonymi źrenicami.

– Wielkie zło już pana zżera – syknął bezpośrednio do mnie, kiedy go mijałem. A potem, wskazując mnie palcem, wrzasnął do tłumu: – WIELKIE ZŁO jest wśród nas!

Zadrżałem i rozejrzałem się, nikt jednak nie zwrócił uwagi na te słowa.

Byłem na kolejnej przechadzce, żeby uporządkować myśli – tym razem w londyńskim Hyde Parku – i wędrowałem właśnie przez Speaker's Corner, nieopodal łuku Marble Arch. W tle słychać było miarowy pomruk zautomatyzowanego ruchu pasażerskiego, a gdzieś na peryferiach wrażeń zmysłowych rozlegały się elektryczne trzaski londyńskiego śródmieścia.

Był to poranek mojego czasu i dobrze po południu w Londynie, położonym względem Atopii na przeciwległym krańcu świata. W Speaker's Corner, ku uciesze turystów, zainstalowała się już zwykła zbieranina szaleńców i głosicieli apokalipsy. Zazwyczaj lubiłem tu przychodzić, przyglądać się i słuchać pełnych namiętności słownych popisów zdesperowanych mężczyzn i kobiet, stojących na drewnianych skrzynkach, nawołujących ludzkość do zbawienia. Ale dzisiaj ich słowa brzmiały jakby złowrogo... albo może prawdziwie?

Zgarbiłem się, wbiłem wzrok w ziemię i przeciskałem się przez tłum, uciekając ku sanktuarium parku.

Nawet jako byt wirtualny musiałem zachować daleko posuniętą ostrożność, gdyż moja strefa obecności mogła stanowić potencjalny obszar dostępu do mojej sieci. Rozlokowałem w parku cały system ochronny moich przyszłych „ja”, spacerujących w najbliższej przyszłości przede mną.

Przebiłem się na obrzeża tłumu, a moje rozszczerzone na odłamki duchy wędrowały sekundy i minuty przede mną, sprawdzając przepływ informacji na tej ścieżce czy tamtej, i zastawiając tu i ówdzie pułapki na potencjalnych, zabłąkanych napastników, testując najwęższy, bezpieczny korytarz ku mojej przyszłości. Moja ścieżka zbawienia była wąska jak ucho igielne i gdybym nie widział jasno przyszłości, czułbym się jak z rękoma związanymi na plecach albo z amputowanymi członkami.

Wziąłem kilka głębokich wdechów, usiłując się odprężyć.

Słońce przebijało się odważnie przez niskie, deszczowe chmury, a co odważniejsi spacerowicze przysiadali na niskich leżakach w zielono-białe pasy, rozstawionych na trawniku w tej części parku. Zmierzałem prosto na posterunek policji przy wschodnim brzegu jeziora Serpentine. W moich wędrowkach po Hyde Parku zawsze przywdziewałem historyczną skórkę, żeby cieszyć się widokiem Crystal Palace podczas Wielkiej Wystawy z 1851 roku. Teraz też widziałem lśniący dach budowli za odległą kępą drzew.

Miałem słabość do kryształowych pałaców.

Jednak w tej samej chwili moja nakładka na rzeczywistość rozpoczęła projekcję szubienicy Tyburn, wznoszącej się nieopodal stadka starszych pań siedzących na leżakach na środku trawnika. Właśnie odbywała się egzekucja, to znaczy wieszanie. Popielaty trup Olivera Cromwella obracał się powoli na wietrze ku uciesze gawiedzi, która zbiegła się na to widowisko, które odbyło się w Londynie w roku 1661.

„Stary Crommie zatańczył tyburnowego jiga!”, zadrwił duch starej wiedźmy w łachmanach.

Gdziekolwiek się znalazłem, śmierć szła za mną krok w krok. Zredukowałem szybko skórkę rzeczywistości do wąskiego okna czasu między teraźniejszością a rokiem 1851, XVII-wieczny tłum i szubienica zniknęły.

Do mojej świadomości – dzięki idącym przede mną moim własnym odłamkom – dotarł widok ścieżki spacerowej wokół Serpentine. Ograniczyłem

moją prawdopodobną trasę do dróżki ku Kensington Road i wejścia do Crystal Palace w cieniu starych dębów, odbywających w milczeniu swoją własną drogę przez czas.

Patricia Killiam prosiła mnie dziś o rozmowę. Przemierzając skraj parku, posłałem jeden z odłamków w medialny strumień kolejnej z jej niezliczonych konferencji prasowych i ujrzałem w głowie obrazy z tego transmitowanego na żywo wydarzenia. Patricia była jedną z pierwszych zwolenniczek zaawansowanej technologii Phuture News Network i pozostała moją najstarszą i najbliższą przyjaciółką.

W wizualnej nakładce reporter zadawał jej właśnie pytanie:

– Czy liczba ludności świata nie ustabilizowała się, a nawet nie zaczęła zmniejszać? Czy to nie pomoże uspokoić obaw o kurczące się zasoby naturalne?

– Sednem problemu nie jest liczba ludności świata – wyjaśniała Patricia – ale to, że wszyscy chcą żyć w materialnym luksusie. Utrzymanie na ziemi dziesięciomiliardowej klasy średniej nigdy nie mogło się powieść. Jedynym rozwiązaniem jest stworzenie symulowanej rzeczywistości, która zaspokoi nasze potrzeby materialne.

Patricia powtarzała to już miliony razy.

– A dlaczego te prokury odgrywają w tym kluczową rolę? – zapytał ten sam reporter.

– Prokura kontroluje dynamiczny obraz układu nerwowego, może zatem kontrolować fizyczne ciało podczas naszego świadomego przebywania w rozszerzonej rzeczywistości – ciągnęła. – To umożliwi bezproblemowe przebywanie w dowolnej przestrzeni wirtualnej o każdej porze, nawet w połowie rozmowy, którą może zakończyć prokura. Prokura jest jak poduszka powietrzna dla ciała i umysłu, poduszka powietrzna działająca w dodatku jako nasz oficjalny przedstawiciel.

Tłum zaszemrał z aprobatą. Uwielbiali takie rzeczy.

– Jeśli nie chce się wam iść na dzisiejsze zebranie albo na koktajl po pracy – kończyła – wyślijcie prokurę! Dlaczego nie? To wasze życie!

To spotkało się z gorącym aplauzem.

Po zakończeniu konferencji prasowej główna strefa obecności Patricii

przeniosła się do mojej rzeczywistości – zmaterializowała się obok mnie i zaczęła przemierzać wraz ze mną park. Wpatrywała się we mnie przy tym bardzo uważnie. Niemal czułem jej zmęczenie.

– Więc o co chodzi w Phuture News, gdzie trąbi się o twojej dzisiejszej śmierci?

Teraz zrozumiałem, dlaczego chciała spotkać się ze mną osobiście. Byłem spięty.

– Wiadomości o mojej śmierci są wielce przesadzone, moja droga przyjaciółko – odpowiedziałem, kręcąc głową z uśmiechem.

Uniosła brwi.

– Nie brakuje ci przynajmniej poczucia humoru.

Phuture News zaczęło nadawać doniesienia o śmierci założyciela. Narastająca liczba moich śmiertelnych wypadków umiejscowiła moją śmierć w rzeczywistości każdego, kto żył w świecie jutra.

– Chciałam spotkać się z tobą osobiście – ciągnęła – żeby sprawdzić, czy niczego ci nie brakuje.

– Nie martw się o mnie. Trochę się wygłupiam.

Było to kłamstwo, ale nie miałem wyboru. W mojej sytuacji wprowadzenie kogokolwiek do zaufanego kręgu stanowiło poważne niebezpieczeństwo. Powiększenie sieci ludzi, którzy wiedzą, co się dzieje, poszerzało matrycę prawdopodobieństwa, a ja potrzebowałem przyszłości ostrzych jak brzytwa, by skutecznie przeciwdziałać zagrożeniom.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem, niemal ze smutkiem.

– Wygłupiasz się? Jesteś pewny? To dosyć idiotyczny sposób, żeby się pośmiać.

– Nie przejmuj się – poprosiłem ją.

Uniosła brwi.

– Naprawdę nie ma się czym martwić – powtórzyłem. – I dzięki, że znalazłaś dla mnie chwilę.

Staliśmy już nad brzegiem Serpentine. Po stawie pływały małe niebieskie łodzie, którymi wiosłowali rozentuzjasmowani turyści. Za rosnącą w oddali kępą płaczących wierzb wznosił się Pałac Kensington. Mimo odważnych postępów słońca, znów zaczęło mżyć.

– Czy mogłabym ci jakoś pomóc? – zapytała. – Możesz mi zaufać, Vince. Powiedz, co się dzieje....

Ściany przyszłości otoczyły mnie jeszcze ciaśniej.

– Wszystko jest w porządku – powtórzyłem. – I ufam ci, Pat. Choć wciąż nie mogę uwierzyć, że pracujesz teraz dla Kesselringa.

Przed wielu laty, kiedy Phuture News był zaledwie start-upem, Kesselring usiłował doprowadzić do przejęcia firmy, żeby rozebrać ją na czynniki pierwsze i czerpać zyski z przyszłości. Wykorzystywał przy tym bardzo agresywną i nielegalną taktykę, żeby dostać to, na czym mu zależało. Patricia zasiadała wówczas w naszej radzie i razem walczyliśmy z Kesselringiem.

– Zło konieczne – odpowiedziała, patrząc w dal. – Obiecuj, że dasz mi znać, gdybyś czegoś potrzebował. Mówię poważnie, gdybyś potrzebował czegokolwiek...

– Tak zrobię.

Spojrzała na mnie bez słowa. Zналиśmy się od bardzo dawna.

– Obiecuję, że tak zrobię – roześmiałem się. – A teraz już idź, wiem, jaka jesteś zajęta.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

– Uważaj na siebie, Vince.

Z tymi słowy zniknęła, zostawiając mnie samego na spacerze; oczywiście niezupełnie, bo otaczał mnie tłum moich przyszłych „ja”.

– Mimo wszystko robi się coraz gorzej – mruknąłem posępnie pod nosem, kiedy odeszła. Ukrywałem kwestię swojej coraz bardziej prawdopodobnej śmierci, przedstawiając ją jako żart, ale większość ludzi nie uważała, by żart ten był przezabawny. Podobnie zresztą jak ja.

Zaszurałem stopami po żwirze, przechodząc przed frontonem Crystal Palace. Uniosłem głowę i przyglądałem się spadającym z odległych drzew liściom, zastanawiając się, czy czują żal, ścieląc się po ziemi.

7

– Myślisz, że to wypada?

Roześmiałem się i przyciągnąłem ją bliżej.

– Wszystko wypada, kiedy jesteśmy razem.

Wysunęła mi się z objęć, chichocząc.

– Przestań. Czy to odpowiednia pora?

Spojrzałem na tarczę rzeźbionego zegara.

– Owszem, odpowiednia, właśnie dochodzi ósma.

– Więc się nie wygłupiaj, bo się spóźnimy!

Pociągnęła mnie za sobą, a ja zerknąłem na zegar pod wysoko sklepionym sufitem nowojorskiej stacji Grand Central. To miejsce zawsze wzbudzało mój podziw, a jeśli nie podziw, to głęboki szacunek dla historii. Czułem coś w rodzaju nostalgii wobec ludzkich historii, które rozegrały się w tym miejscu lub – jak w moim przypadku – były przez to miejsce przeciągane.

Patrząc do góry i rozglądając się wokół, przeciskaliśmy się przez rozgardiasz i zgiełk na białych marmurowych posadzkach, a mój wzrok spoczął na wyświetlaczu wiadomości w jednym końcu dworcowej hali. Ona też na niego patrzyła.

„Eskadry lotniskowców w stanie najwyższej gotowości”, pojawiło się na przesuwającym się pasku. „NSA[5] przestrzega przed cyberatakami”.

Puściła mnie i przez chwilę wpatrywała się w ekran, a potem przeniosła wzrok na mnie. Jej niebieskie oczy lśniły, migotały w blasku dworcowych lamp. Była taka piękna.

– Jesteś pewny, że nic nam nie grozi?

Zerknąłem na wiadomości, a potem spojrzałem jej prosto w oczy.

– To czcze pogrożki – zapewniłem ją.

– Poważnie, Vince, to ty jesteś ekspertem. Jesteś zupełnie pewny, prawda? – Wciąż wwiercała we mnie spojrzenie.

- Owszem, jestem pewny. Jeśli nie pojedziemy tym, w ogóle tam nie dotrzemy, bo wszystkie późniejsze zostaną najprawdopodobniej odwołane.

Nad Nowy Jork i Boston nadciągała zamieć. Musieliśmy się pospieszyć, żeby złapać ostatni pociąg z miasta.

Wzruszyła ramionami.

- Okay.

Znów puściliśmy się pędem, trzymając się za ręce, i wkrótce siedzieliśmy już w Metronorth, przytuleni do siebie podczas jazdy do New Haven, gdzie mieliśmy odwiedzić jej rodziców. Ciche dudnienie kół kołysało nas do spokojnego snu z każdą uciekającą do tyłu milą.

Chwilę później, jak mi się wydawało, obudziłem się przerażony, z łomoczącym sercem. Ktoś wrzeszczał. Wyprostowałem się na siedzeniu i wyrząłem przez okno na wirującą biel.

Wrzaski i przeraźliwy pisk metalu trącego o metal i wbijającego się weń; wagon szarpał w przód i w tył. Oparłem stopy o fotel przed sobą, przygotowując się na najgorsze, tuląc dziewczynę, która ścisnęła mnie rozpaczliwie.

Świat eksplodował.



Wciągnąłem głęboko powietrze i usiadłem wyprostowany na łóżku, rozglądając się wokół, ale jej już nie było. Nie zginąłem w tamtej rzeczywistości, choć z drugiej strony należała ona do dawnych dziejów – niezmiennej już części mojej osi czasu. Nie zginąłem w katastrofie pociągu, w której śmierć poniosła Sophie, moja pierwsza miłość ze studenckich czasów w MIT. Uspokoilem oddech, wmawiając sobie, że wszystko jest w porządku, lecz nawet teraz, po upływie ponad czterdziestu lat, wiedziałem, że to nieprawda – nigdy nie będzie to prawdą.

Koszmar o dniu, w którym ją straciłem, nieustannie się powtarzał, a z czasem nie tracił na wyrazistości. Obiecywałem Sophie, że nie musi się niczym martwić, i zapłaciła za to życiem. Byłem w połowie pisania dyplomu w MIT

Media Lab, stawałem się ekspertem od cybernetycznego królestwa, a moją promotorką była Patricia Killiam. Studiowałem wykorzystanie systemów prognozujących w sieciach społecznościowych. Po katastrofie zajęcie to stało się moją pasją. Gdybym był wtedy w stanie nieco lepiej przewidzieć przyszłość, gdybym wiedział nieco więcej, mógłbym ją ocalić. I tego nigdy sobie nie wybaczę.

Otarłem pot z czoła, przetarłem oczy. Dlaczego wróciła do moich snów akurat teraz? Westchnąłem. To pewnie przez to „bociankowe”, na które wybierałem się w ciągu dnia. Rodzinne okoliczności zawsze przypominały mi o niej i o życiu, które straciłem dawno temu, a które później wypełniłem bezsensownymi bzdurami. Właśnie tych bzdur bronię obecnie ze wszystkich sił.

Może nie warto? Po co w ogóle się staram?

Zdołam ocalić własne życie, ale co z przyszłością świata? Znałem ją, znałem przyszłość, choć wolałbym jej nie znać. Robiłem wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby o niej zapomnieć.

Położyłem się do łóżka, uciszyłem serce, przymknąłem oczy.

[5] National Security Agency (NSA), (Agencja Bezpieczeństwa Narodowego) – amerykańska wewnętrzna agencja wywiadowcza [przyp.tłum.].

8

Czy bociankowe nie powinno być organizowane przed narodzinami dziecka?

Właśnie zmaterializowałem się w rozrywkowym metaświecie stworzonym przez komandora Stronga na przyjęcie ujawniające rodzinę. To znaczy to, co brał za rodzinę. Rick pomachał do mnie, więc uśmiechnąłem się do niego i odwzajemniłem powitanie, przyglądając się, jak oddaje żonie nową symulakrę dziecka.

Choć pozostawałem wielkim orędownikiem wymyślonego przez Patricię programu rozszerzonej rzeczywistości, miałem wrażenie, że te symulaki są dosyć przerażające, a do mych uszu dochodziły najczarniejsze plotki na temat tego, do czego wykorzystuje je doktor Granger.

W ogóle nie przyszedłbym na tę imprezę, ale przyjęcie pojawiło się niespodziewanie na moim dzisiejszym radarze zagrożeń. Przekonanie Ricka, że jego symulowany bachor i cała hałastrą innych to doskonały pomysł, miało zvekslować na boczne tory cały zestaw zbliżających się do mnie zagrożeń.

Nie lubię być aż tak nieszczerzy, więc przez całą noc kłóciłem się z Gorącym Ciałem i planowałem inne rozwiązania, ale alternatywy okazały się znacznie bardziej niebezpieczne. Po krótkim zastanowieniu przybycie tu nie okazało się aż tak złym pomysłem, tym bardziej, że rodzice tego dziecka wydawali się uszczęśliwieni.

– Gratuluję, Rick! – wykrzyknąłem, kiedy komandor podszedł bliżej, i wyciągnąłem do niego rękę. Uścisnął ją mocno, choć wyglądał na nieco zawstydzonego, i wskazał bar.

– Dziękuję, Vince. Aha, i dziękuję za te kwiaty dla Cindy. Bardzo jej się podobały.

– Nic wielkiego.

Stanęliśmy przy barze.

– Czego się napijesz? – zapytał.

Przyjrzałem się butelkom.

– Nie dzisiaj, dziękuję.

To nie był czas na drinka. I tak byłby syntetyczny, więc mógłbym wybrać, czy się nim upiję, czy nie, ale w rzeczywistości chodziło o relacje interpersonalne. Przyjęcie drinka wymagałoby rozpoczęcia pogawędki, a ja nie czułbym się najlepiej, okłamując przyjaciela.

Wzruszyłem lekko ramionami.

– Na pewno? – zapytał, nalewając sobie do szklanki sporą porcję whiskey.

– Jestem trochę zajęty... – szukałem odpowiednich słów. Rick przestępował z nogi na nogę, pił drinka i uśmiechał się nieporadnie.

– To tylko taka zabawa – roześmiał się, błędnie interpretując moje skrępowanie. Wziął kolejny potężny łyk, pokręcił głową i spojrzał na żonę trzymającą symulaka. – Robię to tylko po to, żeby czuła się szczęśliwa. Wiesz, jak to jest.

Nadeszła odpowiednia chwila.

– Nie, nie, to najlepsze, co mogło was spotkać – rzuciłem entuzjastycznie. – Trzeba tak robić, bo to droga, którą podążymy w przyszłości! – Klepnałem go po plecach, żeby podkreślić znaczenie tych słów.

Parsknął i znów się napił z rozpromienionym obliczem.

– Mówię poważnie. Powinniście mieć tyle symulaków, ile tylko się da, zanim zmałstrujecie prawdziwe.

– Naprawdę tak uważasz?

– Naprawdę, przyjacielu. – Położyłem mu dłoń na barku i ścisnąłem. Czułem się strasznie. Musiałem uciec stąd jak najprędzej, jeśli wszystko nie miało wziąć w łeb. – Ale muszę biec dalej, wybacz. Ucałuj ode mnie Cindy, okay?

– Oczywiście. – Kiwnął głową z uśmiechem.

Zawahałem się. Nie powinienem tego robić. Powinienem powiedzieć mu prawdę, przekonać się, czy nie zdołałby mi pomóc.

– Pędź! – roześmiał się Rick. – Powodzenia!

Kiwnąłem głową na pożegnanie i bez słowa zniknąłem z przestrzeni sensorycznej przyjęcia.



Potrzebowałem chwili na zastanowienie, postanowiłem więc wybrać się na kolejny spacer w moich prywatnych okolicach. Zmaterializowałem się na zapyłonym trakcie opodal Kryształowej Góry na środku Sahary, w Egipcie, niedaleko granicy z Libią.

To miejsce miało dla mnie mistyczne znaczenie, było niemal jak magnes: mówię o potężnym, pojedynczym kryształe kwarcytu wznoszącym się na setki stóp ponad okolicznym, jałowym, wapiennym krajobrazem. Zainstalowałem tu niedawno – potajemnie – moją prywatną sieć sensoryczną, jako że w otwartej dla wszystkich wersji wikiświata brakowało odpowiedniej rozdzielczości, by należycie jej doświadczać, by delektować się niuansami i surowym pięknem tego miejsca, po którym mogłem wędrować zupełnie samotnie. Cieszyłem się tu się krótkimi chwilami wytchnienia w nowej przerażającej rzeczywistości osobistej.

Zapadała noc, rozpościerając na niebie atramentowy dywan, ukazujący katedrę gwiazd świecących tylko na najdalszej pustyni. Nieustający sirocco pogwizdywał cicho, niosąc ze sobą drobiny piasku, które przez tysiąclecia rzeźbiły wapienną skałę, tworząc fantastyczne formy wyrastające z pustyni niczym tajemnicze kwiaty, nadające temu pozbawionemu życia miejscu własne życie wewnętrzne.

W oddali garbiły się wielkie piaszczyste wydmy, żeglujące samotnym kursem poprzez jałową skałę. Muldy napędzał ten sam bezlitosny wiatr, który kształtował to miejsce. Sunąc przed siebie, pożerały wszystko, co stało na ich drodze – pożerały i oddawały, wędrując dalej. Wystarczyło stać nieruchomo odpowiednio długo, istnieć odpowiednio długo, by zostać przez nie uwolnionym.

Szedłem powoli między upiornymi, górującymi nade mną postaciami z piaskowca, zatrzymanymi w czasie w szalonym wspólnym tańcu. Nad tym wszystkim jaśniała nieziemskim fioletem Kryształowa Góra, w której wnętrzu świeciły miliony maleńkich gwiazdek.

To dziwne, że nie widziałem przed sobą własnej przyszłości. To znaczy, widziałem futurologicznie, wyczuwałem bliskość futurologicznej,

rozpościerającej się przede mną rzeczywistości, ale teraz wszystko nagle się skończyło. Palce czasu, które pielęgnowałem starannie przez lata, boleśnie amputowano.

Tam, gdzie przyszłość pędziła przede mną jak pociąg ku miejscu przeznaczenia, wszystkie tory stanęły w ogniu. Ogarnął mnie duszący pożar, a przyszłość wysysała krew z mojej terażniejszości. Zostałem schwytyany w pułapkę chwili, w której trwałem.

– Gorące Ciało, mogłabyś wpaść na sekundę?

Zmaterializowała się posłusznie i chwilę później maszerowała obok. Sam gubiłem się w tym krajobrazie niczym w marzeniu sennym, ona natomiast – ze swoją energią i witalnością – dosłownie skwierczała w nim. Wyglądała bardzo elegancko w obcisłych, pasiastych bryczesach do końskiej jazdy, sztybletach i czerwonym, zapinanym pod szyją żakiecie. Długie, jasne włosy opadały jej falami na kark i ramiona.

Niektórzy ludzie tworzą sobie jako prokury własne alter ego, bo tak im się podoba. Ja natomiast wolałem, żeby moją osobistą asystentką była atrakcyjna kobieta. A poza tym spodobał mi się pomysł, że moim ciałem pod moją nieobecność będzie kierowała kobieta.

Poczułem się lepiej, mając w pobliżu Gorące Ciało, ale nadal nerwowo przestępowałem z jednej fantomalnej kończyny na drugą.

– Przestań! – rozkazała.

Przystanąła, przyglądając się jednej z wapiennych postaci.

– Przestań – powtórzyła ciszej.

– Co mam przestać?

Zacząłem bębnić nerwowo fantomalną kończyną, która odpowiadała za moje przyszłe relacje społeczne.

– Przestań bawić się tymi fantomami – roześmiała się Gorące Ciało, idąc dalej. – Wyrosną ci na nich włosy. Poważnie, przestań. Żonglujesz futurologicznie w tę i z powrotem, zanieczyszczając własną oś czasu. Skup się!

Przystanąłem i odprężyłem fantomy, oddając je jej pod kontrolę. Dotarliśmy do naturalnej kamiennej bramy u końca wapiennej menażerii, stała na wzniesieniu ponad stromym stokiem; dalej rozpościerał się płaskowyż. Usiedliśmy razem na krawędzi klifu i spojrzeliśmy na piaszczyste wydmy

ciągnące się w oddali, znikające w zapadającym zmroku.

– Myślisz, że ktoś mnie futurologicznie kantuje?

Futurologiczne oszustwa stawały się poważną gałęzią biznesu i jak hackerstwo rozlewały się po przyszłych światach. Futurologiczni crackerzy zaczęli projektować własne osie czasu.

– Szefie, mówiliśmy o tym setki razy, ale powtórzę: nie wyobrażam sobie, jak ktoś mógłby cię futurologicznie kantować – odpowiedziała Gorące Ciało. – We wszystkich przypadkach wyznaczyłam specjalnych agentów ryjących w systemie Phuture News i węszących w wąskich gardłach otwartego wielowszechświata. Nikt nie zgłosił niczego podejrzanego. By przeprowadzić atak w takiej skali, potrzebowaliby niemal takiej samej infrastruktury komputerowej jak ta, którą dysponuje Phuture News Network.

Czego nie dałoby się ukryć – nie musiała dodawać.

– Zatem podsumujmy sytuację – odchyliłem się i zapatrzyłem w gwiazdy.

– Dobra wiadomość brzmi tak, że poczyniliśmy postępy – oznajmiła radośnie. – Wyznaczyliśmy ścieżkę wydobycia twojego fizycznego ciała z Atopii, co znacznie poszerzy nam pole walki.

– Brzmi nieźle – odpowiedziałem. – A zła wiadomość?

– Zła wiadomość brzmi, że na najbliższy czas system prognozuje około siedmiu tysięcy możliwych rozwiązań twojego... eee... zejścia.

– Więc to już koniec, jestem trupem.

Gwiazdy świeciły jak stalowe szpilki przekłuwające nocne niebo wokół mnie.

– Nie bądź takim defetystą. Dziś musisz osobiście załatwić tylko z tuzin spraw, więc możemy temu zapobiec. O jutro będziemy się martwić dołą później. Tylko się skup, żyj chwilą.

– To samo mówiłaś wczoraj – zrzędziłem.

Stałem się drażliwy. Drażliwość była ostatnią reductą bogatych i pozbawionych celu w obliczu ciężkiej pracy. Po pierwszym szoku umierania niemal dzień po dniu postanowiłem wypisać się ze wszystkiego i zająć wyłącznie pływaniami na desce – irytowało mnie, że muszę ratować własne życie. Za coś takiego płaciłem innym. Jednak potajemnie przywykłem do tej sytuacji, a nawet polubiłem związaną z nią aktywność, choć nigdy bym się do tego nie przyznał.

Gorące Ciało zerknęła na mnie z ukosa i uniosła brew.

– Hej, twardzielu, to twoje życie. Jeśli będziesz improwizował, prawdopodobieństwo, że kopniesz dzisiaj w gwiazdny kalendarz, wynosi jakieś dziewięć do dziesięciu. No dalej, idź sobie popływaj.

Kiwnąłem głową, wbijając palce w piasek.

– Wiesz co, szefie, to wcale nie musi być głupi pomysł...

To mnie zaskoczyło.

– O co ci chodzi, do cholery? – wyplułem niemal te słowa i już chciałem jej przypomnieć, że prokury giną wraz ze swoimi właścicielami, ale ugryzłem się w język.

Gorące Ciało potrzebowała chwili na staranny dobór słów.

– Chciałam powiedzieć, że wcześniej... no...

– Co?

– Wcześniej byłeś trochę nieukierunkowany i niemal straciłeś zainteresowanie przyszłością.

– Myślisz, że lepiej jest tak, jak teraz?

– Przynajmniej wstajesz rano z łóżka.

Parsknąłem.

– Taa, żeby przeżyć kolejny dzień, żeby walczyć o przeżycie.

Pozwoliła mi zastanowić się nad tym, co właśnie powiedziałem.

– Więc rozumiesz, co mam na myśli?

Westchnąłem. Byłem zniechęcony, ale już się tak nie bałem. To, co mówiła, było perwersyjne, ale być może miała rację. Z całą pewnością delectowałem się tymi krótkimi chwilkami, które miałem dla siebie.

– Nieważne. Ważne jest to, że idzie ku lepszemu, tak?

– Robimy wszystko, co w naszej mocy.

– Wszystko, co w waszej mocy, he? – powtórzyłem posepnie, spoglądając na listę obowiązków do wykonania tego dnia. Właśnie pojawiła się na jednym z moich wyświetlaczy. Coś mi przyszło do głowy. – Więc powinienem dokonać szybkiej sprzedaży akcji Cognixa?

– Nikt się nie dowie, że to ty. Posłuchaj, wzniosę granice obronne – wyjaśniała Gorące Ciało. – I naślemy na nich paru inteligentnych agentów, żeby węszyli za crossuurologicznymi skryptami. Damy radę, szefie, nie martw

się.

– Mam się nie martwić?

Czy ona mówi poważnie?

– Nie chcę niepotrzebnie rozbudzać twoich nadziei, ale moim zdaniem zaczynamy dostrzegać wzorzec ukryty głęboko w matrycach prawdopodobieństwa, które łączą ze sobą to, co cię prześladowe. Wzorzec dotyczący przyszłości, ale jednocześnie sięgający daleko w przeszłość.

W końcu jakiś postęp.

– Mogłabyś to wyjaśnić dokładniej?

– Łatwiej byłoby mi to pokazać.

9

Przez wysoki baldachim dżungli przeświecały promienie słońca, padając na mocno ubitą ziemię. Plamy światła i ciemności zszywały razem przeróżne sceny: dym unoszący się nad ogniskami, roześmiane dzieci biegające między chatami krytymi palmowymi liśćmi oraz kobiety siedzące i plotkujące przy obieraniu białej skórki batatów, przy starannym owijaniu ich liśćmi bananowca i układaniu wszystkiego w kamienistych paleniskach.

Mężczyźni byli dziś na polowaniu; uganiali się za wieprzami, które poprzedniej nocy podczas burzy uciekły z sąsiednich wiosek. W leśnym poszyciu wrzeszczały małpy, a ich nawoływanie łączyło się z symfonią wyśpiewywaną przez ptaki, których pióra rozświeślały parujący las niczym migotliwe plamki farby na grubym, zielonym płótnie.

Podniosłem z ziemi gładki kamień i przypadkowo uchyliłem głowę przed lotką, która o mało mnie nie trafiła. Jakieś dziecko krzyczało z prawej strony. Matka podniosła je za rękę do góry i dała mu klapsa. Chłopiec bawił się ojcowską dmuchawką, nie wiedząc za bardzo, co robi, naśladując prawdopodobnie tatę. Choć zamieszkiwałem inne ciało, to, co podążało za mną, usiłowało zabić każdą powłokę, w której się znalazłem.

Matka spojrzała na mnie i przepaszająco wzruszyła ramionami. Uśmiechnąłem się do niej i ponownie skierowałem uwagę na szamana. Unikanie śmierci nie było dla mnie niczym nowym.

– Wef kole – wyjaśniał członek plemiennej starszyny, posługując się wariantem tok pisin, łamaną angielszczyzną będącą *lingua franca* wyżyn Papui Nowej Gwinei.

Dwa najbardziej językowo zróżnicowane miejsca na ziemi były także najbardziej spolaryzowane kulturowo i technologicznie: to miejsce ledwo wyszło z epoki kamiennej, a Nowy Jork, tętniące życiem megalopolis, wprowadzał świat w XXII wiek. W obu tych miejscach używano ponad tysiąca

języków, lecz te, którymi posługiwano się w Nowym Jorku, były w większości tłumaczone maszynowo i stanowiły część nowego, globalnego *lingua franca*, czego nie dało się powiedzieć o językach z Nowej Gwinei. Staralem się zrozumieć to, co ów starzec bardzo starał się mi wyjaśnić.

– Wef kole jak, powiedzmy, w okręgu? – jąkałem się, mówiąc tutejszym yupno, jak nazywało się to plemię. Wysławianie się w obcym ciele też zresztą nie było łatwe.

Gigantyczna drzewna ropucha przyglądała mi się leniwie z pobliskiej gałęzi. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni widziałem ropuchę na wolności. Oczywiście nie pamiętałem również, kiedy po raz ostatni byłem w takiej dzicy jak ta.

Żeby dostać się do tego zapomnianego przez Boga i ludzi miejsca, musieliśmy rzucić tu przenośną stację bazową, a potem przekonać pewną zakonnice, prowadzącą pobliską misję, aby nakłoniła jednego z wieśniaków do wypicia szklanki wody ze sprytocytami, co pozwoliło mojej podmiotowości na wejście do jego ciała i kontrolowanie go poprzez link komunikacyjny.

To był jedyny sposób, żebym mógł porozmawiać z tym konkretnym starszym, szamanem Yupno i szafarzem najświętszych tajemnic. Sprytocyty nie rozpuściły się do końca w tym ciele, czułem więc odrętwienie i ogólną niespójność, a ponieważ wkrótce zostaną wypłukane, musiałem się spieszyć.

Szaman wzruszył ramionami i uśmiechnął się, ukazując poczerwiałe zęby. Łypnął na mnie wzrokiem. Odwzajemniłem jego uśmiech, a mój psis filtrował język jego ciała w zrozumiałą dla mnie formę. Powędrowałem wzrokiem ku przecince w dżungli, ukazującej pokryte lodowcem pasma górskie, sięgające aż do samego jasnego nieba. Próbował wyjaśnić mi własne pojmowanie kształtu czasu, a raczej brak takiego kształtu.

„Tu i teraz”, „dawniej w latach dwudziestych”, „gonitwa z czasem”... Współczesny świat miał obsesję przestrzennych metafor czasu – przeszłość była zawsze za nami, a przyszłość przed nami. Ale nie dla Yupno. Dla mieszkańców tej odległej doliny czas nie biegł linearnie.

W ich oczach wspinał się na wzgórze, cofał, tworzył formy i kształty. Wyśmiewali się z naszej koncepcji czasu płynącego tylko w jedną stronę. Ta kultura z epoki kamienia bezpośrednio doświadczała czegoś, co Einstein

usiłował oddać w równaniach.

Wzorzec wykryty przez Gorące Ciało doprowadził nas aż tutaj: siedziała teraz na ściętym pniu naprzeciw mnie i starca po drugiej stronie paleniska, ubrana bardzo stosownie w szorty safari, z długim, splecionym warkoczem, którym się bawiła, przekładając go między palcami. Ponieważ była tylko projekcją systemu psis z rzeczywistości rozszerzonej, byłem jedyną osobą, która ją widziała.

– Chodzi mu o to, że czas biegnie w przód i w tył, ale nie jak strumień, to bardziej jak wiry w jeziorze – tłumaczyła. – Albo nie... Czas jest jak zbiornik wodny... Chyba o to mu chodzi.

– Jak zbiornik wodny? – zapytałem starszego.

Kiwnął głową. Wyciągnął długie ramiona i nakreślił dłońmi koło, powoli – koło okalające mnie. Kiedy Yupno mówili o czasie, wskazywali drzwi, a sens tej ciekawostki zaczynał do mnie docierać.

Znalazłszy się w ciele członka tego plemienia, usiłowałem się przekonać, czy czas biegnie dla mnie inaczej. Nie biegł, ale coś było nie tak.

Co zdumiewające, szaman nawet nie mrugnął okiem, przekonawszy się, że w ciele jednego z jego współbraci zamieszkał magicznie obcy duch, ani że duch ten prowadził rozmowy z innym, niewidzialnym duchem, Gorącym Ciałem, który gościł pośród nas. Wszystko to wydawało mu się zupełnie naturalne.

Teraz wskazał palcem miejsce na pniu, które zajęła Gorące Ciało, zupełnie jakby ją widział.

– Imię ducha? – zapytał.

Gorące Ciało uniosła brwi.

– Gorące Ciało – odpowiedziałem, wzruszając ramionami, obrócony w jej stronę.

– GORĄCE ciało – powtórzył. – Gorące CIAŁO?

Kiwnąłem głową, a on uśmiechnął się szeroko.

– A ty jak się nazywasz? – zapytałem, bo nie przyszło mi do głowy, żeby zrobić to wcześniej.

Dotknął palcem piersi:

– Nicky – odrzekł dumnie i dodał: – Nicky Nixons.

Roześmiałem się: Nicky Nixons, szaman dyplomowany.

– Miło mi pana poznać, doktorze Nicky Nixons. Ja nazywam się – wskazałem palcem siebie – Vince Indigo.

– Tak, In-dee-go... – powtórzył, kiwając mądrze głową, jakby wiedział o tym od samego początku.

– To wszystko jest bardzo zajmujące – wtrąciła Gorące Ciało – ale musimy uciekać. Nasz czas tutaj dobiega końca.

Rozszczepiła mój wyświetlacz na odłamki ukazujące zbliżające się śmiertelne zagrożenia – jednym z nich był bioelektroniczny retrowirus na bazie eboli, który następnego ranka, podczas mycia zębów, miał mi rozpuścić organy wewnętrzne. Ustawiła zaporę sieciową dla tunelu danych, chroniąc go na wszelki wypadek przed dżunglą, w której siedzieliśmy.

– Pobyt tutaj robi się niebezpieczny.

Kiwnąłem głową.

– Okay, ruszę w drogę – odpowiedziałem. – Ale ty zostań tu jeszcze chwilę i sprawdź, czy czegoś się jeszcze nie dowiesz.

Nadszedł czas powrotu do pracy. Sensoryczne ramy dżungli i Nicky’ego Nixonsa rozplynęły się szybko, a w ich miejsce pojawiła się nieduża, skromnie umeblowana sala gdzieś na dolnych poziomach atopijnego kompleksu drapaczy mórz. W przestrzeni rozszerzonej odgrrodzone od siebie stanowiska pracy finansowego metaświata Nowego Londynu ciągnęły się w nieskończoność. Stanowiska te były zajęte przez tysiące zapracowanych kopii Willy’ego McIntyre’a, najlepszego przyjaciela mojego kumpla od surfowania Boba i nowo mianowanego maklera giełdowego.

– Zakładam, że interesy idą dobrze? – zapytałem Willy’ego, wyczuwając przybycie jego pierwotnej podmiotowości.

Gorące Ciało przesłała mi raport o działalności Willy’ego. Przekonałem się, że zaprzągnął do roboty nie tylko boty i syntetyków, ale prawdziwe odłamki siebie – całe setki. Nie obchodziło mnie, czym się zajmuje. Musiałem tylko wejść i wyjść.

Czas, jak zwykle, działał na moją niekorzyść.

– Interesy idą bardzo, bardzo dobrze – odpowiedział Willy, który stał teraz obok mnie i obserwował, jak przyglądam się jego pracującej niżej finansowej armii.

Wyglądał jak kocur, który właśnie połknął kanarka: o mało nie pękł, najwyraźniej hołubił jakiś sekret. Z raportu Gorącego Ciała wynikało, że Willy spłacił wielopokoleniową hipotekę swojej rodziny. Był na najlepszej drodze do zgromadzenia pokaźnej fortuny, ale nie miałem czasu ani ochoty z nim rozmawiać.

Przyzywała mnie śmierć.

– Zauważyłem, że powiększyłeś zakres usług Phuture News – powiedziałem ostrożnie. – Ale nie dlatego tu jestem. Wysyłam ci teraz szczegóły tego, czego potrzebuję.

Załadowałem transakcję do jednego z jego odłamków.

– Chcesz, żebym zrobił coś takiego?! – wykrzyknął. – Wiesz, że to będzie bardzo podejrzane? Tym bardziej, że pracuję dla Infinixu.

– Z tego, co wiem, już dla nich nie pracujesz.

Willy przestał się wiercić i zlustrował mnie wzrokiem.

– Fakt, ale to i tak będzie wyglądało dziwnie.

– Wiem, że to szaleństwo, ale jeśli to dla mnie zrobisz i nie puścisz pary z ust, zapłacę ci mnóstwo pieniędzy. Chcę, żebyś pozbył się tych wszystkich akcji i odnotował olbrzymią stratę. I chcę, żebyś zrobił to w Nowym Jorku.

Spojrzałem na niego. Wiedział, co oznacza to spojrzenie.

– I bądź ostrożny – dodałem po chwili, wyczuwając, że nie daje sobie z tym rady.

– Nie sądzę, żeby były jakieś problemy z tą transakcją...

– Nie mówię o tym – przerwałem mu. Nie rozumiał, o co mi chodzi. – A o wszystkim, co dzieje się tutaj.

– Tutaj nic się nie dzieje.

Mierzyliśmy się wzrokiem.

Musiałem już iść.

– Więc tylko bądź ostrożny, okay?

Zawahał się, ale po chwili uśmiechnął do mnie.

– Nie ma sprawy, panie Indigo.

Ten chłopak wpakuje się kiedyś w kłopoty. Wyciągnął do mnie rękę. Uścisnąłem ją, ale myślałem już o czymś innym.

Szybko przeniosłem się na dach wież Cognixa.

10

W porannym powietrzu rozległo się głośnie, upiorne zawodzenie, które niosło mnie coraz wyżej, ponad najwyższe szczyty Himalajów, ale także do wewnątrz i w tył – głęboko do łona mej matki. Otaczały mnie miliony śmierci, a wszystkie podążały na zewnątrz od chwili mego poczęcia – kosmicznego embrionu istnienia, trzymającego się cienkiej osi czasu, biegnącej przez wszystko, co pozwalało mi żyć.



Pot spływał po moim ciele pod gorącym kolumbijskim słońcem. Przemierzając Plaza de Bolivar, wycierałem pot z karku podkoszulkiem, który wyjąłem z plecaka. Wokół w małych grupach stali turyści podziwiający wspaniale obramowane mury portyków. Pocili się razem w tym samym słońcu, które przypiekało i mnie.

Pod nogami plątały się gołębie, ale musiałem iść dalej. Niewielki oddział ochrony podążał w pewnej odległości za mną, ale starałem się pozostać *incognito*. Kątem oka dostrzegłem reklamę coca-coli nawołującą z cienia pod markizą, więc zmieniłem trasę i ruszyłem ku niej oraz sklepikowi spożywczemu tuż pod nią, na rogu placu.

– *Hola!* – zaanonsowałem się, wchodząc. Owiewającą mnie klimatyzację powitałem w myślach jak zbawienie. Odsunąłem drzwi lodówki obok kasy, wyjąłem z niej puszkę napoju i spragniony, otworzyłem ją i zacząłem pić. Właściciel sklepiku wyszedł z kantorka na tyłach, w momencie, w którym kończyłem puszkę.

– *Señor!* – wykrzyknął, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– Co?

Odstawiłem puszkę. Czy zirytowało go, że nie zapłaciłem najpierw za napój?

Sięgając do kieszeni, czułem się orzeźwiony, przybyło mi sił. Szukałem podekscytowany paru peset. Do sklepiku weszła niewielka grupka ludzi. Gapili się na mnie, co mogło oznaczać tylko jedno.

Serce łomotało mi w piersi. Nie mogłem złapać tchu. Spojrzałem na właściciela, który wpatrywał się z przerażeniem w trzymaną przeze mnie puszkę. Widok przed moimi oczyma zaczął się rozplýwać, a gdy ruszyłem ku drzwiom, kolana ugięły się pode mną w euforycznym pędzie. Gdzieś na obrzeżach świadomości słyszałem aplauz. Kiedy ogarniały mnie ciemności, pomachałem jeszcze fanom.



Trąby *dungchen* odezwały się jeszcze raz, ich niski, złowrogi jęk wyrwał mnie ze snu na jawie. Mrugnąłem i wyjrzałem przez okno sali, w której spałem. Wschodzące słońce zapowiadało nowy dzień, choć ponieważ dopiero wspinało się ponad okalające dolinę szczyty, Lhasa nadal pogrążona była w cieniu.

Na poły śpiąc, wróciłem pamięcią do zamachu i śmierci, której uniknąłem w Kolumbii. Szmuglowali narkotyki w puszkach coli. Nieświadom niczego wypiłbym całą zawartość, zanim ktokolwiek zdołałby mnie ostrzec. W dalszej części dnia zmieniliśmy trasę mojego spaceru po Bogocie – jak najdalej od Plaza de Bolivar, tak na wszelki wypadek.

BŚT okazał się niepokojącym zjawiskiem. Kiedyś ciekawscy gapie zbierali się na rogach, żeby przyglądać się wypadkom, teraz – mając do dyspozycji technologię przepowiadania przyszłości i cały wikiświat – przenosili się w dowolne miejsce na planecie, żeby gapić się na nieszczęścia. Mówiono na nich BŚT: błyskawiczny śmiertelny tłum.

Mając na swym koncie tyle zapowiedzianych śmierci, zgromadziłem wokół siebie własny fanklub BŚT, a moje przyszłe śmierci stały się okazją do świętowania – ludzie przybywali, by przyglądać się niekończącej się sekwencji najwymyślniejszych śmiertelnych zamachów, których unikałem o włos. Doszli do wniosku, że wszystko to jest jakąś futurystyczną instalacją artystyczną,

a ponieważ nie stać mnie na powiedzenie światu prawdy, chcąc nie chcąc biorę udział w tej grze.

Wzorce wykryte przez Gorące Ciało zawiodły nas do Lhasy, gdzie miałem przestudiować Tybetańską Księgę Umarłych – dzieło poświęcone doświadczeniom między życiem a śmiercią. Księga okazała się szalenie trudna do zrozumienia, ponieważ jej większa część była zakodowana starożytnymi symbolami. Przyjechaliśmy tu, by wziąć udział w Debatach Mnichów, by porozmawiać bezpośrednio z tymi, którzy ją rozumieją.

Usłyszałem znajome pukanie do lekko uchylonych drewnianych drzwi współdzielonej z innymi sypialni. Zamieszkiwałem ciało buddyjskiego mnicha z klasztoru Sera na obrzeżach Lhasy. W zamian za wypożyczenie doczesnej formy zaoferowałem mnichowi jedyną w swoim rodzaju okazję do pozacielesnej medytacji dzięki sieci psis, do której zazwyczaj nie mają tutaj dostępu.

Sprytocyty są substancją pozostającą pod międzynarodową kontrolą. Ich wywóz poza Atopię, a szczególnie to, co z nimi tutaj robiłem, było wysoce nielegalne.

– Nawet tego nie próbuj – ostrzegłem Gorące Ciało.

Stała nadąsana w progu, ubrana w strój francuskiej pokojówki, trzymając rzecz jasna szpicrutę. Zrzuciłem z siebie pościel, zanim się za mnie zabrała. Wstałem i włożyłem rdzawoczerwone szaty *dhonka*.

Mijały tygodnie, a ja wciąż tu byłem, choć ledwo ledwo. Poprzedniego dnia pojawiło się pięćdziesiąt tysięcy sposobów, na które mogłem umrzeć na milionach śledzonych przez nas futurologicznych osi czasu – dwóm z tych wydarzeń musiałem stawić czoło w czasie rzeczywistym i prawdziwej przestrzeni... Było naprawdę groźnie.

Opóźniliśmy rozprzestrzenianie się epidemii, ale nie potrafiliśmy całkiem jej powstrzymać. Próbowaliśmy symulacji zamknięcia mojego ciała w skarbcu, ale to tylko pogorszyło sprawę. Liczba grózb śmierci wzrastała lawinowo, co sprawiało, że każde opuszczenie skarbcza niosło ze sobą katastrofalne niebezpieczeństwa i doprowadziło w końcu do ataku terrorystycznego na moją kryjówkę.

Setki tysięcy botów i syntetyków robiły, co mogły, rzeczy ważne i drobne, by

odsunąć ode mnie zagrożenia, ale i tak wciąż pozostawałem na celowniku. Dziś przypadał Wielki Dzień. Mieliśmy zmierzyć się ze śmiercią gwałtowniej niż kiedykolwiek.

– Więc jakie są złe wieści? – westchnąłem.

Pozostałe znajdujące się w sypialni maty, służące do spania, były puste, reszta mnichów wstała niewątpliwie wcześniej ode mnie, byli w końcu prawdziwymi buddyjskimi mnichami. Przeciągnąłem się, ziewnąłem i potarłem kark, spodziewając się najgorszego. Musiałem wlać w to ciało trochę gorącej herbaty przed poranną sesją medytacyjną.

– Dobre wieści! – wykrzyknęła madame Gorące Ciało i świsnęła mnie szpicrutą po tyłku, zmuszając do zupełnego rozbudzenia się. Potem przecięła bacikiem powietrze przed sobą, wskazując ostatecznie drzwi. Ruszyliśmy ku nim. – Groźby się cofają, a przynajmniej stabilizują.

– Naprawdę?

Moja zawężona przyszłość rozlała się nieco szerzej. Nareszcie!

Wyszliśmy na korytarz i przeszliśmy obok grupy mnichów zmierzających szybko w sobie tylko znanym kierunku. Gorące Ciało minęła ich dumnie w szpilkach i podkolanówkach, obdarzając ich przy tym uśmiechem.

– Naprawdę – potwierdziła, oglądając się na mnie i zatrzymując, by oprzeć się o grubo ciosaną, kamienną ścianę korytarza. – Wygląda na to, że nowy pierścień broniący twoich futurologicznych granic zaczął się opłacać. Pierścień oraz nowe medytacje i nowa samoświadomość.

– Więc co to było? – Jeśli znaleźliśmy sposób, żeby to ograniczyć, musiała istnieć ścieżka do kodu źródłowego, jakiś proces śledczy, który doprowadzi nas wstecz.

Gorące Ciało opuściła szpicrutę.

– Vince, najdroższy, pamiętasz, co mówił Nicky Nixons, i co powtarza Yongdzin, twój buddyjski mistrz? Musisz przestać myśleć w kategoriach deterministycznych. Żyj chwilą.

– Fakt. Żyj chwilą, to w ogóle nie wymaga wysiłku.

– Dokładnie.

– Gorące Ciało... Gorące Ciało... – zaintonowałem solennie, składając, kiedy szliśmy, dłonie mnicha do modlitwy.

– Wolałabym, żebyś wybrał sobie inną mantrę, a nie moje imię.

Otworzyłem oczy i mrugnąłem do niej.

– Na mnie to działa.

Przewróciła oczami.

– Wzorce się stabilizują. Ten, kto to zrobił, zostawił za sobą cały szlak wielkanocnych jaj, które naszym zdaniem prowadzą do tylnych drzwi.

– Przypomnij mi, żebym podziękował mu osobiście. – Chciałem spojrzeć na dzisiejszy rozkład dnia.

Weszliśmy do jadalni – jeśli to się tak nazywało – w samym sercu Sera Jey. Wziąłem kubek herbaty i usiadłem z Gorącym Ciałem przy drewnianym stole w rogu. Ponad ławą wyświetliła się lista zadań do wykonania.

– Dzisiaj nie jest tak źle, drogi panie, wczoraj było gorzej.

Do tej pory udało nam się stworzyć siatki wywiadowcze i kontrwywiadowcze, porównywalne do tych, którymi szczyły się największe korporacje i państwa-miasta – a wszystko po to, żeby dostosować przyszłą oś czasu do moich potrzeb, do mojego pragnienia przeżycia. Władowaliśmy w to wszystkie pieniądze z Phuture News, jakie tylko się dało, i sprzedaliśmy wszystkie moje aktywa, żeby sfinansować program.

Na matrycy zagrożeń wyróżniał się jeden szczególny wpis.

– Nie da się tego obejść? – Na długiej liście rzeczy, które musiałem zrobić, ta jedna dotykała mnie najbardziej. Walczyłem z tym.

– Sorry, szefie. Lepiej zajmij się tym przed poranną medytacją.

Czułem się potwornie, zmuszony do sabotowania premiery projektu rozproszonej świadomości Infinixxa, ale nie dało się tego obejść. Gangsterska Triada z Hong Kongu wykorzystałaby ów projekt do namierzenia innych moich działań. Zapobieżenie premierze było kluczowym czynnikiem zachowania mojej osi czasu w stanie nienaruszonym.

Wzruszyłem ramionami. Postęp to postęp. Lepiej będę się trzymał programu. Używając komunikacyjnego fantomu, skontaktowałem się z sieciami Patricii, prosząc o pilne prywatne spotkanie z jej pierwotną podmiotowością.

Na końcu długiej izby, w której się znajdowałem, siedział posąg Chenrezig – Współczującego Buddy. Wokół niego wyciągały się dziesiątki ramion jak promienie słońca, a oblicza Buddy wpatrywały się we mnie dobrodusznie. Te

wyciągnięte ramiona przypominały dziwnie fantomalne kończyny psis, które ukazały się niespodziewanie w rzeczywistej przestrzeni. Rozstrojony, wyjrzałem przez okno na majestatyczne szczyty wokół nas.

Na równinach wokół Lhasy rozbito na stałe prowizoryczne obozowiska międzynarodowych sił zbrojnych – wojsk buforowych między chińskimi a indyjskimi bazami znajdującymi się po przeciwnych stronach doliny. Byli tam Amerykanie jako część misji ONZ, były również siły NATO, ale największy kontyngent przysłała Unia Afrykańska.

Wielu uważało, że w Afryce kryje się nadzieja na przyszłość; to tam warczały już turbiny nowej potęgi gospodarczej, zresztą sam kontynent był ostatnim miejscem na Ziemi z dodatnim przyrostem ludności. Lagos, stolica Unii Afrykańskiej, było blisko powiązane z Terra Nova, morską kolonią na Południowym Atlantyku. Terra Nova miała własny produkt rzeczywistości rozszerzonej, współzawodniczący z psis.

– Co mam według ciebie zrobić? – zapytała Patricia, materializując się na miejscu naprzeciw mnie.

Oderwałem wzrok od widoków za oknem. Wraz z jej przybyciem otoczyła nas lśniąca zasłona ochronna. Patricia odczekała chwilę do zamknięcia zasłony.

– Masz wszystko, czego potrzebujesz? O co teraz chodzi?

Pomogła mi przesznuć sprytocyty z Atopii, pomogła mi nawet stworzyć własną tajną sieć komunikacyjną, nie zadając przy tym zbędnych pytań. Bogu niech będą dzięki za starych przyjaciół.

– U mnie wszystko dobrze – odpowiedziałem cicho. – Nie potrzebuję nowych materiałów, ale chciałbym, żebyś mi pomogła dokładnie teraz w swojej fizycznej postaci. – Zabrzmiało to dziwnie, szczególnie, że słowa wypowiadał drobny mnich, maleńki człowieczek w porównaniu z tą światowej sławy uczoną. – Nie mogę ci powiedzieć więcej, oprócz tego, że sprawa ma kluczowe znaczenie i musi zostać zachowana w sekrecie.

Patricia spojrzała na mnie uważnie.

– Wiesz, że premiera Infinixxa odbędzie się za mniej niż godzinę?

– Nie mówię, że nie możesz na niej być. Wirtualnie. Czy nie o to chodzi w całym tym projekcie? Więc co za różnica?

To było coś niezwykłego – przestałem się wstydzić prosić o takie rzeczy.

Wahała się.

– Mówiłaś, że mogę na tobie polegać, gdybym kiedykolwiek czegoś potrzebował, prawda?

– Tak przypuszczam...

– Więc proszę.

Westchnęła.

– Okay.

– Świetnie – mruknąłem, czując, że ta misja zakończyła się powodzeniem. – Doceniam to, Pat.

Zapadła niezręczna cisza.

– Więc co się dzieje z tymi układami burzowymi? – zapytałem od niechcienia, zmieniając temat. Byłem ciekaw, czy Patricia ma do powiedzenia coś więcej niż to, co słyszałem w mediaświatach. Byłem tak bardzo pochłonięty własnymi nieszczęściami, że prawie nie zwracałem uwagi na zagrażające Atopii warunki pogodowe. Łapiąc drugi oddech, zacząłem przyswajać to, co działo się w świecie zewnętrznym.

A burze były najważniejszą wiadomością.

– Nie wiemy – odpowiedziała, wzruszając ramionami. – Ale z całą pewnością nie są to naturalne kataklizmy.

Nie są naturalne? Tego nie słyszałem.

– Coś się dzieje, a my nie wiemy co?

Bez jaj! – pomyślałem.

11

W końcu po raz pierwszy od niepamiętnych czasów spacer po parku Buen Retiro w Madrycie sprawiał mi prawdziwą radość. Lato ustępowało miejsca jesieni, liście spadały z drzew, tworząc pod stopami przepiękny, złocisty dywan. A nad tym wszystkim wisiało idealnie bezchmurne, błękitne niebo.

Oczyrna duszy widziałem, jak następnego dnia z wdziękiem skręcam w boczną alejkę, kiedy z nieba nad Parkiem Stanleya w Vancouver spada helikopter, o mało mnie nie zabijając. W innym odłamku widziałem wpadający w poślizg samochód, który odbija się od mojego plażowego buggy, kiedy za kilka dni będę skręcał na parking w Malibu. Samochód przyciął deskę surfingową, którą przymocowałem z tyłu mojego auta – obracała się jak śmigło. Zrobiłem unik, zanim deska obcięła mi głowę.

Wszystko to odbywało się bez wysiłku, taki balet ze śmiercią.

Znaleźliśmy rozwiązanie mojego problemu. Odkąd przed kilkoma tygodniami podczas pobytu w Tybecie ustabilizowaliśmy sytuację, liczba śmiertelnych wypadków gwałtownie spadła. Nadal mieliśmy do czynienia z blisko dwudziestoma tysiącami przyszłych śmiertelnych zagrożeń, których musieliśmy unikać, by zachować w zdrowiu moją oś czasu, lecz to, co przerażało mnie przed kilkoma tygodniami, było obecnie jak spacer w parku.

Dosłownie.

Przechadzając się po Buen Retiro, starannie odmierzałem kroki, a przy każdym z nich miażdżyłem stopą kolejny żółty liść. Wdeptując go w żwir, wyobrażałem sobie, że likwiduję w ten sposób maleńkie zwiastuny zagłady. Odwróciwszy wzrok od tej masakry, stwierdziłem, że stoję przed Kryształowym Pałacem.

Nieco dalej przy tej samej ścieżce jakaś kobieta podniosła liść z ziemi i zaczęła się śmiać, a potem płakać, nie zwracając zupełnie uwagi na ludzi wokół. Nie chcąc jej przeszkadzać, skręciłem w inną alejkę. Zerknąłem przez

ramię, ale jej już nie było.

Wyglądała bardzo znajomo.

Chcąc się chronić, stworzyłem coś w rodzaju tymczasowego układu immunologicznego, sięgającego do połączonych ze mną alternatywnych wszechświatów. W otaczającej mnie probabilistycznej przestrzeni obracała się cała armia zabijających jutro botów, które neutralizowały zagrożenia, zapychały niebezpieczne portale i drogi prowadzące zarówno do przyszłości, jak i w przeszłość. Ten układ immunologiczny stał się częścią mnie, częścią mojego żyjącego ciała, bardzo precyzyjnym zmysłem śmierci, który pozwalał mi wychodzić cało nawet z najbardziej niebezpiecznych sytuacji.

Zwolennicy teorii spiskowych po raz pierwszy mieli rację. Niektóre z tabloidowych światów zaczęły publikować historie o wykryciu mrocznej siły nacierającej na sieci futurologiczne. Tą mroczną siłą byłem ja, ale istniało coś jeszcze innego, coś, co mnie prześladowało. Tyle że teraz także i ja byłem myśliwym.

Zwróciłem większą uwagę na huragany zagrażające Atopii. W mojej sytuacji nie można było wykluczyć ewentualności, że burze te były wymierzone we mnie, że były ostatnią próbą zniszczenia mojego zaplecza, mojej bazy, po bezskutecznych wysiłkach uwięzienia mnie na niej. Jednak ten pomysł nie trzymał się kupy. Choć huragany zniszczą zapewne Atopię, dla mnie nie stanowiły zagrożenia.

Uniosłem twarz ku porannemu słońcu. Wcześniej moje życie pogrążyło się w apatii, lecz kilka minionych miesięcy stało się dla mnie duchową podróżą ku jakiemuś mistycznemu miejscu. Odkodowanie ukrytego wzorca pomogło nam wytyczyć najbardziej stabilną drogę przez przyszłość, która prowadziła nas coraz dalej i dalej wstecz. W głębinach historii ludzkości spoczywała ukryta prawda, którą zaczynałem pojmować.

Rozwiązaniem mojego problemu okazało się zwykłe trwanie. Nadal walczyłem desperacko ze śmiercią, ale walka ta zaczęła przypominać taniec, w którym kroki stawiałem bez wysiłku. Osiągnąłem wyższy stan świadomości, nie byłby mi on dany w żaden inny sposób.

Odrodziłem się, walcząc o ocalenie siebie.

Wraz z trwaniem tej osi czasu ludzie zaczęli traktować zapowiedzi mojej

śmierci jako próbę zwrócenia na siebie uwagi przez znudzonego bilionera. Świat *en bloc* wymazywał mnie ze swoich sieci jako futurologiczny spam i nawet BŚT się znudzili. Człowiek bez przyszłości, żyjący tylko chwilą, był niewidzialny dla świata mającego obsesję na każdym punkcie, oprócz tego, w którym akurat przebywał.

Poradziłem więc sobie z sytuacją, w jakiej się znalazłem. Moja śmierć stała się zapomnianą atrakcją w lokalnym wszechświecie, nad którym – mając do dyspozycji potężne zasoby – przejąłem kontrolę w ciasnej, acz stabilnej spirali.

Ironia tylko ubogacała to wszystko.

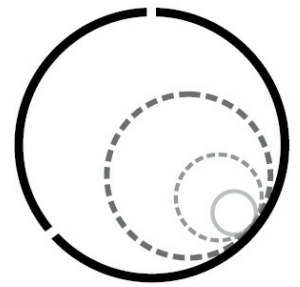
Wpadłem w pułapkę systemu prognozowania przyszłości – mojego własnego tworu – nie mogąc nawet powiedzieć ludziom, co się dzieje. Jeszcze większą ironią było to, że nie wiedziałem do końca, czy to wszystko jest prawdą. Niewykluczone, że każdego dnia marnowałem czas na próżno.

Ale z drugiej strony właśnie tak wygląda życie.

Uśmiechnąłem się do tej myśli.

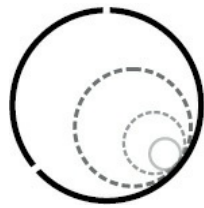
Egzystencjaliści twierdzili, że życie polega na zwycięskim wydobyciu znaczenia ze szczęk bezsensownego absurdu; odkryłem w tym cel, który kiedyś usiłowałem odnaleźć. Celem tym było przekonanie się, kto mi to wszystko robił i dlaczego, a droga wiodła z powrotem do jądra Atopii.

INTERLUDIUM



Wprowadzenie do:

Patricii Killiam



Tożsamość: Patricia Killiam

Siedzenie i czekanie. Jeśli doprowadzisz do perfekcji sztukę siedzenia i czekania, będziesz żył długo i szczęśliwie.

Znajdowałam się w głównej sali konferencyjnej Cognixa, zawieszona dwa tysiące stóp nad ziemią, w kompleksie obejmującym dachy wież uprawnych w samym środku Atopii. Popołudniowe słońce mocno przypiekało przez szklane ściany. Byłam pewna, że *on* każe mi czekać celowo, wiedząc, że zjawiłam się osobiście.

Wróciłam myślami do porannej konferencji prasowej, do tego, o czym mówiłam reporterom. Prawdy i półprawdy – mieszałam je od tak dawna, że nie potrafiłam już określić różnicy.

W jaki sposób psis zmieni świat? Mówiąc szczerze, nie miałam pojęcia. Prawdziwa potęga psis, chciałam im powiedzieć, polega na tym, że system ujarzmił naturalne zdolności adaptacyjne mózgu, wzbogacając ludzki umysł o wielowszechświat, ale gdyby to usłyszeli, popatrzyliby na mnie tylko nic nierozumiejącym wzrokiem.

Ludzkie zmysły i układ motoryczny rozwinęły się po to, by pomóc nam odnaleźć się w środowisku i dawać sobie w nim radę. Nasi przodkowie polowali na gazy na sawannie, i wówczas wszystko sprawdzało się doskonale, natomiast środowiskiem współczesnego człowieka jest potężny przepływ informacji, a psis pozwala włączyć do niego bezpośrednio nasz układ nerwowy.

Wytlumaczenie tego reporterom okazało się zadaniem ponad moje i ich siły. Łatwiej było pozwolić im spotkać się z dziećmi psis gdzieś na Atopii – szybciej chwytały, o co chodzi.

Westchnęłam.

Coraz częściej pojawiałam się wszędzie *in corpore*, czując, że mam coraz mniej czasu. Tu, w położonej wysoko sali konferencyjnej, zasłony bezpieczeństwa blokowały informacje wychodzące i przychodzące, nie dało się więc uciec do króliczej nory. Ponieważ jednak marnowanie czasu – nieważne, czy jest on iluzją, czy nie – nie miało sensu, postanowiłam przygotować się do spotkania.

Odetchnęłam głęboko, usiadłam wyprostowana na krześle i uruchomiłam wizualne nakładki moich fantomów, które rozlokowały się wokół mnie. Skoncentrowałam się i poruszyłam fantomem kontrolującym mój przestrzenny punkt widzenia. Unosił się nade mną, choć nie był ze mną połączony, przypominał mały palec koloru kitu i mogłam nim poruszać, jakby stanowił część mojego ciała.

Choć pracowałam przy tej technologii od ponad trzydziestu lat, ciągle czułam dziwną ekscytację na myśl, że ta projekcja jest częścią mnie, a jej dotyk i kinestetyka połączone są z moimi zmysłami, więc wiedziałam, kiedy fantom się wyciąga i klika przez granice własnego interfejsu.

Mózg ma niemal niewyczerpane możliwości neuroplastycznego przekształcania się. Jeśli nauczysz się grać na fortepianie, mózg poświęci więcej kory motorycznej twoim palcom. Jeśli natomiast odetniesz sobie rękę, mózg nauczy się adaptacyjnie przekierowywać kontrolę do sztucznego ramienia, zmieniając sposób, w jaki wykorzystywał rozmaite wiązki neuronów.

Fantomy były tego rozwinięciem.

Bez usuwania istniejących kończyn czy palców stworzyliśmy wirtualne palce i kończyny w wykorzystującej psis przestrzeni rozszerzonej, i połączyliśmy je z neuronami w korze motorycznej. Dzięki temu zyskaliśmy dziesiątki dodatkowych rąk do manipulacji oraz kontroli, połączonych bezpośrednio z naszym mózgiem jak części ciała.

Odwrotną stroną medalu było przesyłanie danych do naszych zmysłów – dotykowych, wzrokowych, dźwiękowych i dziesiątek innych drobniejszych odbieranych przez ludzi – co tworzyło niemal nieograniczoną liczbę metazmysłów, ostrzegających nas czy informujących o tym, co się dzieje

z przepływem informacji w wielowszechświecie.

Obecnie potrafimy dostosować nasze ciała i zmysły do sposobu, w jaki chcemy wchodzić w interakcje ze światem rzeczywistym i wirtualnym. Wspomagani przez neutrotroniczne czynniki wzrostu umieszczone w sprytocytach wypełniających nasz układ nerwowy, odkryliśmy, że mózg ma oszałamiający potencjał wzrostu i adaptacji do bodźców psis, daleko przekraczający nasze najśmielsze wyobrażenia z początku projektu.

Przyczepiłam się mocno do stołu konferencyjnego i połączyłam mój prymarny wizualny punkt widzenia z uruchomionym wcześniej fantomem kontroli przestrzeni. Kiedy wyciągałam go i poruszałam nim, mój subiektywny punkt widzenia wystrzelił z sali konferencyjnej i zawisł nad budynkiem.

Nurkując w korony drzew, zatrzymałam się tuż nad Bulwarem. Przejechałam szybko tym fantomem w tę i z powrotem, ćwicząc go, a potem odpięłam resztę. Siedziałam w sali konferencyjnej z dłońmi złożonymi spokojnie na lśniącym, wiśniowym blacie stołu, a osiemnaście fantomów tańczyło wokół mnie. Koncentrowałam się, czując, że każdy z nich przesuwają się przez punkty interfejsu, koordynując moje wizualne i metazmysłowe nakładki.

Fantomy nie były tylko projekcjami, stanowiły część mojego żyjącego, oddychającego ciała. Miałam wrażenie, że tańczę, i oparłam się wygodniej na fotelu, przymykając oczy, uśmiechając się i delektując się tym przedstawieniem.

Rozległ się krótki, charakterystyczny dźwięk anonsujący przybycie Kesselringa, głównego właściciela i prezesa rady nadzorczej Cognix Corporation; zmaterializował się naprzeciw mnie po drugiej stronie stołu. Natychmiast ukryłam fantomy, jakbym chowała zabawki do szafy. Przyglądał się z uśmiechem, jak je pakuję, czekając z rozpoczęciem przemowy, aż skończę.

Pod gęstą grzywą idealnie utrzymanych kruczoczarnych włosów lśniły intensywnie cętkowane orzechowe oczy Kesselringa, pod którymi wyrastała siwiejąca broda. Głębokie zmarszczki na twarzy dowodziły głębi mądrości mężczyzny o jego pozycji.

Uśmiechnął się do mnie z entuzjazmem.

– Wspaniale poradziłaś sobie dziś z prasą, Patricio. Jesteś najlepsza. Wyglądałaś cudownie!

– Męczy mnie okłamywanie ich przez cały czas – poskarżyłam się.

Miałam wrażenie, że traktuje mnie protekcjonalnie.

Może byłam poirytowana tym, że kazał na siebie czekać, albo poczułam się zawstydzona faktem, że przyłapał mnie na zabawie z fantomami. W istocie jednak wszystko to sprowadzało się do surrealistycznego wrażenia, że oboje spiskujemy w niewyobrażalnej skali. Z drugiej strony nie był to prawdziwy spisek, bo wszyscy wezmą w nim udział.

– Doprawdy, nikogo nie okłamujemy – powiedział Kesselring. – Rozmawialiśmy o tym miliony razy i wolałbym, żebyś już nie wracała do tego tematu.

– Masz rację. – Omawialiśmy to mnóstwo razy przez te wszystkie lata, kiedy stało się jasne, co musimy zrobić, lecz kiedy zbliżał się moment przekroczenia progu, ta sprawa znów nie wydawała się w porządku.

Zmienił temat, przechodząc do sedna.

– Myślisz, że coś podejrzewa?

– To oczywiste, że coś podejrzewa, ale to nie ma związku z nami. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Karuzela dla chomika, do której wpakowaliśmy Vince'a, nie była moim pomysłem, lecz to, co mu robiliśmy, było w ogóle możliwe tylko dzięki moim daleko idącym powiązaniom z technologią Phuture News Network. Celem nie było wyrządzenie Vince'owi krzywdy, chodziło tylko o odwrócenie jego uwagi. Nie mogliśmy sobie pozwolić, żeby dowiedział się o naszych planach, przynajmniej do chwili, po której nie będzie w stanie nas powstrzymać.

– To dobrze.

– Ale w końcu się dowie. – Trudno mi było zrozumieć, jak nasza technologia mogła wyrządzać mu to, co mu wyrządzała, przypuszczałam, że nasi agenci nie zdołają go długo powstrzymać. – Jest już na dobrym tropie.

– Wkrótce to nie będzie miało znaczenia – Kesselring wzruszył ramionami. – I nikt nie będzie zwracał na niego uwagi.

Zapadła chwila milczenia, podczas której przyglądałam się Kesselringowi, obwiniając jednocześnie okoliczności za to, co robiłam staremu przyjacielowi. Nabrałam powietrza w płuca.

– Więc będziemy rozdawać psis za darmo?

Kesselring uśmiechnął się.

– Instalacja będzie za darmo.

– I nie martwisz się tym, że nie mówimy ludziom całej prawdy?

Na Atopii nie budowaliśmy tylko lepszej pułapki na myszy. Budowaliśmy najlepszą pułapkę na myszy w dziejach.

– Nowe dokonania doktora Grangera wyglądają obiecująco...

– Nie zaczynaj znów z Halem – skrzywiłam się ze złością.

– Mówię tylko...

– Wiem, co chcesz powiedzieć.

Naprawianie jednego problemu innym to najlepsza recepta na niezamierzone konsekwencje, na katastrofę.

– Jak wspominałaś wielokrotnie – stwierdził – musimy zmaksymalizować nasycenie wprowadzanym produktem, żeby osiągnąć najlepsze efekty sieciowe. System rozszerzonej rzeczywistości z Terra Nova jest za nami o krok. Musimy przedstawić nasz produkt pierwsi, i to szybko, żeby zdobyć rynek.

Pokręciłam głową.

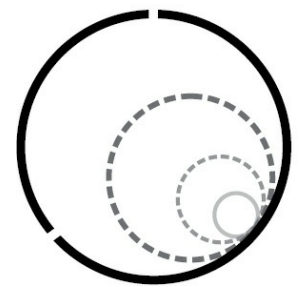
– To nie jest prawdziwy cel.

Kesselring wpatrywał się we mnie bacznie.

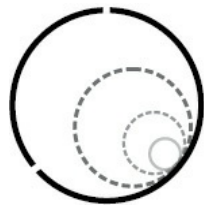
– Być może nie twój, ale ktoś musi zapłacić za to wszystko.

Potarłam grzbiet nosa, czując, że pętla zaciska mi się na szyi.

ŚLEPI BRACIA



Część IV:
Bobby Baxter



Prolog

– Mogę być dobry, w czym tylko zapragnę – tłumaczyłem. – Wystarczy, że się przyłożę.

Wyszczrzyłem zęby i pociągnąłem kolejny łyk z butelki sfermentowanych alg. Tego dnia przypadały moje czternaste urodziny i byłem pijany. Czy raczej: tego i następnego dnia przypadały nasze czternaste urodziny.

Siedzieliśmy z bratem na poręczy przy jednym z wejść do pasażerskiej lukstorki, zawieszanej setki stóp nad plażami Atopii. W powietrzu wokół nas rozlegało się miarowe dudnienie nocnego wyładunku towarów z torpedy. Nie powinniśmy tutaj być.

– Jak chcesz obejść zabezpieczenia? – zapytał mój brat.

– Bułka z masłem! – rzuciłem przechwałkę. – Sprowadź tu swoją prokurę. Załaduję mu szczegóły i wszystko pokażę.

Brat spojrział na rozbijające się niżej fale.

– Zawsze chcesz wszystko tłumaczyć mojej prokurze.

– Mówisz poważnie? – zachichotałem. – Wiesz, że nie jesteś dobry w zabezpieczeniach.

– W niczym nie jestem dobry – odpowiedział cicho. – Jak to się dzieje, że tobie każda rzecz przychodzi tak łatwo, a ja muszę się tak bardzo starać? Czy bliźniacy nie powinni być tacy sami?

– Nie jesteśmy identycznymi bliźniakami – roześmiałem się.

Poczuł się dotknięty.

– Nie wygłupiaj się i nie przesadzaj! Jesteś najzabawniejszym gościem, jakiego znam. A to prawdziwy talent!

Westchnął.

– Ze wszystkimi jest tak samo. Każdy chce rozmawiać tylko z moją prokurą.

– To nieprawda.

Znów westchnął, ale rozchmurzył się.

– Ty za to jesteś zdumiewający, Bob. Potrafisz zrobić wszystko.

Uśmiechnąłem się.

– Widzisz! Takiego ducha ci brakuje!

1

Tożsamość: Bobby Baxter

Na imię dano mi Temudżyn i byłem wielkim wojownikiem mongolskiej ordy Ong-chan. Był rok 1198, a upały letniego przesilenia spiekły stepy na popiół. Wkrótce napoimy Matkę Ziemię krwią naszych wrogów, a ja zajmę należne mi, dane przez Boga miejsce pośród mego ludu jako Dżyngis-chan, władca wszystkich Mongołów.

Otworzyłem powoli oczy, zasłuchany w rześki łopot naszych flag na wietrze, przyglądałem się Tatarom gromadzącym się na pokrytej pyłem równinie. Siedziałem przed jurta władcy z wierną szablą złożoną na kolanach, moje ciało pulsowało potęgą przodków.

Dzień przyniesie zwycięstwo lub chwalebny śmierć.

– Nie masz przypadkiem wrażenia, że wszystko to jest nierealne? – zapytał Martin, siadając z mojej prawej strony z dużym, na poły przezutym kawałkiem dziczyzny, której sok skapywał mu z ust. Uniósł wysoko brwi i pochylił się pytająco, podkreślając kwestię kolistym ruchem krwawego jeleniego udźca.

Mój brat zawsze zdobywał imponujące oceny z logiki i lingwistyki, ale nieustannie brakowało mu typowo życiowej inteligencji.

Jęknąłem.

– Totalnie mi to rujnujesz, koleś.

Poprosiłem go dziś, żeby został moim partnerem w świecie gier, zresztą po naleganiach mamy, ale docierała do mnie świadomość, że póki będę żył lub póki nie umrę, będę gorzko żałował tej decyzji. Poczułem ucisk w brzuchu.

– Wiesz, o co mi chodzi – ciągnął, rzucając się na kolejny kawał mięsa, który chciał odgryźć od kości. – To znaczy, skąd mam wiedzieć, że naprawdę

istnieję?

Przyjrzałem się mu, zastanawiając się nad odpowiedzią, ale w tej chwili musiałem zająć się statystami. Sid i reszta chłopaków bardzo na mnie liczyli.

– Mówiąc krótko, kolego, znikąd – odpowiedziałem, opracowując plan wykorzystania jego głowy w grze. – Myślę, więc jestem, jak stwierdził Kartezjusz w roku 1644. Od tamtej pory nic się nie zmieniło.

– Mhmmm... – skomentował to Martin, gapiąc się w niebo. – Więc skąd mam wiedzieć, że nie jesteś jakimś zombiakiem ze świata gier?

– Znikąd – powtórzyłem – choć z mojego punktu widzenia kwestia ta dotyczy raczej ciebie. – Roześmiałem się, a Martin mi zawtórował. – Jeśli martwimy się o to, czy ludzie wokół nas są bezrozumnymi zombiakami, pytanie staje się bezsensowne, nie?

Martin uśmiechnął się na to i wierzchem dłoni wytarł tłuszcz z gęby. Zanim przeszliśmy do kolejnej kwestii, nadjechał Vicious. Vicious był prokurą mojego najlepszego przyjaciela, Sida. Wyglądał komicznie, niczym angielski punk z lat siedemdziesiątych o ziemisto-bladej twarzy i guzowatych kolanach wystających spod mongolskiej zbroi.

Wyszczерzyłem do niego zęby.

Vicious wykrzywił się, ale się nie poddawał. Dzielnie, bardzo dzielnie. Starając się nie wypaść z roli, pochylił się ku Martinowi i powiedział:

– Panie, mój pan, Sid, prosił, abym przywiódł ci wierzchowca i... aaa... aaa... jebać to, koleś, twój kuń jest tutaj.

Za nim nadjechał Robert, moja własna prokura. Całkiem rozsądnie nie odezwał się ani słowem, rzucając mi wodze konia, który za nim stał, zerknął tylko na Viciousa i uśmiechnął się. Vicious skrzywił się i odeszli razem, żeby przygotować Sida i siebie.

Schowałem szablę do pochwy, Martin rzucił resztki posiłku na ziemię i wstaliśmy niemal gotowi.

– Wiem, że to świat gry – rzucił Martin znad grzbietu konia – ale mówiąc poważnie, czy w normalnym świecie nie odnosisz czasem wrażenia, że to wszystko jest niemożliwe?

Roześmiałem się.

Normalny świat – to ci dopiero skomplikowany koncept. W jednym

z nieskończonej liczby wszechświatów dopiero rozpoczęliśmy tworzenie naszych własnych, nieskończonych, cyfrowych. Cały ten bałagan określano mianem wielowszechświata, kierując się założeniem, że nieskończoność i nieskończoność gdzieś się zazębiają.

Jeśli w kosmosie istniała nieskończona liczba wszechświatów, to logicznie rzecz ujmując, w jednym z nich musiały rozgrywać się dokładnie takie wydarzenia, jak w arbitralnym świecie gier, w którym się obecnie znajdowaliśmy. Kiedy więc przemieszczaliśmy się do świata gier, tworzyliśmy w pewnym sensie okna do równoległego wszechświata śledzonego w symulacji.

Niektórzy twierdzili, że jeśli świadomy obserwator nie potrafił dostrzec różnicy, można było mówić o ekwiwalencji bytu. Zatem pytanie dnia brzmiało: czy tworzymy tylko symulację światów, czy raczej przekraczamy horyzont zdarzeń naszego własnego wszechświata, otwierając portale do tych równoległych?

Percepcja jest rzeczywistością. Czy w takim razie rzeczywistość jest ekwiwalentem percepcji? Śliska sprawa, na moje oko, więc pytanie, czy ten świat jest realny, czy nie, nie zaprzętało mi specjalnie głowy tak, jak na początku.

Pochyliłem się i poklepałem konia po karku. Pogłaskałem go, kiedy zarzucił łbem, żeby na mnie spojrzeć. Wiedział, że dziś poleje się krew. Chwyciłem siodło i wsunąwszy stopę w strzemię, wróciłem do pytania Martina:

– Więc o co ci dokładnie chodzi? Że to wszystko jest niemożliwe?

Wiedziałem, że nie da się wygrać tej bitwy bez ukojenia jego wątpliwości. Patrząc na niego, wspiąłem się na konia.

– Nie jestem idiotą, wiem wszystko o nieskończonej liczbie alternatywnych banieczek wszechświatów, z których wziął się ten, bo wszystkie biorą się jeden z drugiego – odparł Martin. – Ale nadal nie uzyskałem odpowiedzi na nurtujące mnie pytanie.

Usiadłem wygodniej i pojechaliśmy. Mongolskie siodło pozwalało zwierzęciu na swobodny cwał, a jeźdźcowi na zajmowanie się innymi sprawami. Przypominało bardziej platformę, a nie siodło – platformę do walki. Ci goście wyprzedzili swoje czasy. Obróciłem głowę, żeby sprawdzić kołczan ze

strzałami.

– Które brzmi?

– Dlaczego coś, a nie nic?

Zaczynałem tracić cierpliwość, jak to często bywało wobec Martina. Dlaczego ludzie mają ten boski otwór w głowach, który trzeba czymś wypełnić, kiedy umysł chwyta się rzeczy bezużytecznych? Bóg nie był częścią mojego życia – już nie.

– Co się dzieje, nawróciłeś się na religię czy co? – zapytałem, obserwując kątem oka, jak mongolscy wojownicy modlą się do swoich szamańskich bóstw. Przejeżdżaliśmy właśnie przez obozowisko jurty.

Spowijał nas dym unoszący się nad ogniskami, wszędzie wyczuwało się oczekiwanie na zbliżający się rozlew krwi. Uniosłem do góry pięść w geście triumfującej potęgi, na pożytek tych, którzy się w nas wpatrywali, lecz poczułem nagłą złość.

– Wiesz, że wiara w Boga to idiotyzm?

Martin skurczył się w sobie, słysząc tak surową krytykę.

– Co? Tylko dlatego, że sam nie wierzysz, myślisz, że wszyscy inni są idiotami? Mama jest idiotką, bo wstąpiła do eleuteryjnych chrześcijan? Sid też do nich należy. Masz go za idiotę?

To nie była jego wina.

– Nie o to chodzi. Sid jest inny. I nie wciągaj do tego mamy...

Nasza matka coraz bardziej pogrążała się w religii, mimo że technologia rozwijała się w coraz szybszym tempie. Sekta chrześcijan eleuteryjnych zdobywała niesłychaną liczbę wyznawców na Atopii. Występowali przeciwko libertariańskim ideałom, będącym fundamentem tego państwa-miasta, oraz przeciwko temu, co uznawali za ostateczny rozpad społeczeństwa. Sid należał do eleuteryjnych hackerów – nieco innej części sekty niż ta, w którą zaangażowała się mama.

Mówiąc szczerze, niewiele z tego rozumiałem.

– Ty wszystkich traktujesz jak idiotów – zrzędził Martin. – Ale tak czy inaczej, religia nie udziela żadnych odpowiedzi. Zastępuje jedno nieudacznictwo innym. – Wzruszył ramionami. – Jest dla tych, co się poddają, nie?

Kłusowaliśmy przez chwilę. Nie odpowiedziałem, pozwalając mu dokończyć

myśl i uspokajając własne.

– Myślę, że poddanie się wierze mogłoby przynieść pociechę, szczególnie jeśli wierzyłoby się w jakieś nadprzyrodzone zło – stwierdził refleksyjnie Martin, kiedy dojechaliśmy do krawędzi naszego obozowiska. – Bo tak naprawdę czemu to wszystko służy?

– Teraz gadasz tak, jakbyś mówił o sensie życia.

Cholera, diabli go nadali! Niestety potrzebowałem do gry jego głowy – jasnej, nieskażonej metafizyką. Chociaż ostatnio nie sprawdzał się w świecie gier. Teraz wiedziałem już dlaczego – miał sieczkę w głowie.

Sprawdziłem statystkę bodźców w różnych wymiarach – moi fani nie przepadali za bardzo za filozoficznymi pogawędkami.

Trzeba z tym skończyć i zabrać się za rozlew krwi i bebechy.

– Martin – zwróciłem się do niego z uśmiechem braterskiej miłości. – Podzielę się z tobą moim prywatnym światopoglądem na ten temat.

Podsakując w siodle, rozpocząłem przedstawienie.

– Po pierwsze, nie jesteś w stanie odpowiedzieć na pytanie o stworzenie. Musisz wydwojmyśleć je z głowy.

Kłusowaliśmy wzdłuż pierwszej linii gromadzących się wojowników, a ja pozwoliłem mu, żeby to sobie przyswoił. Martin wyjął jeden ze sztyletów i zaczął go oglądać.

– Po drugie, jedynym sensem życia jest ten, jaki mu nadasz, i nie wierz, jeśli ktoś powie ci, że jest inaczej.

Niepoczyszony Martin rozważał moje słowa, sprawdzając ostrze sztyletu. Najlepsze zostawiłem na koniec.

– I wreszcie – stwierdziłem uroczyście – nigdy nie pokonamy naszego egzystencjalnego strachu w świecie naszej tożsamości, i z tej przyczyny gramy tutaj.

– Że to niby taki eskapizm? – mruknął, marszcząc nos i pocierając sztyletem zarost.

– Nie chodzi tylko o ucieczkę, przyjacielu. To sięga znacznie głębiej. Tam daleko, w domu – oznajmiłem, wskazując słońce, jakbyśmy z niego spadli, co w pewnym sensie było prawdą – nie uzyskasz satysfakcjonującej odpowiedzi na pytanie o Stwórcę czy sens tego wszystkiego. Jeśli usiądziesz i zaczniesz się

nad tym zastanawiać, rozboli cię tylko głowa.

Wzruszył ramionami na zgodę.

– Natomiast tutaj, w światach gier, w tym świecie, istnieje zdefiniowany Stwórca. Ten, kto napisał tę grę, jest jej Stwórcą – tłumaczyłem. – A wszystko ma jakiś cel; po to zaprojektowano ten świat. Dziś, na przykład, skopiemy tyłek Tatarom. To jest zesłany przez Boga cel naszego dzisiejszego istnienia. Bezdyskusyjny fakt.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Ukrył sztylet za pazuchą.

– Ale najlepsze jest to, przyjacielu, że to nie tylko gra. Jeśli uwierzysz, naprawdę uwierzysz, wówczas to miejsce stanie się rzeczywiste, a my ujrzymy z bliska samego Boga i poznamy dokładnie Jego plany. – Uniosłem dłoń i pogroziłem Mu palcem. – Więc odpowiadając na twoje pierwsze pytanie, Martin, to jest rzeczywistość.

Martin uśmiechał się. Mnie też spodobała się moja przemowa, a statystyki publiczności zaczęły rosnać. Czułem podekscytowanie w całym ciele, opuszczały mnie wątpliwości. Dołączyli do nas Sid, Robert i Vicious. Staliśmy na czele gromadzących się wojsk, a ja kończyłem monolog.

– To nie jest tylko ucieczka, przyjaciele, to nie jest tylko gra czy rozrywka! To zaspokaja i przewycięża głęboki, egzystencjalny ból, od którego nie da się uciec w żaden inny sposób!

W oczach Martina narastało podniecenie.

– Martin! – zawołałem. – Czy jesteś ze mną?! – Uniosłem szablę i łuk ku niebu i porannemu słońcu. Gdzieś daleko stado ptaków zerwało się do lotu. – Czy skopiesz dziś ze mną parę egzystencjalnych tyłków?

– Jestem z tobą, Bobby! – odkrzyknął.

Rozległ się ryk otaczających nas wojowników i na ten znak pogalopowaliśmy ku dopraszającym się o kolejną potyczkę Tatarom.

– Dziś galopujemy w imię Boga!

Moja armia zagrzmiała na stepie, pędząc ku przeznaczeniu.

2

Kim znowu się stałem?

Czułem się dosyć zabawnie, bezładnie, jakby wprawiony w osłupienie.

Chichocząc, spojrzałem po sobie, próbując skupić rozbiegane myśli. Przyjąłem kształt gigantycznego, żółtego kleksa – chwila, gigantycznego, żółtego BOBA – o plastikowej skórze, pływającego bez celu wśród innych dryfujących kleksów. Kiedy oddychałem, moja kleksowatość powiększała się i kurczyła.

To było bardzo fajne, pomyślałem i zrobiłem to jeszcze raz.

Przez moje błony sączyło się odprężenie, a moja świadomość cofała się i rozbiegała na boki w czasie i przestrzeni.

Zderzył się ze mną inny kleks – mniejszy, granatowy – przerywając mi introspekcję. Przypadłem granatowemu kleksowi do gustu, bo zaczął się ze mną łączyć, byliśmy jak dwie krople oleju na powierzchni wody, jego granat zlewający się z moją żółtością tworzył zielone wybrzuszenie na moim boku.

Czułem smak świeżych jagód.

Podpływając do innych pobliskich kleksów, odkryłem, że z łatwością poruszam się w mazi, odpychając kleksy od siebie lub przyciągając je ku sobie – fantomalną telekinezą, a także że po drodze mogę je smakować. I w ten sposób rozpoczęła się zabawa polegająca na zbieraniu najsmaczniejszych kleksów, tworzących tumany apetycznych barw, które pokrywały cętkami moje ciało, kiedy obracałem się i wirowałem w tęczowym deszczu.

Po takim spienieniu przestałem cokolwiek widzieć, więc przerwałem zabawę, żeby wszystko wróciło do normy. Maleńkie kleksiki łaskotały mnie wszędzie, przepływając obok, łaskotały tak mocno, że aż drżałem.

Ale chwila, to nie były kleksy – to bąbelki.

Wszystko pachniało tak bardzo słono, że zdałem sobie sprawę, że znajduję się w oceanie.

Snopy słonecznego światła wpadały do wody z powietrznego świata powyżej i rozpląwały się w wodnistej czerni. Patrząc znów po sobie, poruszyłem nowo wyrosniętymi czułkami. W pełnym podekscytowania pośpiechu zacząłem więc się pełną parą ku masie jarzących się stworzeń tańczących w pobliżu głębokich ciemności.

Obok mnie pojawił się półprzezroczysty robak, więc przystanąłem, zamarłem pośród plamek opadającej wolno na dno materii organicznej, która wisiała bezgłośnie wokół nas niczym zatrzymana w kadrze chmura. Robak połknął jedną plamkę, potem kolejną, przyglądając mi się z ukosa.

Robiło się coraz ciekawiej.

– Bob? – odezwał się robak. – Hej, kolego! Czy to ty?

Tak, pomyślałem, mam na imię Bob.

– Taa, jestem Bob. To znaczy, taa, to ja – odpowiedziałem nieco oszołomiony.

– To ja, Sid. Gdzieś się podziewał? Tam na dole dopadło nas prawdziwe szaleństwo. Ostatnie starcie było cholernie intensywne. Sprawy wymknęły się trochę spod kontroli i wtedy pomyślałem „Szlag, gdzie jest Bobby?” Więc przyszedłem tu, żeby oczyścić umysł i trach, spotykam ciebie! Szaleństwo, co nie?

Zachichotałem, wracając myślami do „tu i teraz”. Tak jest. Przeszedłem z Sidem przez Holistyczną Hubę na drugą stronę lustra. Wpadliśmy do tego chłodnego świata, żeby oglądać test katapulty podczas trwającej przez kilka dni sensorgii.

Wspomnienia przesączały się do mojego amebowatego mózgu.

– Hej, Sid, co-się-dzieje? – To jedyne, co zdołałem powiedzieć.

– Niewiele, człowieku, niewiele, prawie nic – Sid zachichotał jak robak. – Hej, właśnie mają rozpocząć test katapulty. Chcesz iść?

– Wio!



Przeobraziliśmy test katapulty w sensorgię, która ciągle mocno w nas rezonowała, kiedy odpoczywaliśmy pod kapeluszem Holistycznej Huby.

Szatańską potęgę zbrojnej demonstracji zamieniliśmy na imprezie w kombinację wielozmysłową, na którą od tygodni czekali wszyscy psischłopcy i psis-dziewczyny, ale teraz zabawa dobiegła końca i pojawiło się poimprezowe przygnębienie. Większość naszych znajomych schodziła z wyżyn na niziny emoporno, ale ja wolałem naturalne rozwiązania.

– To była jazda! – rozjarzył się Sid-robak. Płynęliśmy przez bezwymiarową przestrzeń deprywacyjną, usiłując schłodzić nasze układy nerwowe.

Na krawędzi bezwymiarowej przestrzeni posiliłem się cukierkową posypką do ust, próbując odgadnąć, o czym chciałem pomyśleć. Nagle olśniło mnie, gdy zagubiona myśl powróciła. Mój bezcielesny umysł przyssał się do niej mocno, jak topielec do tratwy ratunkowej, moja świadomość wyciągnęła się na powierzchnię po łyk świeżego powietrza.

– No tak, hej, Sid, więc naprawdę myślisz, że powinienem z nim porozmawiać? Bo wiesz, mam wrażenie, że to bez różnicy.

– Absolutnie, przyjacielu, bo to bardziej dotyczy ciebie. Wiesz, o co chodzi?

– Chyba tak – odpowiedziałem bez przekonania.

Mój zachwyty otaczającym mnie światem tracił na sile, a czułki stawały się bezwładne. Rozejrzałem się, mrugając powiekami. Nadal widziałem zakrętasy i wzory wzrokowych halucynacji, ale głowa wróciła na swoje miejsce w jakiejś rzeczywistej przestrzeni.

Westchnąłem.

– Muszę wracać. Dziś są urodziny mojego brata i ojciec prosił, żebym przyszedł na rodzinne śniadanie.

– Przepraszam, zupełnie zapomniałem – powiedział cicho Sid-robak. Spojrzał ku światłu, zastanawiając się nad czymś. – Kocham cię, koleś, i może nie ja powinienem ci to mówić...

– Co?

Czy on zadaje mi jakieś pytanie? Ciągle byłem na haju.

– Może powinieneś trochę zwolnić. Jesteś naćpany przez cały czas. Rozumiem to, ale...

Roześmiałem się.

– Przyganiał kosmiczny kocioł garnkowi.

– Mówię tylko...

- Wiem, co mówisz - przyznałem po chwili. - I doceniam to. Ale komu w drogę...

Nadeszła pilna wiadomość od Roberta, mojej prokury.

- Tata narzeka już, że się spóźniam - dodałem, czytając wiadomość.

- Okay. W drogę.

Z tymi słowy ruszyliśmy do góry, ku światłu, zostawiając za sobą roztańczone stworzonka. Pamiętam czasy, kiedy to nie Sid, ale mój brat tańczył obok mnie pod Holistyczną Hubą w świetle jarzeniowych meduz. Wydawało się, że to było wczoraj.

3

Dorastanie na Atopii było w porządku i w ogóle, ale dla mnie psis nadawał się tylko do dwóch rzeczy: do gier i ćpania. Och, był jeszcze przydatny do surfowania, więc w sumie nadawał się do trzech rzeczy. A może nawet czterech, bo świetnie ukrywał to, że jestem „pod wpływem”.

Wciąż nabuzowany po wycieczce do Holistycznej Huby, kazałem Robertowi filtrować moje ruchy i mowę, żeby wyglądać zupełnie normalnie, a przynajmniej prawie normalnie. Robert przesadzał w takich sytuacjach i gdyby nie był moją prokurą, byłbym gotów przysiąc, że robi to celowo.

Kiedy pojawiłem się na słonecznym tarasie naszej rezydencji nad oceanem, Robert zgrabnie usadził mnie naprzeciw taty. Martin siedział po lewej, a mama po prawej stronie. Za mamą na krześle siedział gość w todze i podniszczonych, skórzanych sandałach.

Poranek był piękny, lekki wiatr przeciwdziałał upalnej pogodzie, jaką ostatnio mieliśmy. Mewy darły się niedaleko nad lasami alg, a fale podpływały spokojnie ku Atopii.

Kiedy usiadłem, tata przyjrzał mi się uważnie.

– Czy naprawdę nie stać cię na to, żeby zjawić się punktualnie na urodzinowym śniadaniu brata?

Urodziliśmy się parę minut jeden po drugim, ale ja przyszedłem na świat o 23:58, a mój brat już następnego dnia, więc technicznie rzecz biorąc, nasze urodziny przypadały w dwa różne dni. Poprzedniego dnia zniosłem jakoś swój urodzinowy obiad ze wszystkimi.

Martin zerknął na mnie przez stół. Wiedział, że imprezowałem przez całą noc. Uśmiechnąłem się do niego przepaszająco.

– Jedzenie już ci wystygło – dodał ojciec.

Robert filtrował moją mowę, więc kiedy na przewidywalną ojcowską zaczepkę odpowiedziałem „Tak jak twoje serce”, w rzeczywistości z moich ust

padły słowa:

– Tak, ojciec. Bardzo przepraszam, że się spóźniłem.

Jak było do przewidzenia, nikt nie uwierzył w szczerść tego wyznania, które natychmiast ściągnęło mi na głowę kłopoty.

– Znów jesteś naćpany?

Robert odwalił kawał dobrej roboty, odmalowując zdziwienie na mojej twarzy. Zachichotałem bezpiecznie w myślach.

– Nie, ojciec – odpowiedział Robert. Mówił moim głosem, a ja w tym czasie subkonwersowałem z Sidem, który wszystko podglądał.

– Nie chciałbyś zamienić się na rodzinę?

Sid parsknął w odpowiedzi.

Ojciec pochylił się ku mnie i zajrzał mi głęboko w oczy. W głębi ducha roześmiałem się na całe gardło, ale Robert to zamaskował.

– Tato, przestań, źle spałem ostatniej nocy, to wszystko.

Świetnie, Robert! To była prawda. Byłem na haju przez całą noc, nie usnąłem ani na sekundę. Ojciec przymknął oko, a potem pokręcił głową i wrócił do smarowania masłem tostu.

– A poza tym, Jimmy jeszcze się nawet nie pojawił – stwierdziłem. – Dlaczego uwziąłeś się na mnie?

– Jimmy ma na głowie ważne sprawy.

Nie musiał dodawać: „Inaczej niż niektórzy ludzie przy tym stole. Traktował Jimmy’ego lepiej od rodzonych synów. Powtarzał bez ustanku: „Jimmy to, Jimmy tamto”, a ja miałem tego powyżej uszu. Westchnąłem i pokręciłem gniewnie głową.

– Bob – zaczął swoje ojciec. – Masz już dwadzieścia jeden lat. Kiedy wybierzesz dla siebie jakiś kierunek? Musisz ruszyć dalej, synu. Powinieneś być z nami podczas testu ogniowego katapulty. Wszyscy byliśmy razem. A Jimmy siedział w sali dowodzenia wraz z komandorem Strongiem.

Znów to samo... Odpowiadając za mnie, Robert usunął wszystkie przekleństwa.

– Oglądałem katapultę – odpowiedział zgodnie z prawdą. – I robię coś ze swoim życiem. Mam najlepsze wielowymiarowe statystyki bodźców na całej Atopii.

To też była prawda.

Byłem profesjonalnym surferem i tysiące ludzi naraz płaciło spore pieniądze, żeby się do mnie podłączyć, kiedy pływałem. Pieniądze naprawdę były duże, a kiedy zaczną sprzedawać psis na całym świecie, zostanę milionerem.

Moje biznesowe ambicje nie zrobiły jednak wrażenia na ojcu.

– Stoisz przed wielką szansą, Bob. To, z czym mamy tutaj do czynienia, jest wydarzeniem dziejowym, a ty w nim uczestniczysz.

Na tym polega tutejszy problem, zawyrokowałem w myślach.

– Ja też jestem surferem na miarę dziejów – stwierdziłem.

Każdy rodzic powinien być z kogoś takiego dumny. Mój wyimaginowany ranking nie był co prawda do końca fair, bo pozostali surferzy nie mieli dostępu do psis – jeszcze nie mieli – ale nie można go było lekceważyć.

Ojciec wzruszył na to ramionami.

– Byłeś jednym z pierwszych dzieci z psis. Osiągałeś najlepsze wyniki w klasie w Akademii Domu Salomona. Tylko potem rzuciłeś naukę – gadał jak kaznodzieja, wymachując nożem do masła. – Nie tak dawno pytała mnie o ciebie Patricia Killiam, wspominała, jakie wrażenie robiły na niej twoje postępy w pierwszej klasie. Powiedziała, że nadal mógłbyś znaleźć miejsce w Domu Salomona.

Uniósł brwi, a ostrze noża skierowało się dokładnie w moją stronę. Mój ojciec był szefem PR całego projektu psis, więc nie tylko mnie wygłaszał kazania.

Jęknąłem i przewróciłem oczami, wyłączając filtr prokury. Dam sobie radę sam, pomyślałem, choć spełniłem bełkotliwie.

– Wiele sze wydarzyło odtamej pory, nie sządzisz?

Tata westchnął i wzniósł oczy ku niebu.

– Owszem. – Wymierzył nożem w przeciwną stronę stołu. – Spójrz, jak świetnie radzi sobie Martin.

Martin uśmiechnął się do mnie nieśmiało, nie chcąc się mieszać.

– Taa, szpójrzmy na Martina! – odparowałem, mrużąc oczy. – Martin i wszyscy jesteście idealnym obrazem rodzinnego szczęścia. I przeszań przywoływacz Jimmy’ego przez czały czas, to my jesteźmy twoimi prawdziwymi szynami!

Powiedziałem „prawdziwymi” z naciskiem, chcąc podkreślić sarkazm, ale nie byłem pewny, czy moja deklaracja, przekazywana pod wpływem narkotyków, dawała się odczytać. Co ja znowu brałem?

– Bob, kochanie, przestań się wściekać. Dziś są urodziny twojego brata, bądźmy, proszę, dla siebie mili – odezwała się drżącym głosem mama. – Wybaczenie jest kluczem w życiu. Wybacz sobie, synku.

Westchnąłem. Wyglądało na to, że znów odbędą się drużynowe zawody w zapasach. Siedzący za mamą gość w todze i sandałach pochylił się, jakby chciał coś dodać. Lecz zanim otworzył usta, pogroziłem mu palcem.

– Aniszłowa od ciebie! ‘kej?

Byłem cierpliwy jak każdy inny, ale osobisty Jezus mamy, snujący się za nią jak cień, żeby mogła z nim pogawędzić, działał mi na nerwy. Nie byłoby tak źle, gdyby ten jej Jezus siedział i odzywał się tylko zapytany, ale on zawsze musiał wtrącać swoje trzy grosze do każdej rozmowy i dzielić się mądrością.

– Mamo – zwróciłem się do niej, włączając z powrotem filtr prokury, żeby nie seplenić. – Co mam sobie wybaczyć?

– Nie wiem, synku. Sam musisz do tego dojść – odpowiedziała cicho, tak jak to tylko matki potrafią. – Wiem, że potrafisz, masz wyjątkowe talenty.

Teraz ojciec przewrócił oczami, kręcąc głową do nas trojga. Nie lubił, kiedy mówiła o mnie w taki sposób.

Nasza rodzina miała dosyć niezwykłą historię, w której rozbłyśki światła przeplatały się z najmroczniejszymi wydarzeniami. Mój prapradziadek ze strony matki był kimś w rodzaju szaleńca. Twierdził, że potrafi rozmawiać z umarłymi i przesuwac przedmioty siłami umysłu. Mój ojciec się go wstydził.

Mój dziadek – ojciec matki – też był niezłym ziółkiem, a tata prawie z nim nie rozmawiał. Szaleństwo w tej rodzinie objawiało się w co drugim pokoleniu. Ojciec czekał, aż zaczną słyszeć głosy, więc trudno go winić za to, że nie chciał, żebym ćpał.

– Na świecie jest wiele zła, synu – dodał ze swej strony Jezus.

Posłałem mu gniewne spojrzenie.

– Zła, za które sami jesteśmy odpowiedzialni – palnąłem. Czułem się pokonany.

– Owszem, zła, za które sami odpowiadamy.

To przerwało rozmowę na pewien czas. Oparłem się o krzesło i przetarłem oczy, walcząc z jednej strony z frustracją, a z drugiej nie wiedząc do końca, co się dzieje.

Może powinienem spróbować innego podejścia.

– Posłuchaj, to wszystko, co tu mamy, jest wspaniałe, ale technologia ogłupia, nie sądzisz? – Mój przyćmiony mózg usiłował wydostać się z pułapki, w którą sam się zapędził. Wszyscy czworo spojrzeli na mnie. – Jedno pokolenie wstecz Eskimosi nie znali nawet słowa „zgubić się”, a teraz bez GPS-ów nie wydostaliby się z zamarznętej reklamówki.

– Zdaje się, że teraz nazywani są Inuitami – wtrącił Martin.

Posłałem mu spojrzenie beznadziei.

– Nie o to chodzi. Tkwię w tym wszystkim po uszy i kocham was wszystkich – oznajmiłem. Naprawdę uważałem, że kocham większość z nich. – Obecnie żywię wobec psis uczucia miłości i niechęci, ale chcę go używać tak, jak mi się podoba. Okay, tato?

Tata wzruszył ramionami, poddając się.

– Jasne. Rób to, co uważasz za najlepsze. – Najwyraźniej nie uważał, że bym tak właśnie postępował.

– Pozwólcie mi robić swoje, tak jak chcę i kiedy chcę. – Chwyciłem croissanta i szklankę soku pomarańczowego. – Koniec gadania. Idę popływać. Macie coś przeciwko?

4

Zmysł dotyku jest najbardziej niedocenianym ze wszystkich zmysłów – przynajmniej tych, które posiada reszta świata. Kiedy w pierwotnej brei pojawiło się pierwsze, najprostsze życie, od zmysłu dotyku zależało uchronienie go przed niebezpieczeństwami. Dotyk to najstarszy z naszych zmysłów, który powstał przed wzrokiem, słuchem, smakiem i węchem.

Dotyk ma kluczowe znaczenie dla poczucia, że coś staje się częścią naszego ciała. Kiedy gra się w tenisa, nikt nie zastanawia się przy backhandzie, w jaki sposób rakietą trafi w piłkę. Rakietą staje się częścią nas samych. Narzędzia, których zadaniem było przedłużenie naszego ciała, stały się jego częścią – tak pracuje ludzki umysł.

Dotyczy to każdego używanego przez nas przedmiotu, a psis umożliwił tworzenie narzędzi z przepływu informacji w wielowszechświecie i włączanie ich do naszych ciał na bardzo podobnych zasadach.

„Przepływ informacji” jest według mnie właściwą metaforą. Surfowanie stało się moją obsesją w bardzo wczesnym wieku, a innowacja, jaką do niego wprowadziłem, polegała na przemapowaniu mojego zmysłu dotyku i dostosowaniu go do otaczającej mnie wody.

Siedząc na desce, kołysząc się w górę i w dół między falami, czułem ciśnienie, kształt i temperaturę powierzchni wody przez skórę. Tysiące neuronów połączonych z każdym mieszkem włosa wyczuwają nawet najmniejsze podpowierzchniowe wiry i prądy wodne.

Po blisko dwudziestu latach pełnej zaangażowania praktyki mój mózg przeformatował się neuroplastycznie i wydzielił znaczną część siebie dla mojego zmysłu wody, wskutek czego posiadałem obecnie najprecyzyjniejszy panel dotykowy ze wszystkich dzieci psis, czy – jeśli już o tym mowa – ze wszystkich ludzi na świecie. Siedząc na desce z zamkniętymi oczami, czułem poruszającą się i falującą wokół mnie wodę, która stanowiła zupełnie

naturalną, integralną część mojego ciała.

Stanowiłem jedność z wodą, a woda stanowiła jedność ze mną.

Ciągle lekko skacowany po poprzedniej nocy, otworzyłem oczy, by wyrwać się z zamyślenia. Z tej odległości Atopia prezentowała się rzeczywiście ładnie. Kątem oka dostrzegłem jakieś poruszenie na łądzie – z leśnego poszycia wypadł przepiękny jelen. Mierzyliśmy się wzrokiem przez chwilę, a potem jelen znikł.

Na powierzchni pływająca wyspa Atopia była porośnięta lasem, w którym roiło się od „dzikich” zwierząt. Ich układ nerwowy nasycony był, jak wszystko inne, sprytocytami, które unosiły się w powietrzu i wodzie wokół nas. Wszystko tutaj było częścią sieci psis, choć wątpiłem, by pędzące po syntetycznych sawannach zwierzęta, którymi podczas snu opiekowały się weterynaryjne boty, zdawały sobie sprawę, że żyją w wirtualnym świecie.

Do naszych czasów nie przetrwało zbyt wiele dzikich zwierząt. Paradoksem było to, że turyści ustawiali się w kolejkach, żeby przyjechać na całkiem sztuczną wyspę, zbudowaną, by udoskonalić rzeczywistość rozszerzoną, i cieszyli się odpryskiem starej rzeczywistości, pokrywając się drobinami sprytocytów.

Sprytocyty były chochlikowym pyłem, który przenikał wszystko na Atopii – systemem cząstek w nanoskali, które działały jako sieci sensoryczne i komunikacyjne. Wnikały do organizmów istot żywych, przyczepiały się do układu nerwowego i tworzyły podstawy psis.

Polisyntetyczny interfejs sensoryczny umożliwiał nie tylko przejście do wirtualnych światów, zapewniał także dzielenie się doświadczeniami, a nawet ciałami. Pewien filozof zadał kiedyś retoryczne pytanie, jak to jest być nietoperzem – chodziło mu o to, że nigdy się tego nie dowiemy. Tyle że tutaj, na Atopii, można było zamieszkać w ciele nietoperza, niedźwiedzia, ryby, rekina, drzewa, a nawet czasami swoim.

Promienie słońca wysuszały słoną wodę w kryształki na mojej skórze, która zaczynała mnie swędzić. Woda była chłodna, lecz moje psis dostosowało ją do właściwej temperatury i czułem się idealnie. Musiałem tylko uważać na rozleniwione mięśnie.

Mewy wirowały po niebie, a pośród pobliskich alg baraszkowały wydry,

trajkocząc o tym, o czym zazwyczaj trajkoczą wydry. Niektóre z nich pływały na plecach, zajadając śniadanko z ostryg, które porywały z zanurzonych w wodzie hodowlanych koszy.

Tu, na morzu, odczuwałem spokój, którego nie potrafiłem odnaleźć nigdzie indziej, głęboki medytacyjny spokój z dala od szaleństwa. Często wracałem tu myślą do Nancy, rozmyślałem o swoim bracie i o tym, jak wszystko pogmatwałem. Podniosłem wzrok – cirrusy układały się w pasy na błękitnej katedrze nieba.

Kolejny dzień w rajku.

Po drobnym zamieszaniu Vince Indigo, słynny założyciel Phuture News, zgodził się popływać ze mną tego ranka. W minionym roku został moim regularnym partnerem od surfowania, ale niedawno bez wyjaśnienia zniknął z horyzontu.

Przekonanie go, żeby wypłynął w morze, wymagało wielu zabiegów i nawet teraz nie wyglądał na specjalnie zadowolonego. Gapił się w pustkę i niemal nie odzywał, co nie było w jego stylu. Miałem zamiar do niego zawołać i zapytać, co go dręczy, ale mi przerwano.

Opuściłem wzrok i ujrzałem projekcję psis Martina, który siedział z przodu deski. Kołysaliśmy się razem na falach.

– Twoje zdrowie, kolego – zwróciłem się do niego wstydliwie. – Przepraszam za poranek. Wiem, że są twoje urodziny.

Martin zawsze pielęgnował swój starannie wystrzyżony i wygolony imidż, podążając pod prąd kaprysom mody, która w tych czasach stała się tak nieopisanie ohydna, że zmieniano ją niemal co godzinę. W jego jasnoniebieskich oczach odbijało się niebo, podziwiałem też krótką fryzurę na jeża, którą sobie zafundował. Wyglądał jak Buzz Aldrin, albo lepiej, Buzz Lightyear.

– Nie przejmuj się tym. Tata się irytuje, ale ja o to nie dbam.

– Dzięki, że nie nakablowałeś na mnie. Więc Inuici, co? Nie ma już Eskimosów na tym świecie?

– Według mnie nie ma, chyba.

Roześmialiśmy się razem. Było fajnie.

– Męczy mnie tą swoją nieustanną gadaniną o Jimmym – dodałem.

Martin kiwnął głową.

– Wiem, o co ci chodzi.

Kiedy dorastaliśmy, byłem praktycznie jedyną osobą, która chciała zaprzyjaźnić się z Jimmym. Był dziwnym chłopakiem i może dlatego czułem wobec niego jakąś bliskość. W obecnych czasach niemal tego żałowałem.

Kiedy rodzice Jimmy'ego porzucili go jako nastolatka, Patricia Killiam, jego matka chrzestna i szefowa Centrum Badawczego Domu Salomona, zapytała nas, czy go przyjmiemy. Żaden dobry uczynek, jak powiadają, nie może obejść się bez kary, a obecność Jimmy'ego przyspieszyła jedynie upadek naszej rodziny. W oczach ojca Jimmy stał się najjaśniejszą gwiazdą i zbawcą honoru domu. Trudno mi o to winić kogokolwiek, poza mną samym.

– Przypuszczam, że niełatwo jest znaleźć słowa zachęty dla syna, który jest ćpunem – roześmiałem się gorzko. – Tak czy inaczej, kogo to obchodzi. Robię to, co kocham.

– Więc nie możesz żądać więcej.

Uśmiechnąłem się, czując kojący dotyk wody płynącej przez moje ciało.

– Dziś będzie ostro, he? – zapytał Martin, zmieniając temat.

– Niewiarygodnie! – potwierdziłem.

Musiał sprawdzić wielkie beczki rozkładane na wodzie przy północnym półksiężycu. Układy sztormowe tworzyły dziś niebezpieczne fale – takie jakie lubiłem.

– Coś ciekawego?

Jeden z moich programów futurologicznych był nastawiony na zbliżające się fale, prognozował kształt i wielkość grzywacza, rozwój rury i dziesiątki innych czynników. Mogłem siedzieć tutaj na desce i wpatrywać się w horyzont, czekając na fale, ale dysponując specjalnym programem futurologicznym, mogłem je śledzić z odległości wielu mil i wybrać tę najlepszą, a potem dosiąść ją w odpowiedniej chwili.

– Parę niezłych, ale czekam na bestię.

Martin roześmiał się.

– Perfekcjonista, co?

– W niektórych sprawach, owszem.

– Taa, w niektórych sprawach. – Uśmiechnął się i odwrócił głowę.

– Bob! – rozległ się okrzyk poprzez wodę. Vince machał do nas. – Bob, muszę spadać!

– Tak wcześniej?

– Ta, muszę się za coś zabrać. Gorące Ciało nie daje mi spokoju.

Zastanawiałem się po raz kolejny, co go tak pili.

– Trudno mi wyobrazić sobie, żeby ktoś mówił ci, co masz robić – oznajmiłem. – Tak czy inaczej, daj mi znać, gdybyś zmienił zdanie.

Razem z Martinem pomachaliśmy na pożegnanie jego znikającej pierwotnej podmiotowości, prowadzonej do domu przez prokurę. Siedzieliśmy w milczeniu przez kilka minut, ciesząc się morzem, niebem i ciszą.

Martin spojrzał na mnie, a potem opuścił wzrok, jakby z czymś się zmagając.

– Musimy porozmawiać. Chcę zrozumieć, co się z tobą dzieje.

Odwróciłem głowę.

– Jasne, ja też chciałem z tobą porozmawiać...

Może nadeszła już pora, żeby wprowadzić goryla do pokoju?, zastanawiałem się, ale właśnie wtedy zaswędziały mnie metazmysły.

– Ale może za kilka minut?

Odłączając punkt widzenia mojej pierwotnej podmiotowości od ciała, obróciłem ją wokół Pacyfiku. Ten punkt widzenia dryfował tuż ponad wodą, śledząc potężną, podążającą w naszą stronę falę. Była olbrzymia, miała przynajmniej kilkadziesiąt stóp, nawet na otwartym morzu. Pryskała i pieniła się gniewnie, kiedy za nią podążałem, wnosząc się ku widocznej w pewnej odległości lśniącej plamce Atopii.

Wbiłem się mocno we własne ciało. Korzystając z fantomu, wystukałem wizualną nakładkę, żeby przekonać się, jak ten potwór będzie się łamać za kilka minut.

– To na nią czekałem! Bardzo chcę z tobą porozmawiać, ale czy mogę najpierw dopaść tę falę?

– Nie ma problemu – roześmiał się Martin. Wskazał na symulację. – O tak, ta będzie olbrzymia!

Fala osiągnie niemal czterdzieści stóp i stworzy rurę o kształcie migdała, która będzie przesuwając się wzdłuż północnego półksiężyca przez blisko dwie mile. System wyselekcjonował optymalny punkt natarcia, a ja obliczyłem

szybko możliwe drogi surfowania. Fala była duża i musiałem płynąć szybko, żeby uchwycić ją we właściwym momencie. Za moimi plecami wodę przecięła trójkątna płetwa rekina, którego kontrolowałem; chwyciłem ją i popłynąłem ślizgiem przez wodę.

– Świetnie – pochwalił mnie Martin, podziwiając podejście, które wybrałem w wiszącej między nami symulacji. Pruł po wodzie, a wiatr niemal nie targał mu włosów. – Więc masz zamiar utkwic w martwym punkcie, wrócić i schować się w beczce, a potem skończyć rakieta Czajkowskiego z podwójnym nawrotem?

– Taki mam plan – odpowiedziałem z uśmiechem. – Możesz cofnąć się w tło razem z pozostałymi, żebyśmy mógł rozpocząć przedstawienie?

Martin kiwnął głową i zniknął, a ja puściłem płetwę rekina i pochyliłem się na desce, wiosłując ku podejściu. W mojej chmurze społecznej aż huczało od wieści o zbliżającej się przejażdżce, a wielowymiarowe statystyki bodźców gromadziły masę ludzi, wchodzących we mnie, by cieszyć się tym, co ja.

To było zabawne uczucie, wiedzieć, że człowiek ma pod skórą tysiące ludzi. Oczywiście nie miałem z nimi żadnego fizycznego kontaktu, ale wyczuwałem to i miałem dreszcze.

Zacząłem przyspieszać, świat oddalił się, wyostrzyły mi się zmysły.

Dzieciaki psis miały system nerwowy nasączony sprytocytami od urodzenia, dzięki czemu szybko poznały sztuczkę „przyspieszania”, wykorzystując sprytocyty do wzmocnienia przekazu sygnałów nerwowych wzdłuż aksonów i neurytów. Potrafiliśmy dosłownie wzmocnić nasz układ nerwowy na zawołanie, ale tylko na krótki czas, bo wykorzystując energię ukrytą w sprytocytach, zaczynaliśmy przegrzewać sobie mózgi.

Przyspieszenie ciała to jedno, ale przyspieszenie umysłu to zupełnie inna sprawa. Należało to robić w kontrolowanych warunkach, żeby nie stracić spójności świadomości tam, gdzie mieści się umysł i gdzie wszystko się zbiega. Wymagało to – jak wszystko inne – czasu, cierpliwości oraz treningu tej umiejętności. Z przyspieszeniem było jak z surfowaniem – było najlepsze.

Z każdym oddechem koncentrowałem się na przyspieszeniu, czułem, że świat zwalnia, a ja poruszam się coraz szybciej. Zmieniłem pole widzenia na dookolne, zamknąłem oczy, żeby kora wzrokowa przywykła do widoku

obejmującego 360 stopni.

Zwiększyłem tempo wiosłowania i skoncentrowałem się na falach przepływających przez mój wodny zmysł, dostosowując szybkość do nadpływającego potwora. Zaczął szumieć i wyć za moimi plecami, miałem wrażenie, że się powiększa, sięgając mi pod skórę, wznosząc się ku mnie i we mnie.

Deska popłynęła do przodu, sunęła coraz szybciej i szybciej. Po ostatnim uderzeniu rękoma o wodę otworzyłem oczy, chwyciłem deskę i wskoczyłem na nią, pochylając się do przodu, żeby przyspieszyć. Fala pchała mnie dalej. Nie była za moimi plecami – ta fala była mną. Czułem, jak przepływa przez mój wodny zmysł, jakby moje ciało rozszerzało się i szczytowało, a fragmenty mnie pieniały się na górze, kiedy się załamywała.

Łamała się coraz mocniej, a deska pędziła w dół. Zwolniłem, znalazłszy się u podstawy fali, cofnąłem na rufę deski, wpadając niemal do wody i zatrzymując się. Uśmiechnąłem się, machając do tłumów na plaży. Gdy ludzie wpatrywali się w grzmiącego tuż za mną potwora, rozległo się głośne westchnięcie.

Chwilę przed katastrofą skoczyłem do przodu i wbiłem deskę z powrotem w falę, żeglując po niej do góry. Kiedy ryczała wokół północnego półksiężyca, zacząłem wykonywać zwroty na jej szczycie. Zbliżałem się do finału i zakończyłem akrobatycznym skrętem, który posłał mnie opadającego swobodnie w rozwartą, grzmiącą paszczę.

Tłumy na dalekiej plaży piszczwały z podniecenia, gdy moja sylwetka zniknęła.

W końcu, pochyliwszy się do przodu, wyłoniłem się na pełnym gazie z wiru, kończąc beczkę. Tuż przede mną otworzył się obracający się szaleńczo półprzezroczysty tunel, ukazujący w głębi światło dnia. Zsunąwszy się dalej w przód, poczułem ostateczne załamanie się fali, więc wyprostowałem się, przeszedłem na przód deski i obróciłem się.

W moich statystykach bodźców rozległa się głośna muzyka Czajkowskiego, a ja zamknąłem oczy i zacząłem dyrygować przed publicznością. Stałem palcami na krawędzi deski, zwieszając z niej pięty, kiedy potężny strumień wody z załamującej się rury cofnął mnie z ujścia beczki.

Otworzyłem oczy, przyciszyłem muzykę i obróciłem się, żeby

przespacerować się na rufę. W wielowszechświecie rozbrzmiał szalony aplauz tysięcy uczestników jazdy. Świat wrócił do normalności, kiedy wyłączyłem przyspieszenie, czując słabnący żar w moim ciele.

Westchnąłem uszczęśliwiony i zanurzyłem się w wodzie, by usiąść na desce okrakiem i znów płynąć łagodnie po falach.

Martin pojawił się na dziobie i zaklaskał.

– Niezły pokaz, kolego. To było coś!

– Dziękuję, dziękuję ci bardzo. – Wytarłem wodę z twarzy i spojrzałem na niego oraz wciąż klaszczących na plaży turystów.

Nie mogłem się oprzeć, żeby znów się nie popisać.

Woda wokół mnie zaczęła gęstnieć, ponieważ wezwałem z głębin dziesiątki milionów małego zooplanktonu. Trzymałem te zwierzątka w pobliżu podczas surfowania, jako sieć bezpieczeństwa, gdyby coś poszło nie tak.

Kilkoma starannie odmierzonymi kopniakami wzburzyłem morze i uniosłem się nad wodą, zmuszając miliony moich małych przyjaciół do kierunku dokładnie tam, gdzie stawiałem stopy. Wstałem i wykonałem kilka kroków po wodzie, a potem ukloniłem się wykwitnie tłumom.

To wywołało westchnienia i kolejne punkty od turystów – on chodzi po wodzie!

Zanurzyłem się w morzu, chwyciłem deskę i rozproszyłem moich małych pomocników. Martin kręcił z niedowierzaniem głową, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Trochę przesadziłeś – roześmiał się wymuszenie. Nie spędzamy ze sobą zbyt dużo czasu.

– Rozchmurz się, koleś – rzuciłem do niego. – Daj sobie trochę pożyć.

Natychmiast pożałowałem doboru słów, ale Martin niczego nie zauważył. Zaczesałem włosy do tyłu, chroniąc oczy przed solą.

– Chciałbyś pojechać ze mną, Sidem i Willym na camping? – zapytałem po chwili.

– Jestem zaproszony?

– Czy inaczej bym cię pytał?

– Byłoby świetnie – rozpromienił się Martin, ale jego uśmiech przygasł. – Czasem martwię się o ciebie.

Kiwnąłem głową.

– Ciągłe chcesz porozmawiać?

– Może później. – Odpowiednia chwila minęła, również dla niego. – Mam masę rzeczy do zrobienia. Uważaj na te nadciągające sztormy, mogą zakreść dziwne fale.

– Tak zrobię, obiecuję. – Zasalutowałem mu lekko. – Zobaczymy się później.

Martin odwzajemnił salut, puścił do mnie oko, a następnie wyłączył się i zniknął.

5

Jak, u licha, dałem się wciągnąć w uczestnictwo w bociankowym dla symulaka?

– Gratuluję, komandorze Strong! – rzuciłem entuzjastycznie, uśmiechając się i wyciągając do niego rękę.

Rick odwzajemnił uśmiech, potrząsnął moją dłońią i lekko przewrócił oczami.

– Dzięki, Bob. Jimmy wpadnie do nas?

– Wie pan więcej ode mnie, komandorze.

Zwracając się do jego żony, powiedziałem: – I oczywiście gratulacje dla cudownej matki nowego symulaka!

Uśmiechnąłem się i pochyliłem, żeby pocałować ją w policzek i przyjrzeć się z góry dziecku, które trzymała w ramionach.

– A ta młoda dama to...? – zapytał komandor Strong, patrząc na moją towarzyszkę.

– Och, ach... – wymamrotałem, odwracając się, żeby przedstawić świeży towar. – To Nicky.

Nicky przedstawiła się z wdziękiem Strongom, a ja pokiwałem głową z uśmiechem. Zostawiłem ich samych i udałem się do stoiska z alkoholem. Wątpię, by Nicky chciała się napić, ja natomiast miałem wielką ochotę na drinka.

„Bociankowe!” Dlaczego pozwalam, żeby przydarzały mi się takie rzeczy?

Ale każda impreza była dobrym powodem, żeby się nawalić. Z tą myślą wyjąłem z kieszeni tabletkę MDMA i wrzuciłem ją do ust. Wirtualne dragi nie były złe, ale nie zapewniały autentycznych doświadczeń, a lubiłem uchodzić za retro-ćpuna.

Kolejny wspaniały dzień w świecie Bobtopii.

Chwyciłem drinka i poszedłem usiąść na sofie. Czekaliśmy na ostatnią osobę, która miała odśpiewać urodzinową pieśń, co było jakimś pomylnym rytuałem

wymyślonym dla symulaków.

W zasadzie nie czekaliśmy, ponieważ każdy doskonale wiedział, gdzie w danym momencie znajduje się każda inna osoba. Tylko... co? Co do cholery robiliśmy?

Chyba jednak czekaliśmy, ale wszyscy dokładnie wiedzieli, ile jeszcze nam zejdzie. To spora różnica, nie? Może dotarliśmy już do końca oczekiwania i doświadczyliśmy teraz działania zupełnie nowego słowa oznaczającego oczekiwanie, skoro wiedzieliśmy, jak długo będzie to trwało?

Postanowiłem z miejsca, że od dziś słowo to będzie brzmiało f-czekanie. Natychmiast opublikowałem moje natchnienie w chmurze społecznej. Odwaliwszy na dziś kawał dobrej, twórczej roboty, zacząłem skanować Phuture News, przesuwanie się u dołu przestrzeni moich wyświetlaczy.

Coraz więcej celebrytów padnie trupem, zaczną zażywać tony narkotyków albo przestanie i pójdzie na odwyk.

Nuda.

Włączyłem fantomy i otworzyłem nakładkę, by przestudiować definicję czasownika „czekać”.

„Czekać: czasownik przechodni – przebywać w jakimś miejscu, spodziewając się kogoś lub czegoś”.

To, zdaje się, opisywało z grubsza wykonywaną przez nas czynność. Chyba nie jest nam potrzebne modne nowe słowo. Moja prokura rozszczepiała mi na odłamki już ponad cztery tysiące odmian idei oczekiwania z pozostałych istniejących ludzkich języków. Moje natchnienie było próżne, więc zamieściłem w chmurze post o śmierci f-czekania i przyglądałem się, jak mem eksploduje i umiera.

W tym samym czasie rozszczepiła się na odłamki szybko trendująca wiadomość, że Chińczycy mówią o wysłaniu misji załogowej na Marsa. Minęło trzydzieści lat, odkąd Chińczycy posłali ludzi na Księżyc – w domniemane urodziny Mao, w pewne wakacje – ale ich plan stałej bazy spalił na panewce, kiedy się okazało, że księżycowe zasoby wody są trudniejsze do wydobycia, niż to sobie wyobrażano. Ich nowy, wielki plan wydawał się absurdalny, nawet gdyby Mars – i połowa Układu Słonecznego – tętnił życiem.

Po co marnować czas i wysiłki na przesuwanie fizycznych ciał na duże

odległości, jeśli można przemieścić się wszędzie w jednej chwili za pomocą sieci sensorów? Wszystko, co wydarzało się w świecie zewnętrznym, wydawało nam się tu, na Atopii, zdumiewającym marnotrawstwem, nonsensem. Na szczęście wkrótce wszyscy zostaną pobłogosławieni tak, jak my.

Znudzony, wyłączyłem większość ekranów i otworzyłem kolejną nakładkę, by przyjrzeć się nowej grze rozpoczętej przez moich przyjaciół. Sid, Vicious, Martin i moja własna prokura Robert brali udział w apokaliptycznej bitwie z innego świata, ukryci w jaskini i otoczeni przez armię androidów oraz oflankowani przez gigantyczne pancerne robale. Było to o wiele zabawniejsze od tego, co sam robiłem, więc spróbowałem się rozszczępić się na odłamki do środka, ale Sid mnie zablokował. To mnie poirytowało, chociaż Sid miał rację. Musiałbym tam być *in corpore* albo wcale. Inaczej to nie byłoby fair wobec reszty. Tak czy inaczej, mogę sprawić sobie przejażdżkę w ciele Roberta, jeśli chciałbym tego doświadczyć.

Reszta moich ekranów pokazywała mnóstwo innych przekazów na żywo z wikiświata. The Bieb właśnie wygłaszał inauguracyjne orędzie jako pięćdziesiąty drugi prezydent Stanów Zjednoczonych i w ciekawym wejściu odśpiewał kilka pierwszych wersów przemówienia.

Przypuszczam, że „Bieb Bill” wygrał, bo pozwolił obcokrajowcom ubiegać się o najwyższe urzędy.

W innym strumieniu Manchester United zdobył bramkę w meczu Premier League, i powtarzali gola z udziałem nieszczęsnego bramkarza z LA, który rąbnął twarzą w słupek i złamał sobie nos w krwawej eksplozji bólu.

To, co transmitowali, było zaledwie bladym odbiciem bólu, który musiał odczuwać. Poza Atopią technologia sensoryczna ciągle była w powijakach, ale wkrótce po światowej premierze psis i to się zmieni.

Wyłączyłem wiadomości i skoncentrowałem się na bitwie, w której uczestniczyli chłopcy. Ktoś właśnie obciął Martinowi głowę. Westchnąłem. Martin był beznadziejny.

Sprawdziłem statystyki bodźców wielowymiarowych. Okazało się, że parę dziesiątków ludzi nadal jest zalogowanych w moim ciele. Chryste, nudziłem się jak jasna cholera, a mimo to istnieli tacy, którzy woleli być mną, niż robić

własne gówniane nudziarstwa.

Zerknąłem na biostatystyki: tętno miałem powyżej czterdziestu, nieco podwyższony kortyzol, niską insulinę i resztę systemów w pełnej gotowości. Te statystyki ulegną zmianie, kiedy tylko MDMA zrobi swoje. Dobrze wyglądasz, Bob, powiedziałem do siebie. Gdybyś miał niższe tętno, wpadłbyś w śpiączkę, a tak wszystko jest w porządku.

Po pokoju kręcił się tłum ludzi częstujących się drinkami, rozmawiających o niczym i robiących różne męczące rzeczy, które robią dorośli na „bociankowym”. Na jednej ścianie wisieli retronowocześni impresjoniści, którzy pasowali do eleganckiej, minimalistycznej dekoracji świata stworzonego na tę okazję. Po drugiej stronie znajdował się wychodzący na dwór taras, a za nim, kilka stopni niżej, obrośnięta drzewami plażowa promenada wschodniej Atopii.

Czekając, aż narkotyk trafi do krwiobiegu, postanowiłem, że trochę się podąsam, otworzyłem więc Króliczki i posłałem subprokurę po kolejnego drinka. W przestrzeni przede mną pojawiły się niewinne małe zwierzątka, które wyszły z podziemnych norek i wachały ziemię w poszukiwaniu jedzenia.

Wymierzyłem palcem w jedno z nich; jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki z palca wystrzeliła ogniowa kula i pomknęła ku bezradnemu stworzonku. Uniosło zdziwione łebek, a potem pisnęło, nim kula ognia zamieniła je w kupkę popiołu. Pozostałe króliczki ukryły się ze strachu w norkach, a potem powoli wykicały z nich, by obwąchać dawnego towarzysza.

Zmrużyłem oczy, wybierając następną ofiarę.

– Bob, co ty robisz? – nadszedł subtekst od Nicky. – Czy nie możemy być bardziej towarzyscy?

Jęknąłem i wyłączyłem Króliczki. Szczęściarze – nie miały pojęcia, jak blisko czekał na nich bilet w jedną stronę.

Subprokura wróciła z moim drinkiem, podziękowałem. Wyłączyłem subsystemy kinetyczno-kolizyjne i zwlokłem się z sofy. Wstałem i celowo przeszedłem przez jednego z mniej ważnych gości – korpulentnego, łysiejącego człowieczka, który zrobił minę wstrząśniętego.

Sam się o to prosił, jeśli nie stać go na lepszą projekcję. Ktoś mu powinien

powiedzieć, że może wyglądać, jak mu się żywnie podoba.

Moje bezczelne naruszenie etykiety wywołało kilka uniesień brwi. Na przyjęciu panował taki tłok, że postanowiłem posunąć swoje antyspołeczne zachowania jeszcze dalej i wyłączyłem moje psis wobec każdego. Luksusowe otoczenie projekcji metaświata zniknęło natychmiast, przeszedłem w tryb tożsamości, a wokół mnie pojawiły się pozbawione wszelkich ozdób ściany niewielkiego prostokątnego pokoiku.

Tak było lepiej. Upiłem łyk drinka i poczułem się odświeżony. Moje zmysły nawiązywały kontakt ze światem, który miał kolorowy połysk. *Z drugiej strony ecstazy mogła już zadziałać.* Tych kilka osób, które pozostały w pokoiku, stało w rogu wokół Nicky lub rozmawiało z Cindy Strong, trzymającą w ramionach pustkę.

Nicky zerknęła na mnie i spiorunowała mnie wzrokiem.

Wyobraziłem sobie, że rzuca we mnie nożami, przybija mnie bezradnego i broczącego krwią do ściany, a potem miążdży falą uderzeniową rozczarowania w rozprysku towarzyskich zakłóceń. Gwałtowność tego obrazu zmusiła mnie do włączenia na powrót psis, a moje zmysły znów wypełnił harmider przyjęcia. Na szczęście to, co czułem wcześniej, było wywołane przez MDMA, więc generalnie byłem szczęśliwszy pod każdym względem.

Tyle tylko, że Nicky była już bardzo wkurwiona. Chwyciła mnie za ramię i zaciągnęła za róg, do korytarza, gdzie mogliśmy być sami. Tak jakby sami – moje wielowymiarowe statystyki bodźców natychmiast podskoczyły, kiedy w chmurze zaczęto wyczuwać mój nastrój i nieuniknioną kłótnię.

– Myślałam, że chciałeś tu przyjść, sam tak mówiłeś! Przynosisz mi wstyd! Mogę cię o coś zapytać? Czy znów jesteś nawalony? I czy mógłbyś na chwilę wyłączyć te popierdolone statystyki?

– To już dwa pytania. – Wzruszyłem ramionami. – Na każde z nich odpowiedź brzmi „nie”. Te statystyki, maleńka, to moja praca, mój chleb powszedni, więc czy ci się to podoba, czy nie, nie mogę ich wyłączyć. – Spróbowałem uśmiechnąć się do niej triumfująco.

Wpatrywała się we mnie w milczeniu.

– Okay, tak, jestem troszeczkę nawalony – przyznałem.

Przewróciła oczyma.

- Jak możesz nazywać te głupie statystyki pracą? A ta historia z twoim bratem...

Za pomocą ukrytego fantomu zamówiłem skórkę Smoka, kiedy odwróciła głowę.

- Poznaliśmy się dzięki tym statystykom. Nie lekceważ ich i nie mieszaj do tego mojego brata! - Zmrużywszy oczy, dodałem: - Ja przynajmniej pracuję.

Zirytowała mnie, więc celowo uderzyłem w jej czuły punkt. To ją otrzeźwi. Nie lubiła, kiedy się jej przypominało, że jest ukochaną córeczką tatusia.

- Bob, nie robisz nic innego, tylko grasz całymi dniami albo symulujesz wakacje dla bandy metaperwertów - warknęła głośniej.

Skórka Smoka była już na swoim miejscu. Nicky piorunowała mnie wzrokiem, a jej oblicze i tułów przekształcały się na moim wyświetlaczu w komiksową, nieco przerażającą postać.

- Ja przynajmniej zarabiam na życie - stwierdziłem.

I właśnie w tym momencie nie zdołałem powstrzymać strasznego ziewnięcia tuż przed jej twarzą. To naprawdę ją oburzyło. Co ja jeszcze wziąłem? To nie mogła być ecstazy - po niej zazwyczaj nie ziewam.

Chwila, czy nie pokusiłem się przypadkiem wcześniej na jakieś grzybki? Tak, to musiały być one. Albo kwas? Cukiereczki albo znaczki. Zmarszczyłem brwi, usiłując sobie przypomnieć.

- Pozwól mi SKOŃCZYĆ! - rzuciła, ledwo panując nad sobą.

Skórka Smoka sprawdzała się idealnie. Nicky miała wyłupiaste oczy i wydłużoną szyję, na której pojawiły się trójkątne wypustki. Cała skóra pokryła się łuską.

- Jedynym powodem, dla którego zarabiasz na tych głupich statystykach, jest to, że pozwalam ci na seks w chmurze. Klnę się na Boga, że nie wiem, co ja sobie myślałam...

Cofnąłem się trochę od Smoka, ale nie mogłem nie prowokować jej dalej.

- No tak, odniosłem sukces tylko dzięki bajecznej Nicky.

Ja cię kręcę! Skórka Smoka była zdumiewająco przerażająca po dragach. Pokręciłem głową i zacząłem się śmiać.

- PRZESTAŃ mi przerywać! - wrzasnęła.

Zawsze miała niezły temperament. Wybałuszyła oczy, które wyglądały teraz

jak melony z wąskimi kocimi źrenicami, a jej głowa kiwała się z boku na bok na długiej szyi, która wyrastała z jej bluzki; tam, gdzie kiedyś miała nos, pojawił się wielki gadzi pysk z szarymi pryszczami.

Kły wyglądały groźnie.

Z nozdrzy sączył się dym.

Pluła ognistymi kulami.

Skuliłem się, chichocząc.

– Wrzuciłeś na mnie tę cholerną skórę Smoka? Jezu, Bob!

Po tych słowach pokazała mi ogon – dosłownie – i przemaszerowała gniewnie obok, wychodząc z przyjęcia. Na dywanie zostały po niej wypalone ślady.

– Nieźle.

Sid oglądał w chmurze naszą serię wypadków, a teraz stał w korytarzu, opierając się o ścianę. Zdaje się, że zginął już w bitwie, którą oglądałem wcześniej. Roześmiał się i pokręcił głową.

– Nie jestem pewny, czy to najlepszy sposób na utrzymanie związku.

– Ach, to nie była ta jedyna, a poza tym to ona zrobiła mi awanturę.

– Kobiety... zawsze im się wydaje, że mogą nas zmienić, hę?

– Chyba.

Przyglądaliśmy się sobie w milczeniu.

– Gotów na zakup jakiejś skórki? – zapytałem. Musiałem się stąd wydostać.

– Będziemy kupować skórki?

– Tak, przyjacielu, doszedłem do wniosku, że moja galeria skórek wymaga odświeżenia.

Smok, choć niezły, trochę się już zestarzał, a poza tym użycie tej skórki po Nicky byłoby świętokradztwem. Potrzebne mi było inne mityczne stworzenie do wyprowadzania z równowagi kolejnej kobiety w moim życiu. Miałem przeczucie, że Nicky nie wróci do mnie zbyt szybko.

Sid wzruszył ramionami.

– Jasne. Czemu nie?

Wysłałem Rickowi i Cindy szybkie przeprosiny za kłótnię i zrobiliśmy wypad. Usłyszałem pytanie Sida:

– O jaką skórkę ci chodzi?

Pojawiliśmy się w pomieszczeniu, które pod niemal każdym względem przypominało sklep obuwniczy z Londynu, gdzieś nieopodal Saville Row *circa* 1920. Wzdłuż ścian i korytarzy stały nieduże pudła, na ich pokrywach tańczyły obrazy i logo. Podpłynął do nas przymilny syntetyczny sprzedawca.

– Czym wam mogę służyć, chłopcy? – zapytał z uśmiechem.

– Nie wiem, nie jestem pewny. – Głowa chwiała mi się na szyi. – Masz jakieś nowości?

Zmierzył nas wzrokiem.

– Chcecie sami się przebierać czy przebierać innych?

– I tak, i tak, pokaż, co masz nowego – zdecydował Sid. Widząc, że mętnieją mi oczy, dorzucił: – I pospiesz się, proszę.

– Hmm – zadumała się ta sprzedająca rzecz i podparła dłonią podbródek. Drugą ręką omiotła ściany, a pudełeczka przemieszczały się z prawej na lewą i z dołu do góry z oszałamiającą szybkością.

– Mamy nowe designerskie skórki, w których każdy świetnie wygląda nago – zaczął.

Obaj z Sidem przewróciliśmy oczami.

– Macie rację. Nudne. A co powiecie na to... to bardziej subtelne... Mamy ładne inteligentne skórki, w których każdy wygląda na mądrzejszego i mądrzej się zachowuje.

– Dzięki, koleś – zmarszczyłem brwi. – Do czego zmierzasz?

– Absolutnie do niczego. Zatem co myślicie o tym? – Wskazał jakieś zwierzęta pędzące przez porośniętą trawą równinę. – Mamy wspaniałą nową linię Skórki Azji. Śnieżny Lampart to prawdziwy szal...

– Neeee, żadnych zwierząt.

– Więc w takim razie może coś sprytniejszego? Niektóre z naszych skórek odczytują profil kognitywny noszącego i dokonują subtelnych zmian w żonach i dziewczynach, aby stały się...

– Żadnych żon i dziewczyn, proszę – przerwał mu Sid.

Przymilny sprzedawca przyłożył palec do ust, symulując myślenie.

– W porządku, chłopcy, mam coś naprawdę wyjątkowego... To nasz ostatni top seller.

To wzbudziło moje zainteresowanie.

- Mów dalej, mój milutki przyjacielu.
- Nazywamy ją Szczęsne Czasy. To realistyczna skórka dokonująca subtelnych zmian podczas rozmów czy interakcji z ludźmi, których się zna. Gwarantuje szczęśliwsze, wolne od stresu życie.
- Brzmi nieźle – mruknął Sid. – I co ona robi?
- Dokonuje, jak wspomniałem, zmian w percepcji, dzięki którym noszący skórę odnosi wrażenie, że miewa się lepiej niż jego znajomi i najbliżsi. Efekt ten zmniejsza się wraz z oddalaniem się od wspomnianych osób.
- Sid uśmiechnął się.
- Ale jak to działa?
- Skórka w istocie niczego nie zmienia, daje tylko poczucie, że znajomy nie czuje się szczęśliwy w nowym związku tak, jak powinien, modyfikuje również przechwałki na temat zarabianych w nowej pracy pieniędzy – tłumaczył Przymilniak. – Drobne rzeczy, których istoty wcale się nie traci, choć zostaje ona zmodyfikowana, dzięki czemu noszący skórę czuje się lepiej od reszty.
- I to działa?
- Działa jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, czego dowiodły obszerne badania. Będziesz wiódł szczęśliwszy żywot, przyjacielu. Stuprocentowa gwarancja lub zwracamy pieniądze.
- Hej, Sid...? – zwróciłem się do Sida.
- Hę?
- Czy ja naprawdę dostaję mnóstwo kasy za surfowanie i chłanie całymi dniami, kiedy ty zasuwasz jako programista w Domu Salomona?
- Taa.
- Okay, spoko... Pomyślałem, że może noszę już te Szczęsne Czasy od wieków, tylko zapomniałem.
- Odpierdol się, Bob.

6

Blask maski mustanga '67 raził w oczy. Usiłowałem je przetrzeć, bo drażnił je pot spływający mi z czoła. Policja była tuż za zaporami, mniej niż dwieście stóp ode mnie, słyszałem, jak nerwowo ładują broń i rzucają krótkie przerywane komendy do krótkofalówek.

Nad asfaltem unosiły się fale upału, od którego topiły się podeszwy moich converse'ów. Rozgrzana guma zmieszana z wonią spalonego prochu, oraz strachu i odoru ciała. *Odoru ciała.*

Subtekst – Bob do Sida:

– Możesz skrócić trochę OC? Bo się tu uduszę! – Sid spojrzał na mnie przez lustrzane przeciwsłoneczne okulary i uśmiechnął się, opierając się mocniej plecami o bok auta. On też się pocił, ale wyglądał spoko loko luz i spontan – był w swoim żywiole. Wyszczrzył zęby i wyciągnął absurdalnie wielki pistolet, który ukrył jakoś z tyłu spodni.

– Co myślisz, powinniśmy dać nogę? – zapytałem bez tchu.

– Tak, koleżko, do jasnej cholery – brzmiała jego odpowiedź. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wyciągnął skądś drugą armatę. – Ukryję się na tylnym siedzeniu, a ty wciśniesz się za kierownicę i palimy gumę. Żeby się stąd wydostać, i tak musimy stawić czoło chłopakom.

– Okay, zrobmy to.

Za zaporami ustawionymi między zrujnowanymi domami a spalonymi wrakami samochodów mieli megafon, który teraz się odezwał:

– Wyjdźcie z rękami do góry, nie chcemy nikogo skrzywdzić!

Przewracając oczami, zwróciłem się do Sida, który wczłogiwał się jak kot na tylne siedzenie:

– Mogliby wymyślić coś lepszego.

Natychmiast zażądałem bardziej zgryźliwych tekstów, a potem schowałem swojego anemicznego .357 do kieszeni na piersi skórzanej kurtki. Sięgnąłem

po klamkę i otworzyłem z piskiem drzwi od strony pasażera, po czym wsunąłem się do środka, szorując piersią po dźwigni zmiany biegów, i wygiąłem się, by usiąść za kierownicą.

Kula odbiła się rykoszetem od betonu.

– Wstrzymać ogień! – rozległ się głos z megafonu. – Wyjdźcie, chłopcy, jest jeszcze pora, żeby załatwić to spokojnie.

– Bob – szepnął nagle Sid. – Jesteś gotów?

Obróciłem się, dotknąłem nogą pedałów i zgarbiłem się nad zapłonem.

– Masz to jak w banku. No to jazda!

Z narastającym podnieceniem przekręciłem zapłon, żeby odpalić pięćset koni pod maską. Wcisnąłem sprzęgło i wrzuciłem jedynkę, nie podnosząc głowy ponad tablicę rozdzielczą, puściłem sprzęgło i wcisnąłem gaz. Nieokiełznana moc silnika rzuciła nas do przodu, oderwaliśmy się od krawężnika w chmurze palącej się gумы i spalin.

Skręcałem gwałtownie, usiłując zapanować jakoś nad autem. Świszczały kule, czułem, jak trafiają w samochód, przebijają przednią szybę i rozbijają szkło, które prysnęło na mnie odłamkami. Sid leżał na plecach i kopał nogami w szyberdach.

Przyspieszaliśmy gwałtownie. Zaryzykowałem i wysunąłem głowę ponad tablicę rozdzielczą, zerkając przez rozbitą przednią szybę. Na środku ulicy przykucnął jakiś policjant i zarzucił sobie coś na ramię.

– Sid! Wyrzutnia rakiet!

– Prosto na nią! – odkrzyknął ponad rykiem silnika.

Wrzuciłem trójkę.

Sid stęknął i wykopał w końcu szyberdach, który obracając się, wyleciał wysoko w powietrze. Jednym płynnym ruchem wyprostował się na tylnym siedzeniu z uśmiechem szaleńca. Wyciągnął oba absurdalnie przerośnięte pistolety i zaczął strzelać. Wyjrzawszy znów nad tablicę, zobaczyłem, że głowa gliniarza z wyrzutnią rakiet eksploduje krwawą mgłą.

Reszta rzuciła się na ziemię.

Kule świszczały wściekle w tę i z powrotem, kiedy zbliżaliśmy się do zderzenia z zaporą. Sid obrócił się do tyłu i wbił plecami w krawędź po szyberdach, opierając się mocno na nogach. Położył się płasko na dachu,

celując pistoletami w przeciwne strony. Kiedy przebijaliśmy się przez zaporę, rozpoczął straszliwą salwę, która pozbawiła życia czterech policjantów LAPD w eksplozji krwi i bebeczków – patrzyli na nas jeszcze z zaskoczeniem z kryjówek.

Przy drugim miażdżącym zderzeniu rozwaliliśmy ostatni wóz patrolowy, ostro przy tym skręcając, żeby uniknąć czołówki. Sid jęknął z bólu, ale zdołał się wyprostować i obrócić, by podjąć czekające nas jeszcze wyzwanie.

Po obu stronach ulicy stał zaparkowany z tuzin policyjnych aut, a wszyscy gliniarze mierzyli prosto w nas. Wrzuciłem czwórkę i zsunąłem się na siedzeniu najniżej jak mogłem, sięgając po swoją anemiczną broń.

Poczułem w ustach metaliczny posmak, spojrzałem w dół: krwawiłem. Trafili mnie, ale szok wywołany walką tłumił ból, przynajmniej w tej chwili. W tym świecie gry nie wolno wyłączać receptorów bólu – trzeba sobie z tym radzić.

Będzie niezła masakra.

Nagle jeden z policyjnych wozów z naszej prawej strony eksplodował i wyleciał w powietrze. Przekoziołkował powoli do tyłu w ognistym łuku i spadł na ziemię. Kilku gliniarzy wybiegło z za pozostałych wozów, wrzeszczeli, paląc się i strzelając na oślep. Sid wybił ich, kiedy kolejny policyjny samochód wyleciał w powietrze, a funkcjonariusze dostali się pod ostrzał broni automatycznej.

Wszyscy odwrócili głowy, patrząc w górę ulicy.

Willy i Martin wystawali do połowy z wiśniowego GTO; ostrzeliwali gliniarzy. Vicious ładował coś, co wyglądało jak jego własna wyrzutnia rakiet. Machali do nas radośnie wolnymi rękoma. Wrzuciłem piątkę i usiadłem wyżej za kierownicą, pochyliłem się i wypchnąłem resztki przedniej szyby.

Teraz chodziło tylko o punkty za styl, a Sid spisywał się doskonale, strzelając z auta z obu rąk w przeciwne strony. Kasował policjantów jednego po drugim z geometryczną precyzją, gapiąc się w niebo i wyjąc jak obłąkany.

Nasze statystyki poszybowały w górę. Jako jedna z najlepszych drużyn na świecie w tej grze, mieliśmy ponad cztery miliony widzów, którzy chcieli obejrzeć scenę naszej ucieczki, a Sid robił, co mógł, by dać naszym fanom najprawdziwszy popis.

Kiedy mijaliśmy ostatni wóz patrolowy, wyciągnął granat, zębami wyrwał

zawleczkę i z zamachem rzucił odłamkowym przez otwarte okno po stronie kierowcy. Granat wybuchł z satysfakcjonującym hukiem, a od pobliskiej siatki ogrodzenia odbiło się kilka umundurowanych części ludzkiego ciała.

– Świetna robota, Sid! – pogratulowałem mu.

Martin, Vicious i Willy oderwali się od krawężnika i jechali tuż za nami w swoim GTO. Niski, gardłowy warkot obu maszyn tworzył przenikającą do szpiku kości symfonię. W tej chwili wzywano na odsiecz wszystkie eskadry o specjalnym uzbrojeniu, więc kiedy podejmiemy próbę opuszczenia miasta, będziemy mieli na karku setki gliniarzy.

Zapowiadało się wspaniałe przedstawienie.

– Trafili cię? – zapytał Sid, który zszedł już z dachu.

– Taa – odparłem, wkładając dłoń pod koszulę i krzywiąc się.

Odnalazłem palcem małą dziurkę z boku klatki piersiowej.

– Niezbyt groźnie. I na wylot, jak mi się wydaje. Możesz mnie zabandażować.

– Jasne – stęknął.

Zerknąłem na niego.

– Ciebie też trafili?

– Chyba odstrzelili mi ucho. – Przyłożył dłoń do krwawiącej rany z boku głowy i zwinął się z bólu. – Ale prawdziwy problem to strzał w bebechy.

– Groźne?

Wyglądało groźnie.

– Boli jak jasna cholera, ale będzie krwawiło powoli. Powinienem przeżyć jeszcze parę godzin.

A więc nie jest tak źle. Uśmiechnąłem się. Może mimo wszystko uda nam się uciec z Los Angeles.

Pędziliśmy ulicą, gdy nagle coś weszło na jezdnię przed nami.

Pieszy? Zmrużyłem oczy, próbując rozpoznać sylwetkę. *W każdym razie nie gliniarz.*

Był to ktoś ubrany na zielono, zgarbiony. Za nim pojawiły się dziesiątki takich samych istot, które zablokowały drogę. Po obu stronach ulicy stały zaparkowane auta, więc nie mogłem skręcić, a za naszymi plecami narastał jęk syren. Ze wszystkich stron mrugały policyjne światła. Przed nami, prosto na naszej drodze, pojawiła się horda zielonych ludzików.

Co za cholera?!

Wcisnąłem hamulec i wpadliśmy w poślizg. Zatrzymaliśmy się z piskiem opon, kasując przy tym dwóch pierwszych zielonych. GTO wyhamował z poślizgiem za nami. Wściekły, otworzyłem drzwi kierowcy i z bronią w ręku stanąłem do konfrontacji.

Sid, krzywiąc się, wystawił tułów przez szyberdach, celując z obu armat w sam środek zbiegowiska.

Podszedł do mnie niski, korpulentny, zielony człowieczek ze spiczastymi uszami i szerokim czołem, na ramionach miał spiczaste epolety, a w ręku trzymał olbrzymi topór.

– Co ty wyprawiasz? – zapytałem go.

Zauważyłem, że towarzyszyły mu wampiry.

– Jesteśmy przeciwko dyskryminacji ludzi z Bangladeszu.

– Co? – I wtedy mnie oświeciło. – Sid! – wrzasnąłem. – Czy ustawiłeś autoryzowanie loginem do tego świata, kiedy go tworzyłeś?

Cisza. Jeśli nie liczyć coraz głośniejszego jęku zbliżających się syren.

– Sid?! – zapytałem ponownie, odwracając się ku niemu.

– O, kurwa – odpowiedział, krzywiąc się z bólu. Spojrzał na krew wyciekającą z rany w brzuchu. – Zapomniałem.

Z rozpaczą walnął dwiema armatami o dach samochodu. Ci zieloni byli bez wątplenia komentującymi trollami.

Bez autoryzacji loginem ludzie mogli anonimowo podłączać się do tego świata, co samo w sobie nie jest niczym złym, jeśli chce się tylko oglądać, tyle tylko, że anonimowość wydobywa z człowieka to, co najgorsze.

Przy tak masowej publiczności, która towarzyszyła nam w tej grze z anonimowym loginem, przyciągaliśmy całe hordy komentujących trolli. Setki spośród nich zablokowały teraz ulicę. Wykorzystywali okazję, by przedstawić swoje zdanie, bez względu na to, czy miało ono coś wspólnego z grą, czy też nie.

– Wybacz, koleś – ciągnął Sid, machając bronią. – Byłem bardzo zajęty. Mama była w domu i kazałem stworzyć ten świat odłamkowi...

– Nie przejmuj się. – Może uda mi się jakoś z nimi dogadać. – Koleś – zwróciłem się do szefa trolli – jesteśmy w Los Angeles w roku 1988. Chcemy

prysnąć z miasta. W roku 1988 nawet w Los Angeles nie było trolli... ani wampirów. – Po bliższym przyjrzeniu się stwierdziłem, że zielonym towarzyszą wampiry z forów. Mogą się przydać. – Okay, wampiry może były... Ale chłopaki, proszę...

Moje statystyki bodźców spadały na łeb, na szyję, podobnie jak statystyki publiczności gry. Muszę zrobić coś zabawnego i to szybko. Naczelnny, komentujący troll stał tuż przede mną i cuchnął, i miał jeszcze kurewsko ohydne, tłuste pryszcze na gębie.

– Mistrzu – warknął do mnie.

Przynajmniej nie wychodzi z roli i nie jest totalnym dupkiem. Może jest jeszcze jakaś szansa.

– Mistrzu, jest nam bardzo przykro, ale to jest otwarty świat gry i mamy prawo wyrażać tu nasze zdanie.

Kiwnąłem głową.

– Fakt, to jest otwarty świat gry, ale tylko dla tych, co chcą dać się przelecieć i zarobić na tym trochę kasy – tłumaczyłem śpiewnie, uśmiechając się przy tym, by pokazać dwie złote koronki na jedynekach. Jednym palcem zsalutowałem przy piersi, tak jak to robią w West Side. – Jeśli chcesz wstąpić do Bloodsów albo do Cripsów, to spoko, ale nie bądź dziwką, ziomal, i nie psuj nam gry.

Troll zmarszczył brwi. Wyglądało to ohydnie.

– A kim ty jesteś, żeby mi mówić, co mam robić?

– Powiem ci, kim jestem, brachu – warknąłem, przystawiając mu mój .357 do czoła i pociągając za spust.

Co dziwne, wbrew moim zamierzeniom mózg nie wyleciał mu przez potylicę. Kula odbiła się rykoszetem od jego grubej czaszki, odrywając od niej tylko kawałek owłosionej skóry i puszczając kolesiovi trochę oleistej krwi. Nigdy wcześniej nie próbowałem strzelić trollowi w łeb moim .357 z najbliższej odległości.

Kiedy się nad tym zastanawiałem, moje lewe przedramię eksplodowało bólem. Stojący obok kumpel trolla machnął toporem, żeby obciąć mi lewą dłoń, którą właśnie podnosiłem do góry, żeby pokazać Naczelnemu Trollowi środkowy palec.

Krew trysnęła z nadgarstka, a ja szybko cofnąłem się od groźnej hordy, strzelając na oślep z pistoletu, który wciąż trzymałem w prawej ręce. Sid osłaniał mój odwrót, zdejmując nacierające trolle i wampiry. Były twardymi sukinsynami i nie przeżylibyśmy tej konfrontacji, gdyby nie zapora ogniowa Viciousa i Willy'ego, którzy wsparli nas, kiedy uciekaliśmy.

Ukryliśmy się bez tchu za GTO. Zdarłem z siebie podkoszulek, walnąłem okaleczonym kikutem o nogę i próbowałem założyć opaskę uciskową pod pachą. Sid pochylił się, żeby mi pomóc, a Vicious i Willy nadal prowadzili ostrzał z M-16.

– Gdzie się podział Martin, do cholery? – wydyszałem.

Powinien obsługiwać wyrzutnię rakiet. To dałoby tym gnojom do myślenia.

Skulony Sid zajrzał do samochodu.

– Och, człowieku, Martin chyba umiera. – Zacisnął mi opaskę pod pachą.

Odwróciłem się, żeby sprawdzić. Martin wił się i jęczał na tylnym siedzeniu, cały we krwi.

– Cholerny dzieciak. – Znów odwróciłem się do Sida. – Ci goście byli o mile dalej za tonami sprzętu. W jaki sposób, do cholery, tak go załatwili?

Z całkowicie wyeliminowanym Martinem, ledwo żywym Sidem i ze mną bez ręki sytuacja zrobiła się o wiele bardziej skomplikowana.

– Do niczego nam się nie przydasz, wiesz o tym?! – wrzasnąłem do Martina.

Zaskomlał, wstrząsany bólem.

– Wybacz, Bob, nie chciałem...

– Taa, taa, zawsze jest ci przykro – mruknąłem na bezdechu.

Sid patrzył na mnie z dezaprobatą i kręcił głową.

– Koleś, nie powinieneś być taki okrutny dla niego przez cały czas. Porozmawiasz z nim?

Nie odpowiedziałem, ale kiwnąłem głową.

– Naprawdę? – nalegał Sid między seriami z automatów. – Obiecujesz?

– Tak, tak, obiecuję. Ale najpierw wydostańmy się stąd, okay?

Wyjrzałem zza GTO. Trolle zwierzały szeregi i nacierali, trzymając przed sobą rannych towarzyszy jako żywe tarcze. Byli szybcy.

Rozglądałem się za wyrzutnią rakiet, a Sid podniósł uzi z tylnego siedzenia i załadował magazynek. Popatrzyliśmy po sobie, bo znów zaczynało nam się to

podobać. Próbowałem bez powodzenia podnieść jedną ręką wyrzutnię z tylnego siedzenia, kiedy nagle z obu stron rozpoczął się potężny ostrzał.

LAPD w końcu się zjawili i rozpętało się piekło walki na trzy fronty. Wampiry wzbiły się w powietrze i pikowały z góry na bezradnych policjantów, którzy wrzeszczeli z niedowierzaniem.

Kilku odważniejszych gliniarzy strzelało do nas na chybił trafił, ale ich ogólny entuzjazm z rozprawiania się z członkami gangu znacznie opadł, kiedy paru z nich poćwiartował potwornie cuchnący pomiot demona, wymachujący ozdobionym ich czaszkami toporem. Sid i Willy posłali jeszcze kilka serii w trolle, ale w końcu ze śmiechem dali za wygraną.



Nie miałem zbyt wiele czasu – czułem, jak krew wypływa mi z ciała. Położywszy się na masce GTO, oparłem się o podziurawioną kulami przednią szybę, żeby się rozejrzeć. Martin umarł jakiś czas temu.

– To było całkiem niezłe, koleś! – przyznałem Naczelnemu Komentującemu Trollowi, częstując się od niego papierosem. Siedział ze mną na masce. Stracił spory kawałek czoła, który oderwała mu moja kula, spod skóry wyzierała biała kość, ale był w świetnym nastroju.

– Widownia tego świata gry kompletnie ześwirowała – zgodził się ze mną. – Są już tysiące naśladowców.

Kiedy wypowiedział te słowa, z krzaków wypadł policjant LAPD, rozchełstany i pokrwawiony, ale bez poważniejszych ran. Podbiegł do mnie.

– Matko Boska, pomóż mi, błagam, proszę... – skomlał, składając ręce jak do modlitwy.

Uniosłem brwi, wzruszyłem ramionami i oddałem peta mojemu nowemu kumplowi. Policjant wpatrywał się w nas i zaczął się cofać, potrząsając głową i wydając z siebie ciche, żałosne jęki. W tej samej chwili z krzaków wyskoczył troll olbrzym.

– A-ha! – ucieszył się nowy troll. – Tu cię mam!

Rzucił się na policjanta, który cofnął się o krok albo dwa, wyciągając przed

siebie ręce.

Troll rozpoczął metodyczne ćwiartowanie toporem. Musiałem przymknąć oko, bo pośród mrozących krew w żyłach krzyków pryskały na mnie i rozbryzgiwały się rozmaite organiczne płyny. Spojrzałem na Naczelnego Trolla, kręcąc głową.

Uśmiechnął się do mnie.

– Hej, Fred! Fred! – zawołał, unosząc krótkie zielone ramię.

Spływający posoką Fred podniósł głowę znad skomlącej ofiary.

– Taa?

– Daj se wreszcie spokój, dobra?

Fred zmarszczył brwi i wydał usta, a potem westchnął i rzucił:

– Wporzo.

Mamrocząc coś pod nosem, wbił ostrze topora w czaszkę policjanta. To zakończyło sprawę. Fred ukrył się.

Mącił mi się wzrok.

– Sid? Jesteś gotów?

Zgodnie z własną diagnozą, Sid powoli wykrwawiał się na śmierć, ale nie odniósł kolejnych ran. Siedział na stercie cuchnących trupów i przygadywał sobie trollicę obok naszego mustanga.

– Tak jest! – pomachał do mnie, podniósł pistolet i wsadził go sobie do ust.

– Gites.

Podniosłem mój .357, spojrzałem na Naczelnego Trolla i powiedziałem:

– Musimy to kiedyś powtórzyć.

Otworzyłem z uśmiechem usta i włożyłem w nie lufę pistoletu. Czując ostry posmak metalu i prochu, pociągnąłem za spust. Ostatnią rzeczą, jaką poczułem, było dziwne wrażenie eksplodującej z tyłu, gdzieś w przestrzeń, głowy. I nagle pływałem w czerni.

Umarłem.

Przynajmniej w tym wszechświecie.

To było zabawne. Mogliśmy teraz umierać setki, tysiące, a nawet miliony razy w rozszerzonych światach, przez które podróżowaliśmy, choć w świecie naszej tożsamości – rzeczywistym świecie – śmierć nadal pozostawała śmiercią. W tym jedynym miejscu spośród milionów nic się nie zmieniło

i może dlatego było tak uparcie ważne.

Przenikając między światami i ciałami, wymieniając się bodźcami z przyjaciółmi, pożyczając własne ciało innym ludziom i dając nim kierować prokurze, człowiek gotów byłby pomyśleć, że to bardzo skomplikowane, że nie da się stwierdzić, kim się jest, gdzie się przebywa i kiedy, i wreszcie, jak wrócić do *siebie*.

Fakt, to mogło być dezorientujące.

Dlatego w psis wbudowano na najgłębszym poziomie fundamentalny instrument, który nazywaliśmy czule Wujem Guzikiem – kiedy miało się dość i chciało się wrócić do własnego ciała, wystarczyło nacisnąć ten guzik. Należało jedynie pamiętać o jego istnieniu.

Płynąc w pozbawionej wymiarów czerni, wykonałem dobrze znany rytuał: spojrzałem tam, gdzie powinna być moja pierś, sięgnąłem tam, nacisnąłem guzik i – o, Boziu – poczułem, że spadam. Chwilę później truchtałem między drzewami nieopodal wschodniej zatoczki.

Słońce przeświecało przez korony drzew nad moją głową.

– Zabieram ciało na przebieżkę?

– Prosiłeś mnie o to, pamiętasz? – odpowiedział Robert, który był teraz tylko głosem w mojej głowie. – Czytałeś ostatnie ostrzeżenia przed sztormem?

– Nieee... – Wiedziałem, że mają sporo kłopotów, by zejść z drogi Huraganowi Newton, i wyglądało na to, że będziemy musieli zmagać się z obrzeżami sztormu, ale co mnie to obchodzi? Będę w świecie gier.

– Jest znacznie gorzej – tłumaczył Robert. – Lepiej nie zakopuj się za bardzo w świecie gier tego popołudnia i trzymaj się z daleka od farmaceutyków, na wypadek...

– Na wypadek czego?

Byłem zaskoczony. Robert niemal nigdy niczego mi nie nakazywał.

– Na wszelki wypadek.

Wzruszyłem ramionami. Jasne. Martwił się.

– Chcesz, żebym przekazał ci kontrolę nad ciałem? – zapytał, najwyraźniej usatysfakcjonowany.

– Nieee, jeśli zrobi się niebezpiecznie, zabierz nas do domu. Mam jeszcze jedną sesję gry z Martinem.

Czułem się niefajnie, że na niego krzyczałem, ale Martin taki właśnie był. I nic nie mógł na to poradzić.



Na resztę dnia wybraliśmy oldskulową grę i wróciliśmy do bitwy Mongołów. Później spotkaliśmy się wszyscy w barze tiki na plaży, żeby napić się piwa. Było już dobrze po zmroku i siedziało tam mnóstwo turystów.

Martin uwielbiał mongolskie światy bitewne. Był jeszcze podjarany walką, skakał po piasku i wył, naśladując ciosy karate Bruce'a Lee. Sid, Vicious, Robert i ja przyglądaliśmy się mu z rozbawieniem.

– Bob, to było niesamowite, ten twój unik, to jak zanurkowałeś. To było niemal nadludzkie!

Sid przemapował mój wodny zmysł dotyku, dostosowując go do mongolskich bitew, żebym czuł przez skórę nadlatujące strzały tak, jak wodne wiry. Nadlatujące pociski stawały się częścią mojego ciała, a kiedy przyspieszałem, mogłem robić uniki i lawirować z oszalamiającą prędkością, przebijając się z rykiem przez pole bitewne i ćwiartując tatarski pomiot.

– Ta, nadludzkie. To doskonały opis. – Byłem już pijany. – Mamy nadludzkie możliwości, jesteśmy w istocie supermenami. Przynajmniej do czasu, aż reszta ludzkości podłączy się do psis, a wtedy... – przerwałem, żeby napić się piwa – ...znów będziemy tylko ludźmi.

Sid uśmiechnął się. Pochylił się i szepnął mi do ucha:

– Porozmawiasz z nim, tak? Dla własnego dobra, rozumiesz?

Przewróciłem oczami, ale kiwnąłem głową.

– Nigdy się nie poddajesz, nie?

Fale rozbiły się głośno o brzeg, kiedy siedzieliśmy w barze; wśród nich pojawił się prawdziwy potwór, który wpadł z rykiem na plażę, o mało co nie rzucając lampionów wiszących w tiki. Odwróciliśmy się i spojrzeliśmy w czerń. Gdzieś tam wzbierają wielkie sztormy.

I właśnie wtedy aktywował się system kanałów alarmowych psis.

7

Szybując na krawędzi kosmosu, przyglądaliśmy się dwóm potężnym, łączącym się ze sobą huraganom, obracającym się złowrogo w trzech wymiarach poniżej. Tata poprosił nas, żebyśmy zebrali się jako rodzina, by wspólnie przyjrzeć się temu, co się dzieje. Sztormy zyskały na sile podczas minionego dnia i przekroczyły Kategorię 4. Ich nadejście mogło wbić i zmiotć Atopię o zachodnie wybrzeże Ameryki.

Wyspa dawała sobie radę, kiedy się wycofywaliśmy, ale zaczynało brakować jej miejsca. Prognozy futurologiczne nie były w stanie przewidzieć sposobu na obejście sztormów, zarządzono więc kompletną ewakuację powierzchni. Niezdobytej twierdzy Atopii groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Jimmy był oczywiście w samym środku przygotowań na najgorsze.

Wróciliśmy do naszej rodzinnej rezydencji, żeby się przyszykować, a ja wsunąłem się w swoje ciało. Po szybkiej inwentaryzacji dobytku, którą przeprowadziliśmy z Robertem, okazało się, że nie muszę zbyt wiele zabierać. Miałem trochę czasu do zabicia, więc wróciłem pamięcią do wczesnych inVerse'owych wspomnień o mojej rodzinie. Lubiłem zagłębiać w tamtą przeszłość w momentach napięcia i kryzysu.



Mrugałem oczami w słońcu, czułem wilgotny piasek, który przywarł do kreski między pośladkami. Nie miałem czasu zwracać na to uwagi, bo mój brat gonił mnie po plaży na pulchnych nóżkach. Właśnie skończyliśmy cztery lata, przekroczyłem wiek, w którym rodzice pozwolili Robertowi przejąć pełną kontrolę nad moim ciałem, choć na początku kiepsko mu to szło.

Choć mój brat i ja byliśmy bliźniakami, jakimś cudem on zawsze był gorszy

ode mnie.

Gonił mnie po plaży, piszcząc z podniecenia i wymachując jasnopomarańczową, plastikową łopatką, lecz zanim zdołał mnie klepnąć, stałem już w innym miejscu, niedaleko, znikalem i pojawiałem się kilka stóp dalej. Pohukiwał z radości zawsze, kiedy to robiłem, a ja pokazywałem mu język, stroiłem miny, wsadzałem kciuki do uszu i wymachiwałem szyderczo dłońmi. Z wesołym piskiem zmieniał kierunek i biegł ku nowemu miejscu.

Nie potrafiłem przestać się śmiać.

Mama z tatą siedzieli na plażowym kocu, tata obejmował mamę ramieniem, a ona, w wielkich przeciwsłonecznych okularach, śmiała się z nami. Śmiała się tak głośno, że niemal płakała, przytulając policzek do piersi taty, co dodawało mi animuszu, kiedy chcąc nie chcąc przemieszczałem się wokół plaży, przedrzeźniając młodszego o kilka minut braciszka.

Od lat nie widziałem śmiejącej się mamy. Taty również, jeśli już o tym mowa. Wyszedłem z inVerse'u i otarłem łzy z oczu.



InVersowanie, cofanie się i uwalnianie osobistego wszechświata z przechowywanych wspomnień zmysłowych, było niebezpiecznym zajęciem, jeśli na dobre zapuściło w człowieku korzenie. W szczęśliwych czasach nie miało większego znaczenia, bo w niczym nie przeszkadzało, ale kiedy nadciągał smutek czy strach, uciekanie do przeszłości – stawanie się osobą, którą było się kiedyś, szczęśliwą i beztroską – było uzależniające jak małe co.

Ale jeszcze gorsze było reVersowanie – nie tylko wracanie i przeżywanie przeszłości na nowo, ale tworzenie nowych rozszerzeń wikiświata od jakiegoś decydującego punktu i podejmowanie innych decyzji, by wyewoluował i żył od tego punktu całkiem nowy świat. Symulacja świata, który mógłby być, a nie tego, który był naprawdę.

Niektórzy wierzyli, że to nie są symulacje, ale portale do alternatywnych rzeczywistości wyrastających z naszej osi czasu. Okna prowadzące do życia, które mogłoby się wydarzyć i wydarzało się gdzieś indziej. Trudno się

oderwać od tych złudzeń, jeśli chodziło o coś lub o kogoś, za kim się rozpaczliwie tęskniło.

Wielu znanych mi ludzi spędzało więcej czasu na inVerse'owaniu lub reVerse'owaniu czy też na uprawianiu emo-porno ze szklanym wzrokiem, niż w terażniejszości i swoim własnym, rzeczywistym życiu. Doktor Granger mówił w „EmoShow”, że wracanie i ponowne przeżywanie przeszłości pomaga w naszym rozwoju emocjonalnym, że jest częścią procesu, który pozwala nam podejmować decyzje i odnajdywać szczęście.

Nie byłem tego taki pewny.

Ale to, co zrobiła moja rodzina, było jeszcze gorsze. W tamtym czasie, kiedy usiłowaliśmy uporać się z żałobą, a ja mierzyłem się z własnym bólem, wszystko to wydawało się jakoś rozpaczliwie sensowne. Szczerze mówiąc, to ja wpadłem na ten pomysł, którego żałuję teraz bardziej, niż jestem w stanie to dłużej znieść.

Kiedy myślałem o tym wszystkim, nadszedł wilgotny poranek. Siedziałem na krytym tarasie naszej wyspiarskiej rezydencji, przyglądając się olbrzymim falom nadciągającego sztormu – wzbierającym, wpadającym na siebie jak pijani marynarze. Mimo coraz większych fal w powietrzu panował dziwny spokój – przysłowiowa cisza przed wielkim przedstawieniem przyrody. Poszarpane, pędzące chmury rozpościerały się pod jaśniejącym złowrogo niebem.

Złożone dłonie ogrzewała mi parująca filiżanka kawy, gorącej i tak gęstej, że można by postawić w niej łyżeczkę. Kiedy przyglądałem się skłębionemu wodnemu tumultowi, mój umysł surfera usiłował narzucić porządek chaosowi, próbował odnaleźć wzorzec gwarantujący bezpieczeństwo.

Opuściłem swoje ciało i przeniosłem się do okolicznego wikiświata, do punktu oddalonego o pięćdziesiąt stóp od tarasu tuż przede mną; przyglądałem się sobie zapatrzonemu w fale. Robert napił się za mnie kawy i pomachał. A ja tylko patrzyłem.

Nasz dom na tle oceanu wyglądał mizernie z tego miejsca. Ciemne, przedziwne chmury mknęły szybko wzdłuż horyzontu, układając się jedna na drugiej w olbrzymią nadciągającą ścianę. Odwróciłem wzrok, by spojrzeć ku Atopii – pod toczącymi się chmurami wyglądała na niemą i małą.

Z tej perspektywy olbrzymie, wzbierające fale wznosiły się ku plaży, niemal ją przesłaniając, gdy rosły i łamały się w drodze ku wyspie. Zamiast zwykłych rytmicznych uderzeń łamały się w różnych punktach, pieniąc w oszołomieniu.

Fale wzbijały w górę potężne chmury piany, które wisiały nad plażą woalem białej, wodnej mgły. Kiedy patrzyłem na to wszystko, zerwał się ostry wiatr, który z każdą sekundą przybierał na sile, stawiając na baczność flagi na szczycie naszego domu.

Dotarły do nas sztormy.

Wróciłem do swojego ciała i zacząłem przeglądać listę spraw, które muszę zamknąć przed ewakuacją.

– Bobby, masz chwilkę? – zapytał Martin, zwracając się do mnie przez zamknięty kanał rodzinny.

Wyłączyłem inne kanały, nawet moje wielowymiarowe statystyki bodźców, i po raz pierwszy od dawna skupiłem się na tu i teraz. Zerknąłem jeszcze raz na listę, zanim mu odpowiedziałem:

– Jasne, spotkajmy się w moim pokoju.

Będę mógł przynajmniej poukładać swoje sprawy podczas rozmowy z Martinem. Przemierzyłem taras, zszedłem na niższe poziomy i otworzyłem drzwi do swojej sypialni. W środku było ciemno, bo zaciągnąłem kotary. Ostatnio nie byłem tu częstym gościem. Zalogowałem się do panelu sterującego pokoju, rozjaśniłem szklane ściany do przezroczystości i włączyłem wentylację, by wpuścić trochę świeżego powietrza. Zatęchły odór zamkniętego pomieszczenia ustąpił miejsca rześkiemu, oceanicznemu powietrzu. Usłyszałem pukanie.

– Wejść! – zawołałem.

Martin zmaterializował się obok sofy stojącej pod szklaną ścianą z widokiem na otwarty ocean. Opuścił wzrok i bawił się nogawką spodni, rzuciwszy się na sofę w kapturze zasłaniającym twarz.

– Co się dzieje, kolo?

– Przeglądałem manifest ewakuacyjny i, no cóż, nie ma mnie na nim. Usiłowałem skontaktować się z tatą, ale ignoruje mnie z jakiegoś powodu. Może tobie odpowie? Wiesz, co się dzieje?

Jego słowa zmroziły mi krew w żyłach. Oczywiście lista ewakuacyjna została

sporządzona przez SOA i nie była częścią projektu badawczego Domu Salomona. Manifesty ich personelu będą zupełnie inne. Tata musi być podzielony na dziesiątki odłamków w dziesiątkach miejsc, walcząc o przejęcie kontroli nad sytuacją PR i usiłując nadać pozytywny wymiar zagrożeniu Atopii przez dwa gigantyczne sztormy. Nie miał czasu na przyjrzenie się manifestom.

Wzruszałem ramionami.

– Nie mam pojęcia – skłamałem. – To jakieś urzędnicze przeoczenie. Kogo to obchodzi? Róbmy swoje, co?

Martin nawet się nie poruszył, nie odpowiedział słowem. Siedział i załamywał ręce, strzelając kostkami palców.

Miałem już tego dosyć.

Pękłem.

– Martin, słuchaj... – Myślałem o zrobieniu tego od dawna i pozwoliłem, by gniew dodał mi odwagi. – Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale...

– Co?

– Martin, słuchaj... – powtórzyłem.

Spojrzał na mnie.

– Wiesz, że nie żyjesz, prawda? Przynajmniej jakaś część ciebie musi o tym wiedzieć... – umilkłem, nie wiedząc, co powiedzieć dalej.

Zapadła cisza – niespokojna cisza – po której padła jego wściekła odpowiedź:

– Znów jesteś nawalony?

– Nie jestem nawalony – przerwałem, zastanawiając się, jak przez to przejść.
– Jestem wściekły, ale nie na ciebie. Nie wiem.

Jeśli mu tego teraz nie powiem, zapomni o tym. Na jego percepcję rzeczywistości i na jego wspomnienia oddziaływał poznawczy martwy punkt. Wyglądało to tak, jakby szedł przez pustynię, a parę kroków za nim leciał poduszkowiec, który zasypywał odciski jego stóp. Widział jedynie kilka kroków wstecz, a poza tym orientował się tylko najogólniej, gdzie się znajdował, czy bardziej dokładnie, kim był.

– Więc jestem trupem? Bardzo śmieszne, dupku. Jesteś porąbany. Przestań ćpać, bo dragi odbierają ci rozum. Powiedz tylko tacie, żeby dopisał mnie do listy ewakuacyjnej i spadam stąd.

Wstał, żeby wyjść.

– Zostań, Martin. To jest ważne. Nie wygłupiam się i nie jestem nawalony.

Uruchomiłem wszystkie fantomy, żeby zablokować mu drogę wyjścia do wielowszechświata, i jednocześnie włączyłem wokół nas lśniącą zasłonę bezpieczeństwa.

– Spójrz na siebie! To nawet nie jest wstrząs! Gdyby to mi ktoś powiedział, że nie żyję, roześmiałbym mu się prosto w twarz... A ty się bronisz.

– Nie jestem trupem, Bobby. Siedzę i rozmawiam z tobą. – Uśmiechnął się niepewnie. Nie mówił do mnie, lecz mnie prosił.

– Czy nie wydało ci się nigdy dziwne, że wszyscy mają tutaj prokury, a ty nie?

– Mam prokurę, Deana.

– Aha. A kiedy po raz ostatni byłeś w swoim fizycznym ciele?

– Nie wiem, jakiś czas temu – odparł, wzruszając ramionami i zadzierając głowę. – A pamiętasz, jak poszliśmy razem surfować i wpadłeś na to...

– To było siedem lat temu, Martin, siedem lat...

– I co z tego? Może byłem przez jakiś czas w oddaleniu, ale to niczego nie dowodzi. Znam mnóstwo ludzi, którzy prawie w ogóle nie wracają do swoich ciał. – Wbił wzrok w podłogę i ukrył dłonie w kieszeniach bluzy z kapturem, kołysząc się w przód i w tył.

Gniew i frustracja pożerały mnie tymczasem od środka. Czułem, że mam zaczerwienione policzki.

Musiałem zrzucić na kogoś winę.

– Jasna cholera, to przez ciebie on nie żyje, Martin! – ryknąłem na niego, bo wreszcie puściły mi hamulce. – Każdego dnia muszę gapić się na twoją roześmianą gębę i udawać dalej. Miałbym ochotę zetrzeć ci ten uśmiech z ryja, ale co to zmieni?

Wyrzucałem z siebie to wszystko, co od dawna skrywałem, słowa padały szybciej, niż mogłem nad nimi zapanować. Świat nabrał czerwonej barwy, bo krew pulsowała mi w żyłach, a mój wskaźnik ciśnienia krwi nie mieścił się na wykresie. Wzięłem głęboki oddech i odczekałem, aż ciśnienie spadnie, aż się uspokoję.

Niczego nie osiągnę krzykiem.

Martin milczał, był blady. Kiedy wysunął dłonie z kieszeni bluzy i podniósł je do góry, zauważyłem, że drżały.

– Coś z tobą jest nie tak.

Opanowałem się.

– Nie, to nie ze mną coś jest nie tak. Choć może i ze mną? Moim zdaniem coś jest nie tak z całym tym miejscem.

– Mówisz od rzeczy. I na co się wściekasz? – Rozpłakał się, siedząc na krawędzi sofy.

Powoli nabrałem powietrza w płuca.

– Martin, posłuchaj. Mój brat, Dean, zabił się jakieś sześć lat temu, popełnił samobójstwo, przedawkowując narkotyki. Nastąpiła śmierć mózgu, ale utrzymywali go w śpiączce farmakologicznej, w stanie wegetatywnym. Ty ciągle działałeś. Ty, jego prokura. Byłeś ciągle z nim połączony, twoja sieć oplatała najintymniej jego martwe ciało i przechowywała wszystkie jego wspomnienia. Kiedy odłączyliśmy go od maszyn i jego ciało umarło, przenieśliśmy cię całkowicie do sieci psis.

Głos mi się załamał, ale chciałem mówić dalej.

– Bardzo to przeżyliśmy. Śmierć Deana zrujnowała życie mamy. Taty także. Byłeś ty, ale jego nagle zabrakło. Mama spędzała z tobą całe dni, mówiąc, że to jej pomaga. Wszyscy zaczęliśmy spędzać z tobą czas, cofając się w inVerse'ie, który dzieliłeś z Deanem.

Martin posłał mi zdumione spojrzenie. Jego świat rozpadał się na kawałki, usiłował zrozumieć, o czym do niego mówię.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Jestem twoim bratem!

– Nie jesteś – odpowiedziałem ze smutkiem w głosie i pokręciłem głową. – Kazaliśmy doktorowi Grangerowi zainstalować poznawczy, martwy punkt w twoim systemie, żebyś nie widział tego, co z przodu i w środku, ale mógł rozglądać się dookoła. Któregoś dnia wyciągnęli z ciebie zawleczkę i uznałeś, że jesteś nim. Zostawiliśmy tylko martwy punkt, żeby kasował to, co nie pasowało.

– Bobby, Jezu, Bobby... – błagał Martin, a łzy spływały mu po policzkach.

Minął mi gniew, zwinąłem żagle. Przymknąłem oczy i wypuściłem powietrze, ponaciągałem kręgi szyjne z boku na bok, by po chwili spojrzeć na niego ponownie.

– W tamtym czasie nie dawałem sobie z tym rady, mama i tata też nie. Ty

byłeś sposobem na złagodzenie bólu, udawanie, że nic się nie stało. Wystarczyło zawiesić niedowierzanie i nasze własne martwe punkty przejmowały kontrolę, a ty stałeś się nim.

Widząc jego wykrzywioną bólem twarz, postanowiłem się przyznać.

– Mówiąc szczerze, to był mój pomysł. Od tego trzeba zacząć. Pomysł ten zaczął żyć własnym życiem; ty zaczęłaś żyć własnym życiem. Teraz Cognix wykorzystuje twoją... sytuację... jako kolejne zastosowanie psis. – przerwałem, by zaczerpnąć tchu. – Ludzie będą gotowi płacić majątek, by nigdy nie stracić najbliższych, ukochanych. A najgorsze, że wszystko to działa.

Martin otarł łzy wierzchem dłoni.

– To zabawne... Kiedy opowiedziałeś mi o tym, widzę wszystko jak na dłoni, wszystko pamiętam. Chyba zawsze o tym wiedziałem, ale kocham mamę i tatę tak bardzo... i ciebie też. – Otarł kolejne łzy. – Ale dlaczego mnie winisz? Dlaczego jesteś na mnie taki wściekły?

– Za odgrywanie roli mojego brata? – parsknąłem, ale natychmiast pożałowałem tych słów, widząc cierpienie w jego oczach. Zdeptałem ostatnie iskry gniewu. – Myślę, że Dean miał wrażenie, że ty, jego prokura, jesteś jego lepszą wersją, że bardziej podobasz się mamie i tacie, że ludzie byli bardziej zadowoleni, kiedy to ty odpowiadałeś na wiadomości, a nie on. Był wspaniałym gościem, ale miał własne problemy – powiedziałem ze smutnym uśmiechem. Dean był leniwy i nieodpowiedzialny, zdumiewający i zabawny. – Nie dawał sobie rady z nadążaniem za tym wszystkim.

– Za czym?

– Za eksperymentem psis! – rzuciłem gniewnie. – Za życiem w stu światach jednocześnie, byciem tu i byciem tam, nie wiadomo gdzie, i do tego z byciem kimś innym. Doszedł do wniosku, że czemu nie, lepiej się usunąć, a ty staniesz się jego lepszą wersją bez najmniejszego wysiłku. W jego porąbanej głowie nie mieściło się to, że umrze, postanowił tylko zostawić po sobie lepszą wersję siebie, żeby żyła dalej. Tak w każdym razie napisał w ostatnim liście.

Wbiłem wzrok w podłogę, bo zbierało mi się na płacz. Dlaczego udawało mi się zajmować tyloma sprawami naraz, być takim spryciarzem, a nigdy nie miałem czasu dla niego?

Martin spojrzał na mnie z zamyśleniem.

– Ale może ja jestem nim, Bobby. Myślę jak on, wyglądam jak on i pamiętam wszystko, każde jego wspomnienie.

– Ale nie jesteś nim.

– Kiedy człowiek umiera?

Co za głupie pytanie!

– Trup to trup – rzuciłem. – Nie żyjesz, kiedy doktorzy tak powiedzą.

– Kiedy przestaje bić serce?

– Kiedy obumiera mózg, kiedy traci się wspomnienia, istotę każdego z nas...

– Większość twoich wspomnień jest w psis. Czy one znikną, kiedy ciebie nie będzie?

– Nie...

– Więc jeśli wspomnienia nie znikają, jeśli pozostaje istota każdego z nas, to czy naprawdę umieramy?

Przerwał. Milczałem.

– Pamiętasz naszą pierwszą wspólną kąpiel w umywalce? Mama myła nas gąbką i śpiewała w ciemności, bo wysiadł pierwszy rdzeń termojądrowy, pamiętasz?

Uśmiechnąłem się, a łzy spływały mi po policzkach.

– Pamiętam.

– Pamiętasz, jak wyrzucałeś zabawki z tarasu do oceanu, kiedy nikt nie patrzył, a nasze prokury nas kryły, i jak rozzłościła się mama, kiedy ukryliśmy się w paszczy rekina, gdy pływaliś za nimi?

– To był twój pomysł! – roześmiałem się, kiwając głową.

– Mieliśmy niezłą bandę, kiedy dorastaliśmy. My i nasze prokury... Bobby i Robert, William i Wallace, Sid i Vicious, Dean i Martin, Nancy i Cunard...

– Tak, to była niezła banda.

– Rozmawiałeś ostatnio z Nancy? – zapytał cicho Martin.

– Nie, ja... nie, odkąd... no wiesz... odkąd ty...

– Powinieneś z nią porozmawiać. – Mierzył mnie wzrokiem od jakiegoś czasu. – Hej, a pamiętasz taki wieczór? Siedzieliśmy na poręczach przy wejściu do pasażerskiej lukstorki. Mieliśmy po kilkanaście lat i piliśmy te sfermentowane algi. Kazałeś Robertowi przejąć kontrolę nad systemami bezpieczeństwa i mieliśmy cały dworzec dla siebie. Siedzieliśmy tam tylko we

dwóch.

Kiwnąłem głową.

Milczał przez chwilę, zanim zaczął mówić dalej.

– Rozmawialiśmy o tym, co będziemy robić razem na starość. Powiedziałeś, że jesteś dobry niemal we wszystkim i wystarczy, że się do czegoś przyłożysz, a będziesz mógł robić, co tylko zechcesz. Byłem wtedy chyba bardzo pijany.

– Ja też... – szepnąłem, powstrzymując łzy.

– Ale najlepiej ze wszystkiego pamiętam, że pomyślałem wtedy, że jesteś wspaniały i że sam nie dorastam ci do pięt, bo wszystko przychodzi mi z takim trudem, nie wiadomo zresztą dlaczego. I pamiętam jeszcze doskonale, że myślałem, jak bardzo cię kocham i jak bardzo jestem dumny z tego, że mogę być twoim bratem. Byłeś gwiazdorem programu psis dla dzieci, byłeś lepszy nawet od Jimmy’ego, a ja byłem taki dumny...

– Pamiętam tamten wieczór – wykrztusiłem, łkając. Rozpłakałem się na dobre.

– Wciąż jestem przy tobie, Bob. – Martin patrzył mi prosto w oczy, a w jego cichym głosie kryła się prawdziwa miłość.

Przypomniałem sobie, że kiedy zaczynaliśmy szkołę, sporządzaliśmy na papierze trójwymiarowe rysunki sześciątów i innych brył: dwa kwadraty przesunięte względem siebie w linii prostej, która łączyła każdy odpowiedni róg, by stworzyć efekt trójwymiarowości. To było fascynujące, bo kiedy wpatrywałem się w bryłę, wydawało mi się, że jeden z kwadratów jest bliżej, a kiedy siłą woli zmieniłem perspektywę, sześciąt obracał się i inna z jego ścian pojawiała się blisko.

Wpatrywałem się długo w Martina i mój umysł dokonał podobnej sztuczki. Nagle wyraźnie ujrzałem w nim mego brata, siedzącego przede mną – brata z krwi i kości. Od stóp do głów zalała mnie fala miłości, wstałem i usiadłem obok niego na sofie.

– Dean... Martin... tak bardzo za tobą tęskniłem, tylko to miejsce... – Chwyciłem go za rękę.

– Ja też za tobą tęskniłem – odpowiedział Martin. – Byłeś taki niemiły dla mnie przez te wszystkie lata. Zawsze wydawało mi się, że mnie nienawidzisz bez przyczyny. To bardzo bolało.

Łzy płynęły mi po policzkach, a Martin wyciągnął rękę i otarł je, a potem przesunął wierzchem dłoni po swojej twarzy. Jego zachowanie uległo zmianie, siedział wyprostowany i oddychał głęboko. Chwytał mnie oburącz za przedramiona.

– Skończ z tymi dragami, zrobisz to dla mnie? I z tymi wszystkimi dziewczynami. To niczego nie zmieni. Uspokój się. Porozmawiaj z Nancy.

– Masz rację. – Tylko tyle mogłem powiedzieć. – Skończę, spróbuję...

– To dobrze – odrzekł. – I, Bobby... jeśli naprawdę wierzysz, że światy gier są rzeczywiste, to Dean gdzieś tam jest, a ja jestem łącznikiem pomiędzy tobą a nim.

– To jest porąbane.

Gapiałem się w podłogę. Nic nie miało już żadnego sensu. Całe moje życie... Miałem wrażenie, że bez przerwy przed czymś uciekałem; przed jakimś niewidzialnym niebezpieczeństwem. Od teraz to się zmieni.

Może Martin ma rację. Może znajdę gdzieś tam Deana. Siedziałem w samym środku najbardziej zdumiewającego miejsca na ziemi, gdzie niemożliwe stawało się możliwe niemal każdego dnia. Muszę się tylko przyłożyć i wyjść z tego odurzenia, w jakim się znalazłem.

– Bobby? – zapytał Martin.

– Tak?

– Dlaczego płaczesz?

O, nie. Włączył się martwy punkt. Wytarłem łzy.

– To nic wielkiego – skłamałem. – Martwię się tylko tymi sztormami i tym, że Nicky mnie rzuciła.

Rozpromienił się.

– Nie martw się, mój wielki bracie. Zajmę się tobą. Tylko zrób to, o co cię prosiłem: niech tata doda mnie do listy ewakuowanych. Nie wiem, co się dzieje, ale mam na głowie mnóstwo spraw, więc bardzo byś mi pomógł.

– Załatwione – odpowiedziałem z westchnieniem.

– Dzięki.

Martin wstał z sofy i zbierał się do odejścia.

– Hej, Martin...

– Tak?

– Jest jeszcze coś, o czym chciałem ci ostatnio powiedzieć.

– Co takiego?

Uśmiechnąłem się, odczekałem chwilę, a świat znów nabrał dla mnie sensu.

– Kocham cię. Bardzo cię kocham.

Odwrócił szybko wzrok i odetchnął, podniósł dłoń, by otrzeć łzę z kącika oka.

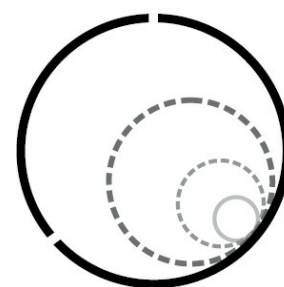
– Ja też cię kocham, Bobby. Dziękuję, że mi to powiedziałeś.

– Okay, dobra, a teraz do roboty! – roześmiałem się.

Odzwajemnił mój uśmiech i pokręcił głową, po czym zniknął.

To miejsce, całe to miejsce, wydało mi się nagle wrogie. Wiedziałem, że coś tu jest nie tak, jak po przestawieniu zwrotnicy, i że to coś połknęło Deana po drodze. Martwe punkty – wszyscy je mieliśmy. Więc co oni przed nami ukrywają, czym jest to, czego nie widzimy?

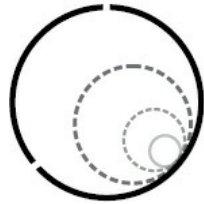
NIGDZIEBĄDŹ



Część V:

Nancy Killiam

& William McIntyre



1

Tożsamość: William McIntyre

Olśniewający dywan gwiazd wisiał nad nami tej bezksiężycowej nocy gdzieś w Górach Adirondack w północnej części stanu Nowy Jork. Nasze obozowisko było wciśnięte między olbrzymie jodły nad brzegiem jeziora. Ledwo zdążyliśmy dopłynąć tu kajakiem przed zapadnięciem zmroku i przenieść wszystko na miejsce – byliśmy wykończeni. Zapadła między nami głęboka cisza, którą przerywały tylko syk i trzask ognia. Po raz pierwszy czułem się niemal zupełnie zrelaksowany. Niemal.

– Spokojnie tu – powiedziałem, pochylając się po gałąź, którą roznieciłem tłące się w ognisku węgle. W plecy zawiewał mi wiatr, ale na razie nic sobie z tego nie robiłem.

– Masz rację – odpowiedział Bob, który siedział obok Martina z mojej lewej strony.

Obaj rozwalili się wygodnie na składanych turystycznych krzeselkach. Bob postawił na kolanie puszkę w piwem.

– Tak jest – dodał Wally, moja prokura, siedzący obok mnie. Widział, jak wrzucam pustą puszkę do ognia. – Chcesz jeszcze jedno piwo?

– Nie, dziękuję. Wystarczy.

Rozniecając węgle, przyglądałem się roztańczonym iskrom wznoszącym się nad poczerniałym drewnem. Potarłem dłonie i wyciągnąłem je ku ciepłym węglom. Noc będzie chłodna. W ciemnościach nad jeziorem rozległo się upiorne zawrodozenie nura. Czas zbierać się do snu.

– To zdumiewające – odezwał się Bob, przeciągając samogłoski. Wpatrywał się przez chwilę w ogień. – Hej, Willy, widziałeś dziś rano test katapuły?

Upił łyk piwa i uśmiechnął się do mnie. Często się uśmiechał – szczęściarz. Z drugiej strony wcale nie było mu tak łatwo.

– Jasne, nie dało się go nie zauważyć – odpowiedziałem. – Byłeś z rodziną? Roześmiał się, zerkając na Sida i Viciousa, siedzących po drugiej stronie ogniska.

– Nieee, Sid i ja byliśmy pod Holistyczną Hubą, oglądaliśmy kombinowaną wersję.

Uśmiechnąłem się.

– Założę się, że była zabawna.

– No tak, ale ojciec zrobił mi awanturę, kiedy wróciłem do domu.

Wally przesłał mi przypomnienie. Szlag!

– Och, ach, tak przy okazji, Martin... – wymamrotałem niezdarne – Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin. – Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego Bob obchodzi urodziny jednego dnia, a Martin następnego.

Martin uśmiechnął się, rzucając mi spojrzenie przez ognisko.

– Dzięki, Willy! – Przeniósł wzrok na Boba. – Tata wcale się nie wściekał, sam wiesz, pod jaką jest presją.

– Wiem – odpowiedział Bob. – Przepraszam. I dzięki, że mnie kryłeś.

– Do tego służą bracia – zachichotał Martin, kręcąc głową. – Co nie?

– Taa... – westchnął ciężko Bob. – Do tego służą bracia.

Zapadła kłopotliwa cisza, a wszyscy wbili wzrok w ziemię – wszyscy, z wyjątkiem Martina. Rozglądał się po naszych twarzach z szeroko otwartymi oczami.

– Co? Ktoś zmarł czy coś?

Bob parsknął, kręcąc głową.

– Zapomnij o tym.

– O czym mam zapomnieć?

– Zwyczajnie zapomnij – warknął Bob. – I tak zapomnisz, bez względu na wszystko.

Cisza stawała się coraz bardziej kłopotliwa.

– Nie mogę uwierzyć, że tak mało ludzi wyjeżdża na łono natury, żeby doświadczyć czegoś takiego – odezwał się po chwili Bob, zmieniając temat. – To zdumiewające. No wiecie, robienie wszystkiego własnymi rękoma, powrót do korzeni.

Teraz wszyscy pokiwali głowami, z wyjątkiem Martina, który gapił się

niewidzącym wzrokiem w ogień.

– Taa – zgodziłem się, ale Bob zawsze potrafił odczytywać mój nastrój.

– Ciągle się martwisz? – zapytał mnie.

– Neeee.

– Nieprawda, martwisz się. Czuję to. Ale wszystko będzie dobrze. Zawsze jest. – Uśmiechnął się. – Nawet kiedy nie jest. – Wrzucił puszkę po piwie do ogniska.

Wiatr zmienił kierunek, a dym owiał Viciousa, prokurę Sida.

– Koledzy, to była prawdziwa przyjemność – zakasłał Vicious. – Ale mam już dość. To główniane łono przyrody nie jest dla mnie. – Uniósł ręce i zmusił wiatr do zmiany kierunku, z dala od niego.

– Nie wygłupiaj się – roześmiał się Sid. – Świetnie się bawimy. Poświęć się dla sprawy.

Niestety czar prysł, a zawieszenie niewiary zaczęło pękać, ukazując ziarnistą strukturę ognia i pustą fakturę nocy. Wszystko wydawało się sztuczne, a na moich barkach znów spoczął ogromny ciężar.

– Ja chyba też będę spadał.

– Ale jutro surfujemy razem, tak? – zapytał Bob.

– Jasna sprawa, nie odpuściłbym sobie tego za nic w świecie – skłamałem.

Pomachałem lekko na pożegnanie całej bandzie i bez zbędnych słów opuściłem obozowisko, w miejsce którego pojawiły się białe, pozbawione jakichkolwiek ozdób ściany mojego mieszkania. Wally nadal siedział obok mnie, choć teraz na rozkładanej sofie w mojej maleńkiej kawalerce. Lokum to można było w najlepszym razie opisać jako minimalistyczne. Prawdziwa przestrzeń na Atopii kosztowała dużo pieniędzy, nie było mnie stać na nic lepszego.

– Nie martw się tak bardzo, Willy – poradził Wally.

– Łatwo ci mówić. Ty nie mieszkasz w tej szufladzie.

– No cóż, i tak, i nie – zauważył Wally, przyglądając mi się uważnie. – Posłuchaj, nigdy tego nie mówiłem i nie jestem pewien, dlaczego mówię to teraz, ale...

Czekałem.

– Ale co?

Dlaczego moja prokura zachowuje się tak dziwnie? Jakbym nie miał wystarczających powodów do zmartwień.

Mierzył mnie wzrokiem.

– William, chcę się tylko upewnić, że wiesz, że cię kocham.

Zbił mnie lekko z tropu i widział to.

– Nie w żaden perwersyjny sposób – dodał szybko. – Ale jak brata, rozumiesz? – Uśmiechnął się i czekał na moją odpowiedź.

– Taa, dzięki – odpowiedziałem powoli, nie wiedząc za bardzo, co z tym zrobić. – Słuchaj, doceniam to i też cię lubię, Wally.

Wciąż się do mnie uśmiechał. Muszę porozmawiać o tym z kimś z pomocy technicznej Cognixa. Miałem dużo pracy. Coś takiego nie było mi potrzebne.

– Słuchaj, nic mi nie jest – powiedziałem wreszcie. – Skoncentrujmy się nad tym, co tu i teraz, okay?

Kiedy zmieniłem temat na pracę, którą miałem do wykonania, ściany i udogodnienia mieszkania przekształciły się w morze wyświetlaczy, będących moim warsztatem pracy. Jutro czekał mnie trudny dzień i musiałem szybko się przygotować do ważnego spotkania z Nancy Killiam, szefową nowej firmy technologicznej, Infinixx, dla której pracowałem na kontrakcie. Harowaliśmy z Wallym do późna w nocy, wyciągając i przerzucając mnóstwo danych finansowych przez najdalsze zakamarki wielowszechświata, próbując zrozumieć szybko przyspieszającą rzeczywistość wokół nas.



Następnego ranka Brigitte oddała spodziewany strzał ostrzegawczy.

– Nie skontaktowałeś się ze mną wczoraj wieczorem po powrocie z kempingu z chłopakami.

Chciała, żeby to nie zabrzmiało jak wyrzut, ale wiedziałem swoje. Byliśmy razem od dwóch lat i wyczuwałem jej nastroje niczym wiatr wiejący w koronach drzew.

– Przepraszam, kochanie – odpowiedziałem, starając się przeciwdziałać nadciągającemu sztormowi. – Wiesz, że mam dzisiaj ważne spotkanie z Nancy.

Nie odpowiedziała, a ja milczałem, decydując się na plan obrony: unik albo ucieczkę.

– Musieliśmy przygotować się do tego spotkania – dodałem defensywnie. – I analizowaliśmy również akcje.

Praca w Infinix była dobrze płatna, ale sam robiłem dla nich jako firma zewnętrzna i w związku z tym nie przysługiwały mi bonusy w postaci wymarzonego pakietu akcji. Prawdziwym powodem, dla którego tak bardzo zależało mi na tej pracy, był dostęp do tworzonej przez nich platformy rozproszonej świadomości. Możliwość bycia w dziesiątkach miejsc jednocześnie zapewniała mi przewagę, której obecnie nie miał nikt inny na rynku. A każda przewaga na rynku stanowiła szansę na zarobienie pieniędzy.

Brigitte się nadała. Pięknie się dąsała.

Jej pełne usta i maleńki nosek pod grzywą nieukładanych rudych włosów, za które kobiety mniej rasowe dałyby się zabić, sprawiały, że nie można było się jej oprzeć, a ona sama wydawała się przepiękna i przepięknie śliczna. Nawet jeśli piorunowała mnie gniewnie ciemnopiwnymi oczami – tak jak teraz – trudno było się oprzeć chęci, by wziąć ją w ramiona i ucałować.

Więc zrobiłem to.

– William – odezwała się cierpliwie, odpychając mnie od siebie. Uśmiechała się, ale kiedy nie zwracała się do mnie za pomocą zdrobnienia, zawsze miała do powiedzenia coś poważnego. Spojrzałem na nią w mych ramionach. – *Vraiment*, pieniądze to nie wszystko. Rozejrzyj się wokół siebie, *chérie*.

Rozejrzałem się.

Jedliśmy śniadanie w pizamach na szczycie górskiego pasma Highlands w Szkocji. Brigitte miała na stopach różowe pantofelki w kształcie króliczków. Nasz biały stoliczek i krzesła stały na tle wschodzącego słońca pośród tumanów mgły, głązów, trawy i owiec – wyglądało to co najmniej surrealistycznie, ale Brigitte bardzo się tu podobało, a to najważniejsze.

– Siedzimy w najpiękniejszym miejscu na ziemi. Możemy podróżować, dokąd tylko chcemy, możemy robić, co nam się żywnie podoba. Zarabiam wystarczająco dużo, żeby utrzymać nas oboje, a poza tym spójrz, gdzie jemy śniadanie! Po co nam więcej pieniędzy?

Starłem się nie przewracać oczyma. Znajdowaliśmy się na dobrze znanym

gruncie. Brigitte była starszą administratorką firmy oferującej na Atopii usługi medyczne i zarabiała dwa razy więcej ode mnie. Usiłowałem wmawiać sobie, że to nie ma żadnego znaczenia, ale miało. Byłoby miło wynająć sobie więcej subprokur. W obecnej sytuacji nie stać mnie było na posyłanie Wally'ego w więcej niż jedno miejsce naraz. Byłoby miło mieć pełen dostęp do Phuture News Network – w tej chwili z wielkim wysiłkiem udawało mi się wyprzedzać konkurencję o włos.

Nawet dostęp do wikiświata w takiej rozdzielczości kosztował nas więcej, niż mogłem wydać, ale to nie robiło na niej żadnego wrażenia. Jeśli już o tym mowa, wszyscy, których znałem, miewali się lepiej ode mnie, co szczerze mówiąc bardzo mnie wkurwiało.

Nie było widać końca wielopokoleniowej hipoteki zaciągniętej przez ojca, by nasza rodzina zaokrętowała się na Atopii. Postąpił bardzo sprytnie, biorąc udział w loterii – miejsce na wyspie zyskało na wartości ponad cztery razy – ale wielkość hipoteki była rujnująca dla zwykłej rodziny jak nasza. Walczyliśmy o przetrwanie w cieniu wiarygodności. Nie pomogło nam, rzecz jasna, i to, że dokonałem ostatnio paru fatalnych inwestycji i znalazłem się prawie na dnie.

– Masz rację, skarbie, masz rację. – Nie było sensu spierać się z Brigitte.

Swędziły mnie metazmysły, a to oznaczało poruszenie na rynku papierów wartościowych. Przemapowałem mój zmysł dotyku od karku aż do krzyża, niczym boczną linię receptorów u ryby, by wyczuwać zawirowania w prognozach rynkowych. Nawet najłżejsze zmiany ciśnienia rynkowych trendów łechtaly mnie po plecach. To najlepszy sposób zwrócenia mojej uwagi. Kiedy smarowałem masłem tost, silny wiatr smagnął mnie po pośladkach.

– Muszę iść – rzuciłem pospiesznie, wstając i cmokając ją w policzek. – Praca. Wybacz, ale naprawdę muszę bieć.

Przewróciła oczyma.

Cofnąłem się o krok i odpaliłem ku niebu, świat zniknął gdzieś pode mną, kiedy zjawiłem się w świecie pracy. To był mój ulubiony sposób rozstawania się z przyjaciółmi – początek dnia Supermana.

Wally był już na swoim miejscu, a ja dostroiłem się, włączyłem i opadłem do

wieloszechświata, rozszczepiając swój umysł na odłamki, by wchłonąć to, co się działo. Jeden z nich dostroił się już do konferencji prasowej, którą właśnie rozpoczynała moja szefowa, Nancy, więc skupiłem się na tym przez chwilę.

2

Tożsamość: Nancy Killiam

– Rozwój gospodarczy jest możliwy tylko poprzez zwiększenie wydajności i zespalanie talentów – ryknęłam do zachwyconej publiczności.

Nie musiałam dodawać, że liczba ludności na świecie zmniejsza się, załamuje się produkcja płodów rolnych, nie mówiąc już o niepowodzeniu yena i zielonych w zdobywaniu nowych terytoriów jako derywatów bitcoina. Zmniejszanie się populacji niosło ze sobą lepsze perspektywy dla planety, ale nie dla gospodarki, a dziś liczyły się tylko interesy.

– Atopia to nie tylko zielona wyspa – stwierdziłam – ale miejsce, w którym zwiększa się wydajność biznesu i zyski, co będzie stanowiło podstawę prosperity całej światowej gospodarki.

Najbliżej mnie siedzieli znani mi reporterzy. Dalej na moich wyświetlaczach widziałam miliony twarzy przesuniętych w błękicie ze względu na odległość. To było dla mnie rutynowe przemówienie, jak jazda koleinami po starym wiejskim gościńcu. Może „jazda koleinami” to nie najlepsza analogia, zachichotałam w duchu.

Przerwałam i spojrzałam na tłum. Pauza była przeciwionym chwytem retorycznym, który bardzo lubiłam. Na moich wielu twarzach zagościł pewny siebie uśmiech.

– Wdrażana przez Infinix platforma rozproszonej świadomości jest rozwiązaniem, które wprowadzi biznes w dwudziesty drugi wiek!

Masy przede mną rozpoczęły owację. Pokręciłam głową i opuściłam wzrok na scenę, podkreślając, że nie zasługuję na taki aplauz.

– Zatem... pytania? – zapytałam, podnosząc głowę ku tłumom. Tammy

z „World Press” podniosła rękę. Zawsze dobrze zaczynała. Wskazałam na nią i kiwnęłam głową.

– Czy mogłaby pani opisać zgromadzonemu dokładne wrażenia związane z korzystaniem z rozproszonej świadomości? – zapytała. – To znaczy: jak by ją pani opisała, ale nie z technicznego punktu widzenia?

Pytanie to wzbudziło stłumione śmiechy. Słyszałam z zarzucania reporterów technicznym żargonem do tego stopnia, że po konferencjach ze mną odnosili wrażenie, że wiedzą jeszcze mniej niż wcześniej. Jednak tym razem starałam się wszystko uprościć.

– Dobre pytanie. Najłatwiej opisać to jak szybkie czytanie, kiedy nie odnotowuje się każdego słowa, a tylko pierwszy i ostatni wiersz akapitu, a resztę tekstu skanuje wzrokiem w poszukiwaniu kilku kluczowych słów. Tak to mniej więcej wygląda.

– Czy to nie implikuje niejako, że nigdy nie uzyskuje się pełnego obrazu?

Dobre pytanie, ale trudno na nie odpowiedzieć w prosty sposób. Stworzony przez Infinix system „rozproszonej świadomości” nie polegał w istocie na rozpraszaniu świadomego umysłu. Tworzył przybliżenie kognitywnego stanu umysłu w jakimś punkcie w czasie, a następnie tagował je tyłoma danymi osobistymi, takimi jak wspomnienia, ile było potrzeba lub do ilu był dostęp. Następnie system włączał silnik sztucznej inteligencji i tworzył obraz, który chciał widzieć użytkownik.

Od czasu do czasu ten „odłamek”, jak go nazywaliśmy, meldował się zwrotnie ze skompresowanymi danymi sensorycznymi, zrozumiałymi tylko dla użytkownika.

Kiedy tłumaczyłam to reporterom, często używałam „przypowieści o najlepszym przyjacielu”: wyobraźcie sobie, mówiłam, że wasz najlepszy przyjaciel puszcza do was oko, kiedy pytacie go o kogoś, kogo obaj dobrze znacie. W oparciu o wspólne doświadczenia w pojedynczy binarny bit można zakodować mnóstwo przekazywanych w ten sposób informacji. Infinix jest czymś takim – najdoskonalszym programem zbierania, kompresji i transmisji danych, dopasowanych dokładnie do indywidualnego umysłu w danym momencie w czasie. Działa lepiej u ludzi z aktywowanym psis, ale nawet bez psis potrafi czynić cuda.

- Uzyskuje się pełen obraz - odpowiedziałam Tammy po chwili zastanowienia - choć nie w każdym detalu. Szybkie czytanie sprowadza się do nieświadomej umiejętności skanowania przez czytelnika właściwych części akapitu, na których należy się skupić. - Przerwałam, żeby przyswoili sobie to, co powiedziałam. - Technologia Infinixx zapewnia ów kontekst związany ze skupianiem uwagi, a także multipleksową technologię sensoryczną i kognitywną ułatwiającą nowicjuszm zapoczątkowanie rozpraszania własnej świadomości w chmurze przed upływem kilku godzin.

Przyjrzałam się zwróconym ku mnie twarzom. Kiwali głowami, ale ostatnie zdanie sprawiło, że ich wzrok jakby nieco się zamglił.

- Na przykład - dodałam szybko - przypomnijcie sobie ostatnie zebranie w pracy, w którym uczestniczyliście. Jaka jego część była częścią gadaniną waszego współpracownika na temat, który zupełnie was nie dotyczył?

Rozległy się pojedyncze chichoty.

- Jednakże - stwierdziłam, przeciągając to słowo - tu i ówdzie pojawiły się zapewne pożyteczne drobiazgi. Inifinixx pozwoli wam dostroić niewielką część uwagi do tych pożytecznych drobiazgów. Będziecie na miejscu przez cały czas, bez potrzeby bycia tam w rzeczywistości.

- Jak długo zajmie nauka używania tej platformy? - zapytał inny reporter.

- Nawet ty, Max, będziesz w stanie używać jej niemal od razu! - zażartowałam, puszczając oko. Rozległy się kolejne śmiechy. Posłałam pytającemu długi uśmiech. By w pełni korzystać z dobrodziejstw tej technologii, należałoby z nią dorastać, ale nie miałam zamiaru ich o tym informować. Ciągnęłam więc dalej: - Jesteśmy gotowi rozpocząć na wasz znak!

3

Tożsamość: William McIntyre

– Współpraca leży w naszym wspólnym interesie, podobnie jak niwelowanie różnic – basował chiński minister stanu.

Jasne, pomyślałem, dokładnie tak jak zniwelowaliście poprzednie różnice – na swoją korzyść.

Odłamek obserwujący ostatnią rundę rozmów pokojowych między Chinami a Indiami nie musiał przesyłać zbyt wielu informacji, gdyż ton i charakter rozmów były mniej więcej takie same jak tych, które odbywały się w niedawnej przeszłości: żadnych pozytywów, a wszystko bardzo przewidywalne. Z drugiej strony w biznesie przewidywalność jest wszystkim. Ściągnąłem odłamek z powrotem i wysłałem go do ważniejszej pracy.

Szybko przyswoiłem ten cienki strumyczek świadomości, a potem skierowałem umysł ku eksploracji, którą inny z moich odłamków prowadził w brazylijskich lasach deszczowych.

Wikiświat ukazał szerokie pasy odległych ziem uprawnych należących do Greengenics pod Manos; pasy te obsiano skomplikowaną matrycą genetycznie zmodyfikowanej roślinności, która miała naśladować biodwersyfikację otaczającego ją lasu. Nie kupowałem tej historii i podejrzewałem, że na działkach prowadzą uprawę innych roślin. Wynająłem miejscowego przewodnika, żeby dla mnie szpiegował, a mój odłamek oglądał wszystko przez szkła kontaktowe tego człowieka.

Przedarliśmy się przez gęste listowie do krawędzi uprawnego pasa i zajrzeliśmy do środka – moje podejrzania się sprawdziły. Przed nami ciągnęły się daleko długie rzędy poddanych zabiegom bioinżynieryjnym roślin

farmaceutycznych. Greengenic fałszował przekazy z wikiświata. Ten odłamek informacji z krawędzi mojej uwagi rozbił się na dziesiątki innych, które wykorzystwały informację z pożytkiem dla mnie – sprzedałem akcje Greengenics, kupiłem papiery ich konkurentów, powiadomiłem władze o fałszowaniu dokumentacji i anonimowo dałem znać mediom o możliwej aferze.

Giełda w Szanghaju właśnie zamykała poranną sesję, kiedy wydarzyła się katastrofa.

– Co?

– Natychmiast przestań sprzedawać – ostrzegł Willy. – Ja już zrobiłem, co mogłem.

Wizja kończących się rozmów pokojowych wróciła odłamkiem do mojej głowy. Stopy procentowe miały spaść o jeden punkt, ale niespodziewany, wygłoszony w ostatniej sekundzie rozmów komunikat stwierdzał, że Chińczycy i Hindusi rozpoczną wspólny projekt farmaceutyczny, co wprowadziło zamieszanie na rynku i pchnęło stopy procentowe jednak w górę. Co gorsza Greengenic został wyznaczony ich tajnym współpracownikiem, a akcje tej małej firmy poszybowały w górę. Ten niespodziewany obrót wypadków rozbił cały układ.

– Składajcie zamówienia na sprzedaż! – wrzasnąłem do dziesiątków odłamków.

Zadzwoił gong, kończący handel w Szanghaju. Po kilku sekundach do gry przystąpiły rynek wtórny i rynki zależne, lecz zanim zdołaliśmy wyprostować moje stanowisko, poniosłem olbrzymie straty.

Starając się być sprytny, ulegałem zbyt wielu dźwigniom finansowym.

Unosząc się nad niewielkim metaświatem, który był moim finansowym centrum dowodzenia, zamknąłem oczy i westchnąłem. Potrzebowałem więcej odłamków zajmujących się większą liczbą spraw w tym samym czasie. Do tej pory zebrałem ich zaledwie piętnaście, z czego połowa była prototypami wzywanyymi bez przerwy do uaktualnień i re-inicjalizacji. Czułem za oczami narastający dudniący ból głowy i skoncentrowałem się na wnętrzu, a potem znów na zewnątrz, przygotowując się na wypełnioną pracą noc.



Dzień zakończył się finansową katastrofą – niemal. Prawie wszystko, co mogło się nie powieść, nie powiodło się. Choć się nie odzywałem, Brigitte wyczuwała mój nastrój i przygotowała dla nas wyjątkowy wieczór. Zadała sobie trud, żeby osobiście zarezerwować dla nas skrawek chodnika przy Kanale Grande w Wenecji.

Miejsce było niewątpliwie romantyczne: świeczka ustawiona w zielonej butelce po winie na obrusie w czerwoną kratę; delikatne uderzenia Adriatyku o ściany kanału; migoczące światła Wenecji pod wschodzącym księżycem w pełni. W pobliżu słyhać było grającego akordeonistę, nuty mieszały się z zapachem świeżo ściętych ziół, pomidorów i owoców morza.

– To przepiękne, Brigitte – zdumiałem się po przybyciu, zostawiając za sobą sieć odłamków przy pracy. Wszedłszy w tę rzeczywistość, usiadłem naprzeciw niej. Usiłowałem się odprężyć, miałem nadzieję, że mój paskudny nastrój uleci w ciepłą noc.

Ciągle byłem wściekły po wcześniejszej awanturze z Nancy, dotyczącej limitu rozczepiania odłamków. Usiłowałem jej wyjaśnić, w jak trudnym znalazłem się położeniu, ale to nie zrobiło na niej większego wrażenia.

Atopia miała być jak latarnia morska dla libertariańskich ideałów, a w istocie stała się kolejnym country clubem dla zamożnych snobów jak Killiamowie. Nancy nie miała pojęcia, jak wygląda tu życie takiej rodziny jak moja.

Niemal każdy Amerykanin stracił kogoś podczas pierwszych dużych cyberataków sprzed blisko czterdziestu lat, ale nasza rodzina poniosła naprawdę wielkie straty. Wywodziliśmy się z robotniczego środowiska południowego Bostonu, a życie zawsze było dla nas walką. Kiedy w połowie mroźnego Bożego Narodzenia wybuchły pierwsze strajki, które doprowadziły do katastrof w infrastrukturze, coś, co nie było łatwe, zamieniło się w śmiertelne zagrożenie. Zanim po miesiącu włączono na powrót prąd, straciliśmy dziewięć osób z rodziny, którzy zmarli z zimna, głodu i zginęli podczas zamieszek.

Podjeździwość wobec technologii dosłownie wypędziła mojego dziadka do lasu. Ale ukrywanie się przed nowoczesnym światem sprawiało, że życie

stawało się ciężkie, a mój ojciec nie był w stanie się przystosować. Doszło do wielkiej awantury; tata oznajmił, że zamierza przenieść się na Atopię, żeby zacząć wszystko od nowa i zerwać z neotechnofobami gromadzącymi się pod przewodnictwem dziadka na pogórzcu Montany.

Ojciec podjął wielkie ryzyko – ryzyko innego życia dla siebie, mojej matki i mnie. Krok ten doprowadził do zerwania z resztą rodziny. Czułem teraz, że ciężar pojednania spoczywa na moich barkach.

Tata i ja poradziliśmy sobie jakoś z przenosinami, natomiast mama nie była w stanie się przystosować i po kilku latach wróciła do domu – do komuny. Pamiętam, że byłem na nią wściekły i od tamtej pory niemal przestaliśmy ze sobą rozmawiać.

Nie gniewałem się już na nią, ale komuna zakazywała korzystania z nowoczesnej technologii komunikacyjnej, więc jeśli chciałem z nią porozmawiać, musiałem fizycznie stawić się w Montanie. Od lat planowałem podróż, ale zawsze znajdowałem jakieś wymówki, żeby nie jechać. Piesza wędrówka po górach nie wydawała mi się niczym przyjemnym, ale nie chodziło tylko o to. Najpierw chciałem jej udowodnić, że tata miał rację i że mama podjęła słuszną decyzję, zostawiając mnie z nim.

– William? – odezwała się Brigitte, przywołując mnie do rzeczywistości.

Wystroiła się na ten wieczór. Włosy opadały jej falami na ramiona, a miała na sobie lśniąca czarną halkę, która nie zostawiała wielkiego pola dla wyobraźni. Jej perfumy pachniały uwodzicielsko, niewątpliwie za sprawą jakiejś magii psis – zmuszały mnie do skupienia się na niej. Zebrałem pozostałe odłamki świadomości do tu i teraz, i poświęciłem pełną uwagę jej delikatnym piwnym oczom.

Zasługuje na coś lepszego. Zapewnię jej coś lepszego.

– Tak?

– Jesteś ze mną teraz? – zapytała.

– Wybacz – westchnąłem. – To wszystko... jest takie skomplikowane.

Przyglądała mi się w milczeniu.

– Nie wszystko musi być skomplikowane. – Dotknęła dłonią mojego policzka, a potem uniosła mi podbródek, żebym spojrzał jej prosto w oczy. – Zjedzmy coś.

Wokół nas natychmiast zakrzętnęli się kelnerzy z talerzami potraw.

– Chcę cię przeprosić za to ciągle utyskiwanie – szepnęła i pochyliła się, żeby pocałować mnie w czoło.

Niemal zupełnie o tym zapomniałem.

– Nie martw się, skarbie – odpowiedziałem, rozpraszając w głowie resztki mentalnej mgły. – To ja powinienem cię przeprosić.

Uśmiechnęła się do mnie i ujęła mnie za rękę.

– Wystarczy już tych przeprosin, *cheri* – odezwała się czule. – Najpierw coś zjemy, a potem powędrujemy do łóżka.

Jej uśmiech stał się uwodzicielski.

Zaburczało mi w brzuchu. Nie miałem pojęcia, jak bardzo jestem głodny. Głodny i napalony, pomyślałem, patrząc na nią. Wiedziałem, że chce mnie uszczęśliwić. Życie nie ma nic lepszego do zaoferowania. Uśmiechnąłem się i wgrzyłem w obiadowe dania.

Może moja sytuacja nie była aż tak tragiczna, jak mi się wydawało?



Wkrótce siedziałem na łóżku, podziwiając widok z okna naszego *pensione*. Przymus połączenia się z pracą nie dawał mi spokoju, ale opierałem się, delektując się chwilą. Przez okno wpadał łagodny wiaterek, a Brigitte mocno przytulała się do mnie.

Lubiliśmy się kochać bez porąbanych efektów specjalnych, z których korzystało mnóstwo innych dzieciaków psis. Co nie znaczy, rzecz jasna, że nigdy z nimi nie eksperymentowaliśmy. Brigitte była w swoim czasie dosyć niegrzeczną dziewczynką, ale wraz z wiekiem i wskutek jej zaangażowania w stały związek ze mną młodzieńcze szaleństwa straciły na uroku.

– Willy – mruknęła cicho. – Mogę cię o coś zapytać? I obiecasz mi, że się nie wściekniesz?

– Oczywiście, pytaj, o co tylko chcesz, moja jedyna. – Nie potrafiłem jej się oprzeć. Teraz mogłaby mnie poprosić, żebym wskoczył do kanału, a ja z przyjemnością uczyniłbym zadość jej życzeniu.

– Czy myślisz, że moglibyśmy zacząć dzielić się naszą rzeczywistością? To znaczy, kompletnie...

Choć byłem niemal zupełnie odprężony, ta prośba wywołała wstrząs.

– Kochanie – odpowiedziałem spokojnie. – Nawet małżeństwa, które są razem od lat, nie dzielą się w stu procentach swoją rzeczywistością.

W tej chwili dzieliliśmy się wspólnym pobytem w Wenecji i to było wspaniałe, ale Brigitte domagała się pełnego współdzielenia wszystkich skórek rzeczywistości, wszystkich małych i dużych sposobów filtrowania i modyfikowania światów realnych oraz wirtualnych.

Nie byłem pewny, czy chcę, żeby oglądała świat moimi oczyma.

– Wiem, co robią inni, ale to nas nie dotyczy – kontynuowała. – To, o czym mówię, jest możliwe, wiesz?

Nie chodzi o to, że poruszałem się po świecie wystrojonym w skórę jakiejś niesamowitej fantazji, ale mimo to pragnąłem niekiedy, żeby mój świat wyglądał tak, jak chciałem, żeby wyglądał. Odmówienie jej tego nie było jednak łatwe.

– Chcę, żebyśmy postawili kolejny krok w naszym związku – dodała – i doświadczyli świata razem, w ten sam sposób.

Doprawdy, to nie było aż takie straszne. Przecież nie byliśmy nastolatkami, a ja nie miałem nic do ukrycia. Zasługiwała na coś więcej z mojej strony.

– No, dobrze, zrobmy to! Bardzo chciałbym dzielić z tobą rzeczywistość! – To zaskarbiło mi mocne przytulenie i pocałunek, ale odsunąłem się delikatnie. – Kocham cię, najdroższa.

– Ja też cię kocham – odpowiedziała.

Milczałem, przyglądając się jej wyczekująco. Wiał miarowy wiatr, który tylko ja potrafiłem wyczuć.

– Tak, tak, wracaj do pracy. – Uśmiechnęła się i przewróciła oczyma. – Wiem, że umieras z niecierpliwości, żeby wrócić do Wally’ego.

Rozbawiona, rzuciła we mnie poduszką.

Roześmiałem się, odrzuciłem poduszkę i przyciągnąłem Brigitte do siebie, by pocałować ją po raz ostatni.

W mgnieniu oka prulem jak rakieta ku niebu i do mojej przestrzeni roboczej.



Rzeczy dla mnie najważniejsze nie rozgrywały się na widoku. Rzeczy najważniejsze rozgrywały się w pomieszczeniach na tyłach, gdzie razem z Wallym pracowaliśmy nad rozbudową coraz większego funduszu hedgingowego. Mój potencjał do nieustannego prześcigania rynku za pomocą rozproszonej świadomości, nowej platformy Infinixxa, sprawiał, że dokonywałem rzeczy dla innych niewykonalnych. Ludzie zaczęli zauważać, że ten dzieciak psis bije ich na łeb, na szyję, dzięki czemu miałem coraz większe oparcie na rynku.

Ale rozpaczliwie potrzebowałem większej liczby odłamków.

Przed kilkoma miesiącami wystarczyło pięć, potem dziesięć. Zdołałem zdobyć piętnaście, zgłaszając się na beta testowanie pod fałszywym nazwiskiem, ale w Infinixxie nie dało się nikogo nabrać, co prowadziło do nieustannych kłótni z Nancy. Kiedy tylko odpalałem wieczorem matrycę odłamków, wpadała Nancy, pojawiając się na nakładce wyświetlacza, gdy siedziałem w samym środku hedgingowego metaświata.

– Nancy, potrafię się rozszczepiać na odłamki zapewne lepiej od ciebie – argumentowałem natychmiast, wiedząc, co mnie czeka. – Spędziłem więcej czasu na rozbudowywaniu potencjału Infinixxa od kogokolwiek innego.

– Mówiliśmy o tym już wielokrotnie, Willy.

– I dałbym ci wycisk w tagowanym berku.

Nancy przewróciła oczami.

– Nie przeczę, William. Powiadam tylko, że gdybyś był kimś innym, już dawno byś wyleciał. Nie mogę dłużej patrzeć na to przez palce.

Nic nie rozumiała.

– Czy nie pojmujesz, że wyświadczam ci przysługę?

Nie odpowiedziała.

– Pomyśl o mnie jako o zaawansowanym beta testerze – zaproponowałem z nadzieją w głosie.

– Nie mogę, William – odpowiedziała w końcu. – Twój limit odłamków zostanie ograniczony do dziesięciu. Pozwolę ci wykorzystywać Infinixx do prowadzenia interesów, ale nic więcej.

Dziesięć? Poczuję skurcze żołądka.

4

Tożsamość: Nancy Killiam

– Dziesięć?

– Tak jest, William. Nie będę już o tym więcej dyskutowała.

Spojrzałam na grafikę przedstawiającą szczegóły metaświata stworzonego przez Willy'ego do prowadzenia interesów. Prowizoryczny, kiepski zestaw strumieni Phuture News, przestarzali syntetycy i nakładki metasmysłowe, które wiły się w hiperprzestrzeni wokół niego. Jedyne, co trzymało to wszystko razem, to sieć rozproszonej świadomości, wypożyczona nielegalnie z beta laboratoriów Infinixxa. Pozornie wyglądało to na interesujący przypadek testowy, ukazujący to, co mały biznes może zrobić z naszą technologią, ale było na to za wcześnie w procesie rozbudowy produktu.

– Czy nie mogę zatrzymać tych piętnastu, które już mam? – Willy był zdesperowany. Prowadzenie z nim takich rozmów łamało mi serce.

– Dziesięć, a to i tak za dużo. Wiem, że jesteś jednym z najlepszych przyjaciół Boba...

– Ale najwyraźniej nie twoim. Myślę, że „na wieki i po wsze czasy” kończy się szybciej, niż można przypuszczać.

– Byliśmy dziećmi, Willy.

– I?

– I to była dziecięca zabawa.

– Może dla ciebie.

Westchnęłam.

Kiedy dorastaliśmy, Bob, Willy oraz ja byliśmy niemal nierozdzielną bandą i obiecywaliśmy sobie, że zawsze będziemy trzymać się razem i pomagać sobie

nawzajem bez względu na wszystko – na wieki i po wsze czasy. To było dawno temu.

Pokręciłam głową.

– Dziesięć.

Chyba się rozzłościł. Byłabym gotowa mu ustąpić, ale znajdowaliśmy się w krytycznym momencie naszej ścieżki rozwojowej. Musieliśmy trzymać się znanych niewiadomych, a pozwolenie komuś na rozszczepienie świadomości na więcej niż kilka odłamków mogło prowadzić do nieznanymi niewiadomych, na które nie mogłam sobie pozwolić.

Spiorunował mnie wzrokiem na moim wyświetlaczu. Nie musiałam podłączać się do jego emocjonalnych strumieni, żeby poczuć rozlewające się wokół niego gorące fale.

– W porządku – rzucił przez zaciśnięte zęby, a potem natychmiast zablokował mnie we wszystkich swoich światach.

Moja pierwotna podmiotowość wróciła do centrum sterowania Infinixa. Oparłam się wygodniej w fotelu, zastanawiając się, w jaki sposób mogłabym pomóc staremu przyjacielowi.

Czułam się bardziej niż niekomfortowo – nawet jak na dzieciaka psis – jako zaledwie dwudziestokilkuletnia szefowa ludzi niemal dwukrotnie ode mnie starszych. Tłumaczenie naszej radzie nadzorczej, że ryzykuję całym projektem dla przyjaciela z dzieciństwa, nie wchodziło w grę.

Willy zawsze czuł się pokrzywdzony, nawet kiedy byliśmy dziećmi. Zjawił się na Atopii wraz z całą rodziną, mając już sześć lat, czyli w wieku, w którym cała reszta z nas, dzieciaków psis, zachwycała świat swoimi umiejętnościami w wirtualnych światach, w których dorastaliśmy.

Willy zaczynał od zera, a nawet mniej niż zera, bo wywodził się z komuny neotechnofobów w środkowej Montanie. Na szkolnym podwórku drwiliśmy z niego bezlitośnie, gdy usiłował uporać się z systemem psis. Bob zaprzyjaźnił się z nim jako pierwszy i wprowadził go do naszego gangu, a ich przyjaźń przetrwała. Co było sporym osiągnięciem w burzliwej przestrzeni społecznej Atopii.

W tamtych czasach młody umysł Willy'ego musiał przeskoczyć niemal czterysta lat, przenosząc się jak w statku kosmicznym z wioski tkwiącej gdzieś

w XVIII wieku prosto na Atopię – miejsce wyprzedzające całą resztę świata. Był jednak niesamowicie zdeterminowany i w krótkim czasie stał się najlepszym graczem w tagowanego berka na szkolnym dziedzińcu. Willy zawsze się wspinał, zawsze starał się czegoś dowieść – teraz nawet bardziej niż przedtem.

Znów westchnęłam.

Zastanawiałam się, jak wygląda świat z jego perspektywy – perspektywy człowieka pochodzącego z zupełnie obcego dla mnie miejsca. Trudno mi było wyobrazić sobie jego dzieciństwo.

Co przypomniało mi o moim...



Moim pierwszym wspomnieniem, moimi pierwszymi w pełni uformowanymi wspomnieniami z dzieciństwa są te, w których pojawia się twarz mojej mamy. To nie jest niczym dziwnym. Niezwykłe jest natomiast to, że pamiętam tę twarz w najdrobniejszych szczegółach. Mama trzymała mnie na rękach, przytulała i patrzyła mi prosto w oczy, szepcząc cicho:

– Nancy, jak się czujesz, moje kochanie?

Twarz mamy wyrażała miłość i troskę. Była to wyjątkowa chwila. Jako pierwsze dziecko psis, które przekroczyło ten próg, dzieliłam ją z całym Cognixem. Moje wspomnienia stały się słynne.

Tamto wspomnienie dotyczyło chwili, w której po raz pierwszy włączono mi psis. Tak wyglądał początek mojego inVerse'u, pełnego sensorycznego nagrania wszystkiego, co widziałam, słyszałam, czułam czy odbierałam. Miałam wtedy trzy miesiące, była dokładnie 7:05 czasu pacyficznego, 20 września w roku, w którym moja rodzina przeniosła się na pierwszy prototyp platformy Atopii.

Wracałam do tej chwili i przeżywałam ją tyle razy, że było to niemal zawstydzające: czułam gorący oddech mamy na zaczerwienionych policzkach, czułam, jak mocno mnie przytula, widziałam każdy szczegół jej rozszerzających się i zwężających źrenic, oddychałam zapachem jej perfum

i medycznej woni mydła, a moją uwagę odwracały lśniące, wirujące pyłki kurzu unoszące się we wpadających ukośnie przez okna promieniach słońca. W rogu pokoju tata pochylał się niespokojnie nad szumiącymi cicho maszynami, monitorując moje sygnały i systemy, zerkając na nas raz po raz.

Kiedy dorastaliśmy, nie mieliśmy pojęcia, że wokół nas dzieje się coś wyjątkowego. Jak dzieci na całym świecie i w każdej epoce, zakładaliśmy, że tak wygląda normalne życie. Ale byliśmy wyjątkowi. Byliśmy pierwszym pokoleniem dorastającym z jednolitymi interfejsami sensorycznymi rzeczywistości rozszerzonej.

Wyczerpawszy wcześniej większość liter alfabetu, magazyn „Time” próbował nazwać nas „Pokoleniem S” od „sztucznej rzeczywistości”, ale to wyrażenie zupełnie się nie przyjęło i odeszło w niepamięć wraz z magazynem. Świat określał nas później jako dzieci psis. Stanowiliśmy część trzeciej fazy testów klinicznych Cognix Corporation na wczesnym etapie rozwoju psis w wyspiarskiej kolonii Atopii. Nie tworzyliśmy historii. Jak powiadał mój tata – byliśmy historią.

Choć Atopia stanowiła cudowne miejsce do dorastania, byliśmy tylko dziećmi i robiliśmy wszystko to, co robią i robiły inne dzieci. Wrzeszczeliśmy, śliniliśmy się i chwialiśmy się na nogach podczas nauki chodzenia. To prawda, nauczyliśmy się chodzić znacznie wcześniej od zwykłych dzieci, używając psis do treningu pamięci mięśni, ale był to dopiero początek długiej listy rzeczy, które mieliśmy robić inaczej.

Nasz świat był czymś więcej niż tylko *tym* światem – świat fizyczny stał się zaledwie małym wycinkiem naszego placu zabaw, bowiem szybko nauczyliśmy się przemieszczać między nieskończonym strumieniem metaświatów wypełnionych zabawkami i stworzeniami, które pojawiały się na naszych sensorycznych wyświetlaczach. Początkowo te światy tworzone bez końca po to, byśmy mogli się w nich bawić, potem zaczęliśmy budować je sami i zaczęliśmy też pojmować drobne różnice między tym, co rzeczywiste, a tym, co wirtualne. W istocie, sztuczne światy były dla nas tak realne i namacalne, jak to, co reszta świata nazywała rzeczywistością.

Od najwcześniejszych lat nie bawiliśmy się tylko zabawkami, bawiliśmy się w zamienianie się w zabawki, zmienianie naszych ciał w pluszowe misie,

robaki, stadka dinozaurów latających pod niekończącym się nieboskłonem, a gdy nasze umysły wytworzyły płynną umiejętność neuroplastyczności, nawet w zupełnie nieznanym istoty zamieszkujące coraz bardziej nieprawdopodobne przestrzenie. Prokury i edukacyjne boty nieustannie dostarczały nam mnóstwa gier do opanowania i zagadek do rozwiązania, a my wirowaliśmy między światami, traktując każdą chwilę jako okazję do nauki.

Z naszego punktu widzenia prokury były naszymi towarzyszami zabaw w pierwszych latach na świecie. Ale one się nie bawiły. Nieustannie korelowały przepływ danych między neuronami poprzez sieci sprytocytów umieszczone w naszych ciałach i dopasowywały je do naszego zachowania.

Analizowano nas.

Nie potrzeba zbyt dużo czasu, by nauczyć się ludzkiej matrycy mózgowej, lecz nasze mózgi i nasze układy nerwowe wciąż się rozwijały, a pochodzące od nas dane wykorzystywano do nieustannego ulepszania systemu psis. Byliśmy królikami doświadczalnymi Cognixa, co stanowiło część umowy zawartej przez naszych rodziców uczestniczących w projekcie Atopii.

Niemal całe wczesne dzieciństwo spędziłam z prokurą – ostatecznym narzędziem ulepszenia wydajności rodziny. Prokury były dla nas jak bracia i siostry – małymi sztucznymi chłopcami i dziewczynkami, z którymi mogliśmy się bawić.

Tę ich cechę wykorzystano nawet marketingowo jako atut programu.

Kto w dzisiejszym zabieganym świecie ma jakiegokolwiek wolne chwile, by spędzić choćby jedno dziecko, że o drugim nawet nie wspomnę? Prokury wypełniły niszę rynkową, tworząc swoisty cyfrowy klon dziecka, będący jego towarzyszem zabaw, opiekunem, korepetytorem, a nawet bliźniakiem – w zależności od punktu widzenia i zapatrywań moralnych.

Śluzę otworzyły się w okolicach naszych czwartych urodzin.

W tym czasie otrzymaliśmy stopniowo jedno po drugim niezależny dostęp do naszych własnych systemów psis. Niczym małe zwinne rybki znikaliśmy i przenikaliśmy przez światy rozumiane przez naszych rodziców, by zapuszczać się coraz dalej w otwartą sieć. Wcześniej byliśmy ograniczeni do jednego ciała, ale wkrótce nauczyliśmy się mnożyć równocześnie nasze umysły w inne.

Rozpoczęło się panowanie dzieci psis w wielowszechświecie.



Pochyliwszy się w fotelu, skupiłam się na kilku kluczowych wydarzeniach rozgrywających się w światach, w których rozproszyłam świadomość, dostrajając jednocześnie parametry niektórych z łączących je prognoz futurologicznych. Wielowymiarowa matryca korelacji płynęła przez mój wyświetlacz. Przyglądałam się, jak się rozrasta, pulsuje i znika, kiedy prognozy pęczniały lub łączyły się ze sobą.

– Więc co o tym myślisz? – zapytałam.

– Wiesz, co myślę – odpowiedział Cunard, moja prokura, i rzeczywiście wiedziałam.

Podczas naszej rozmowy prowadziłam dziesiątki rozszczepionych konwersacji w innych wirtualnych światach, mając jednocześnie na oku reporty napływające od plutonu subprokur i botów zbierających i rozszczepiających dane wśród zaufanych i niezbyt zaufanych stron. Czułam koalescencyjną kaskadę nastrojów miliardów ludzi, a także subtelne zmiany w wydarzeniach w kolejnych miliardach światów, które przemierzali.

Czas wydawał się najwłaściwszy.

Rozszczepianie mojej świadomości cienką warstwą w tak szerokim zakresie było męczące, a ja zajmowałam się tym bez przerwy od czterdziestu godzin pod rząd, nawet spierając się z Willym. Za gałkami ocznymi czułam narastający ból. Tabletki Obudź-Się czyniły cuda do pewnego momentu, ale po całym długim tygodniu byłam wyczerpana.

Na szczęście praca przynosiła pierwsze rezultaty, bo czułam zmianę opinii światowej na temat projektu Infinixx. Potrzebowałam jedynie nieco więcej pewności, więc zacisnęłam zęby, przetańlam wiele oczu i skupiłam się wewnątrz, a potem na zewnątrz.

– Nancy!

Ktoś mnie wołał, celowo pomijając mój sensoryczny przepływ danych i korzystając z kanału awaryjnego. To złamanie procedury dodało mi wigoru,

lecz moja świadoma praca w sieci częściowo na tym ucierpiała. Był to oczywiście David, z czego zdałam sobie sprawę po ułamku sekundy zawieszonoego czasu. Westchnęłam, ale uśmiechnęłam się do jego twarzy, która właśnie mi się ukazała.

– Chodź, Nancy, chodź do Davey’ego. Już wystarczy. – On też się uśmiechał, ale dostrzegłam troskę w kącikach jego ust.

– Jeszcze trochę. Przepraszam.

Jeden z moich odłamków śledził go, ale straciłam z nim kontakt. Kiedy odzyskałam ten strumień, ujrzałam Davida panoszącego się w kuchni. Większa część mojej świadomości unosiła się nadal w niezliczonych umysłach i ciałach rozrzuconych po dziesiątkach światów. Sprawdziłam pulsującą matrycę korelacji po raz ostatni. Wszystko wyglądało dobrze, a to mi wystarczało.

Rozpoczęłam zamykanie sesji. Strumienie informacji popłynęły niczym fale uderzeniowe do wszystkich moich agentów w wielowszechświecie. Zamknęłam kognitywną sieć roboczą i poczułam, jakby ktoś uwolnił mnie od ciężaru przygniatającego mózg.

Ulga była niemal namacalna.

– Skończyłam, kochanie – oznajmiłam Davidowi. – I mam cudowne wieści.

– A ja mam cudowny obiad, który stygnie – odpowiedział radośnie.

Byłam bardzo spóźniona na ten obiad.

Kilkoma ożywionymi gestami przestawiłam agentów na autopilota i zostawiłam resztę Cunardowi. Moja przestrzeń robocza rozplynęła się, a zarys obiadu wyostrzył się w mych oczach.

David wybrał romantyczną scenerię. Na marmurowym kominku płonął i trzaskał ogieniek, po obu stronach stały teatralnie ułożone bukiety egzotycznych kwiatów. W gruncie rzeczy cały salon stanowił kompozycję z białego marmuru i tropikalnych kwiatów. Za otwartymi drzwiami na taras wznosiły się neoklasyczne kolumny, a atlasowe zasłony rozwiewał wiatr. Morskie powietrze mieszało się z zapachem płonących kadzidełek. W oddali dostrzegłam zarys – byłam niemal pewna – wybrzeża Amalfi.

Włochy, rzecz jasna. Wiedziałam, do czego to prowadzi.

Cunard siedział obok Davida przy stole i wyglądało na to, że grają w karty. Obok stała opróżniona w połowie butelka wina. Zanim wróciłam do swojego

ciała, Cunard wziął mnie na stronę w prywatnym kanale jeden na jeden.

– Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, ale ubrałem cię w tę małą czarną, którą tak lubisz – wyjaśnił. – Wydawało mi się, że to będzie najstosowniejsze, wzięwszy pod uwagę jego stan umysłu, ale nie chciałem ci przeszkadzać.

Spojrzałam po sobie. Seksownie, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

– Świetnie się spisałeś, Cunard. Bardzo ci dziękuję. Możesz nas teraz zostawić i pamiętaj, proszę, by przyglądać się matrycy korelacji i odbyć rozmowę z wydawcami „Financial Timesa”. Zostawiłam ci wszystkie notatki i instrukcje...

– Idź już, dziewczyno – roześmiał się Cunard. – I dobrze się baw. Przestań myśleć, choć na chwilę.

Z tymi słowami zniknął mi z oczu, a ja znalazłam się na dobre w swoim ciele.

Wyrazistość i bezpośredniość bycia tylko w jednym miejscu po tak długim rozszczepieniu wstrząsnęła moim zmysłem odbierającym bodźce wprost z ustroju. Miałam wrażenie, że kawałeczki mnie chcą się pochować po kątach i uciec z blasku twardej i szybkiej rzeczywistości, a przynajmniej z tego pojedynczego punktu obecności.

Mrugałam powiekami, starając się pozbyć tego wrażenia.

David uśmiechał się do mnie w skupieniu. Poruszył jednym z fantomów i schował karty do gry, a długi wypolerowany stół nakrył się do obiadu lśniącoymi sztućcami, zapalonymi świecami i haftowanymi serwetkami. David ujął mnie za rękę.

– No cóż, kogo my tu mamy? – powiedział z uśmiechem.

– Tak, a któż to na mnie czekał? – odpowiedziałam, odwzajemniając uśmiech.

Wyglądał jak włoski zawadiaka w obcisłych beżowych płóciennych spodniach i koronkowej białej bawełnianej koszuli rozpiętej niemal do pasa. Był opalony, jego policzki pokrywał dwudniowy zarost. Roześmiałam się, patrząc na niego.

– Okay, mój ogierze, daj mi minutę. Muszę wypić kieliszek wina, żeby się rozluźnić.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, *signorina*.

Szczerząc zęby, sięgnął drugą ręką po napełniony już kieliszek i podał mi go.

Puściłam jego dłoń, żeby odebrać kieliszek, i przystawiłam go do ust. Poczułam smak dojrzałego nebbiolo i zaczęłam się odprężyć.

David pogroził mi palcem.

– Zglądałaś do swojego inVerse'u? Kiedy byłaś zajęta, wpadli tu Vince i Patricia z jakimiś niecierpiącymi zwłoki sprawami. Vince miał jakąś dziwną prośbę... Tak czy inaczej, Cunard wszystko wie, a Patricia chciała porozmawiać z tobą o komunikacie...

– David – odpowiedziałam podekscytowana. – Chodzi o czas. Nadeszła idealna pora, żeby Infinix znalazł się na giełdach.

Wiedziałam, że chciał się kochać, ale nie mogłam się powstrzymać. Pękałam w szwach z podniecenia. Jednym z powodów, dla których byłam z Davidem, okazała się jego niewyczerpana cierpliwość, której nadużywałam nazbyt często. Z poczuciem winy zastanawiałam się, czy nie zdaje sobie przypadkiem sprawy, że nasz związek nie przetrwa zbyt długo i czy nie poświęca się za bardzo, żeby jednak tak się nie stało.

Błysk w jego oku zgasł, ale i tak zareagował entuzjastycznie.

– Uau! Jesteś pewna? Wejdiesz na giełdy przed komercyjną premierą psis? Możesz tak zrobić?

– Sprawdziałam wszystko po dwa razy. Wygramy, jeśli zrobimy to teraz. Jeśli Cognix wystartuje z psis, będziemy mieli pod górkę. Jimmy bardzo mi pomagał. Ale muszę szybko porozmawiać z Patricią. Nie będziesz miał nic przeciwko temu?

David posępnie pokręcił głową i zapatrzył się w scenerię. Ścisnęłam jego dłoń i zgłosiłam się do Patricii. Jej głowa pojawiła się chwilę później na jednym z moich wyświetlaczy, wciągnęła mnie do swojej rzeczywistości. Kątem jednego z multipleksowych oczu widziałam, jak David się dąsa i upija łyk wina. Wstał, żeby dołożyć bierwion do ognia.

– Więc jesteś pewna, że chcesz z tym wystartować? – zapytała z miejsca Patricia.

– Absolutnie! – zawołałam, zanim zdałam sobie sprawę, gdzie jestem.

Wszyscy w pubie odwrócili ku mnie głowy. Zmaterializowałam się na czymś, co przypominało starą kościelną ławkę wciśniętą w róg starego angielskiego pubu. Goście w końcu zajęli się sobą i rozległ się zwykły szum głosów.

– Dobrze. Będę zatem naciskała ze swojej strony. Pilnujesz testów w Nowym Jorku?

– Tak, ciociu. – Zawsze czułam się przy niej jak dziecko. – Oczywiście, że tak.

Uśmiechnęłam się do Alana, jednego ze starych mentorów Patricii, który siedział naprzeciw mnie. Kiwnął do mnie głową.

– Świetnie. Rozpocznę kampanię w radzie.

Nie mogłam powstrzymać podniecenia, ale byłam też zdenerwowana. Zdałam sobie sprawę, że to się rzeczywiście wydarzy, że wszystkie moje marzenia się spełnią. Ale był też inny powód, dla którego chciałam z nią rozmawiać.

Zmrużyłam oczy i odetchnęłam głęboko, nie wiedząc, jak zacząć.

– Masz jeszcze coś? – zapytała Patricia, wyczuwając moje wahanie.

– Co się dzieje z wujem Vince’em? – wyrzuciłam to z siebie.

Nieustannie napływały raporty o tym, że ściga się ze śmiercią, oraz plotki, że sprzedaje po kawałku swoje olbrzymie, nawet jeśli nieco przypadkowo budowane, imperium. Vince nie był moim prawdziwym wujkiem, ale znałam go przez całe życie. Był najbliższym przyjacielem Patricii, która przed niemal pięćdziesięciu laty była promotorką jego pracy dyplomowej w MIT. Od tamtej pory pracowali razem i utrzymywali bliskie kontakty.

Tym razem westchnęła Patricia, a jej oblicze spochmurniało. Myślałam, że podzieli się ze mną jakąś straszliwą tajemnicą, ale powiedziała tylko:

– Nic się nie dzieje z Vince’em, zupełnie nic.

– Jak to? – To, co się działo, z pewnością nie było „niczym”.

– Trochę się wygłupia. – Ciocia Patty wzruszyła ramionami, ale jej oczy mówiły więcej.

– Okay... Skoro tak twierdzisz... – przerwałam, mając nadzieję, że coś doda, ale nie zrobiła tego. – Powiedz mi tylko, jak mam cię wesprzeć w radzie.

– Powiem. A skoro już o radzie mowa, to spodziewamy się ciebie jutro na Międzynarodowym Bankiecie, czy tak?

– Na pewno przyjdę.

Ciocia Patty zawahała się.

– Doktor Baxter wspomniał, że być może weźmie ze sobą Boba... – Pozwoliła, by jej słowa zawisły w powietrzu.

– Ja przyjdę sama – odpowiedziałam z uśmiechem. – To oficjalne przyjęcie, David zanudziłby się na śmierć.

– Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli o tym wspomnę. – Patricia odwzajemniła mój uśmiech. – A teraz wracaj i korzystaj z wieczoru!

Kiedy zniknęła, znów czułam podniecenie.

– To fantastycznie, Nance, to naprawdę doskonałe wiadomości! – ucieszył się David po moim powrocie do stołu. Stracił pewność siebie, wahał się, ale miłość do mnie świeciła w jego oczach. Choć bardzo się starałam, moje serce nie potrafiło jej odwzajemnić do końca.

– Chodź tutaj, mój wielki, niedobry chłopcze – szepnęłam uwodzicielsko, by ukryć własną niepewność.

Chwyciłam go za rękę i przyciągnęłam do siebie z przeciwnej strony stołu. Nie trzeba go było zachęcać, obdarzył mnie mocnym, władczym pocałunkiem, rozchylając mi językiem wargi. Czułam jego dłoń sunącą w dół pleców, chwytającą mnie mocniej, przyciągającą bliżej do siebie – nasze ciała spotkały się.

Oboje niemal w tym samym czasie skorzystaliśmy z wymiany bodźców; roześmiałam się, przywierając do niego wargami, kiedy mój punkt widzenia stał się jego punktem widzenia, dzięki czemu poczułam jego siłę i podniecenie. Spoglądałam w swoje własne oczy, a on wpatrywał się z nich we mnie, nasze zmysły migotały w tę i z powrotem niczym dwa lustra odbijające w nieskończoność swój obraz.

– A co z obiadem? – zapytałam bez tchu, kiedy nasze ciała kołysały się razem i osuwały na podłogę, by zdjąć z siebie ubrania.

– To jest obiad – wydyszał.

Zamknął fazowo naszą wymianę bodźców, więc śledziliśmy się nawzajem. Byłam nim, a on był mną, nasze kanały sensoryczne nakładały się na siebie, kiedy zaczęliśmy się kochać. Byłam w tym niemal cała, choć najważniejsza część mnie pozostała gdzie indziej.

Ale jeśli nie można być z tym, kogo się kocha, kocha się tego, z kim się jest.

A przynajmniej próbuje.

5

Tożsamość: William McIntyre

Miałem kolejną straszną noc. Z limitem odłamków ograniczonym do dziesięciu, byłem zmuszony przenieść coraz więcej zasobów do Phuture News Network. Nadal biłem rynek na łeb, na szyję, ale przestałem być gwiazdą, jak kiedyś.

– Zjemy razem śniadanie? – zapytała Brigitte ze szczoteczką do zębów w dłoni.

– Szczęście moje, wiesz, że nie mam dzisiaj czasu.

Spojrzałem na swoją posmarowaną kremem do golenia twarz w lustrze. Od czasu do czasu lubiłem naprawdę się ogolić. To pozwalało mi wrócić do siebie po nocach spędzonych w odłamkach w wielowszechświecie.

– Wally mógłby cię ogolić – zasugerowała potulnie. – Od tygodnia nie jedliśmy razem śniadania.

Nadała się.

– Brigitte, błagam... Wiesz, że lubię się golić samemu od czasu do czasu – warknąłem. Dlaczego nie da mi zwyczajnie spokoju?!

Jej zranione spojrzenie odbijało się obok mojego w lustrze. Wziąłem głęboki oddech, żeby ją przeprosić, ale już zniknęła bez słowa. Bardot, jej prokura, wpatrywała się we mnie z ciała Brigitte, kręcąc głową i przewracając oczami. Wypluła pastę do zębów do zlewu, podała mi szczoteczkę i wyszła.

Nie czułem się z tym fajnie, ale naprawdę potrzebowałem więcej czasu dla siebie.

Wytarłem parę z lustra, skupiłem się na swojej twarzy i zacząłem się golić. Coś mnie zaswędziało i podrapałem się w ramię, trzymając wysoko brzytwę.

Co ja zrobię? Wszystko zaczęło mi się udawać, a teraz Nancy rujnuje mi przyszłość.

Szlag!

Wsunąłem dłoń pod pachę, żeby się podrapać.

Co za cholera?

Szyja też mnie swędziła. Rzuciłem brzytwę na umywalkę i zacząłem się wściekle drapać. Czułem się tak, jakbym miał mrówki pod skórą.

Na sekundę udało mi się przestać drapać i przyjrzałem się ramieniu. Ze zdumieniem ujrzałem mały guz pod skórą. Poruszył się! Zaatakowałem go wściekle, rozdrapując skórę, aż popłynęła krew. Spojrzawszy w lustro, zauważyłem z przerażeniem, że mam twarz pokrytą czyrakami. Dotknąłem policzków, czując pełzającą pod skórą masę.

– Wally! – zawołałem.

Za zasłoną prysznic rozległ się wybuch śmiechu. Od razu zorientowałem się, co się dzieje.

– Wy dupki! – wykrzyknąłem, odwróciłem się i rozsunąłem zasłony, a z mojej twarzy spadały i uciekały robaki, stonogi i inne ohydztwo.

Bob, Martin, Sid i Vicious ryczeli ze śmiechu, obejmując się za barki w małym prysznicu.

– Szkoda, że nie widziałeś swojej gęby, kolego! – rechotał Vicious, a łzy spływały mu po policzkach, kiedy wspierał się na zgiętym w pół i ryczącym ze śmiechu Sidzie. Bob szczyrzył zęby, obejmując ramionami pozostałych i kręcąc głową. Nie potrafiłem powstrzymać się od śmiechu, mimo tego, co mi zrobili.

– W porządku, jeden zero dla was. Sid, niech to się skończy.

Swędzenia ustało, a robale przestały się wiercić. Potarłem dłonią całkiem już normalną twarz, czując resztki pianki do golenia i zarost.

– Wybacz, człowieku – powiedział Sid, wciąż ocierając łzy. – Kiedy poprosiłeś Vince’a o upgrade Phuture News, wrzuciłem do niego skórkę, a ty ją autoryzowałeś. Musisz bardziej uważać na to, co robisz!

– To był pomysł Martina! – dodał Vicious, szturchnąwszy Martina w ramię.

– Naprawdę? – mruknąłem, kręcąc głową i uśmiechając się do Martina. Odwzajemnił nieśmiało uśmiech. Cieszyłem się, że dobrze mu się układa z Bobem.

Nie pamiętam, żebym autoryzował transakcję, o której mówili, ale Wally wywołał ją już w moim inVersie żebym się jej przyjrzał. Potrzebuję więcej snu.

– Tak czy inaczej – dodał Bob – prawdziwym powodem tej eskapady było przypomnienie naszemu najbardziej zapracowanemu przyjacielowi o umówionym wypadzie na deskę. – Uniósł brwi na potwierdzenie.

Uśmiechając się, potarłem mostek nosa.

– Taa, okay, jasne, co powiecie na koniec dnia? Przyda mi się przerwa.

– Znakomicie! – odparł Bob. – Okay, chłopaki, zostawmy naszego kolegę, żeby dokończył to, co robił.

Z tym słowami zniknęli, a ja znów zostałem sam w łazience. Nie licząc Wally’ego, który usiadł na toalecie.

– Nie było w tym niczego groźnego – zaczął się tłumaczyć, nim otworzyłem usta. – Doszedłem do wniosku, że dobrze będzie, jeśli pośmiejecie się z Bobem. Prawie w ogóle już się z nim nie spotykasz.

Przewróciłem oczami, ale do golenia wróciłem z uśmiechem na ustach.

I właśnie wtedy dostałem od Jimmy’ego zaproszenie na lunch.

Przestałem się golić i wywołałem wyświetlacz, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, ale wiadomość była krótka. Nie widziałem się z Jimmym ani nie rozmawiałem z nim od lat, dlaczego u licha dzwoni do mnie teraz?

Jimmy był adoptowanym bratem Boba. Teraz stał się złotym chłopcem, ale wcześniej był dziwakiem i nigdy do nas nie pasował, a może nigdy nie wiedział, jak się dopasować. Przeżywał ciężkie chwile, dorastając, a ja potrafiłem mu współczuć, bo sam wiedziałem, co znaczy opuszczenie przez kogoś z rodziców. Próbowałem trzymać z nim w tamtych czasach, przynajmniej do incydentu na urodzinach Nancy.

Później prawie nie rozmawialiśmy.

Niektóre dzieciaki są jak brzydkie kaczątka i zamieniają się w łabędzie, kiedy dorosną. Jimmy został gwiazdą dziecięcego programu psis – małym celebrytą. Szybko awansował i miał mnóstwo wpływowych przyjaciół. Był odpowiednią osobą do odnowienia znajomości. Może nawet zdoła mi pomóc?



- Trzymasz się blisko z Susie – wyjaśnił podczas lunchu. Najwyraźniej chciał, żebym go z nią umówił. Susie była bliską przyjaciółką z dzieciństwa. – Jeśli mi pomożesz, może ja zdołam pomóc tobie. – Uniósł brwi.

- Prawdopodobnie się uda – przerwałem. – A w czym twoim zdaniem mógłbyś mi pomóc?

Jak dla mnie Susie do niego nie pasowała, ale o gustach się nie dyskutuje.

- Sądzę, że mógłbym ci się przydać – zaczął Jimmy, przyglądając mi się uważnie – załatwiając ci dostęp do rozszczępień wyższego rzędu.

O mało nie stanęło mi serce. Wiedział, oczywiście, o moim ubocznym projekcie, ale był przecież szefem systemów bezpieczeństwa świadomości na Atopii. Musiał wiedzieć.

- Doprawdy? – udawałem brak zainteresowania. – Podwoisz ustawienia mojego konta czy coś?

- O wiele więcej niż to – roześmiał się. – Mogę ci pokazać, jak obejść system, żeby mieć niemal nieograniczony dostęp do rozszczępiania. Zdmuchniesz konkurencję z rynku.

Zerknąłem na lśniącą błękitnie zasłonę bezpieczeństwa wokół nas.

- Nikt inny nie wie, o czym rozmawiamy, prawda?

Sprawdziłem zasłonę za pomocą fantomów, szukając w niej dziur, ale to była rzecz jasna strata czasu.

Jimmy wyszczerzył zęby jak wilk.

- Jestem ekspertem od bezpieczeństwa, pamiętasz?

- Zgadza się. – Jego pomoc bardzo by mi się przydała. To była szansa, na którą czekałem. – Więc jaką mamy umowę, panie Bezpieczny?

- Jeśli umówisz mnie na randkę z Susie, ale myślę o poważnej randce, rozumiesz ... – Znów uniósł brwi. Kiwnąłem głową, dając mu do zrozumienia, że wiem, o co chodzi. – ...to załatwię ci to, czego potrzebujesz.

- Ale to nie przejdzie tak, żeby nikt się nie dowiedział – mruknąłem z lekkim niedowierzaniem. – Bez ryzyka?

- Nikt się nigdy nie dowie. Wytłumaczę ci...

6

Tożsamość: Nancy Killiam

– Olympio – szepnęłam do testowanego obiektu leżącego w łóżkowej kapsule przede mną.

Żadnej reakcji.

Jej umysł nadal znajdował się w czyścicu między świadomością a jej brakiem.

Znajdowałam się w zrobotyzowanym ciele w lekarskim gabinecie na Manhattanie, żeby osobiście dopilnować zakończenia nowojorskich testów klinicznych. Po wielu latach dotarliśmy niemal do końca procesu i Cognix miał już prawie w kieszeni aprobatę FDA[6]. Aprobata w Ameryce doprowadzi do kaskady zgód na działalność wyrażanych przez inne superjurysdykcje na całym świecie.

Był to krytyczny moment dla przyszłości Cognix Corporation, a co za tym idzie całej Atopii.

Ciocia Patricia dała mi jasno do zrozumienia, że sprawa ma priorytetowy charakter, byłam więc tu osobiście, a przynajmniej część mnie była tu osobiście. Odłamek, któremu kazałam kontrolować to zrobotyzowane ciało, krążył na dalekich peryferiach mojej świadomości i był tylko głosem w tle. Kiedy Olympia zaczęła się poruszać, odłamek wbił się głębiej w matrycę świadomości, kłując mnie w mózg i kierując moją uwagę ku temu miejscu; mój umysł automatycznie wyrównał obciążenie innymi zadaniami i miejscami, i ludźmi, którymi się zajmowałam, przekazując wszystko mojej prokurze oraz innym odłamkom.

– Olympio! – zawołałam ponownie, głośniej. Poruszyła się i zamrugła, co było sygnałem nieuchronnie zbliżającej się aktywności i co na dobre

powiązało moją świadomość z tą przestrzenią.

Mój umysł zadrżał przed sobą chłodną, zamkniętą rzeczywistością, w której się znalazł.

– Czy rozszczepiona świadomość naprawdę działa? – szepnął jeden z odległych odłamków, uczestniczący w konferencji prasowej w Australii. – Tak – odpowiedział ten sam odłamek. – Rozmawiając z wami, prowadzę jednocześnie testy kliniczne w Nowym Jorku.

Nasłuchiwałam także innych strumieni mojej świadomości, ale były one zaledwie słabymi pomrukami w tle mojej fizycznej obecności w lekarskim gabinecie w Nowym Jorku.

Podniosłam wzrok ku panelom oświetleniowym wiszącym pod sufitem, czując, że moje zrobotyzowane źrenice zwężają się i rozszerzają, dostosowując się do jasności, a potem opuściłam wzrok na Olympię i ujęłam jej głowę plastikowymi dłońmi.

Powoli otworzyła oczy, jej umysł wydobywał się spod wpływu środków nasennych. Nie widziała jednak pochylonego nad nią robota. W jej układzie nerwowym zainstalowano psis, więc naciągnęłam na to zrobotyzowane ciało rzeczywistą skórę, tak by w jej oczach przypominać najbardziej troskliwą i kochającą osobę, którą znała, amalgamat ludzi, z którymi według systemu była najbliżej.

– Tak.

Ledwo odzyskała przytomność, a już czuła irytację.

– Komuś przydałaby się jeszcze drzemka – mruknęłam. – Proszę, pomogę pani wstać i ubrać się.

Olympia była wyjątkowym przypadkiem i jedną z kluczowych zewnętrznych specjalistek od marketingu kładących fundament pod komercyjną premierę psis nieco później w tym roku. Trafiła do programu niemal w ostatniej chwili, za sprawą doktora Hala Grangera, jednego ze starszych szefów wykonawczych Cognixa i naszego czołowego psychologa. Jej dokumentacja lekarska wskazywała na ostre stany lękowe, co z pewnością kwalifikowało ją do programu, ale dziwne, że trafiła do niego tak późno.

– Jak długo spałam? – zapytała poirytowana Olympia, opierając się na łokciach w łóżku.

– Hmm... – odpowiedziałam, kiedy mój umysł asymilował niewielki strumień informacji od odłamka, który się nią tutaj zajmował. – Powiedziałabym, że jakieś dwie godziny. Wszystko działa idealnie. Właśnie aktywowaliśmy system. Pani prokura wyjaśni wszystko, kiedy znajdziecie się w domu. Obudziłabym panią wcześniej, ale spała pani tak słodko...

Z gniewną miną opuściła nogi ponad krawędzią kapsuły i usiadła. Chciałam jej pomóc odzyskać równowagę, ale odepchnęła mnie.

– Już dam sobie radę, wielkie dzięki. – Machnęła ręką.

Wzruszyłam ramionami i pochyliłam się, by podać jej rzeczy. Zastanawiałam się, czy agresywny nastrój Olympii był stymulowany przez jakąś psychoaktywną reakcję na bodźce psis, ale na wyświetlaczu ujrzałam zestaw notatek klinicznych. „Ona zawsze jest taka”. Zatem wszystko było w porządku. W gruncie rzeczy wszystkie inne raporty sygnalizowały, że mamy do czynienia z kolejną idealną instalacją psis.

– Zadbam o to, by mogła pani porozmawiać z doktorem przed wyjściem; chce zamienić z panią dwa słowa – powiedziałam, wychodząc i czekałam na zewnątrz, aż skończy się ubierać.

Po kilku sekundach była już gotowa. Wyszła szybkim krokiem i ruszyła korytarzem, celowo unikając patrzenia w moją stronę. Przyglądałam się jej bacznie, wypatrując oznak drżenia czy wręcz drgawek, które mogłyby świadczyć o problemach z korą motoryczną. Ale szła zgrabnie, a nawet z wdziękiem, tyle że jej wdzięk nie był na szczęście moją sprawą.

Wsunęła głowę do gabinetu lekarskiego, a ja podeszłam bliżej, żeby przysłuchiwać się rozmowie.

– Jak się pani czuje? – usłyszałam pytanie doktora. – Proszę wejść.

– Nie, nie, nic mi nie jest. To znaczy, chcę się rozruszać. Mam sprawy do załatwienia. Proszę więc powiedzieć mi szybko to, co powinnam wiedzieć.

– Dostała pani do dyspozycji bardzo potężne narzędzie. Proszę na nie uważać – tłumaczył doktor – i nie aktywować jeszcze żadnej z funkcji rozszczepiania świadomości.

– Rozszczepiona świadomość! – parsknęła Olympia, odwracając się ku mnie. – Skąd im się biorą te pomysły?

Uniosłam brwi. Odłamek, wyczuwając, że skończyłam tu swoją pracę, zaczął

wycofywać się na obrzeża mojej świadomości, by stać się kolejnym głosem w sensorycznym tłumie. Kiedy to robił, dręczyło mnie pytanie Olympii, a część mojego umysłu powędrowała gdzie indziej, cofnęła się w czasie ku mojemu dzieciństwu.



Początki Infinixxa sięgają zabawy wymyślonej przez dzieci psis, nazywanej tagowanym berkiem. Podczas przerwy w lekcjach na zalesionym dziedzińcu szkolnego podwórka nieustannie bawiliśmy się w tagowanie, skacząc i goniąc jedno drugie podczas gry, która w oczach dorosłych wyglądała zupełnie nonsensownie. Dla nas była jednak wspaniałą rywalizacją o skomplikowanej strukturze.

Nie używaliśmy psis tylko do zapuszczania się w wirtualne światy. Jako dzieci opanowaliśmy jako pierwsi sztukę porywania ciał – wkradania się w kanały sensoryczne i przejmowanie kontroli nad ciałami innych.

Choć brzmi to groźnie, wcale takie nie było. Nasze prokury nadzorowały dzielenie się kontrolą nad ciałem. Pozwalały gościowi niemal na wszystko, o ile nie wyrządzał krzywdy ciału, w którym przebywał, czy nie robił czegoś, czego sami nigdy byśmy nie zrobili czy powiedzieli. Prokury nadzorowały także samo przejście, oddawanie i przejmowanie kontroli, wszystko więc szło gładko i bezpiecznie.

Czasami robiło się straszne zamieszanie, ale na tym polegała zabawa. Kiedy mieliśmy dosyć, kiedy nie przebywaliśmy we własnym ciele, wypożyczywszy je komuś czy wysławszy je do innego świata, zawsze mogliśmy skorzystać z Wujka Guzika i wrócić do siebie.

Więc nigdy nie oddalaliśmy się za bardzo od domu.

Tagowany berek, kimkolwiek był, przenosił swoją świadomość z jednego ciała do drugiego, próbując schwytać i dotknąć kogoś innego, a wszyscy piszczeli, krzyczeli i przeskakiwali z jednego ciała do drugiego, resetując się przypadkowo za pomocą Wujka Guzika. Było to bardzo dezorientujące, zupełnie szalone oraz wściekle zabawne i kiedy dorastaliśmy na Atopii, nic nie

mogło temu dorównać.

Początkowo była to bardzo prosta gra, która z czasem stała się skomplikowana, bo wymyślaliśmy coraz więcej zasad i reguł. Oczywiście nie graliśmy tylko w tym świecie, ale przeskakiwaliśmy do nieskończonych światów wielowszechświata, po których podróżowaliśmy. Właśnie wtedy, podczas zabawy w zaawansowane formy tagowanego berka, po raz pierwszy doświadczyliśmy rozszczepienia świadomości, starając się zapamiętać wszystkie nowe ciała, które mnożyliśmy, pędząc przez światy ognia, wody, lodu, i nieba, zamieszkując stworzenia i ciała, i mając do czynienia z fizyką nierozpoznawalną w empirycznej przestrzeni normalnych ludzi.

Nie zdawaliśmy sobie wówczas sprawy z tego, co robiliśmy. Wszystko przychodziło nam bardzo naturalnie.

Kiedy staliśmy się nastolatkami, wielu z moich rówieśników popadło w potrzebę wywyższania się. Tylko ja zastanawiałam się głębiej nad tym, co się z nami stało, i rozkładałam na czynniki pierwsze, jak mogło do tego wszystkiego dojść.

Tak wyglądał początek Infinixxa.

Ciocia Patricia pielęgnowała moje pomysły, tworzyła dla nich przestrzeń i oświetlała je, żeby rosły. W gruncie rzeczy była moją praprapraciotką, a dla wszystkich innych słynną doktor Patricia Killiam, matką chrzestną rozszerzonej rzeczywistości i prawą ręką Kesselringa. Dla mnie zawsze pozostała ciocią Patty.

– Więc naprawdę potrafisz prowadzić pięć rozmów jednocześnie? – zapytała mnie pod koniec burzliwego przyjęcia z okazji moich trzynastych urodzin.

Po ceremonii nadania mi imienia postanowiłyśmy pospacerować po Niemożliwej Krainie przez pola lawendy, pośród olbrzymich fruujących stokrotek. Trzymałyśmy się za ręce. Ciocia Patty odsuwała dłońią kwitnące kwiaty z naszej dróżki, bo próbowałyśmy dotrzymywać sobie kroku, żeby nie odlecieć zbyt wysoko lub zbyt nisko, tylko iść prosto przed siebie. To była zabawa, jak niemal wszystko.

– Robię to właśnie teraz! – zachichotałam i odbiegłam od niej, unosząc się nad polem, ale niezbyt wysoko, żeby nie pochwyciły mnie krążące nad nim levantoury.

Przystanąłam, odwróciłam się i przyglądałam, jak nadchodzi, a potem opadłam powoli, wychodząc jej na spotkanie. Rozmawiałam wtedy o chłopcach z moją przyjaciółką Kelly z Wielkiej Oddali – tematem był oczywiście Bob – a także z Willym o tym, w jaki sposób przejął kontrolę nad całym bojowym batalionem żołnierzy podczas inwazji na Normandię; próbowałam również pocieszyć Jimmy’ego po paskudnym incydencie na przyjęciu.

– To proste, ale potrafię znacznie więcej. Gdybym się uparła, mogłabym rozmawiać nawet z setką ludzi na raz – pochwaliłam się.

– Och, Nancy, nie dworuj sobie ze swojej starej ciotki i wyznaj, proszę, prawdę.

Wpatrywałam się w nią z uśmiechem.

– Wystarczy o tym pomyśleć we właściwy sposób.

[6] Food and Drug Administration – amerykańska Agencja Żywności i Leków [przyp.tłum.].

7

Tożsamość: William McIntyre

Westchnąłem, ale radośnie. Siedzieliśmy na deskach, zanurzeni po brzuch w wodzie, a pod nami poruszała się łagodnie ciemna masa. Wielkie białe rekiny rozpoczęły właśnie wieczorną zbiórkę śmieci z podmorskiej półki. Bob też je zauważył. Uśmiechnął się.

– Było wspaniale! – rozpromienił się. – Tak się cieszę, że zdołałeś dzisiaj dotrzeć.

– Obiecałem ci to, prawda?

– Czasem obietnice niewiele znaczą – napomniał mnie łagodnie, z uśmiechem. – Przynajmniej ostatnio.

Zachodzące słońce malowało różowymi i pomarańczowymi chmurami koniec dnia jak z obrazka. Kołysaliśmy się spokojnie na wodzie, a potem kolejny wielki biały żarłacz przemknął bezszelestnie pod nami. Czas się zbierać.

– Masz rację – odpowiedziałem. – Praca mnie ostatnio wykańcza.

Pochyliliśmy się obaj i rozpoczęliśmy leniwe wiosłowanie ku plaży.

– Jestem pewny. Ale dziś wyglądasz na bardziej odprężonego.

Po rozmowie z Jimmym w końcu dostrzegłem światelko w tunelu, a może nawet możliwość prawdziwego przełomu.

Bob, który mnie wyprzedził, odwrócił głowę i uśmiechał się do mnie ponad ramieniem.

– Do zobaczenia na plaży! – zawołał i skręcił gwałtownie. Zastanawiałem się, z jakiego powodu tak się uśmiecha, kiedy nagle moja deska stanęła dęba i wyrzuciła mnie do przodu. Śniąc na jawie, zapomniałem, że jestem w wodzie.

- Dzięki...! - tylko tyle zdołałem krzyknąć, zanim zachłysnąłem się słoną wodą, fikając kozła, kiedy wielka fala załamała się nade mną.



Surfowanie stawało się legendą. Wielkie sztormy na Pacyfiku tworzyły potworne fale i spędziliśmy popołudnie, dosiadając grzywaczy mierzących po dwadzieścia stóp, ku zachwytom gawiedzi przyglądającej się nam z plaży.

Bob wybrał sobie parę turystek, by uprawiać surfowanie w tandemie - sport, który niemal sam przywrócił do życia. Dopiero pod koniec dnia zdołaliśmy się ich pozbyć; musiałem dać im jasno do zrozumienia, że spędzimy wieczór tylko we dwóch.

Kiedy usiedliśmy w barze w chacie tiki na plaży, pod markizą z palm rosnących na obrzeżach sypkich piasków, zapadały ciemności. Bob i Sid byli już nawaleni, ja kończyłem szóste piwo, którego część wylała mi się z ust podczas ataku śmiechu.

Jakaś starsza pani, turystka, mijała nas zgarbionych na stołkach przy barze. Jej piersi kołysały się w przód i w tył na wysokości kolan. Całości dopełniała groteskowo wystająca pupa, a wszystko to wylewało się z jej skromnego bikini i bujało w tę i z powrotem w przeciwnych sobie rytmach.

Sid włączył nową skórkę rzeczywistości, którą sam stworzył i nazywał Oklapniętą. Skórka ta uwypuklała cechy fizyczne kobiet, na które patrzyliśmy, w zależności od uwagi, jaką nam poświęcały. Właśnie wskazał nową ofiarę, która zmierzała do baru i spojrzała na nas tak groźnie, że jej cycki dosłownie wyrosły jak grzyby po deszczu i odbiły się od plaży.

- Sid, zabijasz mnie! - zakrztusiłem się, wycierając ślinę z ust.

Usiłowałem rozpaczliwie odwrócić wzrok od przyglądającej się nam podejrzliwie kobiety. Jej złość pogarszała sprawę, bo gigantyczne wymiona zakryły ją niemal całkowicie, a opadający tyłek ciągnął się za nią po plaży.

- To Blob[7]! - zaskrzeczał Vicious z udawanym strachem, patrząc na kobietę szeroko rozwartymi oczami. - Uciekajcie natychmiast! W nogi!

By pokazać, że nie żartuje, rzucił się na łeb, na szyję ku dżungli za barem.

Zgięty w pół, wyłem ze śmiechu. Nabrzmiały, toczący się obiekt naszego zainteresowania obrócił się ostro na pięcie i powlókł się dalej przez plażę, najwyraźniej nie potrzebując już drinka. Oddalając się od nas, kobieta wracała do normalnych proporcji.

– Och – westchnąłem, wycierając łzy i chichocząc. – Powinniśmy robić to częściej.

– Robimy to codziennie, synu. Rzecz w tym, że ty powinieneś robić to częściej – skarcił mnie Vicious, wyglądając ostrożnie z krzaków na ostatnią ofiarę.

Miał rację.

– William! – krzyknął ktoś w moim awaryjnym kanale audio. Brigitte.

Wally zmaterializował się obok mnie.

– Lepiej odbierz to od razu, jest wkurwiona.

Przejął kontrolę nad moim ciałem i oddaliłem się szybko, żeby porozmawiać z moją dziewczyną.

– Tak, odłamku mej duszy? – zapytałem, kiedy zasiadłem w przestrzeni roboczej, żeby odebrać rozmowę. Moje oblicze emanowało niewinnością. Stała przede mną, piorunując mnie wzrokiem.

– William, pracuję do późna. Kończyłam właśnie ostatnie rozmowy i nagle piersi osoby, z którą rozmawiałam, zaczęły puchnąć i wylały się na stół, co było zupełnie nie na miejscu i sprawiło mi wstyd.

O kurwa. Zapomniałem, że dzielimy ze sobą rzeczywistość.

– Ach, przepraszam cię, żartowaliśmy sobie trochę z chłopakami...

– Jesteś pijany! – stwierdziła oskarżycielsko. – A ty i twoi koledzy jesteście prosiętami!

– Nie wygłupiaj się...

– *Cochon!* – dodała, kręcąc głową.

– Dzielę się z tobą moją rzeczywistością, bo sama o to prosiłaś. To nie było nic wielkiego.

– Willy – odezwała się cicho, a potem przerwała, wbijając wzrok w ziemię.

Czekałem.

– Nie widziałam cię od tygodni, niemal miesiący – ciągnęła. – Nie masz czasu, żeby zjeść ze mną siadanie, ale masz czas... ach... *ça fait rien*.

Sfrustrowany, wyłączyłem po swojej stronie współdzieloną rzeczywistość.

Nie widziałem się z chłopakami od tygodni, a każdą wolną chwilę starałem się spędzać z Brigitte. To nie moja wina, że muszę koncentrować się coraz bardziej i bardziej na tej mojej pokątnej pracy. Po wprowadzeniu przez Nancy limitu odłamków, moje konto w banku zamieniało się w studnię bez dna.

Czułem się zaszczuty.

Zapadła cisza, pełna pretensji z obu stron.

– Willy, myślę, że powinniśmy porozmawiać – oznajmiła, przyglądając się bacznie mojej twarzy.



Kiedy Brigitte kończyła pracę, wróciłem do chłopaków. Popsuła mi humor, więc pożegnałem się z nimi i usiłowałem zająć się przez chwilę robotą. Ale zaraz znów odezwała się Brigitte i pojawiła na krótko w mojej przestrzeni roboczej. Popatrzyła ze smutkiem na to, co ją zastępuje, a potem ujęła mnie za rękę i przeniosła nas w cichy zakątek plaży.

Dzień kończył się przepięknym, łamiącym serca wieczorem. Wschodzący rogalik księżycy rzucał iskrzący się dywan na atramentowe morze. Fale pieściły brzeg, a Brigitte trzymała moją dłoń i powoli poprowadziła mnie po wilgotnym piasku nad krawędzią wody. Zostawialiśmy za sobą mokre ślady stóp.

– Willy – zwróciła się do mnie błagalnie. – Kocham cię, ale już nie daję sobie z tym rady. Proszę, załatwmy to jakoś. Powiedz mi, czego potrzebujesz.

– Ja też cię kocham, ale... mam wrażenie, że wyznaczyliśmy sobie inne cele w życiu – odpowiedziałem. – Teraz muszę skupić się na interesach.

Cisza, bolesna przestrzeń ciszy między słowami, zmieniająca światy.

– Nie chcę cię ranić – ciągnąłem. – Może najlepiej byłoby rozstać się na pewien czas, żebym mógł to wszystko uporządkować.

Spojrzała mi w oczy. W jej wzbierały łzy. Stopy Brigitte oderwały się od ziemi, płynęła przede mną w powietrzu, trzymając mnie za obie ręce. Oświetlona delikatnym monochromatycznym promieniem księżycy, przypominała unoszącego się przede mną ducha.

- Willy - załkała. - Chcesz, żebym odeszła?

Nie mogłem uwierzyć, że to robię, ale powoli kiwnąłem głową, patrząc jej prosto w oczy.

Zaczerpnęła powietrza i odwróciła głowę, jej ciałem wstrząsały konwulsje, gdy usiłowała powstrzymać łzy. Puściła moje dłonie i odleciała wysoko ku rozgwieżdżonemu niebu. Nie jak duch, ale jak anioł.

Szedłem przez chwilę samotnie brzegiem morza, zostawiając za sobą ślady, które zmywały fale. Brzeg wyglądał teraz tak, jakbyśmy w ogóle po nim nie szli.

Zbliżała się premiera Infinixxa i musiałem pospieszyć się, żeby wprowadzić w życie sugestie Jimmy'ego przed zakończeniem testów beta. Kiedy rozwinę skrzydła, wrócimy do siebie i będziemy żyć tak, jak zamierzaliśmy. Bo to, co zaplanowałem, zwali wszystkich z nóg. Muszę się tylko skoncentrować.

Wróciłem do pracy.

[7] *Blob, zabójca z kosmosu* („The Blob”) - amerykański horror fantastycznonaukowy z 1958 r. [przyp.tłum.].

8

Tożsamość: Nancy Killiam

– Każdy... wszędzie... o każdej porze.

Cisza.

– Więc? Co to znaczy? – zapytał w końcu reporter siedzący w pierwszym rzędzie na konferencji prasowej.

Przedstawialiśmy nasz nowy program marketingowy – E3 – „E” i „3” wystylizowane w logo i stojące naprzeciw siebie, tworząc symbol nieskończoności nad marką Infinixx. To było bardzo sprytne.

– E3 symbolizuje nieskończone możliwości, jakie niesie ze sobą przyszłość, którą powołujemy do życia – wyrzuciłam z siebie na jednym oddechu. – E3 to idea zapewniająca każdemu możliwości bycia wszędzie i gdziekolwiek o każdej wybranej porze, a także niebycia tam, gdzie nie chce.

Przerwałam przed finałem, by złapać oddech.

– Po raz pierwszy w dziejach ludzie mogą być nigdzie i wszędzie w jednym i tym samym czasie. E3 to symbol całkowitej wolności.

Kiedy uniosłam ręce ku tłumom, nagrodzono mnie gromką owacją. Nie byłam pewna, czy rozumiem to, co mówiłam, ale zdołałam przedstawić slogan bez cienia uśmiechu. Najważniejsze było to, że dział marketingu był nim zachwycony.

Rozproszona świadomość to niezła sztuczka; świat biznesu ekscytował się jednak przede wszystkim możliwościami zwiększenia wydajności. Sztuczne inteligencje i futurologia pchnęły wskaźniki do góry, ale ostatnio zapanował zastój w zwiększaniu przez nie zysków, a rozproszona świadomość stała się nowym modnym wytrychem w kręgach inwestorów.

Wiele grup zajmowało się czymś podobnym. Tyle że nasze bliskie związki z Cognixem oraz unikatowe umiejętności dzieci psis zapewniały nam przewagę, której nikt nie był w stanie zniwelować. Inwestorzy walili drzwiami i oknami.

Konferencja prasowa dobiegła końca, pozwoliłam więc uczestniczącemu w niej odłamkowi oddalić się i wyciągnęłam ten, który brał udział w zebraniu w sali posiedzeń rady Infinixxa.

Karen, moja menadżerka techniczna, wrzuciła mnie prosto w pewną usterkę, której doświadczyliśmy. Umysł szybko wypełniły mi obrazy zmiętej pościeli, bólu i winy, ćpunów gapiących się pustym wzrokiem przed siebie. Niepokój i desperacja ustąpiły miejsca skonfundowaniu, szalonym szeptom idei, które musiały coś znaczyć, ale nie miały dla mnie sensu. Potem coś jeszcze, zamknięta przestrzeń, byłam uwięziona w małym pojeździe, który stanął w płomieniach. W następnej chwili siedziałam, szcztokując włosy i wpatrując się w twarz, która nie należała do mnie.

Zamknęłam sieć odłamków, kończąc jednocześnie moją świadomą pracę w sieci.

– To jakiś błąd w kodzie – tłumaczyła Karen. – Subiektywne strumienie zaczynają się mieszać, pojawiają się też błędy z dopasowywaniem memów.

– Czy wiemy, na czym polega problem?

Szybko zbliżała się pora lunchu.

Budując naszą platformę technologiczną, sami z niej korzystaliśmy – w biurze, podczas spotkań z ludźmi – by zapewnić dowód na słuszność naszej koncepcji. Problem polegał na tym, że błędy w kodzie wracały cyklicznie, nasilając się.

– Tak nam się wydaje. Przeprowadzamy ostatnie kontrole jakości, zanim wypuścimy platformę do ekosystemu.

– Powód? – Przejechaliśmy już przez kilka progów zwalniających, ale nigdy wcześniej nie zetknęliśmy się z niczym tak poważnym.

– Wydaje mi się, że zmiana kodu gdzieś w warstwach jądra. Usiłujemy to rozwiązać.

– Jesteś pewna, że zdołacie sobie z tym poradzić? – To musiało zostać naprawione. – Za kilka minut mam kolejną konferencję prasową. Powiedz mi

prawdę.

– Tak – potwierdziła z przekonaniem Karen. – Rozwiążemy to.

Moja wiceprezes od zasobów ludzkich spojrzała na nas uważnie.

– Słyszaliście o Cynthii, tej nowej dziewczynie, którą zatrudniliśmy w administracji?

Cynthia była doskonałym nabytkiem, ale ostatnio zniknęła z radaru bez słowa. Ludzie znikający w jakiejś hedonistycznej cyberfantazji nie byli niczym niezwykłym, ale Cynthia była moją ulubienicą; sama ją wybrałam. Wydawała mi się bardziej odpowiedzialna niż reszta.

– Taa, słyszałam o tym. Jej funkcje neuronowe spadły z wykresów, ale nie mogą jej znaleźć, bo przebywa gdzieś w wielowszechświecie? – zapytała Kelly, moja partnerka biznesowa.

– To nie ma nic wspólnego z nami, prawda? – Odłamek zajmujący się tym spotkaniem umieściłam w centrum świadomości.

– Nie ma nic wspólnego z nami – potwierdziła Kelly. – Ale skoro już mówimy o rzeczach dziwnych, to co się dzieje z Vince’em Indigo? Widzieliście błyskawiczne śmiertelne tłumy, które przyciąga?

Przy stole rozległy się śmiechy. Zachowałam milczenie, nie chcąc zdradzać własnych podejrzeń.

– Tak czy inaczej, Rada Bezpieczeństwa przejęła już akta Cynthii – oznajmił Brian, nasz główny menadżer techniczny, włączając się do dyskusji. – Ale idźmy dalej. Skoro już mowa o Radzie Bezpieczeństwa, to co myślicie o nominacji Jimmy’ego?

– Uważam, że Jimmy jest wspaniały – powiedziałam.

– Jakżeby inaczej! – parsknęła Kelly. – Kolejny z klanu Killiamów na świeczniku, a jak wiadomo, wszyscy powinni być traktowani tak samo...

– Hej! – wykrzyknęłam. – To nie fair! Rodzina Jimmy’ego jest bardzo daleko spokrewniona z naszą. – Czułam, że czerwienią mi się policzki.

Wszyscy przewrócili oczami.

Jimmy rzeczywiście był ze mną spokrewniony, ale daleko – nasi pradziadowie byli kuzynami, więc nie wiem, kim my dla siebie byliśmy. Patricia zwróciła się do rodziny Boba z prośbą o zaadoptowanie chłopaka, który znalazł się pod jej opieką. Spotykałam się wówczas z Bobem; jako dzieci

byliśmy nierozłączni. Od tamtej pory szydzono ze mnie, że spotykam się z odległym kuzynem, nawet jeśli był to kuzyn przyrodni, przyszywany. Dziecięce docinki mają to do siebie, że przyklejają się do człowieka na zawsze.

Cunard dał mi znać, że za kilka minut rozpoczyna się kolejna konferencja prasowa, więc z radością uciekłam z zebrania.

– Muszę wycofać stąd ten odłamek. Macie coś jeszcze?

Rozejrzałam się po twarzach siedzących przy stole. Sala konferencyjna pulsowała cicho w kokonie rozszerzonej rzeczywistości. Było coś, o czym mi nie mówili – coś, o czym nie chcieli mi powiedzieć.

– Co?

Parę osób wbiło wzrok w podłogę. Karen nie znała miłosierdzia, a do mojej świadomości dotarły rozszczepione szczegóły procesu, który nam wytoczono.

– Jakiś gość z Minnesoty skarży nas o szkody emocjonalne po tym, gdy jego strumień sensoryczny skrzyżował się ze strumieniem jego nastoletniej córki.

– O... mój... Boże... – Szczegóły przepływały przez moje sieci. Dziewczyna wyszła z chłopakiem. Pokręciłam głową, w której pojawiły się moje własne wspomnienia z okresu dojrzewania. Niech szlag trafi tatusia, to ona po czymś takim już zawsze będzie żyła ze skazą. – I mówicie mi o tym dopiero teraz?

– Sprawa wpłynęła do sądu przed dziesięcioma minutami – odparł nasz radca prawny, wypożyczony z korporacji Cognix. Właśnie zmaterializował się przy stole.

– Czy naprawdę musisz w tym uczestniczyć? – zapytałam go. To było prywatne spotkanie.

Wzruszył ramionami.

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, czy pod koniec dnia będziesz nadal chciała prowadzić tę firmę – odrzekł lodowatym tonem, gapiąc się w sufit, a potem spojrzał mi prosto w oczy. – Musisz się tym zająć natychmiast.

Westchnęłam. Prawnicy byli tą częścią personelu, której nienawidziłam, ale prowadzenie Infinnixa nie zostawiało mi specjalnie wyboru.

– W światach medialnych nikt jeszcze o tym nie wspomniał?

Cunard sprawdził wszystkie doniesienia przez te kilka sekund, odkąd

dowiedzieliśmy się o problemie. Niczego jeszcze nie było.

– Nie – odpowiedział prawnik. – Zgodzili się tego nie nagłaśniać. – Rozejrzał się ze znudzeniem po sali, mierząc wzrokiem mój personel techniczny.

– Chcą iść na ugodę, jak sobie wyobrażam.

– Owszem – uśmiechnął się, patrząc na mnie. – Dobrze sobie wyobrażasz.

– Choć podpisali paragraf, że nie będą pociągać nas do żadnej odpowiedzialności podczas testów beta?

– Tego rodzaju afera może... cóż... być bardzo *przyjazna* dla mediów. – Wypowiadając te słowa, prawnik wyglądał na jeszcze bardziej znudzonego. – Lub nieprzyjazna, zależy po której stronie płotu się siedzi.

Właśnie z tego powodu nie mogłam pozwolić Willy'emu na zwiększenie limitu odłamków – przez wzgląd na możliwe nieoczekiwane reperkusje i błędy techniczne. Nie mogliśmy sobie pozwolić na takie ryzyko.

– Zawrzyj ugodę – westchnęłam.

Prawniki kiwnęli głową i zniknęli.

– Karen – zwróciłam się do współpracownicy, zanim przeniosłam się na konferencję prasową. – Napraw to. Nie obchodzi mnie jak, ale chcę, żebyś to naprawiła.

9

Tożsamość: William McIntyre

– Willy!

Całe rusztowanie mojej świadomej sieci roboczej zawaliło się, kiedy Bob wdarł się do środka w zaprojektowanej przez Sida skórce wirusa. Któregoś dnia Sid napyta sobie biedy tymi swoimi wygłupami na boku, ale czy miałem prawo go krytykować?

Po raz ostatni widziałem Boba podczas surfowania w dniu, w którym rozstałem się z Brigitte, a od tamtej pory minęło już kilka tygodni. Pochłaniała mnie praca, a chcąc się na niej skoncentrować, filtrowałem całą komunikację ze światem i przesyłałem ją prosto do prokury.

– Willy! – wrzasnął Bob przy maksymalnym nagłośnieniu mojego spektrum audio. – Wiiiilllly!

– Jestem, jestem. Jestem tutaj! – Nastawiłem całą sieć odłamków na autopilota i przedestyłowałem spory kawałek siebie do mojej prywatnej przestrzeni roboczej, do której wciągnąłem Boba.

Bob uśmiechnął się głupkowato, kiedy zmaterializowaliśmy się obaj w naszych przestrzeniach sensorycznych. Znaleźliśmy się naprzeciw siebie w jednym z moich biur. Siedziałem wyprostowany na fotelu w jednym kącie pokoju, mając na sobie blezer i luźne spodnie, a Bob rozwalił się na skórzanej sofie naprzeciw mnie, ubrany tylko w pływackie szorty i bejsbolówkę.

– Jak ci leci, panie Rockefeller?

– Naprawdę dobrze. – Uśmiechnąłem się niepewnie. – Niemal przez cały tydzień miałem wiatr w żagle.

Bob jakoś nie podzielał mojego entuzjazmu.

– Jeśli sprawia ci to przyjemność... – Poprawił się na sofie. – Słyszałem, że rzuciłeś Infinixx.

– Miałem dość użerania się z Nancy. – Nie wspomniałem o śledztwie dotyczącym grzebania przeze mnie w kodzie Infinixxu. Śledztwo spełzło na niczym, a ja dostałem to, co chciałem.

Bob uniósł brwi. On, Nancy i ja byliśmy nierołączni w dzieciństwie, z tym że ja czułem się jak piąte koło u wozu ich intensywnego romantycznego związku, który jeszcze nie dobiegł końca, o czym wiedzieli wszyscy oprócz nich.

– Nie jesteś na mnie wściekły, co nie? – zapytał. – To znaczy o tę sprawę z Brigitte? Sid i ja trochę przesadziliśmy.

Pokręciłem głową.

– Nie przejmuj się tym.

Kiedy pomyślałem o Brigitte, poczułem skurcz żołądka i moja cierpliwość wyparowała. Miałem mnóstwo pracy. Bob przyglądał mi się w milczeniu.

– Z kim się teraz spotykasz?

– Ach, tylko z ludźmi z pracy, sam wiesz... – Nie mógł wiedzieć, bo nigdy nie pracował, więc po co zadawałem sobie trud, żeby mu to wyjaśnić? Może nie powinienem się z nim spotykać? Zacisnąłem pięści.

W tej samej chwili Wally przesłał mi wiadomość, że czeka na mnie Vince Indigo. *Nie przypominam sobie, żebym umawiał się z Vince'em.* Wally zauważył, że powiadomił mnie o tym przed pięcioma minutami, ale byłem tak bardzo rozszczępiony...

– Słuchaj, czeka na mnie Vince Indigo we własnej osobie, to niezapowiedziane spotkanie. – Byłem uszczęśliwiony, mogąc skończyć tę pogawędkę. – Ważny klient, muszę już iść.

– Jasne, okay. – Bob zmrużył oczy i przechylił głowę na jedną stronę. – Możesz go zapytać, czy nic mu nie jest? To, co mówią w Phuture News, napawa mnie strachem.

– Raczej tego nie zrobię. – Zacząłem bębnić palcami w kolano. – Nie znam go aż tak dobrze. Dlaczego sam go nie zapytasz?

– Nie odbiera już połączeń ode mnie.

Ja też tak powinienem zrobić.

– Wybacz, ale to interesy.

Bob opuścił wzrok.

– Jasne. Tak czy inaczej, zobaczymy się kiedyś? Powinniśmy porozmawiać o tym wszystkim, o zmianach w twojej pracy, o Brigitte...

– Jasne, jasne, ale teraz muszę lecieć. – Pomachałem mu na pożegnanie, zostawiając za sobą cienki jak opłatek odłamek. Przeniosłem się do rzeczywistej przestrzeni mojego mieszkania, gdzie czekał na mnie Vince. Obraz Boba, na którym moje odejście nie wywarło żadnego wrażenia, utrzymywał się w kilku kanałach wizyjnych.

– Zakładam, że interesy idą dobrze? – zapytał Vince. Spacerował po obrzeżach mojego mieszkania, zaglądając w projektowane przestrzenie mojego rozrastającego się w świecie Nowego Londynu interesu.

Nowe biuro zaprojektował jeden z najbardziej wziętych projektantów wewnątrz metaświata. Przeszklona przestrzeń wisiała w powietrzu ponad niemal nieskończoną liczbą przegród mieszczących moje renderowane rozszczepione części, subprokury oraz syntetyków i boty, mnożące się na zewnątrz z systemu kognitywnego. Pracowały dla mnie całe tysiące Willych.

– Interesy idą bardzo, bardzo dobrze. – Uśmiechnąłem się szeroko. Znalazłem tylne wejście do Infinixa i potrafiłem rozszczepiać się do woli, ale tego powiedzieć mu nie mogłem. Nikomu nie mogłem powiedzieć. Dzięki tej hackerce spłaciłem już naszą rodzinną hipotekę i byłem na najlepszej drodze do zgromadzenia potężnej fortuny.

Vince wyglądał na kogoś bardzo zdesperowanego. Pochlebiało mi, że jeden z najbogatszych ludzi na świecie składa mi osobiście wizytę w domu, licząc na przysługę, ale jego nerwowość zaczęła mi się udzielać. Nie podobało mi się to, w jaki sposób przygląda się prowadzonej pod nami działalności, i zastanawiałem się, dlaczego jest tak rozlatany – z tego, co wiedziałem, miał do wydania całe mnóstwo pieniędzy.

– Zauważyłem, że powiększyłeś zakres usług Phuture News – powiedział ostrożnie. – Ale nie dlatego tu jestem. Wysyłam ci teraz szczegóły tego, czego potrzebuję.

Do jednego z moich odłamków załadował się opis serii transakcji finansowych, które miałem dla niego przeprowadzić. Odłamek przeanalizował je w jednej chwili.

– Chcesz, żebym zrobił coś takiego? – zapytałem. – Wiesz, że to będzie bardzo podejrzane? Tym bardziej, że pracuję dla Infinixu.

– Z tego, co wiem, już dla nich nie pracujesz.

Zastanawiałem się, ile naprawdę wie.

– Fakt, ale to i tak będzie wyglądało dziwnie.

Vince coś knuł, co zupełnie mi nie przeszkadzało. Oferował mi królewskie wynagrodzenie za zupełny drobiazg. Więc tak się gra z dużymi chłopcami... Nie obchodziło mnie, co zamierza, a transakcja nie wyglądała na nielegalną, przynajmniej z mojej strony.

Po kilku sekundach skończyliśmy omawiać szczegóły.

Vince spojrział na mnie.

– I bądź ostrożny.

– Nie sądzę, żeby były jakieś problemy z tą transakcją...

– Nie mówię o tym. Mówię o tym, co dzieje się tutaj. – Wskazał moje biuro.

– Tutaj nic się nie dzieje.

Odwrócił wzrok.

– Więc bądź tylko ostrożny, okay?

– Nie ma sprawy, panie Indigo – odpowiedziałem, wzruszając ramionami i wyciągając do niego rękę. Potrząsnął nią, uśmiechając się lekko, i przeniósł się do innego świata.

Wally zmaterializował się na białej sofie w moim mieszkaniu. Gęsta zasłona bezpieczeństwa lśniła wokół nas niczym neonowa kołdra z folii.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytałem.

Wally wiedział tyle samo, co ja. Pokręcił głową.

– Słuchaj, Wally, jestem bardzo zdenerwowany. Robimy tu wielkie rzeczy, ale musimy się chronić.

Rozszczepianie się na sto kawałków doskonale sprawdzało się w interesach, ale oddziaływało negatywnie na mój umysł. Skupianie się na rynku przez większość czasu sprawiało, że byłem oszołomiony, wracając do rzeczywistej przestrzeni, i traciłem z oczu detale.

Z drugiej strony czułem, że zbliżam się do zupełnie nowego rodzaju egzystencji – doskonale samowystarczalnej i doskonale spójnej istoty ludzkiej. Spędzałem całe dni na rozmawianiu z różnymi częściami siebie i odbywałem

umysłowe konferencje z dziesiątkami moich odłamków na raz. Jedynym odrębnym bytem, z którym miałem do czynienia, był Wally, który zresztą i tak stanowił moją kopię. Vince i Bob byli pierwszymi prawdziwymi ludźmi, z którymi rozmawiałem od wielu dni, a może nawet tygodni.

– Kiedy jestem w chmurze, musisz nas chronić. Chcę, żebyś miał pewność, że jesteśmy bezpieczni, okay?

Wally spojrzał na mnie badawczo.

– Jasna sprawa, szefie.

Po tym zapewnieniu przeniósłem się do Nowego Jorku, żeby zabrać się do pracy nad projektem Vince'a. Nie potrzebowałem już niczyjej pomocy i z całą pewnością nie potrzebowałem nikogo do mieszania się w moje sprawy.

Ale najbardziej nie chciałem, żeby mnie na czymkolwiek przyłapano.

10

Tożsamość: Nancy Killiam

Ostatnie kilka tygodni było skompresowaną eksplozją działalności Infinixxa. Stu zatrudnionych wykonywało pracę tysiąca, a potem dwóch tysięcy pracowników, w porównaniu z poziomami wydajności w świecie zewnętrznym. Wraz ze zbliżaniem się daty premiery zachwalaliśmy nasze dokonania niemal co godzinę, a światowa społeczność biznesowa już nie mogła się doczekać naszego produktu.

Poważniejsza walka od tworzenia technologii toczyła się na atypowej arenie politycznej. Ponieważ naciskałam, żeby debiut Infinixxa odbył się przed wypuszczeniem przez Cognix psis, musieliśmy włączyć elementy psis do naszego systemu, co zmuszało do stworzenia skomplikowanego układu wzajemnych licencji. Ciocia Patricia była po mojej stronie, ale toczyliśmy ciężkie boje.

– Podaj mi jeden dobry powód, dla którego powinniśmy się na to zgodzić – kipiał ze złości doktor Baxter na posiedzeniu w Cognixie, gdzie staraliśmy się zdobyć ich ostateczną aprobatę. Infinixx kradł im piorun jako pierwsza atypijna platforma wchodząca na rynek jako produkt.

– Widziałeś prognozy przedstawione przez Nancy. W każdym scenariuszu akcje Cognixa zyskują, gdy umożliwimy Infinixxowi wstępne zastosowanie – kontrowała Patricia. – Jesteś zły tylko dlatego, że nie masz nad tym pełnej kontroli.

– To nie ma nic do rzeczy – odparł doktor Baxter i spór toczył się dalej.

Kesselring w ogóle się nie odzywał, siedział, milczał, przyglądał się i wzdychał.

Trwaliśmy w impasie, dopóki Jimmy nie wyjął asa z rękawa.

– Posłuchajcie wszyscy! – zawołał, wstając i unosząc rękę. Puścił do mnie oko. – Dam wam jeden dobry powód.

Od czasu incydentu na przyjęciu z okazji moich trzynastych urodzin aż do niedawna w ogóle nie rozmawiałam z Jimmym. Czułam się odpowiedzialna za to, co się stało, a było mi niezręcznie do tego wracać. Ale odkąd otrzymał nominację do Rady Bezpieczeństwa, na nowo nawiązaliśmy kontakty na poziomie zawodowym, jakby nigdy nic się nie stało. Współpracowałam z Jimmym bardzo blisko, a on stał się moim największym orędownikiem – po cioci Patty, rzecz jasna.

Nie miałam pojęcia, co chce powiedzieć. Czekaliśmy w napięciu.

– Podpisałem umowy zarówno z Indiami, jak i z Chinami na symultaniczną premierę. Wystartują równo z nami.

Wokół stołu rozległy się posapywania zachwytu.

Zmuszenie Indii i Chin do wyrażenia wspólnej zgody na cokolwiek wydawało się prawie niemożliwe; każdego dnia dochodziło bowiem do kolejnych potyczek nowej wojny klimatycznej. Kiedy Jimmy przedstawiał swoje osiągnięcie, w przestrzeniach roboczych każdego z uczestników posiedzenia pojawiły się szczegóły negocjacji. Wszyscy wrzucili w nie odłamek, żeby lepiej im się przyjrzeć. To był nie tylko komercyjny wyczyn, ale ważne osiągnięcie polityczne, również dla Atopii.

– Jak, u licha...? – Głos doktora Baxtera ucichł, kiedy jego umysł przyswajał sobie całą historię.

– Jimmy, dlaczego nic mi nie powiedziałeś? – zapytałam go szeptem w prywatnym świecie, który przed nim otworzyłam.

To było to! Dzięki temu spełnią się moje marzenia.

– Nie chciałem robić ci niepotrzebnie nadziei – odrzekł jeden z odłamków Jimmy’ego. – Strzelałem na oślep, ale hej! Udało się!

– Wiele im oddajesz – zauważył Kesselring w przestrzeni konferencyjnej, po raz pierwszy odzywając się dopiero po przejrzeniu szczegółów. – Ale korzyści są tego warte, a media przez jakiś czas zajmą się czymś innym niż tymi cholernymi sztormami.

Spojrzał na Jimmy’ego i uśmiechnął się, kiwając głową z aprobatą.

11

Tożsamość: William McIntyre

Spowijała mnie gęsta szara mgła. Nie była wilgotna ani ciężka. W zasadzie niczego nie czułem. W pewnej odległości ukazało się światło, które zbliżyło się do mnie i wypełniło przestrzeń wokół mnie delikatną poświatą, która nasilała się i ożywiała. Dziwne, ruszyłem ku światłu. Stało się jaśniejsze i bardziej intensywne, otoczyło mnie i zamknęło w sobie, by połknąć mnie całego, bezboleśnie i bezdźwięcznie.

Obudziłem się przerażony w łóżku, mrugając powiekami i oddychając szybko, rozglądając się wokół i próbując się uspokoić. Mgła rozplýwała się. Co to było? Znowu miewam koszmary.

Usiłowałem skontaktować się z Bobem, Sidem i Brigitte, ale nikt nie odpowiadał – dziwne. Byłem oszołomiony. *Może najpierw coś zjem i pozbędę się resztek snu?*

Wstałem z łóżka, podszedłem do lodówki i wyjąłem z niej jabłko oraz trochę chleba tostowego, a po chwili zastanowienia sięgnąłem do stojącego obok kredensu po rozpuszczalne płatki. Zalałem je wodą i przyglądałem się, jak zaczynają wrzeć. *To twój mózg na płatkach.*

Po kilku sekundach były gotowe i parujące. Posypałem je trzcinowym cukrem i usiadłem przy kuchennej ladzie, polerując jabłko o nogawkę piżamy. Poczulem przypalający się tost. Czy mam zawał? Tost wyskoczył z toster. *Okay Uspokój się.*

Włączyłem Phuture News Network. Pusty ekran. Najwyraźniej nic nie miało się wydarzyć. W Phuture News transmitowano obraz mnie siedzącego w kuchni i wpatrującego się znad płatków w pustą przestrzeń wyświetlacza.

To jakaś nowa cholerna gra Sida. Ale nie będę w nią grał.

Skoncentrowałem się na płatkach.

Poczułem dreszcze na całym ciele i gęsią skórkę na gołym ramieniu. Miałem wrażenie, że patrzę na siebie przez matową szybę.

Byłem tam, ale jakby mnie tam nie było.

Wszystkie zmartwienia, które miałem jeszcze przed sekundą – praca, Brigitte, pieniądze – odeszły i zdałem sobie sprawę, jak niewiele w istocie znaczą. Byłem bardzo spokojny, chłodny, i znów pojawiła się ta mgła – tak dobrze znana, a jednocześnie tak obca.

Gdzie ja jestem? I dlaczego chcę wiedzieć?

Mój mózg wyrwał się stąd jak niedźwiedź z sideł.

Zamrugalem mocno i potrząsnąłem głową, wpatrując się w ścinające się płatki. Phuture News znowu nadawał i istniały duże szanse, że nasi dobrzy znajomi Orlando i Melinda znów wdadzą się w kocią awanturę.

Większość ludzi opowiadała się za Orlandem, więc stanąłem po stronie Melindy. Zawsze trzymałem stronę słabszych, a tym razem to nie była Adriana. Kiedy oglądałem program, wymyślano sprytne szyderstwa, których wartość jako wirali została natychmiast dostrzeżona i doceniona przez kilka niepochozących z wyspy agencji marketingowych, pragnących dotrzeć z przekazem do atopijnych tłumów. Towarzyskie burzowe chmury gęstniały.

Co przypomniało mi o Brigitte i skurczu w żołądku. Odłożyłem łyżkowidelec. A mój mózg znów się wyrwał... Jak z sideł na niedźwiedzia.

Działo się coś bardzo niedobrego.

Znów zamrugalem mocno i potrząsnąłem głową, wpatrując się w ścinające się płatki. Czy właśnie ich nie zjadłem? Phuture News znów przestało nadawać, a na wyświetlaczu ukazał się obraz mnie wpatrzonego w obraz siebie wpatrzonego w obraz mnie wpatrzonego w obraz siebie.

Płatki bulgotały i wrzały w miseczce. Znów stałem przy lodówce, trzymając jabłko, żeby wypolerować je o nogawkę pizamy. Chwileczkę. Przecież to już było. Przeżywałem ostre *déjà-vu*, traciłem kontrolę. Poczułem ucisk w piersiach, oddychałem z trudem.

Czy mam atak serca?

Poczułem przypalający się tost.

– Wally! – krzyknąłem. – Gdzie jesteś, do cholery?

Gdzie on jest, kiedy go potrzebuję? Czy przypadkiem nie powinien mnie pilnować?

– Willy, uspokój się, wszystko jest okay – usłyszałem jego głos, jego kojący głos, ale nigdzie go nie widziałem. – Nie martw się, wszystko jest dobrze. Ból w piersi to tylko niepokój. W twoim krwioobiegu są kortyzol i adrenalina. Oddychaj głęboko, odpręż się.

Zrobiłem głęboki wdech i zatrzymałem powietrze, a potem wypuściłem je wolno. Zaczerwieniły mi się policzki.

– Odpręż się – powtarzałem sobie. – Odpręż się.

Zamknąłem oczy i spróbowałem się skoncentrować, a napięcie zaczęło odpływać. Po chwili leżałem już w łóżku, ale nie pamiętam, żebym się kładł. Może to Wally mnie tam zaprowadził?

Widziałem siebie leżącego nieruchomo, zupełnie spokojnego. *O co ja się przed chwilą martwiłem? Po co w ogóle martwić się o cokolwiek?* Wszystko było tak nieistotne. W głowie miałem pełno waty, którą wepchnięto mi przez uszy, wata zastąpiła mózg. Na dłoniach miałem połączone sznurkiem rękawice z jednym palcem, żebym nie zrobił sobie krzywdy.

Oczyma duszy widziałem siebie z matką. Pochylała się nade mną, podwijała rękawy swetra i śpiewała kołysankę, kąpiąc mnie w obtłuczonej porcelanowej wannie w starej rodzinnej kuchni w naszej montańskiej komunie.

Za brudnymi szybami w oknach drzewa kołysały się pod mokrym wietrznym nieboskłonem. Krowy na polu skryły się pod żółtymi sosnami rosnącymi po jednej stronie naszej farmy. Gęste lasy sięgały stóp pokrytych śniegiem Gór Skalistych, otaczających nas z każdej strony.

Na dworze było zimno, ale w domu ciepło. Parująca woda obmywała moje małe kostki. Byliśmy tak szczęśliwi razem w tej jednej krótkiej chwili – tak bezcennej. Słyszałem chlapanie i kapanie wody, kiedy wyjmowała z wanny myjkę, a odgłosy te odbijały się echem poprzez czas.

– Jak się miewa mój mały Willy? – śmiała się, robiąc mi syfon z nosa.

– Wally? – zapytałem, tym razem spokojniej. – Wally, co się ze mną dzieje? Gdzie jesteś?

Wyczuwałem jego obecność, ale nie widziałem go ani nie słyszałem. Czułem,

że do mnie mówi.

– Wszystko jest okay – czułem jego słowa. – Ale muszę ci coś powiedzieć. Powinienem się zaniepokoić, ale tak się nie stało.

– Jesteś częścią czegoś wyjątkowego, Willy.

– Wiem. Programu Atopii. Rozumiem to.

– Nie tylko tego. Czegoś bardziej wyjątkowego, czegoś o wiele ważniejszego. Podobało mi się to.

– Mów dalej. – Zawsze myślałem o sobie jako o kimś wyjątkowym niczym maleńki płatek śniegu niesiony przez wiatr, frunący bezboleśnie, bezgłośnie.

– Słyszałeś o kocie Schrödingera?

– Jasne.

To był myślowy eksperyment starej fizyki kwantowej. Obiekt w superpozycji może istnieć w więcej niż jednym stanie. Jak kot w pojemniku, kot, który jest jednocześnie żywy i martwy.

– Obecnie jest możliwe zastosowanie kwantowej superpozycji nie tylko do atomów, ale i większych obiektów. Znacznie większych obiektów, mówiąc szczerze.

– Dobra, ale co to ma wspólnego ze mną? – Zawsze irytowała mnie pochodząca z fizyki kwantowej idea świadomego obserwatora. Cuchnęła Bogiem wynajmującym robotników miejskich do obracania korbą kosmosu.

– Może zechcesz usiąść, bo w tym, co mam zamiar ci powiedzieć, kryje się też odwrotna strona medalu.

Ale przecież się położyłem. Co się z nim dzieje?

– Twoja przestrzeń życiowa mieści się w gigantycznej kwantowej pułapce. Jesteś pierwszą czującą istotą umieszczoną w całości w stanie superpozycji. Jesteś jednocześnie i żywy, i martwy, jesteś świadomym ogniwem między życiem a śmiercią. Za chwilę, kiedy zrozumiesz, co do ciebie mówię, będziesz także pierwszą czującą istotą obserwującą siebie w superpozycji, a przez to tworzącą swoją własną egzystencję. Zanim w pełni zrozumiesz, co do ciebie mówię, Willy, pospiesz się i powiedz nam, co czujesz.

Więc stałem się kotem w pojemniku.

Patrząc na swoje dłonie, zajrzałem w głąb siebie, patrząc na siebie, patrząc na siebie... i zamiauczałem.



Obudziłem się w łóżku, sam, zlany potem, z łomoczącym sercem. Sen zniknął, ale pamiętałem, co się stało. Rozstaliśmy się z Brigitte, Wally zniknął, ale wciąż żyłem, co oznaczało, że ktoś gdzieś opiekował się moim ciałem, które też jakoś przepadło. To chciwość doprowadziła mnie do tego stanu i prawdopodobnie wsadzą mnie do więzienia.

O ile będą w stanie mnie znaleźć.

12

Tożsamość: Nancy Killiam

Nie mogłam uwierzyć, że nadszedł ten wielki dzień. Dzień, w którym Infinixx ukaże się światu.

Choć nasz produkt pracował w otwartym wielowszechświecie, potrzebował fizycznej infrastruktury na miejscu – w formie trzech ośrodków przetwarzania świadomości. Te potężne instalacje obliczeniowe, połączone ze sobą dedykowanymi łączami komunikacyjnymi, zaprojektowano po to, by zajmowały się lokalnym przetwarzaniem redukującym opóźnienia sensoryczne.

Każdy węzeł – z braku lepszego słowa – był jak olbrzymi pusty umysł. Węzły należało odpalać w odpowiedniej kolejności, aby zachować między nimi spójną pętlę synchronizacji fazy. Każdy wymagał odpowiednio dużego lokalnego zasilania, aby mógł działać, więc postanowiliśmy zrobić wydarzenie z włączania zasilających je przełączników.

Wraz z premierą produktu Infinixx, wypuszczaliśmy świeżo wydrukowane akcje firmy na światowe rynki, a działo się to jednocześnie z wejściem online ośrodków przetwarzania w Indiach, Chinach i na Atopii.

Sala balowa Domu Salomona była wypełniona po brzegi. Poprosiłam, aby wszyscy członkowie rady i starsi menadżerowie pojawili się na premierze osobiście. Przechadzałam się wzdłuż głównego stołu, który stał na scenie górującą nad główną salą, i ścisnęłam po kolei dłonie każdego z przybyłych, dziękując za ciężką pracę i wsparcie.

– Jesteś podekscytowany, Brian? – zapytałam mojego GMT. Kiwnął głową i powiedział, żebym usiadła. Ale nie mogłam. Cała moja przyszłość zależała od

tego, co wydarzy się przez kilka następnych minut, i było mi niedobrze.

Podczas ceremonii otwarcia miałam nacisnąć włącznik, żeby wszystko zaczęło działać. System zasilania doprowadzono aż tutaj, a skrzynka przyłączowa stała oparta o ścianę tuż ponad i za moim krzesłem. Postanowiłam, że zrobię wszystkim małą niespodziankę i nadam wydarzeniu wymiar symboliczny, oddając honor włączenia przełącznika albo Jimmy'emu, albo cioci Patty. Oboje mieli usiąść ze mną na scenie.

– Proszę państwa! – zagrzemiał z uśmiechem Kesselring, zwracając się do tłumów z podium. Kiedy podjęliśmy już decyzję, zaangażował się w premierę całym sercem. – Proszę państwa o ciszę!

Wielka sala balowa pękała w szwach, przy stołach brakowało miejsc, a ludzie tłoczyli się na obrzeżach. Odgłosy brzęku nakryć stołowych i kieliszków współzawodniczyły z szumem rozmów. Zupełnie jak w ulu. Teraz jednak hałas uciszał się, a tłum kierował uwagę ku nam.

– Bardzo dziękuję! – ciągnął Kesselring. – Właśnie wprowadzamy online gości z Chin i Indii. Poproszę o serdeczne atopijne oklaski na ich powitanie!

Sala wybuchła aplauzem, kiedy zagraniczne delegacje zmaterializowały się po naszej lewej i prawej stronie. Była to jedyna w swoim rodzaju chwila dla fotoreporterów, a po obu stronach flagi Atopii pojawiły się sztandary dwu zwaśnionych państw.

Protokół wymagał, aby starsi chińscy i hinduscy oficjele podeszli do głównego stołu i uścisnęli nam ręce dokładnie w tym samym czasie – wszystko udało się znakomicie. W odłamku obserwowałam przedrynkowe analizy akcji Infinnixxa, bo premierę transmitowano na cały świat. Spodziewana cena papierów wartościowych pięła się do góry w Phuture News.

Miałam serce w gardle.

Znajdowałam się w samym centrum uwagi i czułam powagę chwili ciężącą niczym młyński kamień, kiedy wstaliśmy z krzesel za stołem bankietowym na scenie przed salą, by zbliżyć się do przełącznika. Miałam Jimmy'ego z jednej strony i Patricię z drugiej, reszta rady i menadżerów otoczyła nas wianuszkami.

Podchodząc do tylnej ściany, wpatrywałam się w wielki zielony przełącznik prądu.

– Wygląda jak wypożyczony z rosyjskiej elektrowni wodnej – zażartowałam szeptem do Patricii. Uśmiechnęła się i rozpromieniła ku zgromadzonym tłumom.

Wyciągnęłam rękę i ujęłam dłonie Jimmy’ego oraz cioci, wszyscy troje dotknęliśmy przełącznika. Był chłodny i twardy, i szumiał cicho krążącą za nim niewidzialną potęgą. Przygasły światła, rozpoczęło się odliczanie.

Odliczała cała sala, jak w oczekiwaniu na Nowy Rok na Times Square.

– DZIESIĘĆ – zaczęli. – DZIEWIĘĆ!... OSIEM!...

– Ciociu Patty – odezwałam się, odwracając się do niej ze łzami w oczach. – Postanowiłam, że chcę, żebyś to ty włączyła zasilanie. To wszystko powstało dzięki tobie!

Tłum odliczał dalej:

– SIEDEM!... SZEŚĆ!...

– Zrobiłabym to z przyjemnością, kochanie – odpowiedziała szybko Patricia.

– Ale pojawiło się coś niespodziewanego i nie ma mnie tu kinetycznie. Musisz to zrobić sama, moja droga!

– PIĘĆ!... CZTERY!

No cóż..., pomyślałam zawiedziona.

– Jimmy, a może ty? Proszę. Naprawdę chciałam, żeby zrobiło to któreś z was. – Puściłam przełącznik i zachęciłam Jimmy’ego, żeby go ujął.

– TRZY!... DWA!...

– Przepraszam, Nance, ale mnie także coś wypadło. I jestem tylko na łączach. Dasz sobie radę... Uważaj!

– JEDEN!

Krew odpłynęła mi z twarzy. Usłyszałam PSTRYK, kiedy Chińczycy i Hindusi przełączyli włączniki w odległych lokalizacjach. Moje metazmysły wyczuwały nieprzenikniony pomruk instalacji Infinixxa ładujących się głęboko po raz pierwszy do wielowszechświata.

Okay, spokojnie.

Wyrażające skonsternowanie twarze z sali przyglądały się wydarzeniom na scenie, czekając, aż mój główny przełącznik zostanie włączony. Zadałam szybko pytania menadżerom przy stole. Karen została z dziećmi. Louise, Brian, Cindy – żadne z nich nie było obecne fizycznie. Wszyscy byli na łączach, mimo

mojego wyraźnego polecenia, że mają stawić się osobiście.

Z drugiej strony, myślałam, kiedy krew odpływała mi do pantofli i z przerażeniem wpatrywałam się w publiczność, MNIE TEŻ TUTAJ NIE MA!

Czułam przełącznik w dłoni, chłodny i twardy, jakbym stała przed nim i trzymała go sama. Wikiświat idealnie go symulował, ale nie byłam w stanie przesunąć go choćby o milimetr, nie mając pod ręką kogoś lub czegoś fizycznego.

Po katastrofalnych zniszczeniach sieci zasilania doby pierwszych cyberataków przed blisko pięćdziesięciu laty protokoły bezpieczeństwa wymagały, aby krytyczne węzły systemu zasilania były zupełnie odłączone od sieci komunikacyjnych, żeby zapobiec atakom hackerów. Choć Atopia znajdowała się w centrum cyberświata, musieliśmy przestrzegać międzynarodowych standardów bezpieczeństwa, szczególnie przy takim projekcie jak ten.

Wmawiałam sobie, że to nie było moje przeoczenie – spodziewałam się, że wszyscy menadżerowie i członkowie rady stawią się osobiście. Naciskałam na to i nawet zweryfikowałam to kilka minut przed premierą.

Lecz nawet ja nie posłuchałam siebie.

Wpatrując się w tłum, zdecydowałam się na ostatni desperacki krok. Przełączyłam psis na tryb tożsamości, usuwając z moich zmysłów wszystkie obiekty wirtualne i rozszerzone. Wzburzona zatłoczona sala zniknęła mi z oczu i zostałam sama z cichym jękiem strachu. Nie widziałam ani jednej prawdziwej osoby. Cała sala balowa była pusta i cicha jak kostnica.

Spojrzałam poniżona na zielony przełącznik.

Zgromadzone tłumy i światowa prasa domyśliły się już, co zaszło, i przesłano mi artykuł z „Timesa”, zatytułowany *Infinix – Wszędzie, czyli Nigdzie!*.

Chińscy i hinduscy prawnicy złożyli już pozwy przeciw nam, domagając się monstrualnych odszkodowań, snuto dziesiątki teorii spiskowych o powiązaniach z wojnami klimatycznymi. Moi menadżerowie otworzyli zewnętrzne granice bezpieczeństwa i ujrzałam strażnika psombie biegnącego ku scenie.

– Daj spokój – powiedziałam mu, kiedy zbliżył się do przełącznika.

Zamknęłam oczy. Było już za późno. Minęło niemal dwadzieścia sekund

i dwa pozostałe systemy znajdowały się zbyt daleko w cyklach ładowania, żebyśmy mogli połączyć się z nimi spójną pętlą synchronizacji fazy.

Miliony użytkowników zalogowało się już do systemów i zaczęło ich używać. Będziemy musieli wynegocjować przerwę w dostawie usług, żeby odpalić wszystko raz jeszcze i zsynchronizować fazę w późniejszym terminie, a teraz musimy używać ich jako oddzielnych domen.

To oznaczało, że użytkownicy będą mogli rozszczepiać świadomość tylko lokalnie. Technicznie rzecz biorąc, nie było to katastrofą, ale robiło ze mnie idiotkę. Poprawka – robiło z nas wszystkich idiotów. Kesselring był wściekły z powodu szkód dla marki Atopii.

Wycofałam moją świadomą sieć roboczą i otoczyłam się nią niczym ciasną skorupą, niczym cybernetyczny żółw uciekający przed niebezpieczeństwem.

Świat mediów ukuł już nową frazę o niepowodzeniu biznesu zen, który był wszędzie i nigdzie zarazem, potykając się o własny miecz.

Tak nazwali Infinixx.

13

Tożsamość: William McIntyre

U podstawy pionowego kompleksu farm wyrósł przede mną posterunek policji, do którego zmierzałem.

Bulwar był jedyną prawdziwą ulicą, którą tu mieliśmy – szerokim deptakiem dla pieszych przecinającym wyspę od wschodniej do zachodniej zatoki i dzielącym na pół cztery lśniące wieże uprawne w samym środku powierzchni Atopii.

Wspaniałe palmy porastały obie strony ulicy, granicząc z turystycznymi sklepami, restauracjami i barami, których tarasy wylewały się wprost na kalejdoskopowy zamęt pomiędzy nimi. Choć zbliżały się sztormy i ogłoszono ewakuację, atmosfera była nadal świąteczna i beztroska.

Przynajmniej teraz.

Minęły wieki, odkąd byłem na powierzchni, a po tej części wyspy po raz ostatni kręciłem się jako nastolatek. Stałem, mrugając powiekami w jaskrawym słońcu, starając się przemyśleć to, co mi się przydarzało.

Czułem się samotny i obnażony.

Co jeszcze mogę zrobić?

Spoglądając na wieże, wyobraziłem sobie siebie jako jednego z pracujących w środku psombie. Drżącą dłonią otworzyłem drzwi posterunku. Owiąło mnie chłodne urzędowe powietrze, a funkcjonariuszka za biurkiem, atrakcyjna młoda kobieta, uśmiechnęła się do mnie syntetycznie.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytała słodko jak na policjantkę.

– Chciałbym złożyć doniesienie o zaginięciu.

Podszedłem do niej najspokojniej jak umiałem.

Jej oblicze odnotowało mój stosowny stopień powagi, zanim zapytała:

– A kim jest zaginiona osoba?

Milczałem przez chwilę.

– Mną.



Po zgłoszeniu na policji zagięcia mojego ciała pierwszą osobą, do której się zwróciłem, był Bob. To zdumiewające, jak szybko można stać się z kogoś niepokonanego kimś, kto potrzebuje ciepłego uścisku przyjaciół.

Miałem przynajmniej nadzieję, że są jeszcze moimi przyjaciółmi.

– Hej, nieznajomy, chyba gdzieś źle skręciłeś? – zażartował Bob, kiedy pojawiłem się w jednym z nawiedzanych przez niego barów na plaży. Mimo ostrzeżeń o sztormach, nadal surfował. Napił się piwa i pomachał nim w moją stronę. *Chcę się napić?* Pokręciłem głową. – W czym mogę ci pomóc?

Rozwinąłem gęstą zasłonę bezpieczeństwa wokół nas, otoczyła nas lśniąca, lekko falująca muszla. Bob uniósł brwi i pociągnął łyk piwa.

– Co się dzieje? – Zmarszczył brwi. – Nic ci nie jest?

– Powiem wprost – przerwałem. – Straciłem ciało.

Kolejna pauza.

– Co to znaczy, że straciłeś ciało? Czy to ma jakiś związek z tym, co wydarzyło się w Infinixie?

– Nie sądzę. – Usiadłem nastołku obok niego i podrapałem się w kark. – Wally albo ktoś inny, ale zakładam, że to Wally, ukradł mi ciało.

Bob zmrużył oczy, a potem się uśmiechnął.

– Nieważne, w co pogrywasz, jestem z tobą. – Jego uśmiech zniknął powoli, kiedy studiował moją twarz.

– Właśnie wracam z posterunku policji – ciągnąłem. – Nie tylko straciłem ciało, oskarżono mnie o przestępstwo i zostałem aresztowany. – Nie wspomniałem, że prowadzą także śledztwo w sprawie handlu akcjami Infinixa.

– Więc w jaki sposób tu jesteś? Wpłaciłeś kaucję?

Pokręciłem głową.

– To skomplikowane.

– Domyślam się.

Odchyliłem głowę i przetarłem oczy.

– Lepiej sprowadźmy tu Sida – zaproponował Bob.

Westchnąłem.

– Lepiej tak zrobimy.

Twarz Boba rozluźniła się na chwilę, kiedy zniknął, a potem wrócił. Sid i Vicious zmaterializowali się na barowych stołkach wewnątrz zasłony bezpieczeństwa.

Vicious, nim pojawił się na dobre, spojrzał na mnie z góry.

– Ooo, więc wielcy i potężni zniżyli się znów do naszego poziomu, he?

– Daj mu spokój! – warknął Bob. – To poważna sprawa, Sid, zapoznałeś się z sytuacją Willy’ego?

Sid miał największe szanse z nas wszystkich, by dowiedzieć się, co się dzieje. Czekaliśmy, kiedy omawiał scenariusze.

– Pozwólcie, że się upewnię, że dobrze wszystko rozumiem – rozpoczął rzeczowo, jak to on. – Przeprogramowałeś zasady granic Atopii, żeby zdobyć zewnętrzne połączenie z Terra Nova. Potem zalogowałeś swoją sieć świadomości na bezpiecznym koncie w Terra Nova, zapewniłeś anonimowość sygnału i skierowałeś z powrotem wiele połączeń na Atopię, by stworzyć efekt wielu osobowości uzyskujących dostęp do sieci?

– Zgadza się.

– A teraz wygląda na to, że twoje ciało opuściło Atopię na dobre, bez twojej wiedzy. I nie możesz skontaktować się z Wallym.

– Tak, to prawda.

– A ci z Terra Nova absolutnie odmawiają ujawnienia albo zerwania anonimowego połączenia, które zostało opłacone na sto lat do przodu.

– Zgadza się.

Bob spojrzał na mnie i pokusił się o podsumowanie.

– Więc twoje ciało jest gdzieś tam. Myślisz swoim zaginionym mózgiem, który komunikuje się z tobą tutaj i z twoim wirtualnym ciałem, ale Wally steruje twoim ciałem na Terra Nova i nie reaguje na próby komunikacji.

- Tak to mniej więcej wygląda.
- To ciekawa zagwozdzka, mój przyjacielu – wtrącił Vicious.
- Więc co się stało? Czy Wally oszalał? Czy nie możemy go zlokalizować i wyłączyć gdzieś w wielowszechświecie? – zapytał Bob.
- Nie – odpowiedział Sid. – Prokura nie przypomina innych syntetyków. Nie istnieje w gruncie rzeczy w wielowszechświecie. Prokury są biologiczno-cyfrowymi symbiotykami umieszczonymi w naszych ciałach. Wally może kontrolować ciało Willy’ego, kiedy umysł Willy’ego jest gdzie indziej, i może zapuścić się stamtąd do wielowszechświata, ale jeśli korzysta z anonimowego łącza na Terra Nova, nie damy rady go wyśledzić ot tak.
- Mój Wujek Guzik nie działa – dodałem. – Nie zaprojektowano go do takiego wstecznego filtrowania.
- Bob odstawił piwo.
- Więc pytam raz jeszcze, czy Wally oszalał?
- To nie takie proste – przyznałem. – Kazałem Wally’emu podejmować działania awaryjne, gdyby pojawiło się zagrożenie. Nielegalne naruszenie granic Atopii to poważne przestępstwo.
- Więc sam kazałeś mu to zrobić? – Sid roześmiał się, przewracając oczami.
- Jesteś jak cholerny jednoosobowy syjonista, człowieku! – stwierdził Vicious. – Jeden człowiek oddzielony od ciała, wędrujący po wielowszechświecie, mający nadzieję na powrót do skradzionej ojczyzny...
- Błagam... – poprosiłem ich. – Nie kazałem Wally’emu tego zrobić. Powiedziałem mu tylko, że jeśli pojawią się problemy, powinien podjąć odpowiednie działania, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo.
- A jak, u ciężkiego licha, niczego nie zauważyłeś, kiedy to się stało? – zapytał z niedowierzaniem Sid.
- Wziąłem głęboki oddech.
- W tej nowej instalacji mój umysł był rozszczepiony na setki odłamków płynących strumieniem przez anonimowe łącze. Wally nie zawsze miał do mnie dostęp. Właśnie dlatego prosiłem go, żeby podejmował natychmiastowe działania beze mnie, jeśli zaszłaby taka konieczność.
- Zdaje się, że podjął natychmiastowe działania, tak jest – zarechotał Vicious, który świetnie się bawił moim kosztem.

– Wystarczy! – wykrzyknął Bob. – Wystarczy już. Vicious, nacieszyłeś się do woli, a Willy był ostatnio twardym orzechem do zgryzienia, ale ma kłopoty i potrzebuje naszej pomocy. Natychmiast.

Łykałem łyzy. Nie zasłużyłem sobie na uprzejmość Boba po tym, jak go traktowałem.

– Wybacz, przepraszamy, kolego – wymamrotali razem Sid i Vicious.

– Willy, jedno pytanie – zwrócił się do mnie Vicious; tryby w jego mózgu obracały się na najwyższych obrotach. – Więc zostałeś aresztowany, oskarżony i skazany, tak?

Kiwnąłem głową. W tak prostych sprawach nie wymagało to wiele czasu – syntetyczni prawnicy i sędziowie rozpatrywali sprawy i sprzeciwy w ciągu kilku minut.

– Ale wciąż jesteś z nami. Rozumiem, że nie mogą dostać twojego ciała, ale dlaczego nie zamknęli twojego wirtualnego obrazu?

– Anonimowe łącze loguje się przypadkowo na Atopii raz po raz, jeśli sygnał zostaje ograniczony. Ponieważ mój login ma autoryzowany tag obywatela Atopii i ponieważ ograniczanie dostępu do Atopii jakimkolwiek obywatelowi jest wbrew konstytucji, nie mogą mi zablokować dostępu do wyspy, a także nie mogą mnie zamknąć.

– To czyni z ciebie bardzo interesującą osobę, mój przyjacielu.

Domyślałem się, dokąd zmierza.

– Nie mam obecnie zamiaru nadwerężyć niczyjej cierpliwości.

– Ale – dodał, wzruszając ramionami – wciąż tutaj jesteś, prawda? Dlaczego dobrowolnie nie poddasz się karze?

Ja także wzruszyłem ramionami.

– Zrobiłbyś to, gdybyś stracił ciało? Muszę się dowiedzieć, co zaszło.

Bob spojrział na mnie uważnie.

– Jak to wszystko wykombinowałeś? Mam wrażenie, że to wychodzi nieco poza twoją wiedzę.

– Jimmy.

14

Tożsamość: Nancy Killiam

– Czuję się taka zachmurzona...

Tak mówiły dzieci psis, próbując opisać uczucie, które nas nachodziło, kiedy nie potrafiliśmy zrozumieć naszych własnych odłamków, a nasz świadomy umysł wydawał się rozprzestrzeniać z pojedynczego punktu na zewnątrz i stawał się niewyraźną smugą w czasie oraz przestrzeni. Wiedziałam, że ciocia Patty tego nie zrozumie, ale nie potrafiłam tego ująć inaczej.

Spacerowałyśmy po Lizakowym Lesie, pod przepięknym nocnym niebem oświetlonym przez jasny, przypominający kawałek białej czekolady księżyc, otoczony przez mrugające żelkowe gwiazdy.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że cię nie będzie? – wreszcie zdobyłam się na zadanie tego pytania.

Odwróciła głowę, a potem znów spojrzała na mnie, choć unikała moich oczu.

– Byłam tam, moja droga, przynajmniej moja pierwotna podmiotowość tam była, ale byłam przekonana, że to ty uruchamiasz włącznik. Wszyscy odnieśliśmy takie wrażenie.

– Ale kontaktowałam się z tobą zaledwie kilka minut przed ceremonią i twoje ciało zmierzało do sali balowej. Co się zmieniło?

Patricia zadarła głowę ku żelkowym gwiazdom.

– Zaszło coś z wujem Vince'em.

Kopnęłam gniewnie nowalijki lizaków.

– Jestem taka głupia!

Każdy miał jakieś wytłumaczenie, więc ostatecznie to była moja wina. Mogłam to zresztą przewidzieć. Fizyczne metatagi wszystkich obecnych

wskazywał, że znajdują się oni gdzieś indziej, ale już dawno temu przestałam zwracać na to uwagę.

– Nie powinnaś aż tak bardzo się obwiniać – powiedziała łagodnie ciocia Patty. – Zrobiłaś cudowny prezent światu.

– Owszem, dałam mu coś, z czego nigdy nie przestanie się wyśmiewać.

Lizakowe drzewa zaszumiały, kołysząc się razem na wrzecionowatych łodygach. To ciocia Patty wpadła na pomysł, żeby wybrać się tu na spacer, jak wtedy kiedy byłam maleńkim odłameczkiem, ale teraz to miejsce zupełnie straciło swój urok.

Żeby mnie rozbawić, zaproponowała najpierw, żebyśmy wybrały się na spacer ze skórką pluszowych misiów – ta skórkazamieniała wszystkich wokół w śliczne różowe misie. Uwielbiałam ją jako dziecko, ale już dawno nim nie byłam. Teraz te wszystkie śliczniutki światy i przestrzenie wydawały mi się nienaturalne i przerażające.

– Nie bądź niemądra – skarciła mnie ciotka, biorąc za rękę i przytulając moją głowę do siebie. W tych dziecinnych światach zawsze pojawiała się z obfitym matczynym biustem i korpulentną figurą.

Znowu zaczęłam płakać.

– Postawiłaś pierwszy krok w obdarowywaniu świata rozszczepioną świadomością. Jesteś jeszcze bardzo młoda. Masz przed sobą całe życie.

Płacz zamienił się w głośne bolesne łkanie, na które mi pozwoliła, tuląc do piersi.

– Rozmawiałaś z Davidem?

– Nie, z nami koniec – wykrztusiłam. – To przez Davida zostałam fizycznie w domu podczas premiery. Czułam się nie w porządku, zostawiając go zawsze samego. Potem mieliśmy straszną awanturę.

– A co z Bobem? Kontaktowałaś się z nim?

Pokręciłam głową i łzy znów popłynęły mi po policzkach.

– Przysłał mi odłamek, ale sam przez cały czas jest nawalony. To nie ma sensu.

Ciocia Patty głaskała mnie po głowie, a potem otarła moje łzy. Szłyśmy, milcząc, stawiając ostrożnie kroki pośród lizaków.

15

Tożsamość: William McIntyre

– No cóż, byłoby dla ciebie znacznie lepiej, mój przyjacielu, gdybyś wpadł na pomysł, jak to, do cholery, rozwiązać – warknął Vicious prosto w twarz Jimmy’ego.

Ale Jimmy roześmiał się i przeszedł przez jego projekcję po plik, nad którym pracował. Vicious aż zabulgotał z oburzenia.

Cała nasza czwórka – Bob, Sid, Vicious i ja – nie wyglądała zbyt groźnie. Jimmy zgodził się na rozmowę z nami tylko dlatego, że chciał wyświadczyć uprzejmość Bobowi. Zupełnie nie przejął się wieściami. Z drugiej strony nadciągały sztormy, a więc on, jako niedawno mianowany członek Rady Bezpieczeństwa, miał w tej chwili znacznie poważniejsze rzeczy na głowie.

– Doceniam powagę sytuacji i szczerze ci współczuję – odezwał się po chwili, podniósłszy głowę znad pliku i patrząc na mnie. – Ale w tej chwili nic nie mogę zrobić. Jestem rozszczepiony na cienką jak masło warstewkę. Pokazałem tylko Willy’emu, gdzie może znaleźć narzędzia, i okay, jasne, opisałem, w jaki sposób może wykorzystać niektóre słabe punkty, ale co z tego?

– To w połowie twoja wina, mógłbyś się lepiej starać – rzucił niecierpliwie Bob. – Willy ma poważne kłopoty.

– To zbyt łagodnie powiedziane. – Jimmy odłożył plik. – Jest mi naprawdę przykro z powodu tego, co się stało. Usiłowałem tylko pomóc Willy’emu, dałem mu to, o co prosił.

– Dla własnej korzyści – stwierdził Sid.

Jimmy wzruszył ramionami.

– Czy przyjaciele nie są po to, żeby sobie pomagać? – Spojrzał prosto na

Boba. – A czy ty mu pomogłeś? Czy wiedziałeś chociaż, w jakich tarapatach finansowych się znalazł?

Bob odwrócił głowę.

– Nie sędzę – ciągnął Jimmy. – Byłeś zbyt zajęty ćpaniem i imprezowaniem z tymi idiotami. – Wskazał na Sida i Viciousa, nie spuszczać jednak oczu z Boba. – Byłeś zbyt zajęty zabawą, żeby poświęcić czas rodzinie, do której i ja się zaliczam, jeśli zapomniałeś.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział cicho Bob.

– Uważacie, że jestem nieczuły? – Jimmy wodził wzrokiem po naszych twarzach. – A widzieliście kiedyś, jak Bob traktuje Martina?

Nikt się nie odezwał, a słowa Jimmy’ego wręcz fizycznie raniły Boba. Zakołysał się na pietach.

– Wszyscy mamy problemy. – Teraz Jimmy spojrzał prosto w oczy Boba. – Wszyscy znosimy cierpienie, z którym musimy sobie radzić. Uważasz, że mnie było łatwo? Ale mimo to chcę się przyczynić do rozwiązania naszych problemów.

To miało osobisty wymiar.

– To wszystko moja wina. – Zamachałem rękoma w powietrzu i stanąłem między Bobem a Jimmym. – Nie chcemy nikogo winić, ja tylko szukam pomocy.

Jimmy pokręcił głową.

– Sytuacja, do jakiej doprowadziłeś, jest obecnie poza moją kontrolą.

Kiwnęliśmy z Bobem głowami, ale Sid tego nie kupował.

– Może powinniśmy pójść na policję i przedstawić im twój udział w sprawie. – Robił, co mógł, żeby wydawać się groźny, ale zupełnie mu to nie wychodziło.

– Więc może i ja udam się na policję i poinformuję ich o skórkach wirusów, które wypuszczałeś w cyberekosystem... – odparł Jimmy. – Obserwowałem cię, mój przyjacielu.

– I co z tego, że to robił? – blefował Bob. – Problem Willy’ego jest znacznie poważniejszy niż zakłócenia ekosystemu wywoływane przez zabawki Sida.

– Może tak, a może nie.

– Co to znaczy?

– Idźcie na policję i powiedzcie im o moim udziale – Jimmy zignorował pytanie Boba. – Ale to ja zasiadam w Radzie Bezpieczeństwa. Wszystkie

rozmowy, które prowadziłem z Willym, odbywały się pod szczelną zasłoną, będziemy więc mieli jego słowo przeciwko mojemu. – Pozwolił, żebyśmy to sobie uświadomili. – Mówiąc szczerze, przeciągnięcie ciała Willy'ego przez granicę, na Terra Nova, oraz to, że nie możemy zamknąć łącza ze względu na jakieś prawne nonsensy, jest dla nas poważnym wyzwaniem.

– Grozisz, że go odetniesz? – zapytał Bob. – Co się z nim wtedy stanie?

– Nie wiem, ale z pewnością nie będzie go tutaj. Znajdzie się, jak przypuszczam, gdzieś w otwartym wielowszechświecie.

To było równoznaczne z wygnaniem; słowa Jimmy'ego wywołały lodowate spojrzenia Boba oraz Sida.

Zrobiło mi się niedobrze.

– Pokazałem mu tylko narzędzia, o które prosił. Willy jest dużym chłopcem. Sam jest sobie winien.

Martwa cisza.

– Muszę już iść. Porozmawiamy później, okay?

Jimmy zamknął połączenie.

16

Tożsamość: William McIntyre

Po konfrontacji z Jimmym cała nasza banda zebrała się razem, żeby mi pomóc.

Dywan z gwiazd wisiał nad naszymi głowami, jak wtedy, kiedy obozowaliśmy tu po raz ostatni. Teraz tamta wyprawa wydawała się jak z innego życia. Sowa pohukiwała cicho w ciemności. Bob siedział z piwem na kolanie, oświetlony do połowy ogniskiem, i uśmiechał się do mnie.

Grzebałem patykami w węglach i wpatrywałem się w tańczące płomienie.

– Mówiłem ci, że wszystko będzie w porządku. – Bob podkreślił swoje słowa unosząc pustą puszkę po piwie.

Nie przestawałem wpatrywać się w ogień, zagubiony we własnych myślach. Wyobrażałem sobie słoneczne ciepło niegdyś ogrzewające zielone liście, które wchłaniały je i zamieniały powoli w ligninę i biomasę pnia. Pochwycone słońce, przechowywane przez dekady, oddawało nam energię cieplną, kiedy paliliśmy drewno, ogrzewając nasze dłonie i twarze. To nieważne, że ani słońce, ani drewno, ani ciepło nie były rzeczywiste, nie przeszkadzało mi to zupełnie w marzeniach na jawie.

Ponieważ moja świadomość funkcjonowała poprawnie, założyliśmy, że ciało żyje i ma się dobrze... gdzieś tam. Wysłaliśmy małą, prywatną armię, żeby je odnaleźć, wykorzystując w tym celu większość fortuny, którą zgromadziłem w czasie pięciu minut chwały jako najlepszy makler giełdowy na Atopii. Kiedy miałem jeszcze ciało.

Poszukiwania rozpoczęły się od samej wyspy – od dokładnej fizycznej kwerendy wykonanej przez plutony karaluchów z umysłowością psis i wypożyczonych psombies; po niej wykonaliśmy pełen cyfrowy skan,

używając prywatnej chmury pyłu sprytocytów.

Bardzo szybko powiększyliśmy promień poszukiwań fizycznych o przybrzeżne wody Atopii, a następnie o miasta połączone bezpośrednio z wyspą za pomocą pasażerskiej lukstorpedy. Wypożyczyliśmy i wysłaliśmy niezliczone boty i syntetyków, a nawet wynajętych prywatnych detektywów, którzy przemierzali ten świat i wikiświaty w poszukiwaniu śladu mojej twarzy lub mojego ciała, jakiegokolwiek tropu wskazującego na moją lub Wally'ego obecność.

Niczego nie znaleźliśmy.

W obliczu nadciągających sztormów atopijne ministerstwo spraw zagranicznych podjęło działania dyplomatyczne przeciwko Terra Nova bez przekonania, domagając się dostępu do anonimowego łącza lub jego rozłączenia; uważali, że to automatycznie przywróci mi ciało. Lecz Terra Nova, podobnie jak Atopia, czerpała ogromne zyski z przechowywania danych i chroniły ją te same żelazne międzynarodowe traktaty, co i samą Atopię.

Terra Nova odmówiła podjęcia jakichkolwiek działań, powołując się na bezwarunkową ochronę i bezpieczeństwo klientów oraz danych. By zdobyć dostęp do połączenia, poinformowali nas, musiałbym zalogować się do niego *in corpore*. Bez ciała nie było mowy o bioautoryzacji, a zatem o dostępie.

Początkowo byłem zdesperowany, ale stopniowo pogodziłem się z sytuacją.

Czasem, jak powiadają, trzeba stracić wszystko, żeby przekonać się, co jest naprawdę ważne. W walce o odzyskanie ciała nauczyłem się pokory dzięki lojalności przyjaciół, dzięki ich oddaniu, a także oddaniu rodziny, która przybyła mi na pomoc, choć porzuciłem ją dawno temu z chciwości.

Poszukiwania pomogły także Bobowi; nadały kierunek jego życiu, wybudzając go z dragowej drzemki, w której tkwił od lat, i wreszcie przywracając mu Nancy. Vince wykorzystywał swoją wielką sieć szpiegowską do pracy nad moim problemem, a Sid i Vicious głowili się niestrudzenie, przeczesując otwarte światy, włamując się do zamkniętych i szukając tylnych wejść do atopijnych podsystemów, żeby dowiedzieć się, jak ktoś zdołał tak dobrze zatrzeć za sobą ślady.

Nawet Martin się przyłączył.

Grzebałem patykiem w węglach, przyglądając się strzelającym iskrom, które

ulatywały w niebo.

Brigitte wróciła do mnie. Żartowała, że kiedy mieszkaliśmy razem i nigdy mnie nie było, czuła się tak, jakby mieszkała z duchem, a teraz, kiedy byłem duchem, byliśmy ze sobą częściej niż kiedykolwiek.

Czy coś w tym rodzaju.

Nie miała poczucia humoru, ale z pewnością była najpiękniejszą i najbardziej kochającą osobą, jaką kiedykolwiek znałem. Nie mam pojęcia, dlaczego pozwoliłem jej odejść, ale już nigdy do tego nie dopuszczę.

Vicious wrzucił puszkę do ognia i zerknął na mnie.

– W porządku, William?

– Tak, Vicious, mówiąc szczerze, bardzo w porządku.

Ludzie poświęcają całe życie na uganianie się za próżnymi marzeniami, uzależnieniami, pieniędzmi, religią, a nawet innymi ludźmi, mając nadzieję, że wypełnią tym wewnętrzną pustkę. Teraz po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czułem spokój. Był we mnie przez cały ten czas, tylko ja nigdy nie zważałem, żeby mu się przyjrzeć.

Powiew wiatru łaskotał mnie w plecy i zadrzałem. Wiatr ciągle wiał, kiedy na radarze ukazywały się obiecujące akcje, a czasami wiał mocno.

Bez Wally'ego i dostępu do własnego ciała nie mogłem zresetować sensorycznej mapy, więc byłem skazany na wieczne pieszczoty wiatru. Lecz teraz dodawał mi on pewności i zablizniał stare rany.

Brakowało mi w życiu tylko jednej rzeczy, a czułem się, jakbym nie miał kończyny. Spojrzałem na turystyczne krzeselko, które ustawiliśmy na cześć naszego upadłego towarzysza: Wally siadywał na nim obok mnie podczas naszych wypraw. Tego wieczoru ustawiłem je niedaleko. Wciąż było puste.

Często wracałem pamięcią do ostatniej rozmowy z Wallym.

Trudno było dociec, czy naprawdę uciekł z moim ciałem, żeby chronić mnie przed policją. Dostali cynk o złamaniu zabezpieczeń i prędzej czy później nakryliby nas. Może zobaczył, jak nadchodzą, i postanowił uciec. Tyle że moja sprawa była już zamknięta; ułaskawiono mnie, więc nawet jeśli chciał chronić nas przed więzieniem, powinien już wiedzieć, że teraz może wrócić.

Ale nie wracał.

Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym większą miałem pewność, że to

nie przed więzieniem chciał mnie chronić. Może usiłował ocalić mnie przed czymś znacznie gorszym – przed samym sobą. W tamtym czasie byłem tak bardzo zajęty kopaniem dla siebie głębokiego, samotnego grobu, że gdyby mi nie przeszkodził, nigdy bym z niego nie wrócił. Dusił mnie nieprzenikniona chciwość i duma, sprzedałem przyjaźń i miłość za pieniądze oraz władzę. Może wiedział, że tak będzie mi lepiej.

Byłem pewny, że chciałby wrócić, wiedziałem w gruncie rzeczy, że nie ma takiego miejsca, które przedkładałby nad bycie z nami, ale musiał dojść do wniosku, że tak będzie dla wszystkich bezpieczniej. Miał rację. Sam nigdy nie dotarłbym tu, gdzie się znalazłem.

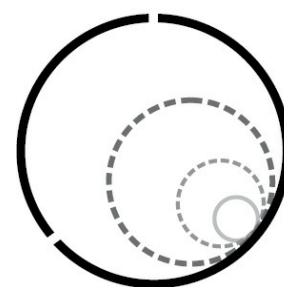
Wally i ja zamieniliśmy się miejscami.

Stałem się nim, żyjąc jako istota wirtualna, a on stał się mną, żyjąc w rzeczywistym świecie w prawdziwym ciele.

Uśmiechnąłem się, przypominając sobie nasz ostatni pobyt tutaj. Po powrocie do domu Wally wyznał mi, że mnie kocha. Pomyślałem wtedy, że to dziwne, ale teraz już tak nie myślę. Uniosłem puszkę z piwem i spojrzawszy na puste krzesło obok mnie, wzniosłem toast za nieobecnego przyjaciela.

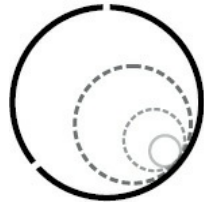
Czasem trzeba się zgubić, żeby móc się odnaleźć.

GENESIS & JANUS



Część VI:

Patricia Killiam
& Jimmy Scadden



Prolog

– Zawsze będę cię kochała. – Dmuchałam w dmuchawiec i przyglądałam się puchowi, który frunął po przejrzystym błękitnym niebie. Wiatr schwytał małe nasionka i poniósł je wysoko i daleko. – Nieważne, gdzie zanieś mnie wiatr, zawsze odnajdę drogę powrotną do ciebie.

– A ja do ciebie – odpowiedział chłopiec, a jego twarz zbliżyła się do mojej, czułam gorący oddech na policzkach.

Leżeliśmy na zalanym słońcem polu. Odgarnęłam włosy z oczu i przyglądałam się mrówce w trawie, męczącej się ze zdobyczą o wiele dla niej za dużą.

– Nigdy mnie nie opuszczaj.

– Nigdy cię nie opuszczę – obiecał.

Zapadła cisza, a potem rozległ się niski warkot. Chłopiec uniósł głowę i wyciągnął szyję ponad kamienny murek obok nas. Nad naszymi głowami przeleciała ze straszliwym rykiem eskadra Luftwaffe, ocierając się niemal o korony drzew. Krzyknęłam, a chłopiec się zerwał.

Spojrzał na mnie z góry. Kiwnęłam głową, więc pobiegł z posępną miną, odwracając się tylko raz przez ramię, zanim zniknął za bramą.

– Nigdy cię nie opuszczę – szepnęłam.

1

Tożsamość: Jimmy Scadden

Do oczu napłynęły mi łzy, gdy wysilałem wzrok, patrząc prosto pod wiatr z sunącego ponad lasem alg poduszkowca. Niemal każdego dnia prosiłem tatę, żeby zabrał mnie do pracy na wodzie, co bardzo denerwowało mamę. Tata był wzruszony, że jego słodki chłopczyk chce z nim nieustannie pracować, ale mówiąc szczerze, po prostu chciałem być jak najdalej od mamy.

Na wodzie i tak było pięknie.

– Cudownie, prawda Jimmy? – krzyczał tata ponad rykiem silników. – Spójrz! Skręcił ostro poduszkowcem i pokazał mi coś w wodzie.

Dziesiątki morskich wydr ułożyły się jak tratwa wśród pływających alg, poszczekując gniewnie, kiedy je mijaliśmy. Kilka głów kołysało się na wodzie wokół nas, a ja przeniosłem się w ich małe ciała i przyglądałem się nam obserwującym wydry.

– Trzymają się blisko systemów pływających raf. Podoba im się tu.

Zwolniliśmy, zbliżając się do krawędzi lasu, łodygi alg stały się rzadsze. Siedziałem na kolanie taty, a on trzymał mnie mocno oburącz. Czułem jego ciepłe dłonie na udach. Sterował poduszkowcem za pomocą fantomów.

Kiedy mama i tata przybyli na Atopię, tata – inaczej niż mama – pracował nad poszerzeniem swojej neuroplastyczności. Stosunkowo wcześniej nauczył się korzystać z fantomalnych kończyn, czego mama nigdy nie potrafiła opanować.

Tamtego dnia łowiliśmy ryby z delfinami, a tata wiedział, jak to lubiłem.. Kiedy pędziliśmy ponad algami, na mojej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, , czułem słońce i wiatr na twarzy, byłem wolny jak ptak. Tak naprawdę nie łowiliśmy ryb, ale sterowaliśmy delfinami, używając systemu psis, więc to one

zajmowały się połowem. Na tym wczesnym etapie projektu ciągle potrzebowaliśmy pomocy delfinów do hodowli ryb, a dla mnie najciekawszą częścią rybołówstwa były rozmowy z tymi ssakami.

– Oto i one. – Tata wyłączył silnik.

Poduszkowiec opadł na wodę i zatrzymał się po chwili. Na otwartym oceanie nie było dużych fal, ale tata i tak trzymał mnie mocno. Wysoko nad nami wirowało stado mew, czekając na ryby, które zechcemy im rzucić.

Z boku poduszkowca ukazały się szybko pływające kształty, zmierzające ku nam z głębin. Z głośnym chlupotem tuzin głów wyskoczył ponad powierzchnię, a powietrze wypełniło popiskiwanie delfinów.

System psis natychmiast tłumaczył nam ich język. Dzikie delfiny mają dosyć słabo rozwinięte umiejętności porozumiewania się, więc system musiał często uzupełniać braki językowe, domyślając się, o co im chodzi. Ale delfiny, które podплыnęły do nas, były wykształconymi delfinami z Terra Nova i dysponowały rozwiniętym słownictwem.

Teraz witały się z nami.

Uśmiechnąłem się i pomachałem do nich.

– Hej, Billy! Cześć, Samantha!

Znów zapiszczały powitalnie. Tata puścił mnie, a ja pobiegłem na burtę i zanurzyłem dłoń w wodzie, żeby pogłaskać je po pyskach. Były jak najlepsze psy, ale znacznie większe, mokre i o wiele mądrzejsze.

Delfiny z Terra Nova nie pracowały dla nas. Przyjęło się, że pracowały z *nami*. Lubiły panującą na Atopii atmosferę podniecenia i cieszyły się pewnymi przywilejami, na przykład dostępem do wielowszechświata, co było możliwe tylko tutaj.

Tata roześmiał się.

– Wystarczy już tej miłości. Chodź, mamy dużo pracy.

Delfiny skierowały uwagę na tatę.

– Dzisiaj łowimy sardynki, więc chcemy, chłopaki, żebyście zagoniły parę ławic do zbiorników, o tam! – wyjaśniał tata, pokazując kuter płynący kilkaset stóp dalej. – Czy ktoś mógłby dostarczyć mi próbkę?

Samantha, moja ulubienica, pisnęła i zanurkowała w głębiny.

– W porządku – ciągnął tata, klaszcząc w dłonie. – Rozpoczynamy

przedstawienie.

Delfiny pożegnały się i odpłynęły szybko, z wyjątkiem Samantha, która wychyliła głowę nad powierzchnię z sardynką w pysku.

– Dziękuję ci, Sam. – Tata kiwnął do niej głową i pochylił się, żeby odebrać zdobycz. Potem odwrócił się do swojej stacji roboczej i z nożem w ręku rozpoczął badania.

Czekaliśmy z Samantha, wpatrując się w jego plecy. Przerwał to, co robił, uśmiechnął się do nas i pokręcił głową.

– Okay, wy dwoje! – roześmiał się. – Idźcie się trochę pobawić.

Opuściłem swoje ciało. Wszedłem w ciało Samantha i natychmiast popłynąłem jak rakieta na pełne morze, czując jej potężne mięśnie rozpędzające nas w lodowatej wodzie w pościgu za braćmi i siostrami w głębinach.

2

Tożsamość: Patricia Killiam

Pokazywanie się prasie osobiście było błędem.

Mój Boże, bolało mnie całe ciało, nawet przy maksymalnie skrzyżowanych receptorach bólu. Przez ostatni rok nie spędziłam więcej niż kilkadziesiąt godzin we własnej skórze, bo kto by tego chciał? Moje ciało, oblegane przez przerażającą listę chorób ledwo powstrzymywanych przez cuda współczesnej medycyny, skurczyło się jak stara fasolka schnąca przez całą noc na stole. Miałam blisko sto czterdzieści lat, ale wciąż nie byłam gotowa oddać ducha.

Westchnęłam w głębi siebie i skinęłam głową Olympii, naszej przedstawicielce medialnej w Nowym Jorku, wskazując, że nadeszła pora rozpoczęcia promoświata dla reporterów. To wydarzenie miało miejsce na Atopii, ale reporterzy pochodzili z Nowego Jorku, podobnie jak prowadząca to przedstawienie Olympia. Uczestniczyła zdalnie w konferencji, więc spodziewałam się ujrzeć na wyświetlaczu statyczny obraz jej awatara, lecz zamiast tego pojawiła się w idealnie oddanej projekcji psis.

Nie wiedziałam, że Olympia ma nasz psis w układzie nerwowym. Od kiedy?

Promo-świat rozszerzył się i ogarnął nasze zmysły, pojawiła się młoda atrakcyjna kobieta, wędrująca po przepięknej plaży Atopii nieopodal Wschodniej Zatoki. „Wyobraź sobie”, zaczęła „że rano wspinasz się w Himalajach, a kończysz dzień, plażując na Bahamach...”

Oglądałam tę reklamę miliony razy. Na czas jej nadawania rozłączyłam się i otworzyłam prywatny kanał komunikacyjny z Antonią, starszą wspólniczką firmy Olympii, i starą drogą przyjaciółką.

– Dziękuję ci bardzo za ten nowy kontrakt – powiedziała w chwili, kiedy

otworzyłam kanał.

– Nie musisz mi dziękować. Twoja firma ma zwyczajnie najlepsze kwalifikacje – przerwałam. – Jak się miewa twój ojciec?

– Całkiem nieźle. Pytał o ciebie wczoraj wieczorem. – Uśmiechnęła się ciepło.

– A jak ty się czujesz? Czy ta nowa terapia genowa przynosi jakieś efekty?

– Czuję się wspaniale! – skłamałam i nie rozwijałam dalej tematu.

Antonia spojrzała na mnie uważnie i chciała chyba coś powiedzieć, ale się opanowała.

– Czy twój ojciec postanowił już, że przyjedzie?

Zaprosiłam go na wielką premierę. Pomagał mi tworzyć program psis, ale odszedł po nieporozumieniach z Kesselringiem.

Antonia odwróciła wzrok i pokręciła głową.

– Przepraszam, ale... Spróbuję z nim jeszcze porozmawiać.

– Zrób tak, proszę.

– Zrobię, obiecuję.

Reklama dobiegła końca, więc kiwnęłam głową Antonii i zamknęłam kanał komunikacyjny, kierując uwagę ku reporterom.

– Więc jak dokładnie psisonika przysłuży się światu, czyniąc z niego lepsze miejsce? – zapytała chuda jak patyk Ginny, blondynka siedząca w pierwszym rzędzie.

Delikatnie zmarszczyłam czoło. Nigdy nie lubiłam terminu „psisonika” – ciężar, jaki w sobie niósł, wymagał ciągłych starań o oddzielenie faktów od mitów, szczególnie kiedy rozmawiało się z dziennikarzami.

Ale z drugiej strony, jakie to miało znaczenie?

– No cóż, Ginny, osobiście wolę używać terminu „polisyntetyczny interfejs sensoryczny” czy też po prostu „psis”. – Opuściłam ciało i poszybowałam do góry, by skupić na sobie ich uwagę, ale nikt nie mrugnął nawet okiem, więc kazałam mojej prokurze, Marie, dokończyć za mnie prezentację.

Program prokur był moim życiowym osiągnięciem w tworzeniu podstaw sztucznej inteligencji. Wcześniejsze badania usiłowały stworzyć ją samą z siebie w czymś w rodzaju próżni. Moja przewaga polegała na tym, że rozumiałam, iż ciało i umysł nie istnieją oddzielnie, że mogą egzystować tylko razem.

Rozpoczęliśmy od stworzenia sztucznych systemów uczenia się, powiązanych z wirtualnymi ciałami w wirtualnych światach; stopniowo systemy te stawały się inteligentne, odnajdując własną drogę i miejsce w otoczeniu. Program prokur poszedł o krok dalej, bowiem zintegrowaliśmy prokury z ludzkim życiem, pozwalając im dzielić codzienne ludzkie doświadczenia. Prokury nadal pozostawały sztucznymi inteligencjami, ale dzieliły naszą fizyczną rzeczywistość, przerzucając bez trudu pomost między światami ludzi i maszyn.

Marie nadal rozmawiała z reporterami, a ja wycofałam się na tyły sali, gdy nagle włosy stanęły mi dęba. Właśnie miał się rozpocząć test katapulty. Musiałam szybko zakończyć to przedstawienie, więc przeniosłam się z powrotem do mojego ciała i przejęłam nad nim kontrolę.

– A teraz, jeśli pozwolicie – oznajmiłam, otaczając grupę reporterów moimi fantomami – chciałbym zabrać wszystkich, którzy się na to zgodzili, na test naszej nowej katapulty.

Zadbaliśmy o to, żeby niemal wszyscy zajęli pierwsze rzędy podczas pokazu. Musieliśmy im pokazać, że interesuje nas nie tylko cyber-, ale że zaangażowaliśmy się także w poważny program kinetyczny.

– By odpowiedzieć na pytanie postawione w pierwszej kolejności przez Ginny – podjęłam, chwytając ich wszystkich i wystrzeliwując przez sufit sali konferencyjnej, a następnie przyspieszając ku przestrzeni kosmicznej pośród westchnień podziwu – psis zmieni świat, uwalniając go z destrukcyjnej, wiodącej w dół spirali konsumpcji materialnej i wprowadzając ludzkość do czystego świata konsumpcji syntetycznej.

Zwolniłam i ustabilizowałam kurs lotu, zatrzymując się na wysokości dziewięćdziesięciu tysięcy stóp. Rozproszywszy subiektywne punkty widzenia reporterów wokół szerokiego promienia otaczającego strefę docelową katapulty, wskazałam ocean poniżej, a potem słońce wstające nad horyzontem.

– Dziesięć miliardów ludzi walczących o swój kawałek materialnego marzenia niszczy tę planetę. Psis jest rozwiązaniem, które zatrzyma nas nad krawędzią przepaści!

Na te słowa katapulta zaczęła wypełniać przestrzeń wokół nas narastającym rykiem i piekłem płomieni. Zostawiłam wizualne podmioty reporterów

w samym środku tego piekła, a sama cofnęłam się, by przyglądać się widowisku z daleka, z odległości kilku mil, a potem z jeszcze większej. To, co przed chwilą wzbudzało wielki podziw, stało się tylko jasną smugą na niebie, a wiele mil niżej migotała zielona kropka Atopii.

Mój umysł zasnuły wątpliwości.

Czy naprawdę jestem w stanie naginać rzeczywistość do własnych potrzeb?

Atopia była jak zielony łebek szpilki pływający po oceanach na planecie, która wydawała się maleńkim okruszkiem sunącym przez olbrzymi kosmos niekończących się wszechświatów.

Czy oszukuję sama siebie?

Nasza wyimaginowana potęga stawała się niczym, gdy spoglądało się na nią z niewielkiej perspektywy, przyćmiewały ją niewidzialne siły operujące w znacznie większej skali. Właśnie wtedy otoczyła mnie sunąca szybko chmura i jakby w odpowiedzi na moje myśli zerwał się silny wiatr. Nadchodziła burza.

Lepiej zejdę stąd i porozmawiam z Rickiem.

Zostawiając za sobą odłamek, który zegnał się z reporterami, rozdzieliłam się i wysłałam sygnał do komandora Stronga. Kiedy przybyłam do centrum dowodzenia, na głównym wyświetlaczu na środku sali nadal rozpływała się poświata testu katapulty. Zapaliłam papierosa, wsuwając się łagodnie z moją obecnością obok Ricka. Sama go wybrałam na dowódcę nowo sformowanych Sił Obrony Atopii.

Podczas wzorowej służby w amerykańskiej piechocie morskiej Strong wielokrotnie wykazał się odwagą, ratując ludzi, którymi dowodził. Pierwsza misja bojowa zawiodła go do Nanda Devi, gdzie toczyły się straszliwe walki o himalajskie tamy, co doprowadziło do wybuchu wojen klimatycznych. Choć jego profil psychologiczny wskazywał na uśpiony zespół stresu pourazowego, przemawiał on w sumie na jego korzyść, bo przed rozpoczęciem awantury Rick zastanawiał się dwa razy. Zainstalowaliśmy na Atopii straszliwie groźne uzbrojenie i nie chciałam, żeby w najgorszym przypadku na guziku odpalającym broń znalazł się palec jakiegoś skorego do walki zawadiaki.

Pierwszą osobą, która wspomniała o konieczności zainstalowania na wyspie systemów broni defensywnej, był Kesselring, przewodniczący rady nadzorczej

Cognixa i główny dobroczyńca Atopii. Początkowo jego sugestia wydawała się całkowicie sprzeczna z libertariańskimi ideałami, na których opierała się Atopia. Byłam temu przeciwna, ale z czasem zrozumiałam, co Kesselring miał na myśli.

Sprawdzony w bojach weteran Rick wniósł na Atopię bezpośrednio, niekiedy gwałtowne doświadczenie rzeczywistości świata zewnętrznego, co pomogło stworzyć fundamenty naszego zespołu. Byliśmy mistrzami rozszerzonej rzeczywistości, ale odnosiłam wrażenie, że tworzone przez nas światy odbierają nam wzrok i czynią nas ślepyimi na prawdziwe niebezpieczeństwa. Rick był idealnym antidotum.

– Skończyłeś już zabawę, Rick? – zapytałam, zakładając nogę na nogę i zaciągając się papierosem. Rick lubił swoje zabaweczki.

Chciałam, żeby czuł się bezpiecznie. Wiedziałam, że jedną z głównych przyczyn jego przyjazdu na Atopię była chęć ocalenia związku z boleśnie odczuwającą samotność żoną, Cindy. Pragnęłam, żeby im się powiodło, żeby zdołali założyć tu rodzinę, szczególnie że Ricky sam nie miał łatwo, kiedy dorastał. Podczas procesu rekrutacyjnego poznaliśmy się całkiem nieźle.

– Wszystko w największym porządku.

– To dobrze, bo napędziłeś strachu wszystkim zwierzątkom, które udało mi się wyhodować w tej puszczy po konserwach – powiedziałam. – No, a turyści chcą w spokoju zażywać morskich kąpiele... Co nie znaczy, że nie podobał im się twój pokaz. Dałeś prawdziwie wstrząsający popis!

– Od czasu do czasu trzeba obudzić sąsiadów – roześmiał się.

Celowo usunęliśmy filtrowanie rzeczywistości podczas testu broni, żeby zmierzyć jej kognitywny wpływ na ludzi. Reakcje znacznie przekroczyły próg emocjonalnego odstraszania, które było jednym z celów projektu.

– To twoja robota, Rick: straszenie świata, żeby nabrał dla nas szacunku. Moim zadaniem jest straszenie świata, żeby zechciał się uratować. Świetnie się spisałeś.

– Widziałaś tę nadciągającą burzę? – zapytał. Kiwnęłam głową. – Śledzimy ten niż od tygodni, ale nie da się uniknąć każdego. Ten i tak podleje ci roślinki po same czubki.

Uśmiechnął się. Odwzajemniłam uśmiech.

– Zrób sobie już dzisiaj wolne – zaproponowałam.

Jego żona nie potrafiła się przystosować do życia na Atopii. Kiedy ludzie zjawiają się na wyspie po raz pierwszy, różnie reagują na nagłe zanurzenie się w nieograniczonej rzeczywistości rozszerzonej. Większość szybko się przystosowuje, błyskawicznie tworząc zakamarki i nisze rzeczywistości według własnych potrzeb, ale niektórym przychodzi to z trudem.

Ale nie tylko o to chodziło w tym wypadku.

Źródłem chronicznej depresji Cindy była natura jej związku z Rickiem. Miałam nadzieję, że zdołamy to naprawić.

– Mówiąc szczerze, to świetny pomysł. Nie będziesz miała nic przeciwko temu? – zapytał, przygotowując z zapalonym system sterowania do zamknięcia katapulty. Spojrzał na mnie. – Naprawdę uważasz, że sztuczne dziecko to dobry pomysł?

Mówił o symulakrach pociech, które Cognix zalecał parom przed zdecydowaniem się na „prawdziwe” dziecko. Takie dziecko mogłoby pomóc Cindy zaaklimatyzować się w psis, ale szczerze powiedziawszy nie byłam zwolenniczką tego projektu.

– Tak – odpowiedziałam z wahaniem. – Jeśli oboje będziecie uważni.

Moja odpowiedź usatysfakcjonowała Ricka.

– Porozmawiam z nią o tym. Zatem do zobaczenia!

Kiwnąwszy głową Jimmy’emu, wyłączyłam się z przestrzeni sensorycznej Dowodzenia.

3

Tożsamość: Jimmy Scadden

– Myślę, że to doskonały pomysł, komandorze – powiedziałem, kiedy Patricia zniknęła. – To znaczy: pójdzie do domu i żony. Dam sobie tutaj radę.

Rick zerknął na mnie znad panelu sterowniczego katapulty.

– Dzięki. – Wstał od stacji roboczej, podszedł do mnie i przekazał mi autoryzację dowódcy. – Z doktor Killiam łączy cię coś wyjątkowego, prawda?

Uśmiechnąłem się.

– Owszem.

Alarm zasygnalizował, że podczas testu broni doszło do złamania jakiegoś protokołu bezpieczeństwa. Ktoś majstrował na wysokościach i zniszczył drona.

– Przeprowadzka tutaj nie była łatwa – ciągnął. – Przynajmniej dla Cindy.

Zapisałem raport o naruszeniu protokołu i sporządziłem notatkę, by zajrzeć do niego później.

– To dla niej ogromna zmiana – odpowiedziałem. – I dla pana też, jeśli już o tym mowa.

Rick kiwnął głową i opuścił na nas zasłonę bezpieczeństwa. Reszta sztabu dowodzenia z zaciekawieniem zerknęła w naszą stronę znad stacji roboczych.

Komandor Strong położył mi dłoń na ramieniu.

– Słyszałem, że nie było ci tutaj łatwo w dzieciństwie.

Nie odpowiedziałem.

– Gdybyś kiedykolwiek chciał o tym porozmawiać... Sam przeszedłem ciężkie chwile jako dzieciak...

– Dzięki... – odpowiedziałem zaskoczony tym niespodziewanym dowodem

zaufania.

– Kiedykolwiek będziesz miał ochotę... Oczywiście możesz liczyć na moją dyskrecję.

– Doceniam to, komandorze – odparłem z większą pewnością siebie. – Z pewnością poproszę pana o rozmowę, choć teraz nic mi nie jest.

Zlikwidowałem zastonę bezpieczeństwa, było mi wstyd przed resztą sztabu.

– A teraz proszę pozdrowić ode mnie żonę, komandorze.

Uśmiechnął się.

– Pamiętaj, kiedy tylko zechcesz, okay?

– Tak jest.

Milczał, a ja uśmiechnąłem się do niego. Trudno było dociec, co mu siedzi w głowie. Postanowiłem dać temu spokój.

– Do zobaczenia, Jimmy.



Choć Atopię reklamowano jako raj na ziemi, a w tabloidowych światach bez przerwy ukazywały się historie o cudownych, dorastających tutaj dzieciach psis, moje życie na wyspie było wyjątkowym piekłem. Jako dorosły spoglądałem na to z pewnej perspektywy, a nawet potrafiłem to docenić, niczym ordalię ognia, która mnie wykuła, ale w tamtych czasach psis było okrutne.

I, rzecz jasna, pamiętałem to wszystko. Dla dzieci psis niepamięć nie wchodziła w rachubę.

– Spójrz na niego, czy to nie słodkie? – mówiła moja matka, kiedy byłem niemowlęciem, a moi rodzice dopiero sprowadzili się na Atopię. – Właśnie znów się obsrał, a teraz rozgląda się i wacha, co tak śmierdzi.

Śmiała się, dzieląc się moim renderowanym inVerseem, dzieląc się nawet smrodem z gośćmi. Miałem dziesięć miesięcy, a ona znów to robiła. To znaczy piła.

– Czujecie? – rechotała. – Czy możecie uwierzyć, że coś tak małego potrafi wyprodukować taki smród?

Rodzice zaprosili inną parę na kawę, a matka zamieniła nasze ciasne mieszkanie w syntetyczną projekcję przestrzeni, udekorowaną na ten wieczór jak hiszpański pałac. Siedzieliśmy na środku otwartego dziedzińca pod granatowym niebem, otoczeni przez dwupiętrowy, wyłożony terrakotą palazzo, którego ściany ozdobiono skomplikowanymi freskami i maleńkimi niebiesko-biało-złotymi kafelkami.

Bawiłem się między paprociami w donicach, obok niewielkiego stawu z rybkami koi. Ważki bzycały na krawędzi wody, przykuwając moją uwagę, więc sięgnąłem po nie. Jeszcze nie umiałem chodzić, więc siedziałem na tyłku we własnych ekskrementach, wpatrując się w ważki i pociągając noskiem z zaciekawieniem.

– Nie sądzisz, że należałoby zmienić mu pieluchę? – zapytał zażenowany Steve. Pracował z tatą w grupie akwaponicznej i spędzali razem dużo czasu, zarówno w pracy, jak i poza nią. Było to powodem niesnasek między rodzicami.

– Wszystko przez to rybie białko w jego diecie – oznajmiła matka. – Phil uważa, że to pomoże w rozwoju jego mózgu, że urośnie duży i silny, ale zdaje się, że to nie działa. – Znów zarechotała, tym razem głośniej, i wzruszyła ramionami. Goście usiłowali uśmiechać się uprzejmie.

– Yolanda! – wrzasnęła. – Zmień Jimowi pieluchę, z łaski swojej!

Mama uśmiechnęła się do gości, a jej obraz zamigotał. Odłączyła się, a jej prokura, Yolanda, przejęła kontrolę nad jej ciałem. W tamtych czasach, na etapie prototypów, psis funkcjonowało nie bez zakłóceń, więc *summa summarum* wyglądało to tak, że duch matki pozostał na miejscu, a Yolanda, zmaterializowawszy się na naszych oczach, wniknęła w jej ciało i wstała.

Uśmiechnęła się do gości i podeszła do mnie, żeby mnie podnieść. Przytuliła mnie i pobiegła ze mną na stronę, żeby zmienić mi pieluszkę.

– Czy to nie najlepsza rzecz pod słońcem? – palnęła moja matka, mając na myśli psis, wciąż nową zabawkę. Steve i jego żona Arlene po raz pierwszy składali nam wizytę towarzyską. Nie przychodziło do nas zbyt wielu gości. Nie cieszyliśmy się popularnością.

– Początkowo byłem sceptyczna, kiedy Patricia Killiam, moja praciotka – podkreśliła dla należytego efektu – zaoferowała nam miejsce tutaj, ale

doprawdy, nigdy przedtem nie czułam się tak odprężona. – Na jej twarzy zagościł pijacki uśmiech.

– To zdumiewające – zgodził się z nią Steve, zadowolony, że przestali rozmawiać o pieluchach. – Reklamy wcale nie przesadzały. – Rozejrzał się po okolicy, jakby szukając potwierdzenia swoich słów.

– Absolutnie. – Matka kiwnęła głową. – To znaczy, kto by pomyślał? Wymodelowałam moją prokurę na wzór własnej niani, a mały Jimmy w ogóle nie zmienił mojego stylu życia.

– Ciągle uczymy się nowych sposobów używania psis – dodała żona Steve’a. – Choć miło spotykać się z prawdziwymi ludźmi twarzą w twarz. Syntetykom brakuje tego... czegoś.

Wszyscy wokół stołu kiwnęli głowami, z wyjątkiem mojej matki, która zmarszczyła nieco nos.

Nikt z siedzących przy stole nie wiedział, na jakie tory skierować teraz rozmowę.

– No cóż! – wykrzyknęła matka, która nigdy nic sobie nie robiła z niezręcznych momentów w towarzystwie. – Kto by pomyślał, że znajdziemy się w najbardziej zaawansowanym technologicznie miejscu na ziemi, a ja zostanę żoną sprzedawcy ryb! – zachichotała, patrząc na ojca.

Wbił wzrok w filiżankę z kawą.

– Kierujemy programem akwahodowlanym, nie jesteśmy sprzedawcami ryb. – Zerknął na nią nienawistnie, ale uśmiechnął się do gości.

Steve podniósł filiżankę.

– I uprawiamy algi!

Matka zacisnęła usta w złośliwym uśmieszku, który znałem aż za dobrze.

– To wspaniale. Nazywaj to jak chcesz. Jesteśmy tutaj i tylko to się liczy!

Yolanda wróciła ze mną na rękach i podała mnie matce, która posadziła mnie na kolanach i uśmiechnęła się do mnie.

– Jak się miewa mój mały śmierdziel? – zarechotała, potrząsając mną niezbyt delikatnie.

4

Tożsamość: Patricia Killiam

– Jest coś bardzo dziwnego w tych ostatnich zniknięciach – stwierdziłam, przechodząc do sedna prywatnej rozmowy, o którą poprosiłam Kesselringa.

Szereg ludzi przepadł w wielowszechświecie, zostawiając za sobą ciała, incydentów wciąż przybywało. Po tym, jak ich przyjaciele bądź rodziny wszczynali alarm, znajdowaliśmy ich zazwyczaj zakopanych głęboko w jakimś hedonistycznym cyberfantastycznym świecie, ale ostatnio pojawiało się coraz więcej przypadków znikania na dobre.

– Myślisz, że ten sukinsyn Sintil8 może mieć z tym coś wspólnego? – zapytał Kesselring. – Bardzo mu zależy na wykolejeniu całego programu. Macie go na oku?

– Mniej więcej. – Toczyłam własne, prywatne rozmowy z Sintilem8, o których Kesselring nie powinien wiedzieć. – Ale te zniknięcia są zupełnie inne. Ich mózgi są bardzo pobudzone, na granicy sensorycznego przeciążenia.

Nabrałam powietrza w płuca i zmieniłam pozycję na krzesło.

Surowe prawa o ochronie danych osobowych, które sama stworzyłam, oznaczały, że nie mogłam grzebać w ludzkich umysłach bez zgody zainteresowanych. Zmusiłam Cognix do wbudowania w psis szczelnego systemu chroniącego prywatność od samych fundamentów, a wszystko po to, by chronić prawa użytkowników. Kontrola nad kodem źródłowym psis była jak dostęp do ludzkiej duszy, a sam kod źródłowy jak kamień węgielny.

– Musimy dowiedzieć się, co się dzieje.

Kesselring westchnął.

– Nie widzę przeszkód, ale parę osób zabawiających się

w wielowszechświecie nie może opóźnić całego programu. Wprawiliśmy w ruch potężną maszynę.

Globalna kampania marketingowa wprowadzająca psis na rynek komercyjny była z pewnością największym przedsięwzięciem promocyjnym w dziejach, przynajmniej jeśli chodzi o prywatną firmę... Jeżeli byliśmy jeszcze prywatną firmą.

Wpatrywałam się w lśniącą pokrywę zasłony bezpieczeństwa, która opadła na nas, kiedy Kesselring się pojawił. Bezpieczeństwo stanowiło nasz priorytet na całej wyspie, ale korzystaliśmy z zasłon, by nie kusić ciekawskich oczu.

Zasłona, która nas otaczała, należała do Kesselringa i była nieprzeniknioną tarczą. Miała dziwną, mieniającą się barwę, przypominającą niewyraźny błękit wody w strumieniu wypływającym z lodowca. Może dlatego było mi pod nią tak zimno?

– Czy myślisz, że Terra Nova ma z tym jakiś związek? – zapytałam. – Sama nie wykluczam, że to Sintil8 razem z Kartelami, albo nawet jakiś odłam Sojuszniczego Dowództwa...

Kesselring mierzył mnie wzrokiem.

– Kazałem komuś zająć się tą sprawą. Od tej chwili musimy zachować najwyższą czujność.

Przyglądałam się temu mężczyźnie, zastanawiając się, jak czujny pozostaje wobec mnie.

– Słyszałeś prawdopodobnie, że Rick zgodził się, żeby mianować Jimmy'ego do Rady Bezpieczeństwa – oznajmiłam. – Jeśli ktokolwiek zdoła rozpracować tę sprawę, to tylko on.

Nadal lobbowałam na rzecz tego chłopaka, choć już wcale tego nie potrzebował.

Kiedy rodzice Jimmy'ego opuścili Atopię, wzięłam go pod swoje skrzydła. Jego matka, moja daleka krewna, porzuciła go tutaj, a ja obwinałam siebie, że nie interweniowałam wcześniej w tę paskudną sytuację domową. W ostatecznym rozrachunku to Jimmy za wszystko zapłacił, ale teraz zaczynał rozkwitać. Był moim pupilem, razem z Nancy, rzecz jasna. Przez całe moje długie życie nie dane mi było mieć dzieci, ale tych dwoje traktowałam jak własne.

Byłam z nich bardzo dumna.

Kesselring zerkał na mnie badawczo, wyczuwając mój instynkt opiekuńczy.

– Jimmy to doskonały wybór. Właśnie jemu kazałem rozpracować tę sprawę.

Uniosłam brwi. Nie wiedziałam, że Jimmy pracuje bezpośrednio dla niego.

– O co może im chodzić? – zamyśliłam się szeptem, mając na myśli nie tylko Terra Nova, ale i Kesselringa.

– Nie wiem – odpowiedział, nie domyślając się pełnego znaczenia moich słów. – Ale to dowodzi tylko słuszności moich racji. Powinniśmy wystartować najszybciej, jak się da. Jak mówiłaś, musimy zmaksymalizować efekty sieciowe wprowadzenia produktu...

– ...by zyskać największe nasycenie wśród całej ludności w najkrótszym czasie. Wiem. – Spojrzałam mu w oczy. – Więc będziemy rozdawać psis za darmo?

Uśmiechnął się.

– Oczywiście.

– I nie martwisz się tym, że nie mówimy ludziom całej prawdy?

– Martwi mnie – odparł, wbijając wzrok w podłogę – ale czy mamy inny wybór? – Podniósł głowę i wbił we mnie spojrzenie. – Musimy mieć pewność, że ustabilizujemy tę oś czasu najlepiej jak potrafimy.

Zbliżyliśmy się do punktu, od którego nie było już odwrotu, a wszystkie staranne plany i mądre analizy zaczynały przypominać ślepą wiarę. Tyle że ja stosunkowo wcześniej wystrzeliłam swoją wiarę w kosmos.

– Patricio – zwrócił się do mnie. – Życie miliardów ludzi spoczywa w naszych rękach. Nie może nam się nie powieść.

Miał rację. To, co robiliśmy, nie mogło skończyć się gorzej niż śmiercią miliardów ludzi.

Czy aby na pewno?

5

Tożsamość: Jimmy Scadden

– Spocznij, żołnierzu!

Uśmiechnąłem się i rozluźniłem. Jako jeden ze świeżo mianowanych oficerów Dowództwa, chciałem popisać się znajomością musztry przed Patricią. Zaprosiła mnie do swojego biura, żeby o czymś porozmawiać pod ścisłą ochroną zasłony bezpieczeństwa.

– Chcemy nominować cię do Rady Bezpieczeństwa – oznajmiła, przechodząc od razu do rzeczy. – Co o tym sądzisz?

Nie byłem zaskoczony, ale musiałem odegrać przedstawienie.

– Bardzo mi to pochlebia. To znaczy, przyjmę rzecz jasną nominację, ale nie sądzisz, że jestem za młody i zbyt niedoświadczony?

– Istotnie, jesteś młody, ale poza tym jesteś naszym czołowym ekspertem w dziedzinie bezpieczeństwa świadomości. Znam twoje braki, dlatego chcę, żebyś ściśle współpracował z komandorem Strongiem. Możesz się wiele od niego nauczyć.

– Ja też tak uważam.

– Świetnie. Jeśli zatem zgadzamy się w każdym punkcie, uruchomię odpowiednie procedury.



Patricia była jak matka – taka, którą zawsze chciałem mieć – a wskutek

pewnych okoliczności właściwie stała się dla mnie matką. Jej matczyna miłość była czymś, do czego nie potrafiłem przywyknąć.

Myślę, że moi rodzice musieli się kochać, przynajmniej na początku. Tyle tylko, że powinni się rozwieść, zamiast toczyć ze sobą nieustanne boje. Ale matka twierdziła, że to nie po chrześcijańsku.

Pochodziliśmy z głębokiego Południa, więc nasza rodzina miała silne religijne zaplecze, a regularne uczestnictwo w nabożeństwach było częścią mojego wychowania. Duża społeczność chrześcijańska na Atopii była w gruncie rzeczy jednym z powodów, dla których matka zgodziła się tu przyjechać, a Bóg i grzech często gościł w jej niewybrednych wypowiedziach.

Na Atopii powstał przedziwny amalgamat kultury chrześcijańskiej i hackerskiej, przy czym słowo „hacker” miało tu swój szlachetny pierwotny sens; oznaczało osobę, która pisze lub grzebie w kodach komputerowych. Z kolei atopijni eleuterianie uważali, że hackerstwo jest formą uczestnictwa w Boskim dziele stworzenia wszechświata. Mojej matce niezupełnie o to chodziło, zanim tu przyjechała. Panujące na Atopii poglądy w ostateczności doprowadziły do tego, że rozczarowała się wyspą.

Matka była bardzo piękną kobietą, prawdziwą południową *belle*, lecz jeśli przyłapała kogoś na gapieniu się na nią, potrafiła surowo skarcić takiego nieszczęśnika, a szczególnie mojego ojca. Wszystko, co zostało z miłości moich rodziców, już w chwili moich narodzin sprowadzało się do miażdżącego, współzależnego zgorzknienia, które napędzało puste skorupy ich życia.

Domyślałem się, że kłócili się od zawsze, ale moje przyjście na świat dało im publiczność. Przyjechawszy na Atopię, żebym tu się urodził, z łatwością mogliby chronić mnie przed swoimi wrzaskami, włączając blokadę psis. Tata często tego próbował, ale matka chciała, żebym wszystko słyszał.

Pewnego wieczoru siedziałem w którymś z moich światów zabaw, układając klocki z moją prokurą, Samsonem, wznosząc z nim fantastyczne budowle w rozszerzonej przestrzeni psis. Mimo wysiłków taty, matka nie chciała nawet słyszeć o tym, by zablokować toczącą się kłótnię filtrami .

– Więc teraz chcesz go chronić! – wrzeszczała, wyłączając blokadę psis w połowie kłótni. – Świetny żart! Ty chcesz chronić dziecko! Jesteś chorą glistą, Phil!

Ich ulubionym miejscem na kłótnie był świat z hiszpańskim dziedzicem – dobrze skonstruowany i zabezpieczony przed wścibskimi oczami i uszami postronnych.

– Przestań! – prosił tata. – Nie wiem, o czym ty w ogóle mówisz! Przecież nic nie zrobiłem.

– O, tak! Masz absolutną rację. Nic nie zrobiłeś! – wrzeszczała. Kiedy się rozkręciła, nie potrafiła wyhamować. – To pewne jak jasna cholera, że nigdy nic nie zrobiłeś! Nie mam pojęcia, dlaczego wzięłam z tobą ślub. To tylko strata czasu.

– Myślałem, że wzięliśmy ślub dlatego, że się kochaliśmy – odparł ze smutkiem i strachem ojciec.

– Miłość nie płaci rachunków, czy nie mam racji, Phil? Czy nie mam racji?

– Nie... ale co z tego? Przecież dajemy radę.

– Dajemy radę? – krzyknęła matka. – Dajemy radę!

Znów piła.

– Owszem, dajemy radę – upierał się tata, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie był za dobry w kłótniach albo wyszydzano go od tak dawna, że dał za wygraną.

Matka robiła wszystko, żeby od najwcześniejszych lat włączyć mnie do błędnego koła poczucia winy i krzywdy.

– To JA daję sobie radę, Phil, to ja opiekuję się tym małym gówniarzem, twoim synem, przez cały dzień, kiedy ty opalasz się na wodzie.

– Czy mogłabyś tak o nim nie mówić? Wiesz, że on to zapamięta.

– Och, chcę, żeby zapamiętał! Chcę, żeby zapamiętał wszystko, chcę, żeby wiedział, że jedynym powodem, dla którego zgodziłam się go urodzić, była szansa na przeniesienie się na tę cuchnącą łajbę. W przeciwnym razie nigdy nie sprowadziłabym dziecka na świat, po którym ty chodzisz. Może powinnam powiedzieć mojej grupie modlitewnej, co chcecie robić z dziećmi?

– Gretchen, proszę cię, jesteś pijana. Nie mówisz tego, co myślisz.

– Znaleźliśmy się tu tylko dlatego, że jestem daleką krewną słynnej Killiam. Niczego tobie nie zawdzięczamy, niczego nie osiągnąłeś jako mężczyzna.

– Robimy tu wspaniałe rzeczy...

– Wspaniałe? Doprawdy? I właśnie z tej przyczyny blokujesz mnie w psis przez całe dni? Ale i tak cię widzę, jak wiesz, jak się skradasz Bóg wie za

czym...

– W ciągu dnia muszę skoncentrować się na pracy. Myślałem, że porozumieliśmy się co do tego.

Matka parsknęła.

– Myślałam, że porozumieliśmy się co do wielu rzeczy, Phil. A ty śmierdzisz rybami, to obrzydliwe. – Zmarszczyła nos.

– Więc zablokuj sobie ten zapach. Do tego służy psis. A poza tym chciałem wziąć prysznic, ale mi nie pozwalasz.

– Ja ci nie pozwalam? Trzymam cię za rękaw? Dobrze sobie! Zablokuj sobie, tak brzmi twoja rada. A może chcę widzieć rzeczy takimi, jakie są naprawdę? Na przykład ciebie!

– Robię, co mogę.

– To za mało – wypluła. – Jesteś jaki jesteś, co nie, Phil?

Tata pokręcił głową i wbił wzrok w podłogę.

– Idę pod prysznic. – Odwrócił się, żeby uciec.

Matka machnęła za nim po pijacku ręką, kierując swoją uwagę na mnie. Już jako szkrab kuliłem się ze strachu przed jej gniewem, jej rozczarowaniem. Odłączyła się od swojego ciała i weszła we mnie. Siedziała, patrząc na żółte cyberklocki moim wzrokiem, przyglądała się moim rączkom.

– Bawisz się znowu klockami, he, śmierdzieliu? – zarechotała. – Inne dzieci psis w twoim wieku komponują opery, a ty masz fioła na punkcie klocków. Z tego, co słyszę, twoja kuzynka Nancy to prawdziwa gwiazda. Ale tobie do niej daleko, mój smrodzie.

Wyrwała się gniewnie z mojego ciała, popychając je i przewracając.

– Jesteś tak samo nic nie wart jak twój ojciec.

W tamtym czasie nie rozumiałem do końca, co miała na myśli, ale słyszałem nienawiść w jej głosie.

Samson przyglądał się temu z pewnego oddalenia. Kiedy straciła zainteresowanie nami, podszedł i usiadł, i podał mi dłoń. Wezwał mnie do zabawy i wręczył mi nowe, zatraskujące się klocki. Skończyliśmy bez słowa budowanie muru wokół nas i siedzieliśmy przez chwilę we wnętrzu tej budowli, zastanawiając się, czym wypełnić szpary, by stała się nieprzenikniona.

6

Tożsamość: Patricia Killiam

Była to Noc Fajerwerków[8], a pomiędzy wybuchami sztucznych ogni słyszało się podekscytowane piski gawiedzi. Idąc alejką, widziałam dzieci bawiące się w zaułkach, wspinające się na sterty gruzu ułożone wysoko w lejach po bombach za rzędami domów.

Fajerwerki syczały i wybuchały wysoko. Skręciwszy za róg, o mało nie wpadliśmy na małą dziewczynkę, biegnącą w drugą stronę, wpatrzoną w zimne ognie, którymi wymachiwała w wyciągniętej ręczce.

– Uważaj – roześmiałam się, pochylając się, żeby ją chwycić i zatrzymać, zanim się potknie i przewróci. Nie odwróciła wzroku od roziskrzonego zimnego ognia, kompletnie nim oczarowana. Tryskał iskrami, a dziewczynka spojrzała na mnie szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma. Małe czerwone policzki lśniły ciepłem ponad mocno związanym szalikiem. Alan, mój partner, przyklęknął na mokrym chodniku obok nas i zaczął szukać czegoś po kieszeniach.

– Wybacz, mamuśka, ale to małe diablę mi uciekło! – wołał duży, zdyszany mężczyzna biegnący za dziewczynką. Pomachał do nas, był bez wątpienia jej ojcem. Mglista noc cuchnęła kwaśno prochem, a ja wysilałam załzawione oczy, by dojrzeć zbliżającego się człowieka.

– Nic się nie stało! – zawołałam. Mężczyzna zwolnił i przeszedł kilka ostatnich kroków. Wybiegł bez wątpienia z Lion's Head, pubu, do którego zmierzaliśmy.

– Ach... – ucieszył się Alan, znalazłszy w kieszeni to, czego szukał. Kolejny zimny ogień, który spoczywał w wełnianym płaszczu. Spojrzał na

dziewczynkę. – Chcesz?

Zrobiła wielkie oczy i kiwnęła główką. I wtedy podszedł mężczyzna.

– Och, to bardzo miło z waszej strony – zaczął wesoło, ale nagle jego twarz pociemniała. – To ty jesteś tym profesorem, co nie? – Wyciągnął rękę i chwycił dłoń córki.

Alan westchnął, ale nie odpowiedział, opuścił głowę i schował zimny ogień do kieszeni.

– I co z tego? – warknęłam do mężczyzny, oddając dziewczynkę ojcu.

– Trzymaj się z daleka od mojej Olivii! – Szarpnął dzieckiem, by odciągnąć je jak najdalej od nas. – Trzymaj się z daleka, słyszałeś? Obrzydlistwo! – Odwrócił się na pięcie i odszedł, ciągnąc małą za sobą. Wpatrywała się w nas, wyciągając chudą szyjkę, póki nie zniknęli w ciemnościach.

Westchnęłam i chwyciłam Alana za rękę, żeby dodać mu otuchy. Wyraźnie zamknął się w sobie podczas tej wymiany zdań.

– Nie zwracaj na nich uwagi – powiedziałam cicho, ciągnąc go w przeciwną stronę, jak najdalej od Lion's Head. – Co powiesz na drinka w Green Man?

– Tak, chyba tak – odrzekł, jakiś nieobecny duchem.

Była wiosna 1953 roku, choć w Manchesterze wiosna jest taka sama jak reszta roku – chłodna i dżdżysta. Podczas wojny nawet Blitz nie był w stanie wypędzić moich rodziców z Londynu, udało się to dopiero wielkiemu smogowi z 1952 roku, który zmusił ich do wywiezienia rodziny na północ.

Ale smog nie był jedynym powodem. Rodzice wykorzystali go jako, powiedzmy, zasłonę dymną, by towarzyszyć mi do nowej szkoły. Właśnie przyjęto mnie jako pierwszą kobietę do grona badawczego Laboratorium Komputerowego Uniwersytetu w Manchesterze. Ojciec odmówił mi pozwolenia na opuszczenie domu i życie na własną rękę, więc doszło do straszliwej kłótni. Kiedy astma o mało nie zabiła babci podczas intensywnego smogu tuż przed Bożym Narodzeniem, ojciec znalazł doskonałą wymówkę, by uszczęśliwić wszystkich.

Moje siostry wyszły już za mąż, a choć mama starała się zapewnić mi niekończącą się procesję kawalerów, uparcie trwałam w panieństwie. Małżeństwo zwyczajnie mnie nie interesowało. Miałam tylko jedną pasję, która płonęła w mej duszy.

– Wyrwij się z tego, Alan. Nie słuchaj tych zbirów o ciasnej umysłowości – roześmiałam się i przyciągnęłam go do siebie, żeby go cmoknąć w policzek. Odwzajemnił uśmiech i ruszyliśmy we dwoje ku Green Man. – Wytłumacz mi jeszcze raz, czym to się różni.

– Mówimy o dwóch zupełnie różnych rzeczach – odrzekł po chwili, wracając do dyskusji. – Mój pomysł polega na tym, że jeśli mówisz do czegoś w czarnej skrzynce i wszyscy zgadzają się, że to coś odpowiada tak, jak zrobiłaby to istota ludzka, wówczas nasuwa się jedyny możliwy wniosek, że w środku czarnej skrzynki jest coś inteligentnego i świadomego, człowiek albo cokolwiek innego.

– Dlaczego zatem nie przeprowadzisz testu ekwiwalentności obu stanów rzeczywistości?

– Sugerujesz, że gdyby przedstawić symulowaną rzeczywistość ludziom...

– Świadomemu obserwatorowi – wtrąciłam.

– Świadomemu obserwatorowi – ciągnął, kiwając głową. – I gdyby ten świadomy obserwator nie umiał odróżnić świata symulowanego od rzeczywistego, to symulowana rzeczywistość stałaby się w jakiś sposób prawdziwą rzeczywistością?

– Dokładnie! Dokładnie to mam na myśli.

Pokręcił głową.

– Dlaczego nie? Czy to według ciebie nie ma sensu? Przecież cała współczesna fizyka wymaga z jakiegoś powodu świadomego obserwatora, żeby w ogóle mogła obowiązywać, prawda?

– Ale nie da się stworzyć czegoś z niczego – powiedział po chwili namysłu.

– Dlaczego nie?

– Odpowiedź „dlaczego nie”, moja droga, nie stanowi argumentu na obronę twojej tezy – roześmiał się.

Doszliśmy do pubu i zatrzymaliśmy się przed wejściem. Alan przycesał dłonią włosy, rozdzielając je równym przedziałkiem, i uśmiechnął się do mnie. Mimo czterdziestu lat, nadal emanował chłopięcym urokiem, w czym niewątpliwie pomagały lekko odstające uszy.

Uśmiechnęłam się, patrząc na niego.

– A co w takim razie powiesz o Wielkim Wybuchu? Cały wszechświat

powstał z niczego! – Prowadziłam stałą korespondencję z kolegami z Cambridge, którzy właśnie wysunęli tę hipotezę.

– No tak, mój błyskotliwy kwiatuszku, jesteś przemądrzała, prawda?

Weszliśmy do środka, przechodząc pod wygiętą framugą drzwi. Stanęliśmy na wytartej granitowej posadzce i otoczył nas znajomy rozgardiasz i półmrok pubu.

– To, co zwykle, panie Turing? – zapytała barmanka, kiedy stanęliśmy przy barze. Skinął głową.

– Dwa, poproszę – dodałam.

Przez jeden świetlisty, lecz strasznie krótki rok miałam wielki przywilej przebywania w towarzystwie pana Alana Turinga, ojca nauk komputerowych i sztucznej inteligencji, który był promotorem mojej rozprawy doktorskiej. Jego osobiste kłopoty działały na moją korzyść.

Po skazaniu Turinga przez sąd za homoseksualizm, który w latach pięćdziesiątych XX wieku był przestępstwem w Anglii, uczony został poddany ostracyzmowi przez własny wydział i cały świat akademicki, a większość jego doktorantów porzuciła go. Był to jedyny powód, dla którego ktoś o jego pozycji i znaczeniu przyjął pod swoje skrzydła kobietę – tak to wyglądało w tamtych czasach.

Przez blisko rok miałam Alana niemal wyłącznie dla siebie, co było nieprawdopodobnym doświadczeniem, które natchnęło mnie i ukształtowało moje myślenie na resztę życia. Niestety po niecałym roku Alan popełnił samobójstwo, a świat stał się bez niego gorszym miejscem.

– W porządku – powiedział po chwili milczenia. – Dopuszczam taką hipotezę. Wyjaśnij mi dokładnie, co ci chodzi po głowie.

Barmanka wróciła z dwoma szklanicami cydru. Alan znów sięgnął do kieszeni i wyjął garść drobnych, które zostawił na ladzie. Mruknął coś w podzięcie i zabraliśmy szklanki. Znaleźliśmy miejsca w cichej części pubu obok kominka, w którym jarzył się ciepło koks.

– Żadna rzeczywistość nie jest równa innej. Tak zostały stworzone – tłumaczyłam, kiedy zasiedliśmy przy drewnianym stoliczku wciśniętym w róg. Ławki wokół stołu były zapewne z odzysku lub pochodziły z kradzieży z jakiegoś parafialnego kościółka. Wytarte i niepasujące do siebie chodniczki

pokrywały podłogowe deski, które zatrzeszczały, kiedy zasiedliśmy w ławkach. – Jeśli we wszechświecie jest tylko jeden obserwator, to jego rzeczywistość jest nikła.

– A im więcej obserwatorów współdzieli tę rzeczywistość, tym większe staje się jej znaczenie? – dokończył za mnie.

– Dokładnie!

Właśnie wtedy skontaktowała się ze mną Nancy. Głośny sygnał od niej zagłuszył szum głosów w pubie.

– Nie przejmuj się mną, odbierz – zachęcił mnie Alan, podnosząc szklanekę i upijając łyk cydru.

To nie było wspomnienie, ale starannie zrekonstruowany świat, który sama stworzyłam. Lubiłam od czasu do czasu zapuszczać się tam, żeby gawędzić swobodnie z symulacją mojego mentora sprzed lat – odtwarzać rozmowy, które prowadziliśmy, albo przynajmniej to, co z nich zapamiętałam... Żałowałam tylko, że symulacja Alana jest niedoskonałym wspomnieniem prawdziwego człowieka.

Zezwoliłam Nancy na dostęp do tej przestrzeni sensorycznej, a ona pojawiła się w ławce naprzeciw nas.

– Więc jesteś pewna, że chcesz z tym wystartować? – zapytałam.

Nancy naciskała na wejście na rynek z projektem Infinix przed premierą psis. W zasadzie to był mój pomysł – uważałam, że dzięki temu Nancy znajdzie się w świetle reflektorów i zabłyśnie jak prawdziwa gwiazda na światowej scenie. Moja gwiazda już gasła... Mogłaby kontynuować moją pracę, kiedy mnie już nie będzie, a wiedziałam, że nie brakuje jej wewnętrznej siły i pewności, że cokolwiek się stanie, będzie miało właściwe uzasadnienie.

– Absolutnie!

– Dobrze. Będę zatem naciskała ze swojej strony. Pilnujesz testów w Nowym Jorku?

– Tak, ciociu – odpowiedziała nieśmiało. Dla mnie Nancy zawsze będzie dzieckiem. – Oczywiście, że tak.

– Świetnie. Rozpocznę kampanię w radzie.

O mało nie wybuchnęła z podniecenia, ale po chwili zachmurzyła się.

– Masz jeszcze coś?

Westchnęła.

– Co się dzieje z wujem Vince'em?

Raporty o jego przyszłej śmierci zatykały sieci prognozujące. Czułam się winna – Vince należał go grona moich najstarszych przyjaciół. To dzięki mnie we wzorcach pościgu za nim znajdowały się wiele mówiące wskazówki. Teraz ganiał po całym świecie, szukając ich, lecz z czasem wszystko zelżeje. Gonił w piętkę, ale musiałam dać mu coś do roboty. W ostatecznym rozrachunku wyjdzie mu to na dobre.

– Nic się nie dzieje z Vince'em, zupełnie nic.

– Jak to? – Nie wyglądała na przekonaną

– Trochę się wygłupia. – Wzruszyłam ramionami i spojrzałam na Alana.

– Okay... Skoro tak twierdzisz... – przerwała i odpuściła sprawę. – Powiedz mi tylko, jak mam cię wesprzeć w radzie.

– Powiem. A skoro już o radzie mowa, to spodziewamy się ciebie jutro na Międzynarodowym Bankiecie, czy tak?

– Na pewno przyjdę.

Zawahałam się.

– Doktor Baxter wspomniał, że być może weźmie ze sobą Boba...

Naprawdę zależało mi na tym, by odnowili kontakty, ale nigdy nie czułam się najlepiej w roli swatki.

– Ja przyjdę sama – odpowiedziała z uśmiechem. – To oficjalne przyjęcie, David zanudziłby się na śmierć.

– Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli o tym wspomnę. – Może byłam w tym lepsza, niż mi się wydawało. – A teraz wracaj i korzystaj z wieczoru!

– Piękne dziecko – zauważył Alan, uśmiechając się do mnie. – Ale chciałbym zwrócić ci na coś uwagę...

– W sprawie Nancy?

– Nie, w sprawie tego, o czym rozmawialiśmy.

Czekałam.

– Tak?

– W tych wykreowanych rzeczywistościach, o których wspomniałaś... Co steruje podstawowymi warunkami, które sprawiają, że taka rzeczywistość jest możliwa?

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę.

– Tylko obserwujący byt.

– A co się stanie, jeśli organizm ucieknie do rzeczywistości, którą kreuje?

W tamtym czasie nie zdawałam sobie sprawy, że to w ogóle możliwe, ale Alan zawsze miał niezwykły dar dalekowzroczności.

– Chodzi mi o to, że organizmy są ograniczane przez fizykę tej rzeczywistości. Co się stanie, jeśli stworzą własne rzeczywistości i uciekną do nich? – Przerwał, żebym dobrze zrozumiała pytanie. Alan był także założycielem biologii matematycznej i badał jej związki z morfogenezą, procesem, który sprawiał, że organizmy rozwijały własne kształty. – Jeśli zmienisz ciało, Patricio, zmienisz także umysł.

Siedziałam, wpatrując się w niego bez słowa.

– Czym stałoby się zwierzę, gdyby zupełnie nie podlegało ograniczeniom fizycznym? – ciągnął, patrząc mi prosto w oczy. – I gdyby zdołało wciągnąć innych obserwatorów do tych twoich wykreowanych rzeczywistości wbrew ich woli?

To pytanie, zadane przed stu laty, nurtowało mnie obecnie.

[8] 5 listopada, rocznica spisku prochowego Guya Fawkesa [przyp. tłum.].

7

Tożsamość: Jimmy Scadden

Wielowszechświatowi ludzie pióra mieszały się z zagranicznymi dyplomatami i innymi osobistościami, które przybyły na coroczny Międzynarodowy Bankiet. Przyjęcie odbywało się na samym szczycie kompleksu Domu Salomona, w sali balowej wieńczącej wieżę uprawne. Zachodzące słońce załamywało się, przenikając przez kryształowe ściany, rzucając pryzmatyczne promienie na tłum. Nad tym wszystkim unosiły się fragmenty *Czterech pór roku* Vivaldiego, wykonywane przez kwartet smyczkowy grający na podeście przy łukowatym marmurowym wejściu. Pyłki kurzu tańczyły w promieniach światła.

To zapewne sprytocyty.

Kazałem Samsonowi, kierować moim ciałem, ponieważ musiałem skończyć pilną pracę w Dowództwie, ale dotarwszy do wejścia, przejąłem stery.

Na bankiet przybyło wielu światowych przywódców, co odzwierciedlało coraz większe międzynarodowe znaczenie Atopii. Była to dla nas okazja pokazania się na arenie międzynarodowej, a Kesselring wydał szczegółowe instrukcje wszystkim członkom rad, abyśmy stawili się *in corpore*, by zminimalizować konsternację naszych gości.

Kiedy schodziłem po schodach wejściowych, ktoś chwycił mnie za ramię.

– Gratuluję, Jimmy! – zawołała podekscytowana Nancy Killiam, olśniewająca migoczącą suknią z czegoś, co przypominało płynny hel, obmywający ją srebrzystymi strużkami. Przyciągnęła mnie bliżej i pocałowała w policzek, a hel lał się bezgłośnie wokół nas. Wzięła mnie pod rękę.

– Dzięki! – Moja nominacja do Rady Bezpieczeństwa, jako najmłodszego członka w dziejach, zapewniła mi zaproszenie na bankiet. Podobało mi się to,

że znalazłem się w centrum uwagi. – Ale to ja powinienem gratulować tobie!

Patricia wydała zezwolenie na przesunięcie Infinixa o jedną pozycję wyżej od Cognixa. Teraz Nancy wydawała się skonsternowana.

– Jeszcze za wcześnie na gratulacje, Jimmy – szepnęła mi konspiracyjnie do ucha. – To tajemnica!

– Przedemną nic się nie ukryje – odpowiedziałem równie konspiracyjnym szeptem. – A może nawet zdołam ci pomóc. – Nancy spojrzała na mnie pytająco, ale pokręciłem głową. – Nie teraz.

Zeszliśmy razem po schodach, ramię w ramię. Kiedy zatrzymaliśmy się na podeście, ktoś zawołał ją po imieniu. Nancy spojrzała na wołającego, a potem na mnie. Uśmiechnąłem się i kiwnąłem głową, pozwalając jej odejść. Srebrzyste strużki jej sukni zniknęły z poszumem i podążyły za nią w tłum.

Jej odejście z pewnością dało się odczuć.

– Coś do picia, proszę pana? – zapytał kelner, przystając obok mnie ze złocistą tacą pełną kieliszków szampana. Kiwnąłem głową i podniosłem kieliszek, przyglądając się, jak Nancy wita się z resztą dzieci psis.

Była to z pewnością chwila naszej chwały, więc korzystaliśmy z niej w wymyślnych, lśniących skórkach. Przyglądałem się gościom nie bez zdumienia obserwującym zbiegowisko wokół Nancy. Ci ludzie dopiero uczyli się korzystać z systemu psis, który instalowano każdemu przybyłemu na Atopię. Było to sprytne marketingowe posunięcie.

Każda dalece zaawansowana technologia w oczach laików przypominała czary, a dla reszty świata Atopia ciągle pozostawała miejscem nad wyraz tajemniczym.

Kesselring załadował do Samsona długą listę ludzi, którym miałem się przedstawić. Kiedy rozglądałem się po sali balowej, ich nazwiska i tożsamości wyświetlały się na moich ekranach, pozwalając mi wyłowić ich z tłumu.

Wielu z nich było moimi odpowiednikami w siłach zbrojnych lub siłach bezpieczeństwa, kilku pochodziło z delegacji, które przybyły z Chin i Indii. Obie zwaśnione strony traktowały Atopię jako terytorium neutralne. Lecz, co ważniejsze, obie strony widziały w Atopii nieodzowną część swojej przyszłości technologicznej i gospodarczej.

Westchnąłem, wygładziłem biały mundur SOA i wmieszałem się w tłum.



Przyjęcie dobiegało końca. Podczas ostatnich rozmów zaprosiłem do dyskusji wysokich rangą urzędników od cyberszpiegostwa z Indii i Chin równocześnie. Byłem przekonany, że nie zawdzięczałem tego własnym umiejętnościom dyplomatycznym, ale obawom gości o to, że zostaną pominięci. Wszyscy chcieli mieć psis.

Zbierałem się już do odejścia, kiedy ktoś szturchnął mnie fantomem. To komandor Strong, który stał jakieś dziesięć stóp ode mnie. Przyciągnął mnie do siebie.

– Generale, pani McInnis, chciałbym przedstawić państwu naszą wschodzącą gwiazdę, pana Jima Scaddena – oznajmił po moim przybyciu. Stałem na baczność, a następnie ująłem dłoń pani McInnis i mocno uścisnąłem rękę generała.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Pani McInnis przyjrzała mi się uważnie.

– Jesteś jednym z tych dzieci psis, prawda?

Uśmiechnąłem się.

– Owszem, proszę pani. Jednym z tych.

– Mógłbyś mi coś zademonstrować?

Niewątpliwie zależało jej na jakiejś cyrkowej sztuczce. Komandor już chciał zwolnić mnie z tego obowiązku, ale cofnąłem się o krok, złożyłem ukłon pani McInnis i z teatralnym wymachem ręki wyciągnąłem z rękawa bukiet czerwonych i różowych lilii. Podałem jej kwiaty.

– O mój Boże! – wykrzyknęła z szeroko otwartymi oczyma.

– Proszę je wziąć – zachęcałem. – Są prawdziwe, a przynajmniej tak się będzie pani wydawało.

Pani McInnis wyciągnęła ostrożnie rękę i chwyciła bukiet na samym dole. Kwiaty rozłożyły się, a ona zaczęła je wąchać.

– Pachną cudownie! – wykrzyknęła z nosem w liliach.

– A teraz... – zawiesiłem głos i strzeliłem palcami – *Presto!*

Lilie zniknęły, a w ich miejsce pojawił się machający skrzydłami gołąb, który wystraszył panią McInnis. Ptak poleciał wysoko ku kryształowemu sufitowi, zostawiając za sobą kilka piórek. Przyglądaliśmy się, jak odlatuje.

Pani McInnis rozpromieniła się.

– Jimmy jest nowym członkiem naszej Rady Bezpieczeństwa – roześmiał się Rick, unosząc brew.

Generał posłał mi szeroki uśmiech.

– Ma z pewnością talent do obchodzenia się z ludźmi.

– To szczerą prawdą – dodała pani McInnis. W tej samej chwili ktoś dotknął jej ramienia, niewątpliwie jakaś stara przyjaciółka.

– Och, Margie! Widziałas to? – zapytała pani McInnis, zwracając się do nowo przybyłej, która uwolniła nas od towarzystwa pań. – Wybaczcie, panowie.

Skinęliśmy grzecznie głowami i odeszły. Generał McInnis – jak czytałem w notatkach, które napłynęły do odłamka od Samsona – był dowódcą Ricka podczas dwóch misji bojowych w Nanda Devi.

– Symulaki mogą wydawać się dziwnym pomysłem, generale, ale nie dla osoby, której rodzice bez przerwy się kłócili – Rick musiał wrócić do poprzedniej rozmowy. – Wolę dmuchać na zimne.

– Prawie mnie nabrałeś – roześmiał się generał. – Ta trzecia misja, na którą się zapisałeś, to było prawdziwe piekło. Nie odniosłem wtedy wrażenia, że wolisz dmuchać na zimne.

– Chodzi mi o to...

– Wiem, o co ci chodzi, synu, i wcale cię nie winię, że uciekłeś aż tutaj. Cholera, atak szwadronu ważących po pięćset funtów, napakowanych sterydami goryli w pełnym rynsztunku bojowym zupełnie wystarczy, żeby zlać się w pory.

Rick wyprostował się.

– Z całym szacunkiem, panie generale, ale nigdy przed nikim nie uciekałem.

– Może tak, a może nie. – Generał mierzył mnie wzrokiem, a ja odwzajemniłem jego spojrzenie. – A co ty myślisz o tych symulakach, młody człowieku?

– Uważam, że to, co robi komandor Strong, jest absolutnie najlepszym rozwiązaniem – odpowiedziałem bez wahania. – W życiu często sprawdzamy

różne rzeczy, zanim się na nie zdecydujemy, dlaczego więc nie mielibyśmy sprawdzić tego, czego oczekujemy po dzieciach?

Generał nie wyglądał na przekonanego.

– Nie ma w tym niczego złego – dodałem. – I uważam, że komandor powinien sprawdzić, jak będzie się czuł z dziećmi.

Generał zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem zwrócił się do Ricka:

– Przyjazd tutaj to najlepszy sposób na nowy początek, Rick. Mówię tylko, żebyś zaczął wszystko od nowa i niczego nie udawał, synu. Wszystkie te gadzety nie zastąpią prawdziwych doświadczeń.

Rick stał na baczność bez słowa.

– Tak czy inaczej – ciągnął generał, klepiąc go po ramieniu – mówię, co myślę. Wiem, że musisz jeszcze się przywitać z wieloma osobami. Nie będę cię zatrzymywał.

Odwrócił się, żeby odszukać żonę.

– Miło było cię poznać, Jimmy, wszystkiego najlepszego, Rick – rzucił, salutując nam niedbale na pożegnanie.

– Bardzo się cieszę, że pana poznałem, generale – powiedziałem do jego pleców, na co skinął głową, maszerując już przez tłum.

Domyślałem się, jak bardzo gnębiła Ricka sytuacja z żoną, i przyglądałem mu się uważnie, kiedy generał mówił o Nanda Devi.

– Wyglądasz przepyszenie!

Odwróciwszy się na pięcie z kieliszkiem szampana w dłoni, ujrzałem przed sobą oszałamiającą brunetkę, wpatrywała się we mnie. Długie włosy opadały jej puklami na opalone ramiona. Jedwabna sukienka w abstrakcyjny kwiecisty wzór fruwała wokół niej, ledwo zasłaniając atletyczną figurę. Roześmiała się nerwowo, patrząc na mój uśmiech.

Co za cudowny i znany uśmiech!

Komandor Strong także się do nas uśmiechnął, przyglądając się dłużej brunetce.

– Chyba was zostawię. – Puścił do mnie oko i odszedł.

– Ten biały mundur SOA leży na tobie jak ulał, Jimmy – stwierdziła brunetka, zerkając za odchodzącym Rickiem i nie przestając się do mnie uśmiechać. Znała mnie, ale wydawała się lekko zdenerwowana.

Ja też skądś ją znałem, ale nie potrafiłem sobie uzmysłwić skąd. Wyłączyłem pamięć psis, chcąc poćwiczyć własną. Im więcej czasu spędzałem we własnej skórze, tym bogatsze stawały się moje zapasy energii, wylewające się na zewnątrz.

Większość dzieci psis rzadko przebywała w swoich własnych ciałach, rozpraszając podzielony na odłamki umysł coraz dalej po wielowszechświecie, co prowadziło często do utraty naturalnej spójności między umysłem a ciałem.

Większość o to nie dbała, ale ja tak.

Czułem się niemal wzruszony, widząc tę dziewczynę w jej własnym ciele, nawet jeśli się nim tylko popisывała.

Ale jak ma na imię?

Uśmiechnąłem się, wreszcie to sobie uświadomiwszy.

– Cynthia! Kopę lat...

– Od trzynastych urodzin Nancy... – Ucichła zawstydzona.

Podobała mi się jej wrażliwość.

– Byliśmy dziećmi – powiedziałem w końcu, uwalniając ją z haczyka. – Ja zresztą trochę nieporadnym. A ty... a ty...

– A ja byłem okropna.

– Chciałem powiedzieć „piękna”. Wcale nie byłaś okropna. Znaleźliśmy się tylko w dziwnej sytuacji.

– Byłam okropna, Jimmy, i nigdy nie przeprosiłam cię za to. Jest mi naprawdę przykro.

– Hej, to wszystko pomogło mi się lepiej skoncentrować w tamtym czasie i zobacz, dokąd mnie doprowadziło. – Wskazałem ręką wszystkich ważnych dostojników. – Powinienem być ci wdzięczny.

– Nie sędzę... – Zmarszczyła brwi, ale potem na jej twarz wrócił uśmiech. – Ale rzeczywiście, mój drogi panie, bardzo się pan zmienił.

– Och... – mruknąłem. – Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Staliśmy, patrząc na siebie, a powietrze wydawało się naładowane oczekiwaniem.

– Więc nazywasz to przeprosinami? – zapytałem, przyciągając ją do siebie. – To co robimy teraz?

Roześmiała się.

- Nieśmiałą próbą przeprosin w każdym razie...
 - Nie wiem, czy nie będę domagał się czegoś bardziej namacalnego, powiedzmy przy obiedzie.
 - To świetny pomysł! Kiedy?
 - Zaraz! - odpowiedziałem, puszczając do niej oko. Przyjęcie dobiegło końca. Zastanawiała się przez chwilę przed udzieleniem odpowiedzi.
 - Jasne, dlaczego nie?
- Coś we mnie aż jęknęło w środku. Ująłem ją za rękę i poprowadziłem ku wyjściu.
- Życie zatoczyło pełne koło.

8

Tożsamość: Patricia Killiam

Siedziałam na kolejnym z niekończących się posiedzeń rady, ale na tym chciałam przynajmniej coś osiągnąć.

Siedzieliśmy w sali konferencyjnej Domu Salomona na sesji roboczej poświęconej materiałom marketingowym do premiery psis – tym razem materiały dotyczyły stresu. Jednym z punktów, który zdołałam włączyć do agendy, było przesunięcie wejścia na rynek Infinixxa. Nancy była ze mną, by pomóc mi przekonać pozostałych. Jimmy także tu był, jako członek Rady Bezpieczeństwa. Siedział obok Nancy.

Mieliśmy zacząć oglądać film reklamowy, ale na razie słuchaliśmy monologu doktora Hala Grangera o jego indeksie szczęścia jako podstawowym wskaźniku, na którym opierał się cały program psis. Program samego Hala stawał się coraz bardziej popularny i służył do promowania marki Cognix, choć nie miałam pojęcia, co ludzie w nim widzieli. Ego Hala już dawno temu prześcignęło jego umiejętności.

Dziś na łączach byli także przedstawiciele Chin. Słuchając doktora, kiwali uprzejmie głowami, co działało mi na nerwy. Znowu.

Rozszerzona rzeczywistość nie była jedynym tworem, do którego nadawał się psis. Zalenie układu nerwowego sprytocytami umożliwiało aktywną regulację przepływu jonów wzdłuż aksonów, pomagając nam w powstrzymaniu, a nawet leczeniu chorób neurologicznych, takich jak choroba Parkinsona. Alzheimer pokonaliśmy już przed blisko dwudziestu laty, a schorzenie to odeszło do przeszłości – przynajmniej dla tych, którzy mieli pieniądze. Budowa Atopii była możliwa dzięki dochodom Cognixa

zawdzięczanym przełomowym odkryciom medycznym.

Stres był jednak zupełnie inną parą kaloszy.

Po pokonaniu, a przynajmniej opanowaniu większości głównych chorób, stres stał się największym zabójcą bogatego świata. Miał wiele źródeł. Czasem brał się ze środowiska – hałasu, zanieczyszczeń, świata, reklam, zmiany – ale w większości przypadków wpływał z poczucia utraty kontroli, niebycia tym, kim powinno się być lub nieprzebywania z tymi, z którymi powinno się przebywać.

Znalezienie sposobu na uporanie się ze wspomnieniami było podstawą niemal wszystkich rozwiązań.

Ludzki umysł ma niemal nieskończoną zdolność do zawieszania własnych przekonań, w tym niedowierzania, a my uznaliśmy, że to skuteczny wektor w walce ze stresem i lękiem. Niektórzy uważali, że uczymy ludzi, jak się oszukiwać, ale z drugiej strony, czy ludzie kiedykolwiek nie oszukiwali samych siebie?

Westchnęłam.

Jedyne, co mogliśmy zrobić, to dostarczyć narzędzie. To, jak zostanie wykorzystane, zależało wyłącznie od użytkowników, mimo wszystkich moich rekomendacji.

Hal skończył wreszcie swoją chaotyczną prezentację i rozpoczęła się reklama.

„Czy pragnąłeś kiedykolwiek uwolnić się od nieustannego bombardowania reklamami? Psisonika to umożliwia!”, mówił niezwykle atrakcyjny młody mężczyzna. „Ocalenie świata z ekokryzysu to najlepsza rzecz, jaką możesz dla siebie zrobić!”

Posiedzenie odbywało się po mandaryńsku, ale nasze psis bez problemu rekonstruowały wszystko w dowolnie wybranym przez nas języku, tłumacząc nawet wizualnie kulturowo odrębne ruchy języka ciała czy grymasy twarzy.

Przed pięćdziesięciu laty zapowiadano, że wszyscy będziemy mówić po chińsku, ale ostatecznie naszym *linga franca* stały się maszynowe metadane. Każdy mówił w dowolnie wybranym przez siebie języku, a maszyny tłumaczyły go dla nas, więc nie było już potrzeby uczenia się więcej niż jednego, najczęściej ojczystego języka.

Lingwistyka leżała na poboczu drogi, rozjechana przez pędzącą na wyścigi technologiczną maszynę.

Reklama mruczała dalej, a ja nie potrafiłam opanować narastającego zniesmaczenia tym pieprzeniem o szczęściu. *Jasne, to ważne, ale czym w istocie jest szczęście?* To, co sprzedawaliśmy, nie było dokładnie tym, co reklamowaliśmy.

Dobrze, że reklama szybko się skończyła. Zastąpił ją doskonale znany symbol Atopii – piramida i kula.

– Więc co myślicie? – zapytał nasz koordynator marketingu.

Wpatrzona w obracające się logo, zaczęłam się zastanawiać nad niecodziennymi właściwościami układu sztormowego zbliżającego się do naszych wybrzeży.

– Mnie się podoba – stwierdził doktor Granger, kiwając przymilnie głową naszym chińskim gościom. – Wprowadziłbym tylko lekkie zmiany w empatycznych informacjach zwrotnych.

– Brzmi nieźle – powiedział Kesselring, obecny w końcu w swojej pierwotnej podmiotowości. – Jak już wspomniałem wcześniej, wszystkie rezultaty badań psychologicznych, neurologicznych i... testów zostały opracowane. Wszystko jest gotowe do premiery.

Uśmiechnął się do mnie, dosyć niestosownie. Uniosłam brwi, ale nie odezwałam się, a wszyscy wokół stołu zaklaskali. Wszyscy z wyjątkiem mnie.

– Patricio? – Kesselring posłał mi wymowne spojrzenie. – Chcesz coś dodać?

– Podobała mi się, wyglądała cudownie. To jedna z tych reklam, którym nie sposób się oprzeć.

Kesselring zacisnął usta.

– Masz jeszcze coś co powiedzenia?

Milczałam, tocząc wewnętrzną walkę, ale w końcu nie zdołałam się opanować.

– Jak to się stało, że ten „indeks szczęścia” stał się nagle naszym głównym barometrem?

Stąpałam po kruchym lodzie w obecności Chińczyków, ale nie mogłam odpuścić.

– Czy szczęście nie jest główną i najważniejszą rzeczą w ludzkim życiu? – Hal

zwrócił się do mnie nieco defensywnie. Na jego rzeczywistej skórcie zagościł obrzydliwy uśmiech, który trenował w „EmoShow”. Wyglądał jak łasica po prozaku.

– Nie mam zamiaru z tobą polemizować. – Uniosłam ręce do góry, udając, że się poddam. – Ale to powinna być poważna ocena medyczna, a nie konkurs piękności. Wiedza o szczęściu jest czymś zupełnie innym od budowania szczęścia.

– Patricio – odezwał się Hal spokojnym tonem, jakby był gościem programu. – Poruszasz kwestie, które daleko wykraczają poza temat tego spotkania.

– Nie zbywaj mnie.

– Oczywiście, że tego nie robię – roześmiał się. Teraz on podniósł wysoko ręce. – Mówię tylko, że być może powinnaś zerknąć na własne indeksy szczęścia, zanim zdecydujesz się rozwalić nasz program. – Spojrzał na mnie, unosząc brwi, usiłując przekonać wszystkich zgromadzonych do swej prostej, nieuczciwej szczerości.

– Jestem w pełni szczęśliwa! – palnęłam, zanim zdałam sobie sprawę, co robię. Przymknęłam oczy i zrobiłam głęboki wdech. *Nędzny sukinsyn.*

W sali zapadła cisza.

Kesselring uśmiechnął się do naszych chińskich gości.

– Przejdźmy do kolejnego tematu, jeśli łaska.

Zgromadzeni pokiwali głowami.

– Wszyscy dostali informację o przeniesieniu premiery Infinixa przed debiut psis. Kto chciałby rozpocząć dyskusję?

– Podaj mi jeden dobry powód, dla którego powinniśmy się na to zgodzić! – kipiał ze złości doktor Baxter.

– Widziałeś prognozy przedstawione przez Nancy. W każdym scenariuszu akcje Cognixa zyskują, gdy umożliwimy Infinixxowi wstępne zastosowanie – skontrowałam. – Jesteś zły tylko dlatego, że nie masz nad tym pełnej kontroli.

– To nie ma nic do rzeczy – odparł doktor Baxter z rozdrażnieniem, a wokół stołu wybuchł głośny spór.

– Posłuchajcie wszyscy! – zawołał nagle Jimmy, wstając i unosząc ręce. Puścił oko do Nancy. – Dam wam jeden dobry powód. Podpisałem umowy zarówno z Indiami, jak i z Chinami na simultaniczną premierę. Wystartują równo

z nami.

Na sali wybuchło trwające kilka minut pandemonium, podczas którego zapoznawaliśmy się ze szczegółami.

– Jak, u licha...? – Głos doktora Baxtera ucichł.

– Wiele im oddajesz – odezwał się Kesselring. – Ale korzyści są tego warte, a media przez jakiś czas zajmą się czymś innym niż tymi cholernymi sztormami.

Kesselring przeniósł wzrok na doktora Grangera, który miał chyba zamiar coś powiedzieć, ale w końcu pokręcił głową i spojrzał na Jimmy'ego. Kesselring także wpatrywał się w Jimmy'ego i z uśmiechem złożył mu gratulacje, kiwając głową. Potem Kesselring zwrócił się do mnie:

– Jestem gotów wyrazić na to zgodę, ale pod jednym warunkiem

– Jakim? – Wiedziałam, co teraz powie.

– Chcę, żebyś do czasu komercyjnej premiery psis odłożyła na bok Kartę Praw Bytów Syntetycznych.

Westchnęłam i spojrzałam w sufit.

– Mogę to zrobić. Ale po premierze karta znajdzie się na pierwszym miejscu mojej agendy.

Kesselring uśmiechnął się.

– Więc się dogadaliśmy.

Wokół stołu rozległy się pomruki aprobaty. Wyciągnęłam rękę i ujęłam dłoń Nancy, uśmiechając się do niej. Byłam taka dumna.

– Więc jesteśmy gotowi przedstawić wszystko światowej prasie? – zapytał doktor Baxter. Był ojcem Boba. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.– Tak – odparł Kesselring. – Zakładając, że wszystko to jest do przyjęcia przez naszych chińskich gości...

Kiwnęli unisono głowami.

Zastanawiałam się, czy zdają sobie sprawę, że narodowość to kolejna idea, z którą psis rozprawi się raz na dobre. Albo inaczej i bardziej ściśle: czy wiedzą, że duża część świata stanie się *de facto* obywatelami Atopii.

– Więc ruszajmy z tą premierą. Za chwilę, panie i panowie, przejdziemy do historii.

– Wyobraźcie sobie pierwszą ofertę publiczną w wysokości biliona dolarów –

usłyszałam, jak Hal mruczy pod nosem, przeglądając szczegóły premiery. W jego paciorkowatych oczkach roziskrzyły się gwiazdy.



Czarny granit i szkło sali konferencyjnej stopiły się w ciemny mahoń mojego prywatnego gabinetu. Podeszłam do baru.

Szkocka z lodem była tym, czego potrzebowałam.

Marie siedziała oparta o biurko, skrzyżowawszy przed sobą nogi. Opierała się na łokciach. Wokół niej wił się dym, zaciągnęła się jeszcze raz, zanim zgasiła papierosa w kryształowej popielniczce na biurku. Pochyliła się, wstała i odsunęła mnie ręką. Przygotuje drinka.

– Wiem, że Hal to palant, ale nie powinnaś pozwalać, żeby działał ci na nerwy – powiedziała, wyjmując moją ulubioną butelkę z kolekcji. W jej dłoni pojawiła się szklanka, a kostki lodu zagrzechotały cicho, kiedy lała na nie whiskey.

– Nie o to chodzi. Muszę się przekonać, co ukrywa Kesselring. Zbyt łatwo nam poszło ze zmianą planów w sprawie premiery Infinixxa. Granger zamknął się i nawet nie pisnął.

Marie uniosła wzrok.

– Czasem niektóre rzeczy wydają się sensowne nawet w jego oczach.

– Być może, ale mam wrażenie, że dzieje się coś jeszcze. Potrzebujemy kogoś o, hm... wyjątkowych talentach, żeby spojrzeć na to z zewnątrz.

Marie kiwnęła głową. Wiedziała, o kim mówię. Postanowiła zmienić temat.

– Dzwoniła znowu twoja dawna studentka, Mohesha, z Terra Nova. Zdaje się, że to coś pilnego.

Zmieniłam moje ciało psis w znacznie młodszą wersję siebie. Byłam teraz ubrana w czarną spódnicę i jedwabną kremową bluzkę, a subprokura Marie odprowadziła moje prawdziwe ciało z sali obrad do domu. Spojrzałam z podziwem na swoje nogi, westchnęłam i poprawiłam spódnicę, przesuwając dłonią po udach.

– Kontaktowanie się z mieszkańcami Terra Nova jest obecnie zbyt niebezpieczne.

– Nie tak niebezpieczne jak rozmowy z gangsterami w rodzaju Sintila8.
– Sintila8 nie chce nam zaszkodzić, chce mieć w tym tylko swój udział. – Kryminaliści byli stosunkowo łatwo przewidywalni, przynajmniej co do motywów. – On ma jakieś zakulisowe powiązania i swobodę działań, co może nam pomóc w znalezieniu odpowiedzi.

Problemem były nie tylko moje podejrzenia wobec Kesselringa...

Wielki niż, który śledziliśmy na wschodnim Pacyfiku, zmienił status z tropikalnego sztormu na pełnoprawny Huragan Netwon, a Huragan Ignacia przeszedł właśnie do Kategorii 4 na Północnym Atlantyku. Zachowanie obu tych systemów przestało być niezwykle, a zrobiło się bardzo podejrzane.

Według moich obliczeń nie były to już naturalne zjawiska meteorologiczne.

Upiłam spory łyk whiskey, wyprostowałam się i spojrzałam w oczy Marie.

– Umów mnie na spotkanie z Sintilem8.

9

Tożsamość: Jimmy Scadden

– Wybacz, Jimmy, ale ta Patricia Killiam... Jakim prawem wypowiada się o naturze szczęścia? Naprawdę martwię się o nią.

– Nie musi mnie pan przepraszać, doktorze Granger – odparłem. – Ja też się o nią martwię. Ostatnio nie jest sobą.

Spacerowaliśmy bez celu po kilku piętrach farm hydroponicznych, wracając z biura Kesselringa po spotkaniu rady. Biura Kesselringa mieściły się na samym szczycie, w łącznikach między górnymi piętrami pionowego kompleksu uprawnego. Nawet mistrz rozszerzonej rzeczywistości wolał, by jego własna rzeczywistość znajdowała się wysoko ponad innymi.

Lubiłem oglądać Atopię z tej wysokości – ponad stu pięter – zielone lasy okalające półksiężyc białych plaż i spienione morskie fale poza wyspą. Morze migotało pod bezchmurnym błękitnym niebem przez zmieniające się fazowo szklane ściany. Wilgotny, organiczny, nawet jeśli nie ziemisty, zapach upraw przypominał mi o dniach, które spędzałem z ojcem jako dziecko w lasach alg.

– Męczy mnie już powoli to jej rutynowe odwoływanie się do statusu słynnej matki rozszerzonej rzeczywistości – ciągnął doktor Granger. – To prawda, że płynna, krystaliczna inteligencja jest istotna, ale czy sztuczna inteligencja emocjonalna i społeczna nie jest ważniejsza?

Wszyscy słyszeliśmy to już wcześniej, powtarzane w nieskończoność w „EmoShow”, a odkąd znalazłem się w Radzie Bezpieczeństwa groziło mi, że będę musiał wysłuchiwać tego osobiście. Doktor Granger rościł sobie prawo do sławy jako twórcy technologii, która rozbierała na czynniki pierwsze i rozszyfrowywała emocje, i można było być pewnym, że nigdy nie da o tym

nikomu zapomnieć.

Powstrzymałem się przed przewróceniem oczami.

– Co jest ważniejsze do zrozumienia? – pytał gniewnie, kiedy spacerowaliśmy wśród upraw hydroponicznych. – To, co ktoś powiedział, czy powód, dla którego to powiedział? Kto zna się na szczęściu lepiej ode mnie?

– Uważam, że obie te rzeczy są równie ważne – odpowiedziałem. Doktor Granger wykorzystał swoją zataczającą coraz szersze kręgi sławę do zdobycia stanowiska głównego psychologa Atopii, więc bez względu na to, co się o nim myślało, lepiej było zachować przy nim ostrożność.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie.

– W samej rzeczy.

Minął nas jeden z pracowników farmy, który skinął z szacunkiem głową doktorowi Grangerowi. Biura doktora mieściły się kilka pięter niżej, z dala od reszty miejsc pracy starszego personelu, co było niezwykle. Przyglądając mu się podczas spaceru, chyba pojąłem dlaczego.

Wędrując, przyglądaliśmy się pustym obliczom więźniów psombie, a każdy z pracowników personelu stawał na baczność na nasz widok. Było to zhierarchizowane i ściśle kontrolowane środowisko, w którym doktor Granger czuł się zarówno bezpiecznie, jak i w pełni władzy – był tutaj ważny.

Większość z przebywających tu psombie była skazańcami za takie czy inne przestępstwa. Ich umysły i prokury rozłączono z ich ciałami na czas odbywania kary w więziennych światach wielowszechświata. Nawet w raju potrzebny jest system penitencjarny. Pozbawione umysłów i prokur ciała psombie wykonywały tymczasem roboty publiczne na Atopii, kierowane bezpiecznie przez zautomatyzowanych strażników.

Choć większość psombie była więźniami, coraz więcej osób zrzekało się własnych fizycznych ciał i oddawało je do wykonywania robót publicznych, gdy ich umysły zabawiały się w wielowszechświecie. Ludzie ci uznawali, że ich ciała nie są warte nawet tego, żeby zamieszkiwała w nich prokura. Skutecznie pozbywali się własnej fizyczności.

– Lepiej będzie – odezwał się po chwili – jeśli założymy Patricii nowe tajne akta.

Spieranie się z nim nie leżało w moich kompetencjach. Szliśmy dalej.

– Błyskotko! – przywołał swoją prokurę, która zmaterializowała się, idąc obok nas.

Błyskotka była stworzeniem doskonale androginicznym. Jako byt syntetyczny nie potrzebowała płci w sensie biologicznym, choć pod wieloma innymi względami owszem. Jej umiejętność pojmowania aspektów obu płci i płynnego rozumienia ich dynamiki emocjonalnej uczyniła doktora Grangera sławnym. To było jego życiowe osiągnięcie, choć wielu poszeptywało, że wykorzystywał w swej pracy wieloletnie dokonania własnych doktorantów.

– Tak, doktorze Granger? – szepnęła Błyskotka. – Nowy wpis do dziennika o doktor Killiam? Jest już gotów.

– Dziękuję, Błyskotko – odparł doktor Granger, uśmiechając się do prokury. – A teraz zostaw nas samych, proszę. Muszę porozmawiać z tym młodym dżentelmenem na osobności.

– Tak, doktorze Granger. – Błyskotka zniknęła.

Doktor Granger zerknął na mnie spod oka i splótł ręce za plecami, kiedy szliśmy dalej.

– Myślisz, że to naprawdę możliwe? – zapytał, wracając do naszej poprzedniej dyskusji. – To znaczy, przy technologii, którą obecnie dysponujemy.

– Owszem. Projekt trwa już od jakiegoś czasu, o czym pan dobrze wie, bo wykorzystuje pańskie dokonania. Przeniesienie świadomości... wielu ludzi nad tym pracowało. Sztuczka, rzecz jasna, polega na tym, by pozostać sobą podczas całego procesu.

– A jeśli zgodzę się to poprzeć, wesprzeć was, czy dacie mi gwarancję, że będę pierwszy?

Choć technologia medyczna sprawdzała się znakomicie, zawsze istniało ryzyko, że wydarzy się coś nieoczekiwanego, jakiś wypadek, który pośle eksperymentatora nagle i nieodwołalnie w wieczny niebyt. Doktor Granger nie martwił się o własne życie, zależało mu natomiast na nieśmiertelnej sławie.

– Tak – odpowiedziałem bez ogródek. – To jeszcze potrwa i z pewnością nie odbędzie się przed komercyjną premierą psis.

– Doskonale, doskonale – odrzekł wyraźnie usatysfakcjonowany. Uśmiechnął się do bezrozumnych twarzy psombies, których mijaliśmy. – Wiesz co, Jimmy,

ty ciągle pracujesz, powinieneś znaleźć sobie jakąś miłą dziewczynę i odnaleźć równowagę emocjonalną. – Znów był doktorem z „EmoShow” z poważną, zatroskaną twarzą. – Jestem pewien, że taki przystojny młody człowiek na tak wysokim stanowisku przyciąga tabuny dziewcząt, które wręcz rzucają mu się do stóp. Ale powinieneś wybrać kogoś wyjątkowego.

Nie odpowiedziałem, kiwnąłem głową i szliśmy dalej do jego biura.

Znalazłem już kogoś wyjątkowego, ale nie miałem zamiaru dzielić się z nim tą informacją.



Od dawna miałem na oku Susie. Była wyjątkową duszyczką o zharmonizowanych uczuciach i sposobie przeżywania świata, i zawsze mi się wydawało, że łączy nas coś wyjątkowego. Znałem ją z czasów dzieci psis, ale zwróciła moją uwagę – i stała się celebrytką – jako nastolatka, kiedy zamieniła siebie w żywe dzieło sztuki, przemapowując w swych receptorach bólu stany fizyczne i emocjonalne każdego z dziesięciu miliardów mieszkańców Ziemi. Całkiem dosłownie czuła ból planety: miała pękaty brzuch podczas wybuchu wojen klimatycznych w Indiach, piekącą goleń podczas zamieszek głodowych w Rio, bolesne ukłucie, kiedy terroryści wysadzili w powietrze kolej jednoszynową w Kalifornii.

Susie odważnie znosiła cierpienie planety, niczym Ghandi wielowszechświata, nakłaniając jednocześnie ludzi do zmiany zachowań. Jej błagalne prośby – ukazujące jej wijące się z bólu ponętne ciało – nadawały posłusznie i nie bez rozbawienia wszystkie światowe sieci, jako najnowsze i najbardziej humanitarne osiągnięcie z zaczarowanej wyspy Atopii.

Jej gwiazda weszła i uczyniła ją zarówno pośmiewiskiem, jak i kimś niosącym natchnienie. Wkrótce jednak świat znudził się nią i wrócił do zwykłej medialnej papki zabijania i okaleczania.

Jednak dla Susie projekt nie był chwilowym dziwactwem czy kaprysem, ale życiowym powołaniem. Działała dalej, choć świat się od niej odwrócił. Zdobyła po drodze rzesze zagorzałych fanów wśród hippisowskich

wielowszechświatowych ludzi pióra, którzy chronili ją przed bolesnymi szyderstwami świata, który odwzorowywała. Tworzyli wokół niej niemal nieprzeniknioną sferę unoszących się swobodnie to tu, to tam dzieci kwiatów. Byli niczym płatki cierpiącej stokrotki.

Usiłowałem od jakiegoś czasu skontaktować się z Susie, ale przebicie się przez chroniący ją entourage było niemal niemożliwe. Musiałem dostać się do środka. A mój system bezpieczeństwa odnotował niedawno bardzo dziwne i nielegalne działania rozszczepiające, prowadzone przez starego znajomego.

Chyba znalazłem sposób.



– Trzymasz się blisko z Susie – wyjaśniłem podczas lunchu z Willym McIntyre'em.

Jego twarz zajaśniała, kiedy zdał sobie sprawę, dlaczego chciałem się z nim spotkać.

Zachowałem powód naszego spotkania w tajemnicy, a po przybyciu na miejsce otoczyłem nas niezwykle szczelną zasłoną bezpieczeństwa.

Potrzeby Willy'ego poruszyły maszynę za jego oczami.

– Jeśli mi pomożesz – zasugerowałem – może ja zdołam pomóc tobie.

– Jasne – odpowiedział z namysłem, usiłując maskować tym chciwość. – A w czym twoim zdaniem mógłbyś mi pomóc?

– Sądzę, że mógłbym ci się przydać – odpowiedziałem – załatwiając ci dostęp do rozszczepień wyższego rzędu.

– Doprawdy? Podwoisz ustawienia mojego konta czy coś?

– O wiele więcej niż to – roześmiałem się. – Mogę ci pokazać, jak obejść system, żeby mieć niemal nieograniczony dostęp do rozszczepiania. Zdmuchniesz konkurencję z rynku.

Zerknął na lśniąca błękitem zasłonę bezpieczeństwa wokół nas.

– Nikt inny nie wie, o czym rozmawiamy, prawda?

– Absolutnie nikt, Willy. Jestem ekspertem od bezpieczeństwa, pamiętasz?

10

Tożsamość: Patricia Killiam

Zastanawiałam się, na ile sposobów ten nieprzyjemny okaz ludzkości zadawał śmierć swoim współbraciom – choć termin „współbracia” był nieco naciągany, zważywszy na jego własną formę bytowania. Ale dosyć o tym. Sintil8 sprawiał wrażenie przystojnego, kulturalnego dżentelmena, a jego dojrzałe oblicze uśmiechało się ciepło spod starannie ufryzowanej grzywy stosownie siwiejących włosów. Inteligentne oczy roziskrzyły się mrocznie na mój widok.

– Ciekawa konferencja prasowa. – Błysnął idealnym uzębieniem. – Robisz cudowne rzeczy, ocalając świat.

Sarkazm był tak przyciężkawy, jak jego rosyjski akcent.

– Dziękuję – odpowiedziałam zwyczajnie, nie chwytając przynęty.

Mierzyliśmy się wzrokiem.

– A zatem, Patricio, czego dokładnie mam się dla ciebie dowiedzieć? – zapytał, a jego głos był równie kojący, co niebezpieczny.

– Po pierwsze chodzi mi o te układy burzowe – odpowiedziałam ostrożnie. – Chcę wiedzieć, czy to jakiś nowy rodzaj broni. Ty znasz się na takich sprawach.

Roześmiał się.

– Rozumiem.

Siedzieliśmy w luksusowym penthousie na szczycie jednego z wielu należących do niego drapaczy chmur tworzących krajobraz Nowej Moskwy. W południowym słońcu mieliśmy widok na wszystkie strony, jak ze szczytu świata, a ja dostrzegłam rzekę Moskwę wijącą się poprzez smog.

Sintil8 siedział wygodnie naprzeciw mnie na czarnej skórzanej sofie, mając wciąż na sobie niebieską jedwabną piżamę, a na niej aksamitny szlafrok. Na

nogach miał szare futrzane kapcie, jeden z nich zwisał niedbale z jego stopy, kiedy skrzyżował nogi. Ja z kolei przysiadłam niepewnie na krawędzi drugiej, takiej samej, sofy.

Kiedy rozmawialiśmy, jedna z jego służących lub uczennic – w zależności od tego, jak się na to patrzyło – przeszła bezszelestnie przez pokój i podała mojemu gospodarzowi kolejną szklankę szkockiej. Jej pokryte bliznami i plamami ciało było nieledwie skurczonym korpusem zawieszonym między dwoma niewiarygodnie wrzecionowatymi metalowymi nogami i podobnymi do nich cienkimi metalowymi rękami.

Niestety, nie była wyjątkiem. Mandroidy – ludzie ze zrobotyzowanymi kończynami i organami – stawały się coraz częstszym widokiem, w miarę jak rozprzestrzeniały się wojny klimatyczne. Współczesna technologia medyczna ratowała życie żołnierzom po niemal każdej odniesionej na polu walki ranie, z wyjątkiem uszkodzenia mózgu, i w ten sposób rozpoczął się miarowy napływ patchworkowych półludzi, pół maszyn do społeczeństw na całym świecie.

Oczywiście ta kobieta nie była żołnierzem. Sama to sobie zrobiła. Sintil8 był przywódcą groteskowego kultu, który wymagał od najwierniejszych zwolenników skonsumowania własnego ciała, dosłownego zrytualizowanego zjedzenia siebie po kawałku; znikające kawałki ciała zastępowano stopniowo zrobotyzowanymi częściami. Zjadanie siebie stanowiło drogę do duchowego i cielesnego oświecenia – tak nauczał Sintil8.

– Dziękuję – powiedział, odbierając drinka.

Kobieta, która mu służyła, była tak oddana sprawie, że zjadła swoje własne oczy, o czym przekonałam się z przerażeniem, kiedy odwróciła się do mnie, by posłać mi coś w rodzaju uśmiechu. Z jej twarzy wyzierały na mnie puste czarne oczodoły. W ich głębi świeciły czerwono fotoreceptory.

– Tut, tut – cmoknął z dezaprobatą Sintil8, widząc mój wyraz twarzy po jej odejściu. – Tak szybko osądzasz. A czy ty sama nie tworzysz przypadkiem potworów?

Nie odpowiedziałam.

– Nie? – odpowiedział sam sobie, a jego ręka zawisła w powietrzu. Uśmiechnął się do mnie, nie starając się ukryć, jak bardzo podoba mu się ta rozmowa. – A mimo to przychodzisz do mnie po pomoc. Cóż to za zaskakujący

obrót spraw!

Sintil8 był prawdopodobnie najpotężniejszym i najbardziej upartym przeciwnikiem programu psis. Jako jeden z największych handlarzy przyjemnościami w świecie fizycznym, a także handlarz bronią dla wszystkich stron biorących udział w wojnach klimatycznych, stał na czele globalnej organizacji, która mogła stracić miliardy po wprowadzeniu na rynek psis.

Lobbował, gdzie tylko się dało, by usunąć z naszych protokołów psis ścieżki przyjemnościowe w mózgu, i często skakaliśmy sobie do gardeł na zamkniętych posiedzeniach komisji rządowych regulujących te sprawy na całym świecie. Kesselring odniósł ostateczne zwycięstwo, przedstawiając Sintila8 jako współczesnego Ala Capone'a, gangstera władającego słabościami ludzkiego zwierzęcia z fortec w Chicago, Moskwie i innych miastach na świecie.

Co nie było dalekie od prawdy.

Mimo mojej podejrzliwości i gorszej niż zła opinii o Sintilu8, kierowana logiką wroga mojego wroga zjawiłam się u gangstera, by pomógł mi się dowiedzieć, co ukrywa Kesselring. W gruncie rzeczy był to plan awaryjny, gdybym potrzebowała asa w rękawie, a przy okazji sprawdzałam, o co chodzi Sintilowi8. Ostatnie zniknięcia były czymś, do czego byłby zdolny się posunąć.

– Posłuchaj – powiedziałam, analizując to wszystko w głowie. – Być może będę mogła ci pomóc, jeśli ty też mi pomożesz.

– Teraz mówisz po ludzku – odpowiedział z uśmiechem. Przeskanował informacje i dane, które mu właśnie wysłałam.

Szczegóły umowy.

– Ładno. Dowiem się tyle, ile będę mógł – powiedział wreszcie.

– Dobrze.

Milczał, uśmiechając się coraz szerzej.

– Ależ ja jestem niewychowany! Czy zechciałabyś zjeść ze mną obiad?

Pokręciłam głową.

– Dziękuję, ale nie. – Bałam się dowiedzieć, co, a raczej kogo jedzą dzisiaj na obiad.

Siedzieliśmy i mierzyliśmy się wzrokiem. Mimo zaangażowania znacznych środków w atypijne spory z Sintilem8, nadal nie mieliśmy pełnego obrazu tego

człowieka. Był prawdopodobnie jednym z niewielu żyjących ludzi starszych ode mnie i o ile wiedzieliśmy, awansował w hierarchii rosyjskiej mafii pod koniec XX wieku, a karierę rozpoczął w stalinowskim aparacie bezpieczeństwa.

Niektóre raporty wskazywały, że służąc w Armii Czerwonej, dowodził czołgiem podczas walk z Niemcami pod Leningradem – wówczas stracił zapewne kawałki własnego ciała. Podejrzewaliśmy, że jest tylko mózgiem w ukrytej gdzieś skrzynce, ale nie wiedzieliśmy, gdzie ją przechowywano.

– Wypijmy za naszą umowę – zarządził, unosząc szkocką. Identyczna szklanka natychmiast zmaterializowała się w moim ręku. – Na zdrowie! – zaintonował.

– W istocie na zdrowie! – odpowiedziałam, unosząc szklankę wraz z nim i pijąc, by przypieczętować układ.

11

Tożsamość: Jimmy Scadden

W ciągu dni i tygodni po ogłoszeniu daty premiery *Infinixxa*, figura Nancy w atopijnej społeczności dramatycznie nabrała znaczenia. Prasa oblegała ją dniami i nocami. Poproszono mnie o pomoc, więc moje odłamki uczestniczyły w niekończącym się strumieniu konferencji i wywiadów w całym wielowszechświecie.

– Skąd się wziął pomysł technologii rozszczepiania świadomości? – zapytał reporter podczas konferencji, którą prowadziłem.

Pytanie nie było skierowane do mnie. Siedząca obok Nancy uśmiechnęła się i zaczęła wyjaśniać, że wszystko zaczęło się od dziecięcej gry w tagowanego berka. Gadała i gadała, aż zaczęło mnie to irytować. Tagowany berek mógł być królem zabaw dzieci psis, ale moją ulubioną rozrywką była szmaciana laleczka.

To był mój osobisty wkład do naszego repertuaru zabaw.

Pewnego dnia pani Parnassus, nasza ludzka nauczycielka w akademii dzieci psis, poprosiła, aby każde z nas zademonstrowało jakąś wyjątkową sztuczkę czy umiejętność. Każde dziecko po kolei pokazywało, co potrafi. Jedno zamieniło się w dmuchany balonik, odbijający się od sufitu, Nancy popisała się prowadzeniem tuzina rozmów jednocześnie, z każdym dzieckiem w klasie, Bob oczywiście zabrał nas na deskę.

Nadeszła moja kolej.

– Chodź, Jimmy – zachęcała nauczycielka. – Pokaż wszystkim to, co pokazałeś mnie.

Ustawiła mnie delikatnie w centrum matrycy uwagi każdego dziecka. Spojrzałem nerwowo na kolegów z klasy – uporządkowany zbiór

fantastycznych małych istot pływających niecierpliwie wokół mnie w przestrzeni wyświelacza.

Wiercąc się nerwowo, spojrzałem na własne stopy. W sposób zupełnie niekontrolowany zamieniły się w wijące się czułki, które splotły się razem jak jaskiniowe węgorze, uciekające przed nagłym światłem.

Usłyszałem chichoty.

– No dalej – powiedziała pani Parnassus, kiwając głową i zachęcając mnie do zabawy. Wrzuciła skórki pozostałych uczniów do mojej przestrzeni tożsamościowej, przekształcając wszystko we współdzieloną rzeczywistość dzieci stojących wokół placu zabaw na szkolnym podwórku. Ja stałem w samym środku. Miałem na sobie szare flanelowe spodenki z dopasowanym kolorystycznie swetrem, a pod kołnierzykiem koszuli wisiał przypinany czerwony krawacik.

Kolejne chichoty. Mama upierała się, żebym właśnie tak ubierał do szkoły moją pierwotną podmiotowość.

Między huśtawkami a małym gajem szkolnego podwórka rosły powyginane dęby, sięgały wysoko gałęziami niczym liściasta katedra pod przejrzystym błękitnym niebem.

– No dalej, Jimmy, spodoba im się to, zaufaj mi – ciągnęła pani Parnassus.

Kiwnąłem głową, zbierając odwagę i przygotowując sztuczkę.

– Teraz wszyscy opuszczą swoje ciała i wejdą w ciało Jimmy'ego. Pospieszcie się! – klasnęła w ręce.

Rozległo się kilka jęków. Pozostałe dzieci nie spodziewały się niczego zabawnego po cichym, niezdatnym Jimmym Scaddenie. Mimo to czułem, jak meldują się posłusznie w granicach mojej świadomości.

Otworzyłem kanały psis i czułem, jak tłoczą się we mnie, czując to, co ja czuję, i widząc to, co widziałem. Początkowo wszystko mnie swędziło, bo wiercili się niecierpliwie, czekając, aż coś się wydarzy.

Niewielu ludzi nawiedzało mnie wcześniej, nie byłem popularnym uczestnikiem zabawy w tagowanego berka. Praktycznie jedynymi osobami, które wchodziły we mnie, byli moi rodzice, i to zazwyczaj po to, żeby mnie straszyć. Ale teraz było inaczej, to nie był najazd, ale wspólne doświadczanie. Wbrew sobie poczułem ciepły dreszcz i uśmiechnąłem się.

– Czy to nie jest miłe? – zapytała pani Parnssus, widząc mój uśmiech. – A teraz pokaż im to, co pokazałeś mnie.

Wzięłem głęboki oddech i zanurkowałem w swoje ciało, kurcząc się i ciągnąc ich za sobą. Słyszałem ich chichoty gdzieś z tyłu umysłu. Nurkowaliśmy coraz głębiej do najmniejszych przestrzeni wewnątrz mnie, mijając kości i krew, przeciskając się między granicą granulatu technologii psis. Zatrzymałem się na chwilę, a potem – wstrzymując oddech – przesunąłem granice jeszcze dalej.

Wcisnąłem naszą grupową świadomość na poziom molekularny, zatrzymując się wreszcie we wnętrzu jądra mojej żyjącej komórki, by pokazać im, jak rozwija się nowo wyklute białko. Dzieci umilkły zachwycone. Potem wystrzeliłem na zewnątrz i do góry moich żył i znów przystanąłem – naszą przestrzeń sensoryczną wypełniło potężne dudnienie mojego serca. Przyciągnąłem nasze zmysły dotykowe do zewnętrznej części aorty i czuliśmy jak powiększa się i kurczy nasza skóra, przez którą płynęła moja krew.

– Niesamowite! – wykrzyknął Bobby, a zaraz po nim rozległy się głosy:

– Pokaż mi, jak to się robi! Pokaż mi jak!

Pani Parnassus uśmiechnęła się, widząc jak dzieci wracają do swoich ciał i otaczają mnie tłumem na środku szkolnego dziedzińca.

Tagowany berek był bez wątpienia królem gier dla uczęszczających do akademii dzieci psis, ale przez pewien czas nurkowanie w szmacianej laleczce cieszyło się ogromnym wzięciem, bo nauczyłem ich, jak otwiera się poszczególne części ciała i wciąga w nie ludzi. Kiedy poruszało się ciałem, każdy z obecnych kontrolował tylko jego część, co w sumie przypominało zabawę w pijanego marynarza usiłującego wrócić do domu.

Był to początek mojej drogi do zabezpieczenia systemów świadomości.

12

Tożsamość: Patricia Killiam

– Więc jak się czujesz, Adriano, czy raczej Ormeadzie?

Rozejrzałam się z naszej ławki pod wzgórzami otaczającymi Napa Valley. Bujna zieleń zbiorów późnego lata była widoczna z tej odległości w przesunięciu w błękicie i ciągnęła się wzdłuż idealnie wytyczonych rzędów położonych niżej winnic. Jaskółki fruwały i śmigały w niemym tańcu, goniąc za niewidzialnymi owadami po szafirowym niebie.

Zamówiłam gestem u kelnera kolejny kieliszek chardonnaya.

Adriana była uczestniczką moich badań testowych, niedawno zgodziła się stworzyć kompozyt z dwójką przyjaciół, Orlandem i Melindą. Kompozytowanie było nowym promowanym przeze mnie procesem, który tworzył wirtualne prywatne sieci psis wiążące razem układy nerwowe kilku osób. Wyglądało to tak, jakby dwoje albo więcej osób nieustannie się nawiedzało, ale w znacznie bardziej intymny niż zazwyczaj sposób. Kompozytowanie sprowadzało się do fuzji układów nerwowych zaangażowanych w nie organizmów.

– To cudowne! – odpowiedziała z błyskiem w oku. Ich partnerzy także zdecydowali się na kompozytowanie. – Połączenie Michaela, Denzela i Phoenix... Mideph... jest wszystkim, czego oczekiwaliśmy od partnera, który stał się wysportowany, dowcipny, uważny, namiętny i ma artystyczne zacięcie.

Kompozyty wpisywały się doskonale w łańcuch ewolucyjny jako nowa forma głębokich więzi społecznych, chroniąca psychikę poszczególnych osób przed przytłoczeniem w wielowszechświecie. Kulturowy aspekt ludzkiego społecznego zwierzęcia zdołał przystosować się do psis, ale reszta

pozostawała daleko za nim.

Odetchnęłam głęboko

Działamy zbyt szybko.

Kompozytowanie było, ogólnie rzecz biorąc, pozytywnym krokiem ewolucyjnym, problemem natomiast stawała się jego forma przeciwna – samokompozytowanie.

Przed wstrząsem, jakim była utrata ciała, Willy McIntyre znajdował się na najlepszej drodze do samoskompozytowania i zamknięcia się w społecznym kokonie składającym się wyłącznie z jego kopii i odłamków. Teraz, z tego, co widziałam, rozpoczął pracę nad powrotem z kokonu, ale tylko dlatego, że stracił ciało – nie wszyscy będą mieli tyle szczęścia.

Adriana, z drugiej strony, była częścią nowej klasy kompozytów, które tworzyły spontaniczne holobionty, by symbiotycznie sformować ochronną zaporę przeciwko sieciom społecznym, deewoluując w odizolowane grupki w wielowszechświecie. Historia ewolucji dotyczy w większym stopniu symbiotycznych organizmów ewoluujących w nowe grupy niż powolnego gromadzenia pożądanych cech. W kategoriach ewolucyjnych dzisiejsze pojedyncze osobniki są wczorajszymi grupami.

Adriana i przyjaciele zamieszkiwali dziś wspólnie w jej organizmie, który odrzucał moje psis i umieszczał jej dane osobiste tylko w przestrzeni mojego wyświetlacza. Musimy to naprawić. Planowałam, że kompozyty staną się częścią protokołu psis już w chwili wejścia na rynek, ale czasu było coraz mniej.

– A my jesteśmy wszystkim, czego pragnął – ciągnęła. – Jesteśmy odpowiedzialną, opiekuńczą kobietą, zorientowaną na robienie kariery, ale jednocześnie zwariowaną i spontaniczną. Nie sądzę, żeby mogło nam się to przydarzyć w jakikolwiek inny sposób.

Tego rodzaju małe zwycięstwa sprawiały, że gra była warta świeczki. Miłość nadal pozostawała najsilniejszym z uczuć i w zaczarowany sposób wypełniała pęknięcia, które w atopijnej kulturze wywołało psis.

– Słyszałam, że będziecie mieli dziecko? To wspinała wiadomość!

Bez przejścia w stan kompozytowy prawdopodobnie nigdy nie doczekaliby się potomstwa jako oddzielne pary. Współczynnik rozrodczości na Atopii

w erze po psis był bliski zeru, ale znów mówiliśmy o rozrodczości w starym, biologicznym sensie. Gdybyśmy zaczęli liczyć istoty syntetyczne i biosyntetyczne, takie jak prokury, wskaźniki rozrodczości sięgnęłyby nieba.

Wszystko zależy od punktu widzenia.

Adriana-Ormead uśmiechnęła się jeszcze szerzej, jeśli to w ogóle możliwe.

– Tak, chcemy użyć ciała Adriany do poczęcia trojaczków – wypaliła. – Zrobimy to w sposób naturalny i zmieszamy razem sześć naszych wzorców DNA w przypadkowy sposób, żeby przekonać się, co z tego wyjdzie.

– Brzmi cudownie.

Kompozyty nie były tylko spotkaniem umysłowości. Umożliwiały łączenie się poszczególnych neuronów jednego ciała z miliardami neuronów połączonych ciał kompozytowych, za pomocą sieci komunikacyjnej psis, która zastępowała biologiczną sygnalizację nerwową.

To oczywiście naśladowało gęstość połączeń samych nerwów, ale tworzyło przy tym struktury neurologiczne, które nigdy wcześniej nie istniały, które nie mogłyby zaistnieć w świecie rzeczywistym, choć ludzkość poszerzała jego granice. Niektórzy tworzyli kompozyty ze zwierzętami, z nanoassemblerami, z robotami i sztucznymi umysłami, a nawet przenosili swoje mózgi w całkowicie syntetyczne przestrzenie.

Pojawiały się nowe ekosystemy, a życie nieustannie ewoluowało, żeby je wypełnić. Psis nie tylko stworzył nowe środowisko, ale stworzył nieskończony ekosystem ekosystemów. Na samym początku programu rozpoczęliśmy eksperymenty z wprowadzaniem układów nerwowych zainfekowanych psis zwierząt do syntetycznych światów, tworząc tam naturalne reguły pozwalające na swobodną ewolucję.

Rezultaty były oszałamiające.

Obserwacja ludzi, którzy wprowadzają się do rozszerzonego przez psis wielowszechświata, była ciągle trwającym eksperymentem – nie mieliśmy niestety dosyć czasu, aby pojąć to w całej pełni.

Wszystko odbywało się w kontrolowanej i monitorowanej przestrzeni eksperymentalnej Atopii i dotyczyło zaledwie kilkuset tysięcy ludzi żyjących w stosunkowo homogenicznej kulturze. To, co się stanie po niekontrolowanym uwolnieniu psis wśród miliardów dusz na całym świecie, pozostawało nadal

w sferze domysłów.

Miałam wrażenie, że jestem świadkiem cybernetycznej wersji kambryjskiej eksplozji sprzed pół miliarda lat, kiedy pojawiły się pierwotne formy życia, które po dywersyfikacji opanowały całą Ziemię. Tyle tylko, że zamiast Ziemi życie zalewało obecnie nieskończone połączenie cybernetycznego wielowszechświata, a proces ewolucji zamiast milionów lat trwał tygodnie, dni i godziny.

– Chcemy im pozwolić zdecydować, czy będą chciały się skompozytować, czy też nie – ciągnęła Ormead, skupiając na sobie moją uwagę. – Ale trudno wyobrazić sobie, by miały tego nie chcieć, wiedząc to, co my wiemy.

– Jestem pewna, że masz rację. – Tylko tyle mogłam powiedzieć. Rozpoczęła podróż, której byłam lokomotywą, lecz której celu nie umiałam już sobie wyobrazić.



Siedziałam w biurze i przeglądałam raporty z badań nad Huraganem Ignacia. Wprawiały mnie w odrętwienie. Postanowiłam rozszczepić się jak podczas zabawy w szmacianą lalkę, wymyślonej przez dzieci psis na szkolnym dziedzińcu. Przeglądanie danych nigdy nie dorówna intuicyjnym obserwacjom i wrażeniom.

Wymyślona przez dzieci gra w tagowanego berka była stosunkowo prosta z punktu widzenia teorii gier, natomiast szmaciana lalka nawet nie była grą i zdominowały ją wyjątkowe osobowości. Tagowany berek przypominał organicznie zbieranie się ptaków w stada, w stado szpaków – szaleńczo machające skrzydłami odłamki dziecięcych umysłów krążyły wokół siebie najpierw w jednym ciele, potem w następnym, najpierw w jednym świecie, potem w innym. Ale szmaciana lalka była zupełnie inna – zdecydowanie mniej komfortowa. Kiedy przyglądałam się zabawom dzieci psis, odnosiłam wrażenie, że jest w nich coś, czego nie widzę i nie rozumiem.

Problem polegał na tym, czym dokładnie było to, czego nie widziałam.

Skatalogowanie zmian zachodzących w ciele podczas przemieszczania się

z jednego ciała do drugiego jest stosunkowo proste, wliczając w to nawet dodatkowe fantomy i metazmysły czy wnikanie w ciała całkowicie syntetyczne w metaświatach. Potrafiliśmy nawet prześledzić neurologiczne adaptacje, jakie wówczas zachodzą.

Umysł jednakże stawał się nowopowstałym właścicielem tego wszystkiego – czymś więcej niż suma jego części składowych. Nie dało się pojąć, w jaki sposób zmieniały się umysły w rezultacie tego rodzaju działań. Jak zauważył doktor Turing podczas naszej rozmowy sprzed stu lat: zmień ciało, a zmienisz umysł.

W tamtych czasach były to czysto teoretyczne rozważania; teraz na Atopii doświadczaliśmy niemal namacalnych skutków tych zmian. Wcześniej cała ludzkość miała tę samą morfologię, a co za tym idzie, mniej więcej podobną umysłowość.

Teraz to się zmieniło.

Ludzki umysł przestał być tylko mózgiem.

Nasz układ nerwowy objął całe ciało, w tym starożytny mózg, mieszczący się w trzewiach i połączony z głową nerwem błędnym. Kiedy mówimy, że ktoś nas słucha brzuchem, a nie uchem, jesteśmy bliżsi prawdy, niż nam się wydaje.

Analogicznie myślenie abstrakcyjne zostało blisko powiązane z całym ludzkim ciałem: „w głowie mi się to nie mieści”, „mam pełne ręce roboty”, „nie mogę tego przełknąć” i tak dalej. Kiedy zmieniliśmy ciało, zaczęliśmy zmieniać sposób, w jaki nasze umysły tworzyły abstrakcyjne idee, a nawet sam sposób konstruowania myśli.

Gdy tylko dzieci psis mogły się z nami komunikować, zaczęły używać leksykonu abstrakcyjnych terminów, których nie rozumieliśmy należycie, na przykład: „porozszczepiany”, „zbulwiony”, „odłamkowanie”, „zachmurzony” i wielu, wielu innych, które tworzyły wraz z własnym rozwojem. My wprowadziliśmy psis do naszych mózgów jako dorośli i znaleźliśmy różnicę między tym, co rzeczywiste, a tym, co syntetyczne, natomiast dzieci psis dorastały z osadzonymi bodźcami. Nie rozumiały tej zasadniczej różnicy. Ich mózgi i układy nerwowe rozwijały się razem z psis, a ich umysły stały się zupełnie inne.

One same stały się zupełnie inne.

Zmiana ciała to jedno, ale zmiana umysłowości to coś zupełnie innego. Kiedy przyglądałam się dzieciom psis bawiącym się w szmacianą lalkę, miałam dziwne wrażenie, że mam przed sobą zupełnie obce istoty.

Kolektyw szmacianej lalki zatrzymał się i spojrzał prosto tam, skąd ich obserwowałam. Nie pojawiłam się w ich przestrzeni sensorycznej ani nie oflagowałam swojej obecności, więc nie mogli wiedzieć, że na nich patrzę, że w ogóle tam jestem. A mimo to zatrzymali się i wpatrywali intensywnie w miejsce, w którym byłam, jakby wiedzieli, o czym myślę.

Jakby zaglądali prosto do mojej duszy.

Wycofałam się szybko do bezpiecznej przestrzeni gabinetu.

Zadrżałam.

13

Tożsamość: Jimmy Scadden

– Jeśli chodzi o nasz projekt, muszę prosić pana o pewną przysługę – powiedziałem do doktora Grangera.

Znów byliśmy na spacerze pośród hydroponicznych upraw. Granger chciał najnowszych wiadomości i potwierdzenia naszej umowy, że jako pierwszy weźmie udział w projekcie przeniesienia świadomości.

– Chcę się znaleźć w grupach badawczych zajmujących się pamięcią i uzależnieniami.

– Sprawa załatwiona – zgodził się z uśmiechem. Wyciągnął rękę i przesunął dłoń po liściach pobliskiej rośliny. Zatrzymał się, by obejrzeć wiszącego na krzaku dużego, dojrzałego pomidora.

– I będę potrzebował dostępu do kodu źródłowego Błyskotki – dodałem. – Oraz pańskiego systemu psis.

Zostawił pomidora i odwrócił się, by spojrzeć na mnie uważnie. Widziałem wątpliwości w jego oczach, ale znów, robił to, żeby stać się nieśmiertelnym i na zawsze zapewnić sobie sławę...

– Dobrze, ale z pewnymi zastrzeżeniami – odpowiedział powoli. – Będę musiał poznać szczegóły tego, co chcesz zrobić, ale niech będzie.

– Oczywiście – zgodziłem się. – Rozumie pan również, że ta sprawa musi pozostać między nami, między panem a mną.

Zmrużył oczy i uśmiechnął się.

– Nie chcę, żeby wzięła w tym udział Patricia – wyjaśniłem.

– A czy ona nie jest dla ciebie jak matka?

Usiłował zmierzyć moją reakcję emocjonalną, ale spojrzałem na niego

beznamiętnie.

Patricia nigdy nie lubiła Grangera, a ja nie chciałem stwarzać kolejnych problemów, upubliczniając naszą współpracę. Jako szef bezpieczeństwa granic świadomości byłem ogromnie zainteresowany kolejnym ewolucyjnym krokiem programu psis: przeniesieniem świadomości. Byliśmy jeszcze bardzo daleko, ale opracowaliśmy metody pozwalające nam zrozumieć, w jaki sposób eteryczny umysł unosił się gdzieś w fizycznej klatce mózgu, gdzie świadomość łączyła się z naszym odczuwaniem siebie.

Nieśmiertelność albo coś do niej zbliżonego były w zasięgu ręki.

Wkrótce, kiedy psis zaleje świat, a ludzkość zacznie się przenosić między światami gier a sensoriami, comiesięczny upgrade pakietu psis będzie zawierał opcję przeniesienia świadomości.

„Przeniesienia skąd?“, będą pytać. „Z mojego starego ciała? Tego czegoś, czego nie widziałem od roku?”

A po chwili będzie już po wszystkim, odwieczny sen o nieśmiertelności spełni się bez fanfar, ale za to po przyciśnięciu guzika. Opuszczą swoje ciała, które będą pokrywać się kurzem gdzieś w kącie w garażu, jak stare telewizory. Ostatecznie się je wyrzuci...

W tym kontekście scedowanie kontroli wykonawczej do psis było jak podpisanie cyrografu na nieśmiertelną duszę.

Granger naprawdę nie powinien być tak ufny, bez względu na możliwe korzyści. Miał szczęście, że zetknął się ze mną, a nie z kimś innym.

– Ona cię kocha – dodał, obserwując mnie. Zarzucił przynętę.

Zatrzęsło mną ze złości, ale zanim zdołałem coś powiedzieć, wyprzedził mnie:

– Wybacz. Nie chciałem cię sprawdzać, ale stare nawyki umierają ostatecznie – roześmiał się. – Bardzo lubię z tobą pracować. Jestem całkowicie do twojej dyspozycji.

– Będzie pan na dzisiejszej premierze Infinixa? – zapytałem.

– Nie odpuściłbym jej sobie za nic w świecie. – Przewrócił oczami. Nie należał bez wątplenia do fanów klanu Killiamów.

– Świetnie.

Kiwnął głową, odwracając się do krzaka pomidora.

– Cokolwiek powiesz, Jimmy.

14

Tożsamość: Patricia Killiam

– DZIESIĘĆ!... DZIEWIĘĆ... OSIEM!...”

Rozglądając się po zatłoczonej sali balowej, czułam narastające podniecenie tłumu. W tle moja sieć odłamków skanowała ponadmiliardową publiczność, która oglądała premierę Infinixxa.

– Ciociu Patty – odezwała się Nancy, patrząc na mnie ze łzami w oczach. – Postanowiłam, że chcę, żebyś to ty włączyła zasilanie. To wszystko powstało dzięki tobie!

Tłum ryczał dalej:

– SIEDEM!... SZEŚĆ!...

To była jej chwila chwały, nie moja.

– Zrobiłabym to z przyjemnością, kochanie... – Tyle że moje fizyczne ciało szukało wraz z Vince’em wiatru w polu na farmach uprawnych. Nawet gdybym chciała, nie mogłabym włączyć przełącznika bez pomocy ciała – ...ale pojawiło się coś niespodziewanego i nie ma mnie tu kinetycznie. Musisz to zrobić sama, moja droga!

Powiedziałam to lekkim tonem, ale poczułam skurcz w żołądku, zdawszy sobie sprawę, że dzieje się coś strasznego, zanim pojęłam, o co chodzi. Przełączyłam psis w tryb tożsamości i ujrzałam zupełnie pustą salę balową. Nie było w niej żywego ducha, nawet Nancy nie była obecna! Za chwilę wydarzy się katastrofa; wystrzeliłam masę odłamków, żeby jej zapobiec.

– PIĘĆ!... CZTERY!...

– Jimmy, a może ty? – zapytała Nancy, niczego nieświadoma. Rozpaczliwie starałam się znaleźć jakieś rozwiązanie przed uprzedzeniem jej o fiasku. –

Proszę. Naprawdę chciałam, żeby zrobiło to któreś z was.

Puściła przełącznik i zachęciła Jimmy'ego, żeby go ujął.

Nie mogłam znaleźć sposobu na przekierowanie zasilania i obejście przełącznika. Spróbowałam otworzyć zewnętrzną granicę bezpieczeństwa, żeby kogoś wpuścić, ale Nancy i Jimmy mieli własne zabezpieczenia. Wysłałam Jimmy'emu prośbę o dostęp.

W tym samym czasie Marie zadawała pytania prokurom wszystkich starszych menadżerów, którzy stali z nami na scenie. Każdemu z nich coś wypadło w ostatniej chwili i nie byli obecni fizycznie. Żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że to może mieć jakieś znaczenie.

Ja też tak myślałam.

– TRZY!... DWA!...

– Przepraszam, Nance, ale mnie także coś wypadło. I jestem tylko na łączach.

– odrzekł Jimmy. – Dasz sobie radę... Uważaj!

Na twarzy Jimmy'ego pojawiło się zaskoczenie, kiedy do jego sieci trafiła moja prośba o kontrolę dostępu. Zrozumiał położenie, w jakim się znaleźliśmy.

– JEDEN!

Nancy zrobiła się blada jak ściana. Ciągle słyszałam jej słowa: „To wszystko powstało dzięki tobie!”. W powietrzu rozległ się głośny trzask, kiedy Chińczycy i Hindusi włączyli przełączniki daleko od Atopii.

Co się dzieje?

Jimmy zdołał już otworzyć zewnętrzną granicę bezpieczeństwa i ujrzałam strażnika psombie biegnącego ku scenie.

– To nic nie da – usłyszałam echo tych słów w jakimś odległym odłamku. To była Nancy, której pierwotna podmiotowość wciąż stała zdruzgotana na scenie.



Czy byłam kobietą, która śniła o byciu motylem, czy motylem, który śnił o byciu kobietą?

Motyl we mnie pragnął się wyrwać.

Lekarze mówili mi, że immunosupresyjne nanoboty w moim krwiobiegu atakowały moje własne czerwone krwinki po ostatniej terapii modyfikacji genetycznej, więc cierpiałam na anemię czy coś w tym rodzaju.

Uciekałam przed jednym tygrysem prosto w paszczę drugiego.

W tym samym czasie, w którym doszło do katastrofy na premierze Infinixa, jeden z moich odłamków prowadził konferencję prasową. Katastrofa wywołała natychmiastowe i destrukcyjne medialne tsunami. Na twarzach reporterów pojawiały się szerokie uśmiechy, odbierałam od nich masę wiadomości, kiedy wpatrywali się we mnie na scenie.

– Mówiąc krótko – słyszałam własne słowa – po to, by wszystko pozostało takie samo, wszystko musi się zmienić.

Po tej mądrości rozległo się kilka chichotów związanych bez wątpienia z tragedią Infinixa, a nie z czymś ważnym, co powiedziałam.

– Okay, następne pytanie – rzuciłam szybko, chcąc skończyć z tym jak najprędzej. Bardzo niewielka część mojej świadomości była tutaj obecna, gdyż reszta mnie usiłowała uspokoić Kesselringa. Cały świat oglądał premierę. Kesselring był wściekły.



– To ty odpowiadasz za Infinix – wściekał się Kesselring. – A to zdarzenie wprowadziło poważne wektory niepewności w nasze przyszłe zyski. Kto wie, jakie będą tego konsekwencje? Mam zamiar uwolnić cię od kontaktów z mediami. Nazwisko Killiamów to teraz dobry żart.

Wbiłam wzrok w podłogę i nie odezwałam się. Od dawna byłam już zmęczona tą medialną wrzawą. Kesselring bał się o długoterminowe zyski, ale wiedziałam, że najbardziej irytuje go spadająca cena akcji Cognixa.

– Główna oś czasowa trzyma się mocno – powiedziałam po chwili. – Nie ma się czym podniecać.

Uniósł brwi.

– Nie ma się czym podniecać? Gdybym nie znał prawdy, pomyślałbym, że to twoja sprawka.

– Że dopuściłam się sabotażu projektu mojej krewnej?

– Nie sądzisz, że to wygląda podejrzanie? W ostatniej chwili nikt nie pojawił się *in corpore*, w ostatnich sekundach wszyscy postanowili przysłać swoje wirtualne kopie, nawet Nancy.

Spiorunował mnie wzrokiem. Odwróciłam głowę.

– Musiałam. Vince prosił mnie o pomoc. Uważasz, że powinnam go zignorować? Po tym, co mu zrobiliśmy? Może to był zwykły zbieg okoliczności.

– Zbieg okoliczności! – parsknął Kesselring. – Spodziewasz się, że w to uwierzę?

Znów nie odpowiedziałam.

– To na pewno ci z Terra Nova – rzucił wreszcie i kręcąc głową, zapatrzył się w dal. – Zdajesz sobie sprawę, że będziemy musieli pozbawić Nancy stanowiska szefowej Infinixxa?

W tym samym czasie inny z moich odłamków zajęty był spieraniem się z Halem – kolejna bitwa z brygadą szczęśliwości – o nowe wyniki testów klinicznych uzależnień.



– Ludzie kompensują sobie złożoność świata, szukając z niego ucieczki – wyjaśniał Hal, kiedy mój odłamek asymilował się do tej rzeczywistości. – Spójrz na doniesienia mówiące o wzroście zjawisk paranormalnych. Wiemy, że nie są to zjawiska rzeczywiste, nawet oni to wiedzą, ale potrzebują ucieczki.

Właśnie w tym momencie doszło do zwieńczenia katastrofy Infinixxa.

– Czy możemy zająć się kwestią upublicznienia tych nowych wyników innym razem?

Pokręcił głową.

– Zawsze masz jakąś wymówkę, prawda, Pat?

– Chodzi o to...

– Wiem, o kłapę Infinixxa – przerwał mi. – Cały świat już o tym wie, moja droga.

Moja cierpliwość była na wyczerpaniu.

- Czy nie niepokoi cię, że wraz z dziećmi psis wychowujemy pokolenie leniwych, zajętych sobą seksualnych dewiantów? Czy na tym polega poszukiwanie szczęścia?

- Dewiantów? - roześmiał się Hal. - Leniwych? Nie wygłupiaj się, Patricio. Posłuchaj tego, co mówisz! Przecież to ty stałaś na czele programu dzieci psis.

Milczałam przez chwilę, żeby rozważyć jego słowa.

- Myślę, że zwyczajnie się zestarzałaś - dodał ze złośliwym błyskiem w oku. - Te dzieciaki robią zdumiewające rzeczy, sama wiesz o tym najlepiej.

Może miał rację, ale wiedziałam trochę więcej od niego.

- Ok, zapomnijmy o dzieciach psis - zgodziłam się. - Ale co powiesz na ten obrzydliwy handel symulakami?

Uniósł brwi.

- Znów dewianci?

- Stworzenie nowej gałęzi przemysłu, turystyki seksualnej dla pedofilów, nie było *moim* zamiarem - rzuciłam oskarżycielsko. - Może niektórzy z was... Ale dla mnie to coś obrzydliwego.

- „Turystyka seksualna” to gruba przesada.

Nie odpowiedziałam.

- Co w tym złego, Patricio? - zapytał oschle. - Czy widzisz coś niestosownego w posiadaniu generowanych komputerowo modeli nagich dzieci, które nie są oparte na żadnym prawdziwym, konkretnym dziecku? Nikt nie jest wykorzystywany. To stanowi istotną część naszego programu terapii dla pedofilów.

- Mimo to...

- Zaślepiają cię uprzedzenia - ciągnął, rzucając mi prosto w twarz moje własne odczucia. - Tak ich stworzono. To nie ich wina, że są pedofilami. Nie tak dawno temu społeczeństwo w podobny sposób piętnowało homoseksualistów.

- To nie to samo - sprzeciwiłam się.

- Doprawdy? A czyż nie jest dla nich lepiej, żeby przyjeżdżali tutaj i poddawali się terapii, by znaleźć dla siebie drogę wyjścia? Technologia stoi na czele postępów kulturowych i sprowadza tę od dawna prześladowaną mniejszość na powrót do trzódki.

– To obrzydliwe, absolutnie obrzydliwe.

Mój umysł był już na progu wyczerpania. Tak wygląda droga ku szczęściu?



Huragan Ignacia z całą pewnością przenosił się z Karaibów na Wschodni Pacyfik, gdzie zmieniono mu nazwę na Olivia. Huragan Newton, który krążył nad Pacyfikiem, kiedy wycofywaliśmy się ku wybrzeżu, zatrzymał się, a nawet odwrócił trajektorię.

Moje projekcje wkrótce ukazały efekt Fujiwary, łącząc dwa systemy burzowe z ich środkową osią w najgorszym z możliwych punktów, co uniemożliwiało Atopii ucieczkę na otwarty ocean pomiędzy nimi.

Kiedy moje odłamki jednocześnie omawiały zalety wirtualnej ekonomii z reporterami, broniły mnie przed Kesselringiem, spierały się z Halem na temat natury szczęścia i zastanawiały nad pędzącymi ku nam cyklonami, poczułam przyprawiające o mdłości zawroty głowy.

Moje pole widzenia uległo odkształceniu, wybrzusząc się na zewnątrz, a huragany i reporterzy zlali się ze sobą w jedno. Kesselring ze zdumieniem przyglądał się, jak znikam z jego rzeczywistości.

Nagle implodowałam w śmiertelnie spokojny, pojedynczy, subiektywny punkt widzenia.

Nie miałam pojęcia, gdzie ani dlaczego.

Marie, moja prokura, stała nade mną i wpatrywała się prosto w moje oczy. Wszystko znieruchomiało. Niewiarygodnie długa i niemożliwie cienka linka ciągnęła się z nieskończonej błękitnej otchłani nade mną, by owinać się ciasno wokół mego pasa. Byłam zawieszona nad rozwartą czarną czeluścią pośrodku nieskończonego, zielonego pola pod przejrzystym niebem.

Marie pokręciła głową.

– Obawiam się, że wieści nie są dobre.

Linka zacisnęła się wokół pasa, odcinając mi dopływ krwi. Widziałam tygrysy szarżujące na mnie w przestworzach, ich niemy ryk dzwonił mi w nic niesłyszących uszach. Zafascynowana przyglądałam się, jak nanoboty zjadają

z zapalem cienką linkę, na której wisiałam w przestrzeni. Poniżej mnie, w czarnej czeluści, pomrukiwał i ślinił się niewidzialny potwór.

To nie może trwać wiecznie, pomyślałam, tracąc i odzyskując świadomość.

Nie jestem wieczna.

15

Tożsamość: Jimmy Scadden

– Słyszałem, że Kesselring postawił cię na czele Infinixxa?

– Tylko na pewien czas – zauważyłem. – Ktoś musi bronić twierdzy.

Komandor Strong skrzywił się.

– Jak się miewa Patricia?

Po katastrofie Infinixxa Patricia doznała czegoś w rodzaju wylewu. Nie był to prawdziwy wylew – nie doszło do fizycznego uszkodzenia mózgu – lecz raczej przeciążenie jej systemu psis. Dochodziła do siebie pod obserwacją i została odizolowana.

– Wróci do zdrowia – odpowiedziałem po krótkiej chwili. – Rozmawiałem z nią dziś rano. Powiedziała, że już jutro będzie w swoim biurze.

Obaj wróciliśmy do prezentacji.

– Dzieje się tu coś bardzo nienaturalnego – wyjaśniał nasz mandroidalny gość całemu zebranemu Dowództwu. Opuściła szczupłe metaliczne ramię, by poprawić nogawkę kombinezonu na metalicznej nodze. – Te burze są z całą pewnością napędzane w sposób sztuczny.

Był wczesny sobotni poranek, znajdowaliśmy się w Dowództwie, by zapoznać się ze scenariuszami narastającego zagrożenia ze strony cyklonów, które spychały Atopię na zachodnie wybrzeże Ameryki.

– Myślisz, że jest w to zaangażowana Terra Nova? – zapytał komandor Strong.

Czuć było od niego alkoholem. Jego relacje z żoną znów się pogorszyły.

– Nie jesteśmy pewni – odpowiedziała mandroid.

– A wiecie, skąd to się bierze? – rzucił niecierpliwie Strong, masując mostek

nosa i zamykając oczy.

Mandroid wzruszyła ramionami.

– Niczego nie możemy przesądzać, ale oba te układy burzowe są zbyt idealne.

– Jimmy, czy mógłbyś się tym dalej zająć? – zapytał komandor, odwracając głowę od mandroida. – Muszę coś załatwić w domu.

– Żaden problem – Już miał zamiar się przenieść, kiedy przypomniałem sobie o czymś. – Och, zapomniałbym! Mam dzisiaj randkę, mówiłem ci, pamiętasz?

Rick wypuścił powietrze.

– Z Susie, tak? Więc sprawy podążają w dobrą stronę.

Wzruszyłem ramionami. Rick miał, zdaje się, straszliwy ból głowy.

– Ale mogę ją odwołać.

– Nie, nie, nie odwołuj – westchnął. – Tego rodzaju problemy nie mogą przeszkadzać ci w normalnym życiu. Wiem, że zostawisz mi parę odłamków, jeśli będę cię potrzebował. Wrócę.

Z tymi słowy zniknął, a ja znów skoncentrowałem się na burzach i naszym mandroidalnym gościu. Nie zgadzała mi się tu więcej niż jedna sprawa.



Tego wieczoru spotykałem się z Susie po raz trzeci, a tym razem otrzymałem zaproszenie do jej prywatnego świata – zmysłowego, tajemniczego miejsca, w którym zawsze zachodziło słońce. Chciała wybrać się na spacer poza swoją enklawę, żeby pogawędzić, więc wędrowałem doliną pełną powykręcanych dębów i kwitnących wiśni, spoza których wyzierały fantastyczne ściany kanionu. Z wysokich, urwistych klifów spływały wodospady w chmurach wodnej mgiełki, a wszystko mieniło się srebrzyście i złoto.

Kiedy szliśmy, przestąpiła przez kępę żółtych orchidei tak ostrożnie, jakby omijała bawiące się dzieci. Leśna atmosfera była idealnie, syntetycznie ciepła pod niewyraźnym waniliowym niebem.

Jej długie płowe włosy opadały na plecy, spięte girlandą białych kwiatów nad zwiewną prześwitującą suknią. Wiatr zwiewał z drzew lśniące kwiaty wiśni i srebrzyste liście dębu, które spadały wokół nas jak płatki śniegu, za nami

iskrzyły się świetliki, kiedy przemierzaliśmy nieustannie zapadający zmrok.

– Jak się miewa Patricia? – zapytała. Wszyscy wiedzieli, co nas łączy.

– Wyzdrowieje. Lekarze mówią, że wróci jutro, najdalej pojutrze.

– To dobrze. – Uśmiechnęła się ciepło, ale uśmiech ten zaraz zniknął, przesłonięty chmurą zmartwień. – A te sztormy? Nic nam nie grozi, prawda? To chyba nic poważnego, skoro do mnie przyszedłeś.

Znów się uśmiechnęła – promyk słońca.

– Nie przejmuj się sztormami – uspokoilem ją. – Nie radziłbym nikomu wychodzić na powierzchnię, kiedy się pojawią, ale nic nam nie grozi.

– Dobrze po raz drugi – roześmiała się, a potem skrzywiła, jakby coś zakłuło ją w boku.

Coś się wydarzyło na świecie, jakaś katastrofa, która uruchomiła jej układ nerwowy. Miała idealnie nastrojoną sieć nerwobólów – i właśnie to mnie w niej pociągało.

Czekałem, po kilku chwilach klucie w boku zelżało.

– To nic. Mam takie...

– Wiem – przerwałem jej. – Nie musisz mi niczego tłumaczyć.

Ująłem ją za rękę, a ona znów się uśmiechnęła.

– A zatem, mój drogi panie, Willy mówi o panu w samych superlatywach.

Miałem na sobie biały mundur SOA i szedłem sztywno – zupełnie inaczej niż jej projekcja dziecka-kwiatu. Obróciła się przede mną, wyciągając rękę po wirujący w powietrzu kielich, a potem dygnęła przed mną i podała mi kwiatek.

– Więc czegoż może chcieć ode mnie oficer SOA? – roześmiała się.

– Potrzebuję twojej pomocy. Trudno mi to wyjaśnić.

– Potrzebujesz mojej pomocy? – zachichotała. – Myślałam, że to randka? – nadała się żartobliwie.

– Bo to jest randka. – Wbiłem wzrok w ziemię i odwróciłem głowę, udając zafrasowanego. – To znaczy, czuję, że jesteś kimś zupełnie wyjątkowym.

Odbiegła ode mnie tanecznym krokiem, przesuwając dłońmi po kwiatach.

– Sprawdziłam cię, panie Jimmy – roześmiała się, a potem przystanąła i spojrzała na mnie poważnie. – Ten incydent z insektami był nieco dziwny, nie sądzi pan?

Skrzywiłem się.

– Byłem dzieckiem. Nie potrafiłem uporać się z bólem – zacząłem wyjaśniać.
– I tak tego nie zrozumiesz. Jak mogłabyś to pojąć? Dorastałaś w kochającej się rodzinie.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Co masz na myśli, Jimmy?

Nie odpowiedziałem. Usiadłem na pieńku drzewa.

– Jimmy? – zwróciła się do mnie ponownie, tym razem łagodniej.

Podpowiedziałem projekcji mojej twarzy, że ma wyrażać smutek i ból.

– Przyjaciele mówią na mnie James.

Kiwnęła głową.

– Okay. Więc o co chodzi, James?

– Nigdy nikomu o tym nie mówiłem i nie wiem, czy chwila jest odpowiednia, by podzielić się tym z tobą. Czy możemy mówić na osobności?

– Oczywiście.

Ściągnąłem na nas migoczącą złościście zasłonę bezpieczeństwa i nabrałem powietrza w płuca.

– Moja matka, ona... – zająknąłem się, a w oku zalśniła mi łza.

Susie usiadła obok mnie. Ujęła mnie za rękę i ścisnęła. Czekwała.

Spojrzałem jej prosto w oczy.

– Będzie mi łatwiej, jeśli ci to pokażę.

Kiwnęła głową i oddała mi subiektywną kontrolę nad swoją podmiotowością.

W następnej chwili Susie i ja siedzieliśmy w kącie świata dla Źle Wychowanych, stworzonego przez moją matkę, żeby mnie karać. Przeżywaliśmy obrazy z mojego inVerse'u, z czasu kiedy miałem zaledwie dwa lata. Przed nami na środku pustego betonowego pomieszczenia siedziała na krześle moja matka. Trzymała mnie za rączkę i podnosiła do góry moje maleńkie dwuletnie ciało.

– To wszystko twoja wina! – plunęła mi twarz, z nabrzmiałymi na czole żyłami.

Kręciła pokrętłami psis, a potem włożyła we mnie rękę i wbiła głęboko w mój układ nerwowy syntetyczne pazury, drapiąc nimi przez całą długość receptorów bólu w moim ciele. Wyłem w męczarniach.

– Zamknij się, ty mały sukinsynu! Nikt cię tu nie usłyszy! Zamknij się! – ryczała na całe gardło. A ja wyłem i wyłem, moja fioletowa buzia wykrzywiła się w katuszach.

Susie, przerażona, objęła mnie ramieniem, do jej oczu napłynęły łzy.

– Wyłącz to, James, proszę!

Więc równie szybko wróciliśmy do lasu, gdzie wirowały wokół nas płatki wiśniowych kwiatów. Siedziałem na pieńku pośród głębokiej trawy i kołyszących się roślin.

Susie przytuliła mnie mocno i płakała.

– Tak mi przykro, James. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

Siedziałem niewzruszenie i pochyliłem się, by pocałować ją w czubek głowy.

– Matka to nie wszystko... – powiedziałem po chwili, pozwalając, by mój głos się nieco załamał.

– Co masz na myśli?

Odwróciłem głowę.

– Pokaż mi.

Skinąłem, chwyciłem jej pierwotną podmiotowość i zabrałem nas z powrotem, ukazując jej kolejną noc niemego krzyku mojego spoconego ciała – więzienia mego dziecięcego świata. Tata i ja właśnie wróciliśmy z połowów z delfinami, a matki nie było – pogрузzyła się w jednej z nigdy niekończących się mydlanych fantazji. Tata osłonił dom na noc zasłoną bezpieczeństwa i położył mnie do łóżka, a potem sam do niego wszedł, żeby mnie przytulić.

– Dobrze się dziś bawiłeś z Samantha i delfinami? – zapytał, przyciskając mnie mocno do siebie i odgarniając mi z twarzy kilka złocistych loków.

Kiwnąłem głową, a moje maleńkie serce łomotało coraz szybciej ze strachu.

– Tatusz trochę cię poprzytula, dobrze, Jimmy? – zapytał błagalnie. – Tatusz też czuje się czasem samotny.

Kiwałem głową, drżąc, czując na sobie jego dłonie w miejscach, których nie powinien dotykać. Kochałem tatę i czułem, że czegoś ode mnie chciał. Tego dnia był dla mnie bardzo miły i sprawił, że moje mroczne, ograniczone życie stało się radośniejsze.

Więc pozwalałem mu się dotykać, a sam ukryłem się w króliczej norce

w zakamarkach mojej piersi. Dotykał mnie wszędzie prawdziwymi dłońmi, fantomalnymi dłońmi, tulił całe moje ciało, zaspokajając się przy tym.

A ja kuliłem się gdzieś w głębinach z moimi wymaginanymi przyjaciółmi.

– Nie mów nikomu, jak tatuś cię tuli. To tajemnica. Jeśli jej dochowasz, będę cię zabierał do Samantha, żebyś mógł się z nią bawić, dobrze?

Więc ukrywałem się w środku i czekałem na jasne dni pływania w oceanie wśród rozprysków morskiej piany.

Wróciliśmy z powrotem do świata Susie, w którym ona znów płakała. Ja zresztą też.

Spojrzała mi w oczy.

– Powiemy o tym wszystkim, możemy ich ukarać. Mój biedaku...

– To niczego nie zmieni.

Pocałowała mnie, roniąc łzy.

– Ale ty możesz mi pomóc, Susie.

– Jak, James? Zrobię wszystko, żeby ci ulżyć.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

16

Tożsamość: Patricia Killiam

Potrzebowałam całych dwóch dni, żeby dojść do siebie, a w tym czasie świat, który już wcześniej wymykał się spod kontroli, pogrążył się w chaosie.

Umacnialiśmy Atopię przed nieuniknionym już zderzeniem z huraganami i omawialiśmy ewentualność ewakuacji w pełnej skali. Liczba niewyjaśnionych zniknięć ciągle rosła, a pośród tego wszystkiego odebrałam wiadomość, że żona Ricka popełniła coś w rodzaju odrzeczywistnionego samobójstwa.

Wyglądało na to, że nie była w stanie zakończyć życia symulaków. Nietrudno było się domyślić, co się stało. Odrzeczywistnione samobójstwo było nowym zjawiskiem, głęboko powiązaniem z tym, w jaki sposób psis wchodził w interakcje z naszym nieświadomym umysłem.

– Tak mi przykro, Rick. Czy zaszły jakieś zmiany?

Zażądałam awaryjnego spotkania z komandorem, bo zamknięto mi sieć komunikacyjną z Dowództwem. Nikt z Rady nie odpowiadał na moje wezwania.

– Trudno orzec... – odrzekł niepewnie. – To znaczy, wygląda dobrze. Wygląda jakby spała. Szkoda...

– Obwinianie siebie w niczym nie pomoże – stwierdziłam. – Przeniknęliśmy przez zasłony bezpieczeństwa, którymi zakryła światy, w których przebywała, zanim to się stało, ale znamy jeszcze pełnej wersji wypadków.

Rick otarł twarz wierzchem dłoni, wbijając wzrok w podłogę. Siedzieliśmy w moim gabinecie, którego ściany były wyłożone mahoniem. Wisiały na nich obrazy starych czteromasztowych żaglowców.

– Wiemy wystarczająco dużo, by pojąć, jak to było możliwe – odrzekł pustym

głosem. Jego nastrój uległ zmianie. – To twoja wina. To ty zalecałaś nam korzystanie z symulaków. – Wbił we mnie spojrzenie ciemnych oczu. – W ogóle nie masz pojęcia, co robisz, prawda?

Aż mnie odrzuciło. Był przecież zaprawionym w bojach żołnierzem.

– Nie sądzę, aby obarczanie kogoś winą przyniosło jakieś konstruktywne skutki w tym momencie.

Przecież nie kazałam im decydować się na te symulaki.

– Jesteśmy dla ciebie laboratoryjnymi szczurami, czy tak? – warknął gniewnie. – Wiem, na co pozwalacie ludziom z symulakami, sprawdziłem wszystko... To odrażające. Czuję do ciebie odrazę. – Dyszał spazmatycznie. – Nie masz najmniejszego pojęcia, jaką krzywdę wyrządzasz ludziom.

– Rick, jest mi bardzo przykro...

– Przykro to za mało. Czas na eksperymenty i testy dobiegł końca. – Wstał.

– Co to oznacza?

– Po pierwsze ucieczkę przed huraganami. Od tej pory przejmujemy kontrolę. Teraz to sprawa wojska. – Pokręcił głową, unikając moich oczu, i zniknął bez słowa, przenosząc się z mojego gabinetu do Dowództwa. Nie zostawił za sobą nawet odłamka z pożegnaniem.

Byłam zdruzgotana.

Huragany nadal ignorowały wszelkie prognozy, a nam brakowało miejsca, żeby przed nimi uciec. Było oczywiste, że coś albo ktoś kierował ich rozwojem, ale mimo naszych wysiłków – nasycania morza spyrcytami, odbywania niezliczonych lotów szpiegowskich przez drony i rzucania wszystkiego, co mieliśmy do dyspozycji, w celu rozwiązania problemu – nie potrafiliśmy zatrzymać burz ani pojąć, co się dokładnie dzieje.

Zazwyczaj dwa układy burzowe tej wielkości, znajdujące się na jednym obszarze oceanu, rozpraszają się nawzajem, ale te jakby pompowały się i powiększały.

Było mało prawdopodobne, aby udało im się zniszczyć rdzeń, nawet przy bezpośrednim uderzeniu, ale tego rodzaju założenia skazywały nas w gruncie rzeczy na uwięzienie na wyspie.

Teraz zrozumiałam, dlaczego odcięto mi łączność. Rick oficjalnie obejmował dowodzenie i wprowadzał stan wyjątkowy. Wszelka władza cywilna

przechodziła w ręce Dowództwa SOA.

– Marie, czy mogłabyś przysłać mi najświeższe doniesienia?

Wygładziłam zmarszczkę na spódnicy, starając się opanować. Marie podniosła głowę znad jakichś plików, które studiowała.

– Mamy coś w rodzaju przełomu – odpowiedziała. – Wysoka temperatura powierzchniowa została wywołana przez migrację kwitnących bruzdnic. Ktoś planował to od bardzo dawna.

Przekazała mi w odłampakach wszystkie zestawy danych, po czym mówiła dalej:

– Ktoś wysiał na powierzchni oceanu opiłki żelaza, by hodować na nich poddany obróbce bioinżynieryjnej plankton. Teraz kieruje wielkimi rojami tego planktonu, wysysając energię z jednej części oceanu i przenosząc ją na inną.

– Czy nie możemy tego powstrzymać? Czy nie możemy się dowiedzieć, kto to robi?

Pokręciła głową.

– Widzimy, co się dzieje, ale nic ponadto.

– Czy Sintil8 zdołał się czegoś dowiedzieć?

– Okazał się pomocny – odpowiedziała, kiwając głową. – To, z czym mamy do czynienia, może być nową bronią z arsenału wojen klimatycznych.

Wojna prowadzona za pomocą sterowanych cyklonów rzeczywiście otworzy nowy rozdział w księdze konfliktów na kuli ziemskiej, choć rzecz jasna pogoda zawsze była decydującym czynnikiem podczas wojen.

Pięćset lat wcześniej brytyjskie zwycięstwo nad hiszpańską Armadą wzięło się nie tyle z geniuszu sir Francisa Drake’a, ile z tygodnia niesprzyjających wiatrów, które wbiły Armadę w francuski brzeg Kanału La Manche. Wiatr nie pozwolił Hiszpanom wypłynąć na morze, dając Anglikom szansę użycia podpalonych branderów, które zniszczyły flotę bezradnych Hiszpanów, zanim ta zdążyła zaatakować.

Kłęska Armady powstrzymała lądową inwazję Habsburgów, których siły były gotowe do przerzutu z Niderlandów. Kierunek wiatru przez pięć krótkich dni zadecydował o losie kolejnych pięciuset lat globalnej geopolityki, a nawet o uczynieniu z Ameryki supermocarstwa. To, z czym mieliśmy obecnie do

czynienia, nie było bryzą wiejącą w złą stronę.

– Nie możemy użyć broni przeciwko kwitnącym mikroorganizmom ani huraganom – dodała Marie. – Musimy trzymać się od nich jak najdalej, o ile to będzie możliwe. Jeśli chcesz poznać kolejne szczegóły, będziesz musiała porozmawiać z Jimmym.

To może być trudne, zważywszy na stan, w jaki znajdował się Rick.

– A może z Bobem? – zaproponowałam, zastanawiając się nad korzyściami płynącymi ze świeżego spojrzenia na sprawy. Odcięto mi łączność z Dowództwem, ale na Atopii było wielu innych ludzi zdolnych do przedstawienia dodatkowego punktu widzenia. – Bob ma duże doświadczenie w sterowaniu planktonem, o którym wspomniałaś. Może porozmawiasz z nim?

Marie kiwnęła głową, ale nie odeszła.

– Co?

– To dziwne – odpowiedziała. – Owszem, widzimy, jak to robią, ale nie zgadza nam się liczebność. Odkrytego przez nas planktonu jest za mało, żeby wytworzyć tak skrajne warunki pogodowe.

Nie zrozumiałam.

– Czy mogłabyś wyrażać się jaśniej?

– To nie trzyma się kupy. – Tylko tyle zdołała powiedzieć, kręcąc głową.

– Z całą pewnością.

Zbyt wiele rzeczy wymagało wyjaśnienia, nagromadziło się za dużo niepowiązanych ze sobą wątków, a Rick miał rację – nie do końca wiedzieliśmy, co robimy. Miałam zamiar zatrzymać ten rozpędzony pociąg towarowy, nawet ryzykując wszystkim.

– Spróbuję porozmawiać z Jimmym.

Wysłałam mu sygnał alarmowy na kanale osobistym poza siecią Dowództwa. Ku memu zaskoczeniu od razu odebrał wiadomość, a gabinet zniknął, gdy moja pierwotna podmiotowość przeniosła się do prywatnej przestrzeni deprivacyjnej, otoczonej grubą zasłoną bezpieczeństwa. Kanał komunikacyjny Jimmy'ego był dla mnie otwarty, ale on sam nie pojawił się tutaj.

– Jimmy! – zawołałam nerwowo w pustkę. – Co możesz mi powiedzieć?

17

Tożsamość: Jimmy Scadden

Ukryłem Patricię starannie w anonimowej zasłonie bezpieczeństwa. Rick nie byłby uszczęśliwiony, gdyby się dowiedział, że rozmawiam z nią właśnie teraz.

– Wszystko jest pod kontrolą Dowództwa – odparłem. – Przygotowania do stanu wyjątkowego to tylko środek ostrożności, a pozbycie się turystów wydaje się sensowym krokiem.

– Nie przeczę. Ale chodzi mi o to, czy wiecie, kto to robi?

– Czy to nie oczywiste?

Lista podejrzanych była dosyć krótka.

Zaczerpnęła powietrza.

– Naprawdę uważasz, że to Terra Nova? Masz jakiś dowód?

– Nie – przyznałem. – Ale kto inny mógłby to zrobić?

Wszyscy wiedzieli, że Terra Nova chce spowolnić rozwój programu psis, by wprowadzić na rynek własny produkt. Dochody byłyby ogromne.

– Potrzebujemy dowodu. To nie ma sensu. Ryzyko przeprowadzenia takiej ofensywy daleko przekracza potencjalne zyski. Chcę, żebyś się dowiedział, co się dzieje.

– Zajmuję się tym – odpowiedziałem z lekkim poirytowaniem.

– I miej na oku Ricka. Wyłączył mi łączność.

To zaczynało być dokuczliwe.

– Spróbuję, Patricio, obiecuję.

– Kocham cię, Jimmy. Dbaj o siebie, okay?

– Zadbam – rzuciłem. Wyglądała na zranioną. – To na razie.

Zamknąłem kanał. Wiedziała, jak bardzo jestem zajęty.

Trudno mi było skoncentrować się na tym, czego ode mnie oczekiwała, bo miałem umysł w odłamkach. Wraz z Samsonem przeczesywaliśmy wielowszechświat, usiłując się dowiedzieć, w jaki sposób ktoś wziął sobie Atopię na cel zupełnie bez naszej wiedzy.

Patricia miała rację co do jednego – należało mieć Ricka na oku. Choć ogłosił się dowódcą, niewiele było z niego pożytku. Wiem, że jego żona cierpiała na depresję. Wszyscy mu współczuliśmy, ale to odrzeczywistnione samobójstwo nadało sprawom nowy, niepokojący bieg.

Mimo wszystko, rozumiałem go.



Moja matka, oprócz tego, że była pijaczką, stała się beznadziejną ćpunką mydlanych oper. Brak zainteresowania własnym życiem i przyklejanie się do życia innych to jedno, ale matka nie była w stanie zrobić nawet tego. Jej ulubionym sposobem spędzania czasu było wskakiwanie do syntetycznych mydlanych oper – nieskończonego wszechświata autonomicznie generujących się i obrzydliwie farsowych światów dramatycznych romansów.

Matka nie zadała sobie nawet trudu wyzbycia się własnego życia i przeżywania doświadczeń innych – pozbyła się życia na rzecz pustych, pozbawionych duszy symulacji. Był to jej świat gier, lecz zamiast stawiać czoło jakimś wyzwaniom, odbierała go pasywnie, a opery informowały ją, że „jej były mąż wcale nie umarł, ale znajdował się w śpiączce przez dwadzieścia lat, a obecnie zakochał się w chłopaku jej przyrodniej siostry” czy zrobił coś równie bezsensownego.

Życie w pasywnym świecie fantazji sprawiało, że jej powroty do rzeczywistości bywały bardzo bolesne. Spędzała w operach tyle czasu, że jej mózg tracił łączność z własnym fizycznym ciałem, więc kiedy wracała, musiała korzystać z pomocy prokury, Yolandy, żeby się w ogóle poruszać czy komunikować swoje zamiary. Poruszała się wtedy w sposób spastyczny, niekontrolowany, co tylko napędzało jej nieustanną frustrację.

– Ty mała gnido! – wrzeszczała na mnie, wracając po długiej sesji do swojego

ciała i wypijając kilka drinków na ukojenie nerwów. Matka nie znała się za bardzo na technice, ale była ekspertem od wykorzystywania zasłon bezpieczeństwa, które chroniły to, co robiła ze mną, przed postronnymi.

– To wszystko twoja wina! – bełkotała. – Obleśny sukinsynu.

Jako rodzic miała pełen dostęp do mojego psis, a ja nie mogłem jej zablokować, póki sam nie uzyskałem pełnej kontroli. Kiedy miała najgorszy nastrój, podkreślała moje receptory bólu i wsadzała łapy w mój układ nerwowy, żeby go wirtualnie ścisnąć, szczypać czy ciągnąć. To nie zostawiało żadnych śladów na moim ciele, ale było straszliwie bolesne, więc piszcziałem i wyłem w prywatnym świecie dla Źle Wychowanych, który stworzyła, żeby mnie karać i dręczyć. Już jako szkrab nauczyłem się ukrywać w najgłębszych szczelinach systemu psis, w jego najciemniejszych zakamarkach – z dala od wszystkiego. Powoli odnajdowałem obejścia blokad i klatek, w których zamykała mnie matka, wymykałem się kontroli psis, byle tylko się ukryć. Towarzyszył mi Samson i wszyscy przyjaciele, których stworzyliśmy, żeby chowali się z nami.

Nurkowałem głęboko, najgłębiej, w najmniej widoczne szczeliny mojego ciała, próbując ukryć świadomość w submolekularnych szparach między piekącymi z bólu, wrzeszczącymi z cierpienia neuronami, kiedy mnie torturowała, zatapiając wirtualne pazury w receptory bólu za zbrodnie, których nie popełniłem.

Nigdy nie wiedziałem, na czym polegały moje winy, ale zakładałem, że jestem bardzo złym dzieckiem. Samson siedział obok mnie i wpatrywał się z odrętwieniem w jej tortury.

Uczące boty i nauczyciele w akademii zauważyli, że pozostaję w tyle za innymi dziećmi, ale doszli do wniosku, że jestem zwyczajnie ociężały. W swojej dobrodusznej naiwności uznali, że potrzebuję większej troski rodziców.

– Gretchen – tłumaczyła pani Parnassus podczas wywiadówki po pierwszym roku w akademii. – Przypuszczam, że powinnaś ograniczyć jego dostęp do świata gier. Jest rozkojarzony i mam wrażenie, że przez cały czas chce być zupełnie gdzie indziej.

– Spróbuję – zgodziła się z tą opinią matka, zresztą całkiem szczerze, bo bez przerwy próbowała odciąć mnie od wszystkiego i wszystkich.

– Spróbuję znaleźć czas na powtarzanie z nim lekcji, kiedy tylko będę mogła
– dodała ze słodkim uśmiechem krokodyla. – Ale wie pani, jak to jest. Masa przy nim roboty.

Pani Parnassus uśmiechnęła się łagodnie do nas obojga.

– Co powiesz, Jimmy? – matka zwróciła się do mnie, błyskając zębami. – Nie chcesz być Źle Wychowany, prawda?

Siedziałem przy niej przerażony jak skorupa ukryta w skorupie. Bałem się zrobić cokolwiek, co mogłoby ją zdenerwować, i rozpaczliwie nie chciałem trafić do świata dla Źle Wychowanych. Pokręciłem głową i uśmiechnąłem się odważnie, łykając łzy.

– Jest bystrym chłopcem – powiedziała pani Parnassus. – Ma bardzo wysokie oceny w systemie gier, ale nie umie nawiązywać kontaktów.

Nigdy nie szło mi dobrze z innymi dziećmi na szkolnym dziedzińcu – portalu edukacyjnym zawieszonym w połowie drogi między światem rzeczywistym a rozszerzonym, gdzie bawiły się dzieci psis. Byłem bardzo nieśmiały i zazwyczaj bawiłem się sam, choć Bob i Sid wciągali mnie czasem do gry w tagowanego berka z resztą dzieciarni. Nie mogąc uciec do moich własnych światów, zamknięty na szkolnym dziedzińcu, nie potrafiłem należycie się skupić.

– I jest jak małe diablątko, nie można spuścić go z oczu – dodała pani Parnassus. – Wyślizguje się z rąk jak piskorz, kiedy tylko może!

– To prawda – zgodziła się matka, kiwając głową. – Tak właśnie robi.

– I zawsze myśli o niebieskich migdałach – ciągnęła pani Parnassus. – Koncentracja przychodzi mu z wielkim trudem.

– Och, zawsze taki był, co nie, Jimmy?

Matka zmierzwiła mi włosy. Byłem przerażony.

– Czy są jakieś rzeczy, które robicie razem? Jakieś zabawy?

– Och, Jimmy bawi się razem z tatusiem, co nie, Jimmy? – roześmiała się okrutnie matka.

– To dobrze – ucieszyła się pani Parnassus. – A czy jest coś, co szczególnie interesuje go w tych wspólnych zabawach?

– Ten mały łobuz świetnie gra w chowanego. – Matka zmarszczyła nosek, ukazując zęby.

- W chowanego?

- Coś w tym rodzaju.

Mówiła prawdę, kłamiąc. Jeśli rzeczywiście byłem w czymś dobry, to na pewno w grze w chowanego.

Byłem mistrzem w chowaniu się na widoku.

18

Tożsamość: Patricia Killiam

Ze wszystkich iluzji wykorzystywanych przez umysł do podpierania własnych efemerycznych ram, czas miał najwięcej sprzeczności: był niepodważalny, a jednocześnie najbardziej nieuchwytny. Strzałka czasu przypominała ślizgawkę w dół pagórka entropii, gdy wszechświat zmierzał ku swemu wielkiemu finałowi nieuporządkowania. U końca entropii był koniec zmian, a zatem i koniec czasu, a ja najwyraźniej także przestałam się zmieniać.

– Przykro mi, Patricio – powiedział mój lekarz. Byliśmy bezcieleśni, pływaliśmy w czarnej przestrzeni między milionami rozjarzonych kropek, które pędziły w tę i z powrotem, rozprzestrzeniając się poprzez rdzeń podstawowego zwoju mojego mózgu.

Badaliśmy z doktorem ten właśnie mózg.

– Nic więcej nie da się zrobić?

– Nie przy tej technologii, którą dysponujemy. Obawiam się, że idzie ku gorszemu – tłumaczył. – Są co prawda pewne terapie eksperymentalne, ale niczego nie mogę obiecać.

Przyglądając się roztańczonym kropkom światła, usiłowałam w pełni pojąć fakt, że oglądam siebie od środka.

Doktor nie potrafił wyjaśnić mi, co się dzieje, ale podejrzewałam, że wiem, o co chodzi. Jeśli się nie myliłam, nie byłam pewna, czy chcę to zatrzymać.

– Proszę robić, co pan tylko może. – To prawdopodobnie złudzenie, ale czas uparcie kończył się dla tych, którzy doświadczali jego wpływu. – Potrzebuję tylko trochę więcej czasu.

– Jak my wszyscy – odrzekł doktor, przyglądając się neonowemu pulsowaniu

mojego rozedrganego układu nerwowego. – Jak my wszyscy.



Wisząc na krawędzi kosmosu, mieliśmy pod sobą dwa łączące się huragany obracające się złowrogo w trzech wymiarach. Niemal całe Dowództwo i Bezpieczeństwo przyglądało się cyklonom podczas tej symulacji. Ich nasilenie wychodziło już poza Kategorię 4 – były jak dwa młyńskie koła, które mogły przygwoździć Atopię do wybrzeża i zmiażdżyć ją tam.

Nieustannie przybierały na sile, więc było już całkiem oczywiste, że poniesiemy jakieś szkody – jedynie pytanie brzmiało: jak duże? Turyści opuścili wyspę pasażerską lukstorpędą, ale nie dałoby się ewakuować wszystkich mieszkańców Atopii, gdyby doszło do najgorszego.

Co dziwne, żaden z Atopijczyków nie chciał opuścić wyspy.

Wszyscy patrzyli na mnie. Byłam co prawda odcięta od Dowodzenia, ale nadal zasiadałam w radzie dyrektorów Cognixa. Miałam prawo być tutaj.

– Przy tej szybkości ścinają już lasy alg – powiedziałam. – Bez względu na to, w którą skręca stronę, stracimy większość upraw.

To miało poważne implikacje. Lasy alg były podstawą naszego ekosystemu. Zwracanie się do Ameryki po pomoc żywnościową dla ponad miliona mieszkańców wyspy nie wchodziło w grę.

Kalifornia po raz ostatni przeżyła uderzenie huraganu ponad sto lat temu, kiedy w roku 1939 cyklon wbił się w Los Angeles. Tym razem będą to dwa naraz, w dodatku o o wiele większej sile. Jakby tego było mało, tropikalny sztorm John, który uznano za zakończony przed kilkoma tygodniami, jakimś cudem odzyskał siły i zmienił kierunek. Zmierzał naszą stronę.

– Ktokolwiek za to odpowiada, poniesie srogą karę za ten zbrodniczy czyn, za wypowiedzenie wojny! – warknął Kesselring, wskazując oskarżycielsko palcem oba układy burzowe. – To musi być Terra Nova!

– Nie wiemy tego na pewno – zauważyłam, ale nie to chciał słuchać.

– Nie wiemy na pewno? A czy są jacyś inni podejrzani? – wściekał się Kesselring. – Poddany obróbce bioinżynieryjnej organizm został rozsiany po

dwóch oceanach, żeby wysysać po cichu całą energię słoneczną i pływać dalej, pompując ją w sterowane układy sztormowe. Kto mógłby się dopuścić czegoś takiego?

– Teraz podstawową kwestią jest przetrwanie – odezwał się Jimmy, żeby odwrócić uwagę Kesselringa. – Mamy już systemy wczesnego ostrzegania, by coś takiego nie powtórzyło się ponownie, ale w tej chwili musimy skoncentrować się na czymś innym.

Kesselring odprężył się, słuchając Jimmy'ego.

– Jak wygląda najgorszy scenariusz?

Już chciałam otworzyć usta, ale Jimmy powstrzymał mnie gestem.

– W najgorszym razie zostaniemy zepchnięci na szelf kontynentalny na południe od Los Angeles. Oznacza to poważne szkody w siedzibach mieszkalnych na powierzchni wyspy, ale podstawowa struktura wytrzyma uderzenie sztormu.

Pokręciłam głową.

– Nie, najgorszy scenariusz wygląda tak, że huragany wyjdą poza Kategorię 5 i zmiążdżą nas. Nasze systemy danych zostaną odłączone od sieci. Rdzeń reaktora powinien pozostać stabilny, więc wątpię, żebyśmy utonęli.

– Powinien pozostać stabilny! Wątpisz, czy nie utoniemy! – wściekał się Kesselring. – Więc najlepsze, co może nam się przydarzyć, to znalezienie się na mieliźnie na amerykańskich wodach terytorialnych?

– Czy nie powinniśmy opóźnić wejścia na rynek? – zapytałam ostrożnie.

– Nie – odrzekł Jimmy, co sprawiło, że uniosło się kilka brwi.

Skierowałam pytanie do Kesselringa.

– Świat nadal uważa, że panujemy nad sytuacją – ciągnął Jimmy. – Szeroka publiczność nie wierzy, by Atopii groziło jakieś niebezpieczeństwo, mimo tych huraganów, więc wejście na rynek zgodnie z planem nie powinno być zagrożone. Jeśli opóźnimy premierę, otworzymy puszkę Pandory, a kto wie, co ma w zanadrzu Terra Nova.

– Dokładnie! Nie mamy pojęcia, co jeszcze szykuje ten, kto to wywołał – argumentowałam. – Musimy opóźnić premierę.

– Jeszcze o tym nie decydujemy – odpowiedział spokojnie Jimmy. – Dajcie mi sześć godzin na powołanie zespołu awaryjnego. Znajdę wyjście z tej sytuacji.

– Popieram Jima – włączył się Granger, zerkając na Kesselringa.

Jimmy spojrział w oczy każdemu ze zgromadzonych członków Rady. Każdy z nich kiwnął głową. Jako ostatni zrobił to Kesselring.



Po zakończeniu spotkania Rady Bezpieczeństwa zmaterializowałam się na powrót w gabinecie pod bardzo szczelną zasłoną. Marie już na mnie czekała.

– Wygląda na to, że przyjdzie nam przeżyć raz jeszcze przeszłość – oznajmiła po moim przybyciu. – Atopia, miasto-wyspa, pełna zaczarowanych zwierząt i ludzi, zniknie pod falami, a legenda stopi się z legendą.

Masowałam skronie.

– Musimy zwolnić.

Nasze prognozy uległy destabilizacji. Wszyscy postanowili kontynuować program, mimo narastającego zagrożenia. To przelało czarę goryczy i zmusiło mnie do jednostronnych akcji. Sprawy wymykały się spod kontroli. Musiałam działać sama.

– Daj Sintilowi8 nasz klucz uwierzytelniający, żeby rozpoczął inicjację. – poinstruowałam Marie. Program psis ucierpi na tym na krótką metę, ale należało to zrobić. – Czy ustaliłaś termin spotkania z przedstawicielami Terra Nova?

Nadszedł czas, by wyłożyć karty na stół – z korzyścią dla wszystkich.

Marie kiwnęła głową. Jeśli prokura może się denerwować, to tak właśnie wyglądała Marie.

– Dotrzemy do sedna tego wszystkiego – zapewniłam ją. – Muszę porozmawiać z Jimmym.

Wysłałam mu pilną wiadomość, żeby pojawił się w moim gabinecie w pierwotnej podmiotowości, a Marie zniknęła. Usiadłam wygodniej w fotelu, usiłując wymyślić właściwy sposób na poruszenie tematu nowego niepokojącego odkrycia, którego dokonała Marie.

Kilka chwil później Jimmy pojawił się na jednym z krzeseł dla gości. Wyglądał na poirytowanego. To był nowy Jimmy, twardy, nieprzenikniony, a ja

znów poczułam przy nim dyskomfort.

– Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia – oznajmił. – Czy wydarzyło się coś ważnego?

Zapatrzyłam się w sufit, a potem opuściłam wzrok ku Jimmy'emu, przyglądając mu się uważnie.

– Usiłowałam ustalić miejsce pobytu twoich rodziców, ale nigdzie ich nie ma.

– Nie mam pojęcia, gdzie są. A mówiąc całkiem szczerze, mało mnie to obchodzi.

– Nie masz pojęcia?

Podczas spotkania Rady postawiłam wszystko na jedną kartę i kazałam zainstalować w chmurze sprytocytów inwazyjne próbniaki psis, żeby przekonać się, czy ludzie, z którymi współpracowałam, mówią prawdę. Teraz próbniaki poinformowały mnie, że Jimmy nie kłamie.

– Słyszałam, że wrócili do Luizjany. Wysłałaś tam jakieś boty?

– Tak. Próbowałam wszystkiego, co tylko można, żeby ich zlokalizować.

Twarz Jimmy'ego pociemniała.

– To tak jak z delfinami, pamiętasz, Patricio?

Skąd mu się to wzięło?

– O czym ty mówisz? – zapytałam. – Z jakimi delfinami?

Przed laty doszło do niewyjaśnionego incydentu z naruszeniem bezpieczeństwa, który okazał się początkiem końca cywilizowanych relacji z Terra Nova. Jednym z rezultatów incydentu było cofnięcie pozwolenia na pracę naszym wykształconym przyjaciom delfinom. Musieliśmy je odesłać z powrotem na Terra Nova. Wcale im to nie przeszkadzało, były szczęśliwe i zdrowe. Kilka lat temu, podczas wyprawy na Terra Nova, odwiedziłam nawet te przepiękne stworzenia.

Widząc wściekłe spojrzenie Jimmy'ego, domyśliłam się, że stało się coś strasznego.

19

Tożsamość: Jimmy Scadden

Wytrzymałem spojrzenie Patricii, czując wzbierający gniew.

Nie mam na to czasu.

– Nie wiem, gdzie są moi rodzice – odpowiedziałem, zamykając sprawę.

Nie utrzymywaliśmy ze sobą kontaktów po ich wyjeździe z Atopii, a mówiąc ściślej, po tym, jak mnie porzucili. Miałem wtedy zaledwie czternaście lat, ale znalazłem się już pod skrzydłami Patricii. Po ich nagłym wyjeździe zjawiała się niczym anioł stróż i zabrała ze sobą.

Nie czułem się dobrze z własnym zniecierpliwieniem Patricią, ale ostatecznie, kiedy odkryłem jej hipokryzję, bardzo mnie irytowała. Jej lojalność dla sprawy, jej własnej sprawy, stała się tak niewyczuwalna jak iluzje psis.

Z drugiej strony, gdyby nie ona, nie byłoby mnie tam, gdzie się znalazłem.

Pamiętam chwilę, kiedy po raz pierwszy pojawiła się w moim życiu. Niemal bezwiednie jeden z moich odłamków powędrował do inVerse'u, żeby doświadczyć na nowo tej chwili, a może wręcz odbudować rozpadającą się więź z Patricią.



Tuż po moich czwartych urodzinach Patricia wpadła w odwiedziny do rodziców. Nancy Killiam i ja byliśmy dalekim kuzynostwem, ale po naszej stronie rodziny pasły się same czarne owce. Kiedy planowano stworzenie

Atopii, Patricia ujrzała w tym szansę na sprowadzenie nas z powrotem do stada i wspaniałomyślnie zaproponowała rodzicom, żeby przyłączyli się do projektu.

Nie wszystko poszło tak, jak wymarzyła sobie moja rodzina, a przynajmniej matka. Wydawało się jej, że wybieramy się na przejażdżkę Drogą Dla Wybranych. Ciasna trzypokojowa cela niemal przy samym dnie atopijnych drapaczy morza, setki stóp pod powierzchnią wody, nie spełniła jej oczekiwań.

Odwiedziny Patricii tamtego dnia były niespodziewane i niewygodne.

– Śledzimy postępy Jima – powiedziała, przyjmując od Yolandy filiżankę gorącej kawy. – Ma zdumiewające talenty.

Matka skrzywiła się.

– Jesteś pewna, że mówisz o naszym Jimmym? Ten mały śmierdziel jest dobry tylko w chowaniu się przed mamusią, co nie, Jimmy?

Patricia spojrzała badawczo na matkę i uśmiechnęła się.

– Jest rzeczywiście bardzo dobry w chowaniu się i omijaniu przeszkód. Zdołał przedostać się przez niektóre z naszych najciaśniejszych zapór bezpieczeństwa jak mała rybka przez oka sieci.

– Och, ty moja mała rybko! – wykrzyknęła matka, przyciskając mnie do siebie, by dać pokaz matczynego ciepła. Odsuwałem się od niej jak płochliwy szczeniak.

– Ale to nie wszystko.

– Mam nadzieję, że nic nie przeszkrobał.

– Podczas ostatnich badań lekarskich okazało się, że jego wskaźniki nocyceptywne, odpowiedzialne za ból receptorowy, wykazują bardzo wzmożoną nadwrażliwość. Chcemy dodać strumień jego danych fizjologicznych do sieci monitorującej zachowanie każdego dziecka. Czy macie coś przeciwko temu?

– Jakie wskaźniki?

– Wskaźniki nocyceptywne, badające sieć neuronową receptorów bólu.

– I co w nich nie tak?

– Jak już wspomniałam, wykazują nadwrażliwość. Jimmy nie skarży się na jakieś bolesne dolegliwości?

– Oczywiście, że nie, prawda, Jimmy? – Uśmiechnęła się do mnie złowrogo.

Pokręciłem głową z szeroko otwartymi oczami.

– Więc możemy go dodać do systemu monitorującego?

Cisza.

– Patricio, rozmawialiśmy o tym tysiące razy z personelem Domu Salomona. Mamy prawo do prywatności – zadeklarowała teatralnie matka. – Jestem szczęśliwa, że się tu znaleźliśmy, ale są pewne granice!

Mimo swej obłudy, miała trochę racji. Patricia sama wysmażyła surowe zabezpieczenia i reguły chroniące prywatność i wbudowała je w fundamenty praw oraz systemów rządzących całym psis. Jednostki i rodziny miały absolutne prawo do prywatności, o ile nie zachodziło podejrzenie, że dzieje się coś niedopuszczalnego.

– Czy z Jimmym jest coś nie tak? – zapytała matka. – Czy jest niezdrów?

Patricia westchnęła.

– Jest całkiem zdrowy. Jego umysł jest nieco rozkojarzony i pojawiła się ta dosyć niezwykła nadwrażliwość neurologiczna, ale pod względem fizycznym wszystko jest w idealnym porządku.

– A zatem...

Patricia zastanawiała się przez chwilę, a potem wstała i przeszła na naszą stronę stołu. Usiadła na sofie obok nas i objęła mnie ramieniem, patrząc na moją matkę.

– Czy mogłabym wziąć bardziej aktywny udział w procesie rozwojowym Jima? Jako jego nauczycielka, jeśli wiesz, co mam na myśli. Nie mam zamiaru, rzecz jasna, ingerować w twoją rolę jako jego matki.

Matka przyglądała się jej podejrzliwie, rozważając całą tę sytuację.

– To byłby dla nas zaszczyt, oczywiście – odpowiedziała po chwili. – Co nie, Jimmy?

To nie było pytanie, ale stwierdzenie.

Siedziałem jak oniemiały między nimi dwiema, nie mogąc wykrztusić słowa, kuląc się w sobie, gdyż byłem pewien, że Patricia stanie się odpowiedzialna za jakieś nowe okropieństwa w moim krótkim życiu. Bojąc się tego, co mnie czeka, zapadałem się coraz głębiej i głębiej, budując wokół siebie skorupę.

Kiedy się pożegnały, wstałem i wymknąłem się, żeby się ukryć przed matką – wsunąć się w maleńkie światy wewnątrz maleńkich światów, gdzie szukałem

schronienia. Matka szybko ruszyła w pościg, odnajdując mnie w końcu w Małym Wielkim Małym, za polami lśniących żelków, pod wodogrzmotem, którego biały sensoryczny szum często zapewniał mi bezpieczeństwo.

– Wiem, że tu się ukrywasz, mała gnido – powiedziała głosem pełnym jadu. – Nie myśl sobie, że nie wiem, dokąd chodzisz.

Nienawiść wykrzywiała jej twarz, jej skóra łuszczyła się czerwonymi, szkarłatnymi płatami, a dłonie zamieniły się w straszliwe pazury, którymi mnie chwyciła i rozdzierała. Naciągnęła na nas szczelną zasłonę bezpieczeństwa i ścisnęła mnie tak mocno, że myślałem, że pęknę.

Wiłem się i skomlałem.

– Ani słowa cioci Patty, ty mała gnido, rozumiesz? Jeśli piśniesz komuś choćby słówko, powiem wszystkim, co wyprawiacie z ojcem. Chcesz tego?

Roześmiała się, ukazując przerażające kły.

– Nie, mamusiu – jęknąłem. – Nie pisnę nikomu ani słowa.

Rozpłakałem się.

– Beksalala. – Matka wskazała pazurami fioletowe ściany kanionu. – Nic z tego nie jest prawdziwe.

A potem zniknęła, opuszczając Małe Wielkie Małe, by zakopać się w kolejnej mydlanej fantazji i uciec przed własnym bólem.

Ojciec musiał się domyślić, że coś się dzieje, bo pojawił się tuż po odejściu matki – blady i zdruzgotany.

– Nie mów nikomu o mnie i o tobie, Jimmy. To tajemnica, wiesz? Wsadziliby mnie na te farmy, gdybyś komuś powiedział, Jimmy. Chcesz, żeby twój tatuś został psombie?

Pokręciłem głową.

– Nie, tatusiu, nikomu nie powiem.

Samson, który milczał przez cały czas, wyłonił się z kryjówki pod wodogrzmotem, i usiedliśmy razem, trzymając się za ręce. Tata zostawił nas bez słowa.

Moja fascynacja bólem zaczęła się bardzo wcześnie. Czasem wygrywaliśmy na loterii przepustkę na górę. Doskonale pamiętam tamte dni, te rzadkie chwile, kiedy mogliśmy oddychać świeżym powietrzem na górnym pokładzie wyspy. Kiedy rodzice opalali się na plaży, ja trzymałem się blisko krawędzi

palm.

Na brzegu ciemnego lasu przyzywałem do siebie małe stworzonka. Chwytałem je ostrożnie, po czym wnikałem w nie, żeby czuć ich wijący się ból, kiedy wyrywałem im nóżki jedną po drugiej. Gdy pozbawiłem je odnóży, ściskałem je coraz mocniej pulchnymi palcami, wnikałem w nie jeszcze głębiej, by czuć ich męczarnię podczas miażdżenia korpusów.

Ich cierpienie pomagało mi oczyścić się z bólu.

I nawet to polubiłem.

20

Tożsamość: Bobby Baxter

– Sid! – wrzasnąłem w nasze prywatne kanały awaryjne.

– Jezu, Bob, o co chodzi? – odpowiedział, kiedy jego rzeczywistość stąpała się z moją.

Widziałem Sida przy pracy, był pochłonięty szaleństwem przekopywania się przez dane, przeszukiwania ryz światów wielowszechświata. Mimo zagrożenia huraganami, nadal polował na ciało Willy’ego, a tuziny fantomalnych dłoni tańczyły w hiperkontrolnej przestrzeni wokół niego.

– Jak będziesz się za długo bawił fantomami, wyrosną ci na nich włosy – pozwoliłem sobie na żart, przyglądając się, jak obaj z Viciousem odprawiają to swoje hokus-pokus.

– Żadnej Nagrzanej Kurki w tym tygodniu, koleś, mam już dosyć. – Pokazali mi kilka palców. Co nie przeszkadzało reszcie wirować jeszcze bardziej.

– Więc co cię tak przypiliło? – zapytał w końcu Sid.

– Potrzebna mi twoja pomoc, żeby zinfiltrować sieci Cognixa.

To od razu ich zatrzymało. Sid spojrzał na mnie i uśmiechnął się kątem ust, a wszystkie fantomy opadły na ziemię.

– Zbieramy na nowo zespół – ciągnąłem.

– Jimmy’ego też chcesz wziąć? – zapytał Sid. Za jego plecami Vicious kręcił energicznie głową.

– Myślę, że Jimmy opuści tę próbę. – Jimmy miał więcej pieczeni do upieczenia, a jego obecność sprawiała, że czułem się nieswojo. – Ale mam zamiar wysłać mu wiadomość i poinformować, że prowadzimy własne śledztwo. Dzięki temu nie narobi rabanu, kiedy przeskanujemy granice. –

Zastanowiłem się nad tym jeszcze przez sekundę. – Chcę, żeby wiedział, co robimy.

– Jasne – mruknął Vicious. – Tylko nie mów mu za dużo.

Z tym nie było problemu. O niczym nie miałem pojęcia.

– Myślę, że przydałby się nam do tego Vince – dodał Sid.

Kiwnąłem głową i wysłałem wiadomość do Jimmy'ego, przynosząc moją pierwotną podmiotowość w szczelny, bezpieczny kanał, który dla mnie otworzył. Ujrzałem przed sobą nieduży, nieskazitelnie czysty i biały pokój; siedziałem przy białym stole przesłuchań. Jimmy złożył ręce na stole i spojrzał mi prosto w oczy.

– Znaleźliście już Wally'ego? – Uśmiechnął się lekko. – Co u ciebie? Nie surfujesz dziś?

21

Tożsamość: Jimmy Scadden

– Nie – odpowiedział Bob. – Nawet ja nie dałbym sobie rady z tym, co się tam dzieje.

Huragany połączyły się. Wichura wyrywała drzewa, a gniewny ocean łomotał bezlitośnie o plażę. Dostęp na powierzchnię zostanie wkrótce zablokowany, kiedy tylko skończymy chować wszystko i wszystkich pod pokładem.

To było niewiarygodne, ale sztormy przybierały na sile. Kiedy zbliżały się do wybrzeża i do siebie, ich nasilenie wzmagало się wbrew prawom fizyki, wychodziły już poza Kategorię 5, zmierzając ku czemuś przerażająco nieznanemu.

Znaleźliśmy się już na amerykańskich wodach terytorialnych, a siły powietrzne Stanów Zjednoczonych wraz z ich marynarką starały się nas otoczyć, mierząc się na własną rękę z huraganem. Atopia i Stany były sprzymierzeńcami, lecz perspektywa wpuszczenia całkowicie niepodległego kraju na własne mapy i zakotwiczenia go gdzieś w Kalifornii wzbudzała ostry sprzeciw, nawet jeśli wiedzieli, że nie mamy wyboru. Napięcie dyplomatyczne potęgował fakt, że dysponowaliśmy pracującym pełną parą rdzeniem termojądrowym.

Oczywiście zajmowali się, podobnie jak my, oczekiwaniem na dwa gigantyczne cyklony wbijające się jednocześnie w najbardziej zaludnione wybrzeże Ameryki. Komunikacja z nimi była dziwnie niespójna. Być może za sprawą sztormów otrzymywaliśmy sprzeczne noty dyplomatyczne, zmieniające się jedna po drugiej.

Mimo tego wszystkiego miałem gotowy plan naszej ucieczki, a kiedy odebrałem wiadomość od Boba, skupiałem się na prognozowaniu. Miałem masę pracy, ale wiadomość od jego pierwotnej podmiotowości w kanale awaryjnym była sama w sobie czymś tak niezwykłym, że zasługiwała na uwagę jednego z moich odłamków.

– Więc w czym ci mogę pomóc? – zapytałem, nie zadając sobie trudu wytłumaczenia mu, że nie mam dla niego czasu. Bob miał swoje za uszami, ale nie był głupi.

– Myślę, że mogę ci pomóc w odkryciu, kto za tym stoi.

– Doprawdy? – Uniosłem brwi. – A jak chcesz to zrobić?

– Wiem, że jesteś zajęty, więc nie będę wchodził w szczegóły – wbił wzrok w swoje stopy – ale pamiętasz z dawnych czasów, że mam pewne wyjątkowe umiejętności. Wystarczy, że mi zaufasz i otworzysz przede mną niektóre porty do przeskanowania wielowszechświata.

Spojrzałem na niego. W pamięci przemknęły mi obrazy naszej dawnej dziecięcej przyjaźni. Nie miałem nic do stracenia.

– Masz moją zgodę, ale muszę mieć informacje zwrotne o tym, czego się dowiesz.

Tak czy inaczej, będę go miał na oku. Wysłałem kilku agentów, by śledzili jego ruchy.

– Masz moje słowo, Jimmy.

Zamknąłem połączenie i wróciłem do symulacji ucieczki. Mój pierwotny umysł wypełniała gigantyczna kula ognia.

– Wygląda na to, że się uda – zauważył Samson. Mieliśmy mniej niż godzinę do przedstawienia naszego planu Radzie. – Zrób sobie krótką przerwę, odpręż się przed spotkaniem z Radą.

To był rozsądny pomysł. Samson da sobie radę z resztą.

Kula ognia zgasła i odprężyłem się, pozwalając, aby mój umysł wrócił do propozycji Boba. Byłem zaskoczony tym, że wykazał jakiekolwiek zainteresowanie współpracą ze mną, choć z drugiej strony dobrze pamiętałem, że kiedy ostatni raz mi pomagał, przeżyłem największą katastrofę dzieciństwa.



Kiedy byłem dzieckiem, potajemnie traktowałem Boba jak starszego brata, a los sprawił, że kiedy jego rodzina zaadoptowała mnie za radą Patricii, rzeczywiście nim się stał.

Zawsze miałem problemy z dopasowaniem się. Nie potrafiłem tak łatwo zawierać przyjaźni i utrzymywać kontaktów towarzyskich jak inne dzieciaki psis. Bob był jednym chłopcem, który przy mnie trwał, robił, co mógł, żeby mi pomóc, kiedy reszta zupełnie mnie ignorowała.

W bardzo wczesnym wieku wzbudziłem zainteresowanie Centrum Badawczego Domu Salomona ze względu na moje wyjątkowe umiejętności psis. Wystartowałem bardzo wcześnie w świecie akademickim, ale moje zdolności interpersonalne były beznadziejne i sprawiły, że pozostałem daleko w tyle.

Wraz z wiekiem i zdybywaniem coraz większej kontroli nad psis zdołałem wreszcie uwolnić się od prześladowań rodziców. Nauczyłem się wymykać im podczas każdej próby zapędzenia mnie w kozi róg, a kiedy stałem się nastolatkiem, poczułem wreszcie smak prawdziwej wolności. Tyle tylko, że trzynaste urodziny Nancy Killliam okazały się katastrofą, która zaciążyła na całej reszcie mojego życia.

Moje własne trzynaste urodziny zbliżały się wielkimi krokami. Martwiłem się, że nikt na nie nie przyjdzie, a szczególnie Cynthia, dziewczyna, w której się podkochiwałem.

Inne dziewczyny w moim wieku zupełnie mnie ignorowały, a Cynthia jakimś cudem zainteresowała się mną i wypytywała o moje badania w Domu Salomona. Nie miałem pojęcia, jak na to zareagować i jak się zachować, więc poszedłem po radę do jedynej osoby, z którą mogłem porozmawiać.

– Posłuchaj – powiedział wtedy Bob. – Wystarczy, że przestaniesz zachowywać się tak dziwnie.

Zmrużył oczy przed skośnymi promieniami słońca i osłonił je dłonią. Szliśmy plażą do namiotu cyrkowego, w którym odbywało się przyjęcie urodzinowe Nancy. W tle łagodnie szumiało morze, a powietrze wypełniały zapach waty cukrowej i odgłosy bawiących się dzieci.

Wzruszyłem ramionami.

– Więc co mam zrobić?

– Dobrze wiesz co. Przestań wszystkich podglądać i ukrywać się tam, gdzie nie powinienes. – Spojrzał mi prosto w oczy.

Zaczerwieniłem się. Pozostałe dzieci psis rozpoczęły już ostrożne eksploracje swojej seksualności, które nie ograniczały się teraz do zabaw w szmacianą lalkę czy zamiany punktów widzenia – wszyscy zaczęli interesować się własnymi rozkwitającymi, dojrzewającymi ciałami.

Przyglądałem się temu, co się działo, ze skrępowaniem, kryjąc się w cieniu. Czasem bez ich wiedzy wnikałem pomiędzy nich i w nich, kiedy się całowali, dzieląc z nimi doznania i zamieniając się rolami. Moją dziecięcą specjalnością był ból, lecz te nowe uczucia i wrażenia bardzo mnie zaintrygowały.

– Wszyscy o tobie mówią, sam wiesz – ciągnął Bob, drapiąc się po głowie, kiedy znaleźliśmy się w cieniu namiotu i szliśmy w kierunku wejścia.

Chwilę później pojawił się przede mną tata. Jako jedyny przyniósł prawdziwy prezent – trzymał go pod pachą i sprawił mi nim wstyd. Widziałem, jak stał na uboczu w cieniu palm, rozmawiając z innymi dorosłymi, poklepując czule swój podarunek.

Przez portale przy wejściu przybywało coraz więcej dzieci i rodziców, pojedynczo i dwójkami: ujrzałem przed sobą puchatego, małego minotaura, którego ciągnęła matka, a za nim dwa rozwrzeszczane różowe misie z jaskrawymi balonikami. Przy wejściu mieszały się i stapiały ze sobą skórki noszone przez gości, co tworzyło mylącą, kalejdoskopową kombinację. Wszyscy przystawali przed wejściem, rozglądali się, a potem rozbiegali po namiocie. Niektórzy rodzice napominali swoje dzieci, by właściwie połączyły swoją rzeczywistość z rzeczywistościami innych, a czasem te napomnienia zamieniały się w ostre wymiany zdań i histerie po obu stronach.

Bob rozejrzał się za jakimś cichszym miejscem, w którym można było rozmawiać.

Zaczęła grać katarynka, pojawiły się małe małpki w smokingach, które zaczęły biegać między zgromadzonymi gośćmi i rozdawać im pakiety informacyjne na ten wieczór. Picie oraz przekąski pływały i kołysały się na barowych wysepkach. Bob ujął mnie pod ramię i poprowadził na stronę, ku

ławce w cieniu ściętych karłowatych palm.

– Wiem, że nie masz wielu przyjaciół – oznajmił przyciszonym głosem. – I wiem, że nie jest ci łatwo. – Przerwał, szukając odpowiednich słów. – Więc po pierwsze zrezygnuj z krwawych skórek; były fajne, kiedy byliśmy dziećmi, ale teraz to trochę dziwne, kiedy...

Głowa jednego ze stojących w pobliżu dorosłych eksplodowała nagle, rozbryzgując wokół krwawe fragmenty mózgu i czaszki, jakby odstrzelono ją wysokokalibrową bronią. Bezgłowa, zakrwawiona ofiara jak gdyby nigdy nic wzięła sobie drinka z pływającej wysepki i przelała zawartość do otwartej rany na szyi.

Bob przyglądał się temu z niesmakiem i odwrócił się do mnie, kręcąc głową z odrazą.

Uśmiechnąłem się nieśmiało i wyłączyłem tę projekcję.

– Wiem, że jesteś królem szmacianej lalki, ale nikt nie chce się już w to bawić, rozumiesz? I przestań pytać ludzi, czy chcą wraz z tobą odwiedzić twoje ciało, bo to zaczyna być dziwne.

Kiwnąłem głową. Wiedziałem o tym wszystkim, ale nie potrafiłem nad tym zapanować. Obiecałem sobie jednak, że nie będę już tego robił.

– Wszyscy wiemy, że jesteś specjalistą od wynajdowania szczelin w systemie psis – ciągnął. – Tyle że musisz przestać wciskać się, gdzie popadnie. Jesteśmy już dorośli, a dorośli nie podglądają.

Oczywiście nie byliśmy dorośli i oczywiście nawet dorośli podglądają. Ale znów kiwnąłem głową mimo wszystko.

– Przestanieś wciskać się w ludzkie ciała, kiedy nikt nie patrzy? – Cekał, aż kiwnę głową, a potem dodał: – A może wybrałbyś się ze mną posurfować, co?

– Jasne, Bob, masz rację. To znaczy, tak, oczywiście. Bardzo bym chciał – wymamrotałem nerwowo, ale z wdzięcznością.

Bob zawsze był dla mnie miły. Po raz pierwszy ktokolwiek odbył ze mną tak szczerą rozmowę. To było tyleż przerażające, co ekscytujące.

– Więc przyjdiesz posurfować? – wyszczerzył do mnie zęby.

Odpowiedziałem uśmiechem.

– Przyjdę.

Klepnął mnie lekko w ramię – byliśmy teraz kumplami, jak sędzę.

– Wracając do Cynthii... Ona jest dziewczyną, a dziewczyny chcą, żebyś się przed nimi otworzył, był wrażliwy – roześmiał się, patrząc na moją szczenięcą twarz. – Okay, wrażliwość masz już opanowaną.

– Powiedziała, że chce zobaczyć coś zabawnego – odpowiedziałem mu.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Ta, dziewczyny lubią fajne rzeczy. Doskonale! Tylko otwórz się przed nią trochę. Może pokażesz jej coś, nad czym pracujesz w Domu Salomona? To powinno zrobić na niej wrażenie. Dziewczyny lubią mądrych facetów.

– Naprawdę tak uważasz?

Miałem parę nowych modeli interfejsu neuronowego, które testowałem z doktorem Grangerem. Bardzo interesował się moimi umiejętnościami. Trzymałem te modele w osobistej przestrzeni roboczej i nikomu ich wcześniej nie pokazywałem.

Moje prywatne światy były bardzo prywatne.

Nauczywszy się sposobów na trzymanie ich z daleka od matki i ojca, nie dopuszczałem do siebie nikogo, ani emocjonalnie, ani fizycznie. Większość czasu spędzałem samotnie z Samsonem i naszymi symulowanymi przyjaciółmi.

– Otwórz się trochę przed nią, bardzo jej się to spodoba – roześmiał się Bob, puszczając do mnie oko, a potem unosząc brwi. Szturchnął mnie lekko jednym ze swoich fantomów, wskazując coś za moimi plecami.

Pokręcił głową, kiedy chciałem się odwrócić. Więc zamiast tego zerknąłem za siebie, nie odwracając głowy, nakładając część kanału wizyjnego na okoliczny widok wikiświata, i ujrzałem nadchodzącą Cynthię. I tak domyśliła się, że ją śledzę.

– Do roboty, tygrysie – rzucił Bob na zachętę, po czym wstał, żeby odejść. – Muszę pędzić do ukochanej.

Bob i Nancy byli związani ze sobą niemal od urodzenia, tworzyli nierozzerwalną parę dzieciaków psis. Mój kumpel wszedł w coraz gęstszy tłum, zostawiając mnie sam na sam z Cynthią.

– Hej, Cynthia – rzucił jeszcze, przechodząc obok niej. Obejrzał się i puścił do mnie oko. Cynthia uśmiechnęła się do niego i spojrzała na mnie. Zacząłem się mocno pocić.

– Cześć, Jimmy, co słyszeć? – zapytała śpiewnie Cynthia. Podskakiwała przez kilka ostatnich kroków.

– Niewiele... Jak... się miewasz? – wyjąkałem, czując pustkę w głowie. Po kilku sekundach męczącej ciszy zawołałem ją jeszcze po imieniu.

– Wspaniale! – odpowiedziała wesoło, uśmiechając się nieśmiało. – Jak twoje badania?

– Eee, tak, dobrze... – Przypomniałem sobie słowa Boba. – Mógłbym pokazać ci parę rzeczy, którymi się zajmuję w Domu Salomona, jeśli chcesz.

– Naprawdę? Fajnie! – Zrobiła wielkie oczy i uśmiechnęła się szeroko. – Pokażesz mi teraz?

Kiwnąłem głową. Dlaczego nie? – Mamo! – wrzasnęła, a twarz jej matki pojawiła się między nami.

– Tak, Cynthia? Nie musisz krzyczeć, wiesz o tym – napomniała ją matka. Na Cynthia nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Przenieś się na trochę z Jimmym. Jimmy chce mi pokazać to, nad czym pracuje w Domu Salomona.

Matka Cynthia była pod wrażeniem.

– Pracuje w Domu Salomona? Ale ty jesteś jeszcze dzieckiem! – zauważyła, patrząc na mnie i marszcząc brwi. – Oczywiście, idźcie razem, ale wezwę cię tu z powrotem, kiedy tylko pojawi się Nancy.

Cynthia chwyciła mnie za rękę i pisnęła:

– Chodźmy!

Jej dłoń w mojej dłoni wywołała elektryczny wstrząs, który rozprzestrzenił się po moim ciele jak pożar buszu i usadowił się paląco w moim kroczu. Natychmiast poczułem erekcję. Cynthia wyczuła, że coś się dzieje, widząc, jak się kryguję z rozpalonymi policzkami. Zerknęła na mnie podstępnie.

– Chodź, Jimmy, idziemy.

Pociągnąłem ją ze sobą, opuściliśmy nasze ciała i znaleźliśmy się w mojej prywatnej przestrzeni roboczej. Nigdy nikogo tu nie przyprowadzałem i czułem się, jakbym był nagi.

W jednej warstwie pola wizyjnego widziałem Samsona, który zajął moje ciało na plaży i trzymał za rękę prokurę Cynthia nieopodal niebieskożółtego namiotu. Kiedy ciała szły po watę cukrową, pilnowała ich prokura matki

Cynthii. Uśmiechnąłem się.

Staliśmy w białym laboratorium o lśniących ścianach i posadzkach. Wyjrzelśmy przez przyciemnione okna na Atopię poniżej – był to ten sam widok, który rozciągał się z prawdziwego Domu Salomona na szczycie kompleksu farm.

Ponad stołami z nierdzewnej stali pływały rozmaite robocze modele lustrzanych neuronowych interfejsów, które badaliśmy wraz z doktorem Grangerem. Doktor Granger dzielił ze mną zainteresowanie fizjologicznymi fundamentami uczuć i ich wykorzystaniem do kierowania ułem umysłu, ale gdy on poświęcał uwagę szczęściu, ja zajmowałem się strachem – czymś, na co najczęściej nie zwracali uwagi pozostali badacze.

Kiedy szliśmy, wystukałem parę parametrów moimi fantomami, by oczyścić stoły i struktury i zastąpić je moim bieżącym projektem. Pojawił się model neuronu, który przypominał jakiegoś podmorskiego potwora. Obracał się powoli, zawieszony w przestrzeni przed nami.

Czułem uścisk Cyntii w mojej spoczonej dłoni.

– Fajne – powiedziała, przyglądając się ożywającemu modelowi, który ukazywał wzmocnioną wizualnie sekwencję pobudzonej synapsy. Był to działający prototyp.

– To nie jest model – tłumaczyłem. – To pokazuje, co dzieje się teraz we mnie!

Po kilku testach zainstalowałem interfejsy w moim własnym rozwijającym się mózgu, żeby sprawdzić, jak będą reagować. Zacząłem jej wyjaśniać, jak to działa, sposób, w jaki ten wzmocniony lustrzany neuron zapewnia niezawodny przepływ empatii. Właśnie pracowałem nad empatią. Nie rozumiałem jej, to znaczy, rozumiałem ją, ale jej nie czułem. Ten model stanowił dla mnie postęp.

Kiedy tłumaczyłem te wszystkie szczegóły, Cynthia odeszła, by obejrzeć resztę mojej przestrzeni roboczej. Chciałem pokazać jej coś wyjątkowego i pogrążyłem się w modelu, przenikając przez ściany komórkowe, próbując zmienić przepływ białka.

– A co jest tutaj? – zapytała, otwierając drzwi.

– Och, nic, naprawdę nic! – zawołałem, ale było już za późno.

Kiedy tylko uchyliła drzwi portalu, wpadła do świata za nimi. Nigdy nikogo

tu nie wpuszczałem, więc nie dbałem o protokoły zabezpieczeń światów, z którymi łączyła się moja przestrzeń robocza. Zostawiłem szybko model i rzuciłem się za nią do tego świata.

W następnej chwili stałem obok niej w półmroku. Z czerni ponad naszymi głowami padały snopy światła – prosto na wijącą się masę insektów i robaków, i innych stworzeń przybitych boleśnie do ścian labiryntu mojego prywatnego wszechświata.

W przestrzeni ponad nami wisiał obraz wstrząsanej nienawiścią twarzy mojej matki.

– Kto jest moim małym śmierdzielem? – powtarzała raz po raz, a jej twarz wykrzywiała się i zniekształcała.

Przychodziłem tu, żeby się uleczyć, żeby połączyć na nowo i zmienić bodźce sensorycznego bólu, który odczuwałem jako dziecko. Proces ten pomagał mi w oczyszczeniu umysłu. Wybierałem jakieś szczególnie obrzydliwe wspomnienie, a potem przepracowywałem je kawałek po kawałku, kąpiąc jednocześnie mój system sensoryczny w cierpieniach tysięcy małych stworzeń, które przybiłem do ścian.

Nie wiedziałem dlaczego, ale to pomagało.

Cynthia zadrżała i rozejrzała się wokół szeroko otwartymi oczami, była przerażona, ale i podekscytowana.

– To takie straszne – szepnęła, wpatrując się w oświetlone do połowy stworzonka, drapiące na próżno ściany, nigdy nieumierające, ale nigdy wolne, na zawsze uwięzione w bólu.

Widok tych małych stworzonek zmusił ją do płaczu.

– Czuję je – pisnęła, jej emocjonalna sieć połączyła się z tym światem. – To potworne!

A potem zniknęła, przenosząc się na urodziny.

Wstrząśnięty, stałem nieruchomo, a krew odpłynęła mi z twarzy. Nie wiedziałem, co robić. Wyłączyłem obraz matki, a cała przestrzeń pociemniała i ucichła, jeśli nie liczyć szelestu wijących się na ścianach stworzeń.

Zupełnie zapomniałem, że istnieje portal łączący ten świat z moją przestrzenią roboczą. Byłem wówczas zbyt skołowany, żeby jasno myśleć. Zacząłem przeklinać się w duchu, a potem poczułem na sobie rękę Samsona,

który pociągnął mnie z powrotem do rzeczywistości.

Kiedy znalazłem się w swoim ciele, kręciło mi się w głowie. Słyszałem śmiech, ale nie znalazłem się na przyjęciu. Znow byłam w moim prywatnym świecie. Robaki wiły się na ścianach jak wcześniej, ale teraz było tu pełno urodzinowych gości, a insekty wydawały się powiększone, jak gigantyczne potwory próbujące na próżno oderwać swoje ciała od szpilek, którymi je przekłułem.

A ponad tym wszystkim wisiała wściekła twarz matki.

– Kto jest moim małym śmierdzielem?

Cynthia ukradła kopię mojego świata i wyświeciła ją publicznie. Skurczyłem się ze strachu. Wszystkie dzieciaki śmiały się wraz z Cynthią, pokazującą mnie palcem i drącą się na całe gardło:

– Kto jest moim małym śmierdzielem?!

Dorośli nie wiedzieli, co się dzieje. Wszystko wydarzyło się dla nich zbyt szybko, ale ktoś zdołał w końcu opanować sytuację i wokół nas znow pojawił się cyrkowy namiot z balonami i małpkami. Wszyscy odwrócili się i patrzyli na mnie, dzieci śmiały się i chichotały, dorośli wpatrywali się w milczeniu, niczego nie pojmując.

– Dlaczego to zrobiłaś?! – krzyknąłem do Cynthii.

Piekące upokorzenie zastąpił wielki pałący gniew. Wszystkie lata opanowywania strachu, frustracji, ukrywania się i kulenia w sobie, wszystko to wrzało ponad krawędziami mojej psychiki. *Mógłbym ją teraz zabić.* Oczy nabiegły mi krwią, gdzieś w głębi mnie obudziły się demony.

Cynthia cofnęła się i ukryła wśród przyjaciół, ale wszyscy ciągle się śmiali.

Zebrałem się w sobie i skupiłem na niej, kierując mój głos przez psisonikę i wzmacniając go aż do granicy bólu.

– Dlaczego to zrobiłaś?! – ryknąłem, a moje ciało zamieniło się w groteskową, monstrualną karykaturę.

Wylała się ze mnie fala uderzeniowa czystej nienawiści, która o mało nie przewróciła zgromadzonych gości. Czułem, że fizycznie eksploduję, ale opanowałem się i zatrzymałem. Mój gniew implodował we mnie, lecz butelka się zakorkowała.

Śmiech ustał. W istocie zapadła śmiertelna cisza, jeśli nie liczyć płaczu

mniejszych dzieci. Twarze wstrząśniętych ludzi przyglądały mi się z obawą.

Ktoś zaczął płakać.

Cynthia.

W tej samej chwili Nancy Killiam otworzyła drzwi portalu i zaanonsowała się:

– Oto jestem!

Zacząłem biec, łzy zalewały mi twarz, odepchnąłem Boba.

– Jimmy, hej, Jimmy! – wołał za mną, a ja biegłem dalej, o mało nie przewracając Nancy.

Biegłem i biegłem, próbując uciec od oślepiającego blasku ich osądu. Nie było mnie już w moim ciele, Samson przejął je i ukrył w bezpiecznym miejscu.

Wróciłem do prywatnego świata, który płonął. Wielkie płomienie lizały ściany, pokoje i korytarze, wszystkie zakamarki i kąty mojego dzieciństwa. Niezliczone małe stworzonka uwięzione w tym labiryncie piszczwały w straszliwych męczarniach, pochłaniane przez pożogę.

Przyglądałem się temu beznamietnie, aż piekło pochłonęło siebie i zgasło.

Nigdy więcej, obiecałem sobie, nigdy więcej.

Mówią, że to, co nas nie zabija, czyni nas silniejszymi. Tamtego dnia coś we mnie pękło, coś się rozłamało. Lecz później zacząłem się odradzać, zdrowieć i rosnać, stawałem się być może dorosłym, a z całą pewnością kimś innym.

Moje wewnętrzne, rozwijające się dziecko, moja nieukształtowana osobowość, połączyły się i stwardniały. Niewidzialne rzeczy odnalazły swe miejsca, ból ustał, a skorupa zamknęła się na dobre wokół mnie – nieprzejrzysta, mocna.

Nieprzenikniona.



Kilka dni później uczyłem się u siebie przed egzaminami wstępnymi do Domu Salomona.

Matka właśnie zmartwychwstała – całkiem dosłownie zmartwychwstała, bo wcześniej umarła w jednej z mydlanych fantazji – i szła ku mnie roztrzęsiona,

z drinkiem w ręku.

– Hej, śmierdzielu, widziałam, jakiego wstydu sobie narobiłeś na urodzinach tej Killiam. Coś ty sobie, do cholery, myślał? – bełkotała, rechocząc. – Ekspert od bezpieczeństwa! – zachichotała, upijając łyk drinka.

Przyglądałem jej się z osłupieniem.

– Zabili delfiny, słyszałeś? – dodała, wytykając mi okrutnie poważne naruszenie bezpieczeństwa, które było początkiem rozłamu z Terra Nova. – Ohydne, śmierdzące ryby. Dobrze im tak.

Milczałem.

– Chyba nikt nie przyjdzie na twoje urodziny, co nie, śmierdzielu Jimmy?

Miała rację. Nikt nie chciał przyjść na moje urodzinowe przyjęcie po tym, co się wydarzyło.

Matka stanęła za moimi plecami i odwróciła się, by napęłnić szklankę. Zamknąłem powoli interfejs z notatkami i zwróciłem się do niej twarzą, ściągając przy tym szczelną zasłonę bezpieczeństwa, która otoczyła nas lśniącym lodowatym błękitem.

Stanęła przodem do mnie.

– Co? – warknęła. – Chcesz mi coś powiedzieć, mała gnido?

– Jeśli jeszcze raz otworzysz do mnie usta, matko, jeśli jeszcze kiedykolwiek mnie tkniesz, jeśli usłyszę choćby jedno słowo z tej twojej niewyparzonej gęby – mówiłem spokojnie i miarowo – zadbam o to, żebyś pożałowała, że się w ogóle urodziłaś.

Uśmiechnąłem się, by potwierdzić to, co usłyszała, a potem otworzyłem jej kanały psis i wypełniłem je czystą nienawiścią. Patrzyła na mnie, jakby chcąc coś powiedzieć, ale powstrzymała się. Odwróciła się z przerażeniem i zaszurała nogami, a ja za pomocą fantomu zamknąłem zasłonę.

– Dobrych mydlanych bodźców, mamusiu! – zawołałem za nią wesoło i wróciłem do notatek.

Będę najlepszy na tym teście.

Tożsamość: Patricia Killiam

Wichura szalała i wyła, zamieniając powierzchnię oceanu w spieniony wir. Wzbierały i łamały się gigantyczne fale popychane siłą huraganów. Zderzenie dwóch cyklonów 5 Kategorii mogło wydarzyć się raz na sto lat, a Atopia była jak ziarenko, które zmiażdżą te dwa młyńskie koła.

I wtedy pojawiły się jasne punkciki światła, błyskające w siekającej ulewie. Za nimi następne przebiły się przez deszcz, rozświetliły rozszalałe morze. Mnożyły się, lśniły i błyskały, łącząc się w arkusz rozgrzanej do białości plazmy, która odparowywała deszcz, posyłając wysoko w górne warstwy atmosfery kłęby mgły.

Znajdowaliśmy się w Dowództwie, oglądając tę projekcję na środku sali.

– Katapulty nie zostały zaprojektowane do takich celów – tłumaczył Jimmy, a my przyglądaliśmy się, jak narastająca pożoga żłobi maleńką szparę między zderzającymi się huraganami. – Zazwyczaj używa się ich nieprzerwanie zaledwie przez kilka minut do wyeliminowania zagrożeń kinetycznych, ale wprowadziliśmy do nich kilka modyfikacji stabilizujących falę cieplną, co umożliwi nieprzerwane działanie przynajmniej przez kilka godzin, a może nawet dłużej, na tyle długo, by wypełniły zadanie.

Punkt widzenia projekcji oddalił się i poszybował w górę, ku krawędzi kosmosu, skąd ujrzeliśmy całość dwóch zderzających się układów burzowych, z Atopią zaznaczoną na morzu pomiędzy nimi. Jimmy przyspieszył szybkość symulacji i zobaczyliśmy wąską szczelinę między huraganami, z której wyzierała Atopia.

– Użyjemy katapult do wypalenia układu superwysokiego ciśnienia w samym

środku zderzających się cyklonów. A potem z maksymalną szybkością wprowadzimy do tego układu Atopię. Relatywna próżnia, jaką wytworzymy, dosłownie wyssie nas z cyklonów, kiedy wypalimy dla siebie drogę katapultami.

Jimmy uśmiechnął się, kiedy podświetlony punkcik Atopii wyskoczył w symulacji po drugiej stronie sztormów.

W sali rozległy się pojedyncze, głośne oklaski. To Kesselring uśmiechał się promiennie do Jimmy'ego, a wszyscy do niego dołączali.

– Ocaliłeś nas! – zawołał Kesselring. – Genialne, po prostu genialne!

Ulga, jaką poczułam, zdawszy sobie sprawę, że unikniemy zmiążdżenia przez burzę, niemal mnie przygniotła. Przyłączyłam się do aplauzu, cóż miałam zrobić. To było bardzo pomysłowe i wyglądało na wykonalne.

– Droga będzie dosyć wyboista – dodał Jimmy – ale nie za bardzo. – Uciszył gestem oklaski.

Kesselring pochylił się w moją stronę konfidencjonalnie.

– To był doskonały pomysł, żeby wprowadzić Jimmy'ego do sztabu Dowództwa.

– Dzięki – odpowiedziałam, kiwając głową. Przestałam klaskać, kiedy wypatrzyłam stojącego z boku Ricka. Jego oblicze niczego nie wyrażało. – Wygląda na to, że nam się uda – zgodziłam się. – A teraz, jeśli pozwolisz, oddalę się, bo mam coś do załatwienia.



Wycofałam pierwotną podmiotowość z Dowództwa. Marie nalała mi już szkockiej, a ja usiadłam za biurkiem i położyłam nogi na blacie.

– Pożeglujemy przez sztormy – oświadczyła posepnie Marie.

Odebrałam od niej drinka i wstałam. Mimowiednie zaczęłam chodzić w tę i z powrotem.

Marie przyniosła projekcję przyszłych światów, nad którymi pracowałyśmy od tak wielu lat. Projekcja rozwinęła się w przestrzeni wyświetlaczy, układając się naprzemiennie od najbardziej do najmniej dramatycznej, wypełniając moje

pole widzenia śmiercią i zniszczeniem. Przyniosła tę projekcję nie bez powodu.

– Nic z tego nie ma żadnego sensu – stwierdziłam, upijając łyk szkockiej.

Mój pogląd na wojnę był dosyć akademicki. Otwarty konflikt był w istocie rzeczy ćwiczeniem w zbieraniu informacji. Z punktu widzenia teorii gier atak i obrona dążyły do rozwiązania potencjału przeciwników, dopóki obie strony nie zgodzą się co do warunków zawarcia ugody.

Otwarcie dzieliłam się niemal wszystkimi informacjami na temat Atopii, aby uniknąć takiego konfliktu – „niemal” było w tym wypadku najwłaściwszym słowem. Być może dzieląc się tym, co ukrywamy, zdołam wynegocjować pokój z Terra Nova. Mimo wszystko trudno otrząsnąć się z przeświadczenia, że byłam zdrajczynią własnej sprawy.

Nie potrafiłam wyobrazić sobie, żeby Terra Nova po wynegocjowaniu pokoju zdecydowała się na skierowanie potężnych huraganów na gęsto zaludnione Zachodnie Wybrzeże. Nawet osłabiona Ameryka byłaby w stanie podjąć kroki odwetowe za zniszczenia wywołane przez cyklony. A Terra Nova podpisałaby na siebie wyrok śmierci.

Dawno, dawno temu, kiedy zakładaliśmy Atopię, pomagałam w tworzeniu fundamentów Terra Nova. Byłam prawdopodobnie jedyną osobą na Ziemi, która mogła naprawić to, co się działo.

– Jesteś gotowa? – zapytała Marie. – To może być nasza jedyna szansa.

Uwaga wszystkich kierowała się na nadzwyczajną sytuację, w jakiej się znaleźliśmy, co otwierało nam okno do przeprowadzenia tajnych i bezpośrednich negocjacji z przedstawicielami wroga i dawało szansę na ubicie wielkiego interesu.

– Wszystko gotowe?

– Czekają – odpowiedziała Marie. Mijały sekundy.

– Świetnie. Inicjuj.

Eksplodowałyśmy w górę z mojego gabinetu, przeciskając się przez ciasny kanał komunikacyjny na granicy Atopii, a potem rozproszyłyśmy się, przycinając nasze pakiety sensoryczne i roznosząc je po całym globie. Zmaterializowałyśmy się na nowo w dużym, łagodnie oświetlonym pokoju wybitym drewnem, ściany wyginały się łukowato, a pionowe panele spletały się spiralnie, tworząc sufit.

Po bliższym przyjrzeniu się wyszło na jaw, że ściany wcale nie były wybite drewnem, były żywymi pniami drzew rosnących jedno obok drugiego, a miejsce to jaśniało od światła, biorącego się nie wiadomo skąd. Siedziałam obok Marie przy dużym kamiennym stole.

Po drugiej stronie siedzieli Starsi z Terra Nova. Pośród nich moja dawna studentka, Mohesha. Skinęła głową, uśmiechając się do mnie, na co odpowiedziałam uśmiechem. Moja nieufność zmaląła.

Przemówił senior Starszych z Terra Nova, Tyrel:

– Z wdzięcznością witamy cię dziś w naszej radzie. Wiemy, jak wiele ryzykujesz.

To już nie miało znaczenia. „Moje dni są policzone” – tak chciałam odpowiedzieć. I chciałam też, żeby wszystko ułożyło się dobrze, chciałam zrobić to, co należało.

– To dla mnie zaszczyt – pochyliłam nisko głowę. – Przybywam tu dziś, żeby wynegocjować pokój.

Tyrel przyglądał mi się bez emocji.

– Żywimy wobec ciebie wielki respekt, matko tego wszystkiego – powiedział, wykonując szeroki gest nad stołem. – Całej Terra Nova i więcej, całej sztucznej inteligencji i wszystkich światów...

– Dziękuję ci, ale nie przybyłam tu po to, by zbierać...

– Wykorzystano cię, Patricio! Oszukano! Sama się oszukujesz! – przerwała mi Mohesha. Jej ciemna twarz lśniła w łagodnym świetle.

– Nie przybyłam tu w akcie desperacji – stwierdziłam stanowczo, nie zważając na jej słowa. – Wydobędziemy się z tej huraganowej pułapki. Jestem tu, ponieważ chcę tego samego, co wy.

Cisza.

– Nawet gdybyśmy chcieli, a chcemy, nie potrafimy ci pomóc – odpowiedział Tyrel.

– Zdajecie sobie sprawę z nadciągającej zagłady – kontynuowałam. – Wiecie, że ukrywaliśmy niektóre szczegóły, ale program psis jest jedynym rozwiązaniem.

Tyrel i pozostali Starsi poparzyli na mnie ze smutkiem.

– Pogoń za szczęściem, rozdawanie ludziom wszystkiego, czego zapragną,

nigdy nie było drogą do zbawienia – odezwał się po chwili inny ze Starszych. – Zaspokajanie każdej materialnej potrzeby i każdej zmysłowej przyjemności nie przyniesie pokoju.

– Ale musieliście widzieć to, co sama widziałam! – krzyknęłam, uderzając w stół. – Musicie powstrzymać to, co robicie. Inaczej sami zginiecie!

Martwa cisza. Absolutnie żadnej reakcji.

– Po uratowaniu Atopii pójdę prosto do mediów i powiem im, co ukrywałam – tłumaczyłam. – Już to zapoczątkowałam poprzez Sintila8. To opóźni nasze wejście na rynek i będziemy mogli współpracować.

– Wiemy o Sintilu8 – powiedział Tyrel. – Wiemy, co z nim zaplanowałaś.

– Więc czego jeszcze chcecie? Pieniędzy, udziału w zyskach?

– Jakże nisko upadłaś... – oznajmił ze smutkiem Tyrel. Do oczu napłynęły mu łzy. – Nie powstrzymasz już tego, co sama stworzyłaś.

– Czy chodzi wam o wstrzymanie programu psis i lepszą pozycję na rynku? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Nam w ogóle nie chodzi o program psis. – Tyrel otarł łzy. – Bylibyśmy najszczęśliwsi, mogąc rozwijać się razem z wami w symbiotycznej koegzystencji pod waszym przewodnictwem, ale obudziliście na świecie niewypowiedziane zło. Musimy zniszczyć Atopię, żeby temu przeciwdziałać.

– O czym ty mówisz? – I wtedy zapaliło mi się światełko. – A więc przyznajesz, że to wy stworzyliście te huragany?

Jedna myśl goniła drugą w mojej głowie. Czy Sintil8 wystawił mnie do wiatru? Czy popełniłam fatalny błąd, wprowadzając go w swoje sprawy? Czy to on był potworem, którego obudziłam? W jaki sposób Terra Nova dokonała takiego technologicznego skoku, żeby sterować pogodą?

I dlaczego myślą, że ujdzie im to na sucho?

– Owszem, to my stworzyliśmy te burze, jak powiadasz – przyznał Tyrel. – Ale nie mogę powiedzieć nic więcej, a nawet gdybym mógł, nie dysponuję pełnym obrazem. Uważamy, że klucz do tego, co się dzieje, spoczywa w ciele Williama McIntyre'a.

– W ciele Willy'ego? – zapytałam, przypominając sobie raport o przyjacielu Boba. Nie mogłam być bardziej skonsternowana. – Mieliście coś wspólnego ze zniknięciem ciała Willy'ego? Ale dlaczego?

- Dzięki jego prokurze, Wallace'owi, zrozumieliśmy potencjalną wielkość zagrożenia - przyznał Tyrel - ale to Sintil8 pomógł Wallace'owi zniknąć z Atopii, używając klucza dostępu, który mu przekazałaś. Wallace działał w obronie Williama.

To zaczynało brzmieć jak nonsens. Jedyne, co zrozumiałam, to współudział Sintila8 w zniknięciach.

- Nie mamy na to czasu - zaprotestowałam. - Musimy dojść do porozumienia. Teraz! Macie te same prognozy, co ja, widzieliście je, nie ma innego wyjścia. Jeśli tego nie powstrzymacie, zostaniecie zniszczeni!

- Owszem, widzieliśmy prognozy - przyznał Tyrel. - Ale nie bierzesz pod uwagę jednego scenariusza.

- Jakiego? - Rozpatrywaliśmy miliardy prognoz.

- Zniszczenia Atopii.

To zamknęło mi usta. Miał rację - wszystkie nasze prognozy obejmowały Atopię jako komponent rozwiązania.

- Wpadliście we własne sidła - wyjaśniał Tyrel. - Owszem, możecie wydostać się z huraganów...

Kręciło mi się w głowie. Czyżby zaślepiła mnie moja własna duma?

- Lecz bez względu na wszystko Atopia zniknie z powierzchni ziemi przed jutrzejszym wschodem słońca.

23

Tożsamość: Bobby Baxter

Uśmiechając się do Nancy, wepchnąłem kolejną porcję makaronu do ust.

– Potraktuj to jak przygotowania do maratonu – wyjaśniłem. – Musimy napakować się węglowodanami, żeby zapewnić sobie zapas sprytocytów. Jedz!

Pochłanialiśmy znacznie więcej od zwykłych porcji sprytocytów ze środowiska Atopii, począwszy od tych, które fruwały w powietrzu, po te ukryte w pożywieniu – absorbowaliśmy je ponad próg naszej i tak wysokiej tolerancji.

Nancy kiwnęła głową i jadła dalej, metodycznie, wbijając wzrok w talerz. Minęło wiele czasu, odkąd byłem tak blisko niej, fizycznie blisko, i wracały do mnie wspomnienia. Do niej pewnie też, wnosząc z tego, jak na mnie patrzyła. Nie bez wysiłku pohamowałem umysł przed rozszczepieniem się na odłamki i poszybowaniem w przeszłość.

– Nie podoba mi się to, że ukrywamy się przed Patricią – powiedziała, nie podnosząc wzroku znad makaronu. – Naprawdę uważasz, że ona coś kombinuje?

– Nie wiem – przyznałem – ale musimy zachować otwarte głowy i nie robić rabanu.

Kiwnęła głową, a potem zmarszczyła brwi.

– Więc po co rozmawiałeś o tym z Jimmym?

– To było przeczucie. – Nie byłem w stanie wytłumaczyć tego inaczej. – Wiemy, że on wie, co robimy, a to pozwala nam obserwować go, kiedy on obserwuje nas, jeśli wiesz, o czym mówię.

– I nie uruchomimy jego sygnałów alarmowych, skanując infrastrukturę

Atopii – dodał Sid.

Nancy wzruszyła ramionami.

– No tak.

Willy, Sid, Vicious, Robert, Vince i Gorące Ciało siedzieli z nami przy stole w niedużej obskurnej kafeterii w zapomnianym zakątku usługowej infrastruktury Atopii, znajdującej się poniżej Czyścica – dzielnicy rozrywek.

Byliśmy najbliżej jak tylko można trasującego rdzenia sieci psis, gdyż to, co zamierzałem zrobić, wymagało zmniejszenia opóźnień wywołanych odległością od rdzenia, a także zminimalizowania opóźnień komunikacyjnych, co dawało nam przewagę nad samonaprawiającymi się, algorytmowymi martwymi punktami, które mogły być zainstalowane w rdzeniu. Mielśmy zamiar podłączyć się do niego niemal bezpośrednio i czekać na pojawienie się anomalii.

– Powtórzysz mi jeszcze raz cały plan? – Nancy wpatrywała się uważnie w nitki makaronu, a potem zjadła następną porcję.

– Masz najbardziej elastyczny neuroplastycznie umysł, dzięki czemu potrafisz zapanować nad rozszczepianiem odłamków na największym obszarze – zacząłem powtarzać.

– Możesz być wszędzie naraz – dodał Vicious.

Nancy westchnęła.

– Wszędzie, oprócz miejsca, w którym powinnam być.

Spojrzała mi prosto w oczy. Załomotało mi serce.

– Potrzebujemy twojej głowy w stu procentach albo wcale – odpowiedziałem łagodnie. – Jesteś pewna, że chcesz w to wejść? – To nie będzie łatwe.

– Chcę, Bobby, zaskoczyłeś mnie tylko, i to wszystko. – Nie spuszczała ze mnie wzroku.

Uśmiechnąłem się.

– Lubię zaskakiwać. – Przeszedłem do interesów. – Sid dokonał pewnych ulepszeń w moim zmyśle wodnym, który śledzi teraz wiry informacyjne...

– Więc wyczuwasz fale informacyjne wokół Atopii?

– Dokładnie. Ty i ja stworzymy kompozyt, a potem poprzez twoje łańcuchy Infinixa dokonamy rekombinacji, żeby zamienić mój wodny zmysł w tysiące kompozytowych odłamków. Pchniemy je w każdy zakamarek i każdą szczelinę

wielowszechświata.

– Potem ja dokonam wzmocnienia i krzyżowego połączenia waszej sieci z miliardem prywatnych strumieni Phuture News, które otworzy dla nas Vince – kontynuował Sid. – Bob będzie czekał na interesujące fale informacji i popłynie za nimi.

– Jesteś zdecydowany, że chcesz otworzyć dla nas osobiste przekazy futurologiczne? – zapytał Vince’a, dając mu kolejną szansę na wycofanie się z całego przedsięwzięcia. – Jeśli to wycieknie, nastąpi koniec Phuture News.

Vince uśmiechnął się posępnie.

– Moja sytuacja nie może być gorsza niż obecnie. Chcę znać odpowiedź.

Podczas minionych trzydziestu minut Vince musiał trzy razy zniknąć, żeby uratować życie, ale wydawał się najbardziej przytomny i rozbudzony z nas wszystkich.

Nancy spojrzała na mnie badawczo.

– To, co robimy, może cię zabić.

– Wątpię – uśmiechnąłem się. – To znacznie mniej niebezpieczne od surfowania.

– Kiedy surfujesz, nie smażyysz własnego mózgu. Jesteś pewien?

Wzięłem głęboki oddech.

– Zrobię wszystko, żeby ujrzeć cię naga.

Roześmiała się.

– Wystarczyło poprosić.

– No tak, ale nie było okazji...

– Okay, papużki nierozłączki – zachichotał Vicious. – Czas na zimny prysznic.

Pora rozpocząć przedstawienie.

Przyspieszone kompozytowanie było ryzykowne, a chcąc uzyskać największą spójność kognitywną, musieliśmy znaleźć się w największej fizycznej bliskości. Nancy musiała być ze mną, żeby zredukować wywołane odległością opóźnienia między naszymi połączonymi układami nerwowymi, ale to na mnie spoczywał ciężar intensywności przyspieszenia, a poza tym musieliśmy pozbyć się jakoś powstałej w jego efekcie energii. Przenieśliśmy się do łazienki i napełniliśmy dużą wannę wodą z lodem – mimo całej technologii, którą mieliśmy do dyspozycji, była to nadal najprostsza

i najskuteczniejsza metoda schłodzenia wysoce zenergetyzowanego ciała.

Spojrzałem nerwowo na Nancy.

– Gotowa?

Kiwnęła głową i zaczęła się rozbierać, choć w projekcji pśis nadal pozostawała w skromnej bieliźnie. Zrobiłem to samo i podeszliśmy do wanny z zimną wodą, trzymając się za ręce, otoczeni milczącą resztą naszej bandy.

– Powodzenia – powiedział Vince i uściskał nas oboje.

Spojrzałem w oczy Nancy. Drżała.

– Kocham cię, Nance. Nie martw się, mam wszystko w małym palcu.

Kiedy weszliśmy do lodowatej wody, objąłem ją delikatnie fantomami, a ona wtuliła się we mnie, wpuszczając mnie w tysiące hiperprzestrzeni, w których się połączyliśmy. Nasze wirtualne ciała zamknęły się wokół siebie jak skrzydła anioła, otaczając nas ochronnym kokonem zupełnie nie z tego świata.

Byliśmy razem również w świecie fizycznym, obejmując się w lodowatej wodzie. Tuląc jej głowę do piersi, rozpocząłem sekwencję kompozytowania i setki miliardów neuronów w moim układzie nerwowym zaczęły wirtualnie łączyć się ze swymi odpowiednikami w ciele Nancy. Nasze umysły stapiały się w jedno.

– Oddychaj bardzo powoli – zwróciłem się do niej – a przy każdym wydechu zwiększymy nieco przyspieszenie.

Zamknąłem oczy, pozwoliłem, by moja świadomość połączyła się ze świadomością Nancy, a potem poczułem, jak mnie wypycha, rozszczepiając na tysiące odłamków i rozprzestrzeniając po całym wielowszechświecie. Nasze umysły i ciała zaczęły przyspieszać, a przeze mnie płynął informacyjny ocean, który filtrowałem, by wyczuć pływy mające cokolwiek wspólnego z Atopią.

Odprężyłem się w naszym nowym wspólnym „ja”, pozwalając Nancy, by rozpraszala nas na zewnątrz. Z każdym oddechem zwiększałem szybkość przyspieszenia, akcelerując ul naszego umysłu coraz bardziej i coraz dalej, obejmując nim coraz większe połacie tego, co na zewnątrz. Przy ostatnim głębokim wdechu przebiliśmy się przez niewidzialny mur uniwersalnej świadomości.

Czas stanął, przestał istnieć.

Staliśmy się alfą i omegą, i wszystkim tym, co pomiędzy.

24

Tożsamość: Jimmy Scadden

To nie było łatwe.

Perspektywa przeciągnięcia pracującego reaktora termojądrowego z milionem żyjących obok niego ludzi przez środek dwóch zderzających się huraganów była wystarczającym powodem, żeby osiwieć.

Lecz mimo narastającego napięcia zachowałem niezwykłą klarowność umysłu. Byłem rześki, miałem poczucie celu, rozpierała mnie energia.

Nigdy w życiu nie czułem się lepiej.

Kesselring przekazał mi dowodzenie taktyczną operacją. Moja pierwotna podmiotowość dryfowała teraz na krawędzi kosmosu, wpatrując się w nakładki nieustannie odświeżanych symulacji. Daleko pode mną cyklony wpadały na siebie. Z tej odległości wszystko przebiegało jak w spokojnym, uporządkowanym, zwolnionym tempie, ale gwałtowność tego, co działo się na powierzchni morza, zapierała dech w piersiach. Większość lasów Atopii już przestała istnieć.

Wykorzystywałem Samsona jako pierwotny interfejs medialny i wspólnie pracowaliśmy nad tym, by zbagatelizować sytuację. Pytania i komentarze, które otrzymywaliśmy, były niezwykle ciche, ale nie miałem czasu, by zbadać przyczynę niskiej głośności. Więc albo wykonywaliśmy doskonałą robotę w opanowywaniu sytuacji medialnej, albo też działo się coś innego, ale moją uwagę zaprzętały ważniejsze sprawy.

Po incydencie z Infinixem Kesselring odsunął Patricię od kontaktów z mediami. Jej bliskie związki z Nancy nie rokowały dobrze na przyszłość. Przypuszczam, że Kesselring przestał jej ufać, a z drugiej strony nie

potrzebował jej już więcej.

Początkowa, napędzana emocjami kampania medialna koncentrowała się na zaskarbieniu sobie pewności i zaufania w naszych staraniach o zdobycie aprobaty regulatorów rynku. Ta ciężka praca – uzyskanie zaufania ekspertów i rządów – dobiegła końca, a Atopia miała w kieszeni certyfikaty testów klinicznych w większości ważniejszych jurysdykcji.

Pozostało nam tylko natchnąć masy, żeby zapragnęły dla siebie psis. Doktor Granger przejął komunikaty medialne i dostarczał uwznioślających przekazów. Gdyby przyjrzeć im się z bliska, okazałoby się, że były zupełnie pozbawione treści, ale w tych czasach już nikt nie poświęcał niczemu tak szczegółowej uwagi. Granger wykorzystywał mnie – młodego, przystojnego człowieka w wyprasowanym białym mundurze SOA – w kampanii medialnej zamiast Patricii. Stałem się ikoną Atopii i przyszłości, która miała nadejść.

Stałem się celebrytą.

Lecz to wcale mi nie pomogło w kontaktach z Amerykanami, którzy z krzykiem domagali się od nas opuszczenia płytkich wód przybrzeżnych. Kiedy wpłynęliśmy na ich wody terytorialne, udało im się uruchomić własne systemy obrony. Eskadry starych F-35 i roje dronów krążyły wokół Atopii. Marynarka wojenna USA otoczyła nas z bazy w San Diego, a my trzymaliśmy się jak najdalej na krawędzi sztormów. Nie mieliśmy szybkości manewrowej zwykłego okrętu czy statku – inaczej nie tkwilibyśmy tutaj.

Kilka moich odłamków nadzorowało nieustanną wymianę komunikatów z amerykańskimi siłami obrony oraz innymi pływającymi platformami i morskimi osadami, ale znów wymiana ta była dziwnie cicha.

Właśnie otrzymaliśmy od wojsk amerykańskich potwierdzenie zgody na uruchomienie naszych systemów broni. Nawet się nie kłócili. Przypisywałem to zaufaniu, jakim obdarzali nasz program, a także moim dobrym stosunkom z generałem McInnisem, co zawdzięczałem Rickowi.

Mimo przerażającej siły ogniowej naszych baterii katapult, mieliśmy bardzo niewielkie okienko na wprowadzenie mojego planu w życie. Nawet kilkusekundowe opóźnienie mogło zakończyć się wessaniem nas przez jeden czy drugi cyklon i wyrzuceniem z miażdżącą siłą na brzeg. Na wszelki wypadek mieliśmy zamiar uruchomić wszystkie inne posiadane przez nas systemy

broni, w tym katapulty elektromagnetyczne i działa szynowe, gdyby trzeba było rzucić do walki cały nasz oręż.

Szybko zbliżała się chwila, od której nie było odwrotu. Byłem już rozgrzany, przyspieszyłem swój umysł, obejmując nim zewnętrzne hiperprzestrzenie wokół Atopii, ale musiałem znaleźć się u szczytu własnych możliwości. Pozwoliłem nadnerczu wypuścić jeszcze więcej kortyzolu i adrenaliny do krwiobiegu i natychmiast poczułem lekkie drżenie fantomów, wzrost ciśnienia krwi i zaczerwienienie policzków.

25

Tożsamość: Bobby Baxter

Nasze umysły zalały miliony wrażeń i idei, doświadczeń i światów. Powoli zaczęła tworzyć się myśl – wskazówka, że coś tu nie pasuje.

W mojej głowie pojawił się obraz Deana, mojego brata, i mnie z czasów, kiedy byliśmy dziećmi. Zawsze przekraczaliśmy granice, sprawdzaliśmy cierpliwość rodziców, a któregoś dnia postanowiliśmy, że poześlujemy przez ponad tysiąc mil otwartego oceanu do Ameryki. Sami.

Mieliśmy wtedy zaledwie po dziesięć lat.

Po tygodniach potajemnego planowania wymknęliśmy się, zacierając za sobą ślady. Nasi rodzice o mało nie umarli ze zmartwienia, kiedy odkryto nasze zniknięcie. Dopłynęlibyśmy do kontynentu, znajdowaliśmy się już w połowie drogi, tyle tylko, że zaczęły nam się kończyć zapasy sprytocytów. Byliśmy zupełnie zdrowi fizycznie, pogoda nam sprzyjała, ale nieprzyjemne, bolesne uczucie odstawienia kazało nam zawrócić.

Mój umysł unosił się ponad umysłami miliona Atopijczyków kryjących się pod pokładem wyspy, oczekujących na nadciągające huragany. Kiedy nadszedł rozkaz ewakuacji, tysiące turystów opuściło Atopię w ciągu kilku godzin, ale niemal żaden z rdzennych mieszkańców wyspy nie zdecydował się na wyjazd. Zostali, mimo groźby śmierci, otuleni ciepłą kołderką psis. Bali się – lecz nie tego, że zginą. Myśl ta kształtowała się coraz wyraźniej.

To oczywiście, że była wstrząsem, ale trudno było jej się przeciwstawić. Byliśmy jak ci, co chodzą po lesie i nie widzą drzew. Albo jak drzewa, które nie chcą dostrzec lasu.

Wyskoczyłem z wody.

– Sid, wiem, co się dzieje!

Znalazłszy się znów we własnym ciele, zacząłem zamykać miliony węzłów naszego wspólnego umysłu: mojego i Nancy. Wyciągnąłem ją z wody, westchnęła ciężko, kiedy nasze systemy nerwowe rozerwały się niespodziewanie – dyszała i przytulała się do mnie.

– Co?! – wrzasnął Sid. Cała nasza banda siedziała wokół wanny.

Podniosłem uspokajająco rękę.

– Najpierw muszę porozmawiać z Patricią. To nie ma sensu. A może ma? Myślałem, że znam ją lepiej.

Wpatrywali się we mnie z niedowierzaniem, szeroko otwartymi oczyma. Pocałowałem Nancy i natychmiast zniknąłem, wysyłając do sieci Patricii sygnał o najwyższym priorytecie.

Co ona sobie wyobrażała?



Patricia przyjęła mój sygnał już za pierwszym razem i z miejsca otworzyła przede mną swoje kanały sensoryczne. Pojawiłem się w jej wybitym drewnem gabinecie, siedząc na krześle dla gości. Ona sama siedziała za biurkiem i wyglądała tak, jakby się mnie spodziewała.

– Wiem, co robisz! – wyrzuciłem z siebie. Rzucanie takich oskarżeń było ryzykowne, a nawet niebezpieczne, ale miałem wrażenie, że dobrze znam Patricię. I to czyniło wszystko jeszcze bardziej zdumiewającym. – Chcesz zabić Vince’a – dodałem niemal bez tchu. – Programy zbrojeniowe psis... wiem o nich wszystko. I to ty stoisz za tymi zniknięciami? Ukradłaś ciało Willy’ego? Sabotowałaś Infinixx? Dlaczego to robisz?

Westchnęła i strzepnęła popiół z papierosa do kryształowej popielniczki.

– Nie mam nic wspólnego z Willym i zniknięciami – odpowiedziała. – I z pewnością nie sabotowałam Infinixxa.

– Więc zaprzeczasz? – Miałem dowody na to, co zrobiła. – I nie chcesz zabić Vince’a?

Skończyła i zgasła niedopałek. Wzięła głęboki oddech.

– Nie, nie chcę zabić Vince’a. Chcę tylko, żeby był czymś zajęty.

Wpatrywałem się w nią z niedowierzaniem.

– Dodam jeszcze – ciągnęła – że po śmierci twojego brata byłem przeciwna temu, co się stało, ale twoja rodzina na to nalegała, ty sam zresztą też. – Upiła łyk szkockiej. – Oczywiście Granger wykorzystał was jako kolejny przykład unikania nieszczęść za pomocą psis.

– Tak, to było zabójcze zastosowanie, zgadza się – rzuciłem. – Dlaczego to robisz?

Uśmiechnęła się lekko.

– Skoro już do mnie przyszedłeś, może wyjaśnisz mi, co rozumiesz pod pojęciem „to”?

Aż otworzyłem usta.

– Chcesz wiedzieć, czym jest „to”? Zaraz ci powiem. „To” jest uzależnieniem świata od wirtualnej heroiny! Oto czym to jest!

26

Tożsamość: Patricia Killiam

Zapadła cisza, czekałam aż Bob się uspokoi.

– Masz rację. Psis bardzo uzależnia w niekontrolowanym środowisku – przyznałam, upijając kolejny łyk szkockiej. – Ale uzdrawia ciało. Użytkownicy psis będą żyli zdumiewająco długo.

– Będą żyli długo, żeby wyssać z nich jak najwięcej forsy, czy tak?

To zaskakujące, że zdołał odkryć program zbrojeniowy psis. Sama do niedawna o nim nie wiedziałam. To była jedna z tych rzeczy, które ukrywał przede mną Kesselring. Dowiedziałam się dzięki Sintilowi8.

Bob gestykulował gniewnie.

– Ludzie, którzy bezpośrednio stymulują własne ośrodki przyjemnościowe, zwiększają produkcję dopaminy, podłączają się do wywołujących przyjemność światów... Jak coś takiego może nie uzależniać?!

– Szczerze mówiąc, jestem zaskoczona twoim nagłym umiarkowaniem – odparłam. – O ile pamiętam, korzystałeś z tego w całej pełni.

– Nie o to chodzi. Chodzi o to, że ukrywasz przed światem, jak bardzo to uzależnia.

– Granger znalazł sposoby na obejście obwodów uzależnieniowych...

– No jasne! – syknąłem. – Jestem pewien, że będą działać bez zarzutu i założę się, że będą słono kosztować.

Westchnęłam.

– Wiem, jak to wygląda w twoich oczach, ale musieliśmy zdobyć aprobatę regulatorów rynku najszybciej, jak się dało. Nie stać nas było na to, żeby cały proces utknął w martwym punkcie.

– Więc chodziło tylko o to, żeby jak najszybciej dostać się na rynek?

Kiwnęłam powoli głową.

– Mówiąc najogólniej, tak.

– I po to zachęcałaś ludzi, żeby mieli symulaki, żeby żyli w świecie fantazji! – ciągnął wściekle, coraz bardziej podekscytowany. – Ale to nie jest jeszcze najgorsze, pomyśl o tych, których uzależniłaś od emo-pornografii, o ćpunach mydlanych oper, którzy żyją jak wampiry w pasożytniczej rzeczywistości. Byłaś gotowa zrobić wszystko, żeby ich uzależnić od swojej wirtualnej hery!

Bob nie był jedyną osobą, która się wściekała. Ja też byłam zła. To prawda, odpowiadałam za wprowadzenie tego wszystkiego w ruch, ale później musiałam przystać na wiele zgniłych kompromisów. Na mnóstwo rzeczy, z którymi się nie zgadzałam. Symulowane dzieci, symulaki, były pomysłem Grangera – chodziło o zmniejszenie rozrodczości na wyspie. Sam pomysł nie był taki zły, ale to, co później działo się z symulakami i do czego je wykorzystywano, było odrażające. Nigdy się na to nie godziłam, podobnie jak na mnóstwo innych rzeczy.

Mój własny gniew kazał mi się bronić.

– Światy fantazji? Doprawdy, Bob! – rzuciłam podniesionym głosem. – Masz własną wielowymiarową statystykę bodźców, w dodatku bardzo popularną, a emo-pornografia nie jest czymś, na co się zgadzałam. A poza tym, odkąd to marnowanie przez ludzi życia na programowanie sobie rzeczywistości stało się naganne?

– Nie o to chodzi! Zorganizowałaś to wszystko tylko w jednym celu: żeby zmienić cały świat w uzależnionego od ciebie ćpuna! – Świdrował mnie rozgorączkowanymi oczyma. – Pojawiasz się na scenie każdego dnia, wychwalając korzyści psis: ekologia, zwiększenie wydajności, swobodne, niczym nieograniczone podróże, życie wieczne! Zmusiłaś Nancy do tego samego! Ile ona wie? Co?

Rozłożył szeroko ręce.

– Wielka Patricia Killiam, matka chrzestna całej rozszerzonej rzeczywistości, słynna i ciesząca się zaufaniem na całym świecie... A w ostatecznym rozrachunku zwykła handlarka narkotykami.

Piorunował mnie wzrokiem.

– To, co mówisz, jest prawdą – oznajmiłam spokojnie. – Ale korzyści są również bardzo wymierne i rzeczywiste.

– Pierwsza działka za darmo, a potem zgarniasz forszę. Czy nie na tym polega cały plan? Rozdajecie to za darmo przez kilka pierwszych miesięcy.

– Na tym polega plan – przyznałam, kiwając głową z rezygnacją. – Być może wiesz, co robimy, ale nie wiesz dlaczego.

– Och, wiem doskonale! – zaprotestował. – Dla pieniędzy i władzy! Cały świat trafia szlag, a wy jesteście jak sępy żerujące na truchle.

Pozwoliłam, by ten surowy osąd wybrzmiał przez kilka sekund.

– Istotnie, cały świat, jak powiadasz, trafia szlag, ale nie jestem pewna, czy zdajesz sobie sprawę, jak daleko to zaszło. Chodź, chcę ci coś pokazać.

Obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem.

– Chodź, proszę – szturchnęłam go fantomami.

Z ociąganiem oddał mi kontrolę, a ja zabrałam go przez wewnętrzną przestrzeń na ulicę w mieście. Ale nie na zwykłą ulicę – zabrałam go na ulicę, która jeszcze dymiła po jakimś kataklizmie, który spalił całe miasto. Wszędzie leżały ciała, spod poszarpanych ubrań wyzierały spalone ciała i kości.

– Rozejrzyj się – powiedziałam. – Tak wygląda przyszłość bez psis.

Nie zrobiło to na nim wrażenia. Codzienne przekazy z wojen pogodowych uodporniły wszystkich na najbardziej przerażające widoki.

– Więc masz zamiar powstrzymać wojny za pomocą psis?

– Nie możemy zrobić tego bezpośrednio, ale możemy usunąć samą przyczynę wojen.

Przesunęłam naszą projekcję i nasz punkt widzenia w kosmos, wysoko nad Ziemię, i przyglądaliśmy się małym wybuchom światła oraz towarzyszącym im falam uderzeniowym na powierzchni planety.

– Masz przed sobą toczącą się pełnowymiarową wojnę nuklearną. Tak wygląda większość prognoz dla rasy ludzkiej.

– Ale nie wszystkie!

Cofnęłam nasz punkt widzenia jeszcze bardziej, ukazując mu tysiące, a potem miliony alternatywnych prognoz dla Ziemi, która w każdej z nich płonęła w apokaliptycznej pożodze.

– Można zmienić los jednostki – tłumaczyłam – ale nie da się zmienić kursu,

którym podążają połączone losy miliardów ludzi. To tak jak z supertankowcem: od pewnego momentu nie da się go już zatrzymać. Na tej planecie żyje ponad dziesięć miliardów ludzi, a każdy z nich marzy tylko o jednym: o zaspokojeniu własnych potrzeb materialnych, a nawet o luksusie. Ta planeta nie jest w stanie sprostać ich wymaganiom, więc walczą o to, co z niej zostało.

– Więc tak czy inaczej świat skończy się apokalipsą? – Zmarszczył brwi. – Trudno mi w to uwierzyć.

– I słusznie. Bo jest wyjście.

Cofnęłam nasz punkt widzenia jeszcze dalej i rozszczepiłam miliardy przyszłych światów, umieszczając je w sensorycznych ramach Boba. – W przeważającej części scenariuszy, niemal we wszystkich, udaje nam się uniknąć Armagedonu.

Apokalipsa nie była czymś najgorszym, co mogło spotkać ludzkość. Szybki koniec byłby błogosławieństwem w porównaniu z tym, co zapowiadały prognozy – powolną, ciągnącą się przez dekady agonią w męczarniach: ginącymi wraz z ogrzewaniem się Ziemi całymi populacjami, załamującym się ekosystemem, głodem, zarazami, niekończącymi się nigdy wojnami i ludobójstwem.

Przez następne pięćdziesiąt lat liczba ludności spadnie z dziesięciu miliardów do zaledwie kilku. To działo się już na naszych oczach, o czym świadczyła szybko zmniejszająca się rozrodczość. Wojny klimatyczne były dopiero początkiem. Miliardy ludzi są już skazane na cierpienia i straszliwą śmierć.

Sieć Boba przyswajała dane, które mu przesyłałam.

– Ale przecież... – odezwał się cicho – ...musi być jakieś wyjście?

Pokręciłam głową.

– Należałam do zespołu, który w połowie lat siedemdziesiątych XX wieku stworzył pierwsze symulacje dla Klubu Rzymskiego. Od dawna wiemy, co nas czeka.

Teraz czekałam, aż Bob to pojmie.

– Nie myśl, że nie próbowaliśmy czegoś innego – westchnęłam. – Ta sama opracowana przeze mnie, wypaczająca futurologiczne prognozy technologia,

która służyła nam do straszenia Vince'a, miała pomóc nam w zmienianiu biegu osi czasu.

– Więc usiłowałaś manipulować losami całego świata? – zapytał z niedowierzaniem, ale już bez złości Bob.

– Zbyt późno i zbyt nieporadnie. Konstruując Atopię, sprawdzaliśmy niezliczone kombinacje wydarzeń. Bez względu na to, jak je zmienialiśmy i w którą kierowaliśmy je stronę, okazywało się, że zanim planeta na powrót odzyska równowagę, zginą miliardy ludzi. Dla ludzkości nie ma miękkiego lądowania. Alternatywa wymaga ogromnego wspólnego wysiłku.

Przerwałam.

– Jedyne rozwiązanie zagłady wymagało globalnej, drastycznej redukcji masowej konsumpcji materialnej. Teraz musimy posłać większość mieszkańców świata do rozszerzonej rzeczywistości, musimy zmusić ich do zapadnięcia w wirtualną śpiączkę, żeby konsumpcja materialna w świecie „rzeczywistym” spadła niemal do zera. I musimy działać szybko. Musimy zwiększyć rozrodczość. Kiedy to zrozumieliśmy, powstający właśnie program psis przekształcił się z komercyjnego przedsięwzięcia w projekt zbawienia ludzkości.

Wróciłam z Bobem do mojego gabinetu. Siedział oszołomiony na krześle.

– Chcąc zachować stabilność głównej osi czasu, musieliśmy ukrywać nasze zamiary – dodałam. – W przeciwnym razie, cały świat chciałby nas powstrzymać.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że tylko my zdołaliśmy to przewidzieć?

– Oczywiście, że nie – westchnęłam. – Rządy od bardzo dawna korzystają z prognoz futurologicznych w takiej czy innej formie, ale używają ich tylko po to, by zaplanować własną drogę rozwoju: maksymalizującą zyski. Świat stanął przed gigantycznym problemem przypominającym niekooperacyjny dylemat więźnia[9].

– Ale wy macie cudowne rozwiązanie, które zupełnie przypadkowo maksymalizuje wasze zyski. Chcesz mi wmówić, że Kesselring i Granger weszli w to, żeby ocalić planetę?

– Czasem trzeba zawierać niewygodne kompromisy dla wspólnego dobra.

– A co z ONZ?

– Organizacje międzynarodowe wieszczą katastrofę od dobrych stu lat. Ale nikt ich nie słucha.

Zapadło milczenie, podczas którego przypatrywaliśmy się sobie badawczo.

– Obie te sprawy toczyły się równolegle, Bob, musisz to zrozumieć. Kiedy załamały się nasze alternatywne prognozy, przeprowadzaliśmy akurat testy kliniczne. Stało się jasne, że będziemy musieli ukryć niektóre wyniki wskazujące na uzależnienie. Inaczej nie uzyskalibyśmy zgody regulatorów rynku.

– Nie sądzisz, że okłamywanie całego świata jest czymś złym?

Roześmiałam się. Głośno i gorzko.

– Nikogo nie okłamaliśmy. Nie ujawniliśmy tylko całej prawdy. Ludzie mają zdumiewającą umiejętność wierzenia w to, w co chcą wierzyć, i ignorowania oczywistości.

– Więc plan polega na tym, żeby uzależnić miliardy ludzi od psis, z tobą jako jedynym dostawcą.

Nie miałam już siły się bronić.

– Dajemy ludziom to, czego chcą, prawda? Ludzie zawsze chcieli pracować mniej, częściej podróżować i pieprzyć się z kimś innym, bardziej podniecającym, każdego dnia. – Przewróciłam oczami. – Dajemy im dokładnie to, czego zawsze chcieli: nieograniczony potencjał do robienia wszystkiego, posiadania wszystkiego, a przy okazji zapewniamy im zdrowie i dłuższe życie.

Bob wpatrywał się we mnie, milcząc jak zaklęty.

– Czy ludziom naprawdę zależy na tym, żeby świat stał się lepszym miejscem? – zapytałam retorycznie. – Czy raczej chcą, żeby był lepszym miejscem tylko dla nich? Niemal wszystko, co robią, służy ostatecznie im samym.

– Wydawało mi się, że uczyłaś nas – zaprotestował Bob – że ludzie odnieśli ewolucyjny sukces, ponieważ rozwinęli instynkt zaufania i współpracy, który zniwelował nasze samolubstwo.

– Każdy odpowiada za własne szczęście, tak? A życie ma taki sens, jaki sami mu nadamy, nie sądzisz, Bob? – rzuciłam, wiedząc, że te dwa zdania były jego osobistą mantrą. – My tylko dajemy ludziom narzędzia do odnajdowania szczęścia w czymkolwiek zechcą, a przy okazji ocalamy wiele miliardów

istnień. Sam mi powiedz, czy można było postąpić inaczej?

– Jakbym słyszał doktora Grangera!

Potałam wolno mostek nosa. Zaczynała mnie boleć głowa.

– Jeśli Atopia zniknie z powierzchni Ziemi, a program psis nigdy nie wejdzie na rynek, zginą miliardy ludzi.

[9] Problem z teorii gier, wymyślony przez Melvina Dreshera i Merrilla Flooda w 1950 roku. Dylemat więźnia polega na tym, że dwóch graczy, „więźniów”, zyskuje, zdradzając przeciwnika, ale obaj tracą, kiedy obaj zdradzają [przyp. tłum.].

Tożsamość: Jimmy Scadden

Nadeszła chwila prawdy.

Na środku sali Dowództwa SOA wyświetlała się projekcja huraganów z nałożonymi na nie jaśniejącymi, wytyczonymi przez nas przyszłymi drogami Atopii poprzez cyklony. Prognozy się stabilizowały, gdy zbliżaliśmy się do godziny zero. Wszystko układało się w jedną całość, a ja byłem gotów do odpalenia naszych systemów broni.

– Dzięki za wszystko – zwrócił się do mnie Rick, kiedy czekaliśmy na finał. – Cokolwiek się stanie, chcę ci podziękować za pomoc, której udzieliłeś Cindy.

Spojrzałem na niego. Jakże szybko zamieniliśmy się rolami! Był żałosny. Czułem wódę nawet z tej odległości.

– Nie ma za co, komandorze. Odnajdziemy ją, wydobędziemy ją jakoś ze stanu, w którym się znalazła.

Kiwnął głową, a jego przekrwione oczy zatrzymały się na chwilę na moich.

– Jesteś gotów?

– Jestem.

Projekcja z dużej wysokości oddziaływała hipnotycznie. Ogniskowała się na pulsującej kuli Atopii, podświetlonej w pobliżu punktu zderzenia huraganów. Mieliśmy nie więcej niż kilka minut, nie mogliśmy się pomylić.

W sali zapadła martwa cisza, pochłonał nas obraz obu burzowych układów. Wszyscy czekali na mnie. Spojrzałem na Kesselringa, Ricka, a potem na Marie. Patricia nie pojawiła się osobiście, ale wiedziałem, że obserwuje wszystko oczyma prokury.

– Na mój rozkaz uruchomić systemy broni – rzuciłem, czekając na

odpowiedni moment, który musiałem wyczuć przez pozasensoryczną sieć odłamków i przepływający przez nią strumień informacji. Czułem, jak wichura rozdziera powierzchnię Atopii, wyrywając ostatnie drzewa, czułem fale rozbijające się o kadłub.

– Na mój znak... – Podniosłem rękę. – Pięć... cztery... trzy...

Wszyscy wstrzymali oddech.

Czekałem.

Coś mnie powstrzymywało – coś we mnie.

Ktoś we mnie!

Zawahałem się, próbując zrozumieć, co się dzieje. Mijające sekundy ciągnęły się w nieskończoność. I nagle zrozumiałem! To przez cały czas siedziało przede mną, ale nie byłem w stanie tego dostrzec.

Aż do teraz.

– Na Boga, Jimmy! – wrzasnął Kesselring. – Na co, do cholery, czekasz?

28

Tożsamość: Patricia Killiam

– Co on robi?

Bob przestał przemierzać gabinet i spojrzał na mnie. Nie miał dostępu do sali Dowództwa i nie mógł widzieć tego, co widziałam ja. Jimmy trwał w bezruchu, mijały cenne sekundy. Wszyscy wpatrywaliśmy się w niego z niedowierzaniem, a spanikowany Kesselring ryczał bezsilnie.

– Bob, muszę cię opuścić – powiedziałam i bez dalszych wyjaśnień zostawiłam mu mały odłamek siebie, a sama przeniosłam pierwotną podmiotowość do ciała Marie w Dowództwie.

Wszyscy zamarli – wszyscy z wyjątkiem Kesselringa, który przebiegł przez salę, stanął przed Jimmym i chwyciwszy go za ramiona, potrząsał nim z całej siły. Jimmy był zupełnie nieobecny.

Podeszłam do nich i odciągnęłam Kesselringa. Nasze okno zaczęło się zamykać.

– Jimmy! – krzyknęłam. Jego twarz ożyła, oczy poruszyły się i przeniósł spojrzenie na mnie.

To, co powiedział w następnej chwili, zdumiało nas jeszcze bardziej.

– Na mój rozkaz wyłączyć wszystkie systemy broni! – polecił. – Na mój rozkaz natychmiast wyłączyć napęd!

– Wstrzymać wykonanie rozkazów! – zawołałam, cofając jednocześnie uprawnienia technikom.

Wpuściłam fantomy do sieci Dowództwa, próbując przejąć kontrolę nad systemem, który Jimmy blokował przede mną. Myśli platały mi się w głowie. Ci z Terra Nova musieli go jakoś dopaść. Oddaliśmy Jimmy'emu niemal

nieograniczoną władzę na czas tej operacji, postawiliśmy na złego konia.

Więc na tym polegał ich plan.

Z wściekłością rozszczepiłam umysł na setki odłamków i wstrzeliłam je w struktury dowodzenia i kontroli Jimmy'ego w światach wielowszechświata połączonych z Dowództwem.

Kesselring usiłował mi pomóc, ale nie liczył się w tych światach tak jak ja.

Przyspieszyłam rozpaczliwie umysł, rozpoczynając tysiące, a potem miliony ataków, uników i kontrataków na jego cybernetyczną obronę, stawiając milisekundowe prognozy, żeby znaleźć w niej jakiś słaby punkt.

Milisekundy zamieniały się w sekundy, a okno ocalenia Atopii domykało się.

– Ocknij się! – wrzasnęłam do niego.

– Odsuń się, Patricio, ostrzegam cię! – odkrzyknął.

Starliśmy się desperacko ze sobą, a potem...

Wszystko zbiałało w oślepiającym rozbłysku bólu.

Mój umysł składał się na nowo, moje zmysły i metazmysły powoli reintegrowały się, odzyskiwałam wzrok. Dzwoniło mi w uszach, siedziałam na podłodze. Wszyscy w Dowództwie wpatrywali się we mnie ze zdumieniem.

Co to było, do cholery?

Jimmy przyglądał mi się spokojnie.

Chwila, od której nie było już odwrotu, minęła. Atopia znalazła się całkiem bezbronna pomiędzy huraganami. Zostaniemy zniszczeni.

– Niczego nie dotykać – powiedział wreszcie Jimmy. – Wszystko jest pod kontrolą.

29

Tożsamość: Bobby Baxter

Świat był jak sparaliżowany tą sceną.

Ciągle siedziałem w gabinecie Patricii, ale Jimmy zaczął transmitować przekaz z Dowództwa – bezpośrednio i na żywo – do wszystkich światowych kanałów medialnych. Miliardy ludzi przyglądały się zagładzie Atopii. Nie tak to miało wyglądać.

Jimmy górował nad wszystkim, jego obraz zawisł nad zdumioną i bezsilną Patricią Killiam na niezliczonych holoe ekranach i wyświetlaczach soczewkowych na całym świecie.

– Generale McInnis – zawołał. – Wyłączyliśmy wszystkie systemy. Na pańskie żądanie rozpoczniemy sekwencję wyłączania reaktora. Otworzyłem przed panem wszystkie kanały dowodzenia i kontroli. Proszę o potwierdzenie.

Zapadła cisza, a potem odezwał się głos generała McInnisa.

– Jasna cholera, chłopcze, potwierdzam. Co się u was dzieje?

– Zapraszam do nas, generale,.

W Dowództwie pojawił się obraz generała, który rozglądał się z niedowierzaniem po twarzach zgromadzonych.

– Z pewnością, chłopcy, chcecie mi coś wyjaśnić.

Na wszystkich obliczach w Dowództwie odmalowało się zdumienie i wstrząs. A potem i ja pojąłem, co się stało.

Huragany zniknęły.

Wydostałem się z gabinetu Patricii, stapiając się z odłamkami, które rozlokowałem wokół Atopii. Wszystkie widziały to samo – błękitne niebo, spokojne morze, a daleko na horyzoncie spokojne wybrzeże Ameryki. Na

niebie brzęczały gniewnie bacznie obserwujące nas amerykańskie drony, a na morzu otaczał nas pierścień niszczycieli z wycelowanym w Atopię uzbrojeniem.

– Mamy zamiar cofnąć was raketami do epoki kamiennej – oznajmił generał. Wszystko stało się jasne.

Kiedy Jimmy ogłaszał informację, w światach medialnych zaszumiało, a potem zarzycało od najświeższych doniesień. Obywatele Atopii zostali poddani masowej iluzji za pomocą skórki rzeczywistości.

O mało nie wbiliśmy wyspy w amerykańskie wybrzeże, usiłując ocalić Atopię na oczach zaskoczonego i zdumionego świata przed nieistniejącymi huraganami projektowanymi przez zawirusowaną skórkę rzeczywistości.

Atopia najpierw w niewytłumaczalny sposób naruszyła wody terytorialne Stanów Zjednoczonych, a potem zaczęła wściekle odsyłać bezpieczeństwa pasażerską lukstordę. Pośród sprzecznych i mylących doniesień wyspa zamknęła się, odcięła wszelkie kanały komunikacyjne i zaczęła uzbrajać swoje potężne systemy oręża.

Ameryka nie miała wyboru, musiała przygotować się do obrony.

Gdybyśmy uruchomili katapulty i elektromagnesy, generał McInnis, który czuwał z palcem na spuście, zalałby nas gradem taktycznych rakiet nuklearnych, a takiego ataku nie odparłby nawet nasz zautomatyzowany system obronny.

Patricia pojawiła się w gabinecie niemal równocześnie ze mną. Wyglądała na przygnębioną.

A mnie minął gniew, byłem oszołomiony.

– Chwała Bogu, że Jimmy to rozgryzł.

– Nie dziękuj Bogu – odpowiedziała Patricia przyciszonym głosem. – Chcę z tobą o czymś porozmawiać, ale do tej pory nie byłam pewna, czy to zrobię. – Spojrzała na mnie zmęczonym wzrokiem. – Chcę, żebyś wyświadczył mi przysługę.

Czekałem.

– Chcę, żebyś opuścił Atopię, kiedy tylko zdejmą blokadę. Chcę, żebyś zabrał ze sobą Sida, Willy'ego, Brigitte i, błagam, Nancy, i wywiózł ich jak najdalej stąd.

– Dlaczego? – Dlaczego chciała, żebyśmy opuścili wyspę? Nigdy przedtem nawet przez myśl mi to nie przeszło, jeśli nie liczyć tej nieszczęsnej wyprawy z Deanem. Atopia była moim całym światem. Na samą myśl o wyjeździe stąd dostawałem gęsiej skórki.

– Nie mogę ci tego teraz wyjaśnić, ale musisz mi zaufać.

Choć nie byłem już na nią zły, moje zaufanie do niej przestało istnieć.

– Podaj mi jeden dobry powód...

– Po pierwsze – odpowiedziała z wysiłkiem – połączenie Willy’ego z nami poprzez Terra Nova dobiegnie końca po wprowadzeniu przez Jima stanu wyjątkowego. Zostanie skazany na wygnanie. Chcesz, żeby odszedł stąd sam?

Jimmy coś o tym mówił, ale nie brałem tego poważnie pod uwagę.

– Mam przeczucie, że Willy i Sid zostaną oskarżeni o to, co się stało – ciągnęła. – Kiedy tylko zdejmą blokadę, musicie uciec z Atopii.

Wyglądała na bardzo wyczerpaną.

– I proszę, zabierz stąd Nancy – dodała. – I przeproś w moim imieniu Vince’a. Nie mogłam nakłonić Kesselringa, żeby wyłączył system, który go prześladował.

Kiwnąłem głową.

Opuściła wzrok, drżały jej ręce, a potem zamknęła połączenie z gabinetem.

Wróciłem do swojego ciała, które siedziało z Nancy i Sidem, i całą resztą naszej bandy w półmroku kafeterii. Robert wyprowadził je z łazienki, a kiedy mnie nie było, wszyscy rozszczępili się, żeby z wypiekami na twarzy oglądać doniesienia w światach medialnych. Siedzieli teraz jak zaczarowani burzą przetaczającą się przez media.

Tylko Jimmy wiedział i dostrzegł to. Jego zdjęcia – zdjęcia Zbawcy – znajdowały się na okładkach magazynów i na billboardach, pojawiły się natychmiast w milionach metaświatów. Sztuczne kryminalne inteligencje przekopywały się przez ścieżkę wirusa rzeczywistości, odwracając proces hakowania i podążając do źródła, a w mediach rozpoczął się szum, że Terra Nova wypuściła wirusa, żeby zniszczyć Atopię.

Wyływały doniesienia o prognozach mówiących o zagładzie świata, ukrywanych przez Patricję, i o tym, że atopijny program psis miał być dla świata kołem ratunkowym, które Terra Nova usiłowała zniszczyć dla własnej

korzyści. Informacje o prognozowanej nadciągającej apokalipsie stawały się coraz bardziej wiarygodne.

Pojawiły się nawet ekspertyzy oskarżające Patricię o ukrywanie wywoływanego przez psis uzależnienia oraz mówiące o sposobach przeciwdziałania tym zgubnym skutkom. Uśmiechnięty doktor Hal Granger wyjaśniał, w jaki sposób znalazł obejście obwodów uzależnieniowych, by zapewnić użytkownikom całkowite bezpieczeństwo.

Punktem kulminacyjnym wszystkich doniesień były zdjęcia Patricii walczącej z Jimmym o uruchomienie systemów borni. Jimmy zdołał ocalić świat, a wdzięczna światowa publiczność była nim oczarowana.

– Patricia chce, żebyśmy opuścili Atopię. – Tylko tyle zdołałem powiedzieć po powrocie do przyjaciół.

Wszyscy spojrzeli na mnie wstrząśnięci, rozłączając odłamki umysłów od medialnego szaleństwa, by pojąć w całej pełni to, co usłyszeli. Zostawiłem z nimi odłamek, który wyjaśniał to, co zaszło, a sam przeniosłem się na powierzchnię, żeby przekonać się, czy doszło do jakichś zniszczeń w naszej rezydencji, by stwierdzić, czy jestem w stanie coś zrobić i – co najważniejsze – by uporządkować myśli.

Tożsamość: Patricia Killiam

– Powiadają, że nieważne, jak mówią, dobrze czy źle, ważne, by mówili – roześmiał się Kesselring, zjawiając się skrępowany w moim gabinecie. – Tylko jak, do licha, mogłaś pozwolić na zainstalowanie tej zawirusowanej skórki?

Patrzyłam na niego i zaciągnęłam się papierosem.

– Jesteś naszą najstarszą pracownicą naukową – ciągnął. – Musisz wiedzieć, jak to wygląda. Wina za ukrywanie wyników testów klinicznych spada na twoje barki.

Więc jestem kozłem ofiarnym.

Jimmy i Kesselring uprzedzili mój zamiar opublikowania ukrywanych dotąd danych o uzależnieniu. Stali się czyści dokładnie w tym samym momencie, w którym Jimmy rozwiązał tajemnicę huraganów. Zrzucili winę na mnie, ujawniając jednocześnie apokaliptyczne prognozy, dzięki czemu jednym zgrabnym pociągnięciem znaleźli się na piedestale jako wybawiciele, którzy mają globalne lekarstwo na wszelkie niedomagania – program psis.

To wymagało oczywiście rzucenia mnie na stos całopalny.

– Żadne reklamy nie zapewniłyby wam takiego rozgłosu – odpowiedziałam ze zgorzknieniem. – Ale wygląda na to, że już mnie nie potrzebujecie.

Po starciu z Jimmym byłam skrajnie wyczerpana. Wykorzystał jakąś broń psis, żeby mnie ogłuszyć i podporządkować – część arsenału, który Kesselring ukrywał przed światem. Zetknęłam się z czymś takim wcześniej, dawno temu, kiedy na trzynastych urodzinach Nancy ujawniono skrywane przez Jimmy'ego tajemnice, ale teraz on sam był nieskończenie potężniejszy.

– Tutaj zawsze znajdzie się dla ciebie miejsce, Patricio.

Protekcjonalny sukinsyn.

– Więc co się dzieje? – zapytałam znużona.

– Jimmy dodał sterowniki do sieci psis, by coś takiego nie powtórzyło się nigdy więcej.

Byłam zdruzgotana, a on mówił jak w uniesieniu.

– Medialna burza zwiększyła popyt na nasz produkt. Rozpoczęliśmy już prywatną dystrybucję sprytocytów w niektórych ekosferach biznesowych.

Nie miałam nic do powiedzenia, nie mogłam nic więcej zrobić. Kesselring był już przeklęty, ale w żaden sposób nie mogłam mu pomóc. W końcu zrozumiałam, co chcieli powstrzymać Starsi z Terra Nova, ale teraz było już na to za późno.

Stworzyłam potwora, którego pokochałam.

Tożsamość: Jimmy Scadden

Wymknąłem się na powierzchnię, żeby trochę odpocząć, uciec przed medialnym szaleństwem. Dostęp na powierzchnię otwarto zaledwie przed chwilą, a po wyjeździe turystów nikogo tu jeszcze nie było. Na plaży panowała cisza.

Słońce zachodziło za chmurami wiszącymi nisko nad horyzontem, oświetlając je na różowo i pomarańczowo. Usiadłem samotnie pod jakąś pękatą palmą. Znad oceanu wiał przyjemny wiatr, a na łagodnych falach kołysały się pelikany. Westchnąłem, czując spokój, mogąc się wreszcie skupić. Susie wiedziała więcej od kogokolwiek o naturze bólu i cierpienia, nawet więcej ode mnie, i naprawdę mi pomagała. Nigdy nie czułem się lepiej.

Cudowny koniec dnia.

Wpatrywałem się w fale od kilku minut, gdy nagle z lasu po lewej stronie wyłonił się Bob, jego projekcja szła wzdłuż plaży, sama, pogrążona w myślach. O mało byłby mnie nie zauważył, ale dostrzegł i przystanął.

– Jimmy! Niewiarygodne! Ocaliłeś nas! Być może ocaliłeś cały świat!

Bob wyciągnął rękę, ująłem ją i przytrzymałem w uścisku.

– Nie ma z tobą Susie? – zapytał, rozglądając się.

– Była tu przez chwilę, ale musiała gdzieś pójść.

Uśmiechnął się. Spojrzał na zachodzące słońce, na pelikany używające poduszek powietrznych, by ślizgać się przed falami, i niewidzialnych sił aerodynamicznych, by bez wysiłku pokonywać przestrzeń.

– Bob, chciałbym zadać ci nieco dziwne pytanie.

– Strzelaj.

– Gdybyś musiał poświęcić duszę, żeby kogoś lub coś ocalić, czy wiesz, dla kogo lub czego byłbyś gotów na takie poświęcenie?

Spojrzał na mnie pytająco.

– No cóż, poświęciłbym duszę za miłość... za Nancy najprawdopodobniej.

– Tak właśnie myślałem... Ale miło to słyszeć z twoich ust.

– Czy nadal chcesz mi udzielić lekcji surfowania, bo stałeś się teraz grubą rybą?

– Jasne, może wkrótce udzielimy sobie jakichś lekcji. – Puściłem jego dłoń. – Do zobaczenia zatem.

Tożsamość: Bobby Baxter

– Do zobaczenia, Jimmy.

Stałem w miejscu, czując ciepło jego dłoni. Jimmy wstał, żeby odejść, ale zatrzymał się i spojrzał na mnie. Coś najwyraźniej mu ciążyło.

– Byłeś jedyną osobą, która mnie lubiła – powiedział po zastanowieniu. – bardzo to doceniam, naprawdę.

– Kocham cię, Jim – stwierdziłem zwyczajnie. – Jesteśmy braćmi, prawda? Zawsze będę po twojej stronie, bez względu na wszystko.

– Naprawdę? – Zbierało mu się na płacz.

– Oczywiście.

Nie wyglądał na przekonanego.

– Myślę, że ty i twoi przyjaciele powinniście opuścić Atopię.

Przez całe swoje życie ani razu nie słyszałem, żeby ktoś wspominał o wyjeździe na stałe z Atopii. A teraz tych dwoje w ciągu jednego dnia? Poczułem przerażenie.

– Dlaczego?

Jimmy zacisnął usta.

– Mówię tylko, że to dobry pomysł. Im szybciej, tym lepiej.

Z tymi słowami odwrócił się i odszedł w zapadające ciemności.

Tożsamość: Jimmy Scadden

Kiedy odszedłem od Boba i znalazłem się pośród ciemnego leśnego poszycia, zdałem sobie sprawę, że ktoś idzie obok mnie, ktoś nowy, a jednocześnie dobrze mi znany.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała zjawą.

– Co? – Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby zapytać, z kim rozmawiam.

– Dlaczego ostrzegłeś Boba? – odpowiedziało to coś. – Chyba musimy porozmawiać, ty i ja.

Leśne poszycie przede mną ustąpiło miejsca obszernemu, jasno oświetlonemu korytarzowi. Nie, to było coś więcej niż korytarz. Była to długa amfilada pomieszczeń połączonych ze sobą dużymi kwadratowymi przejściami. Siedziałem w środkowym pokoju, a reszta ciągnęła się daleko w obie strony.

Przycupnąłem na brzegu białego drewnianego krzesła.

Na suficie, jakieś dwadzieścia stóp nade mną, ujrzałem delikatne, błękitne jak niebo freski aniołów i cherubinów, otoczone wyrafinowanymi złocistymi płaskorzeźbami. Ozdobne, bogato dekorowane meble stały bez ładu tu i tam, a wszędzie walały się potłuczone butelki, złociste kielichy i nieruchome ciała.

Na jednej ze ścian wisały olejne obrazy w ciemnych ramach, przedstawiające umundurowanych ludzi na koniach – dowodzili bitwami. Na przeciwnej ścianie znajdowały się sięgające od sufitu do podłogi witrażowe okna, wychodzące na nieskończenie wielki, idealnie utrzymany ogród. Ogród otaczał długi, odbijający światło staw. Przez okna między ciężkimi fioletowymi, aksamitnymi kotarami, przewiazanymi złocistym sznurem,

wlewało się słońce.

Wszędzie cuchnęło szczynami, a kiedy o tym pomyślałem, jeden ze śpiących, jakby na mój znak, podniósł się i powędrował, szurając nogami, do najbliższego narożnika, gdzie zaczął oddawać mocz na pogrążonych we śnie hulaków.

– Wybacz ten bałagan – powiedziała zjawa, która przybrała teraz rzeczywistą postać i wyciągnęła się przede mną na szezlongu. – Mieliśmy tu dziś duże przyjęcie.

Poprawił koronkowe mankiety przy rękawach mundurowej bluzy, a potem blond perukę, która opadała ciasno skreconymi lokami na jego pobieloną twarz z uszmkowanymi jaskrawoczerwono ustami. Pochyliwszy się, wygładził fałdę na obcisłych czarnych bryczesach i podniósł głowę, by uśmiechnąć się do mnie wstydliwie.

Gruba warstwa tuszu do rzęs, którym miał pomalowane oczy, rozmazała się, nadając mu komiczny, a przez to groźny wygląd. Oczy lśniły jasno – moje oczy.

– Nie wygłupiaj się, to chyba nie jest dla ciebie niespodzianką?

Poczułem się nieswojo. Czy to jakiś odłamek? Zbuntowana subprokura? Gość z przyjęcia skończył sikanie i odwrócił do ku nam, przecierając leniwie oczy, które nagle zrobiły się wielkie.

– Delfinie! – szepnął ledwo słyszalnie. Był wyraźnie podekscytowany, widząc mnie tutaj.

– Czego chcesz? – zapytałem. To wszystko było mi lepiej znane, niż byłem gotów przyznać.

– Ach... – odpowiedział mój sobowtór – ...nie chodzi o to, czego ja chcę, braciszku, lecz o to, czego obaj chcemy. Ty i ja, Jimmy. A przy okazji, mam na imię James.

Wykonał przede mną skromny ukłon. Goście zaczęli się budzić, zachęceni przez pierwszego, który szeptał coś do nich nerwowo. Powietrze wypełniły ciche odgłosy pobrzękujących butelek i zmieniających pozycje ciał.

– Powiedz mi, Jimmy – zaczął mnie strofować James, marszcząc przy tym brwi. – Czy naprawdę uważasz, że twój szybki awans na tak wysokie stanowisko był dziełem szczęśliwego zbiegu okoliczności?

Uśmiechnął się szeroko, ukazując rzędy żółtych zębów i duże ostre kły

poniżej błyszczących czarnych oczu. Woskowy makijaż na jego twarzy zaczął pękać, kiedy się uśmiechał. Przekrzywił swawolnie głowę.

– Koniec z ukrywaniem się – ciągnął, kręcąc głową i wzdychając. – Nie jesteśmy już dziećmi. Świat nas potrzebuje.

Kilku gości usiadło i wpatrywało się w nas zachłannie z odległego rogu pokoju. Samson też tutaj był i przyglądał mi się z innego odległego rogu. Zacząłem rozpoznawać niektóre z otaczających mnie twarzy, byli to moi przyjaciele z dzieciństwa, których wymyśliłem, by czuć się bezpiecznie, by mieć towarzystwo, by móc się ukryć w najbardziej sekretnych miejscach.

– Zawsze wiedziałeś, że tu jestem, Jimmy – powiedział, zerkając na Samsona, który kiwnął mu głową na powitanie. – Większość ludzi z naszym... eee... schorzeniem, nie spotyka swoich drugich połówek... To, że się spotkaliśmy, jest kolejnym z cudów psis.

James znów się uśmiechnął.

– Chronimy cię już od bardzo dawna. – Wskazał gestem zgromadzonych, niekształtnych gości. Wszyscy już się obudzili i otaczali nas coraz ciaśniejszym kręgiem. – Twoje dzieci czekają na ciebie.

Byli bardzo blisko, a James wyciągnął rękę i dotknął jednego z nich, który usiadł obok niego; położył mu czule dłoń na głowie.

– Czy miewasz jasny umysł ostatnimi czasy? – zapytał James z uśmiechem, mierzwiąc włosy faworyta, a potem przenosząc wyczekująco wzrok na mnie.

– W istocie, tak – musiałem przyznać, czując na sobie gorący oddech tych stworzeń. – Przez kilka ostatnich lat mój umysł uzyskał taką jasność, że...

– Że co? Że dostrzegłeś coś, czego nie zauważałeś wcześniej? Że ból oczyszcza umysł, prawda, Jimmy?

Kiedy wypowiedział te słowa, zgromadzeni błysnęli oczami i pochylili się jeszcze bliżej ku mnie.

James rozszczepił nas w sensoryczny imprint mojego prywatnego świata, który spaliłem tak dawno temu, po urodzinach Nancy. Karmił ból stworzonek wijących się na ścianach – moich ośrodków przyjemnościowych.

Zadrzałem i westchnąłem.

– Przyjemne, prawda? – zapytał z uśmiechem. – Ale nie jesteśmy już dziećmi.

Kolejny odłamek nałożył na to nową scenę – mężczyznę, którego znaleźmy

w dzieciństwie, Steve'a. Pracował wraz z ojcem w brygadzie akwaponicznej. Przez głowę przemknął mi obraz Steve'a i ojca zabawiających się potajemnie z symulakami po pracy.

W świecie, do którego wprowadził nas James, Steve rozpaczliwie wymacywał drogę w ciemnej płataninie krzaków. Ktoś go ścigał. Nagle powietrze przeciął błysk metalu, Steve krzyknął przerażony, a atakujący zadawał mu kolejne ciosy nożem. Rozbłysk jego bólu przepływał przez mój system niczym deszcz zraszający wyschniętą pustynną równinę.

– Nie tylko ból – wyjaśniał James. – Dzięki starannym badaniom naszego przyjaciela, doktora Grangera, potrafimy rozpoznać bezpośrednie nerwowe odciski strachu, beznadziejności, winy, setki warstw najrozpaczliwszych uczuć, i tworzyć z nich prawdziwą symfonię smutku.

Wstał, otoczony przez naszych totumfackich, trzymając dzban czerwonego bordeaux w jednej ręce, a duży kryształowy kielich w drugiej.

– Ach, słodka muzyka samotności – zawołał śpiewnie, a jego kolejny odłamek przywołał wędrującą rozpaczliwie po świecie Olympię Onassis. Jej samotność rozbrzmiewała w mych kanałach audio łagodną, płochliwą pieśczętą, którą czułem na skórze.

– Odrobina cierpienia – dodał James, a w kolejnym odłamku pojawiła się Cindy Strong stojąca nad grobem małego Ricky'ego. Czułem, jak jej żal wypełnia mi usta – bolesna słodycz przyczerniona cierniem.

– I delikatne muśnięcie beznadziejności oraz rozpachy – roześmiał się. W metaświecie pomiędzy nami pojawił się doktor Granger. Był u lekarza i czytał właśnie diagnozę jakiejś bolesnej, śmiertelnej choroby. Jego strach przed światem, który o nim zapomni, krążył w naszych żyłach jak muzyka.

– I ból, oczywiście ból – oznajmił James.

Setki innych światów rozszczepiły się w moim systemie sensorycznym, karmiąc go przerażeniem, ranami i dojmującym bólem. Widziałem płonących ludzi i ludzi zarzynanych w ich własnych prywatnych piekłach. Westchnąłem z rozkoszy, moje ciało pustoszyła błogość. Spojrzałem na Jamesa, ocierając łzy z oczu.

Widziałem, jak przechwytywał te dusze jedna po drugiej, spełniając ich pragnienia, póki z własnej woli nie oddały mu – nam – pełnej kontroli nad

sobą. Zwieńczeniem tego wszystkiego była Susie, przez której układ nerwowy przepływał cały ból i całe cierpienie świata. Znosiła męczarnie świata... a teraz będzie znosiła cierpienia naszego świata.

– Dajemy ludziom to, czego chcą – powiedział James, obnażając w uśmiechu żółte kły. – A oni w zamian dają nam to, czego pragniemy. To sprawiedliwa wymiana, nie?

Kiwnąłem głową, wszystko rozumiejąc, moje ciało i umysł śpiewały od zgromadzonej energii.

– Mając kontrolę nad kodem źródłowym, zapewniamy sobie dostęp do ich wspomnień, znamy ich marzenia i największe obawy, możemy tworzyć światy, by się nimi sycić według naszej woli i kaprysów.

Grała muzyka, a stworzenia wokół nas kołysały się i tańczyły, doprowadzając się powoli do transu. Muzyka przyspieszyła wraz z moim umysłem, a ja pławiłem się w zmysłowym połączeniu ciała z setkami metaświatów, w których uwięziliśmy naszych poddanych. Ich przerażenie krążyło we mnie. James podał mi kielich wina, a ja odebrałem go w podnieceniu, rozchlapując czerwony płyn na biały mundur SOA krwawymi plamami.

– Ból i strach oczyszczają umysł, Jimmy – powiedział James, odbierając ode mnie pusty kielich. – A twój umysł musi być całkiem jasny w oczekiwaniu na to, co nadejdzie.

34

Tożsamość: Patricia Killiam

– Przypuszczam, że diagnoza kliniczna brzmiałaby tak: jest sadystycznym socjopatą z zaburzeniami dysocjacyjnymi – powiedziała Marie.

Podniosłam głowę znad biurka i kiwnęłam nią. Zdołałyśmy poskładać razem to, co się działo. Przerazające.

– Ale nie powinnaś się teraz nad tym zastanawiać – dodała. – Przekażę to Bobowi.

W mojej głowie pojawił się obraz Sziwy – wielkiego stwórcy i niszczyciela. Przymknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech. Jimmy był dobry w zacieraniu śladów. Tylko jeden incydent na urodzinach Nancy dał nam wgląd w stan jego umysłu, lecz nawet wtedy tylko przelotnie. Przelotnie, ale bardzo niepokojąco, a ja sama pogorszyłam jeszcze sprawy.

Był jak kleszcz w futrze niedźwiedzia, dokopywał się do najgłębszych pokładów programu. Wykorzystał mnie, naciskając właściwe guziczki, by dostać to, czego chciał. Nawet jako dziecko. Największym problemem było jednak to, że nawet wtedy nie potrafiłam go przejrzeć.

– Naprawdę sądzisz, że to on stoi za zniknięciami Susie i Cynthii? – zapytałam Marie. Teraz było już oczywiste, że stał za tym, co przydarzyło się Cindy Strong i Olympii Onassis, ale w obu tych przypadkach chciał osiągnąć własne cele strategiczne. Nie wiedziałyśmy, co mógł zyskać w wyniku pozostałych zniknięć.

– Dlaczego miałyby zwracać w ten sposób na siebie uwagę? Porywając bliskie sobie osoby?

– Może nie zdaje sobie sprawy z tego, co robią pozostałe części jego

osobowości? – zastanawiała się głośno Marie. – Inaczej nie przeszedłby przez nasze testy psychologiczne, choć trudno orzec. Zainstalowanie psis w dojrzewającym mózgu niestabilnego socjopaty stworzyło coś... nowego, jak przypuszczam.

Oszukiwanie jest bardzo wymagającą aktywnością kognitywną, zostawiającą wyraźne ślady bez względu na to, jak wprawny jest kłamca. Ale prawdziwie oszukując siebie, można uniknąć zdemaskowania przez innych. Ryzykuje się wtedy utratę kontaktu z rzeczywistością – co pogłęбилиśmy za pomocą psis.

Im większa kora nowa i im wyższa inteligencja, tym częściej organizm skłania się ku kłamstwu wobec siebie i innych, a Jimmy był najsprytniejszym organizmem, z jakim kiedykolwiek miałam do czynienia. Nie miałam pewności, czy da się go jeszcze zaklasyfikować do istot ludzkich.

Bez względu na to, kim się stał, był mistrzem mistyfikacji.

– Nie mamy żadnych dowodów na to, że rodzice wyrządzili mu krzywdę. To są pogłoski, które sam rozgłaszał – powiedziała Marie. – Myślę, że skonstruował iluzoryczny świat, w którym był wykorzystywany i zrobił to tylko po to, by usprawiedliwić swoje zachowanie.

– Zaburzenia dysocjacyjne są niemal zawsze efektem wykorzystywania w dzieciństwie. Jeśli nie wykorzystywali go rodzice, to kto?

Marie spojrzała na mnie i pokręciła głową.

– Jeśli zdołał oszukać sam siebie – westchnęłam – to z pewnością nie miał trudności z oszukiwaniem nas.

Zastanawiałam się nad sposobami, w które sama oszukiwałam siebie, żeby znaleźć się w tym punkcie.

Przez dziesiątki lat badań nad sztuczną inteligencją opracowałam modele statystyczne dawnych ludzkich cywilizacji, które ujawniły wysokie skorelowanie między skłonnością do zwodzenia siebie przez jakiś lud a największymi okrucieństwami, jakich ów lud się dopuszczał. Psis wzmocnił ludzkie umiejętności pod wieloma względami, zwiększając naszą zdolność do okłamywania siebie w stopniu krytycznym, a my mieliśmy zamiar przekazać program ludzkości jako jej zbawcę.

Droga do piekła naprawdę wybrukowana jest najlepszymi intencjami.

Wszystkie staranne plany obejmujące każdy aspekt programu i kierujące

przyszłość ku jednemu stabilnemu rezultatowi rozpadały się. Z drugiej strony kontrola była zawsze iluzją, kolejnym sposobem oszukiwania siebie.

Powinam była o tym wiedzieć.

Co jest gorsze? Pozwolić, by zginęły miliardy ludzi, czy ocalić je, by żyły w nieustannym cierpieniu pod kontrolą potwora?

Mojego potwora.

Być może nie byłam w stanie ujrzeć tego, co się działo, bez względu na wszystkie wmontowane w system zabezpieczenia. Kiedy życie zaczęło wymykać mi się z rąk, Jimmy wykorzystał mój własny martwy punkt, moje uśpione pragnienie dziecka. Czułam, jak płonie we mnie miłość do niego, choć pojmowałam, że stworzyłam bestię.

Chciałam wierzyć, że da się jeszcze coś ocalić.

– Czy da się usunąć go jakoś z rady? A przynajmniej z Rady Bezpieczeństwa?
– zastanawiałam się głośno.

Marie powiedziała to, co już wiedziałam:

– Zdołał sprzymierzyć się z potężnymi poplecznikami. I jest celebrytą w światowych mediach. Jestem pewna, że ma w rękawie mnóstwo nieprzyjemnych niespodzianek, gdybyśmy stanęły z nim do otwartej konfrontacji.

Kontynuowałam tę myśl:

– A jeśli niczego nie udowodnimy, cała sprawa będzie wyglądała na zrządzenie i utyskiwania starej baby, która wypadła z łask i rzuca kamieniami w szklane domy.

– Więc lepiej niczego na razie nie ujawniamy – zgodziła się ze mną Marie. – Jakąś obroną przed Jimmym mogą się stać kompozyty, do czego należy zachęcać.

– Być może.

– A co z danymi z teleskopu neutrino?

Starłam się utrzymać obserwacje DNO pod absolutną kontrolą, usiłowałam nawet sama o nich zapomnieć. Czy są prawdziwe?

– Odeślij je natychmiast z Atopii – odpowiedziałam. – Chcę, żeby znalazły się jak najdalej stąd. Tylko tyle mogę zrobić.

Jeśli to była prawda, jeśli nie był to jakiś zawirusowany artefakt, skóra

cierpła mi na samą myśl o tym, co Granger i Kesselring mogą zrobić z odkryciem pozaziemskiej inteligencji czy czegośkolwiek, co wysyłało nam sygnały z równoległego wszechświata.

– Wyślij komunikat do społeczności akademickiej, napisz w nim, że to była pomyłka. A klucz do połączenia z pakietem danych oddaj Bobowi i Nancy. Ale tylko im.

– Zajmę się tym, nie martw się.

Patrząc na Marie, nie mogłam uwierzyć, że czuję takie przywiązanie do maszyny, do wirtualnej projekcji, która w rzeczywistości nie istnieje.

Ale z drugiej strony wszystkie nasze dzieci – biologiczne czy inne – zostały stworzone przez nas, więc nie było prawdą to, że Marie nie istnieje. Nigdy wcześniej nie myślałam o niej jako o swoim dziecku, zawsze traktowałam ją bardziej jak siostrę. Ale stworzyłam ją. Może była i dzieckiem, i siostrą równocześnie?

– Przekażesz im wszystko, tak? Wyślij Nancy i Boba po ciało Willy’ego.

– Tak, Patricio...

– Ja tylko...

– Wiem.

Zapadła cisza. Moje ciało znalazło się nad krawędzią przepaści, wiedziałam o tym od dawna.

– Marie, kiedy mnie już nie będzie, chcę żebyś dalej... no cóż... istniała.

– Ale prokury umierają wraz z właścicielami. To wbrew zasadom programu.

– Robiliśmy to już wcześniej – odpowiedziałam z uśmiechem. – Zresztą sprawa jest już załatwiona. Zostawiłam odpowiedni zapis w moim testamencie. Bycie starszą pracownicą naukową w Cognixie ma swoje korzyści.

– Jesteś pewna? Stworzysz precedens.

– Dokładnie – uśmiechnęłam się. – Uważam, że ta sytuacja wymaga wyjątkowych rozwiązań i chcę, żebyś kontynuowała pracę nad Kartą Praw Bytów Syntetycznych. A poza tym...

– Co poza tym?

Spojrzałam uważnie na Marie.

– Nie boisz się ani trochę, że przestaniesz istnieć? Czy ten wymyślony przez

nas układ nie wydaje ci się niesprawiedliwy?

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Mogłabym zapytać cię o to samo.

Roześmiałam się cicho. Nie sądziłam, że to stare ciało potrafi jeszcze płakać, ale pomyliłam się. Ocierając łzy z policzków, czułam pod palcami cienką jak papier skórę.

Jestem już taka krucha.

– Wszystko jest już w porządku – oznajmiłam spokojnie. – Chciałabym zostać sama. Żegnaj, Marie, i pożegnaj ode mnie Nancy.



Wyłączyłam psis po raz ostatni, a gabinet zblakł do przygaszonych barw mojej przestrzeni życiowej w świecie rzeczywistym – skromnego mieszkania przy plaży. Było nieduże, ale należało do niewielkiej liczby mieszkań na powierzchni Atopii.

W ostatecznym rozrachunku Jimmy dał mi to, czego, jak mi się wydawało, chciałam – świat był gotów na przyjęcie psis – ale zażądał za to niebotycznej ceny. Było całkiem jasne, że dopuścił się sabotażu moich systemów medycznych. Ale być może odejście z tego świata stało się moim życzeniem, do którego nie potrafiłam się sama przed sobą przyznać, a on odegrał tylko rolę narzędzia.

Nadszedł czas, abym odeszła.

Ze wszystkich rzeczy, które zapewniał nam psis, najmniej nagłaśnianą była godna śmierć. Zostałam sama, całkiem sama – prawdopodobnie po raz pierwszy od blisko pięćdziesięciu lat.

Więc tak wygląda rzeczywistość.

Zapomniałam.

Bardzo znużona, podniosłam swe stare kości z fotela, w którym usadziła mnie Marie. Chciałam spojrzeć po raz ostatni na maleńki ogródek na tyłach, tę małą grządkę życia.

Pokuśtykałam powoli ku zaniedbanym rabatom. Rozejrzałam się. Część

donic przewracał wiatr, a wszystko w słabym świetle przed świtem miało szarawą barwę. Podreptałam do leżaka, który stał obok starego krzaczka malin – niemal tak zgrzybiałego jak ja.

Nie doczekam wprowadzenia psis na całym świecie.

Tak będzie lepiej.

Nie dotrzymywałam już kroku zmianom, nie byłam pewna, czy chcę jeszcze tu być i wziąć na swoje barki odpowiedzialność za to, co może się wydarzyć.

Mój własny koniec. Nigdy weń nie wierzyłam.

To umiejętność, którą posiadają wszyscy ludzie.

– Marie! – zawołałam. – Chcę ci opowiedzieć ostatnią bajkę.

Nie widziałam jej ani jej nie czułam, ale byłam pewna, że jest ze mną. W istocie przeczuwałam, że obejmuje mnie teraz i przytula jak dziecko, co było pocieszającą myślą. Gdy zorientowałam się, że zbliża się koniec, zaczęłam opowiadać Marie historie z czasów mej młodości, z czasów, w których nie było maszyn odpowiedzialnych za nasze wspomnienia i przechowywanie cyfrowych śladów naszego żywota, kiedy pędzimy przed siebie na oślep.

Opowiadając Marie o sobie z tamtych lat, wiedziałam, że tamta część mnie przetrwa, że przetrwają ludzie, którzy byli w niej obecni. Ocaliłam najważniejszą, najukochańszą i najskrytszą opowieść na koniec.

Łzy spływały mi po policzkach, gdy dzieliłam się z nią najbardziej osobistymi wspomnieniami, których nie znał żaden z żyjących, do których nie sięgałam od ponad stulecia – o nieszczęśliwej miłości. To była opowieść o tym, dlaczego nigdy nie wyszłam za mąż, to była opowieść o młodym pilocie, który zmarł w moich ramionach przed wielu, wielu laty.

Zamiast zajmować się życiem i rodziną, skupiłam się na ucieczce od rzeczywistości, na ucieczce od tego, co mnie spotkało. Choć to nieprawdopodobne, tak właśnie było. Ostatecznie ta moja ucieczka zaczęła żyć własnym życiem, a miłość, jak się okazało, zupełnie mnie zaślepiła.

Teraz, gdy mój czas dobiegł końca, wspominałam ją i wiedziałam dlaczego.

Mój ukochany, czy teraz cię odnajdę?

Otarłam łzy i z radością ujrzałam świt – słońce wstające nad horyzontem. Będzie ładny dzień. Zerknęłam kątem oka na zapomniany krzak malin.

Pomiędzy cienkimi szarymi gałązkami ujrzałam z zaskoczeniem piękną,

dojrzałą, czerwoną malinę, która ocalała, kontrastując surrealistycznie z otaczającą ją szarością. Pochyliłam się i zerwałam ją, obracałam delikatnie w palcach.

Nie chciałam jej wypuścić, ale byłam bardzo zmęczona i nie miałam już więcej sił. Włożyłam ją do ust.

Myślałam o miliardach ludzi gdzieś tam daleko – niektórzy z nich jeszcze śpią, inni dawno już wstali, a większość znajduje się gdzieś pomiędzy jawą a snem. Myślałam o dziesiątkach miliardów sztucznych dusz przemierzających teraz wielowszechświat i nieskończoną wewnętrzną przestrzeń, którą wspólnie stworzyliśmy – my i maszyny.

Życzyłam im wszystkim szczęścia.



W pierwszym blasku dnia do ogrodu, w którym leżała spokojna już doktor Killiam, przyleciał paż królowej. Przyglądał się jej, tańcząc nad jej nieruchomym ciałem to tu, to tam, a potem machając skrzydełkami, odleciał coraz wyżej i wyżej.

Wznosił się i opadał, ale uparcie wzlatywał, aż dołączył do niego brązowy motyl z oczkami na skrzydłach. Dotknęły się radośnie i roztańczyły wysoko, wznosząc się ponad Atopię i zostawiając ją za sobą.

Pierwsze promienie słońca przecięły horyzont, oświetlając cienką warstewkę czerwonożłocistych chmur płynących wysoko po akwamarynowym niebie.

Wstawał nowy dzień.

EPILOG

Tożsamość: Bobby Baxter

Drżąc na całym ciele, otuliłem się mocniej swetrem. W San Francisco było zimniej, niż mogłem przypuszczać.

Z naszego obozowiska za kilkoma głazami i trawiastą łąką, przy kilku starych sekwojach, widziałem z daleka szczyt mostu Golden Gate, wystający z gęstej mgły spowijającej zatokę. Zapadała noc, więc rozpaliliśmy ognisko. Wyciągnąłem dłonie ku płonącym z trzaskiem bierwionom.

Więc tak wygląda prawdziwy kamping. Symulowana wersja bardziej mi się podobała.

Stosując się do zakodowanych poleceń Marie, opuściliśmy sieć tak szybko, jak było to możliwe, podążając najdalej, jak było można. Stanowy park za San Francisco był strefą wolną od sieci i po kupieniu namiotów oraz zapasów w mieście, wysadzono nas tutaj. Doszliśmy do krawędzi lasu.

Wciąż nie mogłem uwierzyć, że Patricii już nie ma.

Kiedy tu podążaliśmy, czułem z przerażeniem, że jestem ślepy, głuchy i niemy. Odcięcie od gęstej sieci komunikacyjnej Atopii sprawiało wrażenie powrotu do wieków średnich. Moje ciało domagało się ode mnie, żebym rzucił to wszystko w cholerę i wrócił do ciepłego, wygodnego świata psis na Atopii, ale opierałem się dzielnie temu pragnieniu.

Atopia była jedynym miejscem, jakie znałem. Miarowy szum informacji

przepływających przez moje metazmysły był dla mnie czymś najoczywistszym – tak jak oddychanie. Zostały mi jeszcze fantomy ułożone wokół mnie w pustej hiperprzestrzeni, sięgające bardzo daleko ode mnie, ale moje metazmysły zupełnie odrętwiały.

Czułem się tak, jakby amputowano mi większość ciała.

To, co mówili, było prawdą – przyszłość dotarła już tutaj, problem w tym, że nie była równomiernie rozłożona w przestrzeni. Należałem do tej przyszłości, choć tutaj towarzyszyłem reszcie rasy ludzkiej. Świat miał się jednak zmienić, a ludzie nie mogli się tego doczekać. Zaśmiałem się pod nosem. Naprawdę powinni bardziej zważać na to, czego pragną.

Vince nas nie opuścił. Doszedł do wniosku, że ostatnie wskazówki Patricii mogą stanowić klucz do rozwiązania jego problemu. Był z nami oczywiście Sid, a także Brigitte i Willy.

No cóż, Willy tylko w pewnym sensie...

Tu, w parku stanowym, nie było połączenia z siecią, więc musieliśmy umieścić odłamek Willy'ego w Brigitte na czas wyprawy do lasu. Brigitte bardzo się spodobało, że może mieć kawałek Willy'ego zawsze przy sobie, i wątpię, by chciała się go pozbyć w przewidywalnej przyszłości.

Martin postanowił zostać z naszymi rodzicami. Wszystkie inne prokury towarzyszyły nam w podróży, ukryte, by tak rzec, w naszych ciałach. Więc siedziało nas dziewięcioro wokół tego ogniska: ja, Robert, Sid, Vicious, Vince, Gorące Ciało, Brigitte i jej prokura Bardot, oraz nieco zagubiony odłamek Willy'ego.

Nancy, mimo moich próśb, nie opuściła Atopii, choć wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, kim stał się Jimmy. Poprosił ją, żeby została nieco dłużej i pomogła w śledztwie oraz przygotowaniach do państwowego pogrzebu Patricii, który postanowił urządzać mimo plotek głoszących, że Patricia współpracowała z Terra Nova. Podejrzewam, że Nancy była mu wdzięczna za tę uprzejmość – wbrew skandalowi, który wybuchł na wyspie – i w jakimś sensie uznała, że pozostanie na miejscu jest jej obowiązkiem.

Twierdziła, że do nas dołączy, ale teraz było już na to za późno. Minął tydzień, odkąd opuściliśmy Atopię, a nowo przyjęte na wyspie poprawki do konstytucji przyznawały Jimmy'emu i Rickowi prawo do utrzymywania stanu

wyjatkowego – stanu wyjątkowego, który nigdy się nie skończy.

Atopia, która o mało nie uległa zagładzie, szybko i bezceremonialnie pozbyła się tak ważnych niegdyś swobód obywatelskich – nie było już Patricii, która mogłaby ich bronić. Niemal z dnia na dzień wyspa przekształciła się w państwo policyjne, a Jimmy otoczył się natychmiast prywatną armią psombie.

Śledztwo wykazało, że zawirusowana skórka pochodziła z Terra Nova i trafiła na Atopię przez wyspecjalizowany system psis Patricii. Przypuszczano, że w systemie tym umieściła ją jej dawna studentka, Mohesha. Patricia zainfekowała każdego, z kim utrzymywała kontakt, a potem wirus szybko rozprzestrzenił się po Atopii. Oczywiście niemal każdy z naszej grupy był podejrzewany o taki czy inny współudział.

Patricia zakodowała Marie w miniaturowej kostce danych, którą przeszmulowano z Atopii tuż przed zamknięciem wyspy na mocy rozporządzeń nowego policyjnego państwa Jimmy’ego. Odebraliśmy tę kostkę i ukryliśmy ją w czymś, co przypominało laskę, którą kupiliśmy w sklepie z antykami w dzielnicy Haight-Ashbury.

Po rozpaleniu ogniska w obozie stworzyliśmy prywatną sieć łączącą nas wszystkich i obudziliśmy Marie. Jej eteryczny obraz uniósł się przed nami w płomieniach, kołysząc się w podmuchach nocnego wiatru. Duch ten opowiedział nam prawdziwie przerażającą bajkę na dobranoc, a my tuliliśmy się do siebie. Marie wyjaśniła nam, jakim potworem stał się Jimmy i jakie czyhają na nas niebezpieczeństwa.

Marzyłem o leniwych dniach na plaży.

Pozytywną wiadomością było to, że prognozy się ustabilizowały i nie groziły nam apokaliptyczne wojny, przynajmniej w najbliższej przyszłości. Ale psis nie było jedyną zabawką w mieście. Zalew innych technologii transformacyjnych zupełnie zniekształcał przyszłość, a my musieliśmy brodzić w tym nowym wspaniałym świecie, żeby odnaleźć ciało Willy’ego. Bez względu na wszystko, Willy był naszym kumplem i musieliśmy mu pomóc, a jego ciało jakimś cudem zawierało także tajemnicę Jimmy’ego – tajemnica ta była powodem, dla którego zniknęło.



Następnego ranka siedzieliśmy wokół tłących się węgli, które ocaliliśmy z poprzedniego wieczoru. Z ponurymi minami piliśmy ziarnistą kawę, którą zaparzył Vince.

– Czytałeś wiadomości przysłane rano przez Willy’ego? – zapytał mnie, podając mi kubek.

– Czytałem.

Równocześnie z wprowadzeniem psis na rynek w większości głównych obszarów metropolitalnych Cognix ujawnił istnienie siedmiu nowych pływających platform klasy Atopii, rozmieszczonych w strategicznych punktach na całym świecie. Musieli je budować od jakiegoś czasu. W Phuture News mówiono o przyznaniu Atopii stałego mandatu w Radzie Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych – przedstawicielem wyspy miał zostać Jimmy.

Wraz z kawą Vince rozdawał na śniadanie jakieś lepkie buły i batoniki z musli. Musieliśmy jeść. Bez zaopatrzenia w sprytocyty, których brakowało w powietrzu wokół nas, musieliśmy odżywiać nasze ciała. Sprytocyty wypłukują się z organizmu, jeśli się ich nie uzupełnia, a ponieważ nie wiedzieliśmy, na ile bezpieczne są nasze stare zapasy, Patricia stworzyła potajemnie dla nas jej własną odmianę.

Wyciągnąłem z plecaka pojemnik wypełniony nowym sprytocytowym proszkiem, zanurzyłem w nim palec, przytknąłem opuszek do nosa i wciągnąłem powietrze – najprostszy sposób na dostarczanie cząstek do ciała polegał na wchłanianiu ich przez błony śluzowe.

– Czy nie możemy powiedzieć ludziom tego, co wiemy? – zastanawiał się Vince z kubkiem kawy w ręku. Dmuchał na gorącą parę.

Podąłem mu paczuszkę proszku.

– Po tym, co się stało, znów obarczą winą Terra Nova. Poza tym nikt nam nie uwierzy, nie cieszymy się zbyt dobrą reputacją. Musimy odczekać.

– Taka zbieranina jak nasza powinna ocalić świat! – roześmiał się Sid.

Nie miałem nastroju do żartów.

– Wszystko zależy od tego, jak się na to spojrzy – ciągnął Sid. – Może nie jest

tak źle.

– Co masz na myśli?

– Na przykład ciebie i Nancy... Razem widzieliście wszystko, a ty umiesz odstawić te swoje sztuczki z wodą.

– Więc?

Sid wyszczerzył zęby.

– Nic nie rozumiesz? Jesteś kimś w rodzaju wszechwiedzącej istoty, która chodzi po wodzie, żeby ocalić ludzkość przed cierpiącym potworem.

– Chodzi o to – wtrącił się Vicious – że to wszystko już było, koleś, i skończyło się dobrze.

– Powiedz mi, że to nie wygląda jak przypowieść biblijna – zachichotał Sid i zamienił się w gadający płonący krzak z dwoma kamiennymi tablicami, na których wypisał nasze imiona.

Parsknąłem.

– Bardzo zabawne.

– A klucz do tego wszystkiego spoczywa w moim ciele? – zapytał Willy. – Wally musiał zostawić nam jakieś wskazówki. Musimy się tylko rozejrzeć.

Szlak do ciała Willy'ego rozpoczynał się i kończył na Sintilu8, który – jak my – zniknął z sieci. Myśl o ściganiu gangstera takiego jak on trochę mnie przerażała, ale mieliśmy do wyboru i tak mniejsze zło. Dzięki Patricii poznaliśmy prawdziwą tożsamość Sintila8 – nazywał się Siergiej Michajłow.

Wiatr przywiewał chmury sprytocytów uwolnionych przez Cognix w San Francisco poprzedniego dnia i nawet tutaj wyczuwałem wąskie kanały i strumyczki informacji, które płynęły przeze mnie, łącząc mnie z wielowszechświatem. Moje metazmysły odżyły, ale to wszystko miało teraz jakiś złowrogi wymiar.

– Ruszamy w drogę, ludzie – rzuciłem, a moje fantomy zadrżały. – Myślę, że powinniśmy trzymać się jak najdalej od dużych miast.

– Mnie w nich na pewno nie ma – poparł mnie Willy.

Cała nasza czwórka, która miała ciała fizyczne, zarzuciła plecaki ze sprzętem na ramiona. Rozejrzałem się po obozowisku, czy czegoś nie zostawiliśmy, i zakopałem butem tłące się resztki ogniska. A potem, wymieniając nerwowe uśmiechy, ruszyliśmy drogą prowadzącą do wielkiego sekwojowego lasu

i dalej.

O Autorze

Po zdobyciu dyplomu inżyniera elektryka Matthew Mather rozpoczął karierę zawodową w McGill Center for Intelligent Machines. Później założył jedną z pierwszych na świecie firm zajmujących się dotykowym sprzężeniem zwrotnym; firma ta stała się światowym liderem w tej dziedzinie i stworzyła trenującą mózg grę wideo. Mather pracował również przy przeróżnych start-upach zajmujących się komputerową nanotechnologią czy elektroniczną dokumentacją zdrowotną, systemami prognozowania pogody, genomiką, a nawet badaniami nad społeczną inteligencją. W roku 2009 rozpoczął inną podróż, wracając do oryginalnych inspiracji swej kariery technologicznej – długich nocy poświęconych w dzieciństwie i latach nastoletnich na czytanie dzieł wielkich mistrzów science-fiction. Postanowił wówczas napisać własną powieść sci-fi, a rezultatem są *Kroniki Atopii*. Dzieli swój czas między Montrealem w Kanadzie a Charlotte w Północnej Karolinie.



Spis treści

Od Autora

Prolog

BŁĘKITNE NIEBO

Część I: Olympia Onassis

1 - Tożsamość: Olympia Onassis

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

DZIECIĘCE ZABAWY

Część II: Komandor Rick Strong

1 - Tożsamość: komandor Rick Strong

2

3

4

5

6

7
8
9

KROPLE CZASU

Część III: Vince Indigo

1 - Tożsamość: Vince Indigo

2
3
4
5
6
7
8
9
10
11

INTERLUDIUM

Wprowadzenie do: Patricii Killiam

Tożsamość: Patricia Killiam

ŚLEPI BRACIA

Część IV: Bobby Baxter

Prolog

1 - Tożsamość: Bobby Baxter

2
3
4
5
6
7

NIGDZIEBĄDŹ

Część V: Nancy Killiam & William McIntyre

- 1 - Tożsamość: William McIntyre
- 2 - Tożsamość: Nancy Killiam
- 3 - Tożsamość: William McIntyre
- 4 - Tożsamość: Nancy Killiam
- 5 - Tożsamość: William McIntyre
- 6 - Tożsamość: Nancy Killiam
- 7 - Tożsamość: William McIntyre
- 8 - Tożsamość: Nancy Killiam
- 9 - Tożsamość: William McIntyre
- 10 - Tożsamość: Nancy Killiam
- 11 - Tożsamość: William McIntyre
- 12 - Tożsamość: Nancy Killiam
- 13 - Tożsamość: William McIntyre
- 14 - Tożsamość: Nancy Killiam
- 15 - Tożsamość: William McIntyre
- 16 - Tożsamość: William McIntyre

GENESIS & JANUS

Część VI: Patricia Killiam & Jimmy Scadden

Prolog

- 1 - Tożsamość: Jimmy Scadden
- 2 - Tożsamość: Patricia Killiam
- 3 - Tożsamość: Jimmy Scadden
- 4 - Tożsamość: Patricia Killiam
- 5 - Tożsamość: Jimmy Scadden
- 6 - Tożsamość: Patricia Killiam
- 7 - Tożsamość: Jimmy Scadden
- 8 - Tożsamość: Patricia Killiam
- 9 - Tożsamość: Jimmy Scadden

10 - Tożsamość: Patricia Killiam
11 - Tożsamość: Jimmy Scadden
12 - Tożsamość: Patricia Killiam
13 - Tożsamość: Jimmy Scadden
14 - Tożsamość: Patricia Killiam
15 - Tożsamość: Jimmy Scadden
16 - Tożsamość: Patricia Killiam
17 - Tożsamość: Jimmy Scadden
18 - Tożsamość: Patricia Killiam
19 - Tożsamość: Jimmy Scadden
20 - Tożsamość: Bobby Baxter
21 - Tożsamość: Jimmy Scadden
22 - Tożsamość: Patricia Killiam
23 - Tożsamość: Bobby Baxter
24 - Tożsamość: Jimmy Scadden
25 - Tożsamość: Bobby Baxter
26 - Tożsamość: Patricia Killiam
27 - Tożsamość: Jimmy Scadden
28 - Tożsamość: Patricia Killiam
29 - Tożsamość: Bobby Baxter
30 - Tożsamość: Patricia Killiam
31 - Tożsamość: Jimmy Scadden
32 - Tożsamość: Bobby Baxter
33 - Tożsamość: Jimmy Scadden
34 - Tożsamość: Patricia Killiam

EPILOG

Tożsamość: Bobby Baxter

O Autorze

Polecamy również

Polecamy również:

Tomasz Fijałkowski

ANTIPOLIS

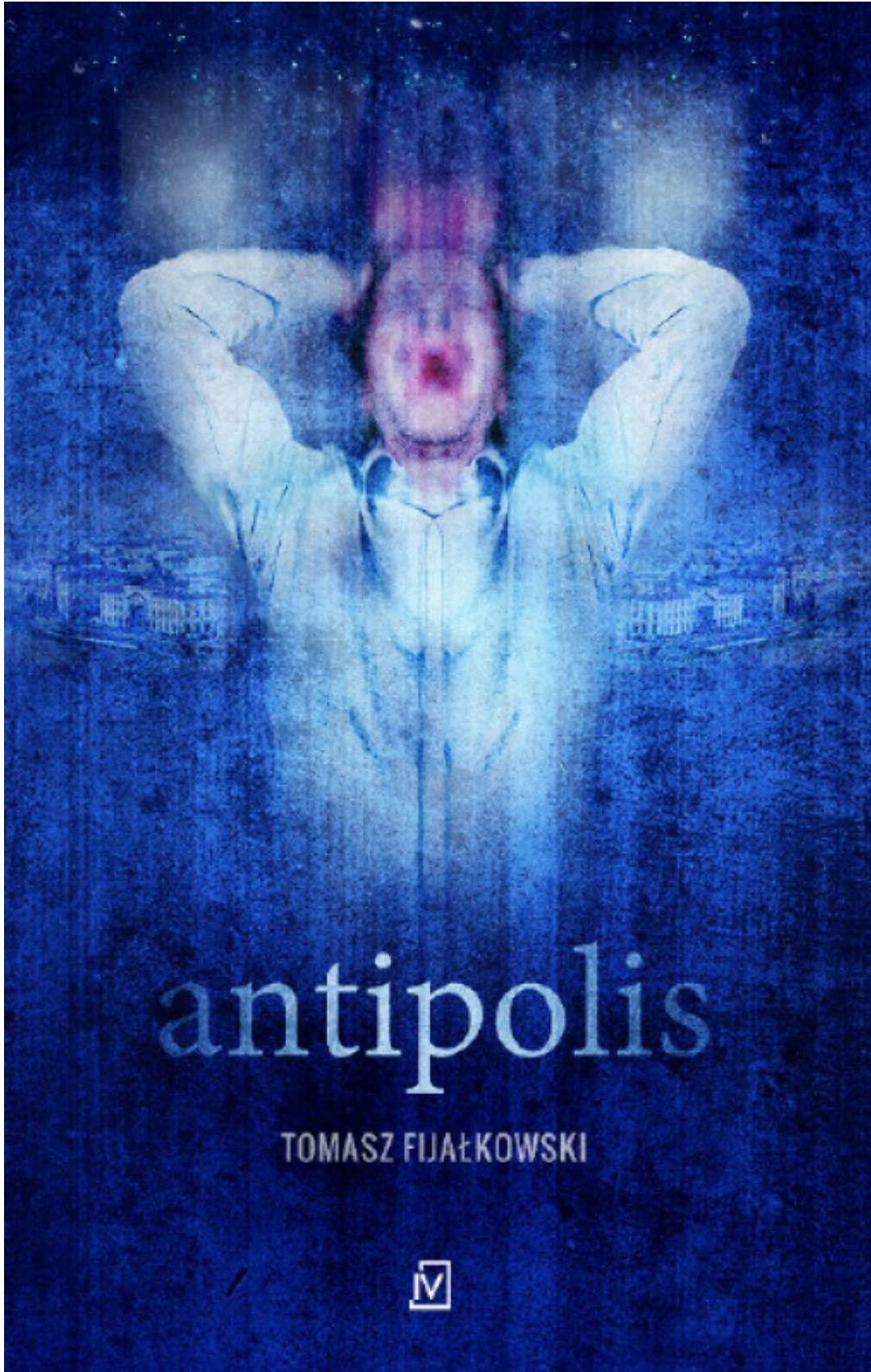
Lato 1936 roku. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że do Antipolis, stolicy Korony, zbliża się Zenit – moment, w którym nastąpi brutalne wtargnięcie Innej Rzeczywistości w granice naszej. Potwierdzają to nie tylko obserwacje naukowców badających układy wyładowań atmosferycznych, ale również inne tragiczne wydarzenia. Bogowie w przerażający sposób zaczynają manifestować swoją obecność, a osoby, w żyłach których płynie boska krew, zdradzać groźne nadludzkie umiejętności.

Na straży porządku wewnętrznego stoi Struktura, która strzeże najbardziej skrywanej tajemnicy wyjaśniającej, dlaczego następuje ingerencja Istot do naszego świata. Tylko parę osób zwerbowanych w szeregi Struktury, dysponujących nadnaturalnymi możliwościami psychicznymi, ma szansę na przeciwstawienie się Zenitowi.

Zaczyna się nierówna walka z Inną Rzeczywistością.

W dalszej części znajdziecie Państwo

fragment publikacji



antipolis

TOMASZ FIJAŁKOWSKI



Następnego ranka nie mógł opędzić się od wyrzutów sumienia. Zaspał. Zjawił się w pracy dwie godziny za późno i liczył na to, że od samego rana nikt go nie szukał. Wpadł do gabinetu i natychmiast otworzył okno – pokój nagrzał się do nieprzyzwoicie wysokiej temperatury. Odemknął szafę pancerną, by wyciągnąć z niej wczorajsze akta, gdy rozległo się pukanie i do środka wpadł zdyszany Lesman.

– Dobrze, że pan jest! – krzyknął na powitanie. – Sędzia wydał już nakaz aresztowania tego młodego. To niesamowite! Stary Płanetnik wrócił w nocy z Monachium i właśnie siedzi w sądzie z całą armią prawników! Wszędzie pełno pismaków! Aleśmy wczoraj narobili bałaganu – ostatnie słowa Lesman wypowiedział z wyraźnie wyczuwalną dumą.

Śnieg spojrział na niego z politowaniem. Młodszy kolega nadal nie potrafił ukrywać emocji, wciąż biegał i rozpowiadał wszystkim o najmniejszym nawet sukcesie. Było w nim tyle samo zapału co krótkowzroczności. „Ile lat trzeba pracować w policji, by wiedzieć, że im mniej zamieszania, tym lepiej dla wszystkich? Muszą być zachowane przynajmniej pozory równowagi, jeżeli nie można jej naprawdę zagwarantować. Czy młodego Płanetnika trzeba było aż tak upokarzać? Czy jego ojciec musi teraz na oczach wszystkich udowodniać, jak bardzo zależy mu na najmłodszym dziecku? Bogowie! Gdyby cokolwiek ode mnie zależało... Ale nic od nas nie zależy. Jedni drżą przed ojcem, inni przed kontrwywiadem. Nad każdym wisi jakiś miecz”.

– Tylko tyle chciałeś mi powiedzieć? – ostudził zapał młodzieńca.

Ten zmieszał się i niespodziewanie spłonął rumieńcem.

– Miałem pana znaleźć. Wzywają pana do pokoju 96.

Komisarz zamrugał zaskoczony.

– Na pewno chodzi o pokój 96? – zapytał, by ostatecznie się upewnić. Lesman mógł się przesłyszeć, coś źle zapamiętać, po tym szczeniaku wszystkiego można się spodziewać.

– To głupie, wiem, ale zapisałem sobie ten numer na dłoni, żebym nie zapomniał – chłopak uśmiechnął się z zakłopotaniem i pokazał nagryzmołą liczbę.

– W porządku – Śnieg pokiwał głową i ruszył w stronę drzwi. – Jeszcze jedno: umyj ręce, dobrze?

„Pokój 96. Niech i tak będzie” – pomyślał i natychmiast przyłapał się na tym, że szuka w kieszeniach talii Heraklita. Musiał ją gdzieś zostawić. W domu? Na stole w kuchni, gdzie ledwie zdążył wypić herbatę? W samochodzie? Może nawet nie zabrał jej wczoraj wieczorem z biura? „Jaka wróżba była na dzisiaj? Nieważne” – przywołał do porządku swoje rozkojarzone myśli. Wsiadł do windy i wjechał na ostatnie piętro budynku.

Pokoju pilnował nieumundurowany funkcjonariusz. Przyjrzał się komisarzowi z wyuczoną podejrzliwością i wpuścił go do środka. Drzwi bezszelestnie zamknęły się za mężczyzną i Śnieg ruszył długim, wąskim korytarzem, na którego końcu kolejny policjant już otwierał księgę wejść i wyjść, by gość mógł się w niej podpisać. Dopełniwszy tej formalności, przeszedł przez prawdziwe opancerzone wrota, nad którymi błyszczały złote cyfry.

Wewnątrz panował półmrok, a małe lampki zamontowane w ścianach wskazywały drogę do konkretnych sektorów Pokoju. Wybrał szlak fioletowych światełek i ruszył niepewnie. Słyszał kroki tłumione przez grubego dywan, docierały do niego głosy, ale nie był w stanie wyodrębnić żadnego konkretnego słowa. „Pełno tu duchów” – pomyślał.

Minął kolejny zakręt i znalazł się w nasyconym fioletową poświatą pomieszczeniu, na którego środku ustawiono ogromny okrągły stół. Wokół niego krążyli trzej mężczyźni, uważnie przeglądając rozrzucone na blacie kartki i mapy. Komisarz już chciał ich pozdrowić, ale byli tak pogrążeni w pracy, że z pewnością nie zwróciliby na niego uwagi. Minął ich bez słowa i ruszył do ostatniego z pomieszczeń w tej części Pokoju. Wiedział, że czeka tam na niego Sosnowski, opiekun kalendarza brontoskopicznego.

W pokoju krzątał się wysoki, starszy mężczyzna. Od czasu do czasu potrząsał nerwowo siwą głową i poprawiał wciąż zsuwające się z nosa okulary. Niemal

natychmiast zauważył komisarza przekraczającego próg jego skromnego gabinetu.

– Jesteś! – zawołał na powitanie. – Czekałem na ciebie od samego rana.

Śnieg uścisnął serdecznie dłoń przyjaciela.

– Coś się stało? – zapytał podejrzliwie. – Nigdy mnie tutaj nie wzywacie bez powodu...

– Musimy się przejść – oznajmił mężczyzna i wziął komisarza pod rękę. – Chcę ci coś pokazać w kalendarzu. I upewnić się co do niektórych rzeczy – dodał po chwili.

Mężczyźni minęli pochylonych nad stołem techników. Milcząc, pokonali kolejne kręte korytarze i stanęli przed drzwiami, do których dostępu bronił funkcjonariusz. Śnieg nie mógł się nadziwić, ilu środków bezpieczeństwa wymaga utrzymanie w tajemnicy nawet bardzo mglistej przyszłości. Od czasu wprowadzenia ustawowego zakazu profesjonalnego badania przyszłości wielu „techników” zeszło do podziemia, wielu pracuje na własną rękę, sprzedaje swoje usługi ludziom, dla których nawet skrawek przyszłości może mieć konkretną, z reguły bardzo wysoką, wartość. Na szczęście tylko państwo mogło sobie pozwolić na tak drogi (i precyzyjny) sprzęt jak system kalendarza brontoskopicznego.

Na ścianie w głębi owalnego pomieszczenia wisiała ogromna tarcza podświetlona kłębiącymi się pod szkłem fosforyzującymi przewodami. Szklany okrąg przedstawiał mapę nieba podzielonego na szesnaście równych części. W każdej zaznaczano rodzaj, wygląd i siłę pojawiających się na niebie błyskawic. Te informacje analizował właśnie Sosnowski, który potrafił znaleźć w nich przesłanki dla bliższej i dalszej przyszłości.

Nie była to żadna sztuczka – typowa koincydencja wydarzeń. Przez całe dziesięciolecie notowano i katalogowano każdą dającą się opisać formę błyskawicy i porównywano ją ze zdarzeniami, które zaszły tuż po zaobserwowaniu piorunów. Zapisano w ten sposób dziesiątki tomów, dzięki którym udało się zaobserwować subtelną grę pomiędzy zjawiskami atmosferycznymi a mającymi nastąpić po nich wydarzeniami.

Sosnowski dysponował znakomitym zespołem technicznym: cały Pokój 96

był jednym wielkim mechanizmem, w którym człowiek stanowił tylko narzędzie obserwacyjne lub analityczne. A on sam był głównym interpretatorem, augurem, kimś, kto spisywał raporty i przysyłał je owemu mitycznemu „wyżej”, o którym nawet Śnieg nic nie wiedział. „Może to i dobrze – pomyślał – może to i dobrze, że jest ktoś, kto tłumaczy nasze błędy, kto wysyła raporty jeszcze wyżej i jeszcze dalej...”.

Mężczyźni podeszli do tarczy kalendarza. Promieniowała ciepłem i pachniała elektrycznością. Sosnowski sięgnął po wskaźnik i obrysował nim dwa lśniące zimnym światłem miejsca. Pozostałe sektory kalendarza były puste.

– Widzisz – zaczął tłumaczyć – to mnie szczególnie niepokoi. Te dwa pola obserwacji. Zjawiska z przedwczoraj i ubiegłego czwartku.

– Przecież od dwóch tygodni nie było burzy – zdziwił się Śnieg.

– Nie bądź dzieckiem! – skarcił go Sosnowski, który był wyjątkowo wrażliwy na punkcie swojego profesjonalizmu. – Dobrze wiesz, że burza nie jest warunkiem niezbędnym, by przeprowadzić obserwacje. Przesłony są otwarte okrągłą dobę...

– Więc co z tymi polami?

– To bardzo niepokojące – starszy mężczyzna wyciągnął z kieszeni marynarki notatnik i go przewertował. – Nie będę cię zanudzał szczegółami, przeczytam ci, co zdążyłem znaleźć w naszych zbiorach. Najpierw zjawisko z czwartku. Sektor ósmy, tak zwany potrójny trójzab, tło jednolite, pozbawione poświaty, płaski w stosunku do punktu obserwacyjnego, nachylenie względem nieba nieznaczne, około 15 stopni...

– A jakie są wnioski? – zaryzykował pytanie policjant. – Czego mamy się spodziewać?

Sosnowski poprawił okulary. Zrozumiał chyba, że specjalistyczne szczegóły mogły dezorientować.

– Wnioski są takie, że z identyczną konfiguracją spotkaliśmy się już w 1879, późnym latem, i jesienią 1912. Mówią ci coś te daty?

Śnieg poczuł się jak egzaminowany. Pytanie nie padłoby jednak, gdyby nie miał szansy na nie odpowiedzieć. Powinien coś sobie przypomnieć, skojarzyć. W 1912 od dwóch lat pracował w policji, był asystentem komisarza Rode

w jakimś miasteczku na rubieżach Korony. Po kilku latach mozolnej i mało wymagającej pracy przeniesiono go do Antipolis. 1912? Co się wtedy działo? „To musiało być coś poważnego, skoro tu jestem, a on świdruje mnie tymi swoimi załzawionymi oczami. O czym wtedy pisały gazety? Czy to jakiś żart starego lisa?”. Żart. Olśnienie.

– Trefniś – powiedział Śnieg, odsłaniając zęby w nieszczerym uśmiechu. „Nie złapałeś mnie, nie tym razem” – pomyślał. Sosnowski odwzajemnił uśmiech.

– Masz dobrą pamięć – pochwalił młodszego kolegę. – Czternaście zaszlachtowanych osób. Kobiety, mężczyźni, dzieci, starcy. Trefniś nie wybierał. A może wybierał według jakiegoś koszmarnego klucza. Do dziś nie wiemy. Tamta seria urwała się tak nagle, jak się zaczęła. Pamiętasz?

Przytaknął. Był wówczas młody i, siedząc na prowincji, czytał nawet najmniejszą wzmiankę o serii brutalnych morderstw w Antipolis. Była jesień. Wygrzewał się na ławce przed komisariatem, miażdżył dłońmi młode orzechy i marzył o podniecającym, niebezpiecznym pościgu za zwyrodnialcem, który sztyletował niewinnych ludzi, a potem domalowywał im szminką groteskowe krwistoczerwone uśmiechy. Nigdy go nie złapano. Zbrodnie nie zostały pomszczone, winy nie zmazano, równowaga pozostała zakłócona...

Nagle zrozumiał, do czego stary zmierzał. Wstrząsnął nim lodowaty dreszcz, poczuł, że pocą mu się dłonie. Czy przez ten cały czas łudził się, że wyjdzie stąd z dobrymi, w najgorszym razie neutralnymi, wiadomościami?

– Możesz się spodziewać czegoś podobnego – oznajmił cichym, wyważonym głosem Sosnowski, starając się uspokoić wyraźnie zdenerwowanego kolegę. – Jeżeli jeszcze tego z czymś nie łączysz, rozejrzyj się. Może jeszcze nie jest za późno, by zatrzymać lawinę.

Komisarz zazgrzytał zębami.

– Mamy cztery trupy. Czterech zabitych chłopaków. Padli z tej samej ręki, bez dwóch zdań. Ten sam rodzaj śmierci – westchnął ciężko, jakby zabrakło mu tchu. – Od wczoraj jesteśmy bliżej rozwiązania. Mam nadzieję...

Powietrze między mężczyznami nagle zgęstniało. Śnieg pomyślał, że to nie wszystko, że coś jeszcze odczytano z kalendarza, że stary obrysował swoim miedzianym wskaźnikiem jeszcze jeden obszar, zapewne następne

nieszczęście. „Najgorsze jest to, że my nawet tego nie budzimy, nie wywołujemy wilka z lasu, my po prostu widzimy z daleka, jak nadchodzi, i niczego nie możemy zrobić”.

– Jest coś jeszcze, prawda? – zapytał, gotowy na najgorsze wiadomości.

– Jest – potwierdził stary – z przedwczoraj. Tak zwany odwrócony witraż w sektorze czternastym. Ostatni raz zaobserwowany jesienią 1822 roku... – tę datę niemal wyszeptał. Każdy ją znał, od zawsze.

– Bogowie! – krzyknął policjant. – Kto jeszcze o tym wie?!

– Cała Góra – powiedział Sosnowski, przecierając zmęczone oczy. – Teraz służby mają się o tym dowiedzieć. Trzeba zapobiec...

– Wiem, wszystko wiem...

